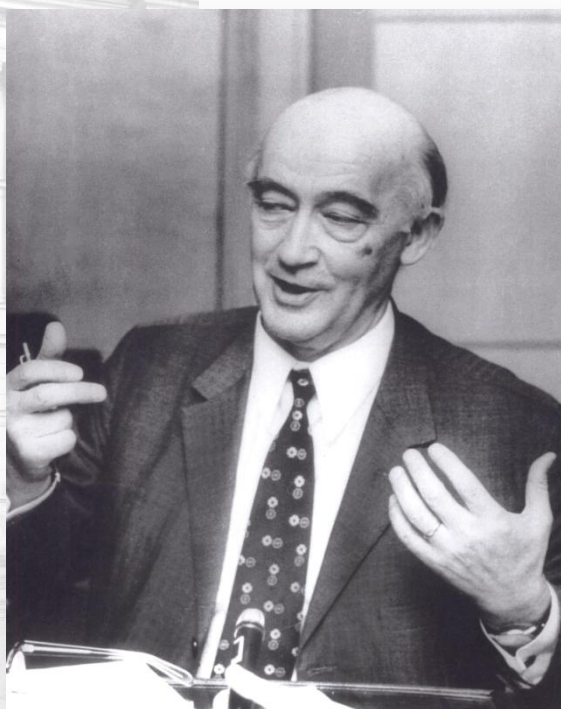


# ZAPISKI PAMIĘTNIKARSKIE

**JERZY BUKOWSKI**



**JERZY BUKOWSKI**

**ZAPISKI  
PAMIĘTNIKARSKIE**

Warszawa 2013

Opracowanie merytoryczne  
**MARTA BUKOWSKA-KOROL**

Opracowanie redakcyjne  
ŻANETA JĘDRYKA

Tekst dostępny w Bibliotece Cyfrowej Politechniki Warszawskiej  
<http://bcpw.bg.pw.edu.pl/dlibra>

Nakładem:  
Biblioteki Głównej Politechniki Warszawskiej  
i  
Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa  
Politechniki Warszawskiej

Druk i oprawa – Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej 2013

## Spis treści

OD CÓRKI.....	5
WSTĘP.....	7
Zawał (1973 r.).....	9
I. DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ DO ROKU 1921 .....	11
1. Początek chronologicznego życiorysu.....	11
2. Fragment wywiadu z Jerzym Bukowskim z książki Zofii Szlachty „Mistrz” .....	22
3. Służba wojskowa .....	25
Nota porządkowa – Jerzy Bukowski (dotyczy tzw. „Wstawki II”).....	26
II. DANE ŻYCIORYSOWE W UKŁADZIE CHRONOLOGICZNYM .....	27
1. Ważniejsze daty i fakty z życia .....	27
2. Uzupełnienie do „dat i faktów z życia” (lata 1978-1982) opracowane przez córkę Jerzego Bukowskiego .....	60
3. Deklaracja ideologiczna .....	65
III. POLITECHNIKA.....	66
1. Studia.....	66
2. Asystentura .....	79
3. Instytut Aerodynamiczny wg nagrania.....	82
4. Śmigła.....	91
5. Jeszcze 1925-1935 – Kontakty z Instytutem Aerodynamicznym w latach 1935-1939 - Habilitation 1938 r. ....	93
6. Zaangażowanie na Politechnice w czasie wojny 1939-1944.....	100
7. Po powrocie do kraju – Lublin 1945 r. – Zjednoczenie Przemysłu Motoryzacyjnego 1945/1946 r.....	104
8. Politechnika Warszawska – Komisja Senacka – Politechnika Łódzka 1946 r.....	107
9. Dziekanat Wydziału Mechanicznego .....	117
10. Połączenie Szkoły Wawelberga i Rotwanda z Politechniką Warszawską (1951 r.) .....	120
11. Prorektorstwo (1951/1952).....	123
12. Rektorat (wrzesień 1952 – grudzień 1953 r.) .....	127



13.	Politechnika między pierwszym a drugim i trzecim rektoratem (1954-1959) .....	148
14.	Wybory rektorskie 1956 r. – Wybory do Sejmu – Wzmianka o październiku 1957 roku .....	150
15.	Październik studencki (1957 r.) (Wyprzedzenie I) .....	154
16.	Rektorat (1959-1962; 1962-1965) .....	168
17.	Marzec 1968 r. (Wyprzedzenie II) .....	172
18.	Po Marcu 1968 r. do przejścia na emeryturę .....	191
19.	O nagraniach dla Biblioteki PW .....	192
20.	Nota porządkowa .....	194
IV.	FABRYKA ŚMIGIEŁ .....	196
1.	Nota wstępna .....	196
2.	Fabryka Śmigieł na Marymoncie – Bielanał (W. Szomański i Sp.) .....	196
3.	Rekapitulacja stanu rzeczy w zakresie produkcji śmigieł w 1939 r. ....	209
4.	Narty lotnicze produkcji Fabryki Śmigieł, Wyrobów Drzewnych i Metalowych W. Szomański i S. A. w Warszawie .....	211
5.	Szosa Lubelska .....	215
6.	Aneks do wspomnień z pierwszych tygodni wojny .....	231
7.	Incydent „Pawiak” .....	237
8.	Holz u Metallerzeugnisse Fabrik W. Szomański Co. A.G. ....	245
9.	Kistenfabrik Rauscha; Kernholz Gesellschaft Melder & Heine Niemes .....	264
	ILUSTRACJE .....	271
	INDEKS OSOBOWY .....	283
	ANEKS 1. Główne zaangażowania Jerzego Bukowskiego w okresie 1945-1973 r. ....	289
	ANEKS 2. Stenogram wystąpienia w Sejmie 10.04.1981 r. ....	290
	ANEKS 3. Dokumenty w sprawie rehabilitacji Jerzego Bukowskiego .....	292
	ANEKS 4. Dokumenty związane z habilitacją Jerzego Bukowskiego w 1938 r. ....	294
	ANEKS 5. Listy z podziękowaniem za opiekę w czasie Powstania i w obozach w Niemczech .....	302
	ANEKS 6. Podziękowanie od członków Rady Wydziału Mechanicznego 1951 r. ....	305

## OD CÓRKI

Po 31 latach od śmierci Jerzego Bukowskiego – mojego ojca, stają się dostępne w formie elektronicznej jego „Zapiski pamiętnikarskie”. „Zapiski” zostały opracowane przeze mnie we współpracy z Biblioteką Główną Politechniki Warszawskiej.

Ojciec zaczął pisać wspomnienia życiorysowe w lipcu 1967 r. Pisał dorywczo, z dużymi przerwami do roku 1980. Uwagi, którymi rozpoczął nową serię pisania, mówiące o sytuacji w jakiej pisał, odtwarzają pewien dramatyzm jego pisania: pośpiech, brak czasu, chęć przekazania jak największej ilości zapamiętanych istotnych faktów.

Planował w swoich „Zapiskach” 4 rozdziały : 1. Politechnika, 2. Miodowa – Wiejska ( inaczej Rada Główna Szkolnictwa Wyższego – Sejm), 3. Fabryka Śmigieł, 4. Moje domy. Niestety nie udało mu się napisać odrębnie rozdziałów 2 i 4. Główny rozdział – Politechnika – też nie w pełni zawiera opis działalności autora z nią związanej. Zwłaszcza okres ostatniej kadencji rektorskiej potraktowany jest pobieżnie (autor odsyła czytelnika do innych publikowanych źródeł). Niektóre wydarzenia zostały opisane w „Zapiskach” zarówno w rozdziale „Ważniejsze dane i fakty z życia”, jak w rozdziałach „Politechnika „i „Fabryka Śmigieł”. Powtórzenia nie zostały usunięte, co umożliwia czytanie tych rozdziałów odrębnie. Łącznie Ojciec napisał 466 stron rękopisu formatu A4 w sześciu zeszytach.

Po śmierci autora (1 czerwca 1982 r.) podjęto próbę opracowania i wydania pozostawionych przez Niego „Zapisków”. Senacka Komisja Historii i Tradycji PW powołała 9 maja 1984 r. Komitet Redakcyjny Wspomnień Profesora Bukowskiego. W skład Komitetu weszli: prof. Eugeniusz Olszewski – przewodniczący, prof. Zbigniew Brzoska, Marta Bukowska-Korol – córka autora, Edward Domański – dyrektor Biblioteki Głównej PW, Elżbieta Kamińska – redaktor naczelny Wydawnictw PW, Rafał Łąkowski – dyrektor PWN. Sekretarzem został Jan Zaleski. Podjęto decyzję wydania dwóch publikacji: jednej skróconej, w małym nakładzie przez PW i drugiej, w nakładzie ok. 10 tys. egz. przez PWN. Żadne z tych zamierzeń nie zostało zrealizowane. Jedyne rozdział dotyczący wydarzeń z marca 1968 r. na Politechnice Warszawskiej został opublikowany 1988 r. w numerze 3(72) Miesięcznika Społeczno Kulturalnego „ZDANIE”. Maszynopis złożony w PWN został zwrócony w 1993 r. na adres prof. E. Olszewskiego, bez pisma przewodniego, z zawiadomieniem telefonicznym, że PWN rezygnuje z „Zapisków pamiętnikarskich” Jerzego Bukowskiego i wykreśla tę pozycję ze swych planów wydawniczych.

W sierpniu 1993 r. złożono maszynopis „Zapisków” w Wydawnictwie Lubelskim Nowym, które ostatecznie również wycofało się z ich wydania ze względu na brak środków finansowych.

W końcu 2011 r. sprawą pamiętników Ojca zainteresował się prof. Włodzimierz Zych, członek Senackiej Komisji Historii i Tradycji. Jego energicznej interwencji wspartej przez dyrektora Biblioteki Głównej PW Jolantę Stępniaak zawdzięczamy, że została podjęta decyzja wydania „Zapisków” w formie elektronicznej, po opracowaniu redakcyjnym przez Bibliotekę.

Pierwszy maszynopis części rozdziału „Politechnika” wykonała w latach 70-ych, zaopatrując go uwagami redakcyjnymi, Walentyna Kwaśniakowa, wieloletnia współpracownica Jerzego Bukowskiego w Instytucie Aerodynamicznym (później w Katedrze). Następnie całość „Zapisków” przepisała pani Teresa Kondras z Naczelnej Organizacji Technicznej i Muzeum Techniki. Szczegółowe opracowanie redakcyjne, z zaopatrzeniem tekstu w wiele przypisów, podjął prof. E. Olszewski. Niestety zdołał opracować jedynie ok. 100 stron maszynopisu.

W 2012 r. pracę nad tekstem rozpoczęła w Bibliotece Głównej PW Żaneta Jędryka, współpracując z Marią Miller i ze mną (córką autora). Mnie radą i pomocą służyła Elżbieta Dudzińska, była dyrektorka Biblioteki Głównej PW. Tekst został uzupełniony ilustracjami i aneksami. Kursywą wyróżniono noty porządkowe i komentarze oraz daty i miejsca pisania.

Pragnę wyrazić gorącą wdzięczność wszystkim, którzy swą pracą i zaangażowaniem przyczynili się do tego, że „Zapiski pamiętnikarskie” Jerzego Bukowskiego zyskały obecną formę i staną się dostępne. Mam nadzieję, że Czytelnicy znajdą w nich szereg wartościowych materiałów historycznych, a także przybliżenie postaci autora.

Marta Bukowska-Korol

## WSTĘP

*Warszawa, lipiec 1967*

Ten brzydki gruby zeszyt nasunął mi przed kilkoma laty myśl, że dobrze byłoby w nim właśnie notować pamiętnikarskie wspominki. Luźne kartki, przyjemniejsze w pisaniu, byłyby przydatniejsze w systematycznej, jednym ciągiem, dłuższymi okresami czasu prowadzonej pracy. Nie widzę w bliskiej perspektywie takiej możliwości<sup>1</sup>. Tymczasem fakty i ich chronologia zacierają się powoli w pamięci i z najwyższym zdumieniem stwierdzamy trudność odtworzenia wydarzeń, które, jak kiedyś wydawało się, miały pozostać na zawsze w sposób trwałe i całkowite w naszej świadomości.

Czy chcę pisać pamiętnik? Czy chcę przekazać najwięcej wiadomości ze swego życia? Dać obraz kształtowania się przemian mojej osobowości? Nie, nie o to mi chyba chodziło, kiedy powracałem myślą do zapisków pamiętnikarskich.

Żyłem w tych siedmiu dziesiątkach lat XX wieku, które w przemianach świata, naszego kraju i narodu, mojej rodziny, wprowadzały zmiany tak radykalne, że wydaje się czasem, iż przeżyłem nie jedno życie, a kilka odrębnych cykli, odrębnych żywotów, związanych dość sztucznie, z jedną osobą. Właśnie moją osobą. W stwierdzeniu tym nie ma nic odkrywczego. To był los mojego pokolenia. Jednak dzięki temu, że w kolejnych okresach mojego życia odgrywałem lub mogłem odegrać rolę wykraczającą poza troskę o sprawy osobistej egzystencji, moje wspomnienia będą mogły nabrać pewnego znaczenia. Z wyboru – pisania dla siebie i najbliższych, z przewagą tematyki bardzo osobistej – bądź też poświęcenia tych kartek na opisanie ogólniejszych spraw i zdarzeń z moim w nich udziałem, wybiorę raczej to drugie. Dlatego zapiski moje będą (przynajmniej tak bym chciał) prozą, a nie liryką. Nie oznacza to, że liryce w życiu człowieka odmawiam pierwszoplanowego znaczenia. Nasza strefa uczuć oraz bogatych a różnorodnych przeżyć w tej dziedzinie jest ważna ponad wszystko, choć podporządkowujemy ją tzw. potrzebom życia. Poprzestanę na prozie, starając się odjąć całą pejoratywność obiegowej treści tego słowa. Zastrzeżenie to czynię, bo wydaje mi się, że nigdy proza mojego życia nie była wolna od uczuciowych zaangażowań.

We wszystkich zapiskach mających charakter historycznego przyczynku (a tym są właśnie „Zapiski pamiętnikarskie”) narzuca się na wstępie problem periodyzacji,

---

<sup>1</sup> Praktyka wykazała, że przerwy w pisaniu trwały niekiedy lata. „Zapiski” – nie licząc nagrań na taśmę magnetofonu – były pisane od lipca 1967 roku w 12 odcinkach czasowych, początkowo na urlopiach, a później – często w trakcie pobytów w sanatoriach lub lecznicach do początku 1980 r.

wyodrębniania okresów o wyraźnej dominancie. Zgodnie z moim założeniem wybieram dominantę czynników zewnętrznych – począwszy od pierwszych lat świadomego życia, aż do lat ostatnich. Taka periodyzacja nie uwolni od tematycznej ciągłości w dziedzinie spraw szczególnego zaangażowania (taką sprawą, na przykład, była dla mnie Politechnika Warszawska, taką dziedziną – słabnące i narastające zainteresowanie i zaangażowanie w „sprawy publiczne”, taką sprawą był wreszcie dom moich rodziców i mój dom). Niewątpliwie jednak poszczególne kalendarzowe okresy życia miały swoje dominanty i na nich skoncentruję chyba moją uwagę przy notowaniu wspomnień. Wiem również, że nie zachowam ściśle chronologicznej kolejności moich wspomnień poza wstępnym wyliczeniem, które tutaj podaję:

Przyporządkowane kalendarzowi lat, moje wspomnienia sięgają roku 1909 prawdopodobnie dlatego, że był to czas kiedy samodzielnie zacząłem czytać. (Obok dziecinnej literatury – „Moje Pisemko”, czy później „Przyjaciel Dzieci” – moją ulubioną lekturą była „Mucha” z jej licznymi na skutek konfiskat metamorfozami tytułów. Okres do wybuchu pierwszej wojny światowej (liczyłem wtedy 12 lat) zamknął moje dzieciństwo. Okres wojny, odzyskanie niepodległości w roku 1918, wojna 1920 roku, ukończenie gimnazjum (im. Jana Śniadeckiego w Kielcach) w roku 1921, zamyka drugi duży rozdział mojego życia – bogatego w wydarzenia i przeżycia – który uczynił mnie dojrzałym, tak jak dojrzałą w przeważającej liczbie była 18-19-letnia młodzież tego czasu.

W roku 1921 przybyłem na studia do Warszawy, żeby już nigdy tego miasta na stałe nie opuścić. Dalszych 18 lat okresu międzywojennego, łącznie z pierwszym miesiącem wojny, stanowi następny zamknięty i zakończony w wielu dziedzinach okres mojego życia.

Okupacja, lata 1945-1946 w odrodzonym kraju stanowią dla mnie oddzielny rozdział, może dlatego, że od roku 1946 związałem się już całkowicie ze szkolnictwem wyższym, nawiązując do mojego długoletniego w okresie międzywojennym związku z Politechniką Warszawską (studia, asystentura, habilitacja).

Lata 1956/1957, tak doniosłe w życiu kraju, przyniosły i w moim życiu zmiany. Nieoczekiwane, przez wejście do Sejmu – zaangażowanie w czynne życie polityczne, stopniowe, coraz szersze angażowanie się w sprawy pozazawodowe, pozapolitechniczne, zbiegły się równocześnie z moim podwójnym rektoratem w latach 1959-1962 i 1962-1965.

Tym chyba rokiem 1965 mógłbym rozpocząć przegląd ostatniego okresu mojego aktywnego życia: jeszcze raz wybory do Sejmu (trzecia z kolei kadencja), nasilenie różnych funkcji społecznych, ich pomnożenie poza granice zdrowego rozsądku. Tylko nadzieja pozostaje na jeszcze jeden etap życia, spokojnej rozwagi i koncentracji na sprawach najważniejszych. Pożytek mej pracy okazać się mógłby wtedy właśnie największy.

Wiele pamiętników rozpoczynano, mniej kończono. Może właśnie dlatego, że rozpoczynano je chronologicznie, od początku. Spróbuję uczynić inaczej. Rozpocznę od daty, która związała mnie z Politechniką Warszawską, z którą moje życie tak silnie złączyłem, właściwie mimo mych zamierzeń, a z poczucia konieczności; Politechniką, której tyle pracy mej poświęciłem, która dalszego jeszcze wysiłku wymagała, a równocześnie oceniała go zawsze z opóźnieniem.

### **Zawał (1973 r.)**

#### ***Świder 5.2.1974 r.***

*Po trudnym roku 1972 i szczególnie wyczerpującym I półroczu 1973 r. (Rok Kopernikowski, przygotowania II Kongresu Nauki Polskiej) 3 lipca, w czasie oficjalnej wizyty NOT-owskiej w Rumunii, uległem (to brzmi dostatecznie uroczyście) zawałowi serca - jak się okazało dość rozległemu – ale szybko uchwyconemu i dobrze leczonemu (w szpitalu Elias w Bukareszcie, który będę zawsze najlepiej wspominał, łącznie z opieką naszej ambasady i rumuńskiego NOT-u – nie mówiąc już o troskliwości jaką okazywali koledzy i przyjaciele z kraju).*

*Razem szpital Elias, lecznica, sanatorium w Konstancinie, przymusowy urlop przed włączeniem się na tzw. półobrotach do pracy (od 1.10.1973 r. przeszedłem w Politechnice na emeryturę) dały mi 4 miesiące życia do jakiego nie przywykłem. Otoczenie troską i opieką mojej osoby i dużo, dużo czasu na myślenie i refleksje. Musiałem obiecać sympatycznym lekarzom rumuńskim (i spełniłem to), że mój relaks fizyczny, polegający przez długi czas na normalnym w tym przypadku ograniczeniu mobilności uzupełnię – ważniejszym jeszcze według nich – kompletnym relaksem psychicznym, nie myśleniem o kłopotach aktualnych, a w szczególności przyszłych. Obiecałem, i o dziwo przyszło mi to z łatwością. Może dlatego, właśnie już w czasie rekonwalescencji konstancińskiej i później już domowej, nie sięgałem do tego zeszytu – bo nie wszystkie myśli i sprawy, do których wracam pisząc, mają charakter relaksowy.*

*Nie przeżyłem wprawdzie lęku, towarzyszącego często wstępnemu stadium zawału (zapytano mnie zaraz o to w szpitalu - uspokoiłem lekarzy skarżąc się tylko na dotkliwy ból). Miałem jednak chwilę, w pierwszych godzinach choroby, w której z wielką jasnością ujrzałem w głębokiej perspektywie mojego życia (i to dziwne, zarówno w retrospekcji jak i w dosiężnej myśli przyszłości) rzeczy ważne, istotne i te inne, nadmiernie absorbujące – w istocie nie mające większego znaczenia. Dojrzałem również niektórych ludzi z mego otoczenia takimi jacy są w istocie, pod pokrywką przybieranych postaw. W tamtej chwili postanowiłem sobie, ile tylko sił starczy, po powrocie do zdrowia (byłem przekonany o tym, że to nie jest ostatnia moja choroba), koncentrować się na rzeczach istotnych, a ludzi fałszywych bądź po prostu unikać, bądź nie stwarzać pozorów, że ich grę biorę za dobrą monetę.*

*Kiedy już czułem się lepiej, ale musiałem jeszcze długie godziny spędzać nieruchomo, nie łamiąc rygoru relaksu psychicznego myślałem spokojnie o tym, że kiedyś jednak przyjdzie ostatnia choroba i jej konsekwencja, „koniec wędrówki”. I na ten wypadek postanowiłem, ile się tylko da uporządkować różne sprawy. Co mnie często razi przy odejściu wielu ludzi to zamęt, jaki powstaje przy pisaniu wszelkich wspomnień, przeglądów życia, takiego czy innego budowania pomniczków. Okazują się wówczas dotkliwe braki informacji, a w ślad za tym błędy faktyczne i akcenty przypadkowe. Może dlatego dobra w istocie jest instytucja jubileuszy gromadzących informacje o ludziach, z tym, że te „pogrzeby za życia” zawierają z uwagi choćby na obecność jubilata cechy panegiryzmu. Wprawdzie według starego przysłowia to właśnie „de mortuis aut bene aut nihil”, ale praktyka bywa inna. Tak czy inaczej ważne są fakty z życia osoby stającej się przedmiotem zainteresowania, a czasem stosunek ich samych do tych faktów. O obiektywizm, jeśli chodzi o takie „autokalendarze” życia, jest oczywiście trudno. Ponieważ jednak udało mi się dotąd uniknąć obchodu jakiegokolwiek dziesięciolecia mojej działalności, postanowiłem wtrącić w tok moich pamiętnikarskich zapisków takie właśnie „calendarium” mojego życia, które wyjęte z całości zapisywanych zeszytów będzie mogło przedstawić mnie, przynajmniej od strony moich „regesta”, w sposób najmniej zniekształcony.*

# I. DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ DO ROKU 1921

## Komentarz córki Marty Bukowskiej-Korol

*Rozdział „Dzieciństwo i młodość do roku 1921” opracowałam w oparciu o niedokończony przez Ojca:*

- „Początek chronologicznego życiorysu”, (Wstawka II – 1974 r.) przerwany na roku 1915,
- „Notatki rodzinne” napisane przez Niego w 1980 r.,
- fragment wywiadu z Ojcem z książki Zofii Szlachty „Mistrz” (Młodzieżowa Agencja Wydawnicza – Warszawa 1984),
- informacje z różnych źródeł dotyczące ochotniczej służby Ojca w wojsku w 1918 i 1920 roku.

### 1. Początek chronologicznego życiorysu<sup>2</sup>

**Urodziłem się 23 listopada 1902 r. w miejscowości Bugaj w powiecie pińczowskim. Ojciec mój Jan Rafał (ur. w 1872 r. w Michałowicach w tymże powiecie), dzierżawił folwark Bugaj należący do dóbr majorackich Wielopolskich z Chrobrza. Ojciec odebrał bardzo dobre wykształcenie. Z gimnazjum im. Św. Jacka w Krakowie przeszedł do świetnie prowadzonej Szkoły Rolniczej w Czernichowie, poczym uzupełnił swoje wykształcenie na świeżo uruchomionym Studium Rolniczym przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.**

**Lata dziecińne (do r. 1912) spędziłem w Kąpielkach w pow. olkuskim, gdzie mój Ojciec prowadził gospodarstwo w majątku swego teścia wcześniej owdowiałego Józefa Ryszkiewicza urodzonego w poznańskim, którego powstanie 1863 r. sprowadziło do Kongresówki, a który później wiele lat spędził na Podolu i Wołyniu.**

Pierwsze zachowane w pamięci fakty datuję na lata 1905-1906, a wiąże się to z „rewolucją 1905 r.” i powtarzającymi się odwiedzinami „zbierających na partię” emisariuszy z Zagłębia Dąbrowskiego. Przybywający otrzymywali zawsze drobne sumy,

---

<sup>2</sup> Rozdział ten został napisany w lutym 1974 roku, stanowiąc tak nazwaną przez autora „Wstawkę II”. („Wstawka I napisana w tymże miesiącu – to rozdział „Zawał”). Został rozszerzony fragmentami „Notatek rodzinnych” napisanych przez autora w 1980 r. (To w pewnym stopniu złamało zasadę, podaną we wstępie „pisanie nie dla siebie i najbliższych”).



ale związane to było, o ile pamiętam, z pewnym napięciem. Jeden taki fakt utkwiał mi w pamięci, kiedy Matka moja nie mając innych pieniędzy dała przybyszom monetę rublową leżącą na biurku Ojca. Kiedy Ojciec spostrzegł z pola oddalających się od domu obcych ludzi, domyślając się celu ich wizyty zawrócił prędko i zapytał moją Matkę: „Czy byli po składkę i odeszli z niczym?”. „Nie, dałam im rubla z Twojego biurka”. „Ale ten rubel był przecież fałszywy, nie wiedziałaś o tym?”. „Nie”. Pamiętam konsternację jaka zapanowała. Ojciec został już w domu na wypadek gdyby zawrócili „z wymówkami”, aby wyjaśnić sytuację.

**Później, mógł to być rok 1906 lub 1907, rozwinął się bandytyzm.** Pamiętam, że przejeżdżając przez las za Wolbromiem, przez który prowadziła szosa do Pilicy, Ojciec odbywał ten odcinek drogi z pistoletem (słynne Browningi 7,65) w ręku, a my (dzieci) kucaliśmy na dnie wózka, lub na siedzeniach powozu.

**Późniejsze moje wspomnienia uporządkowane są już latami od roku 1909. Umiałem już wtedy czytać** i skrzętniej niż „Moje Pisemko” p. Marii Jadwigi Buyno-Arctowej, czy później „Przyjaciela Dzieci” – wczytywałem się w ilustrowany **tygodnik polityczno-satyryczny „Mucha”** redagowany przez słynnego Władysława Buchnera i zmieniający od czasu do czasu na pewien okres tytuł z powodu kolejnych konfiskat. Tak to „w literaturze” przeżyłem wojny bałkańskie, aż po upadek Adrianopolu i uformowanie się niepodległych państw na tym półwyspie. Z „Muchy” również wiedziałem o narastających konfliktach w Europie i afrykańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego.

**Moja matka Zofia, urodzona w Warszawie w r. 1882, była wnuczką popularnego** na terenie stolicy w II połowie XIX w. **Bolesława Maciejowskiego**<sup>3</sup>. Matce, wybitnej działaczce ruchu niepodległościowego okresu I wojny światowej, a potem działaczce kół gospodyń wiejskich należy się szczególna pamięć.

**Matka przygotowała mnie do egzaminu do klasy wstępnej szkoły handlowej w Będzinie której dyrektorem był Antoni Sujkowski, późniejszy profesor WSH**<sup>4</sup>. Okazało się, że moje przygotowanie przekracza wymagania i po zdaniu egzaminu dodatkowego z języka rosyjskiego, którego początki opanować musiałem w czasie pięknego lata roku 1912, uzyskałem prawo wstępu do klasy I.

---

<sup>3</sup> Bolesław Maciejowski (ok. 1820-1901) był znany jako działacz Towarzystwa Dobroczynności, współzałożyciel pierwszej w Warszawie spółdzielni spożywców, członek Rady Miejskiej.

<sup>4</sup> Wyższa Szkoła Handlowa w Warszawie działała pod tą nazwą w latach 1915-1939, przekształcona na Szkołę Główną Handlową.

**Rok 1912 był ważny tym, że po śmierci mojego dziadka ze strony ojca Emila Bukowskiego, Ojciec objął definitywnie 30-włokowy majątek rodzinny Michałowice (obciążony zresztą okazałymi splątami na rzecz braci Karola i Stefana). W lecie 1912 r. byłem już w Michałowicach, dojeżdżając codziennie „linijką” do Czarnocina (miejsce urzędu gminnego), gdzie miejscowy nauczyciel p. Chmielewski, ćwiczył mnie w opanowaniu początków urzędowego języka.**

**Do Michałowic, do ojca zjechałem przed resztą rodziny już w czerwcu 1912 r.** Bardzo miło wspominać to nasze kawalerskie gospodarstwo w Michałowicach od czerwca do jesieni 1912 r. Myślę, że to były decydujące miesiące dla mojego zbliżenia z ojcem.

**Porządek dnia był niezmienny.** Ojciec wstawał bardzo wcześnie uruchamiając od 6:00 gospodarstwo. Ja o siódmej zjadałem śniadanie (mój Ojciec nigdy nie jadał pierwszego śniadania). Przed 7:30 wyruszyliśmy na konny spacer do naszego lasu (ja ciągle jeszcze na moim kucu Jacusiu – po indiańsku bez strzemion). Czasem jechaliśmy dalej do Lasu Chroberskiego. Wtedy wyjeżdżało się trochę wcześniej i droga odbywała się bez zatrzymywania. Przed 9 byliśmy w domu, ponieważ ja, najczęściej z Florkiem<sup>5</sup>, jechaliśmy linijką do odległego o 4 km Czarnocina, gdzie w szkole odbywałem 1,5 godzinną lekcję języka rosyjskiego ze wspomnianym już p. Chmielewskim. Powrót przed 12. Obiad punktualnie z uderzeniem godziny dwunastej. Ojciec mój był wielkim rygorystą jeżeli chodzi o godziny posiłków: 12:00 – obiad, 16:00 – podwieczorek, 19:30 – kolacja. Prawdziwą udręką były dla mnie piękne letnie popołudnia (jak na złość ładne było lato 1912 roku). Mając przez okno widok na ogród odrabiałem zadane mi na następny dzień „uprażnienia” – pisemne ćwiczenia. Pan Chmielewski nie był oszczędny w zadawaniu dziennych porcji. Ale też w ciągu dwóch miesięcy przerobił ze mną całoroczny kurs i przygotował do egzaminu, który dobrze zdałem.

**Następne lata 1912/1913 i 1913/1914 z uwagi na młodszego o 2 lata brata (Jeremiego Andrzeja), uczyłem się w domu.** Było to najekonomiczniejsze rozwiązanie. Jeden „korepetytor” wskazany przez dyr. Sujkowskiego, absolwent handlowej będziańskiej Stefan Piotrowski – zamiłowany badacz starożytności – z myślą o późniejszych studiach wertował dzieła archeologiczne w każdej chwili wolnej od czasu poświęconego na lekcje z nami. **W czasie wakacji 1913 r. przyjechał do nas jego najmłodszy brat Józef**

---

<sup>5</sup> Florek – ogrodnik (garbus) był za kawalerskich czasów służącym Ojca (Jana Bukowskiego) w Bugaju.

**(pospolicie zwany Dudkiem) i to on właśnie wprowadził nas w organizację „skautingu”, późniejszego harcerstwa.**

**W roku 1913/1914 objął funkcję korepetytora brat Stefana, Ksawery Piotrowski,** który tymczasem skończył szkołę. **Na początku 1914 r. zastąpił go pan Czesław Jaks-Bykowski.** W każdym razie rok 1913/1914 był rokiem systematycznej nauki.

Już od p. Stefana Piotrowskiego usłyszeliśmy wiele o zasadach i **organizacji polskiego skautingu. Poza Warszawą był on najsilniej rozwinięty właśnie w Zagłębiu Dąbrowskim** i chyba tam najwcześniej ujęty w szersze formy organizacyjne. Wskazuje na to nazwa: Okręg I Młodzieży Skautowej Zagłębia. Drużyny skautowskie były w Dąbrowie, Będzinie, Sosnowcu, Gołonogu i innych miejscowościach – razem chyba około 6 drużyn. Komendantem Okręgu był Kazimierz Kierzkowski, absolwent handlowki będzińskiej. Piotrowscy, zarówno Stefan jak i wspomniany Dudek, a także nasz następny „korepetytor” w roku 1913/1914, o wiele mniej udany Ksawery (Ksyk), byli wszyscy aktywnymi skautami. Już chyba z inicjatywy Stefana powstała myśl zamiany naszych zabaw z chłopcami ze służby w nieśmiertelną chyba zabawę chłopców w złodziei i policjantów, (w której, nota bene, prawie wszyscy chcieli być złodziejami, tak, że rolę policjantów trzeba było odbywać przymusowo w cyklicznej zmianie), w różne ćwiczenia z repertuaru gier skautowskich. Prawdziwy skauting powstał jednak w Michałowicach dzięki Dudkowi Piotrowskiemu.

Ponieważ wszyscy nasi korepetytorzy byli skautami „dyplomowanymi”, a więc z odpowiednimi stopniami i sprawnościami, więc mogliśmy funkcjonować zupełnie formalnie jako Pierwsza Michałowicka Drużyna I Okręgu Młodzieży Skautowej Zagłębia. **Ja, jako zastępowy nosilem dumnie oznaczenie organizacyjne MIII, co oznaczało nr I (zastępowy) I plutonu (nieistniejącego w pełnym składzie) I drużyny Michałowickiej.** Funkcje zwierzchnie „drużynowych” MI wypełniali kolejni nasi korepetytorzy. Do mojego zastępu należeli nominalnie jako przyszli organizatorzy dalszych zastępów MI, nasz stryjeczny brat Tadeusz z Cieszków i Julek Żwan, kuzyn z Opatkowiczek. Ta zabawa w skautów przetrwała aż do 1915 r., kiedy to obaj z Jaremą poszliśmy do Szkoły Handlowej, późniejszego gimnazjum matematyczno przyrodniczego im. Jana Śniadeckiego w Kielcach.

**Ja zdobyłem jeszcze w Michałowicach II stopień (późniejsza srebrna lilijka na Krzyżu Harcerskim), uznany w Kielcach, kiedy tam zgłosiłem się do I K. D. H. (I Kieleckiej Drużyny Harcerskiej) obejmującej w naszej szkole klasy od IV do VII a potem do VIII.** Nie będę się rozwodził nad dużym wychowawczym znaczeniu tej pracy, polegającej

według wówczas obowiązującej formuły na „wychowaniu młodzieży przez samą młodzież”. To była chyba istota naszego polskiego skautingu i harcerstwa, stopniowo później zatracona. Dzisiejsi etatowi instruktorzy nie bardzo przestrzegający prawa harcerskiego oraz obozy budowane i obsługiwane przez wynajęty personel wydają mi się parodią. A może to jest nieuchronna, w zmasowanych formach naszego życia jedyna możliwa, forma podtrzymania bodaj elementów istoty harcerskiego ruchu.

Istotne było to, że **p. Czesław Jaksza-Bykowski, jak wielu spośród młodzieży Zagłębia, związany był z niepodległościowym ruchem krakowskim koncentrującym się koło Strzelca, Drużyn Strzeleckich, jednym słowem koło osoby Józefa Piłsudskiego.** Postać ta miała wnieść określoną „orientację” (jak się wtedy mówiło) polityczną: wyraźny kurs na niepodległość, w chwili wybuchu wojny. Co to znaczyło w środowisku ziemiańskim, zorientowanym na Romana Dmowskiego i jego Narodową Demokrację (przynajmniej w przytłaczającej części tak zorientowanym) i chłopów, którzy o wojsku rosyjskim mówili „nasi” i dla których wszelkie nowinki niepodległościowe zbyt żywo jeszcze przypominały „pańszczyznę”, zaledwie przed czterdziestu paru laty zniesioną przez „Cara Oswobodителя”. Pamiętam liczne żeliwne krzyże według jednego wzoru w charakterze pomników dziękczynnych Aleksandrowi II, ustawianych przez co gorliwszych naczelników powiatów. **Z tym to ruchem niepodległościowym poprzez współpracę z „zapleczem” legionowym, ściślej Ligą Kobiet Pogotowia Wojennego I Brygady, następnie radykalnym odłamem Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”, a równoległe, szczególnie po kryzysie „przysięgowym” w Legionach w 1917 r., pracą w Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) związany był dom moich Rodziców i szczególna aktywność mojej Matki, aż do kryzysu majowego 1926 r.,** kiedy to tak wielu dawnych jej antagonistów i „przymuszanych” niepodległościowców zasiliło szeregi „Sanacji”. W tym to czasie (po 1926 roku) moja Matka poświęciła się bez reszty pracy „organicznej” w Kołach Gospodyń Wiejskich, w których czynna była nawet poprzez lata okupacji, na ile Jej stale pogarszające się zdrowie pozwalało. Pamiętam, że w czasie wakacyjnych pobytów w Michałowicach wciągała do tej pracy moją żonę, wykorzystując jej pedagogiczne i zawodowe (w zakresie np. rachunkowości) umiejętności. W wyjątkowych tylko przypadkach Matka dawała się nakłonić do jakichś interwencji w Warszawie u dostojników, na których wyrosli niektórzy związani przedtem z Michałowicami młodzi legioniści lub działacze, choć wielu spośród nich – tych „z I Brygady” odeszło na boczny tor, ustępując miejsca składom „nowych I Brygad”. A była liczba niemała tych, którzy przewinęli się przez Michałowice, jako pewny punkt oporu w terenie, gdzie

z trudem rozwijała się praca oficerów werbunkowych i ekspozytur pracy politycznej w Kielcach, czy niektórych miastach powiatowych.

Smętny wspominek mojej Matki o tych, co „nie zdradzili prawdziwych idei komendanta” ilustruje Jej nastrój w okresie Sanacji. Spełzły na niczym próby aktywnego wciągnięcia moich Rodziców do prac w BBWR (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem). Za życia Marszałka Piłsudskiego nie angażowali się jednak nigdy w jakiegokolwiek akcje przeciwko jego działalności skierowane. Zresztą oboje moi Rodzice otrzymali „Medale Niepodległości”, co rzekomo miało być wynikiem przeoczenia, gdyż byli „wnioskowani” na wyższy stopień tego odznaczenia tj. „Krzyż Niepodległości”. Coś w tym było prawdziwego, bo wkrótce po tym **Matce mojej nadał ówczesny Minister Spraw Wojskowych gen. Kazimierz Sosnkowski „Krzyż Walecznych”**, co w służbie pozafrontowej w POW należało do odosobnionych przypadków. Widocznie wysoko ceniono Jej działalność w funkcjach łącznika między strefami okupacyjnymi austro-węgierską (stolica: Lublin) i niemiecką (stolica: Warszawa). Obijały mi się czasem o uszy przygody przy przekraczaniu granicy, którą na trasie kursowania mojej Matki była rzeka Pilica w rejonie Białobrzegów. Z terenu Warszawy pozostały mi w pamięci nazwiska „Wojtka” Malinowskiego, Thugutta, Pragiera (jeżeli nie mylę nazwiska), Pani Aleksandry Piłsudskiej późniejszej drugiej żony „Komendanta”.

**Wybuch wojny 1914-1918.** Pierwsze dni u nas, w tzw. pasie granicznym, były spokojne. Nie pamiętam jak doszła wiadomość. Zniknął tylko nasz korepetytor p. Czesław Jaksa-Bykowski i inny student z Krakowa, medyk. Oczywiście wiedzieliśmy, że początek nastąpi lada chwila. Dostawa koni zarejestrowanych do Kielc. Mobilizacja. O wiele wcześniej wyjechali również nasi Czesi, „ekonomowie”: nasz p. Hubaczek i jego kolega z Budziszowic (mobilizacja Austro-Węgier, w związku z wcześniejszym wypowiedzeniem wojny Serbii, nastąpiła z odpowiednim wyprzedzeniem). Utkwiły mi w pamięci pojedyncze obrazki. Ja galopujący (już w siodle, które dostałem na imieniny tego lub poprzedniego roku – cóż to był za zachwyty zobaczyć po przebudzeniu w dniu imienin przy swoim łóżku śliczne małe siodełko) przez czysto uprawione (chyba pod rzepak) pole z Budziszowic, dokąd jeździłem z jakąś pilną wiadomością. Nigdy bym sobie na to dawniej nie pozwolił. Ale dziś jeszcze pamiętam ten błysk myśli – przecież to wojna, wszystko będzie inaczej. Potem drugi obrazek. Wracam ze Skalbmierza – nie pamiętam po co tam jeździłem – ale pewnie też jakaś ważna „wojenna” sprawa, może ostatecznie odebranie poczty, a może zakupy w naszym spółdzielczym sklepie „Zgoda”, co było zawsze swoistą atrakcją. Ze sklepu wyglądało się na rynek przez

kolorowe szybki w drzwiach i świat był czerwony, zielony lub pomarańczowo-żółty. Tuż przy „moście” na Nidzicy widzę w ostrym przedwieczornym świetle dwóch dragonów austriackich (jak się prędko nauczyłem rozróżniać) na rosłych koniach. Wspaniałe „greckiego” kroju kaski, czerwone spodnie ciemno-niebieskie, ale nie granatowe, kurty i dolmany luźno zarzucone z czarno żółtymi sznurami (i chyba u dragonów również takim samym szamerunkiem – dziś już mało kto wie co to znaczy). Wrażenie było oszałamiające. Przejechałem „jak nigdy nic”. Oni też mnie nie zatrzymali i nie wypytywali. Kiedy wjechałem w opłotki wsi, podciąłem konie i popędziłem z tą wiadomością do domu. A potem bieganie na gościniec, gdzie na horyzoncie widać było przechodzące kolumny. Pamiętam dzień, kiedy szły „niekończące się” – takiej masy wojska nigdy przedtem nie widziałem – kolumny piechoty. Była to jakaś dywizja czeska. W czasie odpoczynku pytali nas z ciekawością: „Jak się tu u was mówi? Kto wygra wojnę?”. Odpowiadałem, „Na pewno Wy, Rosjanie już się wycofali, a Wy idziecie naprzód”. Dzięki p. Hubaczkowi umiałem się posługiwać polsko-czeską mieszaniną językową. Bardzo mieli smętne miny. Niewiele dotąd wiedziałem o czeskim rusofilstwie, które miało przetrwać aż do dramatycznych wypadków roku 1968. Niedługo miał trwać ten łatwy marsz do przodu. **Po paru tygodniach Rosjanie ruszyli z ofensywą, której celem miały być twierdze Kraków i Przemyśl.** Po kolejnych przepychankach front ustalił się na przedpolach Krakowa. Włączyła się do działań ciężka artyleria fortów północno-wschodnich, którą nieraz z podziwem oglądaliśmy jadąc z Kocmyrzowa (granica – dziś rejon Nowej Huty) do Krakowa. Kraków był naszym najbliższym „wielkim miastem”. 5 mil do granicy i 2 mile od granicy i często się tam jeździło – wprost końmi, albo od Kocmyrzowa koleją. Olbrzymie złomy ciężkich granatów zbieraliśmy później u naszych kuzynów w Makowicach położonych w zasięgu artylerii krakowskich fortów. Wreszcie ofensywa rosyjska załamała się.

**Już na święta Bożego Narodzenia gościliśmy w Michałowicach Komendę jakiejś austriackiej dywizji.** Stłoczeni w jednym pokoju sypialnym – resztę zajęli sztabowcy. **W salonie rezydował „exzellenz”** generał dowódca. Pamiętam, kiedy zaprosili całą naszą rodzinę na wspólną Wigilię przy stole ustawionym po przekątnej naszej jadalni. „Ekscelencja” podał mnie i Jaremie dwa palce na powitanie. To było i tak dużo. Nawet starszym rangą oficerom podawał trzy palce. Nie wiem jak było z moimi Rodzicami, którym okazywał duży szacunek. Może dlatego, że Bukowscy w Galicji nosili tytuł hrabiowski<sup>6</sup> (nota bene zdaje się przyznawany rodzinom, które legitymowały się senatorami w dawnej

---

<sup>6</sup> Tytuł hrabiowski nigdy w rodzinie nie był używany.

Rzeczypospolitej). Nas to bardzo bawiło w Krakowie, gdzie najczęściej zatrzymywaliśmy się w Hotelu Polskim, albo Pod Różą (oba przy ul. Floriańskiej), kiedy obsługa hotelowa zwracała się do naszych Rodziców przez Pani Hrabino i Panie Hrabio.

**Na stole wigilijnym stały dwie choinki, jedna przybrana fabrycznymi ozdobami – srebrna, austrijacka i nasza barwna, „krakowska”.** O północy w szopie odpowiednio uprzątniętej i ubranej świerczyną odbyła się pasterka, która zaimponowała mi tym, że odprawiona w trybie mszy polowej trwała wszystkiego 10 minut. Jeszcze ze wspomnień z tego kwaterunku, kiedy już wyjeżdżała cała kawalkada pojazdów (oczywiście konnych) w przestronnej otwartej karecie jechało czterech dywizyjnych duchownych: katolicki, ewangelicki, kalwiński i rabin. Ten rabin kwaterował u naszego młynarza Wolfa. Utkwił mi w oczach i pamięci ten obrazek. Zastanawiałem się, czy oni grają w brydża licytowanego, zwanego w skrócie „licith”. W tym czasie, kibicując grającym austrijackim oficerom, poznałem podstawowe zasady tej ciekawej gry.

**Przez całą zimę front zatrzymał się na Nidzie** i tylko z daleka słychać było wymianę strzałów artyleryjskich. Po wyprowadzeniu się dowództwa dywizji do jakiegoś wygodniejszego i chyba dalej od frontu położonego miejsca postoju, **przez całą zimę kwaterował u nas Szwadron Huzarów.** Z tego czasu pochodzi moja znajomość nielicznych (nie zawsze przyzwoitych) słów węgierskich. Wśród żołnierzy było sporo Słowaków, z którymi oczywiście łatwo było porozumieć się. Rotmistrz (Kapitan) zajął salon po „ekscelencji”, dwóch młodych oficerów zajęło pracownię<sup>7</sup> w ogrodzie. Odwiedzali również moich Rodziców przelotnie kwaterujący w czasie poprzednich przemarszów oficerowie zakwaterowani teraz w sąsiedztwie. Musieliśmy chyba być na styku dwóch dywizji austriackiej i węgierskiej. Szczególnie bliska przyjaźń zawiązała się z poznanym jako majorem ułanów, a potem podpułkownikiem, rezydującym w zimie w Miławczycach, panem von Schramm. Pamiętam, że długo potem prowadził korespondencję z moją Matką, donosząc o swoich losach. Ostatnia była w dość smutnym tonie: przeniesiono tego dorodnego ułana na stanowisko komendanta pułku piechoty, co nominalnie stanowiło awans, ale dla kawalerzysty... Podobno niedługo zginął gdzieś na wschodnim froncie. A może już na włoskim – bo długo trwała ta korespondencja Obersta von Schramma z Frau Zosią von Bukowski.

---

<sup>7</sup> Pracownia – drewniany pawilon w sadzie wybudowany dla Stefana i Molly Bukowskich – malarzy, stryjostwa Jerzego Bukowskiego.

Na początku maja 1915 r. ruszył front znad Nidy – rozwinęła się ofensywa na wschód. Przedtem przemundurowano naszych barwnych czerwono-niebieskich huzarów (to były barwy całej kawalerii austriackiej) i ubrano ich w zwykłe uniformy „feldgrau”, jakie nosiła piechota. Żeby nie pozostawić wyłącznie austrowęgierskiego kolorytu moich wspomnień z pierwszych miesięcy wojny, trzeba odnotować również **spotkania z „naszymi” w czasie wspomnianych przepychanek**. Parę tygodni jedni, po paru tygodniach drudzy, aż do opisanej „bitwy o Kraków”. Przytoczę tylko parę obrazków. **Krótki pobyt (pamiętam tylko podwieczorek) rosyjskiego kapitana, przystojnego i nienagannie, choć polowo ubranego, mówiącego dobrze po polsku. Nazwisko jego było Kisiel**. Nie nawiązywał zresztą do swojej polskości, ale **wtedy uświadomiłem sobie, że to zawsze Polacy muszą być po dwóch stronach frontu**. Drugie wspomnienie, to zjechał na nocleg późnym wieczorem kierownictwa jakiegoś szpitala wojskowego z komendantem lekarzem z Niżnego Nowgoroda, przemiłym grubaskiem, który natychmiast z własnych zapasów uraczył nas wraz ze swoimi podkomendnymi kolacją, złożoną z różnych, dawno już przez nas nie oglądanych, smakołyków. Rodzice dawali wyraz swemu zawstydzeniu, że to nie oni goszczą we własnym domu – ale grubasek rozładowywał to anegdotami „jak to bywa na wojnie”. Rano odjechali miło żegnani. **Wreszcie kiedyś najazd głodnej sotni Kozaków**. Daliśmy wszystkim chleb jaki mieliśmy w domu. Złapali jeszcze parę płaczących się kur i łamiąc płoty odjechali. Jeden z nich miał przytroczony do kulbaki nocnik zamiast zwykłego kociołka – menażki. Bardzo nas to śmieszyło.

Na koniec: **na dziedzińcu duża gromada jeńców rosyjskich bardzo zabiedzonych. Eskorta je obiad. Nie widzę, żeby dla jeńców coś przygotowywano. Pytam kucharza (niemczyzna Fraülein Grete<sup>8</sup> bardzo nam była przydatna) czy dla jeńców coś przygotowuje**. Szeroko się uśmiecha: „**Jak coś przyniesiesz to ugotuję**”. Cóż mieliśmy zrobić, staszczamy z Jarewą dwa czy trzy worki ziemniaków. Ale mówię kucharzowi, że nie ma soli. Ten, tym razem na poważnie: „Nie martw się chłopcze, ja znajdę sól”. Kiedy odchodzimy, zbliża się do mnie **starszy wiekiem żołnierz i daje mi krzyżyk nawleczony uszkiem na wstążkę orderową Krzyża Świętego Jerzego: „Na ciebie, ty choroszij malczik. A tot krest istinno sierebriannyj. Wozmi na pamiat od gołodnych. Dwa dnia niczewo nie kuszali**”. Wzruszenie tamtej chwili potrafię wzbudzić. Krzyżyk wisiał na specjalnej ścianie w pokoju moich Rodziców, gdzie gromadziliśmy różne trofea wojenne, przeważnie pozostawione przy nagłych wyjściach zakwaterowanych, lub znalezione przy drogach.

---

<sup>8</sup> Fraülein Grete – guwernantka Niemka (Ślązaczka) zatrudniona przez jakiś czas w Kąpiołkach przed 1912 r.



I anegdota. Na skrzyżowaniu dróg „Za Karczmą” jakiś Kozak pyta mnie o drogę, nie pamiętam już do jakiej wsi. Zaczynam objaśnienie od „pojedietie prosto, prosto, a potem...” Zirytowany Kozak gniewnym głosem: „Ja znaju czto ja prosto pojadu, a ty mi skazi kudaż mnie jechat”. Zapomniałem że po rosyjsku polskie prosto to „priamo”, a rosyjskie „prosto” to po polsku „zwyczajnie”.

**Nastąpił po tych tak żywych „wojennie” miesiącach okres ciszy**, który trwał praktycznie, aż do jej końca na wschodnim froncie. Nie oznacza to, że nie interesowano się przebiegiem działań na froncie, którego przebieg znaczony był według komunikatów chorągiewkami na szpilkach wbijanych w mapę. Były wśród tych chorągiewek i białoczerwone znaczące miejsce walki I, II, III Brygady, zresztą trochę odmiennymi szlakami.

Nasz „ekscelencja” w czasie Bożego Narodzenia przepowiadał, że wojna potrwa nie dłużej niż kilka miesięcy, gdyż zabraknie... koni. Istotnie **koni zabrakło, ale u nas w Michałowicach i w sąsiednich wsiach i dworach. Wszystko doszczętnie zarekwirowano, lub zaginęło na „podwodach”**. Pamiętam, że nawet Janek Brzeska porzucił lepszą parę ze swej dobranej czwórki, którą pojechał z podwodą licząc, że tak ją uratuje. W stajni zostały na wiosnę 1915 r. tylko dwa foksteriery. W marcu i kwietniu pomogli trochę w robotach polowych husarzy. Potem, przez dość długi czas siłą pociągową były tylko ocalałe (nie w całym stadzie oczywiście) krowy. Odbudowa „siły końskiej” zaczęła się od pielęgnacji różnych kalek porzuconych przez wojsko, bądź dostarczanych przez handlarzy. Ojciec mój dokonywał sztuk weterynaryjnych (dobrą szkołą był ten Czernichów).

**Z naszą nauką w roku wojennym było tak, że na wiosnę (w czerwcu 1915 r.) mieliśmy zdane w Będzinie egzaminy: ja do IV klasy, Jarema do II.** Nie pamiętam jakim cudem zostaliśmy w ciągu pierwszego roku wojny 1914/1915 przygotowani do tego egzaminu. Myślę, że była to głównie ofiarna praca mojej Matki, która mimo zajęć politycznych znajdowała czas na zajmowanie się naszą nauką. Ponadto zdrowie matki raczej nie było już wtedy najlepsze. Pamiętam, że dom prowadziła w tym czasie dalsza kuzynka, ciocia Jabłońska sprowadzona z Warszawy. Jak wcześniej wspomniałem **obok działalności w Lidze Kobiet Pogotowia Wojennego, wspierającego formujące się kolejne jednostki legionów i kontaktów z Naczelnym Komitetem Narodowym w Krakowie, intensywną, bardzo trudną pracę „w terenie” prowadziła moja Matka w organizującym się lewicowym odłamie Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”, stojącego w opozycji do witosowskiego Piasta.**

**Z legionistów byli częstymi gośćmi domu moich rodziców kolejni powiatowi i kieleccy funkcjonariusze werbunkowi:** podporucznik J. Ulrych, chorąży (a może sierżant) Stefan Starzyński – późniejszy, ostatni prezydent Warszawy, sierżant Młodkowski, wreszcie, chyba również sierżant Wojewódzki – późniejszy organizator stronnictwa chłopskiego, już w latach dwudziestych aresztowany za działalność komunistyczną. Wyjechał później do Związku Radzieckiego i podzielił w latach trzydziestych los wielu polskich komunistów. Pamiętam go przy fortepianie bawiącego obecnych niezliczonymi, jak się wówczas mówiło „kupletami”, które śpiewał z niezwykle ekspresyjną mimiką. Nieważne jest zresztą wyciąganie z pamięci nazwisk. W każdym razie ten nastrój domu pozostawał mi w pamięci, kiedy **obaj z bratem rozpoczęliśmy od września 1915 r. naukę w szkole handlowej w Kielcach**, gdzie oczywiście uznano nasz egzamin zdany w czerwcu w Będzinie.

Decyzja w sprawie wyboru Kielc wynikała z licznych wówczas „politycznych” powiązań z tym miastem, o czym wspomniałem. Tam rezydowało biuro Ulrycha, tam był ośrodek „Ligi Kobiet” współdziałającej z ruchem „Legionowym”, tam był niejako punkt wypadowy w podróży mojej Matki do Warszawy.

**Zamieszkaliśmy na stacji u p. Lucyny Kozłowskiej. Wakacje 1915 r. miałem znów zepsute, tym razem nauką łaciny**, która w Kielcach była prowadzona od III klasy (mówię oczywiście wszędzie o klasach szkoły średniej siedmio lub ośmioklasowej, odpowiadającej dzisiejszym klasom). „Handlówki” były szkołami siedmioklasowymi, gimnazja – ośmioklasowymi. W Kielcach rozpocząłem siedmioklasową szkołę handlową, nosząc na zielonym otoku czapki znak Merkurego – a ukończyłem ośmioklasowe gimnazjum matematyczno przyrodnicze im. Jana Śniadeckiego. Mój nauczyciel łaciny w lecie 1915 r., Janek Sikorski – uczeń VI klasy kieleckiej szkoły, był pobłażliwy. Egzamin wypadł opłakanie, ale zostałem przyjęty. Jedyne to raz w czasie mojej nauki w szkole musiałem wziąć pomoc (korepetycję) w II i III kwartale IV klasy – właśnie z łaciny (na pierwszy kwartał miałem bitą dwóję). Mój korepetytor (nazywał się Janiec), był uczeń gimnazjum rządowego (rosyjskiego), gdzie łacina obowiązywała od I klasy, był doskonałym nauczycielem. Jemu zawdzięczam, że gramatyka i składnia łacińska była jedyną, którą naprawdę i trwale opanowałem. Łaciny uczyłem się w szkole tylko do VI klasy. Potem, w gimnazjum typu matematyczno-przyrodniczego, została skasowana. W rezultacie dobrze wspominam łacinę, jakkolwiek skończyłem na Cezarze i Korneliuszu Neposie, nie zasmakowawszy poetów.

**W Kielcach wznowiłem pracę w harcerstwie, prędko awansując.**

*Uzupełnienie córki Marty Bukowskiej-Korol*

*Swoje wspomnienia z młodości Ojciec zakończył na pierwszym roku szkoły handlowej. Z Jego opowiadań pamiętam, że **później mieszkał na stacji u Pani Laskowskiej, która miała 2 synów: Konstantego (Kosia) i Zygmunta. Kosio był rówieśnikiem i kolegą z klasy Ojca. Będąc w VIII klasie gimnazjum Ojciec został poproszony, razem z kolegą Wacławem Tarnowskim, o poprowadzenie lekcji matematyki w żeńskim gimnazjum im. Św. Kingi, w którym zachorował matematyk w ciągu roku szkolnego.***

*Szkołę – państwowe gimnazjum przyrodniczo-matematyczne im. Jana Śniadeckiego – Jerzy Bukowski ukończył po powrocie z wojny 1920 r. **Maturę uzyskał 5 czerwca 1921 r.***

## **2. Fragment wywiadu z Jerzym Bukowskim z książki Zofii Szlachty „Mistrz”<sup>9</sup>**

Kiedy byłem w szóstej klasie gimnazjum kieleckiego (1919 r.), po śmierci dyrektora przyjechał na to stanowisko znany w Warszawie dyrektor gimnazjum stowarzyszenia kupców i przywiózł ze sobą dwu nauczycieli: matematyka, jak on sam, i polonistę. Stanowiło to pewną odmianę, bo szkoła, choć miała dobrą opinię, była nieco zaściankowa. Moja szkoła wyrosła z dawnej handlówki, a ten typ szkoły różnił się od innych w zaborze rosyjskim przede wszystkim tym, że miał polski język wykładowy. Po rosyjsku uczyliśmy się tylko rosyjskiego, historii i geografii. Toteż myśmy się nosili wysoko w stosunku do humanistycznego gimnazjum im. Stefana Żeromskiego, które było założone na gruncie rosyjskiej szkoły, i kadra nauczycielska zaczęła się tam formować dopiero w pierwszych latach niepodległości. Mieliśmy za sobą tradycję walki o polską szkołę, strajku szkolnego 1905 roku i – dawnych nauczycieli. W 1918 roku przekształcono szkołę w gimnazjum matematyczno-przyrodnicze, nadano imię Jana Śniadeckiego, by podkreślić matematyczny charakter.

W takim momencie **przyjeżdża do mojej zasłużonej szkoły pan Rajmund Bożydar Małczyński, polonista.** Małczyński był wolnomyślicielem i liberałem, jak na tamte czasy. Nam, wychowanym w tradycyjnych normach etyki religijnej i mieszczańskiej, zaczął wykładać filozofię, logikę, podstawy etyki świeckiej. Mieliśmy po szesnaście lat i szukaliśmy

---

<sup>9</sup> Wywiad udzielony w 1981 r.

swojego miejsca w świecie. A świat był nowy, jakby trudniejszy, bo w rok po wojnie tworzyła się Polska z trudem i myśmy to odczuwali. **Pytaliśmy: Jak żyć uczciwie, jak wybierać. A on odpowiadał: Będziecie mieli uczciwe życie, jeśli potrafcie postępować zgodnie z własnym przekonaniem.** A o resztę nie martwcie się.

Zdanie mojego nauczyciela, choć wtedy niezupełnie pojęte, wywarło na mnie wielkie wrażenie. Mogę powiedzieć, że to ono mnie ukształtowało. Choć właściwie nie było pierwsze, bo wcześniej znałem na pamięć słowa wypowiedane w domu. W moim domu mieszkał jeszcze dziadek<sup>10</sup> – powstaniec z 1963 roku i w nim, i poprzez niego żyły tradycje wszystkich naszych ruchów niepodległościowych. Mieszkaliśmy w pobliżu Zagłębia Dąbrowskiego. Pamiętam, jak w 1905 roku zbierano składki „na partię” – tak się to wtedy nazywało. To była pierwsza lekcja, patriotyzm wyniesiony z domu, z dzieciństwa. Drugą była właśnie lekcja wierności sobie.

Rajmund Bożydar Małczyński wykładał nam także historię. Za moich czasów uczono historii Polski i powszechnej oddzielnie, z podręcznika Wincentego Zakrzewskiego. Pamiętam podręcznik Zakrzewskiego: opis wojen i królów, gdzie wszystko było posegregowane, ale nic nie wiązało się ze sobą. Toteż historia wydawała mi się nauką martwą, niepożyteczną. A mój nauczyciel postępował inaczej: pokazywał historię narodu na tle historii innych krajów, uczył dziejów jako łańcucha przyczynowo-skutkowego. Mówiąc o rozbiorach zaczynał od opisu naszej państwowości w czasach, gdy Polska była drugim mocarstwem w Europie, zresztą mocarstwem na przedziwnie chwiejnych nogach. Pokazywał, jak to państwo działało oparte na wolności szlacheckiej w otoczeniu silnych monarchii absolutnych i jak z powodu owej odmienności ustrojowej nie mogło się ostać. Małczyński uczył, co jest przyczyną zjawiska, a więc i co musi nastąpić po nim. Jak od siły dochodzi się do przepychu, od przepychu do klęski, od klęski do rozpadu. Tak ułożona historia objawiała mi się jako coś realnego, logicznie wynikającego z życia. Zbliżyłem się do rodzinnych wspomnień, pamięci dzieciństwa, opowiadań dziadka. Małczyński mówił: Jeśli historia nauczy cię przewidywać, to nie dasz się zaskoczyć losowi. Tylko pamiętaj: rozumiej. Bądź sobą, ale sobą mądrym.

Lekcja odżyła we wrześniu 1939 roku, kiedy w Lublinie wsiadałem do swojego fabrycznego samochodu. Koniec wojny był już oczywisty, już miałem obraz naszej klęski dość wyraźny. Władze lotnicze zdecydowały, że trzeba wyjeżdżać z kraju. Wtedy

---

<sup>10</sup> Ojciec matki Józef Ryszkiewicz.

przypomniałem sobie naszą historię i pomyślałem wbrew sensowi, że nie pojedę. Za nic. Przyszły mi na myśl dzieje naszych emigracji – i tej po 1831 roku, i tej po 1863 r. Smutek tamtych wygnań i prawidłowość, że po wszystkich zrywach wolnościowych nasza inteligencja wychodziła z kraju i pozostawiała naród ogołocony z tego elementu, który powinien dla niej myśleć i pracować rozumnie. Pomyślałem też: Dobrze, ja wyjadę i znajdę sobie jakieś miejsce pod słońcem. I zawiodę zaufanie, zostawię ludzi, z którymi pracowałem, którzy mi ufali. Bo związek przedwojennych inżynierów z klasą robotniczą był silny. Nie pojechałem. A w kilka dni później, też w Lublinie, na jakiejś ścieżeczce spotkałem kolegę i on mi mówi: To już koniec, tu nie ma nic do roboty, trzeba jechać za granicę i tam pracować. Może i racja – myślę – może tam znajdę możliwość skuteczniejszego działania przeciw wrogowi? Ale znów ta niepodległa Polska okresu przedwojennego ma się okazać hotelem, do którego przyjechaliśmy, a sezon minął i opuszczamy ten azyl? Przecież ja rosłem razem z tą Polską, która upadła, przecież na moich oczach dokonała się wielka i piękna rzecz: patrzyłem, jak wyrastała świadomość wspólnoty narodowej. A jeszcze pamiętałem czas sprzed pierwszej wojny światowej spędzony na pograniczu Małopolski i Kongresówki, kiedy chłopcy mówili o Rosjanach „nasi”, bo wiedzieli, że uwłaszczenie przyszło z rąk Aleksandra II. Przechowywali krzyże pamiątkowe odlewane hurtem z żeliwa „ku chwale cara – oswobodziciela”. Tych dwadzieścia lat spełniło przecież cud sklejenia Polski z trzech różnych narodów rozbiorowych i jednocześnie awansowało ogół ludzi mówiących po polsku do godności nowoczesnego społeczeństwa Polaków. I ja miałbym wyjechać, pogodzić się z nowym rozpadem? Nie mogłem, nie mogłem się rozstać, postąpić wbrew przekonaniu. Wróciłem do Warszawy. Czy słusznie? Wiem tylko, że był to jedyny możliwy wybór.

**Czemu przy takich poglądach na świat nie wybrałem humanistyki.** Że przy moich zainteresowaniach byłoby to naturalniejsze niż zostać inżynierem? Może. Ale **ja zawsze byłem dwoisty. Chciałem widzieć budowanie, konstrukcję, patrzeć, jak mój pomysł przekształca się w coś realnego, jak stają się z myśli rzeczy. To zdecydowało.** A pasja do historii i pasja do książek przetrwała, jest we mnie do dziś. Jak ważna jest w moim życiu! I wykształcenie inżynierskie w niczym jej nie zaszkodziło. My, inżynierowie przedwojenni, mieliśmy ogromną ambicję być nie gorszymi humanistami niż „zawodowi” humaniści. Tępy inżynier nie liczył się towarzysko, nie miał o czym rozmawiać z wymarzoną dziewczyną, nie przyjmowałiby go w ciekawym środowisku. Uzupełnialiśmy wiedzę ogólną po to, żeby konkurować z humanistami. Oni mieli obowiązek wiedzieć, myśmy musieli wiedzę zdobywać sami. Dla nas sztuka była przygodą, niecodzienną atrakcją. Dlatego życie

kulturalne studentów politechniki było może bardziej ożywione niż życie uniwersyteckie. Że w tej chwili jest inaczej? Dlaczego tak jest? Oczywiście, młodzi mniej wiedzą, bo nie dostali solidnego gimnazjalnego przygotowania. Mniej wychodzą w świat, bo nie ma żywej atmosfery kulturalnej wokół nich. Jeśli im się da współczesną interesującą powieść, włoży do ręki numer pasjonującej gazety literackiej, zobaczymy, czy nie będą zaciekawieni. A gdyby zrobić dobry użytek z wielkiego bloku godzin poświęconych na podstawy nauk politycznych, ekonomii, socjologii, tak żeby te przedmioty zaczęły żyć, a nie były jak dotąd dojmującą nudą, niepotrzebnym balastem, stratą czasu. Potrzebny byłby dobry nauczyciel i pozwolenie studentom na wszelkie dyskusje, na śmiałe wypowiedzi. I żeby się nie bać pytań. Ale ja, stary człowiek doszedłem już dawno do wniosku, że żadnych pytań nie wolno się bać. Ucieczka nigdy się nie opłaca. Więc może byłoby to lepsze niż urządzenie tasiemcowych i bezpłodnych dyskusji o humanizacji techniki?

### **3. Służba wojskowa**

W zyciorysie z 1938 r. Jerzy Bukowski pisze:

„W czasie pobytu w szkole dwukrotnie pełniłem ochotniczą służbę wojskową: w listopadzie i grudniu w 1918 r. w zmobilizowanych szkolnych oddziałach POW, następnie w roku 1920 początkowo na Śląsku Cieszyńskim, następnie od lipca na froncie północnym, wreszcie od września tego roku do końca wojny na froncie południowym. W końcu listopada wróciłem do gimnazjum, które skończyłem w roku 1921”.

- w rozdziale „Szosa lubelska” „Zapisków pamiętnikarskich”, zawierających opis ewakuacji we wrześniu 1939 r. i nawiązanie do wspomnienia z 1920 r. czytamy:

„Na podwórzu piękne drzewo śliwkowe. Wychodzę, aby zerwać garść węgierek. Znany świst zapędza mnie do bramy. Po chwili wybuch w rogu podwórka. Scena utkwiała mi w pamięci przypominając scenę z września lub końca sierpnia 1920 r., gdzie leżeliśmy rozrzucony tyralierą w młodym sadzie śliwkowym w pobliżu drogi na Łomżę, gdzie też kusily dojrzewające węgierki, ale nie można było się podnieść nie wywołując serii KM z przeciwnej strony. Stąd krok do uogólnienia: nie powinienem zbierać śliwek w czasie wojny. Takie to głupie myśli w najczarniejszych dniach życia”.

- w biografii Jerzego Bukowskiego w Słowniku Biograficznym Techników Polskich (zeszyt 6) czytamy:

„W XI-XII 1918 ochotniczo służył w szkolnym oddziale wartowniczym.

Wiosną 1920 wraz z drużyną harcerską wziął udział w obronie praw polskiej ludności na Śląsku Cieszyńskim. Jako uczeń w 1920 r. wstąpił ochotniczo do 2 pułku piechoty i w VIII-X 1920 brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w walkach na froncie 33 pułku piechoty”.

- w pamiętniku brata stryjecznego Jerzego Bukowskiego, Tadeusza Bukowskiego, („Z mroków pamięci”) na s. 7 czytamy:

„W chwili załamania frontu polskiego w lecie 1920 r. zaczęło się formowanie ochotniczych oddziałów pomocniczych. Starszy o 2 lata Jerzy wymknął się pierwszy z grupą przyjaciół harcerzy”.

- z opowiadań Ojca pamiętam fragment o tym, jak młodzi chłopcy początkowo mieli opory przy strzelaniu do ludzi. Dopiero, kiedy w jakiejś miejscowości, z której wyparli bolszewików, zobaczyli okrutnie pomordowanych naszych żołnierzy, opory znikły.

*Niestety nie zapamiętałam więcej szczegółów, z wyjątkiem nazw miejscowości: Łomża, Ostrołęka.*

(córka Marta Bukowska-Korol)

## **Nota porządkowa – Jerzy Bukowski (dotyczy tzw. „Wstawki II”)**

**16.02.1974 r.**

*Tak rozwlekłego chronologicznie przeglądu mojego życia nie zdołałbym bez znacznej zwłoki w zamierzonym układzie problemowym moich zapisków zrealizować. Postanowiłem w ciągu 10 dni jakie pozostały mi w Świdrze, ująć kalendarium mojego życia skrótowo. Wiem, że nie wybrałem najlepszego uporządkowania prowadzenia moich zapisków pamiętnikarskich, ale jak wskazują kolejne daty w moich „zeszytach” nie bardzo mogłem i mogę ufać, że doprowadzę je do składnego końca. Przyszły czytelnik może wychwyci pewne sprzeczności, głównie w chronologii. Bo jeśli chodzi o istotę rzeczy postanowiłem sobie pisać „prawdę i tylko prawdę” choć nie zawsze może „całą” prawdę. Zresztą cóż jest prawdą w ludzkich słowach: tylko osobiste odczytanie faktów. Chodzi o to, żeby to osobiste odczytanie faktów oddać wiernie. A przecież tak rzadko znamy wszystkie faktom towarzyszące okoliczności, aby nie zawahać się przed odkryciem „całej” subiektywnej prawdy.*

## II. DANE ŻYCIORYSOWE W UKŁADZIE CHRONOLOGICZNYM

### Komentarz redakcyjny Marty Bukowskiej-Korol

*Podstawą opracowania rozdziału są:*

1. „Wstawka III” do Zapisków pamiętnikarskich Jerzego Bukowskiego zatytułowana „Ważniejsze daty i fakty z życia w układzie chronologicznym” pisana w lutym 1974 r. z krótkim dopiskiem z 01.01.1975.
2. Odpowiedź Jerzego Bukowskiego na ankietę Redakcji Varsavianów PWN z sierpnia 1978 r.

*Oba teksty zawierają w niektórych punktach oprócz dat i faktów obszernie komentarze autora. Stopień szczegółowości opisu przez Jerzego Bukowskiego poszczególnych jego zaangażowań jest bardzo różny. Przy opracowaniu rozdziału przyjęto za podstawowy tekst „Wstawki III” uzupełniając go fragmentami ankiety Varsavianów. Jedyne końcowa część, dotycząca NOT, bazuje odwrotnie na ankiecie, z uzupełnieniami ze „Wstawki III”. Ten system opracowania powoduje miejscami brak płynności tekstu. Przyjęto go jednak w celu najpełniejszego przekazania myśli autora. Rozdział ten nie stanowi przejrzystego biogramu, raczej może być materiałem źródłowym dla historyka lub biografy.*

*Niektóre wydarzenia ujęte w rozdz. II są powtórnie opisane w rozdz. III „Politechnika” i IV „Fabryka Śmigiel”.*

*Główne zaangażowanie Jerzego Bukowskiego w okresie 1945-1973 r. (zob. Aneks I)*

### 1. Ważniejsze daty i fakty z życia

***Luty 1974 r., sierpień 1978 r.***

**Urodziłem się 23 listopada 1902 r.** w miejscowości Bugaj, pow. Pińczów (kieleckie). Gimnazjum przyrodniczo-matematyczne im. Jana Śniadeckiego w Kielcach ukończyłem w r. 1921.

**W harcerstwie** byłem czynny od r. 1913 do r. 1921.

**W wojsku** służyłem 2 razy: kilka tygodni w r. 1918 i kilka miesięcy w r. 1920.



**Studia wyższe** odbyłem na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej (Oddział Lotniczy) w latach 1921-1928 (dyplom 1930 r.).

**Asystenturę przy Katedrze Aerodynamiki** u prof. Czesława Witoszyńskiego, jako zastępca asystenta objąłem 1 października 1925 r.

Od 1928 r. do 30.09.1935 r. pracowałem w **Instytucie Aerodynamicznym** na etacie instytutowym<sup>11</sup>. Pracę w gmachu IA rozpoczęliśmy jesienią 1926 roku. Byłem zajęty głównie przy projektowaniu i uruchamianiu nowych urządzeń laboratoryjnych.

**Geometria wykreślna** była w latach 1928-1935 moim dodatkowym zajęciem (1928-1930 asystent, potem starszy asystent).

**Projektowanie śmigieł** zajmuje mnie stopniowo coraz bardziej od 1931 r. Przedtem projektowałem wentylatory do tuneli. Równocześnie buduję urządzenie do badania aerodynamicznego śmigieł w dużym tunelu IA i realizuję serię pomiarów.

**Książkę pt. „Technika laboratoryjna pomiarów aerodynamicznych”** napisałem w r. 1932. Wydana została przez IA w 1933 r.

**Nagrodę im. Konstantego Rudzkiego** z Kasy im. Mianowskiego w wysokości 470 zł za tę książkę otrzymałem w 1936 r.

**Rozbudowa IA** w latach 1934 (budynek prostopadły do al. Niepodległości) i 1935 (nadbudowa III piętra nad pierwszym gmachem IA) stanowi końcowy etap moich prac jako etatowego pracownika Instytutu.

**Fabryka Śmigieł, W. Szomański i Sp.**, z którą współpracowałem od kilku lat angażuje mnie (nie bez nacisku władz lotniczych) jako konstruktora i kierownika technicznego od 1 października 1935 r. Likwiduję moje służbowe stosunki z Politechniką. Z IA współpracuję „honorowo”. Po śmierci prof. Stanisława Garlickiego (1935 r.) nie czuję się związany obowiązkami względem Katedry Geometrii Wykreślnej.

**Wykłady projektowania śmigieł** na propozycję prof. Gustawa Mokrzyckiego (jako nieobowiązkowe) – prowadzę dla studentów Oddziału Lotniczego w latach 1936/1937, 1938/1939 (2 godziny tygodniowo, 1 semestr). **Równocześnie wykładam aerodynamikę (pełny kurs) w Grupie Technicznej Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Warszawie.**

---

<sup>11</sup> Jako konstruktor, a od 1930 r. także kierownik Działu Śmigłowego.

**Podręcznik – skrypt drukowany „Projekt Śmigła”** w oparciu o notatki studentów Wojciecha Dostatniego i Jerzego Zbrozka wydają w serii podobnych wydawnictw Katedry Budowy Płatowców i Mechaniki Lotu (prof. G. A. Mokrzycki) w r. 1936.

**Zeszyt VII „Prac Instytutu Aerodynamicznego przy Politechnice w Warszawie” (wydawanych pod kierunkiem prof. C. Witoszyńskiego) Instalacja próbna do badania modeli śmigieł**, pierwsze wyniki wykonywanych pomiarów zawierający opis urządzenia pomiarowego śmigieł i wyniki moich pierwszych doświadczeń jest przygotowany do druku w r. 1938. Wybuch wojny zastaje to wydawnictwo na maszynie drukarskiej. Zachowuje się tylko kilka egzemplarzy, odbitek rewizyjnych (tekst polski i angielski).

**Habilitacja** moja i Stanisława Rogalskiego z RWD – obaj nie mamy doktoratów – przeprowadzona jest w czerwcu 1938 r. na wniosek Rady Wydziału Mechanicznego (inicjatywa Mokrzyckiego i Witoszyńskiego) na zasadzie przepisu ustawy przewidującego taki tryb postępowania w przypadku wyróżniających się osiągnięć zawodowo-twórczych<sup>12</sup>.

**W 1938 r. zostaję odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi** za udział w przygotowaniu maszyn polskich do „Challenge’ów” (1934, 1935 – zawody samolotów sportowych uwieńczone sukcesem polskim).

W Fabryce Śmigieł mam istotnie spore osiągnięcia w dziedzinie konstrukcji śmigieł. Gromadzę paru kończących studentów (J. Idzikowski, Jerzy Płoszajski, Ludwik Moczarski i in.) stanowiących świetny zespół<sup>13</sup>. Rozwija się produkcja nart samolotowych (główny inicjator inż. B. Sznycer). Penetrujemy z powodzeniem kraje skandynawskie. W 1939 r. (przed wybuchem wojny) inż. Sznycer wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych dla zawarcia interesującej umowy naszej firmy z zakładami Curtissa, przygotowującymi sprzęt dla podbiegunowych lotów komandora Richarda Byrda.

**Wybuch wojny 1.09.1939 r.** uruchamia wszystkie, jakże śmieszne już w najbliższych godzinach i dniach, zalecenia „Mob” w pracy fabryki.

---

<sup>12</sup> Zob. aneks 4.

<sup>13</sup> Wymienieni trzej studenci Politechniki w ramach zajęć zaprojektowali lekki samolot o bardzo dobrych właściwościach aerodynamicznych. Wymagania projektu określił prof. Mokrzycki. Samolot miał chowane podwozie, co było wówczas nowością w konstrukcjach lotniczych. W odróżnieniu od typowych projektów studenckich ten projekt zakończył się wybudowaniem samolotu w Harcerskich Warsztatach Lotniczych na Polu Mokotowskim i oblataniem go w roku 1937. Samolot spełniał założone wymagania. Nazwano go M.I.P. Smyk – od inicjałów projektantów.

**Ewakuacja** zarządzona 5 września w kierunku na Lublin. Ograniczone środki transportowe (2 nieduże ciężarówki, 9 konnych wozów, 2 samochody osobowe). Tylko najwyższej kwalifikowany personel. Narzędzia i urządzenia specjalne. Gotowe śmigła i półfabrykaty dla LWS. Wypłata 3 miesięcznych odpraw całemu personelowi. 6 września kolumna wozów + 30 ludzi wyrusza do Lublina. W Lublinie (7 września) ani śladu zapowiedzianej obecności ekspozytury DWL (Dowództwa Wojsk Lotniczych). Brak śmigieł dla pościgówek. 8 września jadę do Lwowa. Znajduję DWL na polu po cywilnemu. Wybierają się do Constanzy („po odbiór sprzętu”). Biorę przepustkę do Warszawy na wywóz remontowanych śmigieł do P.7 i P.11. Wracam do Lublina. Tego lub następnego dnia bombardowanie. Wyprawiam kolumnę razem z moim służbowym chevroletem (8 osób) do Krzemieńca. Na motocyklu z Moczarskim wracam do Warszawy (trudna podróż).

**Warszawa w przeddzień oblężenia.** 12 września już nie możemy wyjechać wielką ciężarówką naładowaną śmigłami. 13 września w Dowództwie Obrony (Nowy Świat) zawiadamiają mnie o definitywnym zamknięciu miasta przez nieprzyjaciela. Lokujemy się z Moczarskim w moim opustoszałym mieszkaniu (Mianowskiego 12).

**Oblężenie** przebywamy z Moczarskim głównie na terenie IA oraz Politechniki. Profesor Czesław Witoszyński przeniósł się na Powiśle. W IA 3 czy 4 ludzi (Wysocki, stolarz Młynarczyk, stary ogrodnik Albiński). Cała załoga „karnie” zareagowała na wezwanie opuszczenia miasta przez mężczyzn. Główna robota – obrona przed bombami zapalającymi. Robimy to skutecznie. Wybroniliśmy Gmach Mechaniki i dom mieszkalny naprzeciw IA. Nie udało się zapobiec spłonięciu hali wytrzymałości materiałów i obróbki metali. Jedyne na placu portier Wędyński bezradnie szukał drabiny.

**Kapitulacja** – przygnębiające dni. Opuszczam teren IA. Poszukiwanie bezskuteczne rodziny. W końcu października znów w Warszawie. Na terenie fabryki bałagan po obozie jeńców. Po krótkim przeglądzie jakiejś komisji – Niemcy nie interesują się obiektem. Dowiaduję się pośrednią drogą, że moja Żona z Córką są w Jazłowcu (miejscowość w dawnej Galicji Wschodniej niedaleko Buczacza), na terenie okupowanym przez ZSRR. Listopad na Pawiaku – zatrzymany w kotle. Szczęśliwie wychodzę. Grudzień – wiadomość od Żony z Jazłowca. Donoszę, że jestem w Warszawie. Żona z Córką wracają przez „zieloną” (raczej białą) granicę w styczniu 1940 r. W grudniu robotnicy proszą żeby częściowo uruchomić fabrykę.

**Okupacja** – cały czas w Warszawie. Na Politechnice pełnię krótko jawnie, potem tak jak wszyscy tajnie, opiekę nad Katedrą Budowy Płatowców i Mechaniki Lotu

prof. Mokrzyckiego. W fabryce (Szomańscy i część moich młodych oraz majster Wierzbicki we Francji) zostaje dyr. finansowy Eugeniusz Mączyński i ja. Robót stolarskich w mieście dość. Działamy pod nazwą „Holz u Metallerzeugnisse Fabrik”. Stopniowo napływają zamówienia niemieckie. Fabrykujemy z drzewa śmigłowego narty sportowe i posadzkę. Potem sprzęt barakowy, potem koła do wozów.

**Propellerwerk-Szomański**, pod tą nazwą zaczyna działać w r. 1941 jeden z europejskich oddziałów firmy „Hugo Heine – Propellerwerk Berlin”. Nadzorcą produkcji – komisarzem z ramienia tej firmy – jest stary śmiglarz Wilhelm Wolff. Zakład jest traktowany wybitnie rezerwowo w ramach tzw. „Ringów” do przejmowania produkcji w przypadku zbombardowania głównych jednostek. Personel zostaje stopniowo przeszkolony w technologii firmy Heine. Ludzie woleli oczywiście to, niż wyjazd do Niemiec. W ogóle wtedy był ogromny nacisk na uzyskanie oficjalnego zatrudnienia z Ausweisem. Zresztą liczba Ausweisów przekraczała bardzo liczbę rzeczywiście zatrudnionych. Otrzymywała je również pewna liczba osób zupełnie mi nieznanych na odpowiedzialność darzonych przeze mnie zaufaniem przedstawicieli tajnych organizacji czynnych na terenie fabryki. Trzeba to było robić z ostrożnością (np. czynności wyjazdowe związane z zakupem materiałów). Wyjątkowa to była sytuacja. Na niemieckiej pieczęcie firmowej nazywaliśmy się „Holz u. Metallerzeugnisse Fabrik W. Szomański u. Co A.G.”. Około 3/4 zatrudnienia i ok. 2/3 obrotów mieliśmy w 1942/1943 poza produkcją śmigłową. W stosunkach z fabryką Heine i władzami wojskowymi niemieckimi byliśmy „Propellerwerk Szomański A.G.”. Należeliśmy do kategorii „A” Betrieb, tzn. ważnych dla gospodarki, a nie „W” Wehr Betrieb co oznaczało zakład o szczególnym znaczeniu dla wojska. Zakład „W” musiał mieć niemieckie kierownictwo. Dopiero w 1944 r. zamieniono nas na zakład „W” i wyznaczono niemieckiego komisarza, którego widziałem na terenie fabryki może ze 2 razy. Uważał, że kontroler produkcji śmigieł p. Wolff zupełnie wystarczy. Ja, formalnie zostałem zwolniony z bezpośredniej odpowiedzialności za Betriebsführung i tak to jakoś szło. Rozprzężenie postępowało. Absencja w pracy sięgała 50% i trzeba było formalnie uregulować kolejność zwolnień (nieodnotowywanych). Każdemu chodziło tylko o deputat i Ausweis, co miesiąc stemplowany.

Na terenie fabryki, którą kierowałem, koordynowałem z powodzeniem na gruncie osobistego zaufania jakim mnie darzono, działalność grupy, która później stanowiła komórkę PPR i grupy grawitującej w stronę przyszłego AK, działającą pod pokrywką fabrycznej straży ogniowej. Temu w dużej mierze należy przypisać, że na naszym terenie nie było wpadek

(z wyjątkiem aresztowania i stracenia dwu urzędników, byłych funkcjonariuszy polskiej administracji państwowej na terenach przydzielonych do Rzeszy, zdekonspirowanych zresztą i zaaresztowanych poza fabryką).

**Powstanie** zastaje mnie w fabryce na Marymoncie. Tego dnia rano zabrałem z domu małą walizeczkę z najniezbędniejszymi drobiazgami. Moja rodzina była poza Warszawą. Nigdy już nie wróciłem do mojego mieszkania.

Na terenie fabryki stacjonowała niemiecka kompania pionierów (saperów). Druga – w sąsiedniej fabryce (tzw. Blaszanca), będącej pod kierownictwem niemieckim. Trzecia kompania tego batalionu, należącego do zaplecza frontu przebiegającego koło Jabłonny – Choszczówki była rozlokowana w domach na Marymoncie. Planowane uderzenie powstańcze w sile jednego plutonu obliczone było na rozbrojenie Werkschutzu w Blaszanca. W tych warunkach, łącznie z AWF, zostaliśmy od razu poza obszarem powstania – w strefie przyfrontowej. Przybyłych na zgrupowanie powstańców udało się jakoś wyratować jako amatorów wędkarstwa przybyłych nad Wisłę.

**Ewakuacja ul. Elbląskiej** – gdzie położony był przy bocznicy kolejowej pracujący dla nas tartak. Jako obiekt „pożydowski”, tartak Kleina wziął w powiernictwo nasz p. W. Wolff. Tam to w r. 1943 zwieziono z Rygi skład nart lotniczych. Otrzymawszy polecenie ewakuacji materiałów i maszyn, zaczęliśmy od zapychania wagonów tymi nartami. Potem poszło drewno z tartaku i trochę maszyn – te ostatnie do innego zakładu „Ringu” Heinego: Fabryki Skrzyń w Rauschy „Kistenfabrik Rauscha O.L.” (O.L. – Ober Lausitz, Górne Łużyce) w miejscowości na linii Żary – Węgliniec, dziś Ruszów. Przeniosłem się na dobre z fabryki na ul. Elbląską. Po zakończonym załadunku materiałów i maszyn teren ul. Elbląskiej zapełnił się naszymi i nie naszymi ludźmi po spaleniu Marymontu i Powązek. Wyłapywaliśmy ich z kolumny prowadzonej do obozu w Pruszkowie. Ile się dało wysyłaliśmy (za spirytus) poza Warszawę wojskowymi ciężarówkami obsługującymi załadunek, które nocowały w bazie w Brwinowie. Powszechny był wtedy lęk przed obozem przejściowym w Pruszkowie. Warto powiedzieć, że w sąsiedztwie tartaku na Elbląskiej stacjonowały oddziały sławnej „SS Brygade Kamiński”. Załoga strażnicza tartaku liczyła 6 zastrachanych żołnierzy Wehrmachtu. 12 września 1944 r. dostałem frachty, a następnego dnia kryte wagony na wywiezienie ludzi. Z rodzinami zebrało się znacznie ponad 200 osób. Zaadresowałem frachty na „Kistenfabrik Rauscha” i niezaplombowanymi wagonami wyruszyliśmy w dniu natarcia na Pragę (pamiętam przejazd przez dworzec Gdański), a potem wstrząsający dla nas

obraz ludzi – była to chyba niedziela – siedzących na wolności w ogródkach przed domami w popołudniowym słońcu, tylko kilkanaście kilometrów od Warszawy. W nocy wielu samotnych mężczyzn wyskoczyło z pociągu. Nie mogłem tego zrobić, choć pokusa była wielka.

**Rauscha (obecnie Ruszów)** – przyjęła nas gotowym „obozikiem”, zresztą słabo ogrodzonym. Do pracy chodzili wszyscy z wyjątkiem dzieci do 14 lat. Byliśmy głównie zajęci porządkowaniem nadesłanych uprzednio przesyłek. Porządnie wysztaplowane deski jesionowe miały po roku wrócić do kraju. Nie opisuję szczegółów. Tamtejszego Betriebsführera poznałem kiedyś jako jednego z inżynierów przyjeżdżającego do nas od Heinego. W Rauschy nastąpiło spotkanie z moją Żoną i Córką. Zatrzymane w Krakowie z dokumentami warszawskimi wytłumaczyły się, że chcą jechać do mnie do Rauschy, do tamtejszego obozu pracy. Po sprawdzeniu pozwolono im wyjechać. Spotkałem je na stacji w Żarach (wówczas Sorau). Wszystkie te sprawy – a było ich wiele, i to ciekawych – wymagają obszernego studium. Myślę ogólnie o okresie okupacji w związku z fabryką. Pracowaliśmy po 11 godzin. Porcja chleba była jeszcze 200 g, a dzieci dostawały dziennie szklankę mleka. Ludność miejscowa, przeważnie Łużycanie, zastrachani, ale życzliwi. Całą grupą Polaków opiekowałem się oficjalnie w charakterze tłumacza, aż do końca wojny i powrotu do kraju, szczęśliwie bez żadnych strat (tj. śmierci lub skierowania do obozów koncentracyjnych, co było częstym zjawiskiem w obozach pracy).

**Niemes** – już po czeskiej stronie było kolejnym miejscem naszej wędrówki (po czesku Mimoń – w Sudetach po drugiej stronie Gór Izerskich). Front zatrzymał się chwilowo w rejonie Wrocławia. Widoczne wieczorem łuny pożarów. Ucieczka ludności i luźnych oddziałów wojska, m.in. „własowcy”. Pieszko w zimie (luty 1945 r.), ciągnąc prowizorycznie sklecone wózki, przebyliśmy 130 km wlokąc się w tempie 3 km na godzinę pod konwojem Volkssturmu. Moja Żona zachorowała na ostre zapalenie nerek. Córką była bardzo dzielna. W Niemes zakwaterowanie na terenie fabrycznym bardzo rozległym. Był to następny obiekt „Ringu” Heinego. Były tam jeszcze: obóz „OST” Arbeiter i jeńców alianckich (Brytyjczycy, w tym Cypryjczycy). Racje chleba 135 g. Lagerführer – stary złodziej. Kierownika (Betriebsführera), cieszącego się opinią bardzo surowego po 2 ostrych scysjach urobiłem. Chodziło m.in. o bicie i policzkowanie, czego nie wolno było robić, choć władza fabryczna miała prawo wysłać krnąbrnego robotnika do kacetu (obozu koncentracyjnego). Zapoznałem się dobrze z regulaminem pracy obcych robotników. Szczególnie, kiedy już wszystko się waliło (kwiecień), stosunki były zupełnie znośne.

**Wyzwolenie** nastąpiło 10 maja 1945 r. – wkroczyły oddziały pierwszej armii gwardyjskiej. Zaczęły się nowe kłopoty. Spirytus denaturowany, którego było dużo w magazynach, no i nasze kobiety. Poza warszawiakami była jeszcze duża grupa Polaków, chłopców i dziewcząt, ewakuowanych z Berlina jeszcze do Rauschy. Musieliśmy chować dziewczyny. Znów nieprzebrane bogactwo tematów – te pierwsze dni wolności.

**Powrót do kraju** – odbył się dwiema drogami. Ja proponowałem przez Czechy – Morawy, jako przez teren niezniszczony wojną. Dostałem od radzieckiego komendanta placu „rozpiskę” na 2 wagony kryte i zorganizowałem moją grupę. Druga duża grupa wybrała znaną drogę na Ruzów, zdobywając parę wozów i koni. Konie oczywiście prędko im zabrano, ale dotarli do Jaworu, gdzie stanowili grupę pionierską zasiedlenia miasta. Wielu pozostało tam do dziś. Nasza trasa początkowo okazała się dobra. Za spirytus denaturowy mieszany z kawą zbożową doczepiali kolejarze nasze towarówki nawet do osobowych pociągów. Kłopoty zaczęły się na zerwanych mostach na Morawach. Tam powstawały ogromne obozowiska podobnych do nas repatriantów („P” i „OST”). Zdecydowałem ruszyć z naszymi wózkami, które przezornie załadowaliśmy do wagonów, do najbliższej wsi. Przyjęto nas dobrze. Były akurat Zielone Świąta. Do najbliższej stacji kolejowej Slavice k. Morawskiej Ostrawy 9 km. Dostałem jeden duży wagon. Już na stojąco prawie dojechaliśmy do Zebrzydowic. Dalej wagon wypuściłem w stronę Warszawy, a sam udałem się do Olkusza, licząc na spotkanie z bratem i wiadomości o Rodzicach. Brata istotnie już zastałem w papierni Klucze pod Olkuszem, gdzie pracował przed wojną. Rodzice żyli przesiedleni do Stradowa ze dworu w Michałowicach (reformacja rolna).

**Kraków** – żeby coś postanowić na dalszą metę, wybrałem się, sprzedając 2 obozowe koce, do Krakowa. Tam dowiedziałem się, że prof. Antoni Józef Ponikowski<sup>14</sup> werbuje w AGH chętnych do pracy w tymczasowo zorganizowanej w Lublinie Politechnice Warszawskiej. Razem z prof. Karolem Taylorem przyjęliśmy propozycję i po 3000 zł zaliczki. W dodatku zastawiłem u znajomego spotkanego na plantach zegarek i tak rozpocząłem moją działalność w kraju po wyzwoleniu.

**Warszawa** – była etapem w drodze do Lublina. Umieściłem Córkę u znajomych na Ochocie w cudem niewypalonym mieszkaniu (podpalano dla oszczędności czy z pośpiechu co drugie piętro – ogień nie wszędzie się przeniósł) i zapisałem do szkoły. To był początek czerwca.

---

<sup>14</sup> Antoni Józef Ponikowski – profesor miernictwa Wydziału Inżynierii, był rektorem Politechniki Warszawskiej w latach 1921/1922, 1923/1924, 1945.

W bibliotece w Gmachu Mechaniki na Politechnice, tym ocalonym w 1939 r., wygrzebałem jakieś stare podręczniki i – co za szczęście – w kramie ulicznym znalazłem J. M. Thompsona „Fluids Mechanics” (dedykowaną Piotrowi Szymańskiemu). Sprzedawca bożył się że od „pani doktorowej” nabył ją legalnie. Mieszkania – nawet śladu. Parę stopionych kryształów w gruzach (ale były i ślady szabru).

**Lublin** – miał być miejscem mojej pracy od czerwca do września 1945 r. Właśnie zaczynał się letni semestr na Politechnice Warszawskiej z tymczasową siedzibą w Lublinie. Na Wydziale Elektro-Mechanicznym wykładałem jako docent i zastępca Profesora wybrane zagadnienia aerodynamiki i organizację pracy. Był wtedy zwyczaj jeżdżenia po kraju byłych studentów i zdawania zaległych pozycji, gdzie się dało. Nie wiem, dlaczego ta „organizacja pracy” miała duże powodzenie. Poziom moich słuchaczy aerodynamiki, jak i moich wykładów, podnosił udział Bronisława Żurakowskiego, który wywoływał ciekawe rozmowy. W Politechnice Warszawskiej, gdzie ukonstytuowały się nowe władze z prof. Edwardem Warchałowskim<sup>15</sup> jako rektorem, mówiło się tylko o uruchomieniu wydziałów: Architektury i Inżynierii Lądowej. Pierwotna propozycja zaangażowania do Politechniki Gdańskiej nie została ponowiona. Po likwidacji Lublina (wrzesień 1945 r.), skorzystałem z propozycji inż. I. Bracha, dyrektora technicznego w Centralnym Zarządzie Przemysłu Metalowego, przejścia (lub powrotu) do przemysłu.

**Specjalna Komisja Senacka**<sup>16</sup> powołana na moją prośbę w celu oceny zarzutów związanych z moją pracą w czasie okupacji, po przeprowadzeniu dochodzenia, uznała że zarzuty te nie mają rzeczowego uzasadnienia, Senat przyjął orzeczenie Komisji do zatwierdzającej wiadomości, jako **całkowitą rehabilitację w kwietniu 1946 r.**

**Zjednoczenie Przemysłu Motoryzacyjnego** (1.10.1945 – 30.09.1946) – 11 większych i mniejszych fabryk w Bielsku, Łodzi, Katowicach, Bydgoszczy i innych miejscowościach, potem biuro konstrukcyjne w Łodzi, montaż ciągników z UNRA, pompy strażackie, części samochodowe, no i główny produkt - rowery. Naczelnym był inż. Olgierd Bobrowski, kolega z Wydziału, z którym stykałem się w czasie okupacji (prowadził niektóre nasze roboty budowlane z inż. Wincentym Michniewiczem późniejszym profesorem PW, jako „uprawnionym”). Ponieważ nie było etatu dyrektora technicznego, pełniłem po prostu funkcję II dyrektora, podpisując zależnie od okoliczności, albo jako „administracyjny”, albo „w/z

---

<sup>15</sup> Edward Warchałowski – rektor Politechniki Warszawskiej w latach 1933/1934-1935/1936, 1945/1946-1951/1952.

<sup>16</sup> Zob. aneks 3.



naczelnym”. To był rok intensywnej i skutecznej pracy. Odbudowa Ursusa, decyzja wszczęcia i przygotowania produkcji ciągnika „Ursus” – (Lanz Bulldog), śmiała decyzja własnej konstrukcji ciężarówki (Star) 3,5-4 t. W tych „bohaterskich” miesiącach pierwszych lat wyzwolenia wszystko szło w innym tempie. Zjednoczenie „zaśmierdło” po zjawieniu się zaleconego „inżyniera” Skalskiego, kreatury, która objęła po mnie funkcję, ale na szczęście prędko zakończyła karierę wyrokiem kryminalnym 10 lat (jeszcze prędzej – cudownie – znalazł się wolny za granicą).

**Politechnika Łódzka.** Na początku roku 1946 prof. Bogdan Stefanowski, rektor, organizator Politechniki Łódzkiej, zaproponował mi objęcie tam Katedry Budowy Płatowców i Mechaniki Lotu. Zachęcał mnie również prof. Czesław Witoszyński, ocalony w masakrze dokonanej na mężczyznach i chłopcach ukrytych w piwnicy gmachu IA. Po wdarciu się tam Niemców w czasie powstania, Profesor ocalał dzięki temu, że został w swoim gabinecie. Razem z zatrzymanymi w domu profesorskim, poprzez Pruszków dostał się do rodziny do Włoch, a potem razem z nią do Pabianic. Tam odwiedziłem Profesora pierwszy raz.

Wstrzymywałem decyzję z dwu względów: ta katedra pasowała dla Stasia Rogalskiego, o którym nie wiadomo było jeszcze, czy wróci do kraju, albo dla Franciszka Misztala. Po wyjaśnieniu sytuacji, zdecydowałem się na takie rozwiązanie: katedrę obejmę, ale jako zastępca Profesora, wykład budowy płatowców będzie prowadził inż. Tadeusz Sołtyk, a ja mechanikę lotu. Prof. B. Stefanowski nie bardzo był zadowolony z tego pozostawienia sobie przeze mnie wolnej ręki (nie chciałem brać nominacji na profesora nadzwyczajnego, co by mnie mocno związało z Politechniką Łódzką, a prof. Cz. Witoszyńskiemu obiecałem podjąć odbudowę Instytutu w Warszawie). W rezultacie zawiadomiłem moje władze przemysłowe, że w zjednoczeniu zostaję tylko przez rok, tj. do 30.09.1946, angażując się do Politechniki Łódzkiej. Wykład inauguracyjny w Łodzi miałem w kwietniu albo maju 1946 r. Wykładałem tam, dojeżdżając z Warszawy chyba przez 3 lata. Wkrótce po tych ustaleniach wezwał mnie ówczesny wiceminister przemysłu i handlu inż. Henryk Golański, proponując awans: objęcie dyrekcji naczelnej Centralnego Zarządu Przemysłu Drzewnego. Wyjaśniłem mu sytuację, a min. Golański opiekujący się już wówczas troskliwie Politechniką Łódzką, zgodził się z moją odmową.

**Politechnika Warszawska** – tymczasem, wbrew pierwotnym zamierzeniom, ruszyła w pełnym składzie wydziałów już w 1945/1946 r. z tym, że Wydział Mechaniczny, z opóźnieniem, uruchomił tylko I rok. Rektor Edward Warchałowski wobec zajmowania

przez prof. Cz. Witoszyńskiego Katedry Aerodynamiki w Łodzi, zaproponował mi opiekę nad tą katedrą na Wydziale Mechanicznym, co da mi tytuł zajmowania się odbudową Instytutu. Tak więc od 1.10.1946 r. prowadziłem w obu Politechnikach jako zastępca profesora: w Łodzi Katedrę Budowy Płatowców i Mechaniki Lotu, w Warszawie – Aerodynamiki. W 1948 r. wobec przewidywanego powrotu profesora Witoszyńskiego utworzono dla mnie Katedrę Hydro- i Aeromechaniki, na którą dostałem nominację jako profesor nadzwyczajny. Profesor Witoszyński zmarł we wrześniu 1948 r., ale mógł już przedtem stwierdzić, że obietnicy dotrzymałem. Pierwszy etap odbudowy i wyposażenia IA był dokonany. Podjąłem budowę gmachu zwanego dziś A3, frontem do al. Niepodległości. W roku 1949 przekazałem Katedrę w Łodzi docentowi T. Sołtykowi, a wykłady aerodynamiki w Łodzi objął mój pierwszy odziedziczony po prof. Witoszyńskim doktorant, inż. W. Ziemiński z Krakowa. Wkrótce studium lotnicze w Łodzi zostało zlikwidowane. Na wakującą po śmierci prof. Witoszyńskiego Katedrę Aerodynamiki w Warszawie, przy dużej niechęci rektora Warchałowskiego, zaproponowałem przedwojennego docenta IA, po wojnie profesora matematyki na Politechnice Śląskiej, dra Juliana Bondera.

**Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej** przez szczególnie silne rozproszenie jego profesorów (Łódź, Gdańsk, Kraków) i bałamutność pierwotnych decyzji, na początku r.1946/1947 był opóźniony w organizacji w stosunku do pozostałych Wydziałów Politechniki. Gdzie indziej szerzej już omówiłem tę historię Wydziału. Obecnie w skrótach, już wróć do własnej osoby. Na początku r. 1946/1947 dziekanem Wydziału był prof. Stanisław Płużański, który powrócił z Anglii. Z Łodzi powrócili prof. Bolesław Tołłoczko (dziekan czasu wojny) prof. Wacław Moszyński i prof. Witold Pogorzelski. Piątym w składzie tej szczupłej Rady Wydziału byłem ja, jako najmłodszy objąłem stanowisko sekretarza Rady. Składało to na mnie duże obowiązki w organizującym się na nowo Wydziale. Powoływanie nowych Katedr – konkursy, ankiety, na nowe i wolne przedwojenne Katedry, referaty w sprawie wybranych kandydatów do wniosków nominacyjnych – obok odbudowy Instytutu (starania o środki) i dojazdów do Łodzi absorbowało mnie bez reszty.

**Zespół Mechaniki – Sekcji Technicznej ówczesnej Rady Szkół Wyższych**, którego przewodnictwem objąłem w styczniu 1948 r. był pierwszym moim wejściem na pozauczelniane forum szkolnictwa wyższego (przewodniczącym Sekcji był Henryk Golański, który wkrótce po tym przeszedł również na stanowisko wiceministra oddzielonego od Ministerstwa Oświaty – Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i Nauki pod kierownictwem min. Adama Rapackiego). W tym czasie były na warsztacie plany studiów dwustopniowych, wprowadzonych

od 1 października 1948 r. Zespołowi temu miałem przewodniczyć przez kilkanaście lat, niezależnie od innych moich funkcji w przyszłej Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego.

**Dziekanat Wydziału Mechanicznego.** Po dwóch latach dziekanatu prof. Stanisława Płużańskiego, wybrany dziekanem zostaje prof. Witold Pogorzelski. Przy nim właściwie (od r. 1948/1949) wchodzę de facto w funkcje dziekańskie. Na lata 1950/1951 i 1951/1952 otrzymuję, zresztą z opóźnieniem, nominację na dziekana Wydziału. Jednak tylko jeszcze rok będę oficjalnym dziekanem naszego Wydziału.

**Połączenie Szkoły im. Wawelberga i Rotwanda z Politechniką Warszawską.** Pełnomocnictwo udzielone mi na początku maja 1951 r. przez ministra Adama Rapackiego do przeprowadzenia połączenia Szkoły Inżynierskiej im. Wawelberga i Rotwanda z Politechniką Warszawską było trudnym zadaniem. Rektor Edward Warchałowski dawno zabiegał o takie połączenie, rektor Ludwik Uzarowicz widział je niechętnie. Obaj rektorzy, łącznie z sekretarzami uczelnianych organizacji partyjnych, wchodzili w skład komisji, której przewodniczyłem. 1 października 1951 r. ruszyła nowa zjednoczona szkoła z 15 wydziałami, ok. 10 tysiącami studentów, obsadami nowych, połączonych i starych katedr, z ogłoszeniem niezbędnych aktów prawnych (te, nota bene spóźniły się w druku o kilkanaście dni).

**Nominacja na prorektora do spraw dydaktyki** przerwała moje dziekanowanie na Wydziale. Następnym dziekanem już Wydziału Mechanicznego Konstrukcyjnego został prof. I. Brach. Prorektorem do spraw nauki został mianowany prof. Ignacy Malecki. Tylko jeden rok 1951/1952 pozostawałem na stanowisku prorektora. Wobec dość dawnego upływu kadencji z wyboru (po raz wtóry od 1945 r.) prof. Warchałowskiego, po powrocie z urlopu **w sierpniu 1952 r. zastałem w biurku nominację na objęcie funkcji Rektora Politechniki Warszawskiej.** Wobec tego, że oddzielnie opisane są moje związki z PW i poszczególne etapy mojej pracy i okoliczności związane ze zmianami, wracam do zapisu kronikarskiego.

**Rada Główna Szkolnictwa Wyższego** powołana w końcu r. 1952, rozpoczyna swoją działalność. W 1953 r. **zostaję powołany na stanowisko przewodniczącego Sekcji Technicznej Rady**, którego obowiązki pełnię w ciągu dwu 3-letnich kadencji.

W wieloletniej działalności na terenie Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego na stanowisku przewodniczącego Sekcji Technicznej Rady za główne osiągnięcie uważam pracę nad uporządkowaniem planów studiów dla wszystkich kierunków tych studiów, prowadzone

przez odpowiednie fachowe zespoły programowe w ramach ogólnych ustaleń Sekcji i Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

**Tzw. Zespół Główny Politechniki Warszawskiej** pod moim przewodnictwem jako Rektora PW, już wcześniej ma za zadanie opracowanie **programu rozwoju szkoły jako uczelni obliczonej na 18 tys. studentów. Zadanie w terminie, tj. do lutego 1953 r., wykonano.** Milion m<sup>3</sup> potrzebnej kubatury był jednak szokujący. Sprawa utknęła. Problem do dziś pozostał otwarty.

Różne okoliczności sprawiły, że z dniem **31.12.1953 r. złożyłem rezygnację ze stanowiska rektora**, poświęcając się całkowicie, w zakresie szkolnictwa, pracy w Radzie Głównej. Prorektorami, kiedy opuszczałem rektorat Politechniki 31 grudnia 1953 r. byli: profesorowie Władysław Araszkiewicz<sup>17</sup>, Stanisław Król, Jerzy Mutermilch<sup>18</sup> i Witold Szymanowski. Już nigdy potem Politechnika Warszawska (przynajmniej do czasu, gdy piszę te słowa) nie miała tak dobrze (to na pewno za słabo powiedziane) dobranego kolektywu kierowniczego. Funkcję rektora, zgodnie z poleceniem ministerstwa (w piśmie przychylnym się do mojej prośby o zwolnienie) przejął zastępczo prof. Władysław Araszkiewicz, pełniąc obowiązki rektora przez pół roku. 1 lipca 1954 r. objął rektorat mianowany na to stanowisko dziekan Wydziału Budownictwa Przemysłowego prof. Aleksander Dyżewski<sup>19</sup>. Wracam do moich danych biograficznych.

W czasie rektoratu prof. Aleksandra Dyżewskiego prowadziłem **Komisję Naukowo-Dydaktyczną w Związku Nauczycielstwa Polskiego (ZNP).**

**Polanica, lipiec 1954 r.** – wielki sejm zespołów kierunkowych Sekcji Technicznej Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego pod moim przewodnictwem z udziałem dyr. J. Szymańskiego i jego ekipy z Departamentu Studiów Technicznych Ministerstwa (otwarty bodaj przez wiceministra Osmana Achmatowicza). Kompleksowe opracowanie planów studiów jednolitych 5 i 5,5-letnich, wprowadzanych od r. 1954/1955. Potem jeszcze (jesień 1954 r. lub raczej zima 1955 r.) „poprawki” w Rogowie. To była bardzo duża praca. Godna uwagi pomoc prof. Zbigniewa Brzoski w opracowaniu planów studiów kierunku Mechanika.

---

<sup>17</sup> Władysław Araszkiewicz, od 1954 r. profesor budowy lotnisk, był rektorem PW w latach 1956-1959.

<sup>18</sup> Jerzy Mutermilch, od 1946 r. profesor wytrzymałości materiałów, był prorektorem PW w latach 1952-1955.

<sup>19</sup> Aleksander Julian Dyżewski – rektor Politechniki Warszawskiej w latach 1954/1955-1956/1957.

**Polska Akademia Nauk** – pod tym tytułem cofnę się w czasie, uzupełniając pewne istotne pominięcia. W roku 1948 zostałem wybrany na członka nadzwyczajnego Wydz. VI Nauk Technicznych **Towarzystwa Naukowego Warszawskiego**, a w r. 1951 na członka zwyczajnego tegoż Towarzystwa. Nie docenia się działalności TNW właśnie w jego wkładzie w przygotowanie organizacyjne struktury PAN, wiążąc nadmiernie ideę PAN z I Kongresem Nauki Polskiej. TNW zostało zlikwidowane (praktycznie, w swoim materialnym stanie posiadania, m.in. Pałac Staszica i dawny majątek Kasy im. Mianowskiego, wchłonięte, razem z PAU w Krakowie przez PAN). Skład Komitetu Organizacyjnego PAN miał w praktyce istotny wpływ na pierwsze powołania do składu tej instytucji. W PAN od początku należałem do Komitetu Budowy Maszyn (przew. prof. B. Stefanowski) i brałem udział w pracach zespołu, który stał się zaczątkiem przyszłego Zakładu Mechaniki Cieczy i Gazów w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN. Najistotniej związałem się jednak z pracami powstałego w 1952 r. pod przewodnictwem prof. Z. Modzelewskiego **Komitetu Historii**. **Przez wiele lat wchodziłem w skład Prezydium tego Komitetu, jako zastępca przewodniczącego od 1954 r., a w latach 1963-1971 – po jego przemianowaniu na Komitet Historii Nauki i Techniki – byłem przewodniczącym Komitetu.** Z tego tytułu brałem udział w pracach Sekretariatu Wydz. I PAN (do 1968 r. Sekretarzem tego Wydziału był prof. Stefan Żółkiewski). Od 1971 r. pozostaję nadal w składzie Prezydium. W 1971 r. objąłem prezesurę Zarządu Głównego NOT.

Prace w dziedzinie historii nauki wprowadziły mnie na teren **Międzynarodowej Unii Historii i Filozofii Nauki**. **Od 1963 r. jestem przewodniczącym polskiej grupy narodowej Sekcji Historii Nauki tej Unii.** Udział w kilku międzynarodowych Kongresach Historii Nauki (odbywających się w cyklu 3-letnim) sprawił, że w trudnej dla nas sytuacji międzynarodowej na kolejnym Kongresie w Paryżu **w końcu sierpnia w roku 1968 zostałem po śmierci prof. A. Birkenmajera wybrany przewodniczącym Komitetu Kopernikowskiego tej Sekcji, Comité Nicolas Copernic**, powołanego 3 lata wcześniej na Kongresie w Warszawie i Krakowie dla przygotowania naukowych imprez obchodów 500 rocznicy urodzin wielkiego astronoma, przypadającej 19 lutego 1973 r.

W tymże samym roku (1968) zostałem członkiem Prezydium i Sekretariatu Krajowego **Komitetu Przygotowawczego Obchodów Rocznicy Kopernikowskiej powołanego przez OK FJN i przewodniczącym jego Sekcji Naukowo-Wydawniczej.** Przebieg obchodów tej rocznicy na wszystkich kontynentach był sowitym wynagrodzeniem włożonego przez nas trudu poczynań organizacyjnych, gruntując w świecie pozycję nie tylko naszych działań

w zakresie historii nauki, ale odgrywając doniosłą pozytywną rolę polityczną zbliżenia Polski do szerokiego świata. Sukcesem było rozwiązanie trudnych problemów związanych z próbami separatystycznego obchodzenia tej ważnej rocznicy przez Koło Polonii Amerykańskiej podległe wpływom niektórych nieprzejednanych działaczy Kongresu Polonii Amerykańskiej. W oparciu o osobiste kontakty z opowiadającymi się za współpracą z krajem wpływowymi przedstawicielami Polonii USA (dr A. Rytel, Kobaliński) udało się solidarnymi polsko-polonijnymi działaniami wesprzeć harmonijnie szeroko zakrojoną akcję obchodów 500-lecia urodzin Kopernika zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Kanadzie, gdzie również nieprzychylnie do współpracy z krajem grupy naszej emigracji miały liczący się głos. O udziale NOT, której w roku 1971 przewodniczyłem, w pomyślnym rozwiązaniu naszych kłopotów kopernikowskich północno-amerykańskich wspomnę oddzielnie niżej. W rezultacie Rok Kopernikowski przyczynił się do osłabienia „antykrajowych” czy „antyreżymowych” nastrojów w licznych warstwach i zgrupowaniach Polonii amerykańskiej, co już przekracza sukces kulturalny. Sukces światowy obchodów 500 rocznicy urodzin Wielkiego Uczzonego, który przerósł nasze największe oczekiwania, był w dużej mierze wynikiem inicjującego i koordynującego działania kilkunasto, a następnie dwudziestoparostoposobowego „Comité Nicolas Copernic”, w którym udało mi się zebrać do współpracy czołowych kopernikanistów wielu krajów i kontynentów (w tym liczących się w nauce przedstawicieli Niemiec Zachodnich). Z inicjatywy CNC nawiązana została w ostatnich latach przedrocznicowych współpraca komitetów narodowych UNESCO Francji, Włoch i Polski, co w niemałym stopniu przyczyniło się do powzięcia przez Zgromadzenie Ogólne UNESCO w r. 1972 znanej, tak dla polskiej kultury ważnej, jednomyślnej uchwały w sprawie obchodów rocznicy „Wielkiego Polskiego Astronoma” (por. m.in. *Studia Copernicana* t. XVIII, Ossolineum, 1977). Z tego czasu pochodzi szereg moich artykułów w periodykach krajowych i zagranicznych (m.in. artykuł wprowadzający do numeru poświęconego rocznicy kopernikowskiej „*Courrier de l’Unesco*”, miesięczniku ukazującym się w kilkunastu językach. Warszawa stanowiła centrum tego wielkiego światowego wydarzenia w historii nauki, jakim stały się obchody 500-lecia urodzin Mikołaja Kopernika. Tak więc rok 1965 stanowił datę wyjściową intensyfikacji mojej pracy na terenie KHNiT – zakończonej obchodami rocznicy kopernikowskiej. Kulminacją obchodów był Nadzwyczajny Kongres Astronomiczny i Colloquia Copernicana w Toruniu (1973 r.) bez mego bezpośredniego udziału z powodu choroby. Zbilansowanie obchodów nastąpiło (również niestety bez mojego udziału ze względu na stan zdrowia) na kolejnym Kongresie Historii Nauki w sierpniu 1974 w Tokio, zamykając moją rozszerzoną działalność na terenie międzynarodowym w tej

dziedzinie. W tymże roku **1974, Międzynarodowa Akademia Historii Nauki nadała mi godność członka honorowego.**

**Wybory Rektora PW w 1956 r.** w związku z nowelizacją ustawy o szkolnictwie wyższym z r. 1951 dokonaną we wrześniu 1956 r., która to nowela wprowadzała wybieralność władz uczelnianych, zbiegły się ze znanymi wypadkami politycznymi października 1956 roku. W wypadkach, które rozegrały się na Politechnice w związku z przewrotem – myślę o wiecu czy wiecach studenckich – „trzymany w rezerwie” nie wziąłem czynnego udziału poza obecnością na zgromadzeniach. Czyniliśmy starania (ja i prof. Janusz Lech Jakubowski), aby namówić prof. Janusza Groszkowskiego<sup>20</sup>, do zgody na wysunięcie jego kandydatury, która była kandydaturą „hors concours”. Rektor Aleksander Julian Dyżewski, płacąc dług powolności wobec coraz surowiej sądzonej działalności jednego z jego wiodących – a było w tym czasie 7 prorektorów, tracił popularność. Odmowa prof. Groszkowskiego była kategoryczna. Moje próby nakłonienia prof. J. L. Jakubowskiego (pierwszego dziekana Wydziału Elektrycznego po wojnie i jednego z budowniczych Politechniki w początkowym okresie) do zgody na wysunięcie jego kandydatury z zapewnieniem poparcia ze strony wydziałów mechanicznych trafiły też na twarde opór motywowany stanem zdrowia. Prof. J. L. Jakubowski przypuścił z kolei atak na mnie. Do tego, oprócz oczywistego nacisku wydziałów mechanicznych, dołączyły się perswazje Komitetu Uczelnianego Partii w osobie pierwszego jej sekretarza, zapewniającego lojalną współpracę i „pod rygorem partyjnym” pozytywne dla mnie głosy partyjnych członków Senatu. Miałem się wkrótce przekonać, wyraziwszy wreszcie zgodę na kandydowanie (już raz spróbowałem chleba rektorskiego i nie spieszo mi było próbować go na nowo) jak słabą strukturą niezgodnych i niezdyscyplinowanych grup jest organizacja partyjna naszej uczelni. W ostatniej chwili (nie będąc członkiem Senatu nie brałem udziału w zebraniu wyborczym) wysunięto, aby nie uczynić zbyt efektownym mojego wyboru, dywersyjną kandydaturę prof. Władysława Stanisława Araszkiewicza, która miała dokonać pewnego rozbicia głosów w I turze głosowania. Rezultat był taki, że, mimo iż otrzymałem największą liczbę głosów, brakło 1 lub 2 do absolutnej, jak wymaga nasz regulamin wyborczy większości. W następnych głosowaniach kilka głosów, które padały na rektora A. J. Dyżewskiego przerzuciło się prawie w całości na prof. Araszkiewicza (rzecz zrozumiała: przeciwnikiem byłem ja nie Araszkiewicz). W rezultacie Araszkiewicz zwyciężył mnie większością jednego głosu.

---

<sup>20</sup> Janusz Groszkowski – elektronik i radioelektronik, doktor honoris causa PW.

Jak sam potem, obdarzony zmysłem humoru, mówił: sam siebie wybrałem rektorem. (Araszkiewicz uczestniczył w wyborach jako jeden z prorektorów).

**Wybory do Sejmu II kadencji** zaktywizowały na nowo środowisko politechniczne w końcu r. 1956. W wyborach „kandydatów na kandydatów” dokonywanych w wielkich zakładach i dużych środowiskach Politechnika dostąpiła tego zaszczytu, że mogła wysunąć swego kandydata. Na zebraniu w tzw. Małej Auli w tajnym głosowaniu, przyniatająca liczba głosów skoncentrowała się na nazwiskach prof. Janusza Groszkowskiego i moim (to było po kilkaset głosów) z różnicą kilkunastu głosów na korzyść Groszkowskiego. Prof. Groszkowski od razu zaczął gorąco oponować, iż nie nadaje się do tych funkcji etc. Nie wiadomo jak sprawy pobiegłyby dalej, gdyby nie fakt, że w środowisku NOT, przy paru „chętnych” nie udawało się wyłonienie dostatecznie mocno popieranego kandydata. Wtedy padła propozycja wysunięcia mojej kandydatury wspólnie przez PW i NOT. Na tym ostatnim terenie, choćby z tytułu prac **przy organizacji pierwszej ekspozycji Muzeum Techniki w nowo otwartym (1955 r.) Pałacu Kultury i Nauki** i przyznaniem mi z tego tytułu odznaczeniem państwowym, byłem już dostatecznie znany. Taka wspólna inicjatywa PW i NOT zwiększała szanse znalezienia się na liście kandydatów. Wtedy to, pod silnym naciskiem (narzędziem jego był prof. Kazimierz Studziński), chory na gripę, ze zmniejszoną odpornością, wyraziłem zgodę na wysunięcie mojej kandydatury do Sejmu. Piszę to nie przez minoderię, ale przebieg wyborów rektorskich, nie z powodu porażki, ale z powodu działania mechanizmów, które tej porażce towarzyszyły, zniechęcił mnie do angażowania się na szerszej arenie. To był zresztą, zdawałem sobie z tego sprawę, ostatni moment wycofania się w głąb własnej Katedry. Po ukończeniu podręcznika „Mechanika płynów” (nad którym pracowałem), po wydoktoryzowaniu moich asystentów „pierwszego rzutu”, mogłem zająć się pracą badawczą, uzwyczajnić i być prawdziwym profesorem, jeżeli już decyzję poświęcenia się tzw. „pracy naukowej”, z odejściem z przemysłu przed 10 laty, podjąłem. Cóż, wiele razy potem myślałem – Studziński trafił na moment słabości.

**Kampania wyborcza do Sejmu była ostra i nie wolna od napięć.** Miałem 5 miejsce na liście w okręgu Nr 1, obejmującym m. in. Śródmieście i wszystkie nasze placówki zagraniczne. Grypa kolejno rozkładała kandydatów. W ostatnich dniach, chyba już tylko ja sam i z niezwykłą lojalnością inż. Unger, który nota bene znalazł się na końcu listy na tzw. miejscu nie mandatowym, obsługiwaliliśmy zebrania wyborcze. Na ostatnim spotkaniu na Okęciu byłem sam z wysoką gorączką – ale miałem już wprawę. Opanowałem rutynę udziału w masowych spotkaniach. A były one w 1957 r. rzeczywiście masowe. **Pomijam**



**ataki dywersyjne na moją osobę – Stanisław Jelnicki, Roman Skórski – w związku z działalnością okupacyjną, które zresztą wykorzystałem dla twardego rozprawienia się z dalszymi próbami podgryzania z tego tytułu<sup>21</sup>.** Z tego samego okręgu, na tym samym piątym miejscu miałem jeszcze kandydować dwukrotnie w r. 1961 i 1965, uzyskując zawsze najmniejszy procent skreśleń w moim okręgu i jedną z najniższych liczb w kraju. Z uwagi na wielkość okręgu, co bardzo przemawiało do wyobraźni wyborców, otrzymywałem największą liczbę głosów spośród posłów warszawskich.

**W Sejmie II, III i IV kadencji (wybory 1957, 1961, 1965) zasiadałem w Komisji Oświaty i Nauki i byłem zastępcą przewodniczącego** (jednym z trzech, często „urzędującym”), **Komisji Przemysłu Ciężkiego, Chemicznego i Górnictwa.** Z pracą w tej Komisji związane są najlepsze wspomnienia mojego pobytu na ul. Wiejskiej. W czasie II i III kadencji pełniłem funkcję jednego z dwu zastępców przewodniczącego Warszawskiego Zespołu Poselskiego. W IV kadencji stanowiska te nie były obsadzone, ze względów, których nie chcę tutaj szerzej omawiać. Szczególnie praca w Komisji Przemysłu Ciężkiego, Chemicznego i Górnictwa dała mi dużo nowych doświadczeń i szerszy wgląd w całość rozwoju naszej gospodarki. Tam też, stwierdzam to bez fałszywej skromności, miałem okazję wykorzystać moje doświadczenie pedagogiczne w przekształcaniu partykularnej, choć pełnej zapału mentalności niejednego z młodszych kolegów posłów, na ujmowanie problemów w skali ogólnonarodowej. Wielu z nich zajęło potem odpowiedzialne stanowiska szczebla państwowego. Mnie samemu praca w tej Komisji dostarczała wiele obserwacji, które mogłem wykorzystać w pracach organizacyjnych na terenie wyższego szkolnictwa technicznego m.in. poprzez pracę w Komisji Oświaty i Nauki. W zakres prac tej ostatniej, poza szkolnictwem wyższym, wchodziła również działalność Polskiej Akademii Nauk. W pracach tej Komisji bardzo pomocne były mi moje doświadczenia z terenu Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, a także praktyka ponownie objętego (z wyboru) stanowiska rektora Politechniki Warszawskiej (1959-1965), od połowy II kadencji sejmiku i przez całą III kadencję.

**Październik studencki w 1957 r.** był jednym z dwu wydarzeń, do których w moim życiu przywiązuję wagę szczególną. Bezmyślne (bo ciągle nie chcę dopuścić myśli, że w pełni prowokacyjne) zamknięcie „Po prostu” w chwili rozpoczynania roku szkolnego w wyższych uczelniach, wywołało szeroką falę protestów studenckich. Wiece w domu studenckim

---

<sup>21</sup> W czerwcu 1957 r. odbył się proces w Sądzie Powiatowym w Warszawie zakończony wyrokiem skazującym Stanisława Jelnickiego za zniesławienie Jerzego Bukowskiego. Roman Skórski wyraził Jerzemu Bukowskiemu listowne przeprosiny i ubolewanie z powodu swego wcześniejszego stanowiska.

na Placu Narutowicza, potem w Politechnice. Opisałem te sprawy obszerniej oddzielnie. Przypisuję sobie dużą zasługę zapobiegnięcia masakrze na wielką skalę na terenie Politechniki.

**Wyjazd do Chin z parosobową delegacją szkolnictwa wyższego** pod przewodnictwem ministra Stefana Żółkiewskiego, opóźniony o miesiąc z powodu studenckiej rewolucji, doszedł do skutku w listopadzie 1957 r. Trochę uwag z tej fascynującej podróży, która trwała miesiąc i poza Pekinem objęła Szanghaj, Nankin, Hangczou, Huang-Ho, Kanton i Wu-Han podałem w „Polityce” (na początku 1958 r.). Dziennik, notatnik z podróży, dotąd leży nietknięty – szkoda bo pisany w pośpiechu i niewyraźnie.

Wyroki, które zapadły w sprawach studenckich, zaskoczyły mnie po powrocie do kraju na początku grudnia 1957 r. Korzystając z mojego mandatu poselskiego zabiegałem o skracanie za dobre sprawowanie czasów „odsiadki”. Według informacji jakie miałem, wszyscy osądzeni zostali zwolnieni przedterminowo.

**Ustawa o szkolnictwie wyższym z listopada 1958 r.**, była chyba najbardziej godnym uwagi dziełem, do którego **przyczyniła się Rada Główna Szkolnictwa Wyższego**. Była to ustawa demokratyczna w duchu tradycji uniwersyteckich i aktualnych interesów państwa, w demokratyczny sposób – w szerokiej publicznej dyskusji – przygotowana. Oponenci, którzy protestowali przeciw przyjęciu tzw. zasady rotacji asystentów, nie dostrzegali, że była to ustawa naprawdę zasługująca na nazwę Konstytucji Szkół Wyższych, z zachowaniem ich samorządności i złożeniem na profesurę pełnej odpowiedzialności za wyniki pracy szkoły. Zaostżenia, jakie wprowadziła Rada Ministrów w zakresie pragmatyki służbowej w projekcie wniesionym do Sejmu, nie zmieniły zasadniczego charakteru ustawy. Pewne złagodzenia tych zaostżeń wniosła Sejmowa Komisja Oświaty i Nauki.

W pracach **Prezydium Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego** z tego okresu nie zapomnę wspaniałej postaci prof. Kazimierza Ajdukiewicza<sup>22</sup> – przewodniczącego Sekcji Uniwersyteckiej, i bystrej jasności sądów prof. Jana Gwiazdomorskiego<sup>23</sup> z UJ (wtedy jeszcze chyba przewodniczyłem Sekcji Technicznej, żeby w tymże roku 1958 lub 1959 objąć sekretariat Rady Głównej na następną kadencję).

---

<sup>22</sup> Kazimierz Ajdukiewicz – filozof, logik, prof. Uniwersytetu Warszawskiego.

<sup>23</sup> Jan Gwiazdomorski – specjalista prawa cywilnego, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

**Wybory rektorskie w r. 1959** – w szczególności ich przygotowania – miały przebieg bogaty w napięcia. Mając w niedawnej pamięci wybory z 1956 r., zaangażowany intensywnie w prace Sejmu i Prezydium Rady Głównej, zastrzegłem się z góry, żeby nie brać mojej kandydatury w rachubę, na co moi koledzy z wydziałów mechanicznych przy zapewnionym poparciu wielu innych wydziałów próbowali mnie namawiać. Z pewnymi oporami zgodzono się poprzeć kandydaturę prof. Janusza Tymowskiego<sup>24</sup>, który miał już za sobą Sekretariat Rady Głównej i tylko rok do zakończenia kadencji jako prezes NOT-u (przewodnictwo ZG NOT). Prof. W. S. Araszkiewicz, zdecydowanie odmówił powtórzenia kadencji. Najsilniejszym kontrkandydatem prof. J. Tymowskiego był prof. Stanisław Kuhn<sup>25</sup>, prorektor (jeden z 7) i zastępca rektora w poprzedniej kadencji (ściślej – w bieżącej, wybory odbywały się bowiem w maju). Przy prawie równej liczbie głosów padających w kolejnych głosowaniach na tych kandydatów i paru uparcie wstrzymujących się, pierwszy termin wyborów nie dał rezultatu. Żaden z kandydatów nie uzyskał absolutnej większości. Rektor wyznaczył następny termin zebrania wyborczego Senatu. Zaczęły się zwykle wędrówki, a więc znów delegacja do prof. J. Groszkowskiego, namowy prof. Jana Zachwatowicza<sup>26</sup> – bez rezultatu. Wreszcie zbiorowy nacisk większości wydziałów na mnie, któremu uległem. Następne zebranie wyborcze było już formalnością. Jako (o ile pamiętam) jedyny kandydat, przy paru głosach „wstrzymujących się” (miałem swych zdecydowanych „antysympatyków”) zostałem wybrany rektorem PW na kadencję 1959-1962.

**Reforma struktury PW nastąpiła w r. 1960/1961.** W 10 lat po pierwszej wielkiej pracy organizacyjnej, podjąłem na nowo trud przystosowania organizacji Politechniki do aktualnych potrzeb i silniejszego związania jej z duchem ustawy 1958 r. **Z 16 wydziałów utworzonych w r. 1951 pozostało w nowej strukturze 11**, do których doszedł w rok później (1962?) Wydział Mechaniki Precyzyjnej, wydzielony z Wydziału Mechanicznego Technologicznego. Liczba katedr uległa redukcji przez połączenie katedr jednoimiennych na nowych scalonych wydziałach i utworzenie katedr mających usługi poza wydziałem macierzystym. W ten sposób, tworząc katedry dla potrzebnych nowych dyscyplin, **uzyskano per saldo zmniejszenie ogólnej liczby katedr ze stu osiemdziesięciu kilku do około 170.** Wtedy również **podjęto organizację 3 pierwszych instytutów:** ogólnouczelnianego – **matematyki**, międzywydziałowego – **fizyki** i wydziałowego – **techniki cieplnej**. Różne statuty i formy

---

<sup>24</sup> Janusz Tymowski – inżynier mechanik. Od 1955 r. profesor PW.

<sup>25</sup> Stanisław Kuhn, od 1949 r. profesor techniki łączenia, był prorektorem PW w latach 1956-1959.

<sup>26</sup> Jan Zachwatowicz – architekt, od 1946 roku profesor Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej.

powiązań z wydziałami i dotychczasowymi samodzielnymi katedrami, stanowiły swego rodzaju formę eksperymentalną szerszego przejścia do formy instytutów jako jednostek podstawowych. Powołano Zakład Metod Nauczania (kierownik prof. Zofia Kietlińska), przekształcony następnie w międzyuczelniany zakład poświęcony tej tematyce. Na gruncie dawniejszych prac nad koncepcją zespołów katedr, naszkicowano perspektywę dalszego łączenia katedr w większe jednostki.

**Wybory rektorskie w 1962 r. na kadencję 1962-1965, wobec mojej zgody na powtórne kandydowanie, były dopełnieniem formalności.** Nastąpiły jedynie pewne zmiany w składzie prorektorów, (których znów było tylko 3). Kierunek prac nie uległ zmianie. Dużo uwagi poświęcono **poprawie metod dydaktycznych dla polepszenia tzw. sprawności studiów.** Zlikwidowano anomalie nadmiernej liczby studentów na ostatnich latach studiów (w szczególności przeciąganie ukończenia studiów przez studentów ostatniego roku). Liczby wydawanych dyplomów w stosunku do ogólnej liczby studentów osiągnęły wysoki w porównaniu z latami poprzednimi poziom. Umocniono kontrolę i zaprowadzono jednolitą ewidencję przewodów doktorskich i habilitacyjnych. Skutecznie oparłem się lansowanej mocno, i po moim odejściu zrealizowanej idei włączenia odrębnie (choć głównie na bazie PW) działającej WSI. Będąc gorącym rzecznikiem studiów inżynierskich upatrywałem raczej w rozwoju i stworzeniu własnej bazy WSI przyszłość Szkoły Inżynierskiej w Warszawie, przejmującej również studia dla pracujących, przy umocnieniu w Politechnice rozwoju studiów magisterskich w silnym powiązaniu z pracami badawczymi na rzecz gospodarki narodowej i postępu wiedzy technicznej. Powstała koncepcja Szkół „Systemu PW” jako podopiecznych szkół inżynierskich (Lublin, Białystok, Radom, WSI).

**Wystawa – Politechnika Warszawska gospodarce narodowej (1962)** stała się bogatym przeglądem dorobku i możliwości PW w tej mierze i wywołała bardzo duże zainteresowanie kierownictwa państwowego. Godny odnotowania jest wkład organizacyjny prorektora Kazimierza Kolbińskiego<sup>27</sup>.

**W Ogólnopolskim Komitecie Pokoju** moja praca na stanowisku wiceprzewodniczącego (pozostali to: Ostap Dłuski, Jarosław Iwaszkiewicz, Józef Ozga-Michalski) z inicjatywy przewodniczącego prof. Stanisława Kulczyńskiego rozpoczyna się w r. 1962, po krajowej konferencji. Chodziło o przyciągnięcie młodzieży do ruchu – zostałem uznany

---

<sup>27</sup> Kazimierz Kolbiński w 1957 r. był jeszcze docentem, w 1958 r. stał się profesorem techniki wysokich napięć, a w latach 1959-1965 był prorektorem PW.

za odpowiedniego łącznika. Po śmierci Ostapa Dłuskiego i w początkach choroby prof. Stanisława Kulczyńskiego, w latach 1965-1969 byłem praktycznie urzędującym wiceprezesem. Z organizacją tą blisko się związałem z uwagi na szczególnie ofiarny zespół ludzi w szerszym prezydium i znakomity, nieporównywalny w swej pracy, sekretariat. Aż do wejścia w skład ścisłego prezydium Wincentego Kraški, a wreszcie objęcia przewodnictwa OKP przez Józefa Cyrankiewicza, przyszło mi praktycznie odgrywać rolę reprezentacyjną polskiego ruchu pokoju na terenie **Światowej Rady Pokoju**. Na ten okres przypadły intensywne prace kolejnych kongresów sztokholmskich przeciwko wojnie w Wietnamie i dwa kongresy (grudzień 1967 r. – w New Delhi i styczeń lub luty 1969 r. – w Kairze) w obronie zagrożonych przez nową agresję izraelską krajów arabskich. Wtedy też zetknąłem się blisko ze skomplikowanym problemem palestyńskim i miałem możliwość zaobserwować rodzące się rozbieżności strategii i taktyki poszczególnych krajów arabskich. Wchodząc w skład Światowej Rady Pokoju brałem w tym czasie udział w jej zgromadzeniach plenarnych i rozszerzonych prezydiach. Ważną rolę odegrały kontakty z przedstawicielami zachodnioniemieckiego ruchu pokoju (szczególniej z kołami ewangelickimi: pastorzy dr Niemöller i dr Mochalski – mój artykuł: „Polska – Niemcy, przeszłość, teraźniejszość, przyszłość” w dwutygodniku „Stimme der Gemeinde” – szeroko później rozkolportowany w postaci broszury, i piękny list, jaki dostałem od zachodnioniemieckich działaczy pokojowych na 30-lecie wybuchu wojny 01.09.1969 r.). Nadto szereg akcji tradycyjnych (konferencja nadbałtycka w Gdańsku) i doraźnych. Otrzymałem w r. 1972 piękny **medal Światowej Rady Pokoju**, której jestem członkiem.

**Pugwash** – udział w tym ruchu, problemowo związany z moją działalnością na terenie OKP i ŚRP, biorę od chwili utworzenia polskiego komitetu pod przewodnictwem najpierw prof. Leopolda Infelda, potem prof. Ignacego Maleckiego. Po objęciu przez prof. Maleckiego funkcji w dyrekcji UNESCO, przez pewien czas praktycznie sam kierowałem tym Komitetem. Godne zanotowania, jeżeli chodzi o mój udział, są doroczne konferencje Pugwash w Gdańsku (1966), Ronneby (Szwecja 1967), Nicei (1968). Ta ostatnia we wrześniu, po interwencji w Czechosłowacji, szczególnie trudna była dla naszej szczupłej delegacji. Wspominam z dużym uznaniem współpracę z docentem Dobrosielskim (jego udany debiut w ruchu Pugwash miał miejsce w Ronneby). Na terenie tego ruchu mam do zanotowania zbliżenie bardzo dla mnie zaszczytne, nie chcę użyć słowa przyjaźń, z przewodniczącym delegacji radzieckiej, wiceprezesem Akademii Nauk ZSRR, akademikiem Milionszczikowem (zmarłym w pełni sił na wiosnę 1973 r. po krótkiej

niszczącej chorobie). Różne okoliczności (m. in. stan zdrowia) przeszkodziły mi wziąć udział w ostatnich konferencjach Pugwash (począwszy od Soczi w 1969 r., aż do jubileuszowej w Cambridge w 1973 r.)

**Konkurs Mistrza Techniki Warszawy**, impreza wspólna OW NOT Warszawa i „Życia Warszawy”, któremu przewodniczyłem od r. 1959 (w r. 1974 obchodziliśmy 15-lecie tego popularnego Konkursu). Było to przedsięwzięcie o szczególnym znaczeniu dla popularyzacji i inspirowania nowej techniki w okresie do czasu wznowienia systemu nagród państwowych. Inicjatywa warszawska znalazła później naśladowców, a sam konkurs, mimo licznych dzisiaj systemów nagród i wyróżnień, nie stracił swej aktualności i popularności. Tytuły mistrzowskie, jak również nagrody i wyróżnienia przy tej okazji udzielane, stanowią cenione pozycje „życiorysowe”. Obecnie niejednokrotnie prowadzą do nagród najwyższej rangi, jakimi są co dwa lata przyznawane nagrody państwowe. Dla mnie był niewątpliwie dobrą szkołą skutecznego pełnienia funkcji przewodniczącego sekcji w Komitecie Nagród Państwowych.

**Komitet Nagród Państwowych** – których nadawanie (co dwa lata) wznowiono w r. 1962 angażuje mnie w dwu kolejnych kadencjach (1963-1966, 1967-1970) jako przewodniczącego Sekcji VIII Budowy Maszyn i Elektrotechniki, w trzeciej i czwartej (1971-1974, 1975-1978), po objęciu przeze mnie przewodnictwa ZG NOT, tylko jako członka Prezydium. Przewodnictwo Sekcji VIII objął po mnie prof. J. Tymowski. Pracę naszej Sekcji cechowała surowa selekcja wniosków zgłaszanych i największy odsetek nagród przyznawanych w głosowaniach tajnych na Prezydium, pośród wszystkich Sekcji z zakresu postępu technicznego.

**Wybory do Sejmu IV kadencji i wybory rektorskie w PW zbiegły się w r. 1965** i to z różnicą niewielu tygodni. Nie wiem kiedy zdołam powrócić do tego zwrotnego w mojej „karierze” punktu, dlatego poświęcę tym sprawom więcej uwagi w tych skrótowych notatkach. Zaczynałem już odczuwać ciężar równoczesnego, wcale nie formalnego, wypełniania moich obowiązków poselskich z kierowaniem największą polską wyższą uczelnią. (W tym czasie jeszcze UW nie przewyższał nas ani liczbą studentów, ani liczbą kierunków studiów). Na początku r. 1965 zwołałem zebranie dziekanów z prorektorami i (jak zawsze) z udziałem I Sekretarza Komitetu Uczelnianego Partii (doc. J. Rżysko), przypominając, że w maju odbędą się wybory władz uczelni i prosząc aby, w drodze wzajemnych konsultacji międzywydziałowych i w porozumieniu z OOP swoich wydziałów,

zastanowili się nad kandydaturami na stanowisko rektora w pierwszym rzędzie i ewentualnie prorektorów. Na pytanie, czy ja sam zgodziłbym się ponownie kandydować, odmówiłem odpowiedzi stwierdzając, że byłoby to ograniczeniem dyskusji, którą chcę wywołać, ale moje zasadnicze stanowisko (które nie znalazło potwierdzenia w postanowieniach ustawy) jest takie, że kadencji rektorskiej trzy razy z rzędu nie powinno się powtarzać. Nadto zwróciłem uwagę, że zbieżność terminu wyborów do Sejmu i perspektywa ponownego wysunięcia mojej kandydatury postawiłaby mnie przed koniecznością wyboru jednego ze stanowisk: posła na Sejm lub rektora PW, gdyż dalszego równoległego pełnienia obu funkcji nie mógłbym się podjąć (przypomniałem, że w tym roku kończę 63 rok życia i sił mi nie przybywa). Do końca marca, poza próbami sporadycznych wywiadów, czy jednak nie najlepiej byłoby pozostawić status quo władz Politechniki, nie miałem żadnych konkretnych sygnałów. Na początku kwietnia (chyba w jakimś starym kalendarzu mam zanotowane dokładne daty wszystkich następnych wydarzeń) przedstawiono mi do podpisu deklarację zgody na kandydowanie do Sejmu. Uznając to za logiczniejsze, niż trzykrotne powtarzanie kadencji rektorskiej, zgodę podpisałem. Równocześnie sam zacząłem lansować kandydaturę prof. Dionizego Smoleńskiego<sup>28</sup> na stanowisko rektora PW, zważywszy jego doświadczenie (długoletnie kierowanie Politechniką Wrocławską) i brak, poza profesorskimi, innych absorbujących funkcji. Prof. D. Smoleński odszedł ze stanowiska przewodniczącego Komitetu d/s Techniki, który, przekształcony w Komitet Nauki i Techniki, przeszedł pod przewodnictwem wicepremiera Eugeniusza Szyra. Kandydatura, mimo wieku (Smoleński jest moim rówieśnikiem), na co zaczynałem już być, może nadmiernie, wyczulony, była moim zdaniem dobra. Według relacji samego prof. D. Smoleńskiego odbyła się nawet rozmowa Jego na ten temat z Sekretarzem KC W. Jarosińskim, w której Smoleński, miał odmówić propozycji i stwierdzić, że trzeba Bukowskiego przycisnąć to się zgodzi powtórzyć jeszcze raz kadencję. Być może w związku z tym około połowy kwietnia (1965) odbył ze mną rozmowę Sekretarz d/s Propagandy KW, znany mi jeszcze z organizacji studenckich Józef Kępa, stawiając po wstępnych zagajeniach pytanie, czy w wypadku zapewnionego poparcia KW i Wydziału Nauki KC nie zgodziłbym się jednak pozwolić na ponowne wysunięcie mojej kandydatury na rektora PW. Powiedziałem, że dotąd zawsze mogłem być liczyć na poparcie obu wymienionych instancji, jak i lojalnego współdziałania I Sekretarza Komitetu Uczelnianego Partii i, że, wydaje mi się, nie w tym leży ciężar zagadnienia – a w racjach uprzednio przeze

---

<sup>28</sup> Dionizy Smoleński, wieloletni rektor Politechniki Wrocławskiej, od 1961 r. profesor silników spalinowych przemysłowych i lotniczych PW, był jej rektorem w latach 1965-1969.

mnie wysuwanych. Nie pamiętam czy udzieliłem mu od razu warunkowej (obsada stanowisk prorektorów) pozytywnej odpowiedzi, czy też uczyniłem to po jeszcze jednej nieskutecznej próbie namówienia na zgodę kandydowania prof. D. Smoleńskiego. Tak czy inaczej na początku maja byłem zdecydowany powtórzyć trzeci raz kadencję rektorską. Stwierdzenie Józefa Kępy o zapewnieniu poparcia KW i KC powinno było zwrócić moją uwagę na uczelniane podwórko partyjne. A tutaj właśnie zaczęła się krystalizować opozycja w stosunku do mojej osoby. Na ogólnym (ale chyba nie otwartym) zebraniu partyjnym, związanym pośrednio z wyborami do Sejmu, ówczesny I Sekretarz KW Stanisław Kociołek przedstawił wśród kandydatów dzielnicy na posłów moje nazwisko. Na to tylko czekał Sekretarz OOP Wydziału Łączności (nie pamiętam jego nazwiska) z zarzutem, że ta kandydatura została wysunięta bez porozumienia z organizacją partyjną Politechniki, która jej (kandydaturze) się sprzeciwia. Według posiadanych relacji padły podobno z sali pytania, kto upoważnił mówcę do przemawiania w imieniu całej organizacji partyjnej i powstał mały tumult. Sprawę zamknął Sekretarz S. Kociołek stwierdzeniem, że KW ma do profesora B. pełne zaufanie i nie ma zastrzeżeń do jego działalności (jako posła i rektora). Przebieg wypadków relacjonuję z drugiej ręki, ale nie stwierdziłem istotnych rozbieżności w przedstawieniu jej przez parę osób (nota bene z kierownictwem Wydziału Łączności, za którym stało paru osobiście zainteresowanych członków OOP, miałem w tym czasie poważną różnicę zdań, jeżeli nie nazwać tego wprost konfliktem, na tle polityki personalnej w zakresie kadr naukowych Wydziału).

Incydent wydawał się wyczerpany, kiedy na **początku maja wezwał mnie wiceminister Szkolnictwa Wyższego prof. B. Minc i krótko i węzłowato powiedział, że Ministerstwo „nie widzi” mojej kandydatury w najbliższych wyborach rektorskich na Politechnice.** Na moje pytanie czyją kandydaturę Ministerstwo „widzi” – Minc odpowiedział: „Profesora D. Smoleńskiego”. Na to ja: „To dobrze, to jest również moja kandydatura”. Wyraziłem przekonanie, że na zebranie wyborcze prof. D. Smoleński nadeśle pisemną zgodę na wysunięcie jego kandydatury (co przewidywał nasz regulamin wyborczy). Rozmowa trwała nie więcej niż 3 minuty. Obiecałem dołożyć starań dla dokonania wyboru profesora D. Smoleńskiego.

Na Politechnice, gdzie już wiadano, że w zasadzie zgodziłem się kandydować, ta „decyzja” wywołała fatalne wrażenie. Na zebraniu wyborczym Senatu, mimo mojej cichej propagandy na rzecz D. Smoleńskiego, przy zgłaszaniu kartkami kandydatur, zdecydowaną większością głosów wysunięto moją kandydaturę. Kandydaturę Smoleńskiego wysunięto chyba mniej niż



na 10 kartkach. Po moim oświadczeniu, iż kandydatury nie przyjmuję, prof. Tadeusz Pelczyński (chyba on) przedstawił oświadczenie prof. Smoleńskiego o zgodzie na kandydowanie. Przy jednym kandydacie, trzy kolejne głosowania nie dały pozytywnego rezultatu. Był to chyba nie tyle osobisty protest przeciw Smoleńskiemu, co opozycja w stosunku do metody. Zarządziłem, krótką przerwę, apelując o przerwanie impasu. W odpowiedzi usłyszałem, że mogę przenieść zebranie na inny termin, z ponownym stawianiem kandydatur i zmianą mojego stanowiska. Powiedziałem, że nawet zmuszony do odroczenia zebrania, mojego stanowiska negatywnego w sprawie przyjęcia kandydatury nie zmienię i popieram kandydaturę prof. Smoleńskiego. Po wznowieniu posiedzenia, małą nadwyżką ponad połowę członków Senatu, **prof. Smoleński został wreszcie wybrany na rektora PW kadencji 1965-1968 i był ostatnim rektorem z wyboru**, pełniąc swą funkcję jeszcze przez dodatkowy rok. Tym akcentem (jeżeli nie liczyć wniosku prof. Ignacego Bracha, na ostatnim posiedzeniu Senatu pod moim przewodnictwem, że prof. Bukowski dobrze zasłużył się Politechnice Warszawskiej na stanowisku rektora) zakończyła się właściwie moja szersza działalność na naszej uczelni.

Gotów przyjąć w rok później, w kryzysowej sytuacji, dziekanat macierzystego Wydziału, usłyszałem od sekretarza OOP (dr K.), z którym konsultowałem sprawę, że moja kandydatura w opinii organizacji partyjnej nie wchodzi w żadnym wypadku w rachubę. Był to z mojej strony swego rodzaju test, choć w istocie gotów byłem porzucić wiele innych funkcji i zająć się sprawami podupadającego Wydziału, który przecież sam dwadzieścia lat wcześniej budowałem. Taka to była nasza organizacja wydziałowa, ale jak miały pokazać wypadki lat 1968 i 1969, również w całej uczelni skłócona, spychająca na margines swoich najbardziej wartościowych członków.

**Marzec 1968 r.** – to oddzielna wielka sprawa, która w uzupełnieniu powyższej relacji zasługuje na szczególne omówienie. Została ona opisana w oddzielnym miejscu moich zapisków pamiętnikarskich dostatecznie wyczerpująco. Słabość organizacji partyjnej PW znalazła w tych wypadkach dobitne potwierdzenie. Żeby skończyć sprawy politechniczne nadmienię tylko, że korzystając z odpowiednich uprawnień, **wziąłem od 1.10.1972 r. zwolnienie od prac dydaktycznych, a od 1 października 1973 r. przeszedłem na emeryturę.**

**W Sejmie i Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego wypadki marcowe 1968 r. miały dwojaki skutek:** doraźny i długofalowy. **W Sejmie były to próby jednostronnego,**

**tendencyjnego przedstawienia i naświetlenia tła studenckiej rewolty**, w której źródłach tkwiły już elementy tragicznych wydarzeń z grudnia 1970 r. Przeciwstawiałem się z całych sił tym tendencjom. Zapisy znaleźć można w protokołach posiedzeń Komisji Oświaty i Nauki z tego czasu (kwiecień, może jeszcze marzec 1968 r.) i stenogramie mojego wystąpienia na plenarnym posiedzeniu Sejmu w tej sprawie. Skromnym rezultatem było złagodzenie formy uchwały Sejmowej Komisji Oświaty i Nauki (w stosunku do nieprzyzwoitej wprost redakcji, odpowiednio wcześniejszej uchwały Komisji Kultury i Sztuki).

**Na terenie Prezydium i Sekcji Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego odbyło się wówczas masowe, urągające wszelkim dotychczasowym zwyczajom postępowania, przeprowadzenie kilkuset wniosków kwalifikujących na stanowiska docentów kandydatów bez habilitacji.** Ustawa zezwalała na takie powołania, ale poszczególne wnioski były wnikliwie przez Sekcje i Prezydium analizowane. Pierwsza seria ponad 200 zebranych ze szkół wniosków przedstawiona była do rozpatrzenia w ciągu kilku godzin. Następnym kilkaset wniosków rozpatrzono, już wobec ostrych protestów członków RG, w trybie specjalnym, ale już z zachowaniem minimum merytorycznego rozeznania. Trzeba zresztą stwierdzić, że wnioski poszczególnych uczelni były przedstawione na bardzo zróżnicowanym poziomie, jeżeli chodzi o stan dokumentacji. Żenująco, jeżeli nie użyć mocniejszego wyrażenia, przedstawiały się wnioski zgłoszone przez Politechnikę stołeczną. **Stąd też krzywdzące jest wrzucanie do jednego worka wszystkich tzw. „majowych” lub „marcowych” docentów.** Byli wśród nich ludzie, którzy nie zajmowali dotąd stanowisk docentów, zasługując na nie wg ducha i litery ustawy, a opóźnienie powołań było wynikiem długoletniej polityki „na nie” kierownictwa resortu. Znaleźli się jednak i osobnicy, którzy na te stanowiska nie zasługiwali i zaciągną na pewien czas nad właściwym rozwojem naszego szkolnictwa wyższego.

**Dalsza konsekwencja wypadków marcowych: ponowna nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym (ciągle jeszcze tej samej ustawy z r. 1958) likwidowała w praktyce instytucję tradycyjnego uniwersytetu, wydając szkoły w ręce administracji.** Przy czym pragnę podkreślić: nie odebranie profesorom władzy nad szkołami, ale praktyczne zdjęcie z nich odpowiedzialności za poziom i działalność uczelni było wielkim złem, które dokonało się w latach 1968/1969. Bodaj w czerwcu 1968 r. (czy 1969) wygasła kolejna kadencja Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego. Do nowego jej składu nie zostałem oczywiście powołany. Byłem z tą instytucją związany dużym nakładem pracy w ciągu z górą 15 lat.

**Zakończenie kadencji Sejmu IV kadencji w maju 1969 r.** było również zakończeniem mojej nieprzerwanej działalności sejmowej w ciągu 3 kadencji i przeszło 12 lat (wliczając przerwy międzykadencyjne i kampanie przedwyborcze). Ostatni uścisk ręki z wicemarszałkiem Zenonem Kliszko (on – to było 12 lat , ja – tak to było 12 lat).

Po przedterminowym rozwiązaniu Sejmu V kadencji **powróciłem do naszego parlamentu w jego VI kadencji w roku 1972**, tym razem **jako poseł „centralny” w okręgu pruszkowskim**, a więc działałem w ramach zespołu poselskiego województwa warszawskiego, zajmując również stanowisko zastępcy przewodniczącego zespołu. Po reformie administracji terenowej znalazłem się z częścią „moich powiatów” (Pruszków, Grodzisk, Piaseczno) w obrębie Warszawy i na krótko w gronie warszawskiego zespołu poselskiego.

Piszę „na krótko” z małą nutą goryczy, gdyż **w wyborach 1976 r. do Sejmu VII kadencji** powiadomiono mnie w Komitecie Warszawskim Partii, iż ze względów „rotacyjnych” moja kandydatura z terenu Warszawy nie jest brana pod uwagę. Uznałbym to za naturalne, gdyby później nie została mi uczyniona bardzo zobowiązująca **propozycja kandydowania (znów „centralnego”) z okręgu Łódź Bałuty**.

**W VI i VII kadencji Sejmu pracuję w Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów oraz w nowoutworzonej Komisji Nauki i Postępu Technicznego.** W tej ostatniej w latach 1972-1976 byłem zastępcą przewodniczącego. W obu ostatnich okręgach wyborczych, kończącej, jak to jest w moim zamiarze, mojej dwudziestoletniej działalności parlamentarnej, spotkałem się z dobrym przyjęciem i sędzę, że oceniono pozytywnie moją pracę. Zdobywam też nowe doświadczenia ważne szczególnie dla prac w Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów, stanowiącej niejako komisję matkę naszego Sejmu. Tutaj nawiasowo muszę nie bez nuty żalu stwierdzić, że odczuwałem tę charakterystyczną rezerwę z jaką odnoszą się dotychczasowi „oddani i życzliwi” do człowieka, któremu kierownictwo cofnęło, a bodaj ograniczyło kredyt zaufania. Zjawisko to, oczywiście stopniowane w zależności od charakterologicznych cech poszczególnych osobników, jest jednak niestety powszechne.

**Naczelną Organizacją Techniczną** stała się ostatnim rozdziałem mojego skróconego życiorysu. **W roku 1964 zostałem przewodniczącym Rady Głównej NOT.** Wybór ten powtórzono następnie dwukrotnie w związku ze zmianami (statutowymi) w składach władz. Przewodniczącym Zarządu Głównego NOT (organu wykonawczego) był przez cały czas

mojego przewodnictwa w Radzie Bolesław Rumiński<sup>29</sup>. Współpracowaliśmy w wyjątkowej harmonii.

W okresie organizacji VI Kongresu Techników Polskich planowanego na luty 1971 r., prezes B. Rumiński wchodzi w skład Rady Państwa, awansując następnie na jednego z zastępców przewodniczącego. W porównaniu z poprzednio zajmowanym przez wiele lat stanowiskiem wiceministra przemysłu spożywczego i skupu, równoległe z przewodnictwem Zarządu Głównego („prezesurą”) NOT – nowe stanowisko Rumińskiego podnosi autorytet organizacji. Niestety aktywizacja w pracy na terenie Rady Państwa, z uciążliwymi pracami kierowania (w charakterze przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego VI K.T.P.) szeroko rozbudowanym aparatem, prędko wyczerpały wąły zapas sił naszego prezesa. Jego wnikliwe spojrzenie na naszą rzeczywistość ekonomiczną, na długo przed grudniem 1970 r., dyktuje mu konieczność wydobywania krytycznych ocen w pracach poszczególnych sekcji kongresowych. Nielatwe to zadanie przewyciężenia zarówno oportunistów, jak i z drugiej strony „krzykactwa” w postawach ludzkich. Termin VI Kongresu TP wyznaczony na luty 1971 r., (szczególniej po doświadczeniu Kongresu PTE w styczniu 1971 r., który wykazał nieadekwatność prac przygotowawczych i aktualnego stanu spraw państwowych), musi ulec przesunięciu o kilka miesięcy. **W końcu stycznia 1971 r. B. Rumiński przekazując mi przewodnictwo komisji redakcyjnej uchwały VI K.T.P., praktycznie rozpoczyna przekazywanie prac przygotowawczych Kongresu w moje ręce.** Do ostatniej chwili będzie jeszcze ważył czy zagai jedynie Kongres, czy też wygłosi referat, nad którym pracuje w Konstancinie w Lecznicy Ministerstwa Zdrowia. Już uzgodniona między nami propozycja, że przejmie w nowych władzach stanowisko przewodniczącego Rady Głównej (ja zaofiarowałem się zostać przy nim jako jeden z zastępców), a Zarząd oddamy komuś młodszemu, podlega fluktuacjom.

Poczucie upadku sił wzmagają u Rumińskiego lęk o losy NOT jako, w określonym zakresie, niezależnej opinii świata technicznego – środowiska tak oddanego sprawie odbudowy, budowy i rozbudowy gospodarczej naszego kraju. Ostatnią dekadę sierpnia 1971 r. spędzam w Moskwie i Leningradzie na XIII Kongresie Historii Nauki. Wracam na kilka dni przed terminem Kongresu poznańskiego (2, 3, 4 września 1971 r.). Już wcześniejsze aluzje, zamiany stanowisk: Bolesław Rumiński na Radę Główną, ja na Zarząd Główny – stają się –

---

<sup>29</sup> Bolesław Rumiński – przedwojenny absolwent Wydziału Chemii PW, działacz polityczny i społeczny, członek PZPR. Poseł na Sejm przez wiele kadencji. W 1949 organizator Ministerstwa Przemysłu Rolnego i Spożywczego i Skupu. Inicjator i założyciel Naczelnej Organizacji Technicznej i jej pierwszy wieloletni Prezes. Od 1971 r. wiceprzewodniczący Rady Państwa. Zmarł w październiku 1971 r.

w nieprzygotowanym terenie – jedynym realnym rozwiązaniem, bez wywołania najzupełniej przypadkowych rezultatów wyborów. Jest wymuszona okolicznościami moja zgoda. Rumiński nie może pojechać do Poznania z uwagi na stan zdrowia. **Otwarcie Kongresu i wygłoszenie referatu podstawowego spada na mnie**, (druga wymuszona zgoda, wbrew pierwotnemu logicznemu ustaleniu, że – jako przewodniczący komisji uchwały – będę raczej podsumowywał obrady). Sprawa referatu. Przedstawiony przez Rumińskiego byłby jego referatem jako prezesa Zarządu Głównego NOT. Ja mogę zaprezentować referat de nomine będący referatem Prezydium Zarządu, lub Prezydium Komitetu Organizacyjnego. Tak czy inaczej, konkretnym materiałem jest modyfikowany do ostatniej godziny referat Rumińskiego. Staje kompromis: przedstawię referat z uwzględnieniem uwag Prezydium Komitetu Organizacyjnego, w oparciu o tekst Rumińskiego, z tym, że mam swobodę wyłączenia sformułowań, które mnie osobiście nie odpowiadają, (jeżeli w analizie tekstu takie się znajdują). 31 sierpnia przygotowuję ostateczną redakcję referatu. 1 września przesyłam odbitkę do „białego domu” i równocześnie wyjeżdżam do Poznania (pociągiem w towarzystwie kolegów z kierownictwa NOT). Po przyjeździe zastaję sygnał telefoniczny, że referat budzi zastrzeżenia i miarodajny delegat „białego domu” jest w drodze do Poznania. Z towarzyszem Kliszko wieczorem w ciągu 2 godzin stwierdzamy, że „daleko idące zastrzeżenia” dają się usunąć paroliniowymi skreśleniami (zastrzeżenia do oficjalnie – zamierzonych, faktycznie – zdecydowanych kierunków rozwoju motoryzacji) i modyfikacjami sformułowań (proporcje nakładów na przemysły wydobywcze i przeróbcze). Nie opisuję przebiegu Kongresu, którego jasnym akcentem było spotkanie I Sekretarza KC z grupą „inżynierów polonijnych”. Z niedobrą atmosferą wytworzoną dokoła VI Kongresu Techników Polskich, która znalazła wyraz w niektórych komentarzach prasowych, a którym mogły dać asumpt pewne nie dość jasne sformułowania podsumowania prof. Jana Kaczmarka, stoi w wyraźnej sprzeczności fakt, że istotne elementy Uchwały Kongresu, znalazły potwierdzenie w Uchwałach VI Zjazdu PZPR. Nota bene uchwała doredagowywana była pod moim przewodnictwem do trzeciej rano 4 września i – chwała poligrafom poznańskim – wydrukowana i zbroszurowana na przedpołudniowe zebranie plenarne Kongresu tegoż dnia z nielicznymi tylko błędami .

**Przewodniczącym Zarządu Głównego NOT**, zostałem wybrany, nie bez zgrzytów, na posiedzeniu Rady Głównej NOT w dn. **05.09.1971 r.**; przewodniczącym Rady Głównej – nieobecny B. Rumiński. Po jego śmierci w październiku tegoż roku, przewodniczącym Rady Głównej został prof. Jan Kaczmarek.

**Stanowisko prezesa NOT**, niejako automatycznie otwierało mi drogę lub **stwarzało konieczność uczestnictwa w szeregu organów kolegialnych charakteru międzyresortowego, stałych komitetów i zespołów ekspertów**. Wymienię przykładowo: Międzyresortowe Kolegium przy Ministrze Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Państwowa Rada Gospodarki Materiałowej, Rada Naukowo-Techniczna przy MON, Państwowy Komitet Ekspertów d/s Planu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju (tutaj również osobowo z uwagi na dawniejsze moje prace) i in. Zwyczajowo również na kolejnym Kongresie Związków Zawodowych zostałem wybrany, jako delegat Związków Zawodowych Metalowców do Centralnej Rady Związków Zawodowych.

W połączeniu z opisanymi przygotowaniem Roku Kopernikowskiego i przygotowaniem do II Kongresu Nauki Polskiej (czerwiec 1973) – gdzie z tytułu moich funkcji notowskich wchodziłem w skład Prezydium Komitetu Organizacji Kongresu, pod przewodnictwem Prezesa PAN prof. Włodzimierza Trzebiatowskiego oraz do Komisji Polityki Naukowej (nazwy nie jestem pewien), pod przewodnictwem Sekretarza Naukowego PAN prof. Jana Kaczmarka – **obciążenie to, jak się miało okazać, przekroczyło moje zasoby sił**. Tuż po zakończeniu II Kongresu Nauki Polskiej **na początku lipca, w czasie oficjalnej wizyty na czele delegacji NOT do Rumunii, schwycił mnie w Bukareszcie dość silny zawał**, który praktycznie kosztował mnie 4 miesiące wyłączenia z normalnych prac.

**Stanowisko przewodniczącego Zarządu Głównego NOT zajmowałem** po upływie 3-letniej kadencji z dwoma przedłużeniami (statutowym i nadzwyczajnym z decyzji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) **łącznie prawie przez 5 lat, do czerwca 1976 r. W tym czasie wszedł w życie nowy statut NOT**, opracowany w okresie mojej kadencji, w którym uproszczona została struktura władz NOT. Skasowany został Zarząd Główny NOT, funkcje wykonawcze objęło Prezydium Rady Głównej NOT. Skład Rady został znacznie ograniczony w stosunku do stanu poprzedniego. NOT-owi został nadany wyraźny charakter federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych, przy równoczesnym wzmocnieniu agend wspólnych całej federacji. Prezesem Naczelnej Organizacji Technicznej (wg nowej nomenklatury statutowej) został doraźnie wybrany jako p.o. przewodniczącego Rady Głównej, prof. Jan Kaczmarek, który łącznie z powołanym również w charakterze p.o. dotychczasowym sekretarzem generalnym (mgr inż. Z. Skierskim) zarządzał sprawami organizacji do czasu uformowania Rady Głównej w nowym składzie statutowym. Nowa Rada wybrała w listopadzie 1976 r. dwunastoosobowe prezydium i prezesa NOT, którym został dotychczasowy przewodniczący Zarządu Głównego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników

Mechaników Polskich (SIMP) inż. Aleksander Kopeć. To samo **zebranie Rady podjęło uchwałę o nadaniu mi (pozastatutowego) tytułu Honorowego Prezesa NOT. W składzie Prezydium RG jestem czynny z mocy statutu jako przewodniczący poprzedniego organu wykonawczego (Zarządu Głównego).** Tak przedstawia się stan mojego aktualnego (sierpień 1978) zaangażowania w NOT, z tym, że pozostałem jeszcze w składzie niektórych organów kolegialnych szczebla rządowego, o których wspomniałem wyżej.

**Najważniejsze wydarzenia okresu mojej „prezesury” w NOT to:**

- a) Wspomniane już przygotowanie i **opracowanie nowego statutu organizacji**, stwarzającego warunki do likwidacji napięć trwających między poszczególnymi stowarzyszeniami naukowo-technicznymi, a łączącą je Naczelną Organizacją Techniczną, której zadania zostały ponownie sprecyzowane uchwałą Biura Politycznego Partii, a następnie Rady Ministrów (1976).
- b) Czynny był **udział NOT w obchodach 500-lecia urodzin Kopernika. Wystawa: Mikołaj Kopernik – Życie i dzieło – zorganizowana przez Muzeum Techniki NOT w r. 1973** była jedną z kluczowych pozycji programu przyjętego przez Warszawski Komitet Obchodów. Na zlecenie Rządu przygotowano odpowiednio zmodyfikowaną replikę tej wystawy, przewidzianą do ekspozycji w USA.

Dzięki kontaktom naszego Muzeum Techniki ze stowarzyszeniem amerykańskich muzeów nauki i techniki uzyskano w wielu miastach Stanów bezpłatne sale wystawowe i częściowo techniczną obsługę, co znakomicie obniżyło dewizowe koszty imprezy. Ta „objazdowa” wystawa, zorganizowana przez Ośrodek Postępu Technicznego NOT, obliczona przede wszystkim na odbiorcę amerykańskiego, spełniła dodatkowo niezwykle doniosłą rolę konsolidacji obywateli pochodzenia polskiego w ich pozytywnych reorientacjach w stosunku do starego kraju. Po inauguracji w Chicago (latem 1973) wystawa przebyła drogę przez Milwaukee, Detroit, Buffalo do Filadelfii już na początku roku 1974. Część jej eksponatów została przekazana dla dalszych akcji propagandowych Ambasadzie PRL w Waszyngtonie (m. in. mniejsza wystawa w Nowym Jorku).

Na zlecenie MSZ Ośrodek Postępu Technicznego NOT przygotował 20 kompletów „plakatowych” wystaw okolicznościowych ilustrujących barwnie dzieje życia i odkryć Mikołaja Kopernika. Wystawa ta składająca się z kilkunastu plansz na estetycznym stelażu, przeznaczona do mniejszych pomieszczeń ekspozycyjnych, wykorzystywana była szeroko przez nasze placówki zagraniczne m.in. w siedzibie

ONZ w Nowym Jorku oraz w UNESCO w Paryżu. Dodatkowy zestaw obiegił również wiele miast Polski.

Ten sukces naszej planszowej wystawy spowodował później powierzchnie O.P.T. NOT przygotowywanie „opraw plastycznych” z racji różnych imprez zagranicznych, również związanych z wizytami politycznymi najwyższego szczebla. Dzięki moim osobistym kontaktom z dr Rytlem i prezesem Kobalińskim, udało się za pośrednictwem NOT, w powiązaniu z akcją wystawową, rozwiązać korzystnie impas, jaki powstał w pewnym momencie w związku z ufundowaniem przez Polonię Amerykańską dla miasta Chicago kopii pomnika Kopernika stojącego przed Pałacem Staszica w Warszawie. Dzięki temu możemy oglądać w centralnym widokowo miejscu Chicago wierną podobiznę naszego warszawskiego pomnika Kopernika, wykonaną rękami pracowników dawnego zasłużonego Zakładu Braci Łopieńskich, z polskimi m.in. inskrypcjami na cokole.

- c) **Udało mi się utrzymać**, tak zrozumiałe za czasów Bolesława Rumińskiego, wybitnego działacza partyjnego i państwowego, **dobre stosunki i należyte zrozumienie spraw NOT w kierownictwie partyjnym i rządowym**. Wynikiem tego były spotkania i wspomniane uchwały Biura Politycznego i Rządu z r. 1976.
- d) Poważnym zadaniem, jakie stanęło przed władzami NOT, było podjęcie działań **przystosowania organizacji terenowej NOT** (oddziały wojewódzkie i stosunkowo nieliczne oddziały terenowe) **do nowego podziału administracyjnego kraju**. Akcja została podjęta prawidłowo. NOT jest dzisiaj reprezentowana przez swoje oddziały lub komisje organizacyjne oddziałów we wszystkich województwach.
- e) Ostatnią wielką pracą mojej kadencji było **przewodnictwo Komitetu Organizacyjnego VII Kongresu Techników Polskich**, imprezy tradycyjnie wspólnej: Polskiej Akademii Nauk, Wyższego Szkolnictwa Technicznego, Centralnej Rady Związków Zawodowych, organizacji młodzieżowych i Naczelnej Organizacji Technicznej. Praktycznie cały trud organizacji kolejnych kongresów spadał na NOT, a przewodniczącym komitetu przygotowawczego był z reguły aktualny Prezes (Przewodniczący Zarządu) naszej organizacji. Stąd też w świadomości społecznej traktowano często kongresy techników jako kongresy NOT, mimo, że takiej instancji statutowej organizacja nie posiadała. Również w przypadku VII Kongresu Techników Polskich cały trud merytorycznego i technicznego przygotowania spadał na komitet organizacyjny i jego prezydium pod moim przewodnictwem oraz na sekcje problemowe kierowane przez wybitnych aktywistów notowskich stowarzyszeń



naukowo-technicznych. O trudnościach prac przygotowawczych niech świadczy fakt, że Kongres miał się odbyć według początkowych zamierzeń we wrześniu 1975 r. w Krakowie, a doszedł do skutku, po dwukrotnych zmianach terminu, w marcu 1977 r. w Warszawie, już za prezesury inż. Aleksandra Kopcia. Merytoryczne treści i propagandowa waga kongresów techników, związana z formowaniem i realizacją kolejnych planów rozwoju naszej gospodarki i społecznego ich ukierunkowania przez najwyższe instancje (zjazdy) Partii czyni zrozumiałym ten fakt. Najwyżsi przedstawiciele Partii i Rządu nie mogli (jak to było zawsze w zwyczaju na poprzednich kongresach) stanąć przed blisko 3-tysięcznym audytorium bez sprecyzowanego stanowiska w sprawie manewru gospodarczego, który musiał być dokonany w latach 1975-1977. Kolejne opracowania materiałów przez sekcje problemowe komitetu organizacyjnego Kongresu były dostarczane Rządowi i kierownictwu politycznemu. Wiele elementów tych opracowań znalazło odbicia w uchwałach VII Zjazdu Partii, tak jak uchwały samego Kongresu (1977 r.) znalazły potwierdzenie w dokumentach II konferencji partyjnej (1978 r.).

## **2. Uzupełnienie do „dat i faktów z życia” (lata 1978-1982)<sup>30</sup> opracowane przez córkę Jerzego Bukowskiego**

Jerzy Bukowski swoje „Zapiski pamiętnikarskie” zakończył na 1978 roku. Umarł 1 czerwca 1982 roku i do końca życia intensywnie pracował, mimo coraz gorszego stanu zdrowia. Niestety nie podjął napisania rozdziału „Miodowa – Wiejska”, albo inaczej „Rada Główna Szkolnictwa Wyższego – Sejm”, co było Jego zamiarem. Ciągłe całe swoje siły poświęcał aktualnym, palącym sprawom publicznym.

Postaram się w skrócie podać „daty i fakty” z ostatnich lat Jego życia w oparciu o dokumenty i osobiste notatki oraz charakterystykę Jego i Jego działalności przez osoby bezpośrednio tę działalność obserwujące.

**Aktywność publiczna Jerzego Bukowskiego po roku 1978 związana była głównie z funkcją posła na Sejm PRL.** Bezpartyjnym posłem był przez 6 kadencji: II, III, IV, VI, VII, VIII od 1957 r. z przerwą w latach 1969-1972 (skrócona kadencja V). W Sejmie

---

<sup>30</sup> Dotyczy okresu życia Jerzego Bukowskiego po śmierci żony (1977 r.), po przeprowadzce z terenu Politechniki (Nowowiejska 24) do odzyskanego własnego mieszkania (Filtrowa 75) aż do śmierci.

reprezentował zawsze racje obywatelskie i ogólnopństwowe, tak jak je rozumiał. Czynił wszystko aby umacniać suwerenne prawa Sejmu, praworządność i demokrację.

Wszyscy podkreślali autorytet jaki posiadał, Jego mądrość i rozwagę, bezkompromisowość i odwagę cywilną. Twierdzono, że mimo iż był bezkompromisowy w zasadniczych kwestiach, umiał tworzyć klimat łagodzący napięcia przez konstruktywne, głęboko przemyślane propozycje i wnioski. Był gorącym rzecznikiem dialogu i negocjacji.

**Na VIII kadencję Sejmu wybrany został 23 lutego 1980 roku z Okręgu Wyborczego Nr 55- Radom. Wybrany był do Komisji Nauki i Postępu Technicznego, Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów oraz Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej.**

Przedstawię szczegółowiej niektóre fragmenty Jego działalności sejmowej w oparciu o stenogramy z posiedzeń plenarnych.

**W wystąpieniu na sesji poświęconej dyskusji nad informacją Rządu „O aktualnej sytuacji w rolnictwie i zamierzeniach w zakresie gospodarki żywnościowej”, 20 listopada 1980 roku**, poddał ostrej krytyce stanowisko rządowe. Uważał za karygodny pomysł niszczenia prosiąt w bieżącym i najbliższym kwartale, a „zagospodarowania ich” dopiero od drugiego kwartału 1981 roku, ze względu na rzekomy brak paszy. Widział rozwiązanie w usprawnieniu zbierania odpadów żywnościowych (m.in. chleba) oraz wykorzystaniu odpadów kuchennych. Podkreślał konieczność stworzenia warunków najefektywniejszego gospodarowania 6 milionom gospodarstw indywidualnych, z których niektóre nie posiadają nawet własnej siły pociągowej. Wystąpienie zakończył wnioskiem skierowanym do Premiera o zmianę na stanowiskach ministra rolnictwa i ministra skupu i przemysłu spożywczego. Wystąpienie to spotkało się z dużym odzewem społecznym. Cytaty z listów obywateli z tym związane:

- „Dał Pan wyraz temu, o czym myśli większość społeczeństwa. Pańskie wystąpienie zostało przyjęte dziwnie przez posłów, lecz oklaski były w polskich domach.”
- „W Panu i Panu podobnych dalsza nadzieja na odnowę.”

**10 kwietnia 1981 r. w obszernym wystąpieniu na posiedzeniu plenarnym Sejmu poświęconym dyskusji nad informacją Rządu o aktualnej sytuacji kraju apelował o:**

**„zadośćuczynienie oczekiwaniom mas chłopskich w zakresie samorządności ich organizacji zawodowych”.** Było to przed zalegalizowaniem „Solidarności Wiejskiej”<sup>31</sup>.

Z tytułu członkostwa w Komisji Nauki i Postępu Technicznego oraz Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów **uczestniczył w pracach Komisji Reformy Gospodarczej** (powołanej po podpisaniu Porozumień Sierpniowych 1980 roku) **przy opracowywaniu ustaw „o przedsiębiorstwach państwowych” i „o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego”.** Były to bardzo ważne ustawy, zmieniające ustrój gospodarczy kraju. Zostały uchwalone przez Sejm we wrześniu 1981 roku i dały początek dalszym zmianom.

Jerzy Bukowski ostro krytykował nieprawidłowości proceduralne, takie jak niedostarczanie posłom materiałów w właściwym terminie, niewłaściwa kolejność rozpatrywania wniesionych przez Rząd projektów ustaw, które doprowadzały do deformacji stanowisk komisji branżowych. Ponadto stwierdzał, że „odnowa polegać musi na wyłączeniu władczego pośrednictwa organów partyjnych w relacjach Rząd-Sejm”.

**W wystąpieniu na sesji Sejmu 3 lipca 1981 roku zwracał uwagę na szereg spraw takich jak:**

- niedosyt merytorycznej dyskusji nad projektami ustaw o przedsiębiorstwach i samorządzie
- konieczność wykorzystania okresu przejściowego, przed wprowadzeniem zreformowanej struktury gospodarczej, do przygotowania do zmian
- konieczność ustosunkowania się do samorzutnie powstałych struktur gospodarczych w przemyśle (samorządy, tzw. „sieć”)
- konieczność włączenia do działania sił społecznych (m.in. NOT), a nie montowanie nowych jednostek państwowych do nowo powstających zadań. Potrzeba ustanowienia stosunków partnerskich między nowymi resortami, a organizacjami społecznymi, które nie mogą występować w roli petentów
- specyfika służb ogólnotechnicznych powiązanych z różnymi resortami oraz urzędów mających powiązanie międzynarodowe.

**Na posiedzeniu Sejmu 24 września 1981 roku wiele uwagi poświęcił ocenie stanowiska i postępowania Solidarności.**

---

<sup>31</sup> Zob. aneks 2.

Zgodnie ze swoimi przekonaniem krytycznie odnosił się do działań zagrażających socjalizmowi w Polsce. Równocześnie zdecydowanie wypowiadał się za pogłębieniem systemu konsultacji ze społeczeństwem i dążeniem do uzgadniania działań rządowych i społecznych w realizacji reformy gospodarczej. Wysoko oceniał wkład działaczy tzw. sieci Solidarności w budowę samorządów przedsiębiorstw oraz „ich wsparcie w szukaniu porozumienia przy końcowej redakcji ustawy i w dążeniu do jej uchwalenia”.

**W 1981 roku Jerzy Bukowski interweniował w sprawach związanych z energetyką jądrową.** Podkreślał, że bilans energetyczny Polski może być w przyszłości zrównoważony tylko w warunkach stopniowo wzrastającego wykorzystania paliwa jądrowego. 28 lipca 1981 roku złożył interpelację do ówczesnego Ministra Górnictwa i Energetyki. 27 lutego 1982 roku jako poseł sprawozdawca przedstawił Sprawozdanie Komisji Nauki i Postępu Technicznego oraz Komisji Prac Ustawodawczych o rządowym projekcie ustawy o utworzeniu Państwowej Agencji Atomistyki. W marcu 1982 roku otrzymał od wybitnego fizyka jądrowego, twórcy pierwszego Zakładu Fizyki Jądrowej w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, doktora honoris causa AGH, prof. Mariana Mięśowicza podziękowanie „za wszystko, co zrobił dla polskiej atomistyki”.

**Pod koniec 1981 roku Jerzy Bukowski razem z Rektorem Politechniki Warszawskiej prof. Władysławem Findeisenem<sup>32</sup> angażował się w sprawę rozwiązania konfliktu w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu.** Podkreślał szkodliwy wpływ włączenia się Wydziału Nauki Komitetu Centralnego PZPR w ten konflikt.

**W listopadzie 1981 roku został powołany przez Radę Państwa na członka Kolegium Najwyższej Izby Kontroli.** Po poddaniu w 1977 roku NIK-u zwierzchności Prezesa Rady Ministrów, zamiast – jak wcześniej – Sejmowi, Jerzy Bukowski należał do grupy posłów zdecydowanie krytykujących to i postulujących przywrócenie wcześniejszego stanu rzeczy. W październiku 1981 r., w ramach odnowy, Sejm uchwalił poprawkę przywracającą zwierzchnictwo Sejmowi nad NIK-iem i ustanawiającą, że NIK działa na zasadach kolegalności. Część członków Kolegium powoływała Rada Państwa.

---

<sup>32</sup> Władysław Findeisen – elektronik-automatyk, rektor Politechniki Warszawskiej w latach 1981-1985.

Poza działalnością związaną bezpośrednio lub pośrednio z funkcją posła, po roku 1978 Jerzy Bukowski **wchodził w skład szeregu komisji, komitetów i rad**. W większości stanowiło to przedłużenie wcześniejszych powołań. Były to:

- Rada Naukowa Instytutu Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN
- Komitet Mechaniki PAN
- Rada Redakcyjna Wydawnictwa „Zagadnienia Naukoznawstwa”
- Wyższa Komisja Dyscyplinarna dla pracowników naukowo-badawczych zatrudnionych w resortowych instytutach podległych Ministerstwu Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki (Przewodniczący)
- Komitet Nagród Państwowych
- Zespół Naukowy ds. Historii Politechniki Warszawskiej
- Rada Ministerstwa Obrony Narodowej ds. naukowo-technicznych
- Reaktywowane 6 maja 1981 roku Towarzystwo Naukowe Warszawskie.

Z wielu innych stanowisk stopniowo się wycofywał.

**W dalszym ciągu angażował się w sprawy Naczelnej Organizacji Technicznej jako Prezes Honorowy**. Zdażył złożyć w Sejmie w imieniu NOT-u projekt ustawy o statusie technika oraz rekomendować memoriał o sytuacji inżynierów.

Na końcu należy wspomnieć **prace Jerzego Bukowskiego o charakterze zawodowym** w ostatnim okresie życia:

- W 1980 roku został wydany przez PWN **podręcznik „Kurs Mechaniki Płynów” autorstwa Jerzego Bukowskiego i Piotra Kijkowskiego** (zmodyfikowany skrypt z 1973 r.).
- W 1986 roku została wydana przez Wydawnictwo MON **książka „Napęd śmigłowy – Teoria i Konstrukcja” autorstwa Jerzego Bukowskiego i Wiesława Łucjanka**. Pracę nad książką autorzy rozpoczęli wspólnie w 1981 roku. Po śmierci Jerzego Bukowskiego ukończył ją i oddał do druku w 1984 roku doc. Wiesław Łucjanek.

Zachowany kalendarz z 1981 roku jest w całości wypełniony terminami spotkań, wyjazdów i posiedzeń, jedynie z przerwami na pobyty w Lecznicy Ministerstwa Zdrowia w Warszawie, Świdrze i Konstancinie.

Warszawa 4 sierpnia 2012 r.

Marta Bukowska-Korol

### **3. Deklaracja ideologiczna**

#### ***Sierpień 1980 r.***

Jestem bezpartyjny, co nie oznacza indyferencji politycznej. Z domu wyniosłem lewicowe ukierunkowanie. Moja Matka była aktywną działaczką P.S.L. „Wyzwolenie” w okresie formowania tego ruchu. Po roku 1926 pracowała w kołach gospodyń wiejskich. Mój rodowód drobnoziemiański powstrzymał mnie od wstąpienia do partii. Przyjaciele, komuniści z okresu przedwojennego, raczej utwierdzili mnie w tej decyzji, upatrując we mnie cechy indywidualizmu inteligenckiego i staro-patriotycznych postaw (dziadek powstaniec 1863 r.), które przeszkodziłyby mi w podporządkowaniu dyscyplinie partyjnej. Dlatego też aprobując zmiany jakie przyniosła Polska Ludowa w dziedzinie społecznej, pozostałem poza partią, co nie przeszkadzało mi włączyć się intensywnie w budowę socjalistycznego porządku w kraju. O związaniu się z innymi stronnictwami politycznymi nigdy nie myślałem, mimo pewnych nacisków jakie były na mnie wywierane. Z tym wszystkim nie unikałem po pierwszych dziesięciu latach pracy w Polsce Ludowej zaangażowania się politycznego na szerszym od zawodowego obszarze. Moja rozwinięta działalność społeczna była niejako zjawiskiem wtórnym, wynikającym z pozycji w pracy zawodowej (Politechnika i popularność wśród młodzieży studenckiej) i politycznej (długotrwałe posłowanie).

### III. POLITECHNIKA

#### 1. Studia

*Warszawa, lipiec 1967*

Rozpocznę więc moje pisanie od końcowych dni września 1921 r., kiedy to w mundurze harcerskiego przodownika stanąłem pierwszy raz na placu przed **Politechniką**. Plac Politechniki – tak go nazywano. Sam Gmach Główny, o elewacji identycznej z obecną, tyle że bardziej przybrudzoną, nosił – o ile pamiętam – tzw. numer policyjny „Polna 3”. Plac, na którym leżała wówczas pętla końcowa linii tramwajowej nr 17, biegnącej przez całe miasto od Dworca Gdańskiego do nie w pełni jeszcze zabudowanej ulicy Śniadeckich, nie miał wówczas oficjalnej nazwy. Od południa, tam gdzie dziś stoi budynek Elektroniki, leżał tor wyścigów konnych. Przy dzisiejszym zbiegu ul. Waryńskiego z ul. Batorego, niedaleko miejsca, gdzie ma stanąć pawilon Inżynierii Chemicznej, leżały na skraju lotniska Centralne Warsztaty Lotnicze, późniejsze Państwowe Zakłady Lotnicze. Odcinek dzisiejszej alei Niepodległości między ul. Koszykową i dzisiejszą ul. Wawelską – stanowiąca przedłużenie ul. Chałubińskiego ul. Topolowa, prowadziła do drewnianego baraku portu lotniczego na północnym obrzeżu lotniska rozciągającego się na południe do dzisiejszej ul. Batorego. Teren Politechniki kończył się na linii dzisiejszego rozgraniczenia Gmachu Aerodynamiki i domu mieszkalnego (ul. Nowowiejska 22), na tyłach Gmachu Fizyki, obejmując dalej część terenu wzdłuż ul. Koszykowej aż do zachodniej granicy usytuowania drugiego domu mieszkalnego (ul. Koszykowa 75). Na tym terenie nie było jeszcze gmachu tzw. Nowej Kreślarni i tej części Gmachu Głównego, w której narożniku leży obecnie sala posiedzeń Senatu. Brak było również jednopiętrowego budynku – dobudówki do Zespołu Mechaniki od strony ul. Nowowiejskiej (zniesionego w r. 1969)<sup>33</sup>. Tereny zajęte dzisiaj przez budynki Aerodynamiki i Elektrotechniki były plantacjami miejskimi przejętymi pod zabudowę dopiero w r. 1925. Później jeszcze powstał Gmach Technologii Chemicznej w narożniku ulic Topolowej i Koszykowej. **W tym czasie (po r. 1925) Politechnika ograniczona została ulicami Nowowiejską, Topolową, Koszykową, dzisiejszą Noakowskiego i placem, o którym mowa na wstępie.** Dwudziestoparoletnie drzewa nie oceniały, jak dziś, fontanny między gmachami Fizyki, Chemii oraz Mechaniki z przyległymi do niego budynkami kotłowni oraz pawilonem laboratoriów wytrzymałości

---

<sup>33</sup> Na tym miejscu stanął gmach Inżynierii Sanitarnej i Wodnej.

materiałów i obróbki metali. Ta przestrzeń, przez przeciąg kilkunastu lat, miała pozostać miejscem moich studiów i pracy.

Nie sprawdzone wieści o egzaminie wstępnym, konkursie matur czy innych jeszcze sposobach wstępnej eliminacji nadmiernej liczby kandydatów okazały się nieprawdziwe. W tym pierwszym powojennym roku przyjęto wszystkich kandydatów na I rok studiów. Liczbę studentów pierwszych lat studiów pomnożyli ci, którzy wskutek wojny przerwali studia w r. 1919/1920.

**Przeważająca część III piętra Gmachu Głównego, łącznie z tzw. Krzywą Kreślarnią, zajęta była przez studentów pierwszego roku wydziałów Mechanicznego, Elektrycznego i inżynierskich.** Tutaj w ciasnocie, stół przy stole, deska przy desce, rysowaliśmy nasze arkusze geometrii wykreślnej i kreśleń technicznych.

Z uroczystości inauguracyjnych utkwił mi w pamięci akt immatrykulacji w ówczesnym audytorium III (dziś audytorium I piętra za Kwesturą). Sekretarz Politechniki, p. Władysław Pobóg-Pągowski we wspaniałym wiśniowym krawacie zapowiedział przybycie Jego Magnificencji Rektora prof. Leona Staniewicza i objaśnił, w jaki sposób mamy uściskać jego czcigodną prawicę na znak ślubowania. Żywo mam w pamięci zatłoczone audytoria Gmachu Głównego, a także wielkie audytoria Fizyki i Chemii, gdzie słuchali wspólnych wykładów studenci kilku wydziałów. Z tych to wykładów pierwszego roku zapamiętałem wielu studentów innych wydziałów, m.in. późniejszych profesorów Stanisława Kuhna i Zbigniewa Wasiutyńskiego. Laboratoria chemiczne i fizyczne. To nie był łatwy rok. Z kolegów gimnazjalnych – było ich chyba ośmiu – którzy rozpoczęli studia na wydziałach Mechanicznym i Elektrycznym (bardzo wiele zajęć było wspólnych, jako że wydziały te rozdzieliły się praktycznie dopiero od tego właśnie roku), po pierwszym roku zostało nas trzech. Z Wacławem Tarnowskim utrzymałem kontakt do czasu, kiedy mnie po III roku wyprzedził. W szkole należeliśmy do czołowych matematyków. Jego syntetyczny umysł lepiej go predysponował do studiów technicznych. Szczerze przyznam, że tylko dzięki wspólnemu uczeniu się z nim udało mi się piątkowo zdać egzamin (jakże ważny po pierwszym roku!) z geometrii wykreślnej. Pamiętam jeszcze dziś wyraz twarzy prof. Garlickiego i ówczesnego asystenta Zdzisława Rytla, kiedy po wymianie spojrzeń postawiono mi piątkę na rysunku trudnego zadania egzaminacyjnego.

**Profesorowie, asystenci** – prawie każdemu z nich należałoby się dobre słowo, choć niejednakowo byli lubiani. **Matematyk profesor Juliusz Rudnicki** (od 1923 r. profesor



Uniwersytetu Wileńskiego) zwrócony do audytorium mówił zazwyczaj z zamkniętymi oczyma. Jego świetne wykłady zapewniały zawsze pełne audytorium. Jego asystenci to: Stefan Kulczycki (u którego odrabiałem ćwiczenia) – miał zwyczaj włożyć zawsze za sobą kij do podnoszenia tablicy i mówił przeciągle przez nos oraz głośni później matematycy Antoni Sachs i Antoni Zygmund.

Ćwiczenia z geometrii wykreślnej odrabiałem u późniejszego kolegi z pracy w Instytucie Aerodynamicznym, a po wojnie kolegi wydziałowego, Zdzisława Rytla. Pamiętam nasze zdumienie, kiedy w tym „pierwszym po Bogu” odkryliśmy na krążanku Gmachu Fizyki studenta III roku naszego Wydziału, który robił tam swój projekt kotła (chyba kotła?). **Barokowa postać prof. Stanisława Garlickiego**, późniejszego mojego szefa w okresie asystentury przy **Katedrze Geometrii Wykreślnej**, wymagałaby dłuższego studium. Może powrócę do tej pięknej postaci. Mówił o sobie później, już za czasu kiedy miałem objąć asystenturę po (późniejszym) profesorze Rytlu, odchodzącym do Fabryki Parowozów w Chrzanowie: „Proszę pana, kiedy pan mnie znał (jako student) byłem już starym człowiekiem, ale młodym profesorem, teraz...” Ten „młody” Profesor okazywał nieprawdopodobną życzliwość studentom i wkładał bardzo wiele osobistego wysiłku w prowadzenie zajęć i w zainteresowanie nas przedmiotem.

**Ozdobne wykłady chemii** ogólnej mojego krajana z Kielc, **prof. Ludwika Szperla**<sup>34</sup>, gromadziły studentów pięciu wydziałów. W ogóle, szczególnie w I semestrze, sprawa zapewnienia sobie miejsca, i to nie na schodkach lub przystawnych taboretach (które wynajmowali woźni), była sztuką nie lada, wymagała porozumień i współdziałania w grupach, najczęściej szkolnych kolegów trzymających się razem.

**Fizykę wykladał przystępnie zastępca profesora Marian Grotowski. Piszę „przystępnie”, gdyż jego następca na Katedrze Fizyki I, prof. Mieczysław Wolfke**, prowadził wykład stosując nieznaną nam z analizy zapis wektorowy – co oczywiście redukowało, pomimo świetnej strony demonstracyjnej, przyswajalność jego wykładu.

Oddzielna karta należy się postaci prof. **Zygmunta Straszewicza pierwszego rektora Politechniki w r. 1915/1916. Jego trzysemestrowy wykład mechaniki (statyka, „cynematyka”, dynamika)** z oddzielnymi egzaminami z każdej części był dla wielu torem

---

<sup>34</sup> Ludwik Szperl – chemik, profesor, w latach dwudziestych XX wieku dziekan Wydziału Chemicznego, w latach 1926-1928 rektor Politechniki Warszawskiej.

przeszkód nie do przebycia. Historia Politechniki zna przypadki studentów, którzy przez każdy z tych egzaminów przechodzili 3-krotnie: 2 nieudane egzaminy + egzamin komisyjny. Asystentem, u którego odrabiałem ćwiczenia z mechaniki, był Stefan Neumark, późniejszy kolega w Instytucie Aerodynamicznym. Wysoki, już wówczas łyśawy, miał charakterystyczny sposób patrzenia „spod binokli” na spis grupy. „Przypadkowo” wzywał do tablicy najpierw wszystkich nieobecnych, co w niektórych przypadkach dawało pokazną kolekcję zer, z których niełatwo było wytłumaczyć się przy zaliczeniu. Ćwiczenia z mechaniki prowadził także inż. Zygmunt Nowak, równocześnie adiunkt w Katedrze Geometrii Wykreślnej. Pochodziło to prawdopodobnie stąd, że prof. Straszewicz przez krótki okres po 1915 r. prowadził wykłady z geometrii wykreślnej. Nie sposób pominąć charakterystycznej sylwetki **inż. Mieczysława Kanigowskiego, u którego odrabiałem kreślenia techniczne**. Przez wiele lat potem widywałem go jeszcze na Politechnice, choć już wówczas, w 1921 r. wydawał mi się mocno starszym panem. Pamiętam zabawny incydent: oceny z kolejnych arkuszy nie wróżyły mi z pewnością czwórkowego zaliczenia. W takich sytuacjach było w zwyczaju branie prac dodatkowych. Zwróciłem się w tej sprawie do Mieczysława Kanigowskiego. Sięgnął do skrzyni z modelami i wyciągnął stamtąd korbówód polecając mi na miejscu zrobić szkic. Zacząłem od zaznaczania osi obejm czołów. Przerwał mi rysowanie, zaprowadził do adiunkta prowadzącego kreślenia inż. Edmunda Mariana Michalskiego (czyściutkiego, gładko zawsze zaprasowanego pana w „ćwikerze” – w przeciwieństwie do inż. M. Kanigowskiego zawsze wygniecionego i z usmarowanymi od modeli rękoma), mówiąc: „Panu Bukowskiemu można postawić czwórkę”. Dlatego drażni mnie do dziś, jeżeli ktokolwiek szkicując nie zaczyna od zaznaczenia osi symetrii.

Wspomniałem o prof. Ludwiku Szperlu. Żałuję, że nie słuchałem w następnym semestrze nieobowiązkowego dla nas ogólnego wykładu chemii organicznej, choć Profesor zachęcał stwierdzając, że ma wątpliwości czy można nazwać inteligentnym człowieka nie wiedzącego skąd się biorą dziurki w chlebie.

W tym właśnie drugim semestrze odrabiało się bardzo **przyzwoite laboratorium chemiczne** z kilkunastoma zadaniami analitycznymi. Bardzo lubiłem to laboratorium. **Prowadził je inż. Wacław Szwer**, długoletni przewodniczący Stowarzyszenia Asystentów Politechniki Warszawskiej.

*Los tak zrzędził, że już w sześćdziesiątych latach zetknąłem się ze sprawą niesłusznych zakusów na pozbawienie praw spółdzielczych grupy mieszkańców jednego z domów przy*

*ul. Grójeckiej. Wtedy właśnie inż. Waclaw Szwer był inicjatorem zwrócenia się do mnie jako piosła o obronę słusznych praw. Podobno pamiętał mnie jako studenta. To, że ja go pamiętałem, to nie dziwne. Choć później, kiedy przez 5 lat byłem asystentem przy Katedrze Geometrii Wykreślnej, i co roku przechodziło przez moje ręce 100 studentów (tak to było w tych czasach: dwóch asystentów obsługiwało, i dobrze obsługiwało 200 studentów z przedmiotu, który w owym czasie był kluczowym rygorem I roku) – dziesiątki z nich pamiętałem z imienia i nazwiska po wielu latach. Oczywiście najłatwiej, poza przypadkami szczególnymi, pozostają w pamięci najlepsi i najgorsi. Ja u Szwera byłem chyba tym dobrym, bo – jak wspominałem – lubiłem laboratorium chemiczne.*

Pamięć nie dopisuje mi w szczegółach i nie pamiętam czy **wykład metaloznawstwa prof. Witolda Broniewskiego** przypadła na drugim czy na trzecim semestrze<sup>35</sup>. Obok mechaniki metaloznawstwo było tą wysoką przeszkodą, którą trzeba było przejść w drodze do półdyplomu.

Profesor Witold Broniewski, głośny ze swych poprzednich prac naukowych we Francji, (lubił mówić „ja i Le Chatelier”) w Polsce był niewątpliwie twórcą nowej dyscypliny. Dał mikroskop w ręce studenta. Rygor panował w tej Katedrze niesłychany. Adiunktem za czasów, kiedy odrabiałem laboratorium metalurgiczne, był późniejszy profesor AGH Aleksander Krupkowski. On i asystenci byli w naszych studenckich oczach tylko cichymi wykonawcami dyrektyw „straszego Broniewskiego”. Miałem z nim mały incydent w czasie egzaminu, do którego przystąpiłem dobrze przygotowany. Nota bene, prof. Broniewski nie lubił, kiedy podawało się w strukturze stopów dokładne ilości składników, trzeba było, mając przed oczyma liczby, często ułamkowe, mówić poza składnikiem podstawowym, „kilka procent „A”, parę procent „B”, ułamek procentu „C”. Otóż Broniewski patrząc na moją pracę pisemną (egzamin był pisemny 3 godzinny w dużym audytorium chemicznym oraz ustny w ponurym pomieszczeniu Katedry w podziemiu Gmachu Chemii – czarne tablice z białą lub kolorowo naniesionymi wykresami stopów dodawały tej właśnie ponurości) zwrócił się do mnie: Cóż to pan wypisał w odpowiedzi na trzecie pytanie? Wystraszyłem się tym więcej, że wiedziałem, iż odpowiedź była prawidłowa. Otóż chodziło właśnie o to, że składniki podałem liczbowo, a nie „parę”, „kilka” procent. Moje spokojne stwierdzenie, że o ile pamiętam nie popełniłem błędu rozładowało prof. Broniewskiego – postawił mi czwórkę i pożegnał. Dokoła prof. Broniewskiego krążyło wiele historii prawdziwych

---

<sup>35</sup> W 1921/1922 r. wykład „metalurgii” odbywał się na semestrze drugim, a w następnych – na czwartym.

i nieprawdziwych. Był oficer, wrócił po wojnie do kraju z wojskiem gen. Józefa Hallera, bywał agresywny, a już na pewno nie darował żadnego prawdziwego lub nawet urojonego uchybienia w stosunku do swej osoby. Podobno często się pojedynkował. Świetnie strzelał z pistoletu. Opowiadano taką historię. W czasie pobytu nad morzem (trudno na plaży odróżnić profesora) naraził się Broniewskiemu jakiś student. Sprawa. Pojedynek. Sekundanci studenta starają się załagodzić sprawę w trosce o kolegę. Broniewski przez swych zastępców uspokaja stronę przeciwną „Niech się nie niepokoją, ja mu tylko biceps przestrzele”. Tak się podobno stało. (Se non è vero...) Był podobno dobrym człowiekiem. Przeskakując kilkanaście lat, nie zapomnę mojego kolokwium habilitacyjnego w 1938 roku. Dziekan prof. Witold Pogorzelski i zadający zasadniczo pytania prof. Gustaw Mokrzycki i prof. Czesław Witoszyński siedzieli po przeciwnej stronie stołu. Obok mnie siedzieli prof. Wiesław Chrzanowski<sup>36</sup> i chyba właśnie prof. Broniewski. W pewnej chwili, kiedy odpowiadałem na kolejne pytanie, prof. Broniewski zwraca się do dziekana „Myślę, że już możemy przerwać kolokwium”. Miało to sens pozytywny, ale było wypowiedziane wprost opryskliwie. Siedzący przy mnie profesor Wiesław Chrzanowski (ten ostry Chrzanowski!) z uśmiechem, który mi na zawsze pozostał w pamięci, zareplikował: „Może jednak pan inżynier skończy odpowiedź. Mnie to interesuje”. Czy go rzeczywiście interesowało? Ale to była wysoka klasa człowieka. W ostatnich latach przedwojennych rozgorzał konflikt prof. Broniewski – prof. Jan Czochralski<sup>37</sup>. Tutaj chyba jednak moje sympatie były po stronie Broniewskiego. Stanowił on niewątpliwie pozycję w nowoczesnej technologii metali w naszym kraju.

Ten ześlizg na przegląd moich nauczycieli, aby dojść do pół-dyplomu, trzeba jeszcze uzupełnić dwoma nazwiskami, ściślej może dwiema katedrami. **Profesor Michał Broszko objął Katedrę Części Maszyn** wkładając wiele energii w zmodernizowanie wykładu tego przedmiotu. Równocześnie postawiono wysokie wymagania pracom projektowym z tego przedmiotu. Nikt nie pytał skąd mieliśmy znać metody obróbki kół zębatych i stosowania właściwych materiałów. Nie zaznaczone zaokrąglenia w narożach odlewów, nie wyrysowana w prawidłowy sposób śruba i nakrętka – wszystkie takie przewiny pozostawiały ślad smolącego ołówka najgroźniejszego z asystentów inż. Romana Kowalskiego. Uczyliśmy się wiele, ale korekty to była prawdziwa katorka. Dość, że doszło do jedyne, jaki pamiętam, strajku studenckiego. Kowalski został wycofany z bezpośrednich kontaktów ze studentami.

---

<sup>36</sup> Wiesław Chrzanowski – profesor zwyczajny Katedry Maszyn i Turbin Parowych na Politechnice Warszawskiej. Rektor PW w latach 1932/33.

<sup>37</sup> Jan Czochralski, wybitny metaloznawca, powróciwszy do Polski po długim pobycie w Niemczech, objął w 1930 r. Katedrę metalurgii i metaloznawstwa na Wydziale Chemicznym PW.

Inż. P. Martin, inż. W. Uściński, R. Szarejko i inni, jakkolwiek wymagający, nie zdradzali tych cech, które tak dały się we znaki wielu kolegom w postępowaniu Kowalskiego, zresztą dobrego, tyle że czasem złośliwie surowego nauczyciela konstrukcji. Sam prof. M. Broszko znany był z zachęt przeniesienia się na farmację, udzielanych studentom, którym nie wróżył kariery inżynierskiej. **Po paru latach prof. Broszko objął Katedrę Mechaniki, dzieląc tę dyscyplinę (z włączeniem wytrzymałości materiałów) z prof. Maksymilianem Tytusem Huberem<sup>38</sup>.**

Złoty człowiek, niezwyklej szlachetności, prawości i sprawiedliwości, **prof. Bolesław Tołłoczko** nie był przez nas szczególnie „uważany” na I roku. **Wykładał maszynoznawstwo ogólne.** Robił to poprawnie, a przedmiot nie stanowił takich trudności jak geometria, matematyka i mechanika. Z profesorem Tołłoczko zetknąłem się bliżej jako dziekanem okresu wojennego i jednym z pierwszych po wojnie profesorów restytuowanego Wydziału Mechanicznego w PW. Miałem wówczas możliwość ocenić wysoko jego charakter, dobroć i sprawiedliwość.

Wzmianka, którą tu poświęcę **prof. Bohdanowi Stefanowskiemu**, nie wyczerpuje tego, co przy różnych okazjach będę chciał powiedzieć o tym wspaniałym, choć niekiedy trudnym w kontaktach, człowieku. **Piękny wykład termodynamiki**, rygorystycznie prowadzone ćwiczenia. Zaginięcie, i to w Katedrze, jednego – na szczęście – tygodniowego zadania domowego kosztowało mnie powtarne odrabianie ćwiczeń; mało razy w życiu miałem uczucie tak głębokiej krzywdy jak wtedy, kiedy prowadzący ćwiczenia inżynier Kieresant-Wiśniewski powiedział mi: „Nie ma zadania, więc go pan nie złożył (1 na 16!)”. Podobnie jak 3 tylko terminy (dni) w roku, w których można było przystąpić do pisemnego egzaminu z metaloznawstwa, takie rygory jak w Katedrze Termodynamiki, trudne byłyby dziś do pomyślenia.

Nie miałem szczęścia w tej Katedrze. Znacznie, znacznie później, choć również nie gładko, zbliżyłem się do prof. B. Stefanowskiego i zyskałem jego pełną życzliwość. Na egzaminie z termodynamiki siedziało nas kilkunastu przy olbrzymim stole pochodzącym jeszcze z umeblowania Warszawskiego Instytutu Politechnicznego im. Cara Mikołaja II (jeszcze dziś ten stół, cudem ocalały, znajduje się w sali I piętra Gmachu Techniki Ciepłej). Skończyłem już moje zadanie, kiedy wystrzelona z przeciwka ściągaczka, przeznaczona

---

<sup>38</sup> Maksymilian Tytus Huber, od 1927 r. profesor mechaniki na Wydziale Mechanicznym PW, był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli nauk technicznych w Polsce.

dla mojego sąsiada z prawej strony (miał inne zadanie niż ja) wylądowała przede mną. Machinalnie nakryłem ją ręką – na ten moment trafił, otwierając drzwi z przeciwną, prof. Stefanowski. Nie będę opisywał szczegółów. Uratował mnie fakt, że miałem już skończone zadanie i to, że byłem (dwa razy odrobione ćwiczenia!) doskonale przygotowany. Stefanowski pytał mnie twardo. Odpowiadałem pewnie. Wreszcie, chyba dla pograżenia albo ostatecznego pozytywnego rozstrzygnięcia, zadał mi pytanie, dlaczego mieszanka spirytusowa pozwala na wyższe kompresje. Na domysł powiedziałem, że to dzięki wodzie konstytucyjnie zawartej w składzie chemicznym alkoholu. Może i tak. Nie było już więcej dyskusji. Niestety, z tego najlepiej chyba w moim życiu przygotowanego egzaminu wyszedłem z czwórką i przeświadczeniem, że nie ma co myśleć o asystenturze w tej katedrze, co było moim cichym zamiarem. Kiedy wiele, wiele lat potem opowiedziałem, a raczej przypomniałem prof. Stefanowskiemu ten incydent, powiedział: „Szkoda”. Tak to urazy powstają nie tylko u dzieci.

Nie można pominąć barwnej postaci **prof. Leona Karasińskiego**. **Katedrę miał** na Wydziale **Inżynierii Lądowej**. Do czasu przyścia na Politechnikę Warszawską prof. Maksymiliana Tytusa Hubera **prowadził** dla wydziałów Mechanicznego i Elektrycznego, **wytrzymałość tworzyw**. Znakomicie zorganizowane ćwiczenia z tego przedmiotu (asystenci: Waław Żenczykowski, K. Kamiński, mgr S. Zaleski – później Antoni Kobyliński) pozwalały prof. Karasińskiemu na słynne ekstrawagancje na egzaminie. (Wpisywanie bez egzaminu ocen obecnym na ostatnim wykładzie, wybieranie według „widzimisień” – ale zawsze z listą zaliczeń przed oczyma, osób, które zwalniał z odpowiedzi, czasem niewybredne dowcipy w stosunku do studentów, a w szczególności studentek itd.).

Nie wolno zapomnieć pięknej postaci **prof. H. Mierzejewskiego**. **Obrabiarki i obróbka metali** wykładane były na V semestrze. Przedmiot łączył się z przyzwoitym (na owe czasy) laboratorium pomiarowym i laboratorium obróbki (jednym ogólnie obowiązującym i dwoma dla technologów). Z osobistych wspomnień o prof. Mierzejewskim (tak przedwcześnie zmarłym) utkwił mi w pamięci egzamin. Zdawałem go na antresoli laboratorium obróbki (spłonęło razem z laboratorium wytrzymałości materiałów we wrześniu 1939 r.). Powstała rozbieżność między mną i Profesorem na temat jakiegoś szczegółu geometrycznego w rysunku wiertła (chyba to o taki szczegół chodziło?). Wreszcie Mierzejewski zgodził się ze mną i wpisał piątkę do indeksu. Spotkał mnie następnego dnia i od razu zaczął: „A jednak nie zawsze jest tak, jak mi pan to wczoraj dowodził”. To była piękna postać. Jest taka cecha, którą przypisywało się kiedyś raczej duchowym przywódcom

i wyznawcom idei – żarliwość. Mierzejewski w pracy swej pełen był właśnie żarliwości. Żarliwości pełnej prostoty.

Słowo dobrego wspomnienia należy się jeszcze **inż. Stefanowi Zientarskiemu, który prowadził odlewnictwo**, i jego sławnemu asystentowi Franciszkowi Kuśmierskiemu, u którego odrabiało się laboratorium formiersko modelarskie. Byli dobrymi nauczycielami rzemiosła odlewniczego.

### ***Lipiec 1968 r.***

*Znów jest lipiec – minął rok i ani razu nie wziąłem do ręki tego zeszytu. Przejrzałem moje zapiski z pierwszych kilkunastu stron. Cóż, będziemy ciągnąć dalej opowieść o szkole. Półdyplom, nie licząc drobiazgów, mamy za sobą.*

**Okres studiów po pół-dyplomie mierzył się pracami przejściowymi. Było ich trzy.** Tak się jakoś ułożyło, że **pierwszą przejściówkę wziąłem u prof. Stanisława Zwierzchowskiego**, głośnego w Ameryce konstruktora turbin wodnych i działacza polonijnego. **Zgrabny projekt pompy odśrodkowej wykonałem w oparciu o luźne notatki i literaturę książkową** (nie słuchałem przedtem wykładów Zwierzchowskiego). No oczywiście: **korekty Profesora to była ta „siła wiodąca”**. Można by dziś z uśmiechem patrzeć na jego wywody teoretyczne w skrypcie, który się później ukazał, ale doświadczenie Profesora i jego „esprit” konstruktorskie dawały w kontaktach z nim świetną szkołę. Po „twardych” częściach maszyn był to dobry krok tego kształcenia inżynierów w oparciu o prace konstrukcyjne, które dawało tak wybitne rezultaty w Politechnice Warszawskiej okresu międzywojennego. **Drugi projekt w Politechnice to budownictwo przemysłowe.** To skromne doświadczenie w konstrukcjach budowlanych wiele autorytetu przysporzyło później w praktyce niejednemu mechanikowi mojego pokolenia.

### ***Sierpień 1969 r.***

*Aż dziw pomyśleć. Znów rok minął. Rok niedobry. Choroby, niełatwe sprawy publiczne. Ale nad wszystkim górująca, czy stąd wynikająca, pierwszy raz wyczuwalna dotkliwie utrata „rozpędu”. Niecałe dwa tygodnie niczym niezakłóconych (miejmy nadzieję) wakacji nad morzem. Spróbujmy „podciągnąć” trochę wspominki z okresu studiów.*

Powracając do projektu z **budownictwa przemysłowego** trzeba wspomnieć nazwisko starszego już wówczas (ok. 1924 r.) pana **prof. Mieczysława Bronikowskiego**.

Anegdotyczną, ale prawdziwą historią było to, że w wykładanym kursie nie zdążył nigdy wyjść poza sposoby wbijania pali (w grząskich gruntach) i przygotowanie żwiru do betonu. Mieliśmy wprawdzie oddzielny przedmiot „**Statyka wykreślna**” (wykładał **prof. Ignacy Radziszewski** z Wydziału Inżynierii Wodnej), która ułatwiała później projektowanie konstrukcji kratowych, ale również tutaj w budownictwie, jak i przy częściach maszyn, nikt nas nie pytał skąd zdobędziemy wiedzę potrzebną do rozwiązania wielu szczegółów projektu. Prawda, byli „przodkowie”, nasi, nie zapominajmy, **znakomici asystenci. Najpierw inż. J. Wlekliński** (zresztą mąż znanej w okresie międzywojennym wróżki, z którą zetknąłem się przypadkiem w interesujący sposób: przepowiedziała mi, że będę profesorem, co nie stanowiło ani wtedy, ani zresztą później moich zamiarów). **Po prof. Bronikowskim** wykład tego przedmiotu objął później, **inż. Stanisław Hempel, późniejszy profesor i znany konstruktor** (o ile Wlekliński pozował na artystę, z długimi włosami i jakąś fantastyczną zawiązką zamiast krawata, Hempel był schludny, nawet elegancki). Wiele im obu zawdzięczali mechanicy kształceni w elementach wiedzy budowlanej. Tak się złożyło, że później, i w czasie pracy u prof. Czesława Witoszyńskiego, i w mojej pracy przemysłowej miałem dość dużo do czynienia z budowaniem. Jednak po tym skromnym projekcie przejściowym nigdy nie byłem surowy w sprawach budowlanych. Stwierdzali to, nie zawsze z zachwytem, zarówno przedsiębiorcy prowadzący budowę, jak i czasem... architekci projektujący i sprawujący nadzór nad budową.

*Lata płyną, a w moich zapisach niewiele przybywa. Trzeba spieszyć się i skracać.*

**Trzeci projekt przejściowy – to turbina parowa u prof. Wiesława Chrzanowskiego**, o którym już wspominałem. Kreślarnia Chrzanowskiego owiana była swoistym mitem grozy. Projekty rzekomo wykonywane latami, odrzucane tuż przed ukończeniem, swoiste „szykany” w stosunku do studentów, którzy „podpadli”.

Wszystko to okazało się inne w bliższym zetknięciu. A może już wtedy straszny „ostry Chrzan” był bardziej wyrozumiały. W rezultacie, pamiętając tylko o zdejmowaniu obrączki (byłem już wtedy (1925/1926) żonaty, a Chrzanowski nie traktował poważnie żonatych studentów), przeszedłem gładko przez ten projekt (rejestrując skrupulatnie, naliczyłem niespełna 400 poświęconych na niego godzin). Korekty we wtorki były przez Profesora uroczyście celebrowane. Obchodziło się wtedy z Profesorem podobne projekty kolegów. Wiele powiedzeń Chrzanowskiego przetrwało jako latami powtarzane anegdoty.



**Nie pamiętam, kiedy rozpocząłem pracę dyplomową u prof. Karola Taylora (silnik lotniczy).** Dość, że ukończyłem ją w czerwcu 1928 r. Wtedy już od 3 prawie (od 1.10.1925) lat byłem zastępcą asystenta w Katedrze Aerodynamiki u prof. Czesława Witoszyńskiego. Dzięki specyficznym walorom kreślarni jako szkoły funkcjonującej niezawodnie również przy mniej wyraźnych indywidualnościach mistrzów, nie miałem trudności z moim gwiazdzystym silnikiem lotniczym. Z prof. Taylorem miałem potem spotkać się po latach, w czerwcu 1945 r. w Lublinie na Politechnice, która tam znalazła chwilową siedzibę. **Profesor Taylor był na Wydziale Mechanicznym persona grata jako przewodniczący tzw. drugiego egzaminu dyplomowego (tj. właściwego egzaminu dyplomowego;** pierwszym bowiem, zwanym półdyplomem, za który otrzymywało się oddzielne świadectwo, było zaliczenie rygorów pierwszych dwóch lat studiów z ich 18 egzaminami szczegółowymi).

**Egzamin dyplomowy** w wyniku ciężkich domowych i rodzinnych przejść<sup>39</sup> zdawałem dopiero na wiosnę 1930 r. Składał się on z dwóch części: 5-godzinnego (czy 6-godzinnego?) egzaminu pisemnego oraz egzaminu ustnego z zakresu przedmiotu pracy dyplomowej i jednego lub dwu przedmiotów, którym towarzyszyły główne laboratoria (termodynamika, elektrotechnika). Egzamin dyplomowy miał na Politechnice zwolenników i przeciwników. Do tych ostatnich należał prof. Witoszyński, słusznie uważając, że sprowadzenie tego egzaminu właściwie do powtórzenia wybranych egzaminów szczegółowych nie ma sensu.

**W lecie 1928 r. wziąłem udział w wycieczce „absolwenckiej” po Europie: Wiedeń (Wiener Neustadt., Zakłady Daimlera), Zurych i Winterthur, Mediolan, Turyn, Lyon, Paryż. Z profesorów, oprócz prof. Taylora, był z nami uroczy człowiek, jeden z najlepszych wykładowców, jakiego pamiętam prof. Mieczysław Pożaryski. Dzięki niemu, my mechanicy byliśmy w zakresie niezbędnym niezłymi elektrykami.** Mieliśmy pełną możliwość mówienia zrozumiałym dla siebie językiem z naszymi kolegami elektrykami w kontaktach zawodowych. Ta wycieczka była nie tylko zetknięciem z interesującymi zakładami przemysłowymi. Dla mnie była też pierwszym kontaktem z zagranicą. W Zurychu utkwiło mi w pamięci spotkanie z bardzo już wiekowym sławnym profesorem Aurelem Stodolą – który uraczył nas mętnie filozoficznym przemówieniem – czarno widzącym świat. Ostatecznie nie bardzo się mylił, choć przesłanek tej smutnej wizji nie pamiętam; w każdym razie było tam sporo metafizyki. Po drodze, już raczej turystycznie, zaczęliśmy o Berlin.

---

<sup>39</sup> W roku 1929 zmarły cztery osoby z najbliższej rodziny autora „Zapisków”: ojciec i dwie siostry żony oraz siedmiomiesięczny synek Andrzej. W marcu 1930 r. urodziła się córka Marta.

Pamiętam woźnego w muzeum, który z roztkliwieniem wspominał polską jesień. Nigdy nie widział tak pięknego kraju. Był w Polsce jako żołnierz I wojny światowej.

Bardzo powierzchownie przebiegłem w tych zapiskach moje studia na Wydziale Mechanicznym PW w latach 1921-1928. Jak je osądzałem później, kiedy przyszło mi je organizować i niejednokrotnie reformować w okresie powojennym? **Jak oceniam te studia dziś? Najkrócej chyba można powiedzieć tak: żelazne, bezpardonowe wymagania zaliczeniowe i egzaminacyjne w zakresie przedmiotów podstawowych pierwszych dwóch lat. Dobre laboratoria z dużym nakładem własnej pracy szczególnie przy opracowywaniu sprawozdań, ale także w przeprowadzaniu kolejnych zadań. Zasadnicza rola kształcąca prac przejściowych i pracy dyplomowej. Poważny stosunek do należycie zaplanowanych praktyk (6 miesięcy, a technolodzy – 12 miesięcy). Egzaminy bez taryf ulgowych.** To były istotne cechy naszych przedwojennych studiów na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej. Trójka to był dobry stopień. Czwórka – wyróżnienie. Piątka – to w przedmiotach podstawowych ewentualne otwarcie drogi do asystentury. Mimo wielokrotnych prób odwrotu – programy późniejsze nie mogły się wyzbyć przeładowania materiałem informacyjnym na niekorzyść wysokich wymagań pracy własnej.

**Największą stratą**, wynikłą z niezwykle ciężkich warunków lokalowych szkół technicznych **po wojnie był praktyczny zanik kreślarni jako miejsca, gdzie student Politechniki spędzał cały czas wolny od innych zajęć.** Stała krytyka ze strony sąsiadów, możliwość konsultacji. Stałe równoczesne istnienie projektów o różnym stopniu zaawansowania. Rzetelna obsługa asystencka. Te elementy składały się na wielką kształcąca rolę kreślarni. Odkąd zaczęły się korekty „rulonikowe” – studenci stojący w kolejce do korekty, prace robione w domu studenckim w odosobnieniu, bez kontroli – zaczęło się dziać źle. Powstawał nawyk złego stylu pracy, kiedy w późniejszych powojennych latach Politechnika z wielkim trudem zapewniała studentom starszych lat stałe miejsce w kreślarni – studenci po staremu zjawiali się tylko w dniach korekt.

Zresztą w międzywojennej kreślarni nie tylko rysowano. Tam nieraz opracowywało się trudniejsze, wymagające wzajemnej konsultacji, sprawozdania laboratoryjne. Kreślarnia była miejscem wymiany trudniej dostępnych podręczników i materiałów. Tych kilka słów poświęcam na wielką pochwałę kreślarni jako swoistej szkoły.

Kształcącą rolę zbiorowiska jako określonego zespołu pracującego w jednym miejscu trzeba chyba mieć na uwadze także wtedy, kiedy rysunek w dawnej jego postaci zaczyna już odgrywać mniejszą rolę w kształceniu inżyniera. O wychowawczej roli rysunku, również jako szkole ładu i dyscypliny można by mówić wiele. I warto się zastanowić, czym to narzędzie w procesie dydaktycznym kształcenia inżynierów można zastąpić.

Nie pisałem nic o **dyscyplinach i profesorach najbliższych mej specjalności**. Stanowi to jednak punkt styku z początkiem mojej asystenckiej pracy na Politechnice. Byłem chyba na dwóch **wykładach pułkownika Zdzisława Zych-Płodowskiego, który przed prof. Gustawem Mokrzyckim prowadził wykład budowy płatowców**. Na pewno byłem na jednym **wykładzie meteorologii lotniczej prowadzonym przez Stefana Hłasek-Hłasko**. **Na wykłady silników lotniczych prof. Taylora** wysyłałiśmy zawsze 2-3 osobową delegację. Chodziło się w komplecie na **wykłady aerodynamiki prof. Cz. Witoszyńskiego**. Wykład ten, **poprzedzony wykładem hydrauliki**, prowadzonym również przez Profesora w V semestrze, fascynował w jakiś sposób – i to odmienny od tego zainteresowania, jakie wzbudzały przedtem we mnie wykłady np. takie, jak prof. B. Stefanowskiego. Nie kryję, że wykład ten, mimo wspaniałej jasności bywał dla mnie trudny. To też, kiedy po zakończeniu kursu w czerwcu 1925 r. prof. Witoszyński zwrócił się do nas z tym, że po wakacjach będzie wakować u niego miejsce asystenckie, po paru dniach namysłu z mieszanym uczuciem zgłosiłem moją kandydaturę. Byłem już po półdyplomie i pierwszej pracy przejściowej, no i – rzecz ważna – w przededniu wczesnego małżeństwa, a więc pełny chęci zyskania bodaj minimum niezależności materialnej.

Profesor przyjął mnie życzliwie. Zdawałem już przedtem egzamin z hydrauliki, o ile pamiętam z wynikiem nie celującym, ale dobrym co u prof. Witoszyńskiego liczyło się. Pamiętam jak interesował się potem, po moim egzaminie dyplomowym, czy aby nie załapałem ogólnej oceny dostatecznej. Nota bene w tych czasach ogólne oceny bardzo dobre jako średnia ze studiów, pracy i egzaminu dyplomowego, należały do rzadkości zdarzającej się nie co roku. Już ocena dobra była istotnie dobrą lokatą.

## 2. Asystentura

Tak to 1 października 1925 r. rozpoczął się nowy okres mojego powiązania z Politechniką. Jeszcze kończący (dość długo) student – a już pracownik Politechniki.

Zacząłem od żmudnej pracy na arytmometrze, aby po paru miesiącach przejść na rysownicę, przy której zostałem dość długo. Wyposażenie budowanego właśnie Instytutu Aerodynamicznego wymagało wielu opracowań konstrukcyjnych. Zacząłem, jak pamiętam, od wentylatora do dużego tunelu.

Lata płynęły, prof. Witoszyński cenił mnie raczej jako konstruktora. Z aerodynamiką „stricte sensu” niewiele miałem do czynienia, dopóki po zmontowaniu projektowanych urządzeń nie przeszedłem do prac w laboratorium.

**Rezultatem** i jakby podsumowaniem moich doświadczeń wstępnych z pracy w laboratorium była książka *Technika laboratoryjna pomiarów aerodynamicznych*, wydana w r. 1933. Była to pierwsza w literaturze aerodynamicznej publikacja książkowa tego rodzaju. Stanowiła ona dowód szybkiego rozwoju Instytutu i jego rangi wśród ówczesnych placówek badawczych przynajmniej w Europie. Technikę, którą opisywałem, stworzył oczywiście zespół, była ona jednak płynna. Ważne było, aby trwałe elementy usystematyzować, również na użytek studentów, ale także jako podręcznik dla rosnącego szybko liczebnie personelu rozwijającej się placówki. Wielką radością było **przyznanie mi w 1936 r. nagrody im. Konstantego Rudzkiego z Kasy im. Mianowskiego** (w wysokości 470 zł). Pamiętam jak mnie o tym telefonicznie zawiadomił prof. M. T. Huber.

Cofając się trochę, chcę poświęcić parę słów mojej **pracy w charakterze asystenta przy Katedrze Geometrii Wykreślnej<sup>40</sup> u profesora Stanisława Garlickiego**. Od 1926 roku, już po przeprowadzeniu się Gmachu Mechaniki, gdzie – poza katedrą prof. Stefanowskiego na parterze – mieściła się na I piętrze Katedra Hydrauliki i Aerodynamiki do nowego budynku Instytutu Aerodynamicznego, rozpoczął pracę w charakterze konstruktora urządzeń laboratoryjnych mój dawny mistrz geometrii wykreślnej, asystent prof. Garlickiego inż. Zdzisław Rytel. Zachowując asystenturę u prof. Garlickiego pracował w Instytucie Aerodynamicznym przy Politechnice w Warszawie na „drugim etacie” – jak by się dziś powiedziało. Pracowaliśmy w Katedrze, a potem w Instytucie od godz. 9:00

---

<sup>40</sup> W okresie międzywojennym termin „katedra” oznaczał tylko stanowisko profesora: przy katedrach działały zakłady, w których pracowali adiunkci i asystenci.

do 15:00, a zajęcia na geometrii wykreślnej trwały od godz. 16:00 do 19:00, można więc było łączyć takie dwa stanowiska.

**W r. 1928 inż. Rytel, przechodząc do fabryki lokomotyw w Chrzanowie, zaproponował mi protekcję u prof. Garlickiego dla objęcia po nim asystentury. Tak to od października 1928 r. pracowałem na dwu stanowiskach (przeszedłem wówczas w Instytucie na stanowisko opłacane spoza budżetu politechnicznego). Zarabiałem już wtedy łącznie około 1000 zł (700 zł w Instytucie i 300 zł w Politechnice), co nie było sumą małą, jakkolwiek mniejszą od tych, które ok. 1930 r. zaczęli zarabiać koledzy w przemyśle lotniczym (w szczególności w biurach konstrukcyjnych) – (uwaga: dla ścisłości tyle zarabiałem na pewno ok. 1930 r., przedtem może 100 zł mniej).**

*Wspominam o warunkach płacowych, jako że w całym okresie powojennym dużo i nieomal stale mówi się o sprawach uposażenia pracowników szkolnictwa wyższego.*

Praca asystentów na pełnym zatrudnieniu poza Politechniką nie należała do rzadkości. Sprzyjał temu rozkład zajęć, który przed godz. 16:00 niekiedy 15:00 nie przewidywał żadnych ćwiczeń, laboratoriów, korekt itd.

Praca dwuetatowa wymagała jednak sporego wysiłku. Na przykład łączenie pracy w Instytucie Aerodynamicznym z pracą w jednej z katedr dawało nie mniej niż 10 godzin regularnego obciążenia dziennie nie licząc tzw. pracy własnej (jak w moim przypadku – pisanie książki). Koledzy pracujący równocześnie w zakładach przemysłowych (w tym również oczywiście w biurach konstrukcyjnych) przy pełnym etacie w Politechnice mieli „sztywnego” zajęcia do 12 godzin.

Pełny etat asystencki obowiązywał do 30 godzin pracy tygodniowo. Z tego usztywnionych było na ogół około 18 (takich lub innych zajęć ze studentami), z czego np. u nas w Katedrze Geometrii Wykreślnej – ok. 12 godzin w kreślarni, a pozostałe 6 godzin – indywidualne przyjęcia w Katedrze, jeśli zaś nie było interesantów – to było poprawienie prac studenckich itp. Warto zwrócić uwagę, że obsługiwaliśmy z geometrii Wydział Mechaniczny – 200 studentów – we dwóch, tzn. 100 studentów na jednego asystenta. Co tydzień była repetycja pisemna z poprawianiem, oceną i wypisywaniem ocen, 7 arkuszy regularnych w ciągu dwóch semestrów i tyleż poprawkowych dla studentów, którzy otrzymali ocenę niedostateczną. Nie uważaliśmy, że jest to praca zbyt duża. Częste jednak były zatrudnienia na 10, 15 i 20 godzin tygodniowo, co czytało się jako wymiar obowiązków 1/3,

1/2, 2/3 pełnego etatu. Ciekawostką było zatrudnienie w wymiarze 29 godzin. Otrzymywało się 29/30 uposażenia pełnoetatowego, ale bez prawa do legitymacji urzędnika państwowego (a więc do 50% ulgi na kolei itp.).

Skoro już rozpędziłem się ze sprawami płacowymi, przypomnę, że w zaszeregowaniu urzędników państwowych gradacja była następująca: grupa I – premier, II – minister, III – wiceminister, IV – dyrektor departamentu, V – naczelnik wydziału itd. Profesor zwyczajny – IV grupa, nadzwyczajny – V, zastępca profesora – VI, adiunkt – VII, starszy asystent VIII, asystent – IX, zastępca asystenta X (chyba tak).

Jako zastępca asystenta u prof. Witoszyńskiego zacząłem od 150 zł (z dodatkiem 50 zł, a w drugim roku pracy – 100 zł z funduszy Ligi Obrony Powietrznej Państwa tytułem ekwiwalentu za 6 godzin pracy dziennie. Jako starszy asystent otrzymywałem 330, a potem 300 zł (pamiętna redukcja płac urzędników państwowych o 10% ok. 1930 r. – może wcześniej). Natomiast dr Stefan Neumark, pracujący razem ze mną na Geometrii Wykreślnej, był na etacie samodzielnego badacza w kategorii płacy naczelnika wydziału w Instytucie Technicznym Lotnictwa (ok. 900 czy 950 zł) i na 10 godzinach asystenckich w Politechnice, jako że w latach trzydziestych zastępował już prof. Witoszyńskiego w prowadzeniu kursowych wykładów aerodynamiki i te 10 godzin legalizowały niejako jego czynności jako wykładowcy programowego przedmiotu. Były więc i wtedy sporadyczne trzymiejscowe zatrudnienia. Wkrótce po objęciu stanowiska w Instytucie Technicznym Lotnictwa dr S. Neumark zrezygnował z etatu na geometrii wykreślnej. Jeszcze jedno. Po habilitacji przysługiwało zaszeregowanie o jedną grupę wyżej starszy asystent, do gr. VII, adiunkt do VI. Z takiego przesunięcia korzystał praktycznie w Instytucie tylko dr Julian Bonder. (Neumark, a potem ja po habilitacji zajmowaliśmy zasadnicze stanowiska pracy poza Politechniką).

*Spieszę się tak bardzo, a rozpraszam się na szczegóły.*

### 3. Instytut Aerodynamiczny<sup>41</sup> wg nagrania

*15.12.1975 r.*

Instytut prof. Witoszyńskiego to dziedzina dosyć bogato udokumentowana. Jako przewodnik do źródeł historycznych mogą służyć moje opracowania biograficzne prof. Witoszyńskiego, w których można znaleźć wiele materiału dotyczącego Instytutu Aerodynamicznego.

**Pierwsze wspomnienie pośmiertne**, które napisałem o **prof. Czesławie Witoszyńskim** w roku jego śmierci, zawarte jest w „**Roczniku Towarzystwa Naukowego Warszawskiego**” za rok 1948. Obejmuje ono około 6,5 stronic druku. **Szersze opracowanie** znajduje się w „**Kwartalniku Historii Nauki i Techniki**” nr 1 z 1956 roku. **Czesław Witoszyński, studium biograficzne** ze skrótami w języku rosyjskim i angielskim. Opracowanie to obejmuje 48 stronic druku. Krótka wzmianka na użytek nauki zagranicznej jest zamieszczona w *Actes du VIII Congrès International d’Histoire des Sciences Florence-Milan* 3-9 septembre 1956 r. wydane we Florencji i Paryżu w r. 1958. Nota bene miało to miejsce przy okazji pierwszego występu naszego Komitetu Historii Nauki PAN na kolejnym międzynarodowym Kongresie Historii Nauki. Godne jest jeszcze uwagi opracowanie **Biografia i sylwetka uczonego**, zawierające dużo szczegółów dotyczących Instytutu Aerodynamicznego, podane na wstępie *Prac wybranych prof. Witoszyńskiego*, wydanych przez PAN pod moją redakcją w r. 1957.

Najwięcej materiałów do historii Instytutu Aerodynamicznego zawiera opracowanie z „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki”. Wskazawszy w ten sposób drogę do istniejących biografii prof. Witoszyńskiego, nie będę poświęcał szczegółom związanym z twórcą Instytutu tyle miejsca, ile się należało, gdy się mówi o Instytucie. Przejdę raczej do krótkiego przeglądu historii jego powstania oraz do spojrzenia z różnych punktów widzenia na dzieje Instytutu Aerodynamicznego, który był pierwszym instytutem Politechniki Warszawskiej i który można by traktować jako wzorzec dla obecnych instytutów uczelnianych. Jeżeli zważymy, że powstał on w połowie lat dwudziestych, sprawa jest na pewno godna uwagi.

---

<sup>41</sup> Rozdział ten nie wchodzi do rękopisu „Zapisków pamiętnikarskich”: jego tekst został odczytany z taśmy magnetofonowej, na którą autor „Zapisków” nagrał go w dniu 15.12.1975 r. na zaproszenie Biblioteki Głównej PW.

Drugie spojrzenie – do którego jestem upoważniony i powołany – to osobiste wspomnienie związane z Instytutem. Przepracowałem w nim bowiem jednym ciągiem 10 lat (od 1925 do 1935 r.), a jego sprawy całe życie miały mi towarzyszyć.

Kiedy wstępowałem na Politechnikę interesowałem się już kierunkiem studiów lotniczych. Wiedziałem o tym, że powstaje już **laboratorium aerodynamiczne przy Katedrze Aerodynamiki**, czy – jak ona się w połowie lat dwudziestych nazywała – **Hydrauliki i Aerodynamiki**. Laboratorium to powstało **na I piętrze Gmachu Mechaniki**, tego jedyne gmachu, który w latach 1939-1945 ocalał w stanie pierwotnym z dość dużego zespołu, po południowej stronie fontanny. Zresztą wisi na nim do dziś (1975 r.) tabliczka „Gmach Mechaniki”<sup>42</sup>, jakkolwiek mechanicy z tym budynkiem już w tej chwili nie mają do czynienia. Otóż tam na I piętrze mieściło się pierwsze w Polsce i jedno z pierwszej dziesiątki na świecie laboratorium aerodynamiczne, wyposażone w tunel aerodynamiczny o średnicy 1 metra, oryginalnej konstrukcji z dwoma symetrycznymi kanałami obiegowymi w układzie powrotnym.

Wspominałem już, jak w 1925 r. prof. Witoszyński zwrócił się do audytorium, na które składało się około 10 słuchaczy – zawsze wtedy ta grupa lotników, to było kilka do kilkunastu osób – z informacją o wakującym w jego katedrze stanowisku asystenta i ja zgłosiłem się do Profesora i w ten sposób **od 1 października 1925 r. rozpocząłem pracę przy Katedrze Hydrauliki i Aerodynamiki**. Istniała bowiem wówczas kategoria asystentów-studentów, którzy nazywali się zastępcami asystentów lub młodszymi asystentami, w zależności od stanu zaawansowania studiów. Natomiast asystentura, już „starsza asystentura” zaczynała się po uzyskaniu dyplomu.

Data rozpoczęcia przeze mnie pracy wiąże się bardzo ściśle z powstaniem Instytutu Aerodynamicznego. **Otóż już na jesieni 1925 r. wyszedł z fundamentów do poziomu drugiej kondygnacji budynek Instytutu** na terenie plantacji miejskich, przyległych do terenu Politechniki od strony domu profesorskiego. Był to nasz pierwszy gmach Instytutu Aerodynamicznego, wówczas jeszcze dwupiętrowy (**trzecie piętro zostało dobudowane później**). Bardzo prędko **zostałem przez prof. Witoszyńskiego włączony do prac przy budowie Instytutu** o tyle, że **projektowałem całą grupę urządzeń dla wyposażenia tuneli aerodynamicznych**, a było ich w początkowym planie dwa – jeden jednometrowy, drugi 2,5 metrowy (mam tu na myśli średnicę strumienia powietrza w przestrzeni

---

<sup>42</sup> Nazwa ta jest nadal oficjalnie używana.



pomiarowej. Obydwa te tunele były konstrukcji żelbetowej, wyposażone w instalacje napędu elektrycznego wykonane częściowo w kraju, a częściowo sprowadzane z Czech.

Tak jak powiedziałem, w stanie surowym gmach Instytutu był zaawansowany na jesieni 1925 r., **a już na jesieni 1926 r. przeprowadziliśmy się z naszych pomieszczeń katedralnych w Gmachu Mechaniki do Instytutu.** Wprawdzie tylko jego część była ogrzewana – gdyż w hali laboratoryjnej były jeszcze prowadzone roboty budowlane – ale w każdym razie zasiedliliśmy się już tutaj i **na wiosnę 1927 r.** mogło się odbyć **uroczyste otwarcie, na pamiątkę czego do dziś tkwi przy wejściu tablica erekcyjna,** stwierdzająca, że budynek ten został wzniesiony dla badań w dziedzinie lotnictwa przy udziale przede wszystkim społecznym. Fundatorem Instytutu była bowiem Liga Obrony Powietrznej Państwa, a w Lidze największe środki dawały komitety Społeczny i Kolejowy, ale były również nakłady ze strony Zarządu Głównego Ligi oraz dotacje państwowe.

**W okresie tzw. błędów i wypaczeń** czy przegięć, które niektórzy gorliwcy uważali za przejawy swoich rewolucyjnych postaw, **tablica ta została zdjęta.** Właśnie dlatego, że świadczyła, iż rząd Rzeczypospolitej Polskiej okresu międzywojennego mógł się przyczynić do powstania tego obiektu służącego nauce. **Po r. 1956 tablica (z nadłamanym narożnikiem) wróciła jednak na swoje miejsce** i do dziś dokumentuje uruchomienie Instytutu, mającego służyć potrzebom polskiego lotnictwa. Przechowali ją woźni w piwnicach jednego z budynków Politechniki.

Nie oznaczało to, że w 1927 r. ruszyliśmy od razu pełnym galopem, ale jeśli wziąć pod uwagę, że **około lat trzydziestych mieliśmy w pełni rozwiniętą współpracę z przemysłem,** a już w **1935 r. zaszła konieczność szerokiej rozbudowy Instytutu** – można mówić o wielkiej dynamice naszego rozwoju. Rozwijał się stopniowo skład personalny, pomocnicze urządzenia laboratoryjne, wreszcie własne warsztaty: mechaniczny i stolarsko – modelarski.

Chciałbym wspomnieć, że kiedy przybyłem do Katedry, jej personel składał się z 4 asystentów, 1 adiunkta (Józefa Schatzmana) i 1 stolarza-modelarza, a więc było nas łącznie z Profesorem 7 osób. Kilka dni temu zmarł ostatni poza mną żyjący z tej grupy – prof. Julian Bonder. Z piątki: Batorski, Bonder, Czesław Bieniek, Bukowski, Piotr Kalbarczyk ja sam jeszcze zostałem.

*Tak więc jest to ostatnia okazja wylegitymowania kogoś z osobistych wspomnień z tego okresu. Okazuje się, że nigdy nie jest za późno, ale z niektórymi rzeczami trzeba się*

*pośpieszyć. I dlatego – między wierszami – bym zaproponował nagranie z mgr inż. Aleksandrem Szyszkowskim, moim kolegą i adiunktem do ostatnich lat, do przejścia na emeryturę, który będzie mógł podać wiele szczegółów z tak bardzo kontrowersyjnego okresu okupacji. Inż. A. Szyszkowski mieszkał na terenie Instytutu i był doskonale poinformowany o wszystkim co się w tym czasie działo.*

Inż. A. Szyszkowski i inż. L. Łabuć oraz nieżyjąca już pani Walentyna Kwaśniakowa (Chodecka) – byli pierwszym uzupełnieniem naszej kadry na terenie Instytutu na przełomie lat 1926-1927. Należałoby jeszcze wymienić zaangażowanego jako konstruktora inż. Zdzisława Rytla, późniejszego profesora naszego Wydziału.

Tak jak omówiono to szczegółowo w podanych źródłach drukowanych, **uformowała się w Instytucie wyraźnie dwupionowość pracy i studiów**. Była **grupa teoretyków** pracujących bardzo ściśle z Profesorem. W jej skład wchodził: wymieniony już **Julian Bonder**, wówczas jeszcze nie doktor, ale późniejszy profesor oraz dawny asystent z mechaniki **dr Stefan Neumark**, u którego odrabiałem ćwiczenia, dyplomant prof. Witoszyńskiego. Poza tym pracowało jeszcze **dwóch matematyków: Witold Wolibner**, po wojnie profesor we Wrocławiu, oraz nie żyjący już, powojenny profesor Politechniki Warszawskiej **dr Piotr Szymański**.

Tak jak Paweł i Gawęł – teoretycy ulokowani na górze, myśmy pracowali na poziomie laboratorium, tj. na I piętrze obok gabinetu Profesora. **Przez wiele lat pracowała także wyodrębniona, dość mocna grupa konstruktorska**. Wszystkie urządzenia były projektowane u nas na miejscu i w większości w naszych warsztatach wykonywane. Żeby nie bawić się w stopniowanie rozwoju, powiem tylko, że **bezpośrednio przed wybuchem wojny personel Instytutu liczył już około stu osób**, w tym oczywiście znikomą liczbę etatów politechnicznych. **Głównie był to personel utrzymywany bądź z dotacji Ministerstwa Komunikacji i Ministerstwa Spraw Wojskowych, bądź też pracujący na własnych zarobkach Instytutu**. Będzie interesujące wspomnieć, że Instytut nie miał wydzielonej osobowości prawnej i korzystał z osobowości prawnej Politechniki. Aż do wybuchu wojny przetrwała ta anomalia, że jako jednostka prawna mogła występować tylko Politechnika, a z jej ramienia Katedra. Niemniej Instytut nosił nazwę: Instytut Aerodynamiczny przy Politechnice w Warszawie (tak to Profesor zdecydował – nie przy Politechnice Warszawskiej tylko przy Politechnice w Warszawie).

**Oficjalne stosunki Instytutu, nazwijmy to: ze światem zewnętrznym, tzn. z instytucjami, które go dotowały oraz z naszymi klientami, dla których pracowaliśmy, opierały się przede wszystkim na ogromnym zaufaniu do osoby Profesora.** Dostawaliśmy z Ministerstwa Komunikacji dotację w wysokości 40 tysięcy złotych rocznie<sup>43</sup>. Takie to chyba były sumy. Pamiętam do dzisiaj sprawozdania, jakie Profesor składał, a w późniejszych latach niejednokrotnie sam je pisałem. To było dosłownie parę stron maszynopisu, gdzie mówiło się, na jakie kierunkowe cele zostały zużytkowane dotacje i jakie wyniki zostały osiągnięte. Buchalteria była buchalterią czysto wewnętrzną, czysto porządkową, zresztą bardzo skrupulatnie prowadzoną. Natomiast podlegaliśmy oczywiście kompetencji Najwyższej Izby Kontroli. Jak powiedziałem, **około 1930 r. zaczęła się konsolidować bardzo intensywna współpraca z przemysłem lotniczym**, burzliwie w tym czasie rozwijającym się w oparciu o nasze własne konstrukcje.

**Historia przemysłu lotniczego w Polsce zasługuje na swoje pełne opracowanie.** Można w skrócie powiedzieć, że w **połowie lat dwudziestych powstała pierwsza wytwórnia lotnicza w Lublinie**, pracująca na licencjach włoskich – słynna fabryka Plage i Laśkiewicz. **Równocześnie rozwijały się i rozwinęły w duży zakład dawne wojskowe Centralne Warsztaty Lotnicze.** Początkowo były to warsztaty remontu sprzętu lotniczego, które mieściły się na zachód od placu między dzisiejszą ul. Batorego a ul. Polną. Zresztą na tym miejscu, gdzie powstał park i przebiega al. Niepodległości, po obu jej stronach w owym czasie mieściło się lotnisko. Ulica Topolowa tj. północny odcinek dzisiejszej al. Niepodległości, sięgała tylko do obecnej ul. Wawelskiej. W tym miejscu zamykał ją mały **budynek portu lotniczego, gdzie kilkuosobowe Fokery pierwsze samoloty LOT-u (przed nim Aerolotu) utrzymywały łączność z ważniejszymi miastami polskimi.**

Otóż tak się te rzeczy zbiegły, że kiedy kończyli studia lub też **zbliżali się do dyplomu pierwsi studenci Sekcji Lotniczej Wydziału Mechanicznego, tj. w latach 1926-28, rozpoczęły się prace Instytutu Aerodynamicznego.** Wtedy też narodziły się **pierwsze rodzime konstrukcje lotnicze, żeby – już we wczesnych latach trzydziestych – rozwinąć się w produkcję seryjną Państwowych Zakładów Lotniczych, a następnie warsztatów RWD (Doświadczalne Zakłady Lotnicze).** Te ostatnie powstały w **podziemiach gmachu Nowej Kreślarni Politechniki.**

---

<sup>43</sup> O wartości międzywojennej złotówki można wnioskować na podstawie wyżej podanych wynagrodzeń pracowników nauki; wynika stąd że 1 zł z lat trzydziestych odpowiada 40-50 zł z 1985 r.

To bardzo mocne powiązanie pierwszych konstruktorów, wychowanych przez Politechnikę, z Instytutem stworzyło naturalne sprzężenie z nim ich pracy na terenie wytwórni, a więc w przemyśle. Nie można było bowiem sobie wyobrazić powstawania nowych konstrukcji bez aerodynamicznych prac doświadczalnych no i vice versa – ukierunkowania prac laboratoryjnych Instytutu bez najściślejszego powiązania z pracą zakładów produkcyjnych. Tak w jakiś naturalny i prosty sposób wytworzył się układ powiązań, do którego ciągle dążymy obecnie i z takim trudem na niewielu odcinkach osiągamy. Nie odważyłbym się formułować recept na taki typ współpracy. Sądzę, że właśnie prostota układu organizacyjnego, autorytatywność kierownictwa Instytutu, zaufanie zarówno władz, jak i czynników społecznych – myślę o LOPP – oraz przede wszystkim wytwórni samolotów do Instytutu Aerodynamicznego, stwarzały tę wyjątkową zupełnie harmonię i skuteczność współpracy.

Warto przypomnieć, że wszystko to szło w tempie bardzo mocnym, jako że **już w latach 1934-35 byliśmy pierwsi w lotnictwie sportowym. Dwa kolejne zwycięstwa challenge'owe**, znane nawet dzisiejszym dzieciom nazwiska Franciszka Żwirki, Stanisława Wigury czy potem Jerzego Bajana. Czy takie **przeloty, jak Stanisława Skarżyńskiego przez południowy Atlantyk. Wszystko w Europie i na świecie w lotnictwie sportowym pozostawało w tyle poza naszymi samolotami sportowymi**. Jeśli tak było, to właśnie dzięki sprzężeniom, o których mówię.

**RWD: Rogalski, Wigura i Drzewiecki.** Dwaj pierwsi z nich byli potem asystentami przy Katedrze Budowy Samolotów. Drzewiecki u nas na Politechnice nie pracował. Stanisław Rogalski i Drzewiecki żyją jeszcze<sup>44</sup> – jeden mieszka w Stanach, drugi bodaj w Kanadzie. Zresztą to ciekawa rzecz. Powinienem o tym powiedzieć, żeby zachęcić młodych studentów mających trudności na pierwszych latach. Drzewiecki miał duże kłopoty ze zrobieniem półdyplomu. Bardzo trudno przeszedł przez całą teoretyczną zaprawę pierwszych lat. Jednak był to niezwykle utalentowany, po prostu wizjonerski konstruktor. I dopiero w tym zespole, jaki potem utworzyli powstały sławne RWD (najpierw S. Rogalski pracował z Wigurą i pierwsza ich konstrukcja to był jakiś RW1. Drzewiecki pierwsze swoje samoloty sygnował JD1, JD2). Ale bardzo prędko, ponieważ wszyscy trzej **pracowali w warsztatach Sekcji Lotniczej Koła Mechaników Studentów PW, zjawił się i utalentowany menażer w postaci Jerzego Wędrychowskiego**. Nie był wybitnym konstruktorem, jak tamci. W ogóle

---

<sup>44</sup> Stanisław Rogalski zmarł 6 lutego 1976 r. w Huntington (USA). Jerzy Drzewiecki zmarł 15 maja 1990 r. w Ottawie (Kanada).

nie był konstruktorem, ale był znakomitym organizatorem. Z tych czterech ludzi powstał w ciągu niewielu lat zakład, który zaczął się liczyć. Jest to charakterystyczne – w podobny sposób powstało w Niemczech wiele liczących się potem dużych zakładów produkujących samoloty. Właśnie z takich zespołów studenckich. Zresztą i po wojnie, teraz, po cichutku Niemcy – myślę o Niemieckiej Republice Federalnej – przejęli tę samą metodę. Tam również istnieje sporo kameralnych, niedużych wytwórni wyrosłych z zespołów studenckich, które pracowały przy odpowiednich instytutach. Może naszej grupie, która odeszła parę lat temu do Mielca uda się z czasem też przebić przez trudności, które napotykała i może wylansuje swój pierwszy samolot<sup>45</sup>.

Byłoby niesłuszne wyeksponowanie jedynie osiągnięć RWD we współpracy z Instytutem. O wiele szerszą skalę, z dużymi sukcesami, miała **współpraca z Państwowymi Zakładami Lotniczymi. Puławski, Dąbrowski (nie ukończył studiów!), Prauss, później Korsak, inż. Tadeusz Sołtyk byli wychowankami Sekcji Lotniczej. Jakimiuk blisko współpracował z Instytutem, a Franciszek Misztal przez pewien czas pracował u nas.** Jego opracowania aerodynamiczne były szczególnie staranne.

Ale wracajmy do Instytutu. W latach 1933-34 mieliśmy już tak potężne obciążenia naszych tunelów pracami dla przemysłu, że Profesor zaczął się buntować przeciwko temu. Powiedział, że nie możemy w tych warunkach robić żadnych systematycznych prac badawczych, bo ciągle jesteśmy zawaleni robotami dla przemysłu. Już wcześniej została podjęta, nieudana zresztą, **próba zbudowania przy Podlaskiej Wytwórni Samolotów, która mieściła się w Białej Podlaskiej (należała potem do zespołu PZL, podobnie jak Lublin), małego tunelu do bieżących wstępnych pomiarów.** Ale już wówczas okazało się, że niezbędna jest specjalizacja z dostatecznym wprowadzeniem w dziedzinę pokrewne, a więc w zakresie aerodynamicznych studiów samolotów z wprowadzeniem w problematykę konstrukcyjną, a z drugiej strony – oswojenie konstruktorów z warsztatem laboratoryjnym, z tym, czego od niego można żądać, jakie pytanie można postawić, czego się można po laboratorium spodziewać. Okazało się więc, że trzeba mieć zadeklarowaną żyłkę albo w jednym, albo w drugim kierunku. Krótko mówiąc – **laboratorium w Białej Podlaskiej nie ruszyło. Nie powtarzaliśmy więc już podobnej próby z budową jakiegoś laboratorium**

---

<sup>45</sup> Mgr inż. Edward Margański pojechał do Mielca z projektem samolotu, który był tematem jego pracy dyplomowej; z udziałem mgr inż. Zbigniewa Paturskiego projekt ten został zrealizowany, nie wzbudził jednak zainteresowania Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, które przekazały samolot Politechnice Rzeszowskiej.

**przy Państwowych Zakładach Lotniczych** rozwijających w tym czasie – po przeniesieniu się z Pola Mokotowskiego na tereny na Paluchu – **a zdecydowaliśmy rozbudowę Instytutu.**

I wtedy znów w tempie dostatecznie szybkim, **w roku 1934, rozpoczęliśmy budowę drugiej części Instytutu.** Ten drugi budynek, ustawiony prostopadle do pierwszego, sięgał aż do al. Niepodległości, dając powierzchnię laboratoryjną w dwu kondygnacjach o wymiarach 20x40 m.

Odbudowana po zniszczeniach wojennych część ma około połowy pierwotnej kubatury. Już w powojennej rozbudowie powstał budynek wzdłuż al. Niepodległości. Jego przedłużenie zostało nazwane „nowolotniczym”. Było to wtedy, kiedy powstał odrębny Wydział Lotniczy (1951) i kiedy chcieliśmy mieć całe gospodarstwo lotnicze razem.

Rozbudowę w r. 1934 na polecenie Profesora prowadziłem ja sam. Była to ostatnia moja praca na terenie Instytutu – jeśli chodzi o pełny zakres odpowiedzialności – jako że w 1935 r. przeszedłem do przemysłu.

**Budowaliśmy tak oszczędnie ten nowy budynek, że nam starczyło jeszcze na nadbudowę trzeciego piętra w budynku starym.** Trzecie piętro frontowego budynku nadbudowano w 1935 r. Pamiętam w związku z tą budową taki wypadek. Firma (Roth) prowadząca budowę, ośmielona pięknym latem, na własną odpowiedzialność nie postawiła po zdjęciu dachu przykrycia prowizorycznego, zabezpieczającego przed deszczem. I przyszła trzydniowa olbrzymia ulewa, która zalała cały budynek aż do pierwszego piętra. Pamiętam jak przez kontakty od przewodów elektrycznych tryskała woda. Ale przedsiębiorca powiedział, że to było jego ryzyko. Oczywiście odnowił błyskawicznie cały budynek od góry do dołu.

**W nowym budynku zostały zaprojektowane 3 duże tunele po 2,5 m średnicy przeznaczone wyłącznie na pomiary przemysłowe. Do r. 1939 zbudowano dwa z nich, trzeci był w budowie. Aż do wojny przetrwały w Instytucie. Profesor szczególnie się interesował pracami teoretycznymi, jakkolwiek żywo ingerował we wszystkie sprawy rozbudowy Instytutu, czy konstrukcji nowych instalacji.** Dzielił systematycznie swój czas. Zawsze rano było obejście konstruktorów, wpadał czasem do laboratorium, potem ginął na 4,5 godziny u teoretyków na górze i po południu pracował najczęściej sam do późnych godzin wieczornych we własnym gabinecie.

Wydawane były *Prace Instytutu Aerodynamicznego przy Politechnice w Warszawie* – prowadzone pod kierunkiem prof. Czesława Witoszyńskiego. Pierwsze cztery zeszyty zawierały prace teoretyczne. Piąty był to gruby tom zawierający wyniki rozmaitych pomiarów laboratoryjnych, w szczególności badań profilów lotniczych. Szósty – znów zawierał prace teoretyczne. Siódmy – to było moje opracowanie instalacji do pomiarów śmigieł, które projektowaliśmy właściwie do spółki z prof. Witoszyńskim o tyle, że najpierw zrobiłem projekt według koncepcji Profesora. Trochę nam to nie wyszło. Następnie przeprojektowałem według własnego pomysłu i wykonałem wiele interesujących pomiarów. I jest zabawne, że silniczek od tego urządzenia, gdzieś w gruzach przechował się jako jeden z niewielu obiektów naszego przedwojennego wyposażenia i po przewinięciu służył nam jeszcze po wojnie.

W 1933 r. ukazała się wspomniana już moja książka *Technika laboratoryjna pomiarów aerodynamicznych*. Wiele takich opracowań potem powstało, ale to było pierwsze. Wygląda trochę na samochwalstwo, ale już po wojnie zachęcano mnie do jego wznowienia (również w języku angielskim). Ale ja uważałem, że to jest już starzyzna, że trzeba by nowe wydanie znacznie zmodernizować i uzupełnić. Zachęcałem do tego moich kolegów, ale w rezultacie zrobiło się tak, że nieliczne będące w obiegu egzemplarze mojej książki były tak wyczytane, że w początku lat siedemdziesiątych wydano fotokopię mojej Techniki laboratoryjnej, właśnie z 1933 r. W wielu partiach zachowała ona jeszcze pełną aktualność. Mówię to nie ku chwale własnej, lecz tylko na dowód, jak szybko zdołaliśmy w owych czasach, kiedy istniały już liczne laboratoria aerodynamiczne, tę technikę opanować. Dzięki temu mogliśmy w kontaktach Instytutu z innymi placówkami tego rodzaju nie tylko brać, ale i dawać. Mieliśmy ułatwione kontakty z laboratoriami francuskimi, niemieckimi, włoskimi. Przypominam sobie wizytę w dużym laboratorium włoskim w Gwidonii, gdzie z początku gospodarze byli bardzo sztywni i nie bardzo kwapili się do rozmowy. W pewnym momencie, oglądając jeden ich tunel, przeprosiłem za niedyskretne zapytanie: czy oni nie mieli takich i takich kłopotów z jego uregulowaniem. Spojrzeli po sobie. Mówię: „Panów dziwi dlaczego o to pytam, no dlatego po prostu, że myśmy mieli w podobnym układzie kłopoty, które opanowaliśmy dopiero w ten i ten sposób”. Wtedy się rozkrochmalili. „No wie pan, a my dotychczas się z tym męczymy”. „No to spróbujcie zrobić taki eksperyment, taką modyfikację, to powinno wam pomóc”. Od tego czasu byliśmy z Gwidonią w dobrych stosunkach. Nie mówię już o laboratoriach francuskich, gdzie osoba Stefana

Drzewieckiego<sup>46</sup> otwierała nam wszystkie drzwi. Dobrze układały się również stosunki z Getyngą (Ludwig Prandtl) i Aachen, gdzie u Teodora Karmana doktoryzował się Franciszek Misztal<sup>47</sup>. Już po wojnie, kiedy spotkałem Karmana w Brukseli (1962?) umożliwił mi on zwiedzenie laboratoriów normalnie dla gości „zza kurtyny” niedostępnych.

#### 4. Śmigła

*Sierpień 1969 r.*

W latach trzydziestych, po zaprojektowaniu urządzenia do pomiarów śmigieł w naszym większym tunelu, zająłem się tymi właśnie badaniami. Równocześnie (był to chyba rok 1932, kiedy dr Misztal, który doktoryzował się właśnie w dziedzinie pracy śmigła złamał nogę na nartach i był na dłuższy czas wyłączony z normalnego funkcjonowania) zwrócił się do mnie współwłaściciel Fabryki Śmigieł Włodzimierz Szomański z prośbą o zaprojektowanie śmigieł do wychodzących seryjnie z PZL pościgówek Puławskiego (P.7, P. 11 różnych wersji). Tak to zbiegła się moja praca w Instytucie z konkretnym zapotrzebowaniem przemysłu lotniczego.

Konstrukcje śmigieł wciągały mnie z roku na rok coraz więcej. W 1935 roku, po śmierci profesora Stanisława Garlickiego, miałem w pewnym sensie rozwiązane ręce jeśli chodzi o zwolnienie się z pracy w Katedrze Geometrii Wykreślnej (bądź co bądź 7 lat tam przepracowałem). W czasie długotrwałej choroby serca profesora Garlickiego staraliśmy się utrzymywać status quo, aby nie przysparzać Profesorowi trosk o Katedrę i nie przyspieszać zamyślanej już wówczas na Wydziale Mechanicznym degradacji geometrii wykreślnej<sup>48</sup> z pozycji „panującego” przedmiotu pierwszego roku studiów.

Było do pomyślenia mocniejsze związanie się z Szomańskim, pozostając w Instytucie, Profesor Witoszyński robił jednak często aluzje (w stosunki do nas – nie teoretyków), że powinniśmy „za młodu” pójść do przemysłu. Mawiał to również w aspekcie materialnego zabezpieczenia się. Powiedział mi kiedyś: „niedobrze jest, kiedy profesor musi myśleć za co podzeluje buty”. Nie celowałem na stanowisko profesorskie i – rzecz ciekawa – Profesor nie robił nic w kierunku skłonienia mnie do porządniejszego postudiowania dyscypliny.

---

<sup>46</sup> Stefan Drzewiecki 1844-1938, osiadły w Paryżu znakomity teoretyk i wynalazca w dziedzinie łodzi podwodnych, a od lat osiemdziesiątych – lotnictwa.

<sup>47</sup> Ludwig Prandtl i Teodor Karman – znakomici aerodynamicy; Franciszek Misztal był w latach 1948-1971 profesorem budowy płatowców PW.

<sup>48</sup> Katedra Geometrii Wykreślnej na Wydziale Mechanicznym PW została zlikwidowana jesienią 1936 r.



Będąc sam zdolnym konstruktorem, wydawał się cenić moje w tym kierunku uzdolnienia. Z drugiej strony osobiste zainteresowania Profesora problematyką teoretyczną – i jak nam się wydawało – wyraźne faworyzowanie teoretyków, nie dawało mi wyraźnych szans wyżycia w pracach Instytutu, w szczególności w konkretnym układzie osobowym pionu doświadczalnego. Mogłem wybrać drogę doradztwa, którą poszli moi koledzy (Czesław Bieniek, L. Łabuć), ale ta niezmiernie „efektywna” jak byśmy dziś powiedzieli, dla współpracy Instytutu z przemysłem forma pracy mogła z czasem nastęczyć konflikty, których wołałem uniknąć, zważywszy, że fabryka śmigieł, z którą nawiązałem kontakt, była firmą prywatną, a prace doświadczalne były prowadzone na zlecenie odbiorców tylko w zakresie bardzo konkretnej tematyki. Zawsze istniał natomiast problem ukierunkowywania badań natury ogólniejszej, bardziej lub mniej dostosowanych do aktualnych potrzeb przemysłu. Konflikty „etyczne” tej natury w przypadku moich kolegów łagodzone były faktem, że wszystkie czynne w latach trzydziestych wytwórnie samolotów były faktycznie zakładami państwowymi (Lublin – LWS i Biała Podlaska – PWS, tylko nominalnie były spółkami handlowymi, gdyż Państwowe Zakłady Lotnicze miały w nich absolutnie decydujące pakiety udziałów).

Zatrzymuję się nad tym problemem, gdyż on istniał zawsze, a powinien być chyba rozstrzygany według zdrowego sensu i maksymalnego społecznego pożytku.

Profesor Witoszyński mając dostateczne środki na prowadzenie badań chciał w zasadzie uwolnić Instytut od nadmiaru (jeżeli nie w ogóle) prac dla przemysłu. Uważał, że typowe, powtarzające się pomiary „dmuchania” modeli samolotów i ich elementów powinny fabryki robić same w swoich podręcznych laboratoriach. Skłonił nawet Podlaską Wytwórnię Samolotów do wybudowania tunelu. Jednakże – jak już o tym była mowa, tunel pozostał bezczynny. Okazało się fikcją odrywanie konstruktorów lotniczych do przeprowadzania badań, choćby tylko laboratoryjnych. Obsługa więc laboratoryjna konstruktorów, biur konstrukcyjnych, prototypowni wyrosła w niewąską specjalność, w której my w Instytucie nabraliśmy dużego doświadczenia. Właśnie nasza współpraca z konstruktorami samolotów zaczęła dawać w latach trzydziestych tak wyróżniające się efekty.

W moim przypadku był jeszcze ten kłopot, że fabryczka prowadzona „majsterskim” sposobem na zasadzie wiernego kopiowania modeli, której największą oryginalnością było pokrywanie śmigieł tzw. „chińskim” lakierem (miała na ten proces licencję francuskiej firmy

mającej powiązania z Indochinami), nie miała ani biura konstrukcyjnego, ani jednego inżyniera. Była jednak monopolistą, wywiązując się do czasu ze swoich zadań. W tej to sytuacji **zdecydowałem się przyjąć propozycję objęcia stanowiska konstruktora, a zarazem kierownika technicznego „Fabryki Śmigiel, Wyrobów Drzewnych i Metalowych W. Szomański i sp. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”.**

Profesor był nieco zaskoczony moją decyzją, ale wobec licznych uprzednich zachęt w stosunku do nas „z laboratorium”, że „inżynier musi przejść przez przemysł”, nie odwoził mnie od niej. Obiecałem ściśle utrzymywanie kontaktu. Prace, łącznie z rozbudową Instytutu, które mi powierzył prof. Witoszyński (w latach 1934-1935), miałem zakończone. Pochwalił mnie Profesor za właściwe postawienie sprawy wobec Szomańskiego. Wynagrodzenia zażądałem 1500 zł miesięcznie netto (bez rocznej, z góry nie określonej gratyfikacji), co stanowiło trochę więcej niż moje łączne uposażenie w Instytucie, na Politechnice i z prac wykonywanych na umowę dla Szomańskiego. Po dwu latach podniosłem moje miesięczne wynagrodzenie o 50% netto. Doskonale rozwijające się z moim udziałem przedsiębiorstwo mogło sobie łatwo pozwolić nie tylko na takie moje wynagrodzenie, ale na rozbudowę biura technicznego i ogólną podwyżkę płac – co z kolei wzmacniało firmę.

W ten sposób zabezpieczony finansowo, mogłem sobie pozwolić na luźną współpracę z Instytutem i Politechniką, bez żadnego z tamtej strony wynagrodzenia finansowego.

## **5. Jeszcze 1925-1935 – Kontakty z Instytutem Aerodynamicznym w latach 1935-1939 - Habilitacja 1938 r.**

### ***Sierpień 1969***

Zanim przejdę do następnego okresu moich powiązań z Politechniką w okresie dziesięciolecia mojej pracy przemysłowej, wypada zanotować kilka uwag charakteryzujących pierwszy (dokładnie 1.10.1925 – 1.10.1935) dziesięcioletni staż politechniczno-instytutowy.

*Moje zapiski stały się właściwie tylko kanwą wymagającą nawrotów, pogłębień, uszczegółowień. Nie brak pamięci, ale pośpiech – chęć dojścia jak najprędzej do okresu, kiedy zacząłem odgrywać pewną rolę w życiu szkoły, nakazują mi utrzymanie tego sposobu pisania.*

**Otóż przez tych 10 lat (1925-1935), na które przypadł m. in. okres kończenia studiów, moja praktyka dydaktyczna w Katedrze Geometrii Wykreślnej nauczyła mnie**

**ile można dać setce studentów, zgromadzonych w kreślarni i przywykłych do pracy w niej, w ciągu 18 godzin tygodniowo rzetelnej pracy.** Kiedy dziś słyszę ciągle utyskiwania na temat nadmiernego obciążenia asystentów, przypominam sobie ówczesną pracę. Nie chcę tutaj notować moich stopniowo zdobywanych doświadczeń (niejedną wskazówkę zawdzięczałem prof. Garlickiemu i starszym kolegom, wiele wypracowałem sam). W ciągu tych 7 lat przeszło przez moje ręce 7 setek studentów. Wielu z nich pamiętam do dziś. Nie byłem nielubiany, jak mi dziś mówią starsi panowie, których rozpoznaję, albo którzy przypominają się jako byli moi podopieczni. Byłem tylko konsekwentnie wymagający. Okazuje się, że autorytet zdobywałem sobie po pierwsze tym, że nowy rocznik poznawałem bardzo szybko z imienia i nazwiska, po wtóre dlatego, że nie mogli liczyć na przepuszczenie jakiegokolwiek niedokładności rysunku. Przypominają mi się różne triki sprawdzające, z których zresztą nie robiłem tajemnicy.

Niewątpliwie nawiązanie indywidualnego kontaktu, czego wyrazem dla studenta jest zapamiętanie jego nazwiska i trudności, na jakie napotykał, jest podstawą likwidacji stosunku „bezosobowego”. Musi być coś ze wzajemnego osobistego zobowiązania między studentem i prowadzącym zajęcia. Wielokrotnie stwierdziłem, że budzące się poczucie „osobistego zobowiązania” u studenta jest, a przynajmniej może być, punktem wyjścia do porządnej pracy, a przede wszystkim do przewycięzania wstępnych trudności. Z drugiej strony student musi wyczuwać, że jego trudności nie są obojętne asystentowi. Musi z tamtej strony wyczuć pełną dobrą wolę. Zdarzało się, że w czasie „publicznej” korekty (koledzy zawsze interesują się tym, co dzieje się przynajmniej przy najbliższych stolikach; oszczędza to zresztą powtórzeń, rozszerza zakres szczegółów, które można omówić) student się peszył. Wstyd mu własnej ignorancji nie tylko w stosunku do asystenta – wstydzi się kolegów. Wtedy pod jakimkolwiek pozorem odbywałem rozmowy w Katedrze, unikając robienia z tego instytucjonalnej formy pomocy, deklasującej w jakimś sensie studentów, którzy jej potrzebują. Innym dobrym sposobem było odesłanie do kolegów, którzy już zadanie rozwiązali. Dla studenta, którego prosiłem o pomoc dla kolegi, było to wyróżnienie. Dobrze było w tych przypadkach łączyć studentów jakoś do siebie zbliżonych np. z tej samej szkoły średniej – to też dobrze było wiedzieć!

Profesor Garlicki przez pierwsze dwa lata, kiedy mu zdrowie w pełni dopisywało, robił cotygodniowe spotkania – zebrania Katedry. Omawiało się bieżące sprawy, a także kolejne rozdziały pisanego przez Profesora nowego wydania skryptu. (Profesor zaczął pisać ten skrypt sam, swoim ładnym pismem i odbijać na prywatnym powielaczu. Zdaje się,

że skończyło się na pierwszych rozdziałach). Było to z wielkim dla mnie pożytkiem, bo zakres i metoda wykładu uległa od moich czasów poważnej zmianie. Pracę w tej Katedrze, Profesora, kolegów wspominałem zawsze jak najlepiej. Tak się stało, że ze sporego zespołu, dziś, kiedy piszę te słowa, pozostał poza mną przy życiu tylko prof. Rytel<sup>49</sup>, po którym jak wspominałem, objąłem asystenturę na Geometrii Wykreślnej. Przechodząc koło Gmachu Nowej Kreślarni, gdzie na parterze po stronie południowej leżała kreślarnia Wydziału Mechanicznego, a obok niej nasz pokój asystencki (zamieniony po wojnie na mieszkanie woźnego), zawsze wspominam te dawne czasy.

Tak się złożyło, że w **Katedrze Aerodynamiki** pracuję dziś w tym samym pokoju<sup>50</sup>, który z gronem kolegów związanych z urządzeniem laboratorium zajęliśmy w r. 1926 po przeprowadzeniu się Katedry z Gmachu Mechaniki.

Jak już wspominałem, **rozpocząłem pracę w 1925 r. od arytmometru**. Dziś maszyna cyfrowa załatwiłaby sprawę szybciej. W owych czasach przynajmniej dwie osoby kręciły w Katedrze korbkami arytmometrów (wprowadzone w latach trzydziestych arytmetry „elektryczne” były już wyrazem postępu w technice numerycznej).

Już **po paru miesiącach rozpocząłem według wskazówek Profesora obliczanie i rysunki wentylatora do dużego tunelu**. Była to ciekawa konstrukcja. Potem projektowałem układ transmisyjny do wentylatora. Później inne szczegóły, nowe tunele o specjalnych przeznaczeniach (m.in. tunel pionowy), np. do badania modeli swobodnych, model tunelu na wyższe prędkości, tunel do wizualizacji przepływu, wreszcie wspomniane już urządzenie do badania śmigieł (łącznie z silniczkiem elektrycznym). Nota bene w projektowaniu różnych przeróbek układów elektrycznych wprawilem się w tym czasie niezłe. Uruchomienie dużego tunelu nastęczało wiele kłopotów (drgania, które z trudem zdołaliśmy opanować; główną rolę odegrał tu asystent Czesław Bieniek, którego już zastałem w Katedrze w 1925 r.).

**Z naszych prac dla przemysłu nagromadziły się rezerwy finansowe, które pozwoliły w r. 1933 pomyśleć o rozbudowie Instytutu**. Czynne 3 tunele, które miały pełne wyposażenie wagowe, przestały wystarczać. Roboty dla przemysłu mnożyły się. Program

---

<sup>49</sup> Zdzisław Rytel był po wojnie profesorem Politechniki Warszawskiej, kierownikiem Katedry Silników Spalinowych. Dziekanem Wydziału Mechanicznego Konstrukcyjnego w latach 1952-59. Zmarł w 1979 r.

<sup>50</sup> Chodzi tu o duży pokój na I piętrze gmachu Aerodynamiki w północno-wschodnim jego narożniku. Tekst był pisany w 1969 r., kiedy katedry nie zostały jeszcze połączone w instytuty, a autor był czynnym pracownikiem Politechniki.

śmigłowy wymagał nie tylko gościny w tunelu, ale oddzielnego tunelu. Jak już o tym była mowa zapadła decyzja dobudowania nowego gmachu. Profesor powierzył mi nadzór nad budową. Zrobiliśmy to tak oszczędnie (przydał mi się mój skromny projekt z budownictwa), że starczyło jeszcze środków na nadbudowę III piętra nad dwoma wówczas istniejącymi „starego” gmachu. Nota bene nadzorując te budowy miałem po raz pierwszy okazję **zetknięcia się z Najwyższą Izbą Kontroli**. Przekonałem się, mimo formalizmu tej instytucji, że **sprawą najważniejszą jest to, aby być naprawdę „w porządku”**. Nie raz potem miałem jeszcze satysfakcję zwycięstwa zdrowego rozsądku nad formalizmem w zetknięciu się z tą instytucją – choć nie zawsze łatwo było to osiągnąć.

Była to moja ostatnia praca w Instytucie, obok, oczywiście, stale biegnących robót laboratoryjnych. Technika laboratoryjna w dziedzinie aerodynamiki rozwijała się wówczas ciągle. Odeszliśmy już daleko od tradycyjnych urządzeń i zakresu pomiarów laboratoriów Gustave Eiffla i Ludwiga Prandtla<sup>51</sup>. W naszym szybkim rozwoju, w którym dotrzymywaliśmy kroku liczącym się w tych czasach placówkom Europy i Ameryki, nie spodziewaliśmy się kresu, który miała przynieść wojna.

**Postanowilem więc pójść „na kilka lat” do przemysłu. Tak zawsze mówił Profesor: „na kilka lat”**. Mnie się raczej wydawało, że pociągająca praca inżynierska nie będzie sprzyjać powrotowi. **To też zaskoczyło mnie (był to już chyba rok 1937 lub 1938), kiedy w czasie jednej z wizyt u Profesora, Witoszyński powiedział: „Trzeba będzie myśleć, kto to po nas (to było takie pluralis majestatis często przez niego używane) obejmie całe gospodarstwo. Myślę, że to chyba na pana spadnie”**. Było to dla mnie wielkim zaskoczeniem z uwagi na układ stosunków osobowych w Instytucie: dwóch docentów – Stefan Neumark i Julian Bonder – i trzymający mocną ręką całość spraw laboratoryjnych, niestety ciągle jeszcze nie inżynier – Czesław Bieniek.

Obróciłem to w żart, jako że żywotność i siły Profesora (miał wtedy niewiele ponad sześćdziesiątkę) odbierały problemowi aktualność. Szczerze to stwierdzam, nie wziąłem wówczas na serio tej perspektywy.

**Przeszedłszy do Szomańskiego, opracowywałem w dalszym ciągu i uzupełniałem podjęte przeze mnie w Instytucie systematyczne pomiary śmigieł**. Nie znalazłem nigdzie w literaturze doświadczeń, ze zmianą poszczególnych istotnych parametrów geometrycznych śmigła, przy ustaleniu innych (obrysy łopatki, profile). Dokonana na zaprojektowanym

---

<sup>51</sup> Budowniczy słynnej wieży Eiffla w Paryżu założył później laboratorium aerodynamiczne.

urządzeniu seria pomiarów dała ciekawe wyniki. W ich interpretacji dopomogły moje doświadczenia konstruktorskie z kolejnymi śmigłami dla coraz to nowych typów płatowców PZL i RWD.

*Świadomie wyłączam w tej chwili z tych zapisek niezmiernej wagi w moim życiu okres pracy w fabryce Szomańskiego. Obejmuje on czas wojny i okupacji. Pomijam tutaj moje przeżycia i działalność tego okresu, jak i późniejsze konsekwencje tej pracy. Chodzi mi w tej chwili o ciągnięcie wątku powiązań z Politechniką Warszawską wówczas, kiedy nie byłem już jej oficjalnym pracownikiem. Do spraw pracy w fabryce, tak bogatej w interesujące doświadczenia, a później pełnej dramatycznych momentów powrócę, jeśli czas pozwoli, oddzielnie. Okres okupacji stanowić będzie wtedy rozdział sam dla siebie<sup>52</sup>.*

Lata 1935-39 dzięki efektom mojej pracy w fabryce, efektom, które tak bardzo i bezpośrednio związane były z moją działalnością (bo wreszcie i zespół młodych pracowników, których tam stopniowo przyciągnąłem, firma mnie zawdzięczała) stanowiły dla mnie okres poczucia siły i wiary w siebie. Również sprawy rodzinne w tym czasie, po ciężkich ciosach przełomu dwudziestych i trzydziestych lat, nie nastroczały trosk – raczej wróżyły radość i spokój. Miałem wtedy wielką pewność i śmiałość w działaniu. Nie miałem niepowodzeń zawodowych ani nie dokuczały mi żadne złe stosunki z jakimikolwiek kołami ludzkimi, z którymi się stykałem.

Moje **kontakty z Politechniką i Instytutem** utrzymały się w **dwóch płaszczyznach. Ukończyłem w 1937 r. dla kolejnego zeszytu „Prac Instytutu Aerodynamicznego” opracowanie wyników moich badań nad paroma rodzinami śmigieł.** Opracowanie to ukończyłem w 1937 r. Nie pamiętam, co sprawiło, że druk tego zeszytu opóźnił się (bodaj było to związane z przewlekaniem się wydania zeszytu poprzedniego, czy też nie nadążaniem następnego). W rezultacie pierwszych kilka kompletnych odbitek tzw. rewizyjnych (jako Zeszyt VII Prac IA) trafiło do moich rąk dopiero w końcu sierpnia 1939 r. Praca, jak i inne wydawnictwa IA, była opublikowana w dwóch językach; w moim przypadku – obok polskiego był to angielski.

Fakt, że wszedłem w posiadanie tych kilku odbitek miał dla mnie w przyszłości ogromne znaczenie. Spotkałem się bowiem pod koniec lat okupacji, a także i po wojnie, z zarzutem, że pracę moją udostępniłem Niemcom, którzy wydali ją drukiem w języku

---

<sup>52</sup> Por. dalszy rozdział „Fabryka Śmigieł na Marymoncie – Bielanaach.

niemieckim<sup>53</sup> chyba w roku 1943 obok innych materiałów znalezionych w IA, mających charakter badań ogólnych, natomiast wszystkie materiały dotyczące dmuchań prototypów samolotów zostały skrzętnie zniszczone przed ewakuacją personelu IA. Przy czym byli i tacy gorliwcy, którzy mówili o udostępnieniu okupantom „tajnych badań Instytutu”. Tak czy inaczej, możliwość wylegitymowania się publikacją polsko-angielską noszącą datę 1939 r. o tej samej zawartości co niemieckie wydawnictwo wyjaśniała sprawę jednoznacznie.

**Profesor Gustaw Mokrzycki zaproponował mi już po „przejęciu do Szomańskiego”, jak to krótko się mówiło, wykład specjalistyczny „Projektowanie śmigieł”, który prowadziłem przez parę lat z rzędu. Wykład ten, w opracowaniu ówczesnych studentów W. Dostatniego i J. Zbrożki wydany został jako tomik (bodaj 13 według zaplanowanej kolejności, a nie jako kolejny 13) wydawnictw Katedry Budowy Płatowców i Mechaniki Lotu w r. 1936. Tak więc, po 3 latach (w r. 1933 ukazała się moja *Technika laboratoryjna*, która doczekała się dobrych recenzji) zjawiała się druga książkowa pozycja. Parę artykułów na tematy śmigłowe ogłosiłem w piśmie wydawanym przez Dowództwo Wojsk Lotniczych („Przegląd Lotniczy”, czy „Wiadomości Lotnicze”), a może później przez „Technikę Lotniczą”. Nota bene w latach 1937/1938 jako wiceprezes Związku Polskich Inżynierów Lotniczych prowadziłem pion odczytowy. Dobrze wspominam tę pracę. W r. 1939 wybrany zostałem prezesem ZPLL. Wszystkie moje opracowania i książkowe i luźne artykuły miały charakter „użyteczny”, przydatny dla praktyki doświadczalnej i konstrukcyjnej. Zwracam na to uwagę, gdyż ciągle nie mogłem się zdecydować na napisanie pracy „na stopień”, wymagającej według panujących u nas w Instytucie zwyczajów poważnego teoretycznego podejścia, a przynajmniej teoretycznego szkieletu. Nie zdążył się jeszcze wykształcić typ prac doświadczalnych, które zdobyłyby sobie rangę prac na stopień doktorski.**

**W 1938 r. miałem za sobą trzecie „związane” opracowanie moich badań śmigieł, (Zeszyt VII Prac IA), które znów dla nadania mu charakteru pracy doktorskiej wymagałoby (głównie według ustalonej opinii naszych „teoretyków”) podbudowy teoretycznej, do której nie byłem skory (po prostu zawsze miałem pełne ręce praktycznych zadań na „już” i na „wczoraj”). Wówczas chyba prof. Mokrzycki zainicjował, ale prof. Witoszyński myśl poparł, aby Wydział Mechaniczny wezwał mnie do przewodu habilitacyjnego bez doktoratu, a to (zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami ustawowymi) z tytułu**

---

<sup>53</sup> Wydawcą był Herman Göring Institut w Neu Brandenburgu.

**całości wyróżniającego się dorobku konstruktorskiego. W podobnej do mnie sytuacji był Staś Rogalski, będący asystentem u Mokrzyckiego – miał on dorobek konstruktorski już wówczas niemały, a nie zamierzał robić doktoratu (zob. Aneks 1).**

I tak oto, chyba w czerwcu lub w końcu maja 1938 r., zasiedliśmy pewnego dnia kolejno (najpierw ja, po mnie Rogalski) przed Radą Wydziału Mechanicznego (dziekanem był wówczas prof. Witold Pogorzelski) na kolokwium habilitacyjne, a po paru dniach odbyliśmy wykłady habilitacyjne. **Zatwierdzenie tej habilitacji przez Ministerstwo Oświaty otrzymałem dopiero po wojnie.** Nota bene na opóźnienie załatwienia formalności wpłynęło m. in. to, że żaden z nas po ukończeniu studiów nie odebrał dyplomu, a tymczasowe zaświadczenie traciło formalną wartość z upływem 6 miesięcy. Druk dyplomów trwał zawsze dłuższy czas, gdyż oddawano je do drukarni pakietami. Nie zapomnę zgorszenia zacnego referendarza, prowadzącego sprawy osobowe, p. Orzeszko, który nie mógł zrozumieć, po co kończyć studia, jeżeli potem przez 10 lat nie odbiera się dyplomu. Gdyby nie przewód habilitacyjny, pewnie nigdy bym nie miał dyplomu ukończenia Politechniki. Trzeba zresztą powiedzieć, że po wojnie nie zachował mi się nawet żaden z odpisów.

Sklonieniem mnie do habilitacji obaj nasi główni „lotnicy” na Wydziale – prof. Witoszyński i prof. Mokrzycki – w jakiś sposób zwrócili moją myśl ku Politechnice jako perspektywicznemu miejscu zakotwiczenia życiowego. Profesor Witoszyński liczył wówczas 63 lata i od emerytury (bez przedłużeń, które mogły się rozciągnąć dodatkowo łącznie na 5 lat: 3 + 1 + 1) dzieliły go 2 lata. Tak więc miałem jeszcze przed sobą kilka lat, które mogłem, zgodnie z recepturą Profesora, poświęcić pracy w przemyśle. To, że Profesor będzie się starał mnie właśnie forsować na swoje miejsca na Katedrze, było już dla mnie jasne, choć ciągle niezrozumiałe. Może nie była to zła koncepcja. Sam Witoszyński również dopiero w 40 roku życia porzucił praktykę inżynierską, żeby całkowicie poświęcić się Politechnice i swojej ulubionej dziedzinie mechanice płynów.

**Do systematycznego „zaokrąglenia” mojej wiedzy aerodynamicznej przyczyniły się bardzo wykłady tego przedmiotu w Szkole Oficerów Technicznych Lotnictwa w Warszawie. Prowadziłem te wykłady chyba przez 3 lata (1936-39) i utwierdziłem się w tym, że nic tak jak konieczność dobrego wyłożenia nie zmusza do dogłębnego poznania materiału. Oczywiście w danym przypadku zakres wykładu zmuszał do zbudowania przedmiotu różniącego się w dużym stopniu od naszego kursu politechnicznego,**



co nie ułatwiało zadania. Nota bene wykłady te objąłem po doktorze Stefanie Neumarku, który w tym czasie już wykładał aerodynamikę w zastępstwie Profesora Witoszyńskiego (na Oddziale Lotniczym) Wydziału Mechanicznego PW.

## **6. Zaangażowanie na Politechnice w czasie wojny 1939-1944**

### ***Sierpień 1969 r.***

**Okres oblężenia Warszawy** spędziłem na terenie Politechniki, ściślej Instytutu Aerodynamicznego.

Po wyewakuowaniu mojej Fabryki Śmigieł do Lublina w dn. 6-8 września 1939 r., w porozumieniu z Dowództwem Lotnictwa, które przyłapałem we Lwowie (8 IX), zawróciłem (9 IX) z jednym z naszych pracowników (Ludwikiem Moczarskim, absolwentem – Wydziału Mechanicznego) do Warszawy, aby wywieźć stamtąd jeszcze transport śmigieł dla pościgówek rozproszonych w rejonie Lublina. Na skutek polowych lądowań większość z nich miała podłamane śmigła, a magazyny dęblińskie, zresztą zbombardowane, były niedostępne. Dwunastego września wieczorem nie mogliśmy już wyjechać z Warszawy, a trzynastego w Dowództwie Obrony Warszawy uzyskałem miarodajną informację, że Warszawa jest okrażona i „w najbliższym czasie ten stan się utrzyma”. Oznaczało to początek oblężenia. Wobec tego, że nie miałem co robić na terenie fabryki, położonej zresztą na Marymoncie w odległości kilkunastu kilometrów od mojego mieszkania na Kolonii Lubeckiego (koło pl. Narutowicza), postanowiłem odwiedzić prof. Witoszyńskiego, który jak słyszałem, nie opuścił Warszawy. Profesor przyjął mnie bardzo serdecznie. Przeciwny gremialnemu exodusowi, zarządzonemu przez Cz. Bieńka, zachował do niego wyraźną urazę z tego powodu. Wynikiem było zbliżenie Profesora do J. Wysockiego, jedyne go asystenta, który pozostał wraz z jednym ze stolarzy (Młynarczyk). My dwaj z Moczarskim wzmocniliśmy znacznie tę załogę, (zdaje mi się, że był jeszcze ktoś: chyba ogrodnik Albiński chroniący się w swojej komórce we wnęcie dużego tunelu, która miała komunikację z ogrodem). Więcej nie było chyba nikogo. Zresztą cały teren Politechniki, łącznie z domem mieszkalnym vis a vis Instytutu wydawał się wyludniony. Pod naciskiem rodziny po pierwszych nalotach Profesor przeniósł się z żoną na Powiśle. Natomiast nasza kilkusobowa załoga przetrwała całe oblężenie na terenie Instytutu. Ściślej – ja z Moczarskim wracaliśmy często na noc do mojego mieszkania na ul. Mianowskiego 12, jako że w nocy Niemcy nie bombardowali z samolotów i nie zrzucali bomb zapalających. Obrona

przeciwpożarowa polegała głównie na śledzeniu, gdzie spadły zapalające „butelki”. Bomby zapalające to były ok. 40 mm średnicy i ok. 300 mm długości cylinderki spalające się stopniowo; przysypane piaskiem albo zrzucone na miejsce „neutralne”, stawały się nieszkodliwe. Trzeba było pilnować głównie dachów, ale i przez okno taka zapalniczka mogła czasem wpaść do wnętrza. Udało nam się przez cały czas oblężenia, nawet w dniach intensywnych nalotów na Politechnikę, uchronić budynki Instytutu przed pożarem. „Przy okazji” ugasiłszy również z Moczarskim pożar budynku mieszkalnego, gasząc ogień na poddaszu i odrąbując płonące już ozdoby drewniane starego domu: Na śliskim dachu blaszanym asekurowałem Moczarskiego sznurem od bielizny znalezionym na strychu. Zresztą zastana tam bielizna pozwoliła przez oszczędne wyzyskanie nielicznych kubłów z wodą, przygotowanych w ramach obrony przeciwpożarowej, ugasić ogień na poddaszu obejmujący już intensywnie belkowanie. Nie wiedziałem, jakie skuteczne są okłady z mokrych szmat w pierwszej fazie pożaru.

Niestety, nie udało nam się zapobiec spłonięciu hali Laboratorium Wytrzymałości i Materiałów. Zastaliśmy na terenie jednego tylko człowieka – portiera dzisiejszej Nowowiejskiej 22, Wendyńskiego. Zrzucone na dach od strony fontanny bomby zapalające dostrzeżliśmy właśnie z domu mieszkalnego. Zbiegliśmy prędko i dołączyliśmy do bezradnego w poszukiwaniu drabiny Wendyńskiego. Brak drabiny zdecydował o losie budynku. Po kilkunastu minutach, przy dość silnym wietrze, już kilka metrów kwadratowych dachu stało w płomieniach i ogień rozszerzał się błyskawicznie. W tej chwili przelatujące samoloty zrzuciły kilka małych bomb kruszących. Schroniliśmy się do dolnego poziomu Gmachu Mechaniki. Nie wiem skąd przyplątało się do nas jeszcze dwóch żołnierzy. Kiedy nalot minął, przeszedłem wewnętrznym przejściem w stronę płonącego budynku. Gmach Mechaniki łączyły z budynkami prostopadłymi do ul. Nowowiejskiej – dwa symetryczne łączniki. Łącznik między Gmachem Mechaniki a Laboratorium Wytrzymałości Materiałów, od którego rozpoczął się pożar, było to miejsce całkowicie zagracone jakimś szafami, skrzynkami, połamanymi krzesłami. Przez drzwi dzielące to przejście od laboratorium przedostawał się już dym i jęczyczki ognia. Udało nam się wyważyć drzwi i obalić je do środka płonącej hali. Potem całe umeblowanie z łącznika wrzuciliśmy sztuka po sztuce do płonącego gmachu. Ogień nie mógł się już przenieść na Gmach Mechaniki. Mam do dziś przed oczami tę płonącą po zapadnięciu dachu podłogę w hali (była to kostka drewniana). Jakimś cudem nie było dymu albo też ciąg był od nas do dogorywającej hali. Wszystko to trwało chyba nie więcej niż godzinę. Ponure kikuty pięknych maszyn wytrzymałościowych

stały na fundamentach wśród żarzącej się podłogi. Tego samego bodaj dnia spłonął częściowo Gmach Chemii.

W czasie innego nalotu zrzucono celowane na budynki Instytutu 3 lub 4 bomby. Szczęśliwie upadły parę metrów za daleko, żeby zniszczyć główny węzeł połączenia obydwu naszych gmachów. Niemniej nasz skład koksu na podwórzu, który dostał jedną bombę, znalazł się częściowo na dachu naszego 3-piętrowego budynku (zrzuciliśmy potem stamtąd drzwi magazynu i ze 2 tony koksu). Lej był średnicy kilku i głębokości paru metrów. To była cięższa bomba. Inne dwie upadły przy murze nowego budynku, usytuowanego prostopadle do alei Niepodległości. Dało to zarysowanie muru, które pozwoliło potem prof. Witoszyńskiemu przez długi czas uzasadniać niemożność uruchomienia tuneli.

**Po kapitulacji zaczęli stopniowo napływać pracownicy Instytutu.** Szczególnie cenny był powrót mechanika Instytutu, Stanisława Zielińskiego, jego brata Wincentego i portiera Grzelaka, zamieszkałych na terenie Instytutu. Powrócił również do swego mieszkania Profesor. Powróciło paru stolarzy. Powrócił jeden ze starszych asystentów Instytutu, inżynier Aleksander Szyszkowski; osiadł on w mieszkaniu Cz. Bieńka, który wyładował we Lwowie, a po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej przeniósł się do tzw. Guberni Generalnej i zamieszkał pod Zawichostem, ukrywając się przed poszukującym go w Warszawie gestapo.

**W czasie okupacji utrzymywałem kontakt z Profesorem. Faktycznym gospodarzem zgromadzonej „załogi” został J. Wysocki.** W pierwszych miesiącach 1940 r. wydawało się, że będzie możliwe ograniczone podjęcie zajęć na Politechnice. Istotnie władze okupacyjne udzieliły zezwolenia na kończenie prac dyplomowych i odbywanie egzaminów przez kończących studentów – zresztą odwołane już po dwóch miesiącach. **Wobec nieobecności w kraju prof. Mokrzyckiego i jego asystentów, władze uczelni powierzyły mi opiekę nad Katedrą Budowy Płatowców i Mechaniki Lotu (dziekanem był wówczas prof. Tolłoczko).** Tę opiekę i wykonywanie niezbędnych czynności kierownika Katedry pełniłem przez cały okres okupacji i w pierwszych miesiącach po wojnie, do czasu uładowania spraw Wydziału Mechanicznego na Politechnice w r. 1946.

Gdzie indziej (w życiorysie Witoszyńskiego<sup>54</sup>) poświęcam więcej uwagi szczegółom rozwoju sytuacji na terenie Instytutu w latach okupacji, U prof. Witoszyńskiego zbierało się grono profesorów dla wymiany informacji, których głównym dostarczycielem z nasłuchu

---

<sup>54</sup> Por. początek rozdziału „Instytut Aerodynamiczny”.

radiowego był inż. A. Szyszkowski. Bywał stale u Profesora również fizyk prof. Mieczysław Wolfke<sup>55</sup>. Był doskonale zorientowany w sytuacji w Instytucie, a chyba także w moich stosunkach z Profesorem. Nie wszyscy, daleko nie wszyscy profesorowie otrzymywali pomoc via delegatura Rządu Londyńskiego. Trzeba było organizować pomoc nie urażając godności ludzi. Mogłem w tej mierze coś robić i robiłem o ile środki fabryki Szomańskiego na to pozwalały. Prof. Wolfke po wojnie w bardzo nieładny sposób próbował mi „urobić opinię”. Zresztą, nie on jeden. Ale z jego strony odczułem to boleśnie. *Postanowiłem, że nie będę się zatrzymywał nad aspektami mojego życiorysu w rozdziale, który trzeba będzie nazwać „Okupacja”. Jednak dygresje narzucają się nieraz siłą.*

**Kiedyś, w roku 1942 lub 1943, kiedy Instytut miał już swego komisarza z ramienia H. Göring Institut, J. Wysocki zaproponował mi rewizję niemieckiego wydania moich Śmigiel (zeszytu VII Prac. IA). Zostawiłem to jemu samemu. Zastrzegłem tylko, że jeżeli ma być zostawione moje nazwisko jako autora, proszę o wierne tłumaczenie i zachowanie treści według oryginału polsko-angielskiego.**

O ile wiem, zostało to dotrzymane. **Sam Wysocki przygotował do druku opracowany już prawie w całości inny zeszyt Prac IA, który miał jako autor podpisać Bieniek.** Poza innymi zarzutami co do działalności „wydawniczej” Wysockiego (w porozumieniu z komisarzem z H. Göring Institut), to swego rodzaju przywłaszczenie autorstwa było później źle ocenione. Z drugiej strony, materiał doświadczalny był na pewno wynikiem pracy zbiorowej, planowanej ogólnie przez Cz. Bieńka (bogaty zbiór pomiarów rozkładów ciśnień na płatach i usterzeniach), a tekst opisowy – jak zawsze u Bieńka – do ostatniej chwili nie był gotów. Tak więc medal miał dwie strony.

Wspominam o tej działalności wydawniczej na terenie Instytutu w czasie okupacji jako, że bez mojej inicjatywy dotknęła mojej osoby. Dotknęła, i to groźnie, upraszczając sformułowania krzywdzących zarzutów. (Ale prof. M. Wolfke znał dobrze kulisy sprawy). Sama akcja wydawnicza pozwoliła zgromadzić na terenie Instytutu grupę dawnych pracowników Wydziału, dając im materialne oparcie, a wielu z nich swobodę w pracy zupełnie z wydawnictwami nie związanej.

**Powstanie zastało mnie na Marymoncie. O tragicznym przebiegu spraw na terenie IA dowiedziałem się już po powrocie do kraju (śmierć zięcia i wnuka Profesora, obu Zielińskich, Grzelaka, rozstrzelanych na przyległym terenie**

---

<sup>55</sup> Mieczysław Wolfke, od 1922 r. profesor fizyki PW.

za pomnikiem Sopera, dramatyczne przeżycia Wysockiego i Antoniuka, ocalenie Profesora tylko dlatego, że pozostał w swoim gabinecie w czasie ataku „Panter” od strony alei Niepodległości).

Do Instytutu miałem powrócić dopiero w 1946 r., podejmując jego odbudowę. Przedtem, mój pierwszy powojenny kontakt z macierzystą uczelnią miał nastąpić przez zaangażowanie się w czerwcu 1945 r. po powrocie do kraju, do pracy w „Politechnice Warszawskiej z tymczasową siedzibą w Lublinie”, czynnej tam od stycznia 1945 r. do końca września tegoż roku.

*Do okresu okupacji i powstaniowego zamierzam obszernie powrócić w oddzielnej części mojego pamiętnika (Szomański, wojna, okupacja, pierwszy rok po wyzwoleniu).*

## **7. Po powrocie do kraju – Lublin 1945 r. – Zjednoczenie Przemysłu Motoryzacyjnego 1945/1946 r.**

*28.08.1970 r. Mądralin*

Po powrocie do kraju w ostatniej dekadzie maja 1945 r. z obozu pracy w Sudetach (Mimoń), gdzie nas zastał koniec wojny, przez Morawską Ostrawę, Zebrzydowice, wylądowaliśmy w Kluczach koło Olkusza u mojego brata. **Za sprzedane koce pojechałem do Krakowa.** Przypadkowe spotkania: dyr. Kwieciński, Jurek Czerniachowski (pożyczka pieniędzy pod zastawem zegarka – dobry chłopak znalazł mnie potem w Warszawie zmuszając do przyjęcia z powrotem zegarka i potraktowania pożyczki jako nie pilnej!). Dowiaduję się, że w AGH prof. Antoni Ponikowski werbuje do Politechniki Warszawskiej z tymczasową siedzibą w Lublinie. Nie zwlekam. Angażuję się. Zaliczka 3000 zł. Zapewnione lokum i stołówka. Do Lublina udaję się przez Warszawę, gdzie umieszczam córkę w cudem nie spalonym mieszkaniu przyjaciół i zapisuję ją do szkoły, udaję się do Lublina. Lublin miał być miejscem mojej pracy od czerwca do września 1945 r. Początek czerwca i początek letniego semestru<sup>56</sup>. Zastaję w Lublinie prof. Karola Taylora z żoną, mojego dawnego profesora matematyki Juliusza Rudnickiego (profesora Uniwersytetu Wileńskiego), dr Zofię Kietlińską (córkę rektora Edwarda Warchałowskiego – ponownie wybranego w Warszawie). Stan prawny Politechniki

---

<sup>56</sup> Zajęcia na Politechnice Warszawskiej z tymczasową siedzibą w Lublinie rozpoczęły się w styczniu 1945 r. (kiedy została wyzwolona Warszawa) i były prowadzone do września 1945 r.

**Warszawskiej** był w tym czasie dość skomplikowany<sup>57</sup>. Ostatni rektor przedwojenny, prof. Kazimierz Drewnowski<sup>58</sup>, prowadził w tym czasie zorganizowane zaraz po wyzwoleniu studia politechniczne dla Polaków w Belgii. Prof. B. Stefanowski organizował w oparciu o kadry warszawskie Politechnikę w Łodzi, która prędko stać się miała wyraźnie Politechniką Łódzką, bez perspektyw na repatriację. (Nie mówię o kursach politechnicznych prowadzonych we wczesnych miesiącach wiosennych (1945 r.) przez prof. Stefanowskiego w Częstochowie i prof. Warchałowskiego w Kielcach). **Profesorowie Wydziału Mechanicznego, najbardziej w komplecie zgromadzeni w Łodzi (Cz. Witoszyński, B. Tołłoczko, W. Pogorzelski, W. Moszyński, oczywiście sam B. Stefanowski, Kazimierz Zembrzuski, nie licząc nowo powoływanych stopniowo) tworzą równocześnie Radę Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej** wydając początkowo w jej imieniu dyplomy kończącym studia, bądź weryfikującym „wojenne” dyplomy. Czynny jest jako rektor w Warszawie prorektor Stefan Straszewicz<sup>59</sup>. Poprzednio jednak (koniec 1944 r.) na prawach rektora i Senatu obejmuje władzę Władysław Witold Kuczewski, pierwszy organizator Politechniki Warszawskiej z tymczasową siedzibą w Lublinie, a następnie organizator Politechniki Śląskiej. Dużo nasuwa się szczegółów, które chciałoby się zanotować, a nie warto. Są już dostatecznie udokumentowane historycznie, a z moją osobą mało jeszcze mają wspólnego.

**W Lublinie dziekanem wydziału elektro-maszynowego (czy elektromechanicznego) jest zastępca profesora – Dorosz ze Lwowa.** Mnie honorują jako docenta (oświadczenie prof. Taylora), ale Dorosz pilnuje, żebym nie wszedł do Rady Wydziału. **Wykładam wybrane działy aerodynamiki**, dopasowując kurs do potrzeb grupy słuchaczy. **Równocześnie prowadzę wykład i egzaminuję z przedmiotu organizacja pracy.** Podkreślam to egzaminowanie, bo wówczas studenci jeździli po kraju zdobywając wpisy do indeksu, aby wreszcie wylądować u dziekana prof. Tołłoczko dla uzyskania dyplomu.

---

<sup>57</sup> Przemiany organizacyjne Politechniki Warszawskiej w pierwszych latach po wojnie opisane są szczegółowo w rozdziale „Droga rozwoju organizacyjnego uczelni 1945-1955” autorstwa Jerzego Bukowskiego w publikacji „Dziesięć lat Politechniki Warszawskiej w Polsce Ludowej”.

<sup>58</sup> Kazimierz Drewnowski – współzałożyciel Wydziału Elektrycznego PW. Dwukrotnie piastował funkcję dziekana tegoż wydziału. W latach 1939/1940 oraz 1944/1945 rektor Politechniki Warszawskiej. Aresztowany przez Niemców w listopadzie 1942 r. przebywał w obozie koncentracyjnym Dachau do wyzwolenia w 1945 r. Do kraju powrócił z Belgii w maju 1947 r.

<sup>59</sup> Stefan Straszewicz – profesor nadzwyczajny matematyki na Wydziale Inżynierii Lądowej PW. W roku akademickim 1932/1933 dziekan Wydziału Inżynierii Lądowej, a w latach 1933-1935 Wydziału Inżynierii. Prorektor PW w latach 1938/1939.

Poziom moich słuchaczy aerodynamiki, jak i moich wykładów, podnosił udział Bronisława Żurakowskiego, który wywoływał ciekawe rozmowy.

Dobrze wspominam ten **pobyt w Lublinie. Moi gospodarze, inż. arch. Czesław Gawdzik z żoną, mili zacni ludzie.** Zaprzyjaźniam się z Taylorami i Kietlińską. Dobre stosunki z rektorem Ponikowskim. Po okresie Powstania i pobytu „w Niemczech” prawdziwa sielanka. Studenci, których w większości pamiętam z geometrii wykreślnej.

Jeden zgrzyt. **21 lipca zostaję zabrany z mieszkania przez patrol wojskowy. Donos** łobuza, którego za paskarski handel mięsem w czasie powstania dobrze pogoniłem. Na szczęście (błogosławiona biurokracja) – po wstępnym przesłuchaniu na odwachu Szkoły Wojskowej, która mieściła się w rejonie mieszkania Gawdzików gdzie mieszkałem, w areszcie UB, gdzie mnie dalej odprowadzają, funkcjonariusz bezpieczeństwa nie chce mnie przyjąć „bez skierowania”. Wracam z patrolem do koszar, żądam przesłania wiadomości do rektora Ponikowskiego. Robią to. Ale nocuję w zamknięciu. Rano wyjaśnienia. Jakiś sympatyczny oficer polityczny. Jak się znalazłem w Lublinie, gdzie są ludzie Szomańskiego wywiezieni z Warszawy etc. Wyjaśniam. Konfrontację z oskarżycielem uznaję za zbędną. Jeszcze komendant Szkoły (a może zastępca) płk Krzemień – przeprosiny, ale muszę zostać do popołudnia, bo teraz akurat obchód święta (1 rocznica!) manifestu lipcowego. Pozwalają na odwiedziny pp. Gawdzików. Maszynka do golenia, śniadanie. Wieczorem w domu. Ten obchód pierwszego święta lipcowego pod kluczem był dla mnie sygnałem, że będę spotykał ludzi, którzy na różne sposoby przykre, a nawet groźne dla mnie, wykorzystywać będą moją „przeszłość okupacyjną”.

**We wrześniu rektor Antoni Józef Ponikowski poleca mi czynności likwidatorskie naszej „PW z tymczasową siedzibą w Lublinie”.** Przekonałem się, jak swoiście zapobiegliwi potrafili być w okresie organizacji tej placówki niektórzy „pływacy”, przybyli niewiadomo skąd i z jakim tytułem obejmujący funkcje w szkole jeszcze za czasów prof. Kuczewskiego. Dwu z nich, a w szczególności jeden miał odegrać niemałą rolę w organizacji (lub dezorganizacji) naszych poczynań w dziedzinie szkolnictwa wyższego i nauki, m.in. jako rektor Politechniki Gdańskiej po prof. Turskim. **Personel lubelski angażuje się głównie do Gdańska,** który przysyła tu swoich werbowników. **W Politechnice Warszawskiej ukonstytuowały się nowe władze z prof. E. Warchalowskim jako rektorem. Mówił on tylko o uruchomieniu Wydziałów: Architektury i Inżynierii Lądowej.** Pierwotnie skierowana do mnie propozycja zaangażowania w Politechnice

Gdańskiej nie zostaje ponowiona. **Angażuję się na propozycję inż. I. Bracha, dyrektora technicznego w Centralnym Zarządzie Przemysłu Metalowego do Zjednoczenia Przemysłu Motoryzacyjnego w charakterze dyrektora administracyjnego<sup>60</sup>**. Naczelnym jest inż. Olgierd Bobrowski. Technicznego nie ma. Dziewięć fabryk: Śląsk, Łódź, Bydgoszcz, odbudowujący się „Ursus” pod Warszawą. Dobrze i pożytecznie przepracowuję ten rok.

## **8. Politechnika Warszawska – Komisja Senacka – Politechnika Łódzka 1946 r.**

*Sierpień, wrzesień 1970 r.*

Na Politechnice Warszawskiej jesienią 1945 r. ruszają wbrew pierwotnym założeniom wszystkie wydziały z wyjątkiem Mechanicznego (pierwotnie miał być uruchomiony tylko Wydział Architektury i Budownictwa Lądowego). Cicha, najlepszymi pobudkami dyktowana walka Warchałowski – Stefanowski. Pierwszego nie obchodzi Łódź, drugi w dogodniejszych warunkach chce odbudować studia techniczne w Łodzi, aby ewentualnie w drugim rzucie zająć się Warszawą. **Kandydaci na studia mechaniczne demonstrują. Wreszcie od grudnia 1945 r. rusza pod opieką prof. Stefana Straszewicza I rok Wydziału Mechanicznego.** Kompromis. Inne wydziały idą na wszystkich latach, choć w niezmiernie trudnych warunkach. **Pracując w Zjednoczeniu nie zapominam o mojej „rehabilitacji”.** Nie może mnie każdy oskarżać. Jako przedwojenny docent PW (tak stawiam sprawę) **proszę rektora Warchałowskiego o wszczęcie według jego uznania postępowania przed specjalnie powołaną komisją lub przed komisją dyscyplinarną, przed którą mógłbym stanąć dla wyjaśnienia tzw. „spraw okupacyjnych”.** Później miałem się dowiedzieć, że moją osobą od tej właśnie strony zajmowano się o wiele intensywniej niż mogłem sądzić. Na razie dochodziły do mnie takie rozmaite „podobno”, „ktoś komuś kiedyś powiedział” itd. **Rektor Warchałowski powołał Komisję w składzie: prof. Józef Zawadzki, prof. Tadeusz Wojno, prof. Romuald Gutt.** Składam obszerny życiorys okupacyjny na piśmie. Przesłuchanie szeregu osób. **Orzeczenie: nie było w postępowaniu Bukowskiego nic, co mogłoby rzucić cień na jego dobre imię (zob. Aneks 3). Jedyne zarzut, że nie działałem w porozumieniu i według instrukcji władz „podziemnych”.** Ten zwrot w orzeczeniu Komisji będzie miał kiedyś znaczenie.

---

<sup>60</sup> Jerzy Bukowski z żoną zamieszkali w maleńkiej „służbowce” w lokalu Zjednoczenia mieszczącym się przy ulicy Polnej 46. Mieszkanie na Mianowskiego 12, gdzie Bukowski mieszkał z rodziną do powstania 1944 r. było zburzone i częściowo spalone.



Dwukrotnie potem „ginęły” wszystkie moje, albo co ważniejsze dokumenty osobiste z teczki personalnej. Ostatni egzemplarz, oryginał pisma rektora Warchałowskiego do mnie, streszczającego osąd Komisji, pozostał i przypadł w sędzie w czasie rozprawy z Jelnickim – ale okres okupacji i późniejsze moje sprawy osobiste z nią związane to już przedmiot innej części pamiętnika. Poruszam je o tyle, o ile ważne są z uwagi na moje dalsze stosunki z Politechniką. W tymże roku 1946 (czy nie w następnym?) uzyskuję potwierdzenie habilitacji (min. Stanisław Skrzyszewski) z Ministerstwa Oświaty. **W tym samym czasie przechodzę weryfikację w SIMP.** Nie chcę dochodzić źródła i powodów nieprzyjaznych w stosunku do mnie działań. Może to była tylko pamięć o tym, że nie kłaniałem się władzom, do których nie mogłem mieć nieograniczonego zaufania. A może zawiść o skuteczność mojego działania na terenie Marymontu i Powązek?

**Na wiosnę 1946 r. propozycja prof. Stefanowskiego zaangażowania się do Łodzi na Katedrę Budowy Płatowców i Mechaniki Lotu,** którą jak pisałem, opiekowałem się w czasie wojny. Liczyłem ciągle na powrót Stasia Rogalskiego. Uważałem, że jeśli już prof. G. Mokrzycki nie wróci, to Rogalskiemu się ta Katedra należy. **Katedrę Aerodynamiki zajmował prof. Witoszyński.** Ponawiane naciski. **Wreszcie zgadzam się. Będę wykladał mechanikę lotu, inż. Tadeusz Sołtyk poprowadzi wykład konstrukcji samolotów.** Gdzieś w kwietniu mam inauguracyjny wykład. Normalne funkcjonowanie mam zacząć od początku roku 1946/1947.

**Historia Politechniki Łódzkiej była dość złożona,** profesorowie warszawscy, którzy się tam znaleźli, traktowali ją, jako dalszą czasową siedzibę Politechniki Warszawskiej. Ale Łódź, drugie co do wielkości miasto, starała się o swoją Wyższą Szkołę Techniczną na długo, długo przed wojną, przez cały okres międzywojenny. Prędko zdecydowano, że Politechnika, którą tam tworzy profesor Stefanowski, będzie Politechniką Łódzką i na stałe tam zostanie. Tak więc właściwie **warszawski Wydział Mechaniczny został zupełnie bez profesorów.** Część chemików, którzy początkowo zaangażowali się w Łodzi, przyjechała do Warszawy. Podobnie część elektrotechników, którzy najpierw zasilili Wydział Elektryczny Politechniki Łódzkiej, od razu znaleźli się w 1945/1946 w Warszawie. Natomiast wszyscy łódzcy profesorowie Wydziału Mechanicznego zostali „wierni” prof. Stefanowskiemu. Bardzo szybko i bardzo mocno rozwinęli tam Wydział Mechaniczny. Nota bene poza Łodzią jeszcze kilku naszych profesorów było w Politechnice Gdańskiej, (bodaj z Krakowa, przez Kraków się tylko przewinęli). Tak więc głównie Łódź, częściowo Gdańsk były miejscem

osiedlania się naszych profesorów. Tak też i ja w roku ok. 1945/1946 zostałem zaangażowany, (ściśle w roku 1946) przez prof. Stefanowskiego do Politechniki Łódzkiej.

Tymczasem powstaje i **narasta parę problemów. Po pierwsze, prof. Witoszyński w rozmowie ze mną mówi: „Spadnie na pana odbudowa Instytutu” (Aerodynamicznego, spalonego i zburzonego w znacznej części w okresie Powstania i później. Było tutaj bardzo mocne natarcie od strony alei Niepodległości). „Ja już tego nie zrobię” (w r.1946 Profesor rozpoczął 71 rok życia). „Jeżeli wrócę do Warszawy, to i tak pan pewnie zajmie moje miejsce”.** Ten niespożytej energii człowiek budował już wtedy przy Lotniczych Warsztatach Doświadczalnych (u Sołtyka) tunel aerodynamiczny (do dziś istnieje w Politechnice Łódzkiej, przystosowany do „dmuchania” pojazdów) i wspierał z całą mocą poczynania grupy konstruktorskiej, która przeniosła się tutaj z Sołtykiem z Lublina.

**Druga sprawa – bez porozumienia ze mną, Rada Wydziału Mechanicznego łódzkiego (profesorowie warszawscy plus nowo powołani) wystąpiła z wnioskiem o powołanie mnie definitywnie w charakterze profesora nadzwyczajnego na Katedrę Budowy Samolotów (Płatowców)<sup>61</sup> Politechniki Łódzkiej.** Byliśmy jeszcze pod rządami przedwojennej ustawy, nie przewidującej dwóch profesorów przy jednej katedrze. W tych warunkach **protestuję w stałym oczekiwaniu na prof. S. Rogalskiego** (zresztą był w kraju z czynnych i doświadczonych konstruktorów przedwojennych dr Franciszek Miształ, zaangażowany w tym czasie w Szkole Wawelberga – poza pracą w odradzającym się LOT, a później w WSK na Okęciu). Z merytorycznych względów, tylko dlatego, że opiekowałem się Katedrą w czasie wojny, **mogłem tę opiekę bardziej aktywnie zatrzymać w charakterze zastępcy profesora, nie blokując Katedry.** Na tym tle powstało pewne napięcie między mną i rektorem Stefanowskim. Skoncentrowany w tym czasie na sprawach Politechniki Łódzkiej, widział on na trzecim planie sprawy warszawskie, a może czuł się urażony, że nie doceniłem gestu zaofiarowania mi profesorskiego stanowiska. Doszło do tego, że sam **osobiście dotarłem do Ministerstwa (jeszcze Oświaty – w alei Szucha) z prośbą o zmianę treści wniosku i powołanie mnie na zastępcę profesora na Katedrze Budowy Płatowców i Mechaniki Lotu w Politechnice Łódzkiej.** Dopiero późnym latem 1946 r. rektor Stefanowski trochę się udobruchał. Nie wolno mi kryć, że **stanowisko moje w tej sprawie usztywniał bardzo rektor Warchałowski.** Zaczynał już wówczas, po uruchomieniu Wydziału Mechanicznego z początkiem roku kalendarzowego 1946, o czym wspomniałem

---

<sup>61</sup> W tekście „Zapisków” podawane są nazwy „Katedra Budowy Samolotów” i „Katedra Budowy Płatowców” w odniesieniu do tej samej Katedry.

wyżej, wywierać nacisk na starych profesorów Wydziału, aby wracali do Warszawy, co oczywiście w dużym stopniu kolidowało z interesami startującej dopiero Politechniki Łódzkiej. Z drugiej strony **Warchałowski obawiał się ekspansji prof. Czesława Bieńka (wówczas czynnego u Wawelberga, i to energicznie czynnego) na teren Instytutu Aerodynamicznego. Nie bardzo też widział powrót na Katedrę Witoszyńskiego z uwagi na zbliżający się kres przedłużeń** (po osiągnięciu wieku 65 lat, zgodnie z obowiązującą ustawą, na wniosek uczelni mogło nastąpić przedłużenie na 3 lata, a później jeszcze dwukrotnie na 1 rok. Po dekrete z 1947 r. sprawy te znacznie się rozluźniły. Profesorowie praktycznie nie przechodzili na emeryturę). Może też były inne względy. Warchałowski i Witoszyński reprezentowali sobą silne, ale bardzo różne indywidualności, niezbyt do siebie pasujące, Warchałowski po mojej „rehabilitacji” upatrzył sobie właśnie mnie jako tego, który powinien objąć Katedrę i przystąpić do odbudowy Instytutu. Zbieżność dążeń obu panów W. była pełna. Trochę tylko różne pobudki i intencje.

**W rezultacie, od początku roku szkolnego 1946/1947, porzuciwszy Zjednoczenie Przemysłu Motoryzacyjnego i zrezygnowawszy z zaofiarowanego mi (wiceminister H. Golański w Ministerstwie Przemysłu i Handlu) stanowiska dyrektora naczelnego Centralnego Zarządu Przemysłu Drzewnego, a więc stanowiska o dwa szczeble wyższego od zajmowanego w Zjednoczeniu Przemysłu Motoryzacyjnego, objąłem równoległe stanowiska zastępcy profesora na Politechnice Łódzkiej (Budowa Płatowców) i na Politechnice Warszawskiej (Aerodynamika)<sup>62</sup>.**

W tym samym roku szkolnym powrócili do macierzystej uczelni: prof. B. Tołłoczko, prof. W. Moszyński, prof. W. Pogorzelski. Dziekanem został wybrany przybyły z Anglii (gdzie prowadził również studia techniczne dla Polaków) prof. S. Płużański. **Ja, jako najmłodszy w tym 5-osobowym gronie Rady Wydziału objąłem funkcje sekretarza Rady.** Nota bene przez rok 1945/1946, jak wspominałem wyżej, łódzcy profesorowie Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej manifestując przynależność do Politechniki, zbierali się na zebrania jako Rada Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej i na przykład nadawali dyplomy zaawansowanym studentom czy absolwentom, którzy cały ciąg studiów odbyli na Politechnice Warszawskiej i chcieli mieć dyplom naszego

---

<sup>62</sup> Od października 1946 r. Jerzy Bukowski zamieszkał w budynku należącym do Politechniki przy ulicy Wawelskiej 19 m. 17. Po odbudowaniu Gmachu Aerodynamiki w 1947 r. przeniósł się do mieszkania nr 2 na parterze tego gmachu. Po śmierci profesora Witoszyńskiego przeprowadził się do mieszkania nr 4 na I piętrze, gdzie mieszkał do jesieni 1978 r. Adres Gmachu Aerodynamiki był początkowo al. Wyzwolenia 50, później 6 Sierpnia 24, a następnie Nowowiejska 24.

Wydziału. Tak więc przez rok 1945/1946 była taka dwoistość funkcji tych profesorów Wydziału Mechanicznego. Z jednej strony byli już profesorami Politechniki Łódzkiej, która była zdecydowana zachować swoją samodzielność i dalszą ciągłość pracy na Wydziale Mechanicznym, ale równocześnie funkcjonowali jako Rada Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej i wypełniali wszystkie funkcje, które z działalnością Rady Wydziału są związane. Natomiast od roku 1946/1947 już te funkcje Rady Wydziału Mechanicznego, objęli tylko ci profesorowie, którzy wrócili do Warszawy, a więc ta piątka, o której mówiłem, plus stopniowo angażowani profesorowie na Katedry wakujące przedwojenne. W czasie wojny straciliśmy kilku profesorów, wystąpiły wakaty. Poza tym wtedy był urodzaj na tworzenie nowych katedr i dzielenie niektórych katedr. A więc te lata 1946-1948 były latami kompletowania kadry profesorskiej. Bo sytuacja wyglądała tak, że z jednej strony były katedry wakujące, a z drugiej strony, byli niezwykle dzielni ludzie, często przedtem pracujący w przemyśle, których dla rozwoju nowych technik chcieliśmy po prostu uchwycić na Politechnikę.

Przez ten fakt pełnienia funkcji sekretarza RW zostałem praktycznie wprowadzony w **sprawy organizacyjne Wydziału, angażujące mnie w równym stopniu jak podjęta odbudowa Instytutu, którą zdołałem zapoczątkować zyskując pierwsze środki z Ministerstwa Komunikacji** (m.in. pomoc inż. Ryszarda Bartla i inż. Pęczalskiego), **a później z Wojskowego Instytutu Technicznego**, odrodzonego pod kierunkiem płk Witkowskiego (zaprzyjaźnionego z czasów przedwojennych z prof. Cz. Witoszyńskim). Dobrze jest dziś przypomnieć, że **pierwsze kroki odbudowy Politechniki Warszawskiej były rezultatem indywidualnych inicjatyw obok działalności Komitetu Odbudowy PW** pod przewodnictwem prof. (później rektora) E. Warchałowskiego, w którym to Komitecie czynną rolę odgrywał m.in. Czesław Duchnowski (inż. arch. – adiunkt przy Katedrze Urbanistyki na Wydziale Architektury).

**Rektor E. Warchałowski**, po przysposobieniu do eksploatacji najmniej uszkodzonych budynków, jak np. Nowa Kreślarnia, **skoncentrował wysiłki Komitetu na odbudowie (a później rozbudowie) Gmachu Głównego, następnie zaś Gmachu Fizyki i budynku mieszkalnego od strony ul. Nowowiejskiej.**

**Elektrotechnikę odbudowywał prof. Janusz Lech Jakubowski, dziekan wydziału i równocześnie dyrektor przemysłowego Instytutu Elektrotechniki**, ciągnąc tą drogą środki, ale i pozostawiając ciężki 25 letni serwitut Politechniki względem Instytutu

Elektrotechniki, którego pozostałości są dziś jeszcze (1970) dotkliwie (m.in. nowo dobudowana hala wysokich napięć, zacieśniająca absurdalnie tę część terenu).

**Chemię (ściślej tzw. Starą Chemię, w odróżnieniu od mniej zniszczonej Technologii Chemicznej) odbudował prof. Tadeusz Urbański, dziekan Wydziału Chemicznego tego czasu.**

**Ja (przy aktywnej pomocy inż. Aleksandra Szyszkowskiego) odbudowywałem zespół Aerodynamiki.** Najpierw pierwszy 3-piętrowy budynek (nazwany później A1), następnie zredukowany do dwóch naw 7-metrowych i skrócony tzw. nowy budynek (z roku 1934-1935) i wreszcie nowy gmach frontowy od al. Niepodległości. Budynek ze sporym audytorium, który oznaczaliśmy później jako A3. Do tego budynku A3 zaprojektowane zostały później przedłużenia, dokończone już pod opieką prof. Misztala jako dziekana Wydziału Lotniczego, utworzonego po połączeniu Szkoły Wawelberga z Politechniką Warszawską w r. 1951.

**Na terenie południowym (dawnej Szkoły Wawelberga) nie można zapomnieć działalności w dziedzinie odbudowy Czesława Bieńka i samego rektora Ludwika Uzarowicza.**

Jeszcze do planu 6-letniego 1950-1955 r. elementy rozbudowy zespołu aerodynamiki były prowadzone via Ministerstwo Komunikacji, które wspomagało finansowo naszą odbudowę. Odbudowany nie bez trudu zespół Aerodynamiki miał się stać do czasu zaawansowania odbudowy Gmachu Głównego, a potem wzniesienia Gmachu Techniki Ciepłej, główną siedzibą Katedr Wydziału Mechanicznego, później zaś (po r. 1951) – Lotniczego.

**Wracając do spraw organizacyjnych Wydziału** – zaczęło się od weryfikacji prawdopodobieństwa powrotu profesorów dawnego Wydziału (przedwojennego) do Warszawy. Zmarli profesorowie: Witold Broniewski, Wiesław Chrzanowski i Stanisław Zwierzchowski. Wyjaśniło się, że raczej nie można liczyć na powrót ze Stanów Zjednoczonych prof. Gustawa Mokrzyckiego (chciał, nota bene, już po wojnie, aby mu zaocznie przeprowadzić przewód doktorski na podstawie interesującej zresztą teoretycznej pracy). W tym czasie utrzymywałem z prof. Mokrzyckim korespondencję, która potem ograniczyła się do życzeń noworocznych, żeby wreszcie zaniknąć. Prof. Mokrzycki nie wyczuł, że przy jego charakterze i (nie pozbawionej beztroski) dynamice, stracił życiową

szansę wielkiego wybicia się w kraju. Miałem jeszcze w tym roku (1970) wiadomości, że mimo przejścia na emeryturę pracuje „1/2 time” w firmie lotniczej w Kalifornii, z którą związał się od dawna i jest tam ceniony. Brakło jego energii i tupetu do wybronięcia polskiego lotnictwa w Polsce Ludowej. Zmarł wkrótce (1948) prof. Witoszyński, ja zaś dałem się pociągnąć ogólnym sprawom Wydziału, potem Politechniki, potem szkolnictwa wyższego w ogóle, i tak dalej, do 12-letniego posłowania włącznie. Czuję się współwinny za niedorozwój techniki lotniczej w Polsce, tej tak ważnej dziedziny. Wydawało się, że jest tyle spraw pilniejszych i ważniejszych. Może jeszcze kiedyś oddzielnie, kompleksowo, do tych spraw powrócę. W tym czasie (lata 1946-1948) wszystko zapowiadało się jak najlepiej również w dziedzinie rozwoju studiów lotniczych (nie mówiąc już o tym, że studia lotnicze, w oparciu o pojedyncze katedry powstały w tym czasie w Łodzi, Wrocławiu, Gdańsku i w Krakowie). Dzięki dobrym stosunkom z Wojskowym Instytutem Technicznym, (któremu zresztą zawdzięcza powstanie Instytut Matematyczny – później włączony do sieci placówek PAN), otrzymujemy z łatwością katedry nie istniejące przed wojną: oddzielną obok Budowy Płatowców, Katedrę Mechaniki Lotu, Katedrę Silników Lotniczych, nie wnioskowaną przez Wydział Katedrę Technologii Lotniczej. Tę ostatnią zawdzięczaliśmy płk Bronisławowi Bochenkowi, zastępcy, a potem następcy płk Witkowskiego w WIT, zaangażowanemu z inicjatywy dziekana Stanisława Płużańskiego w charakterze adiunkta przy Katedrze Budowy Samolotów, a potem zastępcy profesora na Katedrze Technologii Lotniczej. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że dzięki zapobiegliwości prof. Bronisława Bochenka studia lotnicze miały zielone światło w dziedzinie wyposażenia. Cios przyszedł później. Po utworzeniu Wojskowej Akademii Technicznej status sprzętu „wypożyczonego Politechnice przez władze wojskowe” okazał się bardzo dla nas bolesny. Nie tylko pojedyncze aparaty, silniki i maszyny, ale co ważne, skompletowane zespoły trzeba było przekazywać WAT-owi. Należy oddać honor prowadzącemu tę demobilizację płk Antoniemu Kilińskiemu<sup>63</sup> (późniejszemu profesorowi i krótkotrwałemu rektorowi PW), że można było z nim rozsądnie się dogadać. Tak np. drogą odroczeń terminów zobowiązaliśmy się odtworzyć w określonym czasie identyczne stanowiska w WAT, co pozwalało uniknąć demontażu, a przynajmniej pełnego demontażu naszych stanowisk. Nie zawsze jednak było to możliwe.

---

<sup>63</sup> Antoni Kiliński – profesor, w latach 1956-1960 dziekan Wydziału Łączności Politechniki Warszawskiej, a w latach 1969-1970 rektor Politechniki Warszawskiej.

### **Ale wróćmy do spraw organizacyjnych Wydziału Mechanicznego w r. 1946/1947**

pamiętając, że działała ciągle ustawa Jędrzejewiczowska z 1932 r. i powołanie na stanowisko profesora wymagało kreowania katedry. Z Łodzi mieli w dalszych latach powrócić prof. K. Zembrzuski, prof. Cz. Witoszyński i sam prof. B. Stefanowski. Stało się wiadome, że prof. K. Taylor, prof. M. T. Huber i prof. M. Broszko pozostaną w Gdańsku. Rachunek nie w pełni mi się bilansuje wymienionymi nazwiskami. Przed wojną Wydział liczył 17 katedr, o ile pamiętam, w 1939 r. wszystkie były obsadzone. Nie takie to zresztą ważne. Faktem jest, że były z jednej strony katedry do obsadzenia, z drugiej – godni do pozyskania dla Wydziału ludzie, dla których trzeba było katedry stworzyć. (Tak to zresztą i na innych wydziałach ruszyła fala tworzenia nowych katedr, która miała przejść swoją kulminację po przyłączeniu Szkoły Wawelberga, jakkolwiek wówczas można było już tworzyć katedry zespołowe, o większej liczbie etatów profesorskich i docenckich (przyłączenie Wawelberga – maj-czerwiec 1951 r.).

Tak więc zamiast jednej Katedry Obróbki Metali, która uzyskała teraz liczbę I, a na którą powrócił prof. S. Płużański, utworzono drugą Katedrę dla prof. Edmunda Oski (długoletniego adiunkta Katedry Obróbki Metali, który okres wojny spędził we Francji (tam nota, bene zbliżył się z prof. Henrykiem Jabłońskim, dzisiejszym ministrem, a ówczesnym – w r. 1947 – wiceministrem oświaty) oraz Katedrę Budowy Obrabiarek dla dra Witolda Szymanowskiego (doktoryzował się bodaj w r. 1947). Na Katedrę Budowy Samolotów przyszedł dr F. Miształ, Katedrę Mechaniki Lotu powierzono inż. Władysławowi Fiszdonowi, który z dużą sławą powrócił z Anglii. U Wawelberga Budowę Samolotów objął po Miształu inż. Dulęba, aby potem po połączeniu Szkoły im. Wawelberga z Politechniką Warszawską dołączyć do niego jako drugi profesor w Katedrze. Na dalsze nowe Katedry: Silników Lotniczych i Technologii Lotniczej postanowiono powołać inż. Jana Odefelda i inż. B. Bochenka. Zapomniałem jeszcze wspomnieć, że na nowoutworzoną Katedrę Budowy Samochodów powołany został inż. Kazimierz Studziński. Na dawną Katedrę Silników Spalinowych prof. Taylora (przed wojną obejmującą też silniki lotnicze i samochodowe) miał przyjść mój szef ze Zjednoczenia Przemysłu Motoryzacyjnego inż. Olgierd Bobrowski. Jego kunktatorstwo, a wreszcie wyjazd za granicę, skłoniło do powierzenia tej Katedry, z wielkim dla Wydziału pożytkiem, inż. Z. Rytłowi (mojemu współtowarzyszowi pracy w Instytucie Aerodynamicznym w latach 1926-1928 i poprzednikowi w Katedrze Geometrii Wykreślnej).

Przebieg tych powołań ciągnął się w latach 1946/1947 i 1947/1948. Zdecydowano też, aby mnie należycie usytuować, nie powodując zahamowań powrotu prof. Witoszyńskiego

(który miał nastąpić od początku roku szkolnego 1948/1949), utworzyć dla mnie oddzielną Katedrę (Hydro i Aeromechaniki). Była to inicjatywa prof. Wacława Moszyńskiego. Objąłem zresztą już w roku 1946/1947 wykład Hydromechaniki na II roku, który dawniej prowadził prof. Michał Broszko. Dostałem powołanie na tę Katedrę w r. 1948. Po śmierci prof. Witoszyńskiego (wrzesień 1948 r.) Katedra Aerodynamiki zawakowała, co wykorzystałem (zresztą przy pewnych oporach rektora Warchałowskiego) dla sprowadzenia z Gliwic naszego przedwojennego docenta dra Juliana Bondera, który na Politechnice Śląskiej zajmował jako profesor Katedrę Matematyki.

Nota bene, upewniłem się wcześniej, że nie można liczyć na powrót z Anglii doc. dr S. Neumarka, który z uwagi na charakter swoich zainteresowań naukowych byłby bardziej na miejscu na naszym Wydziale niż prof. Bonder. Z drugiej strony wyciągnięcie Bondera z Gliwic było w jakimś sensie uratowaniem go dla aerodynamiki. Jego teoretyczne zainteresowania pociągnęły go zresztą na Uniwersytet Warszawski po stworzeniu tam odpowiedniego kierunku studiów.

Nie zamierzam tutaj przedstawiać historii obsad Katedr, choć wiele w tej materii nawet anegdotycznego materiału warto by przekazać. Np. dr Zbigniew Brzoska, prowadzący (z dużym sukcesem) wykłady wytrzymałości materiałów u Wawelberga, wydawał się prof. Moszyńskiemu zdecydowanie za młody (miał wtedy istotnie chyba około 30 lat) i na Katedrę po prof. M. T. Huberze importowaliśmy z Krakowa zupełnie potrzebnie prof. Zenobiusza Klębowskiego, postać zresztą bardzo ciekawą. Jako Sekretarz Rady Wydziału przygotowywałem ankiety, robiłem protokoły z posiedzeń Rady i praktycznie opracowywałem wszystkie wystąpienia w sprawach nominacji. Większość wymienionych osób zajmowała swoje stanowiska (po utworzeniu Katedr lub na wakujących Katedrach) jako zastępcy profesora, powoływani kontraktowo przez rektora. Istniał zresztą również usus powoływania kontraktowych profesorów nadzwyczajnych na okres między wystąpieniem z wnioskiem o nominację, a nominacją. Po powołaniu, na podstawie ustawy z grudnia 1951 r., Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej tacy kontraktowi profesorowie nadzwyczajni często przeżywali zawód wychodząc z CKK „zredukowani” do stanowisk (tytułów) docentów (etatowych) usankcjonowanych tą ustawą. Zabawne było jak prof. Moszyński, który miał zredagować wniosek w mojej sprawie (a przecież pisał, jak wiadomo, łatwo) poprosił mnie „Niech pan najpierw sam napisze projekt”, to będzie najlepiej. Katedrę po prof. Witoldzie Broniewskim (Metaloznawstwa czy Metalurgii i Metaloznawstwa) objął adiunkt dr Kornel Wesołowski.



**W r. 1948/1949 dziekanat objął prof. Witold Pogorzelski.** Po dobrym gospodarzu jakim był prof. Płużański, który był dziekanem przez dwie 2-letnie kadencje, za dziekanatu Pogorzelskiego (poeta, matematyk) praktycznie **ja sam z mojej pozycji Sekretarza RW prowadziłem wszystkie sprawy organizacyjne Wydziału**, a było ich coraz więcej. Nowi profesorowie wracający z Łodzi. Umieścić ich. Zakwaterować. Czynne już 4 lata studiów, a więc pełny kurs. Pamiętam zabawny incydent jak rektor Warchałowski miał mi za złe, że nie chciałem wystąpić w tożsamości jako prodziekan w zastępstwie Pogorzelskiego nie mając po temu formalnego tytułu. **Nie pamiętam jak to było z powołaniem mnie na stanowisko dziekana.** Przypominam sobie, że **formalnie otrzymałem je (z opóźnieniem) na lata 1950/1951 i 1951/1952, przy czym jak się okaże, na ten drugi okres zostałem następnie powołany jako prorektor.** Nota bene, mogę się mylić. Moje condominium z dziekanem Pogorzelskim mogło trwać bądź przez lata 1948/1949, 1949/1950, bądź też tylko przez rok 1948/1949. Może już w 1949/1950 r. funkcjonowałem jako dziekan – (ustalenie nieważne, łatwe zresztą do sprawdzenia).

**Równolegle pełniłem moje obowiązki w Łodzi. Dojeżdżałem tam najczęściej co 2 tygodnie na 2-3 dni.** Prowadząc wykład równoległe z Tadeuszem Sołtykiem mogliśmy wymieniać sobie godziny w ten sposób, aby bez zamieszania w planie zajęć studenckich nie zmuszać mnie do cotygodniowych przyjazdów. Jeździło się do Łodzi w tych czasach mniej luksusowo niż obecnie. Dokuczał szczególnie brak oświetlenia w wagonach. Był czas na rozmyślenia. W końcu polubiłem nawet te ciemne przejazdy. Z tych czasów utkwiło mi w pamięci wprowadzenie na pierwszy wykład statyki lotniczej inż. Jerzego Leyko, któremu na jesieni 1945 r. oceniałem i zaliczałem pracę dyplomową jako opiekun Katedry Budowy Samolotów. Intuicyjnie wtedy wybrałem go jako wykładowcę tego przedmiotu (znając go zresztą z LWD – Lotniczych Warsztatów Doświadczalnych), gdzie pracował z Sołtykiem. Ten pierwszy wykład. Tak jakby to robił od dawna! Następne lata potwierdziły w całości pierwsze dobre wrażenie. Pisząc o moich związkach z Politechniką Warszawską, mógłbym lata łódzkie pominąć. Może poświęcę im kiedyś dłuższy wspominek. Dziś tylko powiem, jak bardzo mnie one do obcego miasta i do ludzi z Politechniki Łódzkiej przywiązały.

Dwóch moich dyplomantów łódzkich. (Z. Szymański i R. Żelazny), którym potem ułatwiłem przeniesienie z asystentury przy Katedrze Matematyki na fizykę w Politechnice Warszawskiej, ukończyło następnie studia fizyczne w Uniwersytecie Warszawskim. Zetknąłem się później z nimi u prof. Leopolda Infelda, który chwalił fizyków z techniczną podbudową studiów.

**Śmierć prof. Witoszyńskiego we wrześniu 1948 r.** odczułem jak stratę kogoś osobiście bardzo bliskiego. Wiele razy wracałem myślą do zdania wypowiedzianego przez Witoszyńskiego w chwili lepszego samopoczucia na krótko przed śmiercią: „Gdybym żył drugi raz, nie wiem czy zajmowałbym się aerodynamiką. Przy pomocy równań różniczkowych można poznać tylko bardzo małą część prawdy... Ale pan mi obiecał odbudować Instytut”. Był w tym czasie na tyle odbudowany, że Profesor miał wrócić do swojego mieszkania.

**Z rektorem Stefanowskim miałem już później zawsze najlepsze stosunki.** Również po jego powrocie do Warszawy. **Zorganizowanie przez Stefanowskiego w ciągu niezmiernie krótkiego czasu dobrej Politechniki wydaje się dziś po prostu niewiarygodne.** Ale to były właśnie te wspaniałe, jeśli chodzi o ofiarność i zapał do pracy, pierwsze lata powojenne, którym w innych dziedzinach tak piękne świadectwo dają „Pamiętniki Inżynierów”. **Katedrę w Łodzi przekazałem doc. T. Sołtykowi z końcem roku szkolnego 1948/1949.** Od tego czasu zająłem się wyłącznie sprawami Politechniki Warszawskiej.

## **9. Dziekanat Wydziału Mechanicznego**

*Wrzesień 1970 r.*

**Rok 1949/1950 rozpoczął się już po przenosinach ze Lwowskiej 7,** gdzie dotąd urzędował rektor i dziekani, **do Gmachu Głównego.** Z Łodzi przybył na nasz Wydział prof. Kazimierz Zembrzuski i, chyba, prof. Aleksander Uklański na wakującą Katedrę po prof. Wiesławie Chrzanowskim, z tym, że wykład maszyn parowych został przekazany pod opiekę prof. Kazimierza Zembrzuskiego. Wydział jest już liczny, i w profesorów i w studentów. Zachowało się z tego czasu **opracowanie stanu spraw wydziałowych**<sup>64</sup>. Wydziały miały się kolejno referować na posiedzeniach Senatu. O ile pamiętam, ta podjęta przez rektora Warchałowskiego impreza skończyła się na moim referacie.

**Studenci w większości pracowali zarobkowo. Stanowiło to wówczas największe utrudnienie regularności studiów.** Przypominam sobie w tym czasie (1949-1951) akcję podjętą przez „czynniki społeczne” dla podniesienia tej regularności. Sala Senatu: dziekan, paru profesorów, przedstawiciele tzw. czynnika społecznego spoza Politechniki. „Podsądni”

---

<sup>64</sup> Referat informacyjno sprawozdawczy przedstawiony przez Dziekana Wydziału Mechanicznego na posiedzeniu Senatu PW dn. 17.01.1951 r.

studenci odpowiadają na pytania i wysłuchują pouczeń, co to dla nich Polska Ludowa zrobiła i czego ma prawo spodziewać się po nich. Sposrzegam ironiczne uśmiechy oczekujących studentów. Po 1,5 godzinie proponuję przerwę. W czasie tej przerwy tłumaczę pocziwym związkowcom i innym obecnym z zewnątrz osobom, jak jest w istocie. Ponad 80% studentów IV roku pracuje zarobkowo i już jest czynna w gospodarce narodowej. Trzeba się starać o warunki, w których zjawisko studentów pracujących zaniknie. Wymaga to pomocy materialnej dla studiujących, a z drugiej strony minimum zasycenia kadrami technicznymi gospodarki narodowej (z 14 tysięcy przedwojennych inżynierów startowaliśmy w 1945 r. z nie więcej niż 7 tysiącami). Kiedy sobie przypominam późniejsze notoryczne trudności z regularnością studiów (a zresztą i poprzednie przedwojenne na Politechnice Warszawskiej), to pierwsze lata powojenne wspominam jak lata wielkiej wytężonej i ofiarnej pracy studentów.

Do zagadnień tzw. sprawności studiów, przeciążeń programów etc. może kiedyś powrócę oddzielnie. W tym okresie problemem było przewyciężenie najbardziej elementarnych trudności organizacji. **Sprawy kadrowe rozwiązane zostały dzięki szybkim awansom kadry przedwojennych asystentów i pewnej liczby wybitnych inżynierów z przemysłu** (np. dla inż. I. Bracha utworzyliśmy na Wydziale Katedrę Maszyn Budowlanych i Drogowych). Sprawa kreślarń, wyposażenia laboratoriów ciągle kulała. Wydział Mechaniczny, szczególnie po powrocie prof. Stefanowskiego z Łodzi i rozpoczętej przez niego budowie Instytutu Techniki Ciepłej, w oparciu o dalszą rozbudowę zespołu Aerodynamiki, z gronem swoich przedwojennych i licznych nowych profesorów, stanowić miał wkrótce przedmiot zazdrości innych wydziałów, szczególnie budowlanych, które koncentrowały swoją uwagę na maksymalnym rozszerzeniu swego stanu posiadania w Gmachu Głównym.

Dobrze wspominam swoje dziekaństwo z przełomu czterdziestych i pięćdziesiątych lat. W „Instytucie”, tj. Katedrach Aerodynamiki (na którą ściągnąłem prof. J. Bondera, aby m.in. zapewnić teoretyczne wsparcie dla moich asystentów) oraz Hydro i Aeromechaniki pod moim kierownictwem, tunel jest już czynny, podstawowy zespół asystentów (po pierwotnych przesiewach) dobrany (Włodzimierz Prosnak, Jan Rościszewski, Jerzy Ostrowski, Czesław Gołębiowski – trochę później Wiktor Jungowski). Z przedwojennych pracowników poza inż. Aleksandrem Szyszkowskim, powrócili do pracy technicy i laboranci (Walentyna Kwaśniakowa, Zygmunt Srzednicki, Zygmunt Mazurek, Henryk Wiśniewski, Waclaw Szymański). Warsztat, poza najstarszym pracownikiem Katedry Piotrem Kalbarczykiem

zasiliło paru wysokiej klasy mechaników i stolarzy z Fabryki Śmigieł: W. Czajkowski, E. Zalewski, J. Tyll (nie wymieniam wszystkich nazwisk, ci przetrwali aż do emerytury). Studenckie Koło Lotnicze, którym się opiekowałem, pod sprężystym kierownictwem Wandy Szemplińskiej<sup>65</sup>, dostarczyło asystentów również innym katedrom lotniczym. Okres ten cechuje duża harmonia na Wydziale.

**Poza Politechniką, w roku 1948, zostaje przez prof. Kazimierza Drewnowskiego (głównie) wprowadzony do Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, gdzie następnie w 1951 r. wybrano mnie członkiem rzeczywistym. Trwają przygotowania do I Kongresu Nauki Polskiej. Na horyzoncie Polska Akademia Nauk.** Spekulacja na temat jej składu i ustroju. Na pierwszym składzie zaciążyły animozje. W każdym razie ani rektor Warchałowski, ani prof. Drewnowski, przewodniczący Wydziału Technicznego – VI – Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, nie weszli w skład Akademii, z pierwszego, ani zresztą i dalszych powołań.

**W roku 1950/1951 zaczynam się liczyć na Miodowej (Min. Szkół Wyższych i Nauki, po powołaniu Polskiej Akademii Nauk – Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego). W styczniu 1948 r. zostaje mi powierzone przewodnictwo Zespołu Programowego Mechaniki w ówczesnej Radzie Szkół Wyższych, gdzie przewodniczącym Sekcji Technicznej jest H. Golański, a jego zastępcą S. Turski, rektor Politechniki Gdańskiej, później, krótko, profesor Politechniki Warszawskiej i dyrektor Departamentu Studiów Technicznych w MNSzWiT, a następnie długoletni rektor Uniwersytetu Warszawskiego. Przewodnictwo Zespołu objąłem po prof. Łukaszewiczu z Gdańska, który jakoś nie mógł wystartować. Byłem w tym Zespole najmłodszy. Należeli do niego prof. Geisler z Gdańska, prof. Ludwik Uzarowicz (rektor Szkoły Wawelberga) i nasz dziekan prof. Stanisław Płużański. Przygotowywaliśmy wtedy programy dla studiów dwustopniowych w układzie 3,5 plus dwa lata (stopień inżynierski i magisterski).** Nie rozwijam tego tematu, należącego raczej do kompleksu „Rada Główna” moich zapisków pamiętnikarskich, jeśli kiedyś zdobęde się na ich kontynuowanie. Chodzi o to, że na ul. Miodowej (przedtem na ul. Długiej) nie byłem nieznanym w roku 1950/1951.

**Pierwszą niemilą funkcją ogólnouczelnianą, jaką powierzył mi w tym czasie min. Adam Rapacki, był przegląd i uporządkowanie spraw mieszkaniowych Politechniki.**

---

<sup>65</sup> Inż. Wanda Szemplińska w latach 50-tych ubiegłego wieku czołowa polska pilotka szybowcowa (11 rekordów krajowych i 4 światowe), odznaczona najwyższą odznaką szybowcową – złotą z trzema diamentami. Absolwentka Wydziału Mechanicznego PW.

Prof. Warchałowski, zasłużony rektor Politechniki, miał swoje słabostki, które sprawiały (a może i bez nich miałyby to miejsce), że intrygowano przeciwko niemu. Sądzę, że jeśli chodzi o „protekcjonizm” mieszkaniowy zmęczyły go wreszcie różne szeptaniny i zaproponował ministrowi Rapackiemu wyznaczenie „komisarza”, który by jednorazowo sprawy uporządkował. Zadanie nie było łatwe, ani miłe. Do dziś mam przed oczyma Rapackiego, jak swoim zwyczajem bujając się na tylnych nogach krzesła ze stylowego kompletu (zawsze czekałem, kiedy nastąpi awaria) prosił mnie (tak to formułował) o podjęcie się tej sprawy. Zgodziłem się. Małość ludzi, jeśli chodzi o ich osobiste, czasem już nie materialne potrzeby, a o sprawy ambicyjne, jest nieprawdopodobna. Trzeba było (miałem całkowite pełnomocnictwo bez odwołania do Rektora – sam o to prosił Rapackiego), nie tylko dokonać szeregu słusznych przesiedleń, ale wywołać jak najmniej urazów. Udało się.

## **10. Połączenie Szkoły Wawelberga i Rotwanda z Politechniką Warszawską (1951 r.)**

*Wrzesień 1970 r.*

Zaskoczyła mnie **propozycja, przedstawiona w trybie wywiadu na początku maja 1951 r. przez ówczesnego (zresztą również późniejszego długoletniego) dyrektora Departamentu Studiów Technicznych inż. J. Szymańskiego, przyjęcia funkcji przewodniczącego Komisji d/s połączenia Szkoły Inżynierskiej Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Wawelberga i Rotwanda z Politechniką Warszawską.** W skład Komisji mieli wejść obaj rektorzy (Warchałowski i Uzarowicz) oraz sekretarze partyjnych organizacji uczelnianych. (Nota bene ze Szkoły Wawelberga dużą pomoc okazał mi wówczas inż. R. Mistewicz występujący z ramienia tamtejszej egzekutywy).

Powierzenie mi tej funkcji było motywowane tym, że nie można jej powierzyć rektorowi Warchałowskiemu, gdyż miałyby to charakter przejęcia Wawelberga przez Politechnikę, a chodziło o to, aby nie pobudzać istniejących w tej szkole oporów przeciw połączeniu. Poza tym „minister ma zaufanie, że pan to zrobi”, zakończył dyr. Szymański. Zastrzegłem sobie krótki czas do namysłu i, nie kryłem tego, uzyskania „agreement” obu rektorów.

W tych warunkach podjąłem w maju 1951 r. pierwszą wielką pracę organizacyjną na Politechnice Warszawskiej. Trzeba zanotować, o ile **rektor L. Uzarowicz**, nie tylko z uwagi na osobistą pozycję, ale jako rzecznik specyficznie odrębnej Szkoły Wawelberga,

mającej ugruntowaną tradycję, **był w zasadzie przeciwny połączeniu**, o tyle **rektor Warchałowski**, wbrew opinii wielu profesorów Wydziałów: Mechanicznego i Elektrycznego, **był od dawna za połączeniem obu uczelni**. Sprawa przeciągała się. W zespole Wawelberga, podobnie jak w Politechnice, byli zwolennicy i przeciwnicy łączenia. Stała się wreszcie pilna. W r. 1951/1952 rozpoczynał się pierwszy cykl stopnia magisterskiego wprowadzonych od r. 1948/1949 studiów dwustopniowych. Przyznanie prawa magistrowania „Wawelbergowi” budziło zastrzeżenia. Odmowa deklasowała ambitną kadre – będącą zresztą z wyjątkiem dwóch profesorów z nominacjami (Uzarowicz, Zakrzewski) na kontraktach i bez weryfikacji kwalifikacyjnych w trybie przyjętym w wyższych uczelniach.

Sprawa od strony „ludzi” wyglądała tak, że jedni mogli wygrać stanowiska profesorów Politechniki, a inni stracić pozorne stanowiska profesorów bądź co bądź wyższej uczelni i to uczelni z tradycjami, jaką była również w świetle przepisów prawa (dekret z 1947 r.) Szkoła Wawelberga.

Ważniejsze były względy organizacyjne i ekonomiki prowadzenia studiów. Równoległe specjalności na Wydziale Elektrycznym, a potem także Łączności i Mechanicznym Politechniki oraz na Wydziałach Szkoły Wawelberga były jeśli nie nonsensem, to przedsięwzięciem nie na miarę ówczesnych możliwości rozbudowy bazy. Niewątpliwie Warchałowski, dobry gospodarz, miał nie tylko ambicję „jedynego w Warszawie rektora technicznej szkoły”. Patrzył na rozpoczęte budowy i dogodny dla rozbudowy teren, zwany dziś południowym.

Terminy miałem „napięte”. **Od 1 września 1951 r. szkoły miały stanowić jedność organizacyjną i rozpocząć nowy rok szkolny 1951/1952 w nowym układzie wydziałów.**

Przed połączeniem, Politechnika Warszawska liczyła chyba 6 wydziałów, a u Wawelberga funkcjonowały 2 wydziały: Elektrotechniki i Budowy Maszyn. Więc trzeba było scalić te wydziały elektryczne i mechaniczne. Przy czym, jako że one liczebnie zawsze zawierały dużą część Politechniki, powstało wtedy bodaj 5 wydziałów mechanicznych i 2 wydziały elektryczne, bo oddzielono od Wydziału Elektrycznego Wydział Łączności. Łącznie Politechnika była budowana na 15 wydziałów, z takim założeniem, że na jeden wydział przyjmowało się około 200 studentów. To były te lata, kiedy Politechnika przyjmowała w roku akademickim 1951/1952 i pięć lat następnych po 3000 z górą studentów na pierwszy rok studiów. Byliśmy wtedy największą uczelnią w kraju, nie mówiąc o tym, że wydawaliśmy ponad 1/4 ogółu dyplomów inżynierskich – licząc w skali kraju. Jakkolwiek

wtedy było już 7 politechnik, nie licząc 3 szkół inżynierskich, które nie pamiętam czy już wtedy były przemianowane na politechniki, ale chyba jeszcze nie. Chyba to nastąpiło później, w Szkole Inżynierskiej w Poznaniu, Szczecinie i w Częstochowie. Razem to było 10 wszystkich uczelni technicznych, z czego jak powiedziałem, więcej jak 25% dyplomów jednak wydawała Politechnika Warszawska. W ciągu roku 1951/1952 powstał jeszcze jeden wydział, szesnasty, zorganizowany przez prof. Aleksandra Juliana Dyżewskiego, późniejszego rektora Politechniki Warszawskiej, mianowicie Wydział Budownictwa Przemysłowego.

Pracę rozłożyłem na dwa etapy. **Do końca maja – pierwszy raport zawierający zasadniczą koncepcję strukturalną i wstępne wnioski personalne. Etap drugi do końca czerwca 1951 r. szczegóły mechanizmu łączenia, wstępne projekty potrzebnych aktów prawnych. Przygotowanie wniosków o powołanie dziekanów nowych wydziałów, którzy podjęliby pracę nad przygotowaniem roku szkolnego w szczegółach.**

Terminy zostały dotrzymane, tak że nawet potrzebne rozporządzenia rządowe nie opóźniły się nadmiernie. **Bez stanu „ex lex” Politechnika Warszawska rozpoczęła rok szkolny 1951/1952 jako uczelnia o 15 wydziałach. Pierwszy rok studiów rozpoczęło ponad 3000 młodych studentów.** Na dawnym terenie Wawelberga pozostały serwituty lokalowe, a częściowo i laboratoryjne Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej (której rektorem był również, i bodaj pozostał jeszcze na pewien czas, prof. Uzarowicz).

Dziś tymi niewielu słowami można zbyć fakt połączenia Szkoły Wawelberga z Politechniką. W istocie był to, nie tylko organizacyjnie, z uwagi na krótki czas pozostawiony do dyspozycji, zabieg trudny. Powiedziałbym, że jako proces psychologiczny integracja była problemem złożonym, który miał się rozciągnąć na wiele lat. Szkoła Wawelberga, starsza od Politechniki<sup>66</sup>, z urobioną w sensie pozytywnym opinią dobrej szkoły inżynierów warsztatowych, była równocześnie obciążona kompleksem długoletnich zabiegów o przyznanie jej absolwentom tytułu inżynierskiego. Spełnienie tego ostatniego postulatu w ramach dekretu 1947 r. nie usunęło kompleksów w całości. Właśnie niewyjaśniona sprawa magistrowania, a raczej jasna „na nie” w świetle postanowień dekretu, współzawodnictwo z Politechniką, współzawodnictwo niezupełnie zdrowe, nie stwarzały dobrej atmosfery ani

---

<sup>66</sup> Szkoła mechaniczno-techniczna została ufundowana w Warszawie przez Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda w r. 1895, początkowo jako szkoła średnia. Nieoficjalnie miała charakter politechniki. W r. 1929 uzyskała status uczelni wyższej jako Państwowa Wyższa Szkoła Budowy Maszyn i Elektrotechniki. Od 1945 r. działała pod nazwą Szkoła Inżynierska imienia H. Wawelberga i S. Rotwanda. Politechnika Warszawska z językiem wykładowym polskim powstała w 1915 r.

wśród kadry dydaktycznej, ani wśród studentów. Być może nawet wbrew intencjom weteranów Szkoły (rektor Uzarowicz, prof. Zakrzewski) młodzi „profesorowie” dążyli nie do „unowocześnienia” dobrej szkoły inżynierskiej w oparciu o jej tradycje, a do pokazania swej równości z Politechniką. Miało to wpływ i na kształtowanie programów, i na ukierunkowanie zainteresowań. Powstała sytuacja, o której wspominałem wcześniej. Trzeba było uporządkować studia w zakresie mechaniki i elektrotechniki przez usunięcie w drodze scalenia zbędnych dublowań specjalności i niezdrowych, a kosztownych współzawodnictw.

Dziś można sądzić, że „przetrzymanie” Szkoły Wawelberga, jak i innych szkół inżynierskich, którym te prawa nadano po wojnie (Poznań, potem Częstochowa, Szczecin), byłoby rzeczą niezmiernie pożyteczną. Stały temu na przeszkodzie przede wszystkim ambicje osobiste personelu naukowego jak i, poza Warszawą, ambicje środowiskowe (głównie władz terenowych) zmiany szyldów miejscowych szkół inżynierskich na szyldy politechnik. Pamiętamy długotrwały proces dojrzewania tych szkół inżynierskich (Poznań, Szczecin, Częstochowa) do poziomu politechnicznego, a później ich najżywsze opory przeciwko dwojakiemu kształceniu inżynierów.

**Unifikująca ustawa z grudnia 1951 r., prowadząca praktycznie do późniejszej kasacji wyższych studiów zawodowych, miała się wkrótce odbić dotkliwie na rozwoju i „skuteczności” studiów dla pracujących.** Studia te, w jednolitym 5-letnim dla szkół dziennych cyklu, musiały się teraz rozciągnąć nominalnie na 7 lat – okres, który przy równoczesnej pracy tylko wyjątkowe jednostki mogły wytrzymać. Może kiedyś w oddzielnej części zapisków powrócę do ogólnych spraw organizacyjnych i ustawodawstwa w dziedzinie szkolnictwa wyższego szczególnie technicznego.

## **11. Prorektorstwo (1951/1952)**

*Wrzesień 1970 r.*

**Jeśli idzie o Politechnikę Warszawską, to rok 1951/1952 przyniósł zmiany. Wprawdzie rektor Warchałowski w trybie „ex lex” pozostał (okres wyboru już się zakończył, a nominacji – o ile mi wiadomo – nie otrzymał), ale na miejsce prorektora Stefana Straszewicza mianowanych zostało dwóch prorektorów: prof. Ignacy Malecki**



**(dziekan Wydziału Łączności) na stanowisko prorektora do spraw nauki, oraz ja, jako prorektor do spraw dydaktyki.**

**Pożegnany bardzo serdecznie** (przechowuję ofiarowane mi z tej okazji piękne wydanie „Dziejów obyczajów w Polsce” Bystronia) **jako dziekan dawnego Wydziału Mechanicznego**<sup>67</sup> (nowa struktura organizacyjna przewidywała aż 5 wydziałów mechanicznych: dwa – Konstrukcyjny i Lotniczy – na starym terenie, dwa – Technologiczny i Technologiczno–Konstrukcyjny – na terenie południowym, i Agromechaniczny przy Instytucie Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa (prof. Czesław Kanafojski), i objąłem moje funkcje prorektorskie, stanowiące naturalne przedłużenie prac, które prowadziłem **od maja 1951 r. w trakcie realizacji połączenia Szkoły Wawelberga z Politechniką. Nauczyłem się przy tym całej Politechniki.** Znałem i miałem opinię (za mocno byłoby powiedzieć „wyrobioną”) o wszystkich profesorach i docentach. Znałem perspektywy „rozwoju” wyróżniających się asystentów, adiunktów i wykładowców. Miałem, co najważniejsze, wielki „rozpęd” do pracy. **Przez rok mojego prorektorstwa dokonane zostały zabiegi najbardziej niezbędne w dziedzinie organizacji procesu nauczania w nowej strukturze szkoły o 16 wydziałach.** W ciągu roku 1951/1952 prof. Dyżewski zorganizował Wydział Budownictwa Przemysłowego, zaczepony lokalowo przy Instytucie Techniki Budowlanej – usytuowanym na tyłach szpitala przy ul. Nowowiejskiej. Nota bene warto przy tej okazji zauważyć, że inicjatywy odbudowy i rozbudowy wykazywali na Politechnice Warszawskiej mechanicy, elektrycy i chemicy – najmniej „budowlani”, oczekując, a może ufając, że rektor Warchałowski nie tylko główny gmach, ale i wydziałowe budynki dla wydziałów inżynierskich wzniesie.

**Już wtedy natknąłem się na separatyzmy wydziałowe,** które w nowym układzie organizacyjnym szkoły i nowej koncepcji jej rozwoju stawały się anachroniczne. Oczywiście już **praktyczna realizacja katedr zespołowych napotykała trudności.** Reguła profesor-Katedra, dawny nawyk trudny był do przezwyciężenia. Nie tylko na pokrewnych wydziałach, również na tym samym wydziale, katedry jednoimienne z numeracją I i II nie należały do rzadkości. Na tym tle było niemało trudności. Prawie z reguły każdej habilitacji (do grudnia 1951 r.) towarzyszył natychmiastowy wniosek Wydziału o nową katedrę. Potem to samo było z zakładami wewnątrz katedr. **Koncepcja oparcia wydziałów mechanicznych o silne zespołowe katedry podstawowe: matematyki, mechaniki,**

---

<sup>67</sup> Zob. aneks 6.

**wytrzymałości materiałów, części maszyn, teorii maszyn cieplnych, metaloznawstwa, teorii mechanizmów, aerodynamiki (ściślej wówczas jeszcze hydroaeromechaniki), jako katedr obsługujących wszystkie wydziały, z trudem opierała się naporowi praktyki: „sami dla siebie”.** Katedry te (podstawowe), rozdzielone między poszczególne wydziały mechaniczne, były, trzeba to stwierdzić, najmocniej skupione na Wydziałach: Mechanicznym Konstrukcyjnym, Lotniczym i Technologicznym. Pozostałe wydziały reprezentowane głównie przez katedry specjalizujące, miały więc istotnie trochę kadłubowy charakter. Trzeba stwierdzić, że stworzenie jednostek naukowych i dydaktycznych, reprezentujących równocześnie dyscypliny podstawowe i zdolnych do rozwoju, napotykało niezmiernie trudności ze strony wydziałów i to zarówno tych, do których przypisane były te katedry („obsługa obcych”, skąpienie etatów itp.), jak i innych „uzależnionych” od obsługi „z zewnątrz”. Już wówczas **stawało się jasne, że nie tylko sprawa katedr, zespołów katedr i instytutów uczelnianych, ale przede wszystkim koncepcja wydziału i jego roli w szkole jest problemem do rozwiązania.** Kiedy obserwuję ostatnie (1969/1970) zmiany organizacyjne, ciągle jeszcze nie widzę przewyżczenia braku koncepcji w tej dziedzinie. Przeciwnie, można by mówić o wyraźnym regresie, jeśli chodzi o usytuowanie dyscyplin podstawowych. **Instytuty międzywydziałowe o niezupełnie zdrowej strukturze ich powiązań z wydziałami zdołałem zorganizować dopiero w latach sześćdziesiątych.** Dziś ostały się one i od nich samych zależy głównie ich rozwój. (Instytuty: Matematyki, Fizyki, Techniki Ciepłej). Mechanika nie ma już jednostki organizacyjnej zapewniającej rozwój tej dyscypliny, ważnej przynajmniej dla połowy wydziałów Politechniki. Podaję przykładowo. Tendencje podobne obejmują nie tylko mechanikę. Podobne trudności napotykała, ustalona jeszcze w okresie międzywojennym zasada, że wykłady tego typu, co elektrotechnika ogólna, prowadzone w różnym ujęciu i zakresie na wielu wydziałach powinny być sytuowane na Wydziale Elektrycznym. To samo dotyczyło np. chemii ogólnej.

Trudna do pokonania tendencja tworzenia własnych katedr była w pewnej mierze odbiciem faktu niedostatecznego zainteresowania takich wydziałów, jak Elektryczny czy Chemiczny właściwym rozwojem „usług” dla innych wydziałów. A przecież było rzeczą oczywistą, że ten typ usług jest nie tylko najlepszą drogą do dobrze pojętej integracji funkcji kształcenia inżynierów, ale także integracji prac badawczych.

**Obawiam się, że ostatnie zmiany organizacyjne, wbrew założeniom i intencjom (pogłębienie procesów integracji), zepchną te procesy integracyjne na bardzo niski szczebel: może lepszej koordynacji dydaktyki, ale zahamowania rozwoju i powiązań**

„wyższej kategorii” poszczególnych wyspecjalizowanych dyscyplin podstawowych i innych, ważnych dla danego kierunku studiów. Mówię o tych sprawach już teraz, gdyż prześledziwszy uważnie, zarówno kolejne zamierzenia w zakresie organizacji dydaktyki w Politechnice Warszawskiej w okresie międzywojennym, jak i ówczesne oraz późniejsze próby, mogę stwierdzić, że pewne zjawiska były trwałe. Do nich należał przede wszystkim egocentryzm wydziałowy. Właśnie jak mówiłem, śmiałej koncepcji podejścia do sprawy roli wydziału nie było i niestety dotąd nie ma.

**Tak to poświęciłem rok 1951/1952 wzmocnieniu więzów naszej wielkiej Politechniki, dostarczającej w tym czasie ponad 1/4 ogólnej liczby kształconych w kraju inżynierów.** W ciągłym pośpiechu pisania nie rozwodzę się nad, pokrytymi już kurzem zapomnienia, kłopotami i osiągnięciami. Nie zamierzam też wystawiać cenzurek ówczesnym dziekanom, którzy jakkolwiek z różną dozą zaufania odnosili się do moich akcji porządkujących proces dydaktyczny, w swoim rozumieniu (a najczęściej i w obiektywnej ocenie) dawali z siebie ogromny wysiłek dla sprostania zadaniom, jakie przed szkolnictwem wyższym, szczególnie technicznym, stały w tym czasie (stoją zresztą do dziś).

Porzucając dygresje wróćmy do kalendarzowego biegu spraw. Tak więc w lecie 1952 r. miałem za sobą rok doświadczenia w kierowaniu sprawami dydaktyki na Politechnice. Oczywiście słowo „kierowanie” trzeba wziąć w bardzo mocny cudzysłów przy wspomnianej postawie wydziałów. Najtrudniej, oczywiście, było z wydziałami, które nie podległy żadnym zmianom organizacyjnym, poza zmianami w liczbie i nazwie katedr oraz w ich obsadzie. **Sprawą najtrudniejszą było przekonanie pewnych dziekanów, że są nie tylko przewodniczącymi rad wydziału i nominalnymi zwierzchnikami personelu dydaktycznego. Że są odpowiedzialni za całość procesu dydaktycznego na wydziale.** Że nie jest prawdą, iż katedra ma pełną autonomię i nie podlegającą krytyce autorytatywność w metodach prowadzenia zajęć. Napotykałem, i wówczas, i potem pryncypialne sprzeciwy.

Sądzę, że o tym ogromnym wkładzie pracy, jaki poświęciłem sprawom nauczania na Politechnice Warszawskiej w r. 1951/1952, można by wiele jeszcze powiedzieć. Ale czas nagli.

## 12. Rektorat (wrzesień 1952 – grudzień 1953 r.)

*Mądralin 09.09.1970 r.*

Po powrocie z urlopu w końcu sierpnia 1952 r. (w tym roku udało mi się urlop wykorzystać przez przeszło 3 tygodnie) inż. Szyszkowski u mnie w Katedrze mówi mi, że podobno zostałem rektorem Politechniki. Odwiedzam rektora Warchałowskiego. Pyta, kiedy obejmuję nową funkcję. Nic o tym nie wiem. „Niech pan przejrzy pocztę” – mówi mi Warchałowski. Idę do swego pokoju, w szufladzie biurka, obok innej korespondencji, **znajduję list ministra Rapackiego powierzający mi funkcję rektora Politechniki Warszawskiej z dn. 1 września 1952 r.** Duże zaskoczenie. Liczono się na ogół z tym, że rektorat po prof. Warchałowskim obejmie Malecki. I tutaj do zanotowania zjawisko, które niejedną raz potem miałem obserwować. Dezawuowania na terenie Politechniki, najprawdopodobniej przez pewne koterie miejscowej organizacji partyjnej, wybijających się profesorów członków partii. Kampania przeciwko Maleckiemu była na tyle silna, że na moją prośbę pozostawienia Maleckiego na stanowisku prorektora, minister, nie podając powodów, odpowiedział odmownie. **Wtedy to Ignacy Malecki „postawił na Akademię”, jak sam się wyraził, obejmując wkrótce dyрекcję powstającego Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN.** Niedługo został wybrany członkiem korespondentem PAN i rozpoczął na terenie Akademii szeroką działalność dowodząc swych niewątpliwych uzdolnień organizacyjnych. Powstrzymuję się tutaj od pogłębionych sądów i przypuszczeń „co by było, gdyby”. Myślę, że pozostając w tandemie z Maleckim, gdyby on sam miał mocniejszą pozycję w partii, moglibyśmy kontynuować naszą pracę na Politechnice przez parę lat, z dużym dla naszej szkoły pożytkiem. Tandem ten rozumiem z pozostawieniem rektorstwa Maleckiemu. Stanowisko faktycznego kierownika procesu dydaktycznego w Politechnice Warszawskiej, bez obciążeń ogólnymi sprawami zarządzania oraz co było niezmiernie absorbujące i „nie leżące mi” reprezentacją, bardziej mi odpowiadało.

Podobnie, jak sądzę, stanowisko rektora zaspokoiłoby ambitne dążenia Maleckiego, mobilizując go w pełni dla dobra uczelni. Stało się inaczej. Rachuby na powolne kierowanie mną jako bezpartyjnym rektorem zawiodły i stan napięć pod koniec roku 1953, przy chwiejnym stanowisku ministerstwa, musiał doprowadzić do mojej rezygnacji.

**Tymczasem jednak nie miałem czasu na rozważania. Rektor Warchałowski oddał mi kluczyki od biurka i życzył powodzenia. Pozycja jego już od 2 lat była niejasna.**

**Funkcja z wyboru upłynęła bodaj w końcu roku 1948/1949.** Nominacji nie otrzymywał. Do dziś nie wiem w jakim trybie – a raczej w wyniku jakich rozmów – doszło do wygaśnięcia jego funkcji rektorskich. Łączyły nas dobre stosunki i jego życzenia powodzenia w pracy przyjąłem jako wyraz szczerzej dla mnie sympatii. Ja ze swej strony zdawałem sobie sprawę, że obejmuję (wg mojej oceny) bardzo wysokie stanowisko po człowieku, który był nie tylko dobrym gospodarzem szkoły, ale równocześnie z wielką godnością reprezentował ją na zewnątrz. Dobre osobiste stosunki z prezydentem Bolesławem Bierutem z pierwszych lat odbudowy, dwuletnia kadencja rektorska w latach przedwojennych (bodaj 1934/1935 i 1935/1936), wreszcie nieprzerwane rektorstwo w latach 1945-1952, czyniło z osoby Warchałowskiego „instytucję”. Ta właśnie „instytucjonalność”, nie pozostająca w zgodzie ze zwyczajami stosunków przedwojennych, siedmioletnie bez przerwy pełnienie funkcji rektorskich, budziło w gronie starszych profesorów Politechniki pewne zastrzeżenia.

Dla mnie stwarzało to **sytuację rozpoczęcia moich funkcji rektorskich niejako w cieniu, który rzuciła nieprzeciętna osobowość mojego poprzednika.** Rok stażu prorektorskiego i poprzednie prace organizacyjne stanowiły mój atut. Atutem było również, stwierdzam to bez ujmy dla rektora Warchałowskiego, rozeznanie pewnych słabych stron w jego kierowaniu nową rozszerzoną Politechniką. Moją słabą stroną był cały zakres powiązań zewnętrznych – tam gdzie Warchałowski poruszał się swobodnie, ja miałem dopiero zdobywać sobie pozycję.

**Prawda, że odnoszono się do mnie bardzo życzliwie w Ministerstwie (zarówno minister Rapacki, jak i wiceminister Golański,** który w swoim czasie, funkcjonując w Ministerstwie Przemysłu i Handlu chciał, jak o tym wspomniałem, zwerbować mnie do Centralnego Zarządu Przemysłu Drzewnego, wreszcie dyrektor Departamentu Studiów Technicznych inż. J. Szymański, z którym później przez wiele lat wiązała mnie bliska współpraca w zakresie całokształtu studiów technicznych w kraju). **Również w Wydziale Nauki KC miałem dobre stosunki.** Z wdzięcznością wspominam p. Dłuską, która niejedyn raz w delikatnych sytuacjach okazała mi dużo życzliwości i realnej pomocy.

**Dość blado przedstawiały się stosunki z Komitetem Warszawskim.** Nic dziwnego jednak. Politechnika Warszawska należała do tych wielkich uczelni tego czasu, których sprawy interesowały bardzo bezpośrednio odgórne władze partyjne. Kontakty moje z Wydziałem Nauki KC dotyczyły w tym czasie (sprawy organizacyjne połączenia Politechniki ze Szkołą Wawelberga były na „planie” minionym) głównie spraw osobowych.

Zresztą samo **objęcie funkcji, po otrzymaniu „zaocznej” nominacji, poprzedziłem wizytą w Ministerstwie**, gdzie oświadczyłem, że tylko w warunkach bardzo intensywnego poparcia ze strony władz będę mógł podjąć się zleconych zadań – kierowania jako rektor Politechniką Warszawską.

Dziś, z perspektywy czasu, potrafię ocenić te trudności zakulisowe, leżące poza wpływem Ministerstwa i centralnych władz partyjnych, które miały utrudnić realizację, muszę to stwierdzić bez żenady, moich ambitnych zamierzeń, skoro już powierzono mi kierownictwo stołecznej Politechniki.

**Równocześnie z powołaniem mnie na stanowisko rektora nadeszło powołanie na stanowisko prorektora, wówczas już prof. Bronisława Bochenka**, który przedtem był (z nominacji), równoległe z moim dziekaństwem prodziekanem na Wydziale Mechanicznym.

**Odnosnie dalszych powołań miałem właściwie pozostawioną wolną rękę. Mówię „właściwie”, gdyż pewne sugestie uczynione były odnośnie prof. Władysława Araszkiewicza**, którego zresztą jak najlepiej widziałem w składzie kierownictwa uczelni. **Prof. Witold Szymanowski, dziekan Wydziału Mechanicznego Technologicznego, i prof. Jerzy Mutermilch, dziekan Wydziału Inżynierii Budowlanej, zostali mianowani prorektorami z mojego wyboru.**

Cały ten zespół prorektorów dawał gwarancję sprężystego kierowania szkołą. **Niestety, w ciągu pierwszych miesięcy mieliśmy przeżyć „kryzys gabinetowy”,** który zresztą mnie osobiście dał wiele do myślenia – a miał w przyszłości kosztować niemało dramatycznych przeżyć.

Patrząc na te sprawy retrospektywnie mogę teraz przypomnieć, że **prof. Bochenek po definitywnym wyjściu z wojska** (jak już poprzednio wspomniałem, był ostatnio szefem Wojskowego Instytutu Technicznego) **celował na stanowisko prorektora d/s nauki, licząc przy tym, że przy bezpartyjnym rektorze zajmie kluczowe stanowisko. Na podstawie dokonanego przeze mnie podziału funkcji, prorektorem do spraw nauki został prof. Witold Szymanowski.** Już wtedy – rozwinięta później jako „gospodarstwa pomocnicze” – współpraca z przemysłem na zasadzie zleceń stanowiła poważną pozycję w dziedzinie prac badawczych. Prof. Szymanowski, mający za sobą poważny staż przemysłowy, nadto wyróżniający się dziekan, wydawał mi się najodpowiedniejszy na to stanowisko. **Prof. Bochenek objął sprawy dydaktyki dla I grupy wydziałów, w której skład**

wchodziły wydziały: mechaniczne, elektryczne i Chemiczny. Prof. Mutermilch (który był według mojej oceny dziekanem nr 1 wydziałów inżynierskich) objął II grupę wydziałów, tj. wszystkie pozostałe wydziały, łącznie z Architekturą.

Prof. Araszkiwicz objął sprawy „młodzieżowe” łącznie z domami studenckimi etc. Zresztą w różnych układach w latach następnych miał w tej dziedzinie wyróżnić się dużym talentem organizacyjnym i pedagogicznym.

Nie wiedziałem o skrytych życzeniach prof. Bochenka. Zorientowałem się, że nie jest zadowolony z podziału funkcji prorektorskich, ale nie widziałem powodu do zmiany podjętej decyzji.

Nowością w stosunku do sposobów zarządzania z czasów rektora Warchałowskiego było wprowadzenie pewnej formy kolegalności kierowania. Co tydzień odbywały się zebrania tzw. kierownictwa uczelni z udziałem prorektorów, I sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR i początkowo również przewodniczącego ZOZ ZNP i przewodniczącego partyjnej grupy profesorskiej Komitetu Uczelnianego, którym zresztą w r. 1952/1953 wybrany był prof. Malecki. Przestrzegając zasady jednoosobowego kierownictwa przy jednoosobowej odpowiedzialności jako reguły obowiązującej – zebrania kierownictwa nie nie postanawiały. Wymianę informacji i wypowiedane opinie traktowałem jako pomoc w podejmowaniu decyzji.

Zebrania nie były protokółowane. Ta forma współpracy wewnątrz kierownictwa, ułatwiała również kontakt z organizacją partyjną. Nie wnosilo się żadnych spraw do Komitetu Uczelnianego, również Komitet nie występował ze „sprawami”. Wszystko, co dotyczyło jakichkolwiek ważnych spraw uczelni, co wymagało decyzji, było jawnie dyskutowane. W ten sposób, ustalone początkowo stałe dni spotkań z Sekretarzem Komitetu Uczelnianego okazały się zbędne i istotnie kontakty te, poza zebraniem kierownictwa były rzadkie i dotyczyły, bądź spraw szczególnie dyskretnych, bądź pilnych, nie mogących czekać do zebrania kierownictwa. W ten sposób każdy z członków kierownictwa zyskiwał stosunkowo dużo czasu na własną „resortową” pracę – bez „pożarowych” wezwań i rozmów.

Jak już wspominałem, prof. Bochenek wydawał się nie bardzo zadowolony z przydzielonych funkcji, jednak w pierwszych tygodniach energicznie zabrał się do pracy. Komplikacje jego spraw osobistych (przeprowadzana sprawa rozwodowa, kłopoty

mieszkaniowe z tym związane) miały jednak prędko wpłynąć ujemnie na dalszy tok jego prac w kierownictwie uczelni.

Wykorzystując rzekomą obietnicę ministra Rapackiego przydzielenia mu mieszkania (byłoby to już trzecie z kolei mieszkanie przydzielone z Politechniki – stąd trudność załatwienia sprawy przez szkołę), która to obietnica nie została dopełniona, **prof. Bochenek złożył rezygnację ze stanowiska prorektora z dniem 01.01.1953 r.** Rezygnacja jego została przez Ministra (za moją zgodą) przyjęta.

Być może inne jeszcze powody, których nie chcę w tym miejscu rozwijać, przyczyniły się do decyzji prof. Bochenka. Jak późniejszy rozwój wypadków wykazał, wejście przez prof. Bochenka – trzeba to przyznać, zdolnego i energicznego organizatora – na „ścieżkę wojenną” w stosunku do Politechniki miało przynieść duże szkody i Politechnice, i samemu profesorowi Bochenkowi.

**Na miejsce prof. Bochenka wysunąłem kandydaturę prof. Stanisława Króla, prodziekana Wydziału Mechanicznego Konstrukcyjnego,** który mianowany został prorektorem z dniem 01.01.1953 r.

**Z tym znakomitym, niezapomnianym, zespołem: Szymanowski, Mutermilch, Araszkiwicz, Król – miałem pracować jeszcze okrągłe 12 miesięcy.** Gdybym wówczas popracował 3 lata – śmiem twierdzić, że umocnienie wewnętrzne Politechniki i jej rozwój w najbliższych latach dokonałyby się w stopniu o wiele pełniejszym. W każdym razie wiele ze stylu naszej pracy pozostało, tym więcej, że i prorektorzy przetrwali mnie na swoich stanowiskach – a ponownie jako rektor z wyboru przejąłem Politechnikę w r. 1959 z rąk prof. Araszkiwicza, który jako prorektor, a potem rektor przetrwał przez cały okres od r. 1952 (zresztą później po 1959 r. współpracował dalej ściśle z kierownictwem uczelni przez obie moje kadencje rektorskie 1959-1962 i 1962-1965). Prorektor Araszkiwicz objął też tymczasowo kierownictwo Politechniki po moim ustąpieniu 01.01.1954 r., do czasu mianowania nowego rektora, dziekana Wydziału Budownictwa Przemysłowego i organizatora tego Wydziału prof. Aleksandra Dyżewskiego, który objął swoje stanowisko 1 lipca 1954 r. Mutermilch i Szymanowski, chyba nie równocześnie, ustąpili. Od nowego roku szkolnego 1954/1955 działał już odnowiony zespół prorektorów. Ze starych pozostali Araszkiwicz i Król. Na horyzoncie zjawiał się ponownie jako Prorektor d/s Nauki prof. Bochenek, szara eminencja rektoratu kadencji prof. Dyżewskiego.



Wybiegliśmy znacznie naprzód i trzeba będzie jeszcze powrócić do wątku naświetlającego źródło trudności na jakie napotkałem w okresie mojego pierwszego rektoratu. Warto tylko wspomnieć, aby nie zapomnieć później, że wybitne walory Szymanowskiego i Mutermilcha nigdy już potem na Politechnice Warszawskiej nie zostały wykorzystane (poza ich działalnością w swych Katedrach – oczywiście). Szymanowskiego pochłonęła praca organizacyjna w Akademii (PAN), Mutermilch wiele pracy dał Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego, do której obaj (ja i Mutermilch) zostaliśmy powołani w końcu 1952 r. W tym samym czasie Szymanowski powołany został do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej (do której weszło zresztą paru profesorów naszej Politechniki).

**Charakteryzując ogólnie okres mojego pierwszego rektoratu (01.09.1952 - 31.12.1953) należy stwierdzić, że zostało w tym czasie dokonane daleko idące scentralizowanie funkcjonowania uczelni, ustalone zasady i tryb pracy rozszerzonego do 5 osób (rektor + 4 prorektorzy) kierownictwa uczelni z wyraźnym przydziałem funkcji określonych dla każdego stanowiska prorektorskiego. Na piśmie przeze mnie ustalone zostały zakresy działania i kompetencji. Komisje senackie i rektorskie zostały przyporządkowane poszczególnym prorektorom, lub bezpośrednio rektorowi. Ustalone zostały również w sposób czytelny powiązania z dyrektorem administracyjnym i działem kadr. W sposób konsekwentny realizowałem zasadę jednoosobowego kierownictwa przy maksymalnym wykorzystaniu wszelkich form konsultacji i zespołowego działania. Dbalem o uszanowanie skromnych w tym czasie (ustawa z grudnia 1951 r.) uprawnień Senatu. Jak już wspomniałem nie wszyscy dziekani (czy nie wszystkie wydziały) skłonni byli podporządkować się nowemu ładowi. Szczególne trudności miałem z Wydziałem Chemicznym, gdzie dziekan uzbierał się w uchwały Rady Wydziału nie pozwalające mu podporządkować się ogólnym ustaleniom. Z trudem przyzwyczaili się dziekani, że podobnie jak rektor za całą uczelnię, są osobiście odpowiedzialni za bieg spraw na Wydziale. W złożonych warunkach studiów dwustopniowych, przynajmniej w zakresie studiów pierwszego stopnia, niechętnie widzianych przez większość wydziałów i kadry nauczającej, centralne uporządkowanie było jednak niezbędne i odejście od dawnej szerokiej autonomii wydziałów – konieczne.**

**Obok prorektorów istniały jeszcze stanowiska pełnomocników rektora do szczególnych zagadnień (na styku z administracją, bądź na styku ze sprawami dydaktyki i wychowania). Stanowiska te, nie honorowane dodatkami funkcyjnymi, miały**

raczej przejściowy charakter – niekiedy łączyły się z przewodnictwem odpowiednich komisji senackich i rektorskich, co usprawniało działalność tych komisji.

**Dyrektorem administracyjnym w tym czasie był p. Gębalski, lubiący polowania i reprezentację (to ostatnie – jak i pierwsze – nie wskazuję jako cechy ujemnej). Mieliśmy wspólny język, a to najważniejsze. Trudno byłoby to samo powiedzieć o ówczesnym kierowniku działu kadr, beznadziejnym studencie Wydziału Mechanicznego Konstrukcyjnego, z którym trzeba było robić cuda, aby nie skreślić go zgodnie z przepisami regulaminu. To była smutna karta tamtych czasów. Tym smutniejsza dla Politechniki Warszawskiej, że ten człowiek, skończywszy wreszcie studia pierwszego stopnia na innym wydziale mechanicznym, przez wszystkie lata był wpływowym członkiem Komitetu Uczelnianego, często członkiem egzekutywy (jeżeli nie stale), osobą, z którą musieli się liczyć wszyscy następni, często o dwie głowy przerastający go sekretarze Komitetu Uczelnianego. Człowiek ten do dziś (1970 r.), jak można sądzić z dokonujących się, trudno dla ogółu społeczności politechnicznej zrozumiałych przemian, zachował duże wpływy. Dla mnie stanowi on „spersonifikowany” symbol sił sprowadzających Politechnikę Warszawską w dół po równi pochyłej (czy może nawet deeskalację powiększającymi się stopniami).**

**Również studentem, tym razem Wydziału Architektury był ówczesny I Sekretarz organizacji partyjnej. Dla pewności, żonę jego zastałem jako desygnowaną sekretarkę rektora (choć przy rektorze Warchałowskim była chyba tylko zwykłą maszynistką). Była zresztą istotnie dobrą pracownicą. Wyrosła nad miarę i swoje możliwości dopiero później – za rektoratu prof. Dyżewskiego. W przeciwieństwie do kadrowca, sekretarz nie utrzymał się w Politechnice. Miał tę wadę, że pił. Poza tym był raczej pełen dobrej woli i jak mi się wydaje miał do mnie zaufanie. W każdym razie, w ciągu 16 miesięcy mojego urzędowania nie miałem nigdy spornych kwestii z uczelnianą organizacją partyjną. Fakt ten podkreślam, gdyż do problemu współpracy z organizacją partyjną wrócę w dalszym ciągu.**

**Początek roku szkolnego 1952/1953 przygotowywałem w atmosferze sporu (powiedzmy – różnicy zdań) między Komitetem Warszawskim, który występował przeciwko togom i łańcuchom i Wydziałem Nauki KC, który był za podtrzymaniem „tradycyjnych” strojów (nota bene, wprowadzonych na Politechnice Warszawskiej dopiero w latach trzydziestych). Sprawa nabierała znaczenia wobec tego, że inauguracja roku w Politechnice Warszawskiej miała mieć charakter centralny z udziałem ministra Adama**

Rapackiego i jego przemówieniem transmitowanym do wszystkich szkół. Sprawa strojów nie była prosta. Dla rektora, prorektora, dziekanów 5 wydziałów (czy 6), delegatów tyluż rad wydziału były stroje (togi, łańcuchy rektora i dziekanów) ofiarowane przed paru laty przez związek przedsiębiorców budowlanych (prywatnych, funkcjonujących w pierwszych latach powojennych). Przy 16 wydziałach i 4 prorektorach trzeba było na gwałt szyć togi, gdyby już nawet zrezygnować z łańcuchów – 24 togi to nie mała rzecz. **Miałem wewnętrzne opory, żeby zacząć moje funkcje rektorskie od szycia tóg.** Dlatego pewnie dałem mój głos przesadzający za opinią Komitetu Warszawskiego. Inna rzecz, że **Rapacki, kiedy przyszedłszy zastał Senat po „cywilnemu”, okazał pewne zdziwienie.** Zawsze to oprawa dla wystąpienia ministra. (Nota bene nie pamiętam inauguracji poprzedniego roku. Może dostaliśmy nominacje prorektorskie już w październiku razem z nowymi dziekanami. Bo z pewnością nie zastałem kompletu tóg). Zatrzymuję się nad tym mało ważnym problemem togowym, bo wówczas wszystko było komentowane. Sama inauguracja wypadła na medal, z dopasowaniem co do minuty wystąpienia ministra nadawanego przez radio. **Od czasu tej inauguracji zacząłem mieć pełne zrozumienie dla spraw „protokolarno-porządkowych”** wszelkich tego rodzaju, jak inauguracja roku, imprez. Dawniej nie bardzo rozumiałem kiedy mówiło się o dobrym lub mniej udanym przebiegu inauguracji roku.

Z tego czasu mojego rektorskiego urzędowania, zachowały się na stałe pewne sformalizowane zwroty, porządek uroczystości, ustawienie orszaku senackiego, a potem ceremonii nadawania doktoratów i formuły ślubowania doktorskiego nieco odarchaizowanej, ale zachowującej istotne elementy pozostałe z łacińskiej stylizacji – stosowanej w uniwersytetach.

Te wszystkie małe sprawy – małe na pozór – stanowią o tym maleńkim dystansie dzielącym „wzniosłość od śmieszności”. Czy jest np. coś śmieszniejszego niż szybkie poruszanie się, płaczących się w swych togach lub unoszących je niezręcznie, uczestników orszaku senackiego, lub zamęt przy zajmowaniu miejsc na podium, lub wreszcie bezradne oglądanie się rektora czy wszyscy są już na swoich miejscach. Podobnie samą intonacją odczytywania roty ślubowania doktorskiego można wywołać ironiczne uśmiechy uczestników uroczystości. (Dlatego może taki walor miała, jako nie powszechnie rozumiana, łacina w liturgii kościoła katolickiego). Sądzę, że ten fakt nie zawsze jest dostatecznie doceniany.

Można było zrezygnować z tej dygresji, ale nie siląc się na faktograficzne bogactwo moich zapisków, (fakty lepiej odtwarza się z dokumentów, niż z zawodnej pamięci)

pozwalam dojść do głosu impresjom, które przetrwały mimo lat dzielących czas spisywania notatek od przedstawianych zdarzeń. Tak czy inaczej **to „cywilne” wystąpienie Senatu na inauguracjach lat 1952/1953 i 1953/1954 (bo i w następnym roku nie sprawilem tóg Senatowi) symbolizowało (bez zamierzeń) roboczy charakter nowych władz Politechniki.**

**Wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego 1952/1953 spadło na nas duże nowe zadanie typu organizacyjnego. Wiceminister Golański, w czasie na bardzo wysoki ton nastrojonej rozmowy (pamiętam do dziś jego ruch, kiedy otwiera szafkę pancerną i wyjmuje stamtąd plik dokumentów – bardzo różna była teatralność obu ministrów – naturalna, choć wywołująca efekt – Rapackiego i obliczona na widza – Golańskiego), w formie na poły poufnej komunikuje mi (Golański), że musimy opracować plan rozwoju Politechniki Warszawskiej, jako szkoły obliczonej na 18 tys. studentów (w tym czasie Politechnika liczyła nie wiele ponad 10 tysięcy studentów). Trzeba opracować strukturę organizacyjną i inwestycyjny plan rozbudowy. Termin pierwszego etapu prac grudzień 1952 r., drugiego styczeń (lub luty) 1953 r. Jak dla rektora, który dopiero co objął kierownictwo uczelni, zadanie niemałe. Chcąc uniezależnić te prace od normalnych zadań organów szkoły proponuje min. Golański powołanie Zespołu Głównego Politechniki Warszawskiej przy nominalnie istniejącej jeszcze Radzie Szkół Wyższych. (Przewidziana ustawą z r. 1951 Rada Główna Szkolnictwa Wyższego powołana została dopiero w końcu r. 1952)<sup>68</sup>. Przewodniczącym Zespołu jest rektor PW. Skład w porozumieniu z rektorem powołany przez Ministra.**

Przydatne okazują się moje doświadczenia z okresu połączenia Szkoły Wawelberga z Politechniką. Zadanie jest jednak o wiele trudniejsze. Moja znajomość organizacji wielkich szkół francuskich, amerykańskich i angielskich ograniczona. Nie bardzo się również orientujemy w tym czasie w strukturze wewnątrzwydziałowej i ogólnej największych wyższych uczelni technicznych w Związku Radzieckim. Pamiętam jednak, że w latach 1915-1918 opierano się o doświadczenia z wielu stron.

**Rodzi się koncepcja zachowania jedności Politechniki Warszawskiej jako federacji szkół: Budowy Maszyn, Elektrotechniki, Budownictwa, Chemii, z których każda byłaby wielowydziałowa. Wydziały reprezentować miały kierunki studiów lub grupy**

---

<sup>68</sup> Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Nauki obejmowało tylko podstawowe pionys Szkół, to znaczy szkoły uniwersyteckie, techniczne, ekonomiczne i rolnicze. Rada Główna Szkolnictwa Wyższego powołana w końcu 1952 r. jednoczyła w sobie również pionys szkół podlegają innym resortom (jak Akademia Medyczne podległe Ministerstwu Zdrowia), z wyjątkiem szkół artystycznych i wojskowych.

specjalności pokrewnych, przy liczebności pierwszego roku studiów nie przekraczającej 200 osób. Wydział jest jednostką zorganizowanego procesu dydaktycznego. Powiązania w dziedzinie prac badawczych i współpracy z gospodarką narodową mają miejsce na szczeblu szkół. Kierownictwa szkół odpowiadają za rozwój działalności naukowo badawczej i (w podległych wydziałach) dydaktycznej. Jedność Politechniki wyraża się, poza współpracą merytoryczną poszczególnych szkół w zakresie prac badawczych, (a w pewnych przypadkach również ograniczoną współpracą w zakresie usług dydaktycznych), wspólnym zarządem terenów Politechniki, centralnych usług administracyjnych i funkcji reprezentacyjnych (na zewnątrz). **Trudnością okazuje się wmontowanie organizacji w obowiązujące ustawodawstwo. Nie mniej koncepcja jest ciekawa i zostaje przepracowana w szczegółach. Upada – ściślej zostaje odsunięta w bliżej nieokreśloną przyszłość, kiedy okaże się, że niezbędne inwestycje budowlane wyrażają się okrągło milionem m<sup>3</sup>.** Już za rektoratu prof. Dyżewskiego wraca się częściowo do koncepcji zmniejszenia Politechniki Warszawskiej, przez wydzielenie Szkoły Głównej Budowy Maszyn, z główną jej lokalizacją i rozwojem na terenie południowym.

Ta „Królewska Szkoła Budowy Maszyn” – tak ją nazywam żartobliwie od nazwiska prorektora S. Króla, który miał być jej organizatorem, zanadto jednak pachniała restytucją Szkoły Wawelberga i mimo pewnych logicznych uzasadnień, nie znajdowała szerszego poparcia. Pozbawiona całkowicie wydziałów mechanicznych Politechnika, traciłaby swoją cechę „politechniczności”. Tak czy inaczej, w związku z pewnym zahamowaniem ilościowego rozwoju wyższych studiów technicznych, powrotem (1954) do studiów jednolitych (teraz już 5-letnich), wielkie projekty reorganizacyjne Politechniki Warszawskiej zostały zarzucone, a jej rozbudowa (poza wykończeniami gmachów nowej technologii na terenie południowym i zespołu techniki cieplnej – prof. B. Stefanowskiego oraz zespołu aerodynamiki i lotnictwa) praktycznie zahamowana.

**Ten właśnie wielki program, przesłonił w naszych działaniach tego czasu i w działaniach ministerstwa sprawy „małej rozbudowy”. Już na wiosnę 1953 r. wystąpiłem z postulatem podjęcia inwestycji budowlanych nie kolidujących z wielkim planem, ale niezbędnych już teraz dla 10 tys. studentów (a nie dla 18).** Przedziwny stosunek PKPG (Państwowy Komitet Planowania Gospodarczego) i później Komisji Planowania przy Radzie Ministrów do spraw inwestycji „nieprodukcyjnych” miał zaważyć na rozwoju szkolnictwa wyższego przez długie lata.

Nie mająca swych bezpośrednich opiekunów w przemyśle Politechnika Warszawska zesłała szybko na przedostatnie miejsce w kraju pod względem zasobności kubatury na jednego studenta (gorszą sytuację w latach sześćdziesiątych miała tylko Politechnika Poznańska). W ten sposób został zmarnowany wielki zryw, który mobilizował Politechnikę Warszawską jako całość do podjęcia wielkiego, potrzebnego perspektywnie zadania. Na wiele lat największa uczelnia techniczna kraju została pozbawiona planu rozwojowego. Zmieniające się mody na nowe techniki, zastąpiły planowaną stopniową rekonstrukcję szkoły.

**Na jesieni 1953 r. wystąpiłem w tonie dość ультимatywnym do ministerstwa postulując najniezbędniejszą rozbudowę pomieszczeń Politechniki i przyznanie środków na jej wyposażenie.** Tymczasem działały już wówczas siły na Politechnice przybliżające kres mojego pierwszego rektoratu.

*Zacznę od dwu dygresji. Po pierwsze, jak łatwo stwierdzić czytając moje zapiski, nie stanowią one rejestracji wcześniej przemyślanych, uporządkowanych – nie tylko wspomnień, ale również osądów wydarzeń, na które dziś na pewno jest mnie stać. Warunki w jakich piszę, dorywczość podejmowanego pisania sprawia, że wszystkie te stroniczki mogłyby kiedyś stanowić zaledwie dla mnie samego pomoc w sformułowaniu sądów o moim życiu i wydarzeniach, w których uczestniczyłem, kiedyś kiedy pamięć jeszcze bardziej osłabnie, choć jeszcze okresy jasnego myślenia pozostaną. Dziś, już pewnych wydarzeń, bardzo plastycznie zachowanych, nie potrafię umiejscowić chronologicznie, jak choćby rozmowy z ministrem Rapackim, które dziś jeszcze pewnie opiszę.*

*Tak więc piszę z potrzeby odczuwanej. Wiem, że gdyby niespodziewanie przyszła ostatnia chwila, w błyskawicznym rozrachunku całego mojego życia, brakłoby mi tego, że pozostawiłem, choćby w najbardziej surowej formie moje przedstawienie tego życia, moje widzenie spraw i wypadków, które to życie wypełniły: przynajmniej tych z nich, które w zewnętrznej relacji nie mogłyby odkryć niedomówionych czy nieudokumentowanych motywów mojego działania. Dlatego, też będę pisał dalej, mimo poczucia braku należytego ład, niekompletności, braku pogłębień moich zapisków.*

*Dygresja druga. Dziś wyraźniej niż kiedy indziej zdaję sobie sprawę z błędów popełnianych w okresach mojej bardziej eksponowanej działalności. Z wyjątkiem rozrachunków z okresu okupacyjnego, kiedy z całą energią wszystkimi dopuszczalnymi i możliwymi drogami broniłem mojego dobrego imienia, nigdy później nie interesowałem się tym co o mnie mówiono, ani tym jakie intrygi snuto koło mojej osoby. Nie brałem pod uwagę*

*faktu, że stanowisko (w danym wypadku rektora), którego wysokość zresztą sam oceniałem z uczuciem pewnego zażenowania – i które było dla mnie ciągłym staraniem o sprostanie niezmiernie trudnemu i odpowiedzialnemu zadaniu, dla innych ludzi bywa przedmiotem zazdrości. Że widzą oni głównie zewnętrzne atrybuty władzy, ściślej stanowiska, zazdroszczą tych wszystkich drugorzędnych dekoracji i udogodnień życiowych ze stanowiskiem związanych, nie doceniając ciężaru władzy, ciężaru stanowiska i obowiązków należycie w sposób odpowiedzialny pełnionych. Zaabsorbowany bez reszty treścią moich najistotniejszych obowiązków, zespolony z interesem i rozwojem szkoły – umocniony poczuciem, że moja działalność ma pełną aprobatę moich najbliższych współpracowników i władz zwierzchnich (zarówno ministerialnych jak i partyjnych) lekceważyłem istnienie i stopniowe sprzymierzanie się sił, dla których Politechnika, stanowiska i godności w tej Politechnice, były w pierwszym rzędzie szansą osobistego „wybicia się”, łatwą (właśnie łatwą) drogą do władzy i zyskania przez autorytet uczelni szerszych wpływów. (Nota bene mogłem się nieraz przekonać jak wielki autorytet ma, a przynajmniej miała Politechnika Warszawska, zresztą nie tylko ona, w rządzie zasłużonych wyższych uczelni w kraju. Łatwo było dostać zawrotu głowy, personifikując w oczach społeczeństwa dorobek kilku dziesiątków lat całej szkoły, przez aktualnie zajmowane stanowisko rektora, a bodaj tylko profesora uczelni).*

*Nigdy nie miałem właściwego „wywiadu”. Może inaczej – żeby nie zostać źle zrozumianym: nigdy nie miałem dostatecznej ciekawości i zainteresowania działalnością pewnych osób, a później koteryjną działalnością wewnątrz np. politechnicznej organizacji partyjnej, wykraczającą daleko poza przypadkowe, dla doraźnych celów podejmowane, działania wspólne poszczególnych osobników. Żeby uzasadnić ostatnie zdanie musiałbym nadmiernie rozszerzyć moją dygresję wybiegając znacznie wprzód w ocenie konstruktywnych i destruktywnych nurtów w działalności organizacji partyjnej Politechniki Warszawskiej.*

Jak wspominałem, wracając już do zasadniczego wątku wspomnień, istniał pewien stan napięcia między mną jako rektorem, a ministerstwem na gruncie niedostatecznego uwzględnienia palących potrzeb inwestycyjnych Politechniki Warszawskiej. To też nie małym zaskoczeniem było dla mnie, kiedy **wezwany zostałem przez wiceministra prof. O. Achmatowicza (objął swe funkcje na początku r. 1953; musiał na tym stanowisku wtedy jak i później wypełnić wiele nieprzyjemnych, nie chcę powiedzieć plamiących ręce, ale ciężkich dla uczciwego człowieka czynności) niestety nie w celu rozmowy na temat**

rozwoju Politechniki. Było to na początku grudnia – może w ostatnich dniach listopada 1953 r. – ale raczej w grudniu.

*Moja pamięć obrazów jest szczególnie świeża. Jeżeli nawet trudno mi jest dziś odtworzyć z pełną wiernością treść rozmów i chronologię wypadków, to z łatwością (oczywiście gdybym to umiał), potrafiłbym namalować, lub odtworzyć reżysersko (to już łatwiej) niektóre zdarzenia.*

**„Doszło do naszej wiadomości, że Pan Rektor ma trudności w pracy z organizacją partyjną i organizacją związkową”** – tak zagał ku mojemu najwyższemu zdziwieniu rozmowę Achmatowicz. Zaprzeczyłem, żywo stwierdzając, że musiałoby być przejawem wielkiej hipokryzji, ze strony uczelnianych władz partyjnych i związkowych, abym ja odnosił wrażenie w pełni harmonijnej współpracy – a na zewnątrz była ta współpraca przedstawiana we wręcz innym świetle. **„Kiedy to chodzi nie o uczelnianą organizację, a o organizację na pańskim wydziale (lotniczym)”**. Zareplikowałem natychmiast, że również tutaj **to może być opinia profesorów Bronisława Bochenka i Leona Niemanda** (tej osobie warto by w historii Politechniki poświęcić oddzielnie kilkanaście wierszy) **uzurpujących sobie prawo przemawiania w imieniu organizacji partyjnej i prof. (czy wówczas docent) Wolskiej** (już, lub wkrótce po tym, drugiej żony prof. Bochenka), **która była przewodniczącą wydziałowej organizacji związkowej**. Protestuję żywo przeciw angażowaniu organizacji związkowej i partyjnej na wydziale w osobiste rozgrywki paru osób.

Moje wyjaśnienie przyjęte zostało milczeniem. Widać moje losy jako rektora były rozstrzygnięte już gdzie indziej. **„Chciałem zapytać pana Rektora – podjął rozmowę prof. Achmatowicz – czy woli pan złożyć rezygnację, czy otrzymać odwołanie ze stanowiska z inicjatywy ministerstwa”**. Na pewno – jak w wielu innych przypadkach w przyszłości, ułatwiając sytuację moim przeciwnikom (znanym bądź nieznanym) – **powiedziałem, że w oparciu o moje ostatnie wystąpienie w sprawie inwestycji politechnicznych, na które nie dostałem odpowiedzi – mam oficjalny powód do złożenia rezygnacji.**

Moje oświadczenie w tej sprawie na najbliższym (przed świętami Bożego Narodzenia) posiedzeniu Senatu było szokiem. Prorektorów uprzedziłem wcześniej. Mutermilch wystąpił z inicjatywą solidarnego złożenia rezygnacji. Prosiłem, żeby tego nie robili. **Jako przejmującego funkcje rektora, jeżeli nie będzie do 31.XII.1953 r. innej decyzji ministerstwa wyznaczyłem prof. Szymanowskiego.** W ostatniej chwili w piśmie



„przychylającym się do mojej prośby o zwolnienie ze stanowiska rektora” minister polecił przekazać funkcje do czasu powołania nowego rektora w ręce prorektora **Araszkiewicza**. Prof. Araszkiewicz był w tym czasie jedynym „partyjnym” prorektorem. Ale chyba nie tylko to wpłynęło na decyzję ministerstwa.

**Przez 1/2 roku prof. Araszkiewicz kierował Politechniką, stwierdzam to lojalnie, utrzymując ściśle przyjęty przez nas wspólnie kurs.** Zorganizowane przeze mnie wieloosobowe kierownictwo uczelni zdało egzamin, a prorektorzy siłą rzeczy zyskali pełniejszą samodzielność i odpowiedzialność w zakresie swoich funkcji. Dobrzy to byli prorektorzy. Pod pewnym względem bardzo dobrym gospodarzem uczelni okazał się prof. Araszkiewicz. To również, na jego plus, miało się potwierdzić w czasie jego rektorskiej kadencji 1956/1959.

**Tak w chronologicznym biegu spraw zakończył się mój pierwszy 16-miesięczny rektorat w Politechnice Warszawskiej.** Nie potrafię dziś dokładnie umieścić w czasie ważnego wydarzenia jakim była **pewna moja rozmowa z ministrem Rapackim w obecności wiceministra Golańskiego**. Nie wiem również czy obie części tej rozmowy – tak bardzo w istocie ze sobą związane, odbyły się w tym samym dniu, choć za rzetelność powtórzenia ich istotnej treści mogę ręczyć.

**Już przed objęciem stanowiska prorektora miałem rozmowę z ówczesnym dyrektorem departamentu kadr MSZWiN Lisonkiem, w której na uczynioną mi propozycję – czy zawiadomienie o zamiarach dotyczących mojej osoby (pamiętam szczegół: rozmowa ta odbyła się w gabinecie prof. Maleckiego w Gmachu Fizyki) zapytałem go wręcz, czy zna dobrze mój życiorys, bo nie chciałbym, aby później dokonywano odkryć.** Z uśmiechem odpowiedział mi, że mogę być spokojny – „przestudiował akta komisji, która była powołana na moją prośbę przez rektora Warchałowskiego, wszystkie sprawy okupacyjne i pochodzeniowe są mu znane, nie ma żadnych zastrzeżeń, ale ... skoro już poruszam temat to chciałby coś bliższego wiedzieć na temat stosunków, jakie łączyły mnie z bratem mojej żony, krótko zresztą funkcjonującym premierem jednego z rządów sanacyjnych, **Leonem Kozłowskim**”. Musiałem się głośno roześmiać. Powiedziałem nazwisko panięskie mojej żony (Bełkowska) i oświadczyłem, że nigdy nie znała nawet Kozłowskiego, ani nie była z nim spokrewniona. Ja sam poznałem go i przez krótki czas mieszkałem z nim razem w domu jego stryja Romualda Kozłowskiego, w którym to domu byłem „na stacji” w latach 1915/1916 i 1916/1917. Wtedy to właśnie w r. 1916

Leon Kozłowski, syt chwały wojennej, zdemobilizowany czy urlopowany bezterminowo ze swej służby legionowej, pracował nad swą habilitacją (archeolog), bo doktorat zdaje się już wtedy miał. Kolegowałem w szkole z jego braćmi stryjecznymi, z których jeden jest aktualnie profesorem naszej Politechniki. (Nota bene cała rodzina Kozłowskich znana była ze swego aktywnego udziału w ruchu niepodległościowym i postępowych poglądów, a sam Leonek jeszcze za studenckich czasów zorganizował pierwszy chyba strajk rolny w majątku ziemskim swego ojca w miechowskim – Przybysławice?). Tak to zostało w tym czasie wyjaśnione ostatnie podejrzenie odnośnie mojej osoby.

**Kiedyś, mógł to być rok 1953, ale może 1952 r. – choć pierwsza data jest prawdopodobniejsza, zaprosił mnie do siebie Golański na dość niezwykłą godzinę, bo na czwartą po południu. Kiedy się do niego zgłosiłem oświadczył mi, że minister Rapacki chciał odbyć ze mną rozmowę. Przeszliśmy bezpośrednio (pokoje obu ministrów łączyły się wewnętrznymi drzwiami – było to na Miodowej) do gabinetu Rapackiego. Rapacki w miły (jak zawsze – przynajmniej ze mną) sposób zagaił rozmowę tym jak mnie cenią i jak dużo mają zaufania, że dali temu wyraz występując z inicjatywą nadania mi „wysokiego” (tak się wyraził) odznaczenia państwowego (w jesieni 1951 r. po akcji połączeniowej – a może w 1952 otrzymałem istotnie Krzyż Kawalerski Polonia Restituta) z tą intencją m.in. aby ukrócić krążące koło mojej osoby nieprzychylnie opinie (pamiętajmy, że Rapacki był członkiem Biura Politycznego i jego zainteresowanie moją osobą z tego szczebla było sprawą niemałej wagi). Mimo to są pewne „pozostałości”, z których jedną istotną chciał wyjaśnić, przy czym moje wyjaśnienie na „tak” lub „nie” nie wpłynie w żadnej mierze na nasze stosunki i zaufanie jakim mnie darzy. Chodzi mianowicie o sprawę następującą. W końcowym orzeczeniu komisji (prof. Tadeusz Wojno, Jan Zawadzki, Romuald Gutt) – z całą sprawą zapoznał się minister osobiście bardzo dokładnie – jest stwierdzenie, że jedynym zarzutem jaki można by mi postawić jest fakt, że w działalności mojej (okupacyjnej) nie kontaktowałem się (czy nie zyskiwałem aprobaty) władz Polski podziemnej. Mieli, oczywiście na myśli, ekspozyturę krajową rządu londyńskiego. Otóż minister prosi mnie o wyjaśnienie, czy rzeczywiście nie miałem kontaktów z ekspozyturą, czy też komisja nie chciała tego ujawnić i właśnie dlatego wprowadziła przytoczone zastrzeżenie do swego werdyktu. Minister dodał, że wówczas (rok 1946), kiedy przesadna (choć usprawiedliwiona konkretnymi przykładami) fama o wysyłaniu na „białe niedźwiedzie”, każdego kto miał jakiegokolwiek kontakty z ekspozyturą londyńską, mogło moim „sędziom” podyktować takie zabezpieczające mnie sformułowanie. Wyjaśniłem,**

**że istotnie nie miałem żadnego mandatu ze strony ekspozytury**<sup>69</sup>. Wyjaśniłem dlaczego nie szukałem tych oficjalnych powiązań. (Doświadczenia z Pawiaka w listopadzie 1939 r., zróżnicowany politycznie przekrój organizacyjny na terenie fabryki).

Znaczenie jakie przywiązywałem do utrzymania zaufania całej załogi nie pozwalało mi na jednoznaczne angażowanie się. Orientowałem się natomiast, kto jaki kierunek powiązań reprezentuje na terenie mojego działania. (Nie rozwijam tych ciekawych spraw do których jeszcze oddzielnie powrócę, jeżeli czas pozwoli).

Rapacki (wyraźnie zadowolony) podziękował mi za takie przedstawienie sprawy. Jako ciekawostkę przytoczę, że moje „dossier” w grubym segregatorze, z którego minister cytował przytoczoną opinię komisji, miało pokaźne wymiary. Nigdy później w przybliżeniu nawet podobnie grubej mojej teczki osobowej nie widziałem.

Nie pamiętam, czy wtedy, czy przy innej okazji (chyba to jednak było kiedy indziej, **już w 1954 r., kiedy po odejściu z rektoratu Rapacki proponował mi bliższą współpracę z ministerstwem)** padła znamienna wypowiedź: **„Niestety jest tak, że nie możemy ludziom, do których skądinąd mamy pełne zaufanie, i których cenimy, zapewnić spokoju w pracy (czy w pełnieniu ich funkcji). Stąd też nie zawsze zrozumiałe dla opinii odwołania ze stanowisk”**.

*Może jeszcze do osoby Rapackiego (a także Golańskiego, o którym tak mało mówiłem) wrócę w zamierzonej części moich zapisków, który zamierzam nazwać „Miodowa i Wiejska”.*

**Po odwołaniu ze stanowiska rektora PW kierownictwo resortu w sposób wyraźny eksponowało przy wszelkich okazjach moją osobę jako przewodniczącego Sekcji Technicznej Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, którą to funkcję powierzono mi z dn. 01.01.1953 r.** Rada Główna i Sejm to wiążące się w pewnym stopniu dziedziny mojej pracy „publicznej” poza Politechniką. Tymczasem, zostajemy w Politechnice. Nie chciałbym we wspomnieniach z okresu mojego pierwszego rektoratu pominąć dobrych, dzielnych, oddanych Politechnice ludzi, którzy tak wiele dobrej woli przejawili we współdziałaniu ze mną. Byli wśród nich dziekani, profesorowie i asystenci. Byli działacze związkowi, i członkowie partii, i stronnictw. Byli urzędnicy wysokiego szczebla, i woźni. Niebezpiecznie jest wymieniać nazwiska, bo zawsze się kogoś pominie, kto nie mniejszy od przytoczonych

---

<sup>69</sup> Jerzy Bukowski dostarczał informacje wywiadowcze Wydziałowi Przemysłu Lotniczego w pionie Przemysłu Wojennego KGAK. Natomiast w działaniu nie podporządkowywał się władzom podziemnym.

ma tytuł do wdzięcznej pamięci. Będzie zresztą na to czas. Większość tych samych dzielnych ludzi, obok młodszych, wsparło mnie, kiedy w 1959 r. wróciłem na dwie trzyletnie kadencje rektorskie.

Jeszcze w nawiązaniu do opisanego obrazu dwie bardzo różnego charakteru sprawy. Wspomniałem o moich stosunkach z organizacją partyjną. **Zawsze zdecydowanie sprzeciwiałem się, kiedy bezosobowo próbowano mi sugerować szczegółowe rozwiązania, często drugorzędnych problemów operując wielkim słowem „partia”.** **Uparcie dociekałem: kto, jaka instancja?** Często wówczas naciski miękkie, rozplywały się. Ta personifikacja wielkiego autorytetu zawartego w słowie „partia” w interesie małych i większych, osobistych, własnych, pożytków lub kariery, rażącego kumoterstwa, była dla mnie zawsze odrażająca.

**Był w tym czasie wielki człowiek uosabiający, nawet w oczach zahukanych, myślę, niekiedy osób z kierownictwa partyjnego na Politechnice, wysoki autorytet partii, kierownik Katedry Podstaw Marksizmu Aleksander Berler.** Stanowił on swego rodzaju instancję partyjną. Próbował dyktować wiele spraw według swego „widzimi się”. Primadonna wszelkich Akademii. **Zmusił mnie angażując nacisk komitetu uczelnianego, a bodaj i warszawskiego, do przeznaczenia malej auli (właściwie auli, po wojnie niesłusznie przyjęło się nazywać hall Politechniki wielką aulą) na czytelnię Katedry.**

Zastrzegłem sobie swobodę korzystania z sali dla potrzeb biblioteki uczelnianej, ale świątynia Aleksandra Berlera została urządzona. Mit, który tworzył koło swej osoby i Order Odrodzenia Polski, który nosił przed wielu zasłużonymi profesorami, zjednywał temu hochsztaplerowi niestety niemały autorytet w szeregach partyjnych. **Berler rozpoczął emigrację „rozczarowanych” do ustroju i od kilkunastu lat pracuje bodaj w Stanach Zjednoczonych w jednym z tamtejszych placówek antykomunistycznych.** Przykład Berlera nie nauczył wielu ludzi, że żaden X lub Y nie ma prawa mówić w imieniu partii mając tylko własne (lub głównie własne) interesy na względzie. Niepotrzebnie rozpisuję się na ten temat. Fakt, że na terenie Politechniki Warszawskiej był pierwszym „prorokiem”, ale nie pozostał ostatnim – skłonił mnie do tych paru uwag.

Może też ten temat – **organizacji partyjnej w Politechnice Warszawskiej – tak nieadekwatnej do miary uczelni, i tak spychającej zawsze na boczne tory swych najwybitniejszych członków** – kiedyś doczeka się swego historyka, a przynajmniej uporządkowanego szkicu. Stykając się w mojej pracy poselskiej z wieloma zakładowymi

organizacjami partyjnymi w przemyśle, czy nawet w terenie na szczeblu powiatu, ze smutkiem przeciwstawiałem ich zaangażowanie i prężność, małostkowości krępującej pozytywną działalność najwartościowszych ludzi należących do organizacji partyjnej w Politechnice. Nie mogłem też wyjść z podziwu, jak ci właśnie ludzie, nie mogli na terenie Politechniki ująć spraw partyjnych w swe ręce. Odpowiedź jest chyba jedna: byli rozproszeni, skrepowani często swymi organizacjami oddziałowymi, zajęci pracą naukową lub dydaktyczną. Ich przeciwnicy poświęcali całą swą energię na umacnianie, płynnych zresztą z biegiem czasu klik. Ale już nie trzeba więcej ogólników. Może będzie przy innej okazji możliwość powrotu do konkretów.

**Pod koniec zimy 1952/1953 zmarł profesor Edward Warchałowski.** Drugi z kolei zawał okazał się śmiertelny. Data jego śmierci zbiegła się z wielkim wydarzeniem, mającym pociągnąć za sobą doniosłe konsekwencje polityczne, ze zgonem Stalina. Zasłużony dla Politechniki Warszawskiej i dla geodezji polskiej uczony w ostatnich latach swego życia miał niejedną ciężką chwilę. Sądzę, że przedłużający się stan impasu, nie potwierdzenia drogą nominacji jego stanowiska rektora z wyboru, była już pierwszą i to parę lat trwającą zgrzyotą. Czy powinien był po upływie kadencji zawiadomić wprost o tym fakcie, stawiając do dyspozycji ministra stanowisko rektora? Kiedy dziś patrzę na to, jak lekko oddawałem w 1953 r. a potem 1965 r. rektorstwo, nie licząc się dostatecznie z istotnym interesem uczelni – usprawiedliwiam trwanie „na siłę” na posterunku tj. taktykę prof. Warchałowskiego. To sprawa drażliwa: wewnętrzne poczucie znaczenia własnej osoby dla instytucji, a równocześnie autokrytycyzm czy znaczenia tego w konkretnych warunkach nie przeceniamy. Może lepiej było w latach 1950-1952 trwać na stanowisku bez mandatu, niż „unosić się ambicją” jak to się mówi, i to wbrew interesowi szkoły, co można by może mnie zarzucić w 1953 r. tak samo jak w r. 1965. W rezultacie ułatwiałem sytuację ludziom, dla których sprawy uczelni były widziane przez pryzmat nie tylko partykularnych, ale wręcz osobistych interesów.

W r. 1965 nie doceniałem faktu, że mogłem pozostając zgodnie z wolą Senatu na trzecią kadencję, postawić w trudnej sytuacji likwidatorów szkolnictwa uniwersyteckiego w dotychczasowym tego pojęciu znaczeniu. Do tych spraw powrócić będzie trzeba przy innej okazji, a raczej w innym miejscu. *Nawet przy próbie skreślenia paru słów o prof. Warchałowskim nie mogłem się powstrzymać od dygresji na temat „ja i Politechnika”, ale to, wreszcie, jest głównym celem tych zapisek.*

Innym faktem, który musiał przeżyć rektor Warchałowski, było pominięcie jego osoby w pierwszym składzie powołanej w 1952 r. Polskiej Akademii Nauk. Zważywszy stosunki łączące go z prof. Witoldem Wierzbickim, mającym główny głos w formowaniu składu akademików techników, fakt ten dawał się wytłumaczyć. Był on krzywdzący prof. Warchałowskiego i nie wystawiający najlepszego świadectwa, ani prof. Wierzbickiemu, ani super rewidentom składu Akademii. Ja sam mam też na sumieniu nie dopilnowanie, aby w skład Zespołu Głównego Politechniki Warszawskiej wszedł były rektor Politechniki. Te wszystkie zgryzoty niewątpliwie nie poprawiły stanu zdrowia zasłużonego Profesora. Prawda, miał swe przywary, które lubiano mu wytykać. Dziś jednak i na te słabostki inaczej patrzę – widząc je z perspektywy czasu: jak w pewnym okresie rektor Warchałowski personifikował Politechnikę jako całość; jak w atmosferze dawnych nawyków potrafił dbać o całość uczelni ponad partykularyzmem wydziałów i poszczególnych nawet profesorów. Inna rzecz, że musiał przyjść czas kiedy ten styl „Politechnika to ja”, nawet w najlepszym dla tego „ja” sensie, zaczął się przeżywać... I wtedy właśnie odszedł Warchałowski z rektoratu. Chyba szczęśliwie nie doczekał się przeżycia siebie samego na tym stanowisku.

**Pogrzeb rektora Warchałowskiego odbył się bardzo uroczyście i w nastroju wielkiej powagi. Wzięli w nim udział minister Rapacki i wiceministrowie. I tu rzecz charakterystyczna. Rapacki uczestniczył w części kościelnej ceremonii pogrzebowych. Przemawiając nad grobem zabrał głos po mnie. Przy ustalaniu protokołu na jego zapytanie co do kolejności przemówień odpowiedziałem: „Udział ministra nie jest wypadkiem codziennym na pogrzebach profesorów, ale chciałbym zachować zwyczaj, że pierwszy głos ma rektor uczelni”, Rapacki bez chwili wahania przyznał mi rację. Wiele odprawiłem od tego czasu pogrzebów jako rektor i w oparciu o ten precedens utrzymywałem zawsze to pierwszeństwo głosu (sprawy kolejności wystąpień potem na pogrzebach członków PAN budziły niekiedy wątpliwości).**

Znów może się zdziwić ktoś odczytujący te słowa, że do tak błahych spraw przywiązuję wagę. Ale umacnianie stanowiska rektora Politechniki Warszawskiej, (rektora szkoły wyższej w ogóle), przy każdej okazji i w każdych okolicznościach, biorąc zresztą w tym przykład z mego poprzednika, przestrzegałem uparcie. Piszę te słowa z całą szczerością. Przekonałem się zresztą potem niejednokrotnie, że autorytet uniwersytetu jest potrzebą społeczną. Bardzo silną potrzebą. Pomniejszanie tego autorytetu nie wywyższa tych, których on raził, lub wzbudzał irracjonalną niechęć.

Tyle dygresji w związku ze śmiercią rektora Politechniki Warszawskiej, o najdłuższym w historii uczelni czasie pełnienia tego wysokiego urzędu. Rektor Warchałowski zajmował swe stanowisko łącznie przez 8 lat (przed wojną 2 i po wojnie 6). Nie przypuszczałem wtedy że los zwiąże mnie z tym stanowiskiem za dwoma nawrotami prawie na taki sam okres. Dziś widzę ile dla uczelni zrobił Warchałowski; doceniałem to w mniejszym stopniu przed zebraniem własnych doświadczeń. (Moje stosunki z rektorem Warchałowskim były zawsze bardzo dobre. Nigdy zresztą nie sądziłem, że będę jego następcą. Mam podstawy sądzić, że decyzję tę Warchałowski przyjął z większą aprobatą, niż by to miało miejsce w przypadku innego personalnego rozwiązania).

Na tym kończę „suplementy” do „krótkiej historii” mojego 16-miesięcznego rektorowania Politechnice Warszawskiej w latach 1952 i 1953.

(Koniec pobytu w Mądralinie 17.08. - 13.09.1970 r.).

### ***Sierpień 1972 r. (Świder)***

*Okragłe dwa lata nie przyniosło w moich zapiskach ani jednej nowej kartki. Bo też los zrządził, że przyszło mi znowu włączyć się intensywniej w tok bieżących spraw, a oderwać od wspominków. Nie da się tych wspomnień spisywać w urywkach czasu kradzionych innym powinnościom. Dlatego próbuję skreślić tych parę stron, aby bodaj wyjaśnić dlaczego, być może, mojego zamiaru „pamiętnikarskiego” nie doprowadzę do końca, a przynajmniej nie posunę należycie choćby tylko w ich pierwszej części dotyczących Politechniki.*

*Sucha pogoda września 1970 r. w Mądralinie nie przyczyniła się do poprawy moich spraw krążeniowych. Dobre skutki kuracji (izotop jodu 131) przyszły później. Tymczasem jesienią 1970 r. zbiegły się wypadki, które miały odsunąć moje zamierzenia emerytalnego zorganizowania sobie życia (co tak by sprzyjało zamierzeniom prowadzenia i rozszerzenia tych zapisków). Po pierwsze stan zdrowia Bolesława Rumińskiego zmuszał mnie do stopniowej aktywizacji w sprawach przygotowania VI Kongresu Techników Polskich, przewidzianego pierwotnie na luty 1971 r. Grudzień 1970 r. przyniósł znane wypadki i zmiany polityczne w kraju. Miały one w dalszej konsekwencji również zaważyć na mojej działalności. Przełożenie terminu VI Kongresu na wrzesień 1971 r., przy stopniowym ale stałym pogarszaniu się stanu zdrowia B. Rumińskiego, związało mnie jeszcze silniej z tą ogólnotechniczną imprezą. W rezultacie, zamiast wycofania się ze stanowiska przewodniczącego Rady Głównej NOT, w sytuacji nie pozbawionej, z uwagi na stan zdrowia*

*Rumińskiego cech dramatyczności, doszło do trudnej dla mnie zamiany zaszczytnej, ale raczej dekoracyjnej pozycji przewodniczącego Rady, na obowiązki przewodniczącego Zarządu Głównego NOT – „prezesa NOT”, zajmowanego dotąd przez wiele lat (nawet kadencji) przez Bolesława Rumińskiego, twórcę, a w każdym razie czołowego współtwórcę NOT.*

*Rumiński zajął moje miejsce jako przewodniczący Rady Głównej. Nastąpiło to wszystko na zebraniu wyborczym Rady Głównej NOT, bezpośrednio po VI Kongresie Techników w Poznaniu, w dn. 5 września 1971 r. W październiku zmarł Rumiński. W kilka tygodni po nim długoletni wiceprezes NOT i ofiarny zastępca Rumińskiego, Aleksander Gajkowicz. Pozostałem w pewnym sensie sam, z dużym ciężarem odpowiedzialności za wielką organizację jaką był i jest NOT. Nie pomijam roli wszystkich moich kolegów z prezydium Zarządu Głównego NOT i z prezydium Rady Głównej NOT odnowionego w lutym 1972 r. Tradycja wielkiego autorytetu i w rezultacie „demokratycznego jedynowładztwa” Rumińskiego nie mogła ulec zaniknięciu z miesiąca na miesiąc.*

*Przedterminowe rozwiązanie Sejmu. Nowe wybory. „Zadośćuczynienie” za rok 1969 – a właściwie mandat związany z nowym stanowiskiem w NOT – wszystko to otworzyło nowy okres mojego aktywnego życia, w latach kiedy dobiegając siedemdziesiątki zamierzałem raczej zastanowić się nad przeszłością i rozwinąć moje zapiski. Czy i jak podołam nowym zadaniom? Moja fizyczna kondycja nie jest najlepsza, choć na mój wiek powinna zadowalać. Ale trzeba w tej chwili wrócić do przeszłości. Może choć parę dziesiątków kart uda się zapisać. Muszę tu wtrącić pewną uwagę. W Świdrze (w sanatorium Ministerstwa Zdrowia) jest ze mną równocześnie prof. Stefanowski, ostatni mój żyjący profesor (w przyszłym roku kończy 90 lat), któremu w dotychczasowych zapiskach sporo poświęciłem miejsca. Spotykamy się w jadalni, w ogrodzie. Pewnego dnia prof. B. Stefanowski powiedział mi, że złożył swoje pamiętnikarskie prace z okresu lwowskiego (przed pierwszą wojną światową) i późniejsze z Warszawy i Łodzi w Ossolineum i w drugim egzemplarzu w Politechnice Warszawskiej. Uważa, że to jest ważny obowiązek. W dzień później (kiedy już zacząłem pisać) zapytał mnie prof. B. Stefanowski delikatnie czy ja nie piszę pamiętników. Że trzeba koniecznie. Urzędowy przekaz historyczny nie oddaje klimatu spraw i wydarzeń. Dopiero nieskrepowane zapisy pamiętnikarskie, mówił prof. B. Stefanowski mogą zbliżyć przyszłym pokoleniom prawdę o przeszłości. Wrócił do tego tematu jeszcze dziś rano, radząc poświęcić pisaniu „każdą wolną chwilę”. Sądzi, że moje pole obserwacji i zakres działalności były na tyle szerokie, że własny komentarz może rzucić wiele ciekawego światła. Nawiązał do pewnej części rozmowy ze mną z poprzedniego wieczora. Cóż, na pewno jeszcze nie każdą wolną chwilę*



*poświęcę pisaniu, ale ta zachęta na pewno pomoże. Podziwiać muszę pamięć, jasność umysłu prof. Stefanowskiego, który dwadzieścia lat temu był w moim wieku. Gdybym dożył jego lat w tej samej kondycji (choć dziś uskarża się już na ślepotę – nie może już sam czytać – i przytępiony słuch), to może rzeczywiście moje zamysły pamiętnikarskie doczekają się szerszej realizacji. Ale opracowanie? To rzecz wtórna. Byle zebrać podstawowy materiał. Z pamięci, która szczególnie wypadki lat ostatnich nie najlepiej rejestruje.*

### **13. Politechnika między pierwszym a drugim i trzecim rektoratem (1954-1959)**

#### ***Sierpień 1972 r.***

Zgodnie z założeniem wracam do wątku Politechniki Warszawskiej. Okres po moim pierwszym rektoracie, a więc **początek roku 1954**. Muszę lojalnie stwierdzić, że kierownictwo ministerstwa, a więc zarówno Rapacki jak i wszyscy wiceministrowie (Eugenia Krassowska, Henryk Golański, Osman Achmatowicz) czynili wszystko co się dało, aby podkreślić, że moje odejście z rektoratu Politechniki Warszawskiej nie oznacza jakiegoś kryzysu moich stosunków z resortem. **Od roku przewodniczyłem Sekcji Technicznej Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, i uczyniono wiele, aby to właśnie stanowisko w gronie rektorów szkół technicznych eksponować.** Dał po temu okazję zjazd rektorów w Gdańsku w styczniu 1954 r., gdzie mnie wyraźnie honorowano. Uwagę tę czynię marginesowo – merytorycznie ta dziedzina mojej działalności należy do innej części zamierzonych zapisków (Rada Główna – Sejm). **Wracając do Politechniki – mam tutaj, do czasu ponownego pojawienia się w lipcu 1954 r., prof. Bochenka, jako jednego z prorektorów zespołu rektora Dyżewskiego, żywot spokojny.** Jest to okres dorastania pierwszej stawki moich asystentów. Troska o ich doktoraty. Piszę dwa skrypty. Porządkuję sprawy dydaktyczne na licznych wydziałach, na których prowadzimy zajęcia. Oprócz sześciu...

#### ***Luty 1974 r.***

*W pół słowa przerwane pisanie. Nie zrealizowałem mojego zamiaru. Dwutygodniowy pobyt w Świdrze nie posunął naprzód moich pamiętnikarskich wspomnień. Teraz jest początek lutego 1974 r. Znów sięgam do tego zeszytu. Skończę zaczęte zdanie i podejmę nowy wątek, który będzie zamkniętym wtrąceniem przerywającym ciągłość wspominków.*

**Otóż oprócz 6 wydziałów mechanicznych nasza Katedra objęła jeszcze wykłady na Wydziale Inżynierii Sanitarnej. Najpierw prowadziłem je sam (przez rok lub 2 lata?) potem, chyba również przez 2 lata, adiunkt Wł. Prosnak.**

**Blisko półtora tysiąca studentów przechodziło w tych latach przez Katedrę, zważywszy laboratorium odrabiane po wykładach i ćwiczeniach audytoryjnych w następnym semestrze. Stały personel dydaktyczny Katedry wynosił około 15 osób, personel techniczny i laborancki również około 15. Był to zdrowy, doskonalący się zespół.**

Niedopasowani odchodzili, przybywali młodzi – rotacja nie była jednak zjawiskiem intensywnym. W chwili likwidacji Katedry w r. 1970 liczyła ona poza mną jeszcze jednego profesora (nadzw. dr Włodzimierza Prosnaka, już wtedy, lub wkrótce po tym, członka korespondenta PAN), 2 docentów habilitowanych (Jerzy Ostrowski i Wiktor Jungowski) i 3 doktorów, z nich dwu zaawansowanych na drodze do habilitacji. Ze starszymi asystentami i jedynym st. wykładowcą (Czesławem Gołębiowskim) zespół naukowo-dydaktyczny liczył 16 osób. Niejeden z nowo kreowanych instytutów nie miał takiej obsady.

*Przerywam pisanie aby przejść do zapowiedzianego wydzielonego rozdziału. (Patrz rozdział „Zawał”)*

**Luty 1975 r.**

Po ustąpieniu z rektoratu (01.01.1954 r.) moje powiązania z Politechniką o tyle nie słabną, że **większość zespołów kierunkowych Sekcji Technicznej Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, której jak wspomniałem przewodniczę od końca 1952 r., kierowanych jest przez profesorów naszej uczelni, a także w składzie tych zespołów (przynajmniej niektórych z nich) przeważają często nasi profesorowie. Stąd też zarówno w wielkim „sejmie programowym” w Polanicy w lipcu 1954 r., późniejszych naradach w Rogowie, jestem ciągle w bliskim kontakcie z kolegami, i w tym czasie wysoko jeszcze niesiemy proporzec Politechniki Warszawskiej, jako pierwszej Politechniki w kraju.**

Do roku 1956, zaangażowany w pracach Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, pracuję spokojnie na Politechnice.

**Marginesowo wprawdzie, ale skutecznie włączam się, o czym już może wspomniałem, w organizację Muzeum Techniki NOT, otwartego w roku 1955.**

**Przykrym zgrzytem w tym czasie, jest takie pokierowanie przez prof. Bochenka (w tym czasie prorektora do spraw nauki) wniosku Wydziału o moje uzwyczajnienie, że zmuszony jestem prosić rektora Dyżewskiego o wstrzymanie postępowania.** Prof. Bochenek zwrócił się o dodatkową opinię do prof. Wysockiego z Gdańska inspirując go, jak mi to później ze skruchą sam Wysocki powiedział, że nie można przecież dopuścić do uzwyczajnienia Bukowskiego. Wysocki miał powody osobiste, oby nie narażać się możliwym i wysmażył pamflet, nie opinię.

W latach 1958-1959 nie pozostało mi w pamięci nic szczególnie godnego uwagi z terenu Politechniki, aż do wyborów rektorskich w maju 1959 r. **Ukazuje się w PWN pierwsze wydanie mojej „Mechaniki płynów”.** Z kierownictwem uczelni mam jak najlepsze stosunki. **Dojrzewa sprawa prof. Bochenka, który składa w ministerstwie** (chyba za pośrednictwem rektora) **rezygnację z pracy na Politechnice.** Prof. Bochenek opuszcza Politechnikę, żeby do niej już nie powrócić. Angażuje się do WAT. Równocześnie pracuje w IBJ. W Wojskowej Akademii Technicznej popada prędko w konflikty. Musi ją opuścić. W końcu, wykorzystując bodaj emeryturę wojskową, przechodzi w sile wieku w stan spoczynku. Umiera (dość niespodziewanie) w lecie 1973 r. Zagadkowa postać. Dziwny bardzo człowiek. Chorobliwa ambicja niszczy tego zdolnego człowieka. Wielu ludziom przysporzył zbędnych zgryzot.

Mój mandat poselski i pozycja w Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego stwarzają pewną szczególność mojej pozycji na Politechnice, należycie ocenianą przez rektora Araszkiewicza.

#### **14. Wybory rektorskie 1956 r. – Wybory do Sejmu – Wzmianka o październiku 1957 roku**

*Luty 1975 r.*

**Nowelizacja ustawy o szkołach wyższych z r. 1951, jako pierwszy znak „odwilży” przywróciła we wrześniu (?) 1956 r. wybieralność rektorów i dziekanów, i to z sankcją ważności od r. 1956/1957.** Nastąpiło zrozumiałe ożywienie w szkołach wyższych. U nas w Politechnice Warszawskiej panowała dość powszechnie opinia, że urzędujący (z nominacji w 1954 r.) rektor prof. A. Dyżewski nie ma szans na wybór. W dużej mierze zawdzięczał te nieprzychylnie nastroje swej nadmiernej uległości wobec wszechwładnego prof. Bochenka. Rozpoczęły się narady. Pamiętając jeszcze dobrze gorzki smak rektorskiego chleba

**odniosłem się negatywnie do sugestii wydziałów mechanicznych wysunięcia mojej kandydatury.** Podjąłem natomiast wspólnie z prof. Januszem Lechem Jakubowskim starania, aby namówić prof. J. Groszkowskiego na udzielenie zgody na kandydowanie.

Prof. J. L. Jakubowski, pierwszy powojenny dziekan Wydziału Elektrycznego, równocześnie organizator i dyrektor Instytutu Elektrotechniki (przemysłowego), a także pierwszy sekretarz organizacji partyjnej Politechniki, należał do budowniczych powojennej Politechniki.

Kandydatura prof. Groszkowskiego była poza wszelkim konkursem. Już samo solidarne wsparcie jej przez wydziały mechaniczne i elektryczne stanowiło połowę (czy blisko połowy) głosów w Senacie. Popularność Jego osoby miały wkrótce potwierdzić (zresztą jak i moją) wybory kandydatów na posłów w grudniu 1956 r. **Odmowa Groszkowskiego była kategoryczna.** Za dwoma (przynajmniej) nawrotami prowadzone przeze mnie i Jakubowskiego rozmowy i namowy nie dały rezultatu. **Podjąłem wówczas nacisk na Jakubowskiego** obiecując mu poparcie wydziałów mechanicznych. To była dobra kandydatura: doświadczony organizator, członek partii z autorytetem w kołach profesorskich Politechniki, znacznie młodszy nie tylko od Groszkowskiego, ale również ode mnie. **Wymówił się brakiem zdrowia (w istocie w tym czasie był po jakimś kryzysie) i odbił piłkę w moją stronę,** motywując moją już na tym stanowisku praktyką i pewnością poparcia przez większość Wydziałów. Powstał impas, w którym nacisk na mnie zaczął wzrastać – równocześnie powiększyły się znikome dotąd szanse rektora Dyżewskiego. **Na przełamanie mojego oporu wpłynęła niewątpliwie, choć nie tylko, uporczywa agitacja prowadzona przez ówczesnego I Sekretarza Komitetu Uczelnianego Partii inż. Łapińskiego** (zresztą asystenta prof. Z. Brzoski). Inż. Łapiński był doskonale zorientowany, jak miałem się o tym później przekonać, w kulisach przygotowującego się „przełomu październikowego” i przywiązywał dużą wagę (nie bez własnych kalkulacji politycznych) do tego, żeby Politechnika miała silne kierownictwo. Uważał, że ja takie kierownictwo potrafię zapewnić. Wiedział też, że w przypadku zajęcia przeze mnie stanowiska rektora wpływy prof. Bochenka, który również w organizacji partyjnej uprawiał wyraźną partyzantkę, zostaną ograniczone. Tak czy inaczej ponowne wystąpienie przedstawicieli wydziałów mechanicznych wsparte życzliwymi głosami innych wydziałów **skłoniły mnie do wyrażenia zgody na postawienie mojej kandydatury.** Nota bene inż. Łapiński zapewniał mnie, że wszyscy partyjni członkowie Senatu będą za mną głosować pod „rygorem organizacyjnym”. Nie miałyby to zapewnienie istotnego znaczenia i nie było warte

wspomnień gdyby nie to, że właśnie w kołach organizacji partyjnej – nie wiem czy z udziałem, czy bez I Sekretarza – **powstała w ostatniej chwili koncepcja wysunięcia, kandydatury prof. Araszkiewicza**. Rozwodzę się nad sprawą tych wyborów obszerniej, bo ilustruje ona przynajmniej parę charakterystycznych już wówczas dla środowiska politechnicznego zjawisk. Pierwsze, to nieskoordynowane, frakcyjne działanie organizacji partyjnej. Drugie to rodzenie się i wzrost apetytów do zajmowania miejsc w kierownictwie uczelni. O tym właśnie parę słów. Postanowiłem nie prowadzić żadnej akcji (choćby pośrednio) agitacyjnej dla uzyskania wyboru, który wydawał się zresztą na podstawie szczegółowych analiz przeprowadzonych przez moich kolegów z wydziałów mechanicznych pewny. Uderzył mnie jednak i dał sporo do myślenia jeden fakt. Przy rektorze Dyżewskim urzędowało aż 7 prorektorów. Otóż w tych kołach właśnie prorektorskich nurtowało pytanie: ilu prorektorów wysunie Bukowski (za mojego pierwszego rektoratu było ich czterech) i kogo z obecnych prorektorów zatrzyma. Drogą pośrednią docierano do mnie z tymi pytaniami. Z punktu widzenia taktyki wyborów sprawa była istotna. Prorektorzy byli wybierającymi członkami Senatu. Dziekani i delegaci rad 16 wydziałów to było 32 członków Senatu. Dalszych ośmiu – to rektor i 7 prorektorów. Głosy prorektorów, a przynajmniej niektórych spośród nich, mogły stać się jęczyzkiem u wagi. Niemniej, właśnie w tej sytuacji, oświadczyłem, że wszelkie moje deklaracje w sprawie prorektorów byłyby elementem agitacji z mojej strony (bądź kontragitacji) i dlatego stanowisko w sprawie liczby i moich kandydatur na prorektorów ujawnię dopiero po ewentualnym wyborze. W każdym razie okoliczności opisane wobec faktu, że **w pierwszej turze głosowania do absolutnej większości, która była wymagana naszym wewnętrznym regulaminem wyborczym<sup>70</sup>, brakło mi bodaj tylko 2 głosów**, nabierają dużego znaczenia w ocenie moich przegranych w 1956 roku wyborów rektorskich. **Po pozostaniu dwu kandydatur, eliminacji dotychczasowego rektora prof. Dyżewskiego**, który w pierwszym głosowaniu otrzymał znikomą liczbę głosów, **część głosów oddawanych uprzednio na Dyżewskiego, w kolejnych następnych głosowaniach przenosiła się na Araszkiewicza, który wreszcie przewagą jednego głosu został wybranyrektorem na lata 1956-1959**. Nie bez poczucia humoru, Araszkiewicz, mówił potem żartem, że sam siebie wybrałrektorem (ten właśnie decydujący 1 głos) – jako, że brał udział w głosowaniu.

---

<sup>70</sup> „Za” musiało być więcej niż połowa członków Senatu. Nie obecnych – głosujących, tylko ogółu członków Senatu.

Prof. Araszkiwicz złożył mi wizytę i zaoferował stanowisko zastępcy rektora (I prorektora), jeżeli się zgodzę kandydować. Zrezygnowałem z tej oferty, życząc mu szczerze powodzenia w pracy. Zresztą jego półroczne rządy w okresie interregnum 1.I-30.VI.1954 r., nie zapisały się najgorzej w historii Politechniki. Kariera prof. Bochenka w kierownictwie uczelni była w każdym razie skończona. **Gdyby nie październik studencki w Politechnice w roku 1957, gdzie Araszkiwicz, a z nim i pozostałe kierownictwo uczelni nie stanęło – moim zdaniem – na wysokości zadania, jego kadencja rektorska dałaby się zapisać w pełni pozytywnie w powojennej historii Politechniki Warszawskiej. Ceniłem bardzo prof. Araszkiwicza jako współpracownika, a potem zastępcę i wreszcie prorektora przy Dyżewskim i rektora w latach 1956-1959 (1952-1959, to razem siedem lat w kierownictwie uczelni).**

**Przełom październikowy, „demokratyczne” – (w stosunku do następnych i poprzednich – bez cudzysłowu) wybory do Sejmu na początku 1957 r. wprowadziły mnie na nową arenę działalności.** Na Politechnice uzyskałem tę satysfakcję, że obok Groszkowskiego, na zebraniu dla wyboru „kandydatów na kandydatów”, uzyskałem przygniatającą większość głosów (po kilkaset na ponad tysiąc uczestników zebrania), z różnicą kilkunastu głosów na korzyść Groszkowskiego. Wobec jego i tym razem zdecydowanie negatywnego stanowiska i poparcia (a raczej nacisku) ze strony NOT – niemając rolę agitatora odegrał w tej sprawie prof. K. Studziński, przełamując również mój opór – zdecydowałem się kandydować. Decyzja to była niełatwa. Wobec zrzędzenia losu, który uchronił mnie od ponownego rektorstwa, zdawałem sobie sprawę, że jest to ostatni moment do zajęcia się moją osobistą „karierą naukową”. Pierwsza stawka asystentów była już wydoktoryzowana. Współpraca z przemysłem rokowała najlepsze widoki (poza lotnictwem). Mogłem być umocnić moją pracę wewnątrz Katedry. Tymczasem praca w Sejmie, wzmocniony zakres mej pracy w Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego, stworzyły nowy szeroki obszar mojego zaangażowania. Moje obowiązki profesorskie przez cały ten czas wypełniałem skrupulatnie.

Moje osobiste włączenie się w życie Politechniki, w szerszym rozmiarze przyniósł dopiero rok 1957 – październik studencki. Nota bene gdzieś oddzielnie trzeba by powrócić do **mojej działalności na terenie Związku Nauczycielstwa Polskiego, szczególnie w utworzonej przy nim sekcji pracowników nauki i szkolnictwa wyższego. W latach pięćdziesiątych była to dość żywa działalność. W czasie rektoratu Dyżewskiego,**

**prowadziłem Komisję naukowo-dydaktyczną (tak się bodaj nazywała) w organizacji ZNP na terenie Politechniki.**

Niezmiernie ważnym wydarzeniem na terenie Politechniki Warszawskiej i to z moim udziałem był tzw. październik studencki w 1957 r. Na 5 października przewidywany był wyjazd grupy profesorów z ówczesnym ministrem szkolnictwa wyższego prof. Stefanem Żółkiewskim do Chin. Wchodziłem w skład tej oficjalnej delegacji naszego szkolnictwa wyższego do wielkiego „kraju środka”. Tymczasem zaraz po inauguracji roku szkolnego rozeszła się wiadomość o zlikwidowaniu popularnego tygodnika „Po prostu”. Już wcześniej pomawiane o tendencje „rewizjonistyczne”, to żywe i mające duży wpływ na zdekomponowane po likwidacji ZMP środowisko studenckie pismo, zaczęło urastać do liczącej się siły politycznej. Redaktor jego, Lasota, był „moim kolegą”, posłem na Sejm. W okresie likwidacji „wolnościowych” nurtów października 1956 r. i poprzedzającego go okresu odwilży, dni „Po prostu” były policzone. Dlaczego jednak do publicznej wiadomości zamknięcie pisma podano w najbardziej nieodpowiednim momencie – początku roku szkolnego – tego nie umiem sobie wytłumaczyć.

*Przywiązując do wypadków października 1957 r. szczególną wagę, opisałem je z wyprzedzeniem przed kilku laty (sierpień 1970 r.).*

## **15. Październik studencki (1957 r.) (Wyprzedzenie I)**

### ***Sierpień 1970 r.***

*Doświadczenie uczy, że nie inaczej jak tylko wykorzystując tygodnie wakacji wracam do tych zapisków pamiętnikarskich. Nie sądzę, abym zdołał je według pierwotnej konwencji chronologicznej ukończyć. Zresztą im dalej, tym więcej trudu trzeba będzie poświęcić na prawidłowe ustalenia następstwa faktów i na żywość ich przedstawienia zabraknie już energii. Dlatego w tym roku dokonam wielkiego skoku w czasie. Właściwie aż dwóch skoków, do wypadków oddzielonych od siebie okresem przeszło dziesięciu lat, choć tak dla mnie – i w naturze swej – podobnych. Chodzi o październik studencki 1957 r. i znane wypadki marcowe 1968 r.*

*Mimo – na miarę moich, sił i zdolności – intensywnego wypełnienia życia pracą i działaniem, nie zostanie do zanotowania w historii mojego kraju nic godnego uwagi, co byłoby związane z moim imieniem. Na miarę wielkich prac, wielkich wysiłków, ogromnych*

osiągnąć i niewybaczalnych błędów naszych pierwszych dziesiątków lat powojennej historii mało ważne i niedostrzegalne stają się działania pojedynczych ludzi. Jednakowo ulegnie zapomnieniu rzetelny wysiłek i pozorowanie już nie pracy, ale jakiegokolwiek działania, oportunistyczne i zdrowe obywatelskie postawy.

*Jeżeli chcę, jak na to pamięć pozwoli, zrelacjonować dni październikowe 1957r. i pewne epizody marca 1968 r., to czynię to z dwóch powodów. Pierwszy powód to poczucie, że, bądź co bądź, moja pamięć i osąd tych wydarzeń będzie jednym ze źródeł dla przyszłego historyka. Drugi, bardzo ludzki, ale lepiej niech będzie szczerze wyjawiony – o daniu świadectwa prawdzie, że jakkolwiek nie było mi w życiu dane odegrać historycznej roli, to pozostaje mi to uczucie spokoju, które u końca życia staje się chyba coraz ważniejsze, że nie dopuściłem do powstania kart naszych dziejów, z których nie dałoby się nigdy wywabić plam krwi polskiej młodzieży i krwi sił „porządku”, tak nieszczęśliwie wprowadzanych do działania.*

*Przez wszystkie minione lata wracam uparcie do tych wypadków: ich genezy, ich mechanizmu, ich skutków. Brak mi wciąż elementów do formułowania sądów. Instynktownie odrzucam skrajne uproszczenia (zagrożenia władzy ludowej) – nonsens, „prowokacja” – w imię czego. Właśnie, w imię czego? Przed formułowaniem zbyt jednoznacznych odpowiedzi ciągle się cofam. Dlatego chciałbym, jak tylko to okaże się możliwe, oczyścić moje relacje z podtekstów refleksji i domniemań. Może i mnie samemu łatwiej będzie kiedyś sformułować sądy o tych dramatycznych wypadkach, a także okażą pomoc innym, którzy ten trud niewątpliwie podejmują czy podejmą, jeżeli pisać będę prawdę, „tylko prawdę i całą prawdę” zapamiętaną, pomijając lub opatrując znakiem zapytania fakty, które później drogą pośrednią mogłyby rzucić niewłaściwe światło na zachowany obraz wydarzeń i w jakiś sposób go zniekształcić.*

*Będę starał się o pełny obiektywizm, jeżeli będzie to możliwe przy tak intensywnym, jak moje, osobistym zaangażowaniu w bieg wypadków.*

Jeszcze jedna uwaga przed opisem przebiegu wydarzeń. Tak się wydarzyło, że miałem pewne uczucie na punkcie stosunków milicja – studenci. **W żadnym ustroju i w żadnych chyba czasach nie było dobrych stosunków między młodzieżą studencką i jakimikolwiek siłami policyjnymi.** Dawne tradycje eksterytorialności terenu szkół wyższych, jeżeli chodzi o działanie publicznych służb porządkowych, odegrały w tych stosunkach na pewno niemałą rolę. Stąd też zapalczywość, z jaką studentów zawsze tłukła



policja, jeśli „dopadła ich” na neutralnym, ściślej na podlegającym jej działaniu, terenie. Szukało się wtedy nieraz pozorów zakłócenia porządku, nie mówiąc już wykroczeń, aby puścić pałki w ruch. Widziałem przed wojną „robotę” policji francuskiej (podobną brutalność trudno sobie wyobrazić), widziałem i naszych przedwojennych „granatowych” (a także „chłopców z Golędzinowa”) w akcji.

**Otóż pod koniec czerwca 1957 r. zetknąłem się ze sprawą zatrzymania przez posterunek rezerwy milicji na moście Poniatowskiego, w dniu wianków bodaj, dwóch studentów. Z nich jeden, dostarczony do Komisariatu MO na ul. Wilczą i tam osadzony w areszcie tymczasowym, został bestialsko pobity przez tzw. profosa (strażnika aresztantów).** Sprawa się udokumentowała w ten sposób, że stan pobitego spowodował konieczność odstawienia go do pogotowia. Oczywiście Komisariat stwierdził, że znaleziono go w tym stanie na ulicy. Poszkodowany zażądał dokładnej obdukcji i przedstawił prawdziwy przebieg wypadków. Mętność relacji milicyjnych: gdzie został znaleziony dostarczony pacjent, kiedy został doprowadzony do Komisariatu, nie mogła budzić wątpliwości. Mimo to, a raczej właśnie dlatego, lekarz pogotowia odmówił wystawienia świadectwa obdukcji. Nie pamiętam już w jaki sposób student wymógł ostatecznie to świadectwo od pogotowia.

**Jako młody, pełen chęci działania poseł**, oceniając zresztą jakie konsekwencje mógł mieć ten wypadek, gdyby nastąpił wtedy, kiedy domy studenckie są pełne i wiadomość taka mogła poruszyć ciągle fermentującą po październiku 1956 r. młodzież, **podjąłem żywe działania. A więc korespondencja z Ministrem Spraw Wewnętrznych (Wichą).** (Powinna gdzieś być ta korespondencja. Jeżeli się znajdzie, byłaby dobrym udokumentowaniem obecnych wspominków). Rezultat nikły. **Doprowadziłem do konfrontacji studenta z milicjantami** bez numerów, którzy go zatrzymali (i zresztą z miejsca poturbowali, kiedy wysiadł z tramwaju na moście Poniatowskiego). Odkryło się to tak, że postawiono go w odległości kilkudziesięciu kroków przed frontem kompanii w hełmach i zapytano, czy rozpoznaje, którzy go zatrzymali. **Oczywista szopa.** Komisariat wywinął się w niezrozumiały dla mnie sposób. Zdaje się, że profos z tytułu „innych wykroczeń służbowych” dostał zmianę przydziału. **Uświadomiłem sobie wtedy beznadziejność dochodzenia sprawiedliwości przeciw milicji.** To smutne, ale chyba wszędzie prawdziwe. Rozmawiałem (chyba jeszcze w lipcu) osobiście raz i drugi z min. Władysławem Wichą na terenie Sejmu. Kiedyś przy kawie przedstawił mi sytuację. Co miesiąc przynajmniej kilkadziesiąt karnych zwolnień ze służby. A nowych dobrych kandydatów brak. To był zresztą, jak na trudne stanowisko ministra tego resortu, wyjątkowy człowiek. Ale sprawa

leżała chyba nie w tych trudnościach, o których mówił. **Stosunek naszej milicji do naszych studentów to był w tym czasie** (a pewnie i długo potem – co najlepiej okazało się w roku 1968) **jeden z przejawów kompleksów antyinteligentkich, tym bardziej irracjonalnych, im więcej dziesięcioleci liczyła Polska Ludowa.**

**To był czwartek. Dzień tygodnia, który urzędujący wówczas rektor Politechniki, prof. Władysław Araszkiewicz, rezerwował sobie na sprawy nie związane z rektoratem.** W Katedrze lub w domu załatwiał najpilniejsze sprawy „pozarektorskie”. Datę można by dokładnie ustalić kojarząc ten dzień tygodnia z początkiem roku akademickiego 1957/1958. **Ale chyba był to 3 października. Przygotowywałem się do wyjazdu na cały miesiąc do Chin z delegacją szkolnictwa wyższego pod przewodnictwem ministra Żółkiewskiego.** Jak zwykle, nawet przed krótszą nieobecnością – różne sprawy w Katedrze, w Sejmie (funkcjonowałem już przeszło pół roku jako wybraniec ludu) absorbowwały mnie tego dnia. **Okolo 19:30 telefon od prof. Stanisława Kuhna, prorektora i zastępcy rektora, urzędującego właśnie w tym dniu z pełnią gestii:** „Nie może nawiązać kontaktu z rektorem Araszkiewiczem, w akademiku na pl. Narutowicza doszło do krwawych starć. Nielegalny wiec z protestem przeciw rzekomej likwidacji „Po prostu”. Interwencja milicji. Studenci zabarykadowali wejście. Skrzynkami kwiatowymi z góry (ale były podobno i kamienie) odparto wstępne natarcia milicji. Dziesiątki studentów rannych w szpitaliku<sup>71</sup>. Na placu Narutowicza milicja bije ktokolwiek się pokaże w pobliżu. W piątek na godz. 17:00 zapowiedziany wielki wiec w Gmachu Głównym. Co robić?” **Cóż mogłem odpowiedzieć? – pójde, zobaczę.**

**Plac Narutowicza ciemny.** Nie widzę nikogo. Dochodzę obrzeżem do głównego wejścia. Legitymuję się przez zamknięte drzwi. **Zapewniam, że jestem sam. Zostaję wpuszczony.** W „Sztynie” w radiowęźle zbieram pierwsze informacje. Przebieg wiecu protestacyjnego, który był, i którego nie było. Organizatorom, nowo formującemu się Związkowi Młodzieży Socjalistycznej (ZMS), kierownictwo wymknęło się z rąk. Nie było nikogo z kierownictwa uczelni. Spotkałem tylko zastępcę dyrektora administracyjnego, a może to był ówczesny dyrektor – nie pamiętam nazwiska. **Kto wezwał milicję? Wymieniają mi nazwisko: G.** (zapomniałem, do odtworzenia – min. Żółkiewski nazwał go następnego dnia „jakimś tam instruktorem z Wydziału Nauki KC”). Podobno jeszcze do owej chwili było względnie spokojnie. **W rezultacie nieudane natarcie milicji na główne**

---

<sup>71</sup> „Szpitalik” mieścił się w kompleksie zabudowań akademika od strony ul. Mochnackiego.

**wejście. Poleciały skrzynki z kwiatami.** Większość pobitych studentów, to – według relacji – wracający później przez plac.

**Przechodzę do szpitalika. Owszem, opatrzone kilkadziesiąt pokaleczeń. Nazwisk nie notowano.** Rozeszli się „po piętach”. Czy są cięższe przypadki? Tak, 2 lub 3. Niechętnie o tym mówią. Nie naciskam. Wśród Komitetu Mieszkańców – zresztą, trudno powiedzieć „kto jest kto” z osób, z którymi rozmawiam – raczej konsternacja. Nie spodziewano się takiego obrotu sprawy. Liczono, że „ktoś” wyjaśni jak jest naprawdę z „Po prostu”, (ja sam o definitywnej decyzji likwidacji pisma dowiedziałem się dopiero po upływie dwu czy trzech dni). Jedno jest pewne – nie puszczą milicji do gmachu. Nie wysiedlą również przypadkowych lokatorów, których wypadki zastały w zespole domów na pl. Narutowicza.

**Kiedy wyszedłem na plac, była już późna noc.** Nie dopisuje pamięć: nie potrafię powiedzieć czy się z kimś tej nocy porozumiewałem. W każdym razie jestem **następnego dnia zaproszony na odprawę rektorów do min. Żółkiewskiego** (bodaj na godz. 9:00 rano). Byłem już chyba w tym czasie sekretarzem Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego lub jeszcze Przewodniczącym Sekcji Technicznej – no i jedyną osobą, która miała jakieś bezpośrednie informacje, poza doniesieniami Służby Bezpieczeństwa.

**Widać, że minister jest ustawiony.** Urzędowa wersja wypadków gotowa. Studenci chcieliby wrócić do wiecowania sprzed roku. Mają się uczyć, a nie wszczynać niepokoje. Ujawnić winnych. Dyscyplinarnie usunąć.

**Przedstawiam odmienny obraz.** Bezmyślne lub prowokacyjne pałkarstwo milicji. Przykłady znęcania się, bicia i kopania. Relacjonuję rozmowy z bezpośrednio poszkodowanymi. Naświetlam, co najmniej dwuznaczną rolę G....., który jakby czekał na pretekst wprowadzenia do akcji milicji.

Minister replikuje: studenci atakowali kamieniami, trafiony w czoło oficer milicji walczy ze śmiercią, (okazało się to relacją przesadną).

Nie pamiętam decyzji i zaleceń dla rektorów, chyba tylko w Politechnice zajęcia zawieszono na 3 dni. Nasz wyjazd do Chin (5 października) oczywiście odwołany.

I teraz poważna luka w pamięci. Wydaję mi się, że wiec w Gmachu Głównym zapowiedziany był na piątek (4.10.). 5.10 było wystrzelenie pierwszego sputnika. Potem miałem już wykład na początku tygodnia. Była mowa i o sputniku i o wypadkach. Było

posiedzenie Senatu z udziałem ministra i moim. Ale to chyba już wszystko po sławnym wiecu w hallu Politechniki.

**Tak, to było chyba w piątek 4 października<sup>72</sup>. Miałem jakieś zebranie w Naczelnej Organizacji Technicznej. Na przystanku koło Politechniki spotkałem profesorów: Kazimierza Kolbińskiego i Jerzego Mutermilcha jadących na to samo zebranie. Było około wpół do szóstej. Zdziwiło mnie, że mimo zakazu odbycia wiecu w Gmachu Głównym – jest on otwarty. Przed nim sporo studentów. Ożywienie. Proszę kolegów Kolbińskiego i Mutermilcha o usprawiedliwienie mojej nieobecności na zebraniu NOT-u. **Postanawiam pójść do gmachu. Obaj zdecydowanie idą ze mną.** Nota bene z Mutermilchem łączyły mnie przyjacielskie stosunki z okresu pierwszego mojego rektoratu w latach 1952-1953 i z pracy w Radzie Głównej. Z Kolbińskim miałem raczej tylko notowskie kontakty. Różnie się z nim potem moje stosunki układały. Tego odruchu nigdy im jednak nie zapomnę. Poszli ze mną i przetrwali kilka trudnych godzin.**

**Przepychamy się przez westybul i kierujemy do rektoratu.** W sekretariacie rektora znajduję wśród tłumu studentów zastępcę dyrektora administracyjnego, p. Feliksa Gołębiowskiego, przewodniczącego nieszczęsnego ZMS, studentów z władz Zrzeszenia Studentów Polskich (ZSP). Jak odwołać wiec? Nie ma zezwolenia, przeciwnie, jest zakaz. Kto otworzył gmach? Brak odpowiedzi. Ilu jest studentów? Poza hallem prawie pełne krużganki i ciągle napływają nowi. Czy jest milicja na placu? Nie widać. (Potem okazało się, że oczywiście było wielu „cywilnych” – nie było jednak żadnej akcji przeciw zajęciu gmachu!). Jest godzina 18:00 – zapowiedziana godzina rozpoczęcia wiecu. **Pytania „organizatorów”, jak nie dopuścić do wiecu.** Z hallu już słychać narastający gwar i okrzyki. **Decyduję – nie ma co mówić o uniknięciu wiecu. Wiec już jest, i na swoją odpowiedzialność biorę jego przeprowadzenie. Proszę (chyba Gołębiowskiego) o zawiadomienie władz uczelni i milicji, że jestem w gmachu z profesorami Mutermilchem i Kolbińskim i będziemy starali się znaleźć wyjście z sytuacji. Prosić milicję o nie wszczynanie żadnej agresywnej akcji. Polecam zamknąć wejścia do gmachu.**

**Wśród zebranych rozchodzi się wiadomość, że wiec się odbędzie regularnie i że jest poseł prof. Bukowski. Że są inni profesorowie.** Schodzimy na dół. Hall nabity – głowa przy głowie. Przeciskamy się pod arkadami. **Podium naprzeciw zegara pod balkonem I piętra.** Jakaś dykta czy zdjęte drzwi – a może jedno i drugie, krzywo na dwóch

---

<sup>72</sup> Rzeczywiście wypadki na placu Narutowicza miały miejsce 3.10.1957 r., a więc w Gmachu Głównym – 4.10.

stołach położone. Z trudem mieści się 5-6 osób. Wyniosła postać Kolbińskiego stanowi optycznie filar tej grupki. Organizatorzy martwią się o megafon. Oczywisty nonsens. Robię trochę wolnego miejsca na pierwszym planie. **Podnoszę ręce – do najbliższych niepodniesionym głosem mówię, że chcę przemówić, ale proszę o ciszę.** Następuje przepływ fali ścichnięcia, aż po górne krążanki. Wtedy ktoś ze studentów (jak ich nazywam „organizatorów” – w istocie biedaków, którzy z racji stanowisk organizacyjnych czuli się odpowiedzialni, a przynajmniej wiedzieli, że będę odpowiadać) zapowiada moje wystąpienie. Aplauz. **Na wstępie ustaliam techniczne warunki odbycia spotkania. Akustyka. Konieczność zachowania ciszy. Zapytania głośno – pojedynczo. Lepiej na kartkach - wyraźnie napisane.**

Rozpaczam godzinne przemówienie. Wytworzona sytuacja. Siła masowego ruchu studenckiego. Jego znaczenie w 1956 r. Nie wolno tej siły poniewierać w ulicznych zamętach. Nie wolno ulec żadnej prowokacji. Wyjaśniamy sprawę likwidacji „Po prostu”. Słabość organizacji politycznych młodzieży po kryzysie ZMP. Trzeba wzmocnić polityczną reprezentację studentów. Szacunek dla młodzieży, ale i poszanowanie ładu przez młodzież itd. itd.

W relacji, nieprzychylnie dla mnie napisanego raportu Służby Bezpieczeństwa podnoszono częste aplauzy sali, czym starano się wydobyć demagogiczne elementy mojego wystąpienia. Oczywiście nie było z mojej strony żadnej demagogii – ale jest wielka naczelna zasada mówienia bez mikrofonu do kilku tysięcy podnieconych słuchaczy – zmusić ich, skłonić do tego, aby słuchali. A osiągnąć to niełatwo. Miarę perswazji i gry na ambicji trzeba starannie wyważać. Gra na ambicji jest, moim zdaniem, tą najmniej niemoralną formą demagogii, której elementy w każdym spotkaniu z tłumem stają się niezbędne w chwilach, w których grozi utrata kontaktu i przegranie sprawy.

**Na zakończenie zapowiedziałem, że napłynęło dużo kartek z pytaniami, że będę na nie odpowiadał w miarę możliwości jasno i wyczerpująco. W tym czasie podano mi kartkę, że plac przed Politechniką jest zamknięty silnymi oddziałami milicji i rezerwy milicji (dawny Golędzinów).**

**Odpowiadając na pytania prowadziłem równocześnie pertraktacje z dowodzącym na placu.** Tymczasem sytuacja zaczynała się robić nerwowa. Z sali padały okrzyki, że gmach otoczony, że już biją przed gmachem, że trzeba przygotować obronę (już wcześniej wyobraziłem sobie meble lecące z okien frontowych, a potem z krążanków,

w przypadku podjęcia ofensywy). W pewnym momencie, było to już chyba po ósmej, zjawiał się przedstawiciel Klubu „Krzywego Koła” i prosił o umożliwienie mu odczytania deklaracji solidarności. (Okazuje się, że wieść o wiecu w Politechnice rozeszła się już szeroko). Rzuciłem okiem na deklarację i udzieliłem mu głosu.

Po zakończonych oklaskach zaproponowałem dołączenie odczytanej deklaracji do postulatów, jakie wpływały na piśmie i poprosiłem, bodaj prof. Kolbińskiego, o czytanie tych postulatów. **Sam poprosiłem o zrobienie mi przejścia do drzwi wejściowych, aby w towarzystwie paru „organizatorów” udać się do dowodzącego siłami milicyjnymi dla zawarcia „układu ewakuacyjnego”.** Tak się też stało. Nie pamiętam szczegółów. Oto najważniejsze wrażenia i fakty, jakie pozostały mi w pamięci.

Na górnym podejściu i na schodach zewnętrznych grupki młokosów nie przypominających studentów. Na moje wezwanie, żeby się rozeszli, wzruszają ramionami. Wreszcie, licho wie, może tajniacy. **Przechodzę plac, gdzie bardzo prędko zjawia się oficer milicji, który po usłyszeniu mojego nazwiska prowadzi mnie do „obywatela pułkownika”.** Z pułkownikiem (ściśle, chyba podpułkownikiem), jak się okazuje komenderującym na placu, **krótka i rzeczowa rozmowa. Zostanie otwarta ul. Nowowiejska w stronę al. Niepodległości i ul. Noakowskiego w stronę ul. Koszykowej. Milicja zmasowana pozostanie w ulicach w głębi placu: Polna, Nowowiejska w stronę pl. Zbawiciela, Śniadeckich, Lwowska. Studenci opuszczą gmach przez otwarte ulice (Nowowiejska, Noakowskiego). Pozostanę w gmachu do czasu ukończenia ewakuacji.** Zapewnienie, że w stosunku do spokojnie opuszczających gmach nie będą prowadzone żadne akcje milicyjne ani na miejscu, ani dalej na mieście (głównie na drodze do Akademika na placu Narutowicza). Wszystko to trwa krócej niż czas napisania tej strony.

**Zaniedbałem ważną rzecz – wcześniejszego oczyszczenia placu ze 100-150 osób cywilnych, które się tam kręciły.** Jak się potem okazało, ze strony tych zawiedzionych widzów, już pod koniec ewakuacji padły jakieś grudy czy butelki (mówił mi o tym prof. Rowiński obserwujący całą scenerię z okna swego mieszkania) w stronę milicji. Nastąpiła szarża milicji i wielu z ostatnich opuszczających Gmach oberwało razy pałkami. Kiedy zaalarmowano mnie, że jednak „milicja bije”, i ponownie wyszedłem do punktu dowodzenia, w robocie były już granaty łzawiące.

Ale wybiegłem naprzód w mojej relacji. **Po „zawarciu układu” powróciłem do gmachu, zająłem miejsce na chwiejącym się podium i ogłosiłem warunki likwidacji**

**wiecu.** Pojedyncze prowokacyjne okrzyki „milicja bije” zostały stłumione **i przez około godzinę, może trochę krócej, studenci opuszczali gmach, kierując się w stronę wskazanych ulic.** Wtedy to właśnie nastąpił incydent, o którym powiedziałem wcześniej. Mój „znajomy” pułkownik zalecił natychmiast wstrzymanie natarcia, zresztą podobno nie przez niego zleconego. I wierzę. Stan napięcia był taki, że łatwo było o lokalne nieskoordynowane działania sprowokowanej milicji. Tak to nazwałem łagodnie, ale i tutaj i w innych przypadkach nastawienie „golędzinowców” do studentów było takie, jak gdyby tylko czekali na moment, kiedy będą mogli się dostać do ich skóry. Toteż łatwo było o zapłon. Głupcy, nie wiedzieli czym by się skończyła próba zdobywania Politechniki. **Kiedy zawróciłem do Gmachu Głównego, gdzie już w westybulu odczuwało się ślady „gazowego” ataku, poleciłem przede wszystkim pozamykanie drzwi frontowych. Studentów już nie było, lub prawie nie było.** Trochę woźnych i urzędników, no i ...**dopadło mnie natychmiast paru korespondentów prasy zagranicznej.** Ci byli! Zbyłem ich krótko informacją, że wiec był wywołany niesprawdzoną wiadomością o zamknięciu „Po prostu”, że studenci rozeszli się spokojnie, że „męty uliczne” wywołały w ostatniej chwili incydenty z milicją. Jak mi opowiadali koledzy bawiący za granicą, wiadomości te były tam podane bez szczególnych zniekształceń. „Zrobiono mnie tylko wicerektorem, co wynikało z legitymacji przed rozmówcami mojego stosunku do władz szkoły – powiedziałem na ich zapytanie, że jestem byłym rektorem, co można z biedą przetłumaczyć na „pro” lub „vice” rektora).

**Gdzieś po godz. 21:00 (chyba to jednak było później) dopytałem się, gdzie mogę znaleźć rektora. Był na szczęście, z całym sztabem prorektorów, w Gmachu Elektrycznym, „utrzymując kontakt” z Ministerstwem, które prosi mnie o przybycie, jak to tylko będzie możliwe.** Na chwilę jedynie wpadłem do domu – porozumiałem się przedtem z wiceminister E. Krassowską, żeby mi przysłała samochód.

Droga na ul. Miodową przez ul. Lwowską i ul. Poznańską (jechałem chyba z dyr. Zygmuntem Ratuszniakiem) prowadziła przez dzielnicę opanowaną już przez „męty uliczne”. Milicja, po niedoszłej konfrontacji ze studentami, straciła tej nocy (mówię o siłach rezerwy milicji) zainteresowanie dla utrzymania porządku na mieście.

**Na ul. Lwowskiej przed gmachem Architektury, a potem jeszcze raz za ul. Koszykową, byliśmy zatrzymani przez wyrostków, bliżej nieokreśloną młodzież, z cegłami i kijami w ręku.** Rozrzucone gęsto na jezdni kamienie zmuszały do zmniejszenia prędkości jazdy. Pytania: Kto? Milicja? Odpowiadam: „Patrz, na tablicę rejestracyjną”.

Dyr. Ratuszniak pokazuje swoją legitymację (To chyba był Ratuszniak, a może Mistewicz?). „Aha, dyrektorki z Ministerstwa – przepuszczamy”. Przez śródmieście zielony samochód minister Eugenii Krassowskiej przejechał bez przeszkód (jak się czasem pamięta drugorzędne szczegóły – p. Krassowska miała wtedy pastelowo zielony samochód – marki nie pamiętam).

I znów luka – raczej niedoskonałość pamięci. Dalszy ciąg opisanych wydarzeń mógł się dzieć podczas jednej nocy – mógł także, jeżeli wypadki na pl. Narutowicza od wiecu w Politechnice oddzielał dłuższy odstęp czasu – stanowiąc bieg spraw dwóch różnych nocy spędzonych przeze mnie na ul. Miodowej. Jeśli nawet potraktujemy je skrótowo – w ciągu jednej nocy – i tak chyba będzie to jak przyspieszenie tempa (tak pożądane w spektaklach różnego rodzaju – może i tutaj odda lepiej dramatyczne napięcie tych nocnych godzin).

**Główne relacje z wiecu były już znane. Z osób obecnych pamiętam: minister Krassowską, dyrektora Ratuszniaka, dyrektora Mistewicza** (chyba jeszcze wtedy nie był wicedyrektorem Departamentu Studiów Technicznych – ale to nieważne) i niezmordowaną **Krystynę Lichaczewską, dyrektor Gabinetu Ministra. Ministra Żółkiewskiego nie pamiętam, siedział bodaj w KC i utrzymywała z nim kontakt telefoniczny Krassowska.** Rzecz to niezmiernie charakterystyczna: ani w październiku 1957 r., ani w marcu 1968 r., nie rozmawiano ze mną nigdy na szczelbu KC, mimo moich stałych uprzednich służbowych kontaktów z Wydziałem Nauki. Pamiętam tylko ówczesnego Sekretarza Komitetu Uczelnianego, a może przewodniczącego ZOZ ZNP Zdzisława Kaczmarka, jak w pewnej krytycznej sytuacji ściągnął mnie i prof. Edwarda Światopełka-Czetwertyńskiego w charakterze „odgromników” – w rezultacie okazało się, że nie musieliśmy odgrywać tej roli. To nie jest megalomania: mimo znanego usposobienia „Szefa”<sup>73</sup>, jestem przekonany, że potrafiłbym mu naświetlić niektóre sprawy studenckie, które mogłyby wpłynąć na młodzieżową politykę zmarnowanego dziesięciolecia 1957-1969. **W ogóle, w moim życiu, nie licząc mało znaczących okolicznościowych spotkań, rozmawiałem – może inaczej krzyżowałem poglądy z „Szefem” dwa razy. Zresztą krótko. Ani razu na temat młodzieży.** Zawsze mnie to interesowało, jak zbudowany jest ten specyficzny filtr, ściślej może detektor, który w relacji: liczące się miarodajne osoby - „Szef”, stwarzał słyszalność tylko z góry na dół. Mogę się domyślać kto sporadycznie reprezentowane przeze mnie sprawy i poglądy referował „Szefowi”. Nie wszystkie te osoby

---

<sup>73</sup> Chodzi o Władysława Gomułkę.



darzyłem pełnym zaufaniem. Siatka izolacji była zresztą gęsta i mocna. **Tak jakby chodziło o utrwalenie „Szefa” w jego emocjonalnym (do irracjonalności) niedobrym stosunku do młodzieży, inteligencji, nawet tej nowej, wyrastającej w Polsce Ludowej.**

**Tej dramatycznej nocy ostrzegałem na ul. Miodowej przed rozwojem wypadków.** Wyrażałem przekonanie (jakże słuszne), że nie wolno dalej zadrażniać sytuacji na froncie młodzież studencka – władza. Zwrócić uwagę na utrzymanie ładu w mieście. Zwolnić jak najprędzej zatrzymanych studentów w prekluzyjnym terminie 48 godzin, bez stosowania dalszych sankcji prokuratorskich. Ogłosić normalne rozpoczęcie zajęć od poniedziałku. Pohamować „styl pracy” rezerwy milicji.

Z drugiej strony p. Krassowska próbowała z początku rozdzierać szaty, że „studenci nie mają do nas zaufania” – wezwana delegacja z placu Narutowicza nie chce do nas przyjechać na ul. Miodową. (Replikuję: czy wiadome jest, że przed południem zatrzymano całą delegację (czy wybrane z niej osoby), która „pod gwarancją nietykalności” miała się stawić w Ministerstwie?! Nie otrzymuję ścisłej informacji w tej sprawie. Stwierdzam: **„Jeżeli Ministerstwo chce rozmawiać ze studentami, a uważam to za konieczne** wobec tego, że wypadki przewaliły się ponad głowę kierownictwa uczelni, **to trzeba jechać do nich, do Akademika na plac Narutowicza”**. Minister Krassowska pyta: „Jaką mamy gwarancję, że tam będą z nami rozmawiać”? Odpowiadam: „Mogę dać tylko moją osobistą gwarancję i radzę ją przyjąć” (bo śmieszne było pytać o to studentów, którzy zresztą twardo po porannych zatrzymaniach powiedzieli, że będą rozmawiać tylko u siebie). W rezultacie (telefony Krassowskiej ?) **decyzja, że jedzie ze mną jako reprezentant Ministerstwa dla wysłuchania stanowiska studentów dyr. Zygmunt Ratuszniak. Gdzieś po północy zasiadamy w znanym mi z poprzedniej wizyty sztabowym lokalu radiowęzła. Nadaję komunikat o naszym przybyciu. Proszę o zachowanie spokoju.** Bodaj też proszą mnie o kilka słów do mikrofonu. Dyr. Ratuszniak prowadzi rozmowę rozumnie. Staram się moimi interwencjami zapewnić tylko porządek w rozmowach – nie ingeruję merytorycznie. Konfrontuje się wiele sprzecznych informacji. Ulotki do studentów Warszawy, zatrzymanie, pobicia, dyscyplinarki – rozpoczęcie zajęć etc. **W sumie pozytywne spotkanie.**

**Okolo 2:00 godz. w nocy lądujemy na ul. Miodowej.** I tutaj znów pamięć nie dopisuje. Przygotowujemy (jeszcze z udziałem p. Krassowskiej?) **dwa dokumenty do powielenia. Bodaj jeden przekazany przez studentów – rodzaj uspokajającej odezwy, drugi – od Ministerstwa.** Nie pamiętam już dokładnie. Ogólny ton – bez zadrażnień.

Wezwanie do spokoju i podjęcia nauki. Wiem tylko – to zostało mi w pamięci – że morduję się nad tą robotą z Mistewiczem i Lichaczewską (ze słabą techniczną pomocą) do białego rana. Przed rozprowadzeniem materiału przypominam sobie: „A kontrola prasy”. Nie wiem jak to ostatecznie załatwił Mistewicz. Przed siódmą byłem w domu.

**Potem nastąpiły znane niepokoje uliczne.** Spod Warszawy amatorzy zamętu ściągnęli na rabunek z workami. Najwięcej pałek otrzymali spokojni przechodnie na przystankach tramwajowych. (Dlaczego ich bili: bo nie uciekali – nie dawali się rozproszyć. Zresztą, tych którzy „uciekali” do nadjeżdżających tramwajów, dzielni „golędzinowcy” lali na stopniach. Taka gratka. Pierwszy raz chyba w Polsce Ludowej przeprowadzili na większą skalę sprawdzenie swego szkolenia).

**Rezultat aresztowań: o ile pamiętam, na z górą sto osób, zatrzymano tylko sześciu studentów, z czego od razu trzech zwolniono. Studenci nie wyszli więc na ulicę. I to chyba był pozytywny rezultat „mojego” (przywłaszczonego!) wiecu i nocnych pertraktacji.** To grożenie studentom na ulicy, to prowokowanie do wyciągnięcia studentów na ulicę – rozważane z perspektywy czasu, jest niezmiernie charakterystyczne.

W czym interesie leżało, aby mniej lub więcej usprawiedliwione nastroje antyinteligentkie naszego kierownictwa politycznego rozciągać na młodzież studencką? Postanowiłem tym moim zapiskom (przynajmniej na tym ich etapie) nie nadawać charakteru uwag krytyczno polemicznych. Ale analogie wypadków studenckich z lat 1957 i 1968 są tak daleko idące, przy zgoła różnym ich tle, że pytania narzucają się z wielką siłą. **W czym interesie leżało doprowadzenie do ostrej, krwawej w perspektywie, konfrontacji mas studenckich (tak! mas studenckich, a nie „zbalamuconych” pierwszoroczników) z władzą państwową, z legalnym kierownictwem partyjnym?**

Wyczuwało się niezmiernie ten **piach sypany w tryby październikowego (1956) zjednoczenia narodu.** Szansy zagubionej, jak się okazało, na wiele, wiele lat. **Przypominam sobie te niezdarne próby „pozyskania”, „aktywizacji” młodzieży w latach następnych. Jak choćby w roku 1958 (może 1959 r.?) w czasie wyborów do rad narodowych.** A jakże, nawet wysunięto na Ochocie studenta-kandydata na radnego dzielnicowego. Po dwóch nieudanych próbach zwołania zebrań przedwyborczych w domu studenckim na placu Narutowicza (to był chyba jednak rok 1958 - zresztą bez znaczenia) sięgnięto wreszcie po mnie jako magnes mający przyciągnąć studentów. Też charakterystyczne: to był wówczas mój poselski okręg wyborczy. Posłowie brali zazwyczaj udział w tego typu zebraniach,

na których prezentowali się wyborcom kandydaci na radnych czy „bezradnych”, jak ich jeszcze wtedy złośliwie nazywano. Mnie zaproszono dopiero po niedoszłych do skutku spotkaniach. Poszedłem. Na sali pustawo – może ze 200 osób. Powoli nadchodzą (sprawdzali podobno czy rzeczywiście przyjdę). Zebrało się razem ze 300-350 studentów na 2000 mieszkańców tego zespołu domów. Wreszcie nienajgorzej. Otwarcie zebrania. Wystąpienie kandydatów. Zaproszenia do dyskusji, do stawiania bądź zgłaszania na kartkach pytań. Głucha cisza. Zabieram głos w charakterze dyskutanta nawiązującego do wystąpień kandydatów na radnych. Ponowne wezwanie przewodniczącego do zabierania głosu w dyskusji. **Milczenie zaczyna być krępujące.** Wreszcie, na ponowny apel: „Może jednak są jakieś pytania, uwagi..?” wstaje znany mi z widzenia młody człowiek i stwierdza krótko: **„Nie tak dawno, bardzo dobitnie pouczano nas, że mamy się uczyć i nie politykować. Tematy tutaj poruszane nie mają nic wspólnego z nauką. Cóż my mamy do powiedzenia. Prosimy nie dziwić się naszemu milczeniu”.** – **Zabieram głos:** przypominam jak blisko z nimi przeżyłem ich studencki październik. Jak w rezultacie zredukowane zostały sankcje karne. **Że zastosowana przez nich taktyka nie jest właściwa: dobra na 2, 3, 4 lata pobytu w szkole. Kiedy opuszczą jej mury, znajdą się w obrębie spraw życiowych, o których się tutaj właśnie mówi w akcji przedwyborczej.** Będą się wówczas czuli wyobcowani. Mogę, ale tylko do pewnego stopnia podzielić ich emocjonalny stosunek do „ich rzeczywistości”. „Na rozum” nie mogę się z nimi zgodzić. Oni wreszcie, a nie rezerwa milicji, (jakież to zresztą było niesprawiedliwe zwalanie wszystkiego co złe na brutalność milicji), będą kształtowali oblicze społeczeństwa. I dalej nie bardzo długo w tym stylu. Ale w myśl zasady: jeżeli mówić nie całą prawdę, to tylko prawdę. Prawdę popartą własnym przekonaniem. Tylko to trafia do słuchacza. Do opornego słuchacza. W danym przypadku do słuchacza, którego przez dość długi okres „Po prostu” wychowało w pogardzie dla „mowy-trawy”. **W końcu zaproponowałem podjęcie niektórych spraw zespołu domów studenckich na tle spraw dzielnic.** Po moim wystąpieniu **rozwinęła się anemiczna dyskusja i zebranie zakończyło się bez skandalu.** Studencki kandydat na radnego zakończył dyskusję nijakim wystąpieniem, ale zebrał trochę oklasków, co już było dużym sukcesem.

**Nieporadność, schematyzm polityki młodzieżowej, dezinformacja o prawdziwym obliczu młodzieży, więcej – brak prób rozsądnych kontaktów z tą młodzieżą przez wszystkie następne lata, był zadziwiający. Rezultaty były do przewidzenia.** Kiedy dziś czytam o pielgrzymkach członków Biura Politycznego po obozach wakacyjnych i kursach instruktorskich, takich lub innych zgrupowaniach młodzieży, kiedy obserwuję rozwiniętą

po 1968 r. kampanię agitacji patriotycznej wśród tejże młodzieży, stają mi przed oczyma te wszystkie zaniedbania, te wszystkie fałsze, jakie zalegały między młodzieżą (szczególnie studencką) a naszym kierownictwem politycznym w ciągu długich lat.

**Wracamy do ciągu wypadków z pierwszych dni października 1957 r. Po uspokojeniu „ulicy” życie w uczelni zaczęło się normalizować**, jeśli mogła być mowa o tym w atmosferze wymuszonych i przyspieszanych przez Ministerstwo postępowań dyscyplinarnych (tam wyraźnie wyczuwało się nacisk z góry – musieli znaleźć się indywidualni winowajcy, jeśli już nie dało się wykazać istnienia „spisku”). Co więcej, w atmosferze przygotowywanych procesów karnych w stosunku do kilku (w rezultacie, nawet **liczba przetrzymanych w areszcie prewencyjnym na podstawie decyzji prokuratury zredukowała się chyba do około 10 osób**). Nie pamiętam z kim w prokuraturze mówiłem o tych sprawach przekazując informacje o szczególnych naruszeniach już nie porządku, a zdrowego sensu, w toku pierwszych etapów śledztwa i zatrzymań. Prokuratorem był wówczas obecny prezes Sądu Wojewódzkiego Komorniczak. Ale mój z nim kontakt osobisty chyba jedynie dotyczył innych spraw. Dość, że **przed naszym opóźnionym o okrągły miesiąc wyjazdem do Chin (delegacja Szkolnictwa Wyższego z min. Żółkiewskim) zrobiłem wszystko, co można dla złagodzenia nastrojów. Jak się potem dowiedziałem, w paru sprawach przed sądem, oskarżenia popierane przez świadków milicjantów wypadły tak absurdalnie, że nie mogło być mowy o wyrokach skazujących. Dano jednak parę wyroków kilkumiesięcznych bez zawieszenia, co poza wszystkim oznaczało dla studenta stratę roku. W ciągu paru miesięcy (zimą 1957/1958) wszystkich skazanych zwolniono przedterminowo pod różnymi tytułami, co mi nieobowiązująco przyrzekano w prokuraturze.**

Ten nacisk, i na postępowanie dyscyplinarne i na postępowanie prokuratury, anonimowy, bezapelacyjny, przypisywany w domniemaniach samej „górze”, musiał tworzyć duszną atmosferę, stawiając na przegranych pozycjach wszelkie „gadki” o demokracji socjalistycznej. **Na tym tle liberalna ustawa o szkolnictwie wyższym z listopada 1958 r. przejdzie kiedyś do historii, jako jeden z jaśniejszych momentów, i zapisze się na dobre pierwszego popaździernikowego Sejmu (tzw. II kadencji). Zakulisowe siły, również wtedy czyniły co mogły, aby redakcyjnymi sformułowaniami i w ostatniej chwili przeforsowanymi przepisami szczególnymi osłabić tę demokratyczną ustawę. Ciemne siły naszego życia narodowego miały przyjąć do głosu 10 lat później.**

Na tym chyba trzeba zamknąć relację z tej pierwszej rewolucji studenckiej, która objęła tylko Politechnikę Warszawską i nie znalazła silniejszego odbicia, o ile mi wiadomo, w innych środowiskach studenckich.

W 1959 r. wybrany zostałem rektorem PW. Przez dwie kadencje, do 1965 r., starałem się zachować najbliższy kontakt z młodzieżą. Nazywany byłem podobno „studenckim rektorem”. Jeżeli to prawda, to chyba lepszego skwitowania mojej pracy nie mogłem oczekiwać.

## **16. Rektorat (1959-1962; 1962-1965)**

*Luty 1975 r.*

Zbliża się maj 1959 r., a z nim wybory rektora na kadencję 1959-1962. Rektor Araszkiewicz, motywując decyzję stanem zdrowia, nie czyni tajemnicy z faktu, że nie zamierza powtarzać kadencji. Jak poprzednim razem zaczynają się ze strony wydziałów mechanicznych, ale nie tylko, naciski abym pozwolił wystawić moją kandydaturę. Zbyt żywo mam w pamięci poprzednie wybory i dostatecznie mocno jestem wciągnięty w prace sejmowe i Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, aby mieć trudność z motywacją mojej odmowy. **Prowadzę, żywą kampanię za kandydaturą prof. Janusza Tymowskiego**, podówczas Przewodniczącego Zarządu Głównego NOT (Prezesa NOT), któremu kończy się kadencja na tym stanowisku w czerwcu 1960 r. Wyczuwam pewne opory. Pamiętam takie zebranie mechaników u dziekana Czesława Kanafojskiego, na którym omawialiśmy kandydaturę prof. Janusza Tymowskiego i sprawę zdobycia dla niej poparcia innych wydziałów, kiedy nie występując wyraźnie przeciw Tymowskiemu i Kanafojski, i inni spróbowali ponowić naciski na mnie. Wreszcie jednak uzgodniliśmy poparcie dla kandydatury Tymowskiego. Nie pamiętam kto był w tym czasie sekretarzem KU, ale z tamtej strony też nie było oporów.

Tymowski zresztą był w tym czasie „en vogue” i kandydatura jego była czytelna – naturalna. Może właśnie jego eksponowanie się w zbyt wielu płaszczyznach, posłużyło przeciwnikom na zmobilizowanie opozycji. **Kontrkandydata znaleziono w osobie prof. Stanisława Kuhna, elektronika**, mojego rówieśnika ze studiów, prorektora – zastępcy rektora w kadencji Araszkiewicza, posiadającego zresztą wiele walorów, ale moim zdaniem człowieka trochę zbyt miękkiego na twarde czasy, w których żyliśmy. Rezultat: impas na zebraniu wyborczym Senatu w pierwszym terminie. **Przez kilka kolejnych głosowań Kuhn i Tymowski otrzymują równą liczbę głosów**, co przy uparciu „wstrzymujących się”

paru wyborcach nie rokuje nadziei na uzyskanie przez jednego z kandydatów wymaganej większości. Rektor przerywa posiedzenie Senatu i zapowiada drugi termin wyborów. Zaczynają się **na nowo wędrówki do prof. Janusza Groszkowskiego, próby namowy Jana Zachwatowicza – bez rezultatu.**

**W tej sytuacji następuje już wielostronny atak na mnie.** Nie przeciągając nieistotnymi drobiazgami tej relacji, głównie aby nie postawić Politechniki Warszawskiej w pozycji szkoły, która nie potrafi sobie wybrać rektora, **godzę się kandydować. Wybory w drugim terminie są tylko formalnością. Przy jednej kandydaturze (inni kandydaci, których nazwiska zgłoszono, wycofują się) zyskuję prawie wszystkie głosy.** Kilka białych kartek przypomina mi, że mam na terenie uczelni ludzi, a może i wydziały, które nie darzą mnie sympatią, a w każdym razie nie udzielają poparcia. To jest ważne. **Nigdy na Politechnice nie miałem sytuacji bez walki na jakimś lokalnym froncie.**

**Najpierw, przy znakomitych osobistych stosunkach z najpoważniejszymi profesorami, była to Chemia. Później miała być Łączność (dzisiejsza Elektronika). Dojdzie jeszcze do pewnych zgrzytów przy wyborach prorektorów.** Na zebraniu, w którym biorę już udział jako rektor elekt, zgodnie z regulaminem przysługuje mi prawo jawnego zgłaszania kandydatur. Proponuję profesorów: Janusza Tymowskiego (który przedtem wyraził zgodę), Kazimierza Kolbińskiego, Eugeniusza Hildebrandta. Liczbę prorektorów redukuję do trzech. Kandydatura Tymowskiego nawet na to stanowisko przechodzi niełatwo, w trzecim bodaj kolejnym głosowaniu. **Ostatecznie gabinet zostaje uformowany. Tymowski obejmuje sprawy ogólne, tj. praktycznie zastępstwo rektora. Kolbiński naukę, Hildebrandt – dydaktykę. Utrzymuję stanowiska zastępców prorektorów w pionie dydaktyki, z tym, że obok prof. Stanisława Lenczewskiego-Samotyji wprowadzam prof. Zofię Kietlińską.** Jej działalności w dziedzinie organizacji pionu dydaktyki, za obydwu moich kolejnych rektoratów (1959-1962 i 1962-1965) należy się oddzielna duża karta. Z początkiem roku szkolnego **1959/1960, 1 października rozpoczyna się sześćoletni okres „moich rządów”, jak potem złośliwi mówili, w Politechnice.**

Te „rządy”, przy zachowaniu poprzednio wypróbowanych form kolegalności pracy, były zresztą tylko konsekwentnym realizowaniem zasady jednoosobowej odpowiedzialności i władzy. Podobnych postaw domagałem się zresztą od wszystkich kierowników podległych jednostek. Zespół prorektorów był dalekim od harmonijnej ekipy roku 1953, ale były to napięcia raczej wewnątrz układu prorektorów (ambicje pierwszeństwa) niż kolizji ze mną.

Byliśmy niestety wszyscy równoletkami. Wszyscy już ze zdobytymi pozycjami, szczególnie na polu pracy społecznej i zawodowej. W tych warunkach bez węzłów osobistej przyjaźni niełatwo bywa o pełną harmonię. **Oddzielne słowo należy się złotemu człowiekowi, człowiekowi, „który nie miał wrogów”, Eugeniuszowi Hildebrandtowi, który wspólnie z prof. Kietlińską, zdejmował ze mnie troskę o należyty bieg najważniejszej dziedziny w pracy szkoły tj. za tok studiów.** A w tej właśnie dziedzinie sporo było do zrobienia, zważywszy choćby fakt występujących w tym czasie nagminnie opóźnień w kończeniu studiów.

**W roku 1960 duża praca wynikała ze zmniejszenia rekrutacji.** Przyjmowaliśmy tylko 2200 studentów. Zresztą była powszechna opinia, że i w aktualnych warunkach jest za dużo wydziałów. **Tak więc w roku 1960/1961, to znaczy mniej więcej po 10 latach przeprowadzałem następną reorganizację Politechniki. Zmniejszeniu uległa liczba katedr,** mimo że potworzyliśmy pewne nowe katedry. Liczba katedr ze stu osiemdziesięciu kilku spadła do stu siedemdziesięciu. Polikwidowaliśmy tak zwane katedry jednoimienne na tych samych wydziałach. **Zmniejszyliśmy liczbę wydziałów.** Przy tym zmniejszeniu liczby wydziałów, niektóre katedry jednoimienne znów się połączyły razem. **Wtedy powstały trzy pierwsze instytuty, mianowicie: Instytut Techniki Ciepłej jako instytut wydziałowy, Instytut Matematyki, jako instytut uczelniany, to znaczy z przydzieleniem całego personelu matematyków do tego instytutu i Instytut Fizyki, który był instytutem międzywydziałowym, to znaczy, że katedry pozostały na wydziałach, ale były niejako sfederowane w tym instytucie dla wspólnych programów badawczych. Polityka kadrowa też była wspólna.**

Te trzy formy były o tyle dobre, że można je było wypróbować, dla dalszych w tym kierunku posunięć. Już wtedy widzieliśmy pewne katedry, które w przyszłości mogły się połączyć w większe jednostki.

Tak to było przez 6 lat. W ciągu tych 6 lat mojego rektorowania, przede wszystkim **wzięliśmy się bardzo mocno za kończenie studiów przez studentów.** Była wtedy taka paradoksalna sytuacja, że rok V a nawet IV były liczniejsze od roku I. Po prostu studenci nierychliwie kończyli studia. Nie zadowalały ich warunki jakie uzyskiwali w pracy. Poza tym dla wielu ukończenie studiów znaczyło rozejście się z Warszawą. Po prostu na wszelkie możliwe sposoby przeciągali studia. Urlopami dziekańskimi, wznowieniami studiów, różnie, na rozmaite sposoby. Uporządkowanie tego było dużym zadaniem.

**W roku 1965 był taki zbieg okoliczności, że kończyła się zarówno kadencja sejmowa i moja kadencja rektorska. Jednak już zaczynało mi to ciążyć.**

Przy tym tak się złożyło, że w Ogólnopolskim Komitecie Pokoju ciężko zachorował przewodniczący Komitetu, prof. Stanisław Kulczyński, który właściwie nigdy potem na dobre do siebie nie przyszedł. Jego zastępca, także wielki działacz w tej dziedzinie i bardzo w tematykę międzynarodową wprowadzony, poseł Ostap Dłuski zmarł w tym czasie. Następnym zastępcą przewodniczącego był Jarosław Iwaszkiewicz, pan, który już wtedy był przynajmniej w moim obecnym wieku. **Tak się więc stało, że również na terenie Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju miałem bardzo dużo pracy**, a to był jeszcze okres bardzo mocnego nasilenia wojny w Wietnamie. Wszystkie powtarzające się międzynarodowe imprezy przeciwko tej wojnie, to są wydarzenia, które mnie absorbowwały.

Tak więc, z jednej strony prowadzenie Politechniki, z drugiej strony Sejm, w którym też miałem sporo roboty. Skłoniło mnie to do tego, żeby zaproponować czynnikom decydującym, że pozostawiam swobodę wyboru: **albo będę dalej posłem, albo rektorem Politechniki. Przy czym wypowiadałem się przeciwko rektorowaniu**, nie z tego względu, żebym wolał, bardziej kochał Sejm niż Politechnikę. Na pewno nie. Tylko dlatego, że przez wszystkie mutacje, zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym, tam gdzie była mowa o wybieraniu władz, **ja byłem zwolennikiem zasady maksymalnie podwójnej elekcji**, bo uważałem, że profesor wybrany jako rektor, albo jako dziekan w oderwaniu dłuższym jak 6 lat przestaje być profesorem. Przestaje być profesorem przynajmniej w tym sensie, że przestaje być efektywny naukowo. Bo cudów nie ma. To są prace tak absorbujące, że muszą się dziać kosztem czegoś. Więc dlatego też, skoro odbyłem dwie kadencje, to według mnie była miara, która zupełnie wystarcza, żeby nabrać doświadczenia, spożytkować to doświadczenie, a jeszcze – jakby tu powiedzieć – nie zrutyinizować się również w tych funkcjach zarządzania szkołą. **Niemniej stało się tak, że ostatecznie byłem zdecydowany na ponowne powtórzenie kadencji. W ostatniej chwili jednak, kandydatura, którą sam wcześniej proponowałem – prof. Dionizego Smoleńskiego, została wysunięta, a mimo poprzednich planów zrezygnowano z mojej funkcji jako rektora.** Nota bene, były jeszcze kłopoty potem z tymi wyborami rektora, bo Senat bardzo chciał mnie skłonić swoim wstrzemięźliwym głosowaniem do tego, żebym zarządził drugi termin i wyraził zgodę na ponowne kandydowanie. Powiedziałem, że to nie wchodzi w rachubę w żadnym razie. **Został wtedy wybrany rektorem profesor Smoleński.**



Moja praca skoncentrowała się wtedy na Sejmie, na Ogólnopolskim Komitecie Pokoju.

### **17. Marzec 1968 r.<sup>74</sup> (Wyprzedzenie II)**

*Sierpień 1970 r.*

**Wiadomości o wypadkach marcowych na Uniwersytecie Warszawskim<sup>75</sup> w 1968 r. zastały mnie wraz z wnuczką na nartach w Bukowinie Tatrzańskiej.** Dotarły tam przez radio i telewizję z trzydniowym opóźnieniem. W pierwszych informacjach, a i w następnych, niewiele było słyhać o studentach Politechniki. W prasie można było znaleźć istotnych wiadomości jeszcze mniej niż w telewizji. Masówki demonstrowane poprzednio w audycjach telewizyjnych dla poparcia Czynu Zjazdowego<sup>76</sup> zostały zastąpione przez dość ponure zebrania protestacyjne skierowane przeciw „zbałamuconym” studentom, których zapędzało się do nauki i pouczało o ich obowiązkach wobec klasy robotniczej. <<Zatelefonowałem natychmiast do Warszawy, poprosiłem o przysłanie samochodu, skróciłem pobyt i 15 marca wróciłem do Warszawy.>> Od zięcia, który przyjechał po mnie, dowiedziałem się, że do chwili jego wyjazdu poważniejszych zakłóceń porządku na Politechnice nie było. Przy przejeździe przez Kraków zauważył duże koncentracje sił milicyjnych (sławna rezerwa), przerzuconych na ten teren.

**16 marca zgłosiłem rektorowi Smoleńskiemu mój powrót z urlopu (1-15 marca) i, nauczony doświadczeniem, zgłosiłem moje usługi „dobrej rady i pomocy”.** <<Byłem wówczas posłem z warszawskiego okręgu nr 1, obejmującego Politechnikę, i moje doświadczenia z 1957 r. wskazywały na to, że mógłbym okazać się użyteczny, jeżeliby ruchy przeniosły się na teren tej uczelni.>> Rektor optymistycznie oceniał sytuację na uczelni. Moje obserwacje nie potwierdzały tego optymizmu. **Posel Halina Skibniewska<sup>77</sup> w dość dramatycznej formie przedstawiła mi w czasie rozmowy tło i przebieg wypadków.**

---

<sup>74</sup> Autor „Zapisków” powrócił do wspomnień o marcu 1968r., nagrywając 12.05.1981 r. na zaproszenie Pracowni Historycznej Biblioteki Głównej PW wypowiedź, zawierającą m.in. pewne uzupełnienia tekstu z 1970 r. Uzupełnienia te zostały włączone w odpowiednich miejscach do niniejszego rozdziału i oznaczone łapkami << >>.

<sup>75</sup> W dniu 8 marca 1968 r. na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego odbyła się demonstracja jego studentów; wywołała ona zdecydowaną interwencję sił porządkowych, które wkroczyły na teren uczelni.

<sup>76</sup> Chodziło tu o rozpoczęcie przygotowań do właśnie zapowiedzianego na jesień 1968 r. V Zjazdu PZPR.

<sup>77</sup> Halina Skibniewska, architektka, od 1965 r. posłanka na Sejm, od 1975 r. profesor projektowania architektonicznego PW.

Opowiedziała o interpelacji „Znaku”<sup>78</sup>. Reprezentowała pogląd, że powinniśmy „zadziałać” jako posłowie bezpartyjni, poprzez zespół poselski czy jeszcze w innej formie. Mając za sobą doświadczenie z 1957 r., oceniałem sytuację poważniej niż przed 10 laty, gdyż tło i sceneria wypadków miały wiele bardzo dalekich od jasności elementów. **Poprzestałem na liście do wicemarszałka Zenona Kliszki<sup>79</sup>, w którym poruszałem sprawy raczej taktyczne, pozostawiając na później merytoryczne wyjaśnienia. Sprawą nr 1 było dla mnie niedopuszczenie do strajku na Politechnice i strajkowej okupacji Gmachu Głównego.** Zgłaszałem gotowość nawiązania osobistego kontaktu z wicemarszałkiem<sup>80</sup>. Tymczasem na Politechnice pomału, bez jakiegokolwiek sensownego (niech mi wybaczy rektor Smoleński, lub jego inspiratorzy w tych sprawach) kontrakcji, narastał stopniowo ferment. Coraz głośniejsze były w godzinach zajęć w hallu<sup>81</sup>. Coraz głośniejsze o ataku. Coraz głośniejsze nawoływania do solidarności wszystkich studentów. Forma i treść informacji prasowych i radiowych sprawiały, że dojrzał późniejszy okrzyk bojowy „prasa kłamie”. <<Ostrzegałem wówczas, i Rektora, i dr Tadeusza Kalewskiego<sup>82</sup>, że to, co obserwuję na terenie Politechniki tzn. **utrzymywanie pełnego obsadzenia Gmachu Głównego** przy kolejnym tylko wychodzeniu na posiłki do akademika – pachnie zorganizowaną okupacją.>> Prof. Zofia Kietlińska<sup>83</sup>, która miała najlepsze (w pełni pozytywnym rozumieniu tego słowa) kontakty z młodzieżą (po prostu miała zaufanie studentów), wcześniej dała właściwą ocenę. Moment krytyczny, do którego można było jeszcze działać przez aktyw i władze ZSP, został za nami.

**ZSP stoi już na spalonych pozycjach, na jakich wcześniej stanęły na uczelniach młodzieżowe organizacje polityczne.** Do wyjątków należy, aby do samorzutnie tworzonych komitetów (czy jak się one nazywały) poszczególnych lat i wydziałów wchodził aktywiści ZSP. Jeżeli rektor miał nawet w tej sprawie inne instrukcje, powinien był – moim zdaniem – rozmawiać ze studentami, lub dać polecenie prowadzenia takich rozmów. Zrażony przyjsiem

---

<sup>78</sup> Interpelacja katolickiego koła poselskiego „Znak” dotyczyła wydarzeń na Uniwersytecie; została ona ostro skrytykowana na posiedzeniu Sejmu w dniach 10-11 kwietnia 1968 r.

<sup>79</sup> Zenon Kliszko był wówczas członkiem Biura Politycznego KC PZPR, a jednocześnie wicemarszałkiem Sejmu.

<sup>80</sup> Zachował się odpis tego listu. Autor „Zapisków” pisał tam m.in. „Rzecz w tym, aby nie dopuścić do włączenia się studentów Politechniki do akcji strajkowej lub innych niepożądanych wystąpień. Trzeba też stworzyć warunki wyjściowe do rekonstrukcji normalnej pracy dydaktycznej, wychowawczej i organizacyjnej w uczelni. Gorąco proszę o wyrozumiały i życzliwy stosunek do postulatów naszych studentów, którzy dotąd nie ulegli prowokacjom i w całej swej masie zachowali dyscyplinę”.

<sup>81</sup> To olbrzymie pomieszczenie o wysokości czterech kondygnacji, otoczone wewnętrznymi kruzgankami, zwane jest też obecnie dużą aulą.

<sup>82</sup> Tadeusz Kalewski, adiunkt Politechniki (obecnie docent) był wówczas pierwszym sekretarzem Komitetu Zakładowego PZPR.

<sup>83</sup> Zofia Kietlińska, od 1965 r. profesor geodezji stosowanej, pełniła wówczas funkcję zastępcy prorektora, zajmując się sprawami studenckimi.

jakiejs dość przypadkowej delegacji z Wydziału Architektury **oświadczył, że będzie rozmawiał tylko z przedstawicielami legalnych organizacji studenckich. Na to było za późno. Tutaj trzeba było działać**, już nawet nie w imię uniknięcia strajku, a w imię niedopuszczenia do okupacji Gmachu Głównego. **We czwartek 21 marca byłem w gmachu. Spotkałem całkowicie bezradnego Sekretarza Komitetu Zakładowego. Żadnych decyzji – wolny wstęp do gmachu. Ogłoszenie strajku. Gmach pełny.** Audytoria na ogół puste. Ogłoszenie nielegalności strajku. Ale w dalszym ciągu wejście i wyjście z gmachu wolne. Studenci na zmianę wychodzą do stołówek, ale **zaczynają już gromadzić zapasy na „oblężenie”.** **Na froncie Gmachu Głównego wywieszane, nie pamiętam 8- czy 12-punktowe hasła – ultimatum.** <<Rozpoczęło się też „fortyfikowanie się” poszczególnych wydziałów w niektórych sferach Gmachu.>> Nie wiem w jakim momencie **następuje polecenie zamknięcia wejścia na teren.** Chyba było to już w krytyczny piątek. **Na wielu wydziałach zarządzano zebrania kadry nauczającej,** zwołane przez dziekanów z udziałem organizacji partyjnej i związku<sup>84</sup>. W programie omówienie sytuacji. **Studenci utrzymują własne posterunki kontrolujące wszystkie wejścia<sup>85</sup>. Przez ogrodzenie odbierają żywność, co raz obficie donoszoną przez publiczność z miasta.** W ciągu dnia rosła, przenoszona stopniowo do Gmachu Głównego, stopy chleba, boczku itp.

**Zebranie na naszym Wydziale MEL<sup>86</sup> wyznaczone zostało na godz. 18:00.** Otwiera prodziekan, bo dziekan jest na naradzie zwołanej do Sali Senatu. **Jałowa dyskusja** (nie tyle nie ożywiona, ile donikąd nie prowadząca w istniejącej sytuacji). **Bardzo dziwny referat – informacja sekretarza organizacji oddziałowej.** Zdaje się, że było to odczytane, czy obszernie zreferowane wystąpienie egzekutywy Komitetu Zakładowego. <<**O potrzebie dopuszczenia doktorów bez habilitacji na stanowiska docentów.** A zatem fermentuje nie tylko środowisko studenckie, ale również, inspirowane przez czynniki partyjne, akademickie środowisko nauczycielskie, przy czym wyraźnie nastawione, tworząc nastroje przeciw obowiązującej wówczas ustawie.>> Odnajduję wiele przejrzystych, już nie aluzji, a wręcz stwierdzeń że **sprawa napięć – nie chcę powiedzieć rozgrywek – wewnątrzpartyjnych gra o wiele większą rolę niż wszystko inne. Przygnębiające wrażenie że „ktoś komuś” zaaranżował rozruchy studenckie. (A może i przed 10 laty likwidacja „Po prostu” na samym początku roku szkolnego, była nie głupotą polityczną, a zaaranżowanym działaniem!).** Polemizuję w dyskusji z naszym uczelnianym ekonomistą,

---

<sup>84</sup> Chodzi tu o Związek Nauczycielstwa Polskiego.

<sup>85</sup> Posterunki studenckie dublowały posterunki złożone z pracowników Politechniki.

<sup>86</sup> Jest to skrót nazwy Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa.

nie mogąc znieść jego demagogicznej (już pod zmianę ustawy o szkolnictwie wyższym) gadaniny. W sumie ogarnia mnie przygnębienie. **Więc dlatego nic nie zrobiono dla zapobieżenia okupacji Politechniki, żeby na kogoś wywierać nacisk. Żeby forsować kurs twardej ręki.** Około godz. 19:00 zjawia się dziekan z informacją, że **Rektor wydał odezwę – ulotkę wzywającą studentów do opuszczenia Gmachu Głównego do godz. 18:00.** Dodatkowa informacja: **Rektor polecił również – bez względu na stan ewakuacji – opuszczenie Gmachu Głównego przez wszystkich pracowników nauki (łącznie ze swymi zastępcami – o tym dowiaduję się zresztą później).** **Studenci w dalszym ciągu wiecują – nie zamierzają podporządkować się zaleceniu Rektora. Chcą odpowiedzi na swoje postulaty.**

**Nie miałem zamiaru mieszać się w tę zagadkową imprezę.** <<Ale niedługo potem wywołano mnie na korytarz.>> Przy wyjściu z audytorium im. Hubera, gdzie odbywało się zebranie wydziałowe, **czeka na mnie prof. Eugeniusz Olszewski<sup>87</sup>.** Był również na odprawie (prowadzonej w nieobecności rektora przez prorektora Jana Różyckiego<sup>88</sup>). **Ocenia sytuację poważnie. Zwraca się do mnie z pytaniem: „Co zamierzają zrobić w tej sytuacji warszawscy posłowie?”** Odpowiadam, że „posłowie” (w moim przypadku) ofiarowali swe usługi, ale nie mają zamiaru włączać się w mętne sprawy wewnątrzpartyjnych rozgrywek. Olszewski z całą powagą mówi: **„Jednak musisz tam iść”. Termin ewakuacji przedłużono na 3 godziny.** Co potem – można się tylko domyślać<sup>89</sup>.

**Telefon do Rektora. „Pana Rektora nie ma” – telefon odbiera prorektor prof. Różycki – „ale proszę, bardzo proszę, niech pan Rektor (tzn. ja) przyjdzie do nas jak najprędzej”.** Zostawiam wiadomość w domu<sup>90</sup> i idę do Gmachu Głównego. Na terenie niezdecydowane grupki studentów. Wychodzić – nie wychodzić. <<Spotykam **prof. Józefa Hurwicę<sup>91</sup>, dziekana Wydziału Chemicznego, który dzielnie organizował grupę studentów, a przede wszystkim studentek tego wydziału, do opuszczenia terenu uczelni i poszedł z nimi w kierunku bramy na ul. Koszykowej, która nie była wówczas ani zamknięta, ani zatarasowana, a straż strajkowa nie robiła wstrętów przy wychodzeniu.>>**

---

<sup>87</sup> Eugeniusz Olszewski – od 1951 r. profesor mechaniki technicznej, a od 1956 r. – historii techniki PW.

<sup>88</sup> Jan Różycki, od 1954 r. profesor kartografii PW, był jej prorektorem w latach 1954-1956 i 1962-1970.

<sup>89</sup> Na odprawie w Sali Senatu dr Kalewski na przekazaną mu kartkę z zapytaniem, czy od razu po upływie terminu ewakuacji można się spodziewać wkroczenia do gmachu milicji, odpowiedział – na tejsze kartce – że nie.

<sup>90</sup> Profesor Bukowski mieszkał na terenie Politechniki.

<sup>91</sup> Józef Hurwic, w latach 1954-1968 profesor chemii fizycznej PW, był dziekanem Wydziału Chemicznego w latach 1962-1968. Od 1969 r. jest profesorem Uniwersytetu w Marsylii.

**Hall i krużganki nabite. Według mojej oceny, do 5 tys. osób. Prof. Różyckiego zastaję przy telefonie – usiłuje wyjednać w MZK<sup>92</sup> przysłanie autobusów miejskich dla odwiezienia młodzieży do domów studenckich.** Zakłopotany sekretarz Komitetu Uczelnianego Partii, prof. Zbigniew Pączkowski<sup>93</sup>, prof. Kietlińska („a tak prosiłam, żeby wcześniej ze studentami rozmawiać”), chłopcy z ZSP. Dowiaduję się, że podobno postanowiono, żeby dziewczęta opuściły gmach. Były protesty. „Dziewczęta też biją”. Perswazje, że do wyznaczonej godziny ewakuacji nikogo krzywda nie spotka, nie skutkują.

**Chłopcy z ZSP chcą mnie zaraz ciągnąć nad zegar w hallu, skąd się dziś przemawia.** Proszę o najniezbędniejsze informacje. Jest godz. 20:00. Mowy nie ma o opróżnieniu gmachu w godzinę. Różycki (a może Kalewski) obiecuje podjąć starania o dalsze „moratorium” dwugodzinne. **Wychodzę, w asyście 2-3 młodych ludzi.**

Nad zegarem jakiś mówca zbiera oklaski sali. Organizatorzy proszą, żebym troszkę zaczekał bo jest jeszcze ważny komunikat do przekazania. Tymczasem minuty płyną, a mówca tokuje w najlepsze: **„Robotnicy z Żerania są już na placu Saskim – w całym kraju ostre protesty studentów – solidarność kolegów z SGGW i SGPiS – prasa kłamie – żądamy prawdziwych informacji – żądamy spełnienia naszych żądań – milicja otoczyła gmach – przed chwilą nadeszła wiadomość o pobiciu grupy studentów, którzy opuścili teren. Nie opuścimy gmachu. Nie stchórzymy itd. itd.”**

Na moje upomnienie pohamowują wreszcie mówcę i ogłaszają komunikat poszukujący syna pani X, która uległa wypadkowi, znajduje się w szpitalu, krew do transfuzji (rzadka grupa) pilnie potrzebna. Tenże sam student podający komunikat, nie dopuszczając już do balustrady poprzedniego kaznodziei (powiedziano mi wcześniej, że to główny prowodyr, były student SGPiS – podobno schizofrenik – po okresie zamkniętego leczenia, wiadomość ta okaże się dla mnie niezmiernie ważna), ogłasza: **„A teraz przemówi poseł na Sejm, nasz były rektor”.** Stoję przy balustradzie, rozglądam się. Pełno! Na dole, na wszystkich piętrach. Podnoszę ręce, gwar i poszum stopniowo milkną. Wiem, że muszę użyć jakiegoś chwytu, żeby pozwolili mówić. Już dopuszczenie do zakłócenia ciszy będzie sygnałem przegranej. Nie wolno ani na chwilę wypuścić z rąk prowadzenia. **Zaczynam od próśby o wybaczenie, że zapowiedzianego „przemówienia” nie będzie.** Po aplauzach, z jakimi przyjęto wezwanie mojego przedmówcy, po zbiorowych okrzykach aprobaty

---

<sup>92</sup> Chodziło tu o Miejskie Zakłady Komunikacyjne.

<sup>93</sup> Zbigniew Pączkowski, od 1955 r. profesor mechaniki stosowanej, a od 1960 r. – sprzętu mechanicznego PW.

nie sędę, abym mógł być wysłuchany głaszając tezy i wezwania wręcz przeciwne. Pauza – pełna cisza. Mówię dalej: Korzystając jednak z tego, że jestem wśród was, pragnę podać kilka informacji; nakazuje mi to uczciwość. Pauza – cisza. **Chcę najpierw sprostować najbardziej jawne kłamstwa którymi was karmią i których tak chętnie słuchacie.** Pojedynczy okrzyk z krużganku II piętra: „To prasa kłamie” – nikłe oklaski sąsiadów. Uciszenie. Mówię dalej: **Nie jest prawdą to, co wam mówiono o robotnikach z Żerania idących rzekomo „na odsiecz” Politechnice. Nie było do wieczora masówek na SGGW i SGPiS.** Wiecie o tym, że Rektor odbył rozmowę z najwyższymi władzami politycznymi<sup>94</sup> i **za 5 dni otrzymacie odpowiedzi na wasze pytania i postulaty. W tej chwili grupy studentów opuszczają bez przeszkód teren Politechniki przez wyjście od strony ul. Koszykowej.** Nie donoszono o żadnych interwencjach milicji. To wszystko. **Gdyby ktoś z organizatorów (jeśli tacy są) chciał ze mną rozmawiać – jestem w rektoracie. Gotów jestem również spotkać się z poszczególnymi wydziałami w audytoriach, które wskażecie.**

Głosy: Co mamy robić? Tumult – „Zostać, nie wychodzić”. Inna część sali: Cisza, cisza! – Znów mówię: Jeżeli zastanowicie się dobrze, to do jedenastej powinniście opuścić gmach. Już postanowiliście, że dziewczęta wychodzą (głosy sprzeciwu: „Kto to ustalił?” „Dziewczęta biją”). Idąc tutaj widziałem już grupy wydziałowe (Chemia i inni), które profesorowie odprowadzają do Koszykowej 75. Sędę, że komitety wydziałowe powinny podjąć decyzję! Tutaj będziecie uchwalać co pół godziny inną rezolucję. – Głosy: „A co pan rektor zamierza zrobić?” Odpowiadam: **„Przyszedłem, żeby was namówić do opuszczenia gmachu i chcę wyjść razem z wami. Ale pozostanę dokąd wy nie wyjdziecie. Sytuacja mnie niepokoi. Czy macie jeszcze jakieś istotne pytania?”** – „Jakie mamy gwarancje, że milicja nie będzie bić i że nas na mieście, po opuszczeniu terenu, nie będą wyłapywać?”

„Jest zapewnienie udzielone Rektorowi przez władze. **Ale terminy ewakuacji nie będą odraczane bez końca. Potem nie wiem, co będzie. Nic dobrego na pewno.** Skoro mnie zatrzymujecie, pozwólcie że dodam jeszcze parę zdań. **Przed 10 laty, w październiku 1957 r., wyprowadziłem z tego gmachu, z podobnej sytuacji oblężenia, kilka tysięcy studentów.** Milicja dotrzymała zobowiązań. Zakłócenia były tylko wynikiem prowokacji nie studenckich. Sędę, że zdołamy to zrobić również teraz, jakkolwiek istnieje niebezpieczeństwo, którego nie było w 1957 r., nie było w 1956 r., nie było nigdy dotąd

---

<sup>94</sup> Ok. 15 marca Rektor wraz z drem Kalewskim i przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP Alfredem Nowakiem zostali przyjęci przez Władysława Gomułkę.

na Politechnice. Robię pauzę – dla zaostrenia uwagi. Pytania: „O co chodzi? Co nam grozi?” - Mówię: „Nic nowego. Zło już się stało. **Studenci Politechniki oddali przywództwo człowiekowi obcemu.** Mnie nieznanemu. Wam – tylko z demagogicznych przemówień tutaj wygłaszanych. Słyszałem oklaski i aplauzy sali. Jeżeli nawet działa w dobrej intencji, nie ma prawa dyktować studentom Politechniki, co oni mają robić na terenie swojej szkoły. **Nie ma prawa grozić napiętnowaniem tym tysiącom studentów, którzy chcą podporządkować się zarządzeniu Rektora**”. (Oklaski przechodzą w burzliwą demonstrację popierającą mnie. Z lewej strony galerii II piętra protesty: skandowane „zo- sta- je –my”).

Podnoszę ręce. Powoli zapada cisza . Mówię: „Powtarzam, w wielu masówkach i manifestacjach studenckich brałem udział w tym miejscu. Nigdy jednak studentom Politechniki, uczelni z tradycjami niezależnych ruchów studenckich, nikt obcy nie przewodził. I to jest to nowe dziś, nie istniejące dawniej, niebezpieczeństwo i zło dzisiejszego zgromadzenia”.

Uwierzcie mi. Możecie mi wierzyć. **Podjmijcie w grupach wydziałowych postanowienia o opuszczeniu gmachu. Aby nie było odstępców i bohaterów. Jestem z wami.** Jestem gotów do rozmów na zebraniach wydziałowych. Znajdziecie mnie w rektoracie.

Tym mniej więcej kończę. Tym razem aplauz przechodzi w odśpiewane mi „Sto lat”. Słyszę to schodząc – wyczerpany (teraz zrozumiałem jak bardzo obawiałem się – ludzka słabość – przegrania tej rundy), ale z uczuciem wielkiej ulgi. Teraz tylko nie dopuścić do powrotnej fali. Wszystkich profesorów, jacy są – między studentów – na wydziały, jeżeli gdzieś są zgromadzenia.

**Jest godzina ok. 21:00. Na dole (w rektoracie) zastaję rektora Smoleńskiego. Czuję u zebranych pewne odprężenie.** Rektor mówi do prof. Kietlińskiej <<która dosłownie pada ze zmęczenia>>: „Teraz już możesz iść do domu, masz wreszcie Bukowskiego”. Okazuje się, że już wcześniej były z jej strony sugestie pod adresem Rektora „wprowadzenia mnie do akcji”.

**Zgłasza się do mnie grupka studentów z mojego wydziału (MEL) z prośbą, żeby do nich zejść.** (Nikogo z profesorów nie ma, lub tak jakby nie było, gdyż nie bardzo umieli się znaleźć. – Zdania podzielone. Agitacja za pozostaniem znów się nasila). – „Gdzie jesteście?” – „W hallu na dole, blisko balkonu”. – Obiecuję przyjść za chwilę. **Prof. Różycki**

**ciągle apeluje o przysłanie autobusów. Schodzę na dół.** Widzę grupy ciągnące do wyjścia (wewnętrznego na teren) z majątkiem: koce, torby z żywnością. Odnajduję moich MELowców. Wchodzę na stół (raczej szybko wskakuję po taborecie – co daje niezamierzony efekt rozładowujący napiętą atmosferę w najbliższym kręgu).

**Widzę już pewne rozrzedzenie, i w hallu, i na krużgankach.** Formuje się przy stole koło liczące kilkaset osób. Bez wykrzykiwania nawiązuję merytoryczną dyskusję. Mówię szczerze, że w obecnej fazie wypadków studenckich, które zaczęły się 8 marca, **dalszy ich rozwój i jego forma nie wiadomo komu i czemu służą. Na pewno nie jawności życia politycznego,** poprawie w dziedzinie informowania opinii, zwiększeniu wpływu młodzieży na sprawy krajowe. Może właśnie – i sądzę że tak jest – **doprowadzenie do ostrych konfrontacji** – „Wyobraźcie sobie, czym byłby szturm milicji na gmach dla was i dla milicjantów – A może taki kierunek rozwoju wypadków jest prowokowany przez kogoś w imię koteryjnych interesów lub zgoła przez jawnie wrogie krajowi siły. Nie można na wiecach tego typu jak dzisiejszy, w drodze postulatów i rezolucji rozstrzygać najważniejszych spraw państwowych. Wiele spraw, o których mówicie, to od dawna znane i dyskutowane problemy”, itd. itd. „Niedługo możecie spodziewać się ważnych deklaracji kierownictwa politycznego. Gotów jestem spotkać się z wami na oddzielnym zebraniu. Dlaczego nie występowaliście wcześniej z takimi inicjatywami? Gdzie były młodzieżowe organizacje i nasze ZSP? Czy te wszystkie pytania, wątpliwości powstały dopiero w ostatnich dwu tygodniach? Potraficie tylko klaskać, albo wiecować jak dziś, podżegani przez nieznanych osobników. Miejcie odwagę myślenia i mówienia na co dzień. Tego potrzeba. **A tymczasem pakujcie manatki i do domu. Mogę od razu przygotowaną grupę odprowadzić.** – Koniec. Oklaski.

Istotnie **wyprowadzam pierwszą grupę. Przed Gmachem Chemii spotykam dziekana Wydziału Chemicznego, prof. Józefa Hurwica, pracowicie zbierającego swoich studentów. Spotykam paru profesorów. Wśród nich niezmordowany Zbigniew Pączkowski.**

Po powrocie do rektoratu widzę, że w hallu i na galeriach opustoszało, ale jest jeszcze na oko więcej niż półtora tysiąca ludzi. Część opuściła gmach. Reszta wycofała się na zaplecze – do audytoriów stanowiących bazę poszczególnych wydziałów. **Dziekan**



**Henryk Trebert<sup>95</sup> z Mechaniki Precyzyjnej prosi mnie o udanie się z nim do studentów tego Wydziału.**

W audytorium na II piętrze zaczynam od nowa. Przechodzę jednak prędko do prośby o pytania w sprawach najbardziej aktualnych. Na dłuższą dyskusję zamawiam się na wydział. Nie idzie łatwo. Występuje grupa strategów. Przypierają do muru. Wierzą w moją szczerość, ale czują także, że nie na wszystko mogę im zadowalająco – w sensie argumentacji na rzecz opuszczenia gmachu – odpowiedzieć. Widzę, że już są zebrani do wyjścia, jednak jest wyraźna grupa, która blokuje sprawę. Wyczekuję słabych punktów ich argumentacji (zawsze, szczególnie w zacierzewieniu, musi do tego dojść – to nie jest łatwa i mała sztuka takie dyskusje wiecowego charakteru – choć tutaj zamknięte grono słuchaczy, ale zbyt są nasiąknięci wiecową atmosferą, żeby się nie „wychylił”). Istotnie, po paru wystąpieniach mam konstrukcję repliki dostatecznie przekonującą. **W rezultacie obiecują wyjść z dziekanem. Dziekan obiecuje zorganizować na wydziale moje „poselskie” spotkanie (odbyło się ono 29 marca). Pozostaje jeszcze sprawa zamiejscowych studentów i nagromadzonych zapasów. Proponuję pozostawienie w gmachu służby porządkowej,** która uprzętnie audytorium. Wychodzę do rektoratu. (Nota bene Mechanika Precyzyjna jeszcze dwukrotnie zmieniała decyzję, kiedy dziekan wyszedł z pierwszą nieliczną grupą, ale ostatecznie prawie wszyscy opuścili swoje audytorium.

W rektoracie jałowy spór w sprawie przyjęcia przez Rektora jakiejś delegacji (bodaj z Architektury). **Zapytuję Rektora, czy uzna za możliwe pozostawienie w gmachu w charakterze służby porządkowej od 500 do 1000 osób (w tym zamiejscowych). Rektor odpowiada: „Nawet 1500”** – zadowolony, że główna fala studentów zaczęła odpływać. (Nie był poinformowany o szczególnych kulisach sprawy – dlaczego „porządek w Warszawie” musiał być przywrócony do soboty. Ja też. O tym później).

Około 22:30, głodny i zmęczony, **poszedłem do domu. O godz. 23:15 dzwonek do drzwi. Prof. Pączkowski komunikuje, że Rektor „był wzywany”, w tej chwili wrócił. Gmach ma być „do ostatniego studenta opróżniony w ciągu 2 godzin” (to już chyba czwarty termin ostateczny). Prośba, żeby przyjść jeszcze raz. Pomóc. Autobusy MZK nareszcie przyjeżdżają.**

---

<sup>95</sup> Henryk Trebert, wówczas docent, a od 1973 r. profesor budowy sprzętu precyzyjnego i elektronicznego, był organizatorem Wydziału Mechaniki Precyzyjnej i jego dziekanem w latach 1962-1969 i 1974-1977.

Tak to ok. godz. 23:30 rozpoczynam drugą kampanię ewakuacyjną, bogatą w pełne napięcia momenty. Będzie ona trwała do ok. 3:00 rano, kiedy zacznie się trzeci i ostatni akt dramatycznych wydarzeń w Gmachu Głównym Politechniki tej pamiętnej nocy z piątku 22 na sobotę 23 marca. W rektoracie dowiaduję się, że jest bezwzględne polecenie ewakuowania Politechniki do ostatniego studenta, <<a ocenia się, że jest ich jeszcze ok. 2000.>> Inaczej będą podjęte kroki „siłowe”. Zmasowane oddziały milicji są już podobno wprowadzone na wszystkie wyloty ulic zbiegających się na placu Politechniki.

Autobusy MZK już były. Trzeba tylko skłonić studentów do zajęcia w nich miejsc. Główne punkty dowozu – plac Narutowicza i ul. Kopińska oraz Riwiera<sup>96</sup>. Zamiejscowi mogą przewaletować. Rozumiem, że istotną sprawą jest wyprowadzenie pierwszego autobusu. **Proponuję jako zasadę, że każdym autobusem jedzie jakiś profesor.** Studenci i boją się represji, i chcą pewnych gwarancji. Takie pojedyncze głosy słyszałem przechodząc przez teren koło autobusów manewrujących w okolicy komina. Inne stoją w głębi przed Gmachem Technologii Chemicznej. Jest ich około 10. **Ja sam decyduję się poprowadzić pierwszą kolumnę 2-3 autobusów na pl. Narutowicza i ewentualnie ul. Kopińską.** Bodaj dyr. Stanisław Zaborowski<sup>97</sup> ofiaruje się prowadzić autobus do Riwieri. Zjawiają się inni „konduktorzy”. Niezmordowany Pączkowski (tę noc trzeba jemu i prof. Różyckiemu wpisać złotymi literami do życiorysu) chwytą w lot ideę i zajmuje się propagandą za pośrednictwem studentów współdziałających z nami (paru aktywistów ZSP, jakaś frakcja „kierownictwa” wiecu; ci chłopcy zasługują na wzmiankę ale nie potrafię dziś przytoczyć żadnego nazwiska).

Z tej to grupy **jakiś młody człowiek prosi mnie** (może to było przed moim wyjściem, tzn. przed 22:30, ale chyba jednak teraz) **o przejrzenie deklaracji końcowej**, którą mają „doredagować”. Poza wywieszonymi na froncie punktami, jakieś mętne dodatki dotyczące spraw gospodarczych wyraźnie wcelowane w Komisję Planowania, a może nawet ściśle w Stefana Jędrzychowskiego<sup>98</sup>. Rozmaite siły wykorzystywały te studenckie rozruchy. Było ich poza „spiskiem syjonistycznym”<sup>99</sup> wiele. **Proponuję usunąć całe „mętniactwo” i zredukować całość do już ogłoszonych haseł, i to w skrócie, w istotnych treściach,**

---

<sup>96</sup> Chodzi tu o trzy największe domy studenckie Politechniki.

<sup>97</sup> Mgr Stanisław Zaborowski był wówczas dyrektorem administracyjnym Politechniki.

<sup>98</sup> Stefan Jędrzychowski był wówczas członkiem Biura Politycznego KC PZPR i przewodniczącym Komisji Planowania przy Radzie Ministrów.

<sup>99</sup> O takim spisku mówiła jedna z wersji oficjalnej propagandy jako o przyczynie wydarzeń marcowych.

**z pominięciem zwrotów utrudniających otrzymanie odpowiedzi.** Nie wiem zresztą dokąd i do kogo ma być przesłana ta rezolucja. Mój rozmówca też dokładnie nie wie.

**Wsiadam do pierwszego z dwóch autobusów kierowanych na Akademicką** (pl. Narutowicza). Po mnie wtłacza się jeszcze kilkanaście osób, nieufnych czy rzeczywiście ktoś z nimi pojedzie. Charakterystyczne stłoczenia przy drzwiach (żeby w razie czego łatwiej było pryskać). Podjeżdżamy w dwa autobusy do bramy Koszykowa 75. Pertraktacje z posterunkami studenckimi pilnującymi bramy. Poirytowany już, polecam zatelefonować do ich centrali-sztabu i dowiedzieć się, jakie są polecenia. Orientuję się, że polecają im otworzyć bramę. Strażnikom wyraźnie się to nie podoba. **Służba administracyjna (Politechniki), której polecam otworzyć bramę, stoi jak ściana. Boją się lub nie chcą.** Nikogo znajomego. Tymczasem, kiedy już opory zaczynają mięknąć, z drugiej strony bramy stają przychepione do prętów jakieś kobiety i jacyś mężczyźni o bardzo różnorodnym przekroju społecznym i wieku. **Podnoszą krzyki: „Nie damy wywozić naszych studentów” – „Nie wypuścimy”.**

Podchodzę, tłumaczę, zdejmuję czapkę, pytam czy może ktoś z obecnych mnie zna. Owszem znają, ale nie wierzą. Mnie też oszukują (władze!). Tam już oczekuje milicja, żeby otoczyć. W autobusach popłoch, zaczynają wysiadać. Widzę, że „toniemy przy brzegu”. Jeszcze raz molestuję. Wreszcie ktoś dowodzący w milicji przychodzi po rozum do głowy i z obu stron wzdłuż muru podsuwa „z rękami na plecach” **szeregi milicjantów jeden przy drugim, łańcuszkiem spychają, odrywając tłumek od bramy i przesuwiają na drugą stronę ulicy – pod pompę benzynową.** Wszystkiego było ze 30 osób, ale krzyku było dość, by znów wystraszyć zdecydowanych na wyjazd studentów. **Wskakuję do autobusu – brama się otwiera.** W ostatniej chwili uciekinierzy tłoczą się do wozów. Bez przeszkód dojeżdżamy na pl. Narutowicza. Wysiadają, dziękują. Polecam wszystkim dziewczętom przesiąść się do drugiego wozu i jadącego na ul. Kopińską. **Sam wracam na Politechnikę. Dowiaduję się, że odeszły dwa czy trzy wozy – na Riwierę i jeszcze dwa (spotkane po drodze) na pl. Narutowicza.**

Nie wchodzę już do gmachu. Widzę stojący na uboczu nie bardzo zapelniony autobus. **Pytam dokąd: „My chcemy na Pragę”. Jest już dobrze po pierwszej. Nie ma kto (z profesorów) z nimi jechać. Sympatyczny kierowca autobusu zachęca: „Obskoczmy raz dwa – pan Profesor pojedzie z nami?” – „Zgoda”.** Wyjeżdżając widzę przed – Technologią Chemiczną parę pustych autobusów. Przy Gmachu Głównym już nie widzę

chętnych. **To był może mój błąd: trzeba było wrócić i zobaczyć, jaki ilościowy efekt dała ta ewakuacja autobusowa.** Trudno. Jedziemy przez ul. Marchlewskiego (na mieście pusto i spokojnie, poszczególni pasażerowie proszą o przystanki. Proszą przy tym, żeby chwilę zaczekać i trzymać drzwi otwarte. Strach ma wielkie oczy. Boją się milicjantów, którzy mogą być ukryci za węglami. Pierwszy desant udany. Robimy duży łuk przez most Śląsko-Dąbrowski, Targową na Saską Kępę i z powrotem.

**Sam z kierowcą. Zwierza się, że z początku kierowcy nie bardzo chętnie wyjeżdżali (to była przyczyna opóźnienia akcji Różyckiego), bo myśleli, że gdzie indziej będą studentów zawozić.** Charakterystyczne dla nastrojów miasta! Pyta, czy ma jeszcze jeden kurs robić. Przypominam sobie puste autobusy. **Polecam zatrzymać na pl. Politechniki** (nie pamiętam jak tam podjechaliśmy). Zwalniam go do zajezdni. **Dziwna sceneria. W głębi ulic Nowowiejskiej (od pl. Zbawiciela), Polnej (?) Śniadeckich i na obrzeżu placu – głębokie szeregi milicji. Jakieś samochody. Jeden z nich (coś jak mikrobus) blisko gmachu – poniżej podjazdu od strony ul. Noakowskiego. Plac pusty. W oknach Politechniki jasno. Na placu widno.** Podchodzę do głównego wejścia. Z okna lokalu partyjnego **ktos mnie poznaje i woła, że wejście zabarykadowane. Trzeba od tyłu.** Schodzę w stronę ul. Noakowskiego. **Od opisanego autobusu zbliża się do mnie dyr. Mieczysław Derentowicz<sup>100</sup>.** (Potem Andrzej Werblan<sup>101</sup> mówił mi, że stamtąd właśnie – z tego autobusiku obserwował wydarzenia. Kto z nim był? Czy on miał kierować dalszą akcją, czy tylko odgrywał rolę korespondenta z pierwszej linii frontu – nie wiem). Derentowicz pyta, czy może pójść ze mną. Słyszał moją głośną rozmowę pod drzwiami. Cisza na jasnym placu była grobowa. Bardzo dziwne wrażenie. Przez ul. Koszykową 75 wchodzimy bez trudności na teren (Derentowicz pokazuje legitymację). Cicho tam i prawie pusto. Wejście do Gmachu Głównego (koło przychodni) zabarykadowane. Stoły, krzesła, jakiś stojak od tablicy. Z I piętra wołają przez okno: „Po drabinie z lewej strony, panie Rektorze”. Istotnie stoi drabina. W tej chwili jednak otwiera się brama bocznego podwórka. **Wchodzimy bez gimnastyki. W hallu, na krużgankach, na oko licząc – do półtora tysiąca ludzi.** Prędko liczę, zgadza się. Nawet 10 autobusów, a tyle ich zdaje się odjechało, to w najlepszym razie 600 do 1000 ludzi. **Może jeszcze być więcej niż tysiąc w środku.**

---

<sup>100</sup> Mieczysław Derentowicz był dyrektorem Departamentu Studiów Technicznych Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego a następnie Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki w latach 1967-1973.

<sup>101</sup> Andrzej Werblan był wówczas kierownikiem Wydziału Oświaty i Nauki KC PZPR.

Po moim wyjeździe, pierwszym niezbędnym i drugim trochę lekkomyślnym z uwagi na całość akcji – „nieprzejednani” znów wzięli górę. Wstrzymali ładowanie dalszych autobusów, a nasz sztab jakoś nie zadziałał. Co ruchliwsi poprowadzili pierwsze autobusy. Gdyby nie to, że cała akcja dobrze się wreszcie skończyła – trudno byłoby sobie darować to moje zejście z „punktu dowodzenia” i przejście na „front ewakuacji”.

**Tak oto kończy się akt drugi. Trzeci i ostatni rozpoczyna się dla mnie wejściem do gabinetu rektora, gdzie oprócz Smoleńskiego, Różyckiego, Kalewskiego, Pączkowskiego (może jeszcze innych, ale niewielu profesorów) widzę dwie lub trzy osoby nowe. Młody człowiek w koszuli w szerokie paski rozmawia przez telefon, jak się prędko orientuję, z dowódcą sił milicyjnych.** Mam przed oczyma tę scenę bardzo żywo, wszyscy stoją. Jakies tylko szeptem wymieniane uwagi. Sporo pustych butelek po wodzie mineralnej. Wszystko w jasnym świetle.

**Słyszę jak młody człowiek mówi: „Żadne 10 minut, przyszedłem przed chwilą, jeszcze nie widziałem studentów ...** Towarzysz K. polecił – powtórz towarzyszowi K., że muszę najpierw rozmawiać ze studentami....to nonsens! Trzeba wyczerpać wszystkie próby porozumienia..... tak, powiedz, że idę przemówić do studentów.... Tak, zaraz potem zatelefonuję. **Pamiętaj, żadne 10 czy 20 minut. Czekaj na telefon”.** Młody człowiek, jak się dowiaduję, to obywatel Dzikowski, zastępca prokuratora wojewódzkiego Warszawy.

**Dzikowski zwraca się do obecnych: „Kto z panów pójdzie ze mną?” – Smoleński: „Chyba najlepiej prof. Bukowski”. Dzikowski – „Ale pan rektor będzie nam towarzyszył?”. Smoleński – „Oczywiście”. Idziemy nad zegar.** Głównie na krużgankach, mniej na dole (łatwość wycofania się i lepsza pozycja obronna w przypadku sforsowania siłą frontowego wejścia, zawalonego na dwa – trzy metry stołami, stelażami itp., ruchomościami). <<Razem ok. 1000, może trochę więcej studentów .>>

**Występuję i proszę o ciszę. Ogłaszam, że do pozostałych w gmachu chce przemówić zastępca prokuratora wojewódzkiego, obywatel Dzikowski.** Równocześnie, korzystając z okazji, zawiadamiam, że **wszystkie transporty autobusów doszły bez przeszkód do miejsc przeznaczenia.** Ja sam wróciłem przed chwilą, dowiózłszy transport zamieszkałych na Pradze. Proszę o nie przeszkadzanie w przemówieniu prokuratora Dzikowskiego.

Od pierwszego wejrzenia i zasłyszanej jego rozmowy telefonicznej nabrałem zaufania do tego człowieka. Nie tylko dalszy ciąg opisywanych wypadków w nocy z piątku na sobotę, ale i późniejsze kontakty z nim, w pełni usprawiedliwiły to wrażenie. Wielką, **wielką rolę odegrał Dzikowski w tym ostatnim krytycznym momencie. Siły ilościowo wyrównały się na korzyść milicji, nie mówiąc o „środkach walki”**. Miałem jednak w oczach obraz szturm, oczyszczanie piętra po piętrze. Stoły i stołki lecące z góry na milicjantów. Petardy i granaty łzawiące. Walka wręcz w zaułkach znanych studentom, lecz nie znanych milicjantom. **A zostali przecież najbardziej zacięci. Zdecydowani na konfrontację siłową. Widzący w niej swą szansę. Jak potem miałem okazję rozmawiać na spotkaniach, „ostatnią szansę, żeby nas wreszcie usłyszano, jeśli nie chciano wysłuchać”**. Taki to obraz przedstawiał się mojej wyobraźni, kiedy zapowiadałem wystąpienie prokuratora.

**Dzikowski zaczął zwrotem „Koledzy”**. To było dobre. **Wylegitymował się** jako działający z pełnomocnictwa swojego szefa i usprawiedliwił jego nieobecność. Stwierdził potem, **że nie przyszedł z pogrozkami lecz z konkretną propozycją. Wszyscy obecni w tej chwili w gmachu studenci postępowaniem swoim naruszyli określone dwa artykuły kodeksu karnego**. Dalszy rozwój wypadków może pogłębić i pomnożyć ich zakres ich karnej odpowiedzialności. **Jest upoważniony do złożenia deklaracji, że w stosunku do żadnego ze studentów Politechniki Warszawskiej obecnych w gmachu ani teraz, ani później nie będą wykorzystane sankcje wynikające z przytoczonych artykułów kodeksu, jeżeli wszyscy razem opuszczą gmach udając się do domu studenckiego Riwiera<sup>102</sup>, skąd rano (jest po godz. 3:00) rozjadą się do swoich mieszkań. Powtarza raz jeszcze propozycję: autobusami albo pieszą kolumną przez plac Jedności, ul. Polną do Riwieri. Milicja cofnie się w sąsiednie ulice.**

Głosy z sali: **„A pan prokurator z nami pójdzie?” – „Oczywiście pójdę, czy pojedę!” – „A rektor i profesorowie?” – Odkrzykuję: „Oczywiście, nic innego nie robimy od paru godzin”**. – Głosy: **„Nie chcemy autobusami. Jeżeli, to wszyscy razem”**. – **Dzikowski: „Zgoda”**. Pojedyncze głosy – „nie wychodzić”. Tumult. Okrzyki: „wychodzimy razem ale z rektorem, prokuratorem i profesorami”. – Głos: **„Czy profesor Bukowski pójdzie z nami?” – Ja: „Tak, ale stawiam warunek. Wy sami odblokujecie główne wejście, a więc rozbierzecie zabarykadowanie”**. <<Miałem doświadczenie, że nie można tego polecać woźnym; gotowi byli tego nie zrobić, bo się będą bali.>> Głosy: „Zgoda”.

---

<sup>102</sup> Riwiera jest domem studenckim najbliższym gmachowi Głównemu Politechniki: odległość wynosi kilkaset metrów.

Ja: „Zbiórka w hallu i westybulu za 15-30 minut”. – Schodzimy. Formuje się **dość ponury pochód. Na czele Smoleński, Dzikowski, Pączkowski (jest jeszcze paru profesorów, nie przypominam sobie kto, choć rozmawiałem prosząc kogoś o pozostanie w westybulu i przyspieszenie exodusu).** Idę powoli. Dochodzę do czoła kolumny z „wodzami” przy ul. Polnej. **Studenci z końca kolumny w pewnej chwili przystają i spoglądają w stronę zmasowanej w ul. Nowowiejskiej (od strony Placu Zbawiciela) i ul. Śniadeckich milicji. Głos z megafonu milicyjnego: „Nie zatrzymywać się, przechodzić”. Proszę Dzikowskiego, żeby ich uciszył. Milkną.** W ciszy posuwa się kolumna.

Nauczony doświadczeniem z października 1957 r., **razem z Pączkowskim zawracam.** I dobrze. W westybulu gromadki opieszale dołączających do rzednącej już kolumny. **W hallu dwie czy trzy grupki zaciekle dyskutujących. „Głupcy”. „Tchórze”. „Straciliśmy ostatnią szansę”.** Podchodzę. Pytam: „Jaką szansę?” Odpowiadam sam: „Na drakę z milicją, na zniszczenie Gmachu, na rozgłos – w czyim interesie. Powiedźcie mi, w czyim interesie?” Milkną. Po chwili: **„Żal, panie Rektorze, że nic nie wygraliśmy. Zobacz pan, jak to wszystko jutro prasa przedstawi”.** – Jutro – mówię – „Może pisać co chce”, w dzisiejszych wydaniach (godz. 4:30) nic już chyba nie będzie. **„Mieliście sympatię w społeczeństwie i nie trzeba jej tracić przez bezcelowe już awantury”. Wychodzimy, jesteśmy ostatni. „Tym razem już pójdę z wami na końcu. Za nami zamknie się Gmach”.** – Niechętnie ruszają. Wygarniamy resztki z szatni. Nie wiem oczywiście, czy nie zostali jeszcze jacyś ukryci. Ale raczej nie. Już przedtem korytarze w głębi budynku były prawie puste.

**Krok za krokiem, szeroka kolumna. Ciągłe jeszcze dobrych paręset ludzi posuwa się przez plac w stronę ul. Polnej.** W pewnym momencie ostatnie szeregi odwracają się i idą tyłem. <<Rozwleka się przy tym cały pochód tak, że robi się przerwa między czołówką, która z Rektorem poszła do Riwiery, a liczącą paręset osób resztą.>> Pytam: „Cóż to za sposób chodzenia”. W dość prowokującym tonie odpowiedź: „Nie można popatrzeć sobie na milicję?” **Czoło staje. Kolumna zatrzymuje się. Pytania: „Gdzie jest Rektor i prokurator? Uciekli?”**

Wyczuwam w tych najbardziej opornych nastroj nieprzychylny, rozgoryczenie, poczucie, w ich mniemaniu, porażki, ostatnią jeszcze szansę do (żałosnej) próby sił z milicją. Nie generalizuję tych spostrzeżeń, ale z pogwarek prowadzonych przyciszonymi głosami nic dobrego nie wróżę.

**Przechodzę do czoła kolumny i tłumaczę, że wszyscy z wyjątkiem nich są już dawno w Riwierze, dokąd doprowadził ich Rektor z prokuratorem Dzikowskim. Nawołuję, żeby czoło ruszyło. Nieprzychylnie pomruki: „Chcemy prokuratora”. – „Macie prokuratora i Rektora” – wołam widząc ich nadchodzących od strony Riwieri. Jestem nerwowo wyczerpany. Boję się utracić spokój. Można wszystko zepsuć. Godzina 5:00. Przedstawiam krótko sprawy Smoleńskiemu. Proszę: „Zawracajcie, za wami ruszy ta cała gromada”. – Istotnie – powoli ruszają. **Jeszcze prośba do Pączkowskiego, żeby dopilnował końca pochodu. Ponury obraz. Stoję na krawężniku ul. Polnej. Mijają, przechodzą. Przestali się oglądać na Gmach Główny i milicję. Milicja stoi cicho. Powoli idę przez plac do domu.** Jest już widno.**

Nazajutrz (a może w poniedziałek) **portier przy wejściu ul. Nowowiejskiej 22**, gdzie czeka na mnie samochód, podchodzi do mnie i mówi (jakiś nowy, dość ponury na oko typ): „**Panie profesorze, bardzo dobrze o panu mówią na mieście**”. – Nie zwróciłem wówczas na to uwagi, ale często potem wracałem myślą do tych słów, kiedy zauważyłem, z jaką **starannością pomijano mój udział w wypadkach nocy z piątku 22 na sobotę 23 marca.** (Nawet w nowym „Politechniku”).

Czy był **dalszy ciąg wypadków marcowych** – przynajmniej dla mnie? Jeszcze **wizyta u prokuratora Saneckiego, podziękowanie i gratulacje dla Dzikowskiego** z powodu jego postawy. **Rozeznanie w sprawach aresztowanych i perspektyw umorzenia spraw.**

Przypadkowo odwiedzona zaprzyjaźniona lekarka politechniczna (dr Palczewska) zaleca szybkie zrobienie EKG. Potem – lecznica, 4 tygodnie „wyłączenia” od maja do początku czerwca. Pierwszy raz dowiedziałem się, co to jest migotanie przedsionków i że można z tym beztrudno chodzić.

Warto jeszcze zanotować, że **do początku kwietnia odbyłem dwa spotkania ze studentami sam (na wydziałach: Mechaniki Precyzyjnej i Komunikacji) oraz jedno wspólnie z posłem Korotyńskim (MEL).** Zachowały się kartki z pytaniami, stanowią one dobry dokument. Trudne to były dla mnie spotkania. Jak zwykle, mówiłem tylko prawdę i dzieliłem się swoimi mocnymi przekonaniem. Margines „niecałej prawdy” narastał. Do dziś zastanawiam się, czy w ową historyczną sobotę (kolejne spotkanie w sprawie Czechosłowacji w Dreźnie, na które udała się nasza reprezentatywna delegacja) ważniejsze było pochwalić się, że „spokój panuje w Warszawie” – tak można było stwierdzić na szczęście – ryzykując



ewentualnością przywrócenia tego spokoju siłą. Najsmutniejsze zaś było przekonanie władz, iż arbitralność i siła, a nie rozmowa ze społeczeństwem jest istotą dobrych rządów.

*Skończyłem pisać 26.8.1970 r.*

## **Refleksje**

Próba podjęcia oceny wydarzeń, które w istocie swej nie przeminęły, jest niezmiernie trudna. Ujawnienie postaw zaangażowania politycznego ogółu młodzieży studenckiej w Polsce, zaangażowania, którego nie dostrzegało się przed marcem 1968 r., stwarza niewątpliwie nową sytuację na terenie naszych szkół wyższych.

Z faktu tego trzeba wyciągnąć wnioski. Byłoby błędem mówić ze spokojem o „opanowaniu sytuacji w szkołach wyższych”, o przywróceniu normalnego toku pracy. Błędem byłoby zbyt lekkie potraktowanie wydarzeń marcowych, jako zjawisk bezpłodnych z punktu widzenia konsekwencji społecznych i politycznych w życiu naszych wyższych szkół.

Nie można na pewno oddzielić gorącej fali, która przeszła przez nasze szkoły, od napięć w sytuacji światowej, od pewnych szczególnych ognisk zapalnych polityki międzynarodowej podnoszących temperaturę nastrojów w naszym życiu wewnątrz państwowym. Nie można nie dostrzegać wpływających na stan umysłów w Polsce przemian dokonujących się w innych krajach naszej wspólnoty socjalistycznej.

Z tym wszystkim chcę ograniczyć swoje refleksje do spraw stanowiących swoistą specyfikę środowiska szkół wyższych w Polsce.

Spróbujmy najpierw odpowiedzieć na pytanie o to, co ujawniły wypadki marcowe.

Pozostawiam na boku narastający od lat na Uniwersytecie Warszawskim ferment, ferment istotnie obejmujący w stosunku do całej społeczności studenckiej raczej małą grupę „wtajemniczonych”. Nie próbuję odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w tej uczelni nie podjęto próby postawienia przed ogółem młodzieży spornych problemów w pełnym świetle jawnej dyskusji.

Chodzi mi głównie o inny znamieny efekt marcowych wypadków. Już nie grupa młodzieży studenckiej jednej uczelni, ale znakomita większość, solidarna (w pozytywnym,

lecz i niewłaściwie niekiedy pojmowanym sensie tego słowa) masa studentów, odcinając się od wszelkich inspiracji pierwszych zajęć na Uniwersytecie Warszawskim, podniosła głos protestu przeciw określonym cechom naszego publicznego życia.

Nie wytykajmy rezolucjom studenckim podjętym na legalnych i nie zalegalizowanych zgromadzeniach z jednej strony – ich uproszczeń, a z drugiej – nadmiernych uogólnień.

Spójrzmy czym wyrażała się istotna treść studenckich postulatów. Żądaniem szybkiej i rzetelnej informacji przez prasę i środki przekazu oraz protestem przeciwko ich „drętej mowie”; dążeniem do upowszechniania demokratycznych form życia publicznego; postulatami traktowania młodzieży studenckiej jako przyszłych odpowiedzialnych współprzewodców naszego życia gospodarczego i kulturalnego.

W tych sprawach opinia studencka była jednolita. Mało tego: te studenckie postulaty znajdowały życzliwy oddźwięk w społeczeństwie.

Jak mogło dojść do tego, że właśnie w tych masach młodzieży patriotycznej, deklarującej przywiązanie do socjalistycznych podstaw struktury naszej państwowości i życia społecznego, mogło znaleźć się tyle słów goryczy i tyle posłuchu dla demagogii?

Łatwo powiedzieć: wystąpiły objawy kryzysu zaufania. Kryzysu zaufania do własnych organizacji studenckich, do przedstawicieli organizacji studenckich, do przedstawicieli organizacji partyjnej na uczelni, często niestety nie na ostatnim miejscu, do swych wychowawców.

Łatwo stwierdzić: praca wychowawcza w szkołach wyższych (rozumiana m.in. jako kształtowanie politycznej świadomości) zawiodła. Ale dlaczego nastąpił kryzys zaufania, w jakich ogniach zawiódł system wychowawczy (razić musi niestosowność tego słowa – jego ciasność w stosunku do istoty problemu)?

Na te pytania będziemy musieli znaleźć odpowiedź.

Głęboką troską przejmuję fakt, że w ciągu 10 lat (od studenckiego października w roku 1957) nie potrafiliśmy znaleźć języka umożliwiającego pełne zrozumienie się ze studentami; że mechanizm rozwiązań „siłowych” w marcu 1968 r. przejawiał się w nieomal identycznych formach jak przed 10-ciu laty. Nie potrafiliśmy na terenie studenckim spożytkować doświadczeń z 1957 roku.

W praktycznej pracy politycznej organizacji młodzieżowych jako jedynie „konstruktywnej” spróbowano postawy konformistycznej, opatrując zbyt łatwo i generalnie etykietą rewizjonizmu wszelkie próby odmiennego lub tylko krytycznego myślenia. Wśród zawodowych organizatorów życia politycznego młodzieży studenckiej traktowano często jako sukcesy (jakże problematyczne) przechwytywania inicjatyw i akcji na terenie uczelnianym przez ZMS z rąk ZSP. W aktywie centralnym ZSP pozwolono na ukształtowanie się modelu „działacza” stopniowo tracącego wspólny język nie tylko z tzw. masami studenckimi, lecz nawet z uczelnianą czołówką studencką.

Nie wyzyskano należycie możliwości masowej organizacji studenckiej (ZSP) w dziedzinie formowania i reprezentowania postaw politycznych młodzieży. W działaniu na rzecz umocnienia autorytetu ZMS i ZMW tracili siły najbardziej pozytywni działacze partyjni z terenu wyższych uczelni. Mniej wartościowi, a byli i tacy, powracali w swej pracy „wychowawczej” do zdyskredytowanych metod przejawiania „czujności”. Łączyło się to niestety często z tłumieniem krytyki ich własnego, ciasnego, jeśli nie zgoła egoistycznego, działania i widzenia rzeczywistości.

Wbrew apelom o wychowawczą aktywność grona nauczającego, profesorów, wykładowców i asystentów, nie dawało się przełamać atmosfery monopolu skrytykowanej wyżej polityki wychowawczej.

Nie sięgano w tej pracy – lub sięgano w sposób zgoła formalny – do rozwijania i utrwalania aktywnych postaw samej młodzieży w sprawach politycznych.

W znakomitej większości przypadków zbiurokratyzowano i pozbawiono jakiegokolwiek skuteczności oddziaływania wykłady i „ćwiczenia” z zakresu podstaw nauk politycznych (por. „Politykę” z 24.02.1968 r.).

W rezultacie oblicze polityczne ogółu młodzieży było właściwie wielką nieznaną. Spotykało się wręcz twierdzenia o apolityczności i bezideowości młodzieży, ba, jeszcze gorzej, o postawach kosmopolitycznych, anty-patriotycznych.

Wypadki marcowe stały się w tej mierze odkryciem rewelacyjnych prawd. Straciły nawet pozory autorytetu sztywne postawy konformistyczne. Organizacje młodzieżowe nie były zdolne odegrać kierowniczej roli wśród poruszonych mas studenckich. Ale te właśnie masy studenckie zdołały bardzo prędko odciąć się od antypaństwowych w swych zamierzeniach zakulisowych inspiracji. Jeśli podniosły głos protestu przeciwko organom władzy

„przywracającym ład”, to ujawniły przy tym taką głębię patriotyzmu, tak gorącą afirmację socjalistycznych założeń ustrojowych Polski, takie poczucie odpowiedzialności za zadanie, jakie już za parę lat na tę młodzież spadnie, że w rezultacie można dojść do sformułowania także pozytywnych ocen wydarzeń marcowych.

Najbliższe tygodnie i miesiące pokażą, w jaki sposób potrafimy poprzez realizację zapowiedzianego dialogu z młodzieżą studencką, poprzez przemianę pracy politycznej w szkołach wyższych, uczynić z nich silne placówki oporu przeciw wszelkim próbom antynarodowej i antysocjalistycznej dywersji.

## **18. Po Marcu 1968 r. do przejścia na emeryturę**

*Luty 1975 r.*

**Po kryzysie 1968 roku do następnego Sejmu już nie proponowano mi, żebym kandydował.** W ten sposób moją publiczną działalność na terenie Sejmu zakończyłem w roku 1969. **W 1969 roku skończyłem też działalność w Prezydium Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego,** jako że byliśmy dostatecznie różnych opinii z kierownictwem resortu na temat ocen wypadków 1968 roku. Ja jestem przekonany, że gdyby ocena tych wypadków była właściwa, to by mogło nie dojść do grudnia 1970 r. na Wybrzeżu. Ale może mnie się tak wydaje tylko? Kiedyś historia pokaże jak to w rzeczywistości było.

Pozostał mi tylko Komitet Pokoju i zaczęły narastać moje zaangażowania w Naczelnej Organizacji Technicznej. Z Naczelną Organizacją Techniczną byłem związany o tyle, że w roku 1955 organizowałem tam Muzeum Techniki po wybudowaniu Pałacu. Od tego czasu, jakoś zbliżyłem się z tą organizacją poza formalną przynależnością do Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników.

**Reformy roku 1970 na Politechnice właściwie mnie odsunęły, już dość mocno, jeszcze na 2 lata przed przejściem na emeryturę, od spraw politechnicznych.** Moja Katedra przestała istnieć. Zresztą miałem koncepcję przekazania kierownictwa Katedry wcześniej jeszcze w ręce jednego z moich docentów, obecnie zwyczajnego profesora i członka Akademii. Niestety, tak się stało, że on zachorował, i do 1970 r. jeszcze ja kierowałem Katedrą. **Od 1973 r. przeszedłem na emeryturę, a w 1972 r. już skorzystałem z prawa zwolnienia się z zajęć dydaktycznych i organizacyjnych,** tak że w ostatnim roku pracy już nie wykładałem.

**Krytycznie oceniam strukturę organizacyjną Politechniki obecnie (1975 r.).** Krótko powiem, że uważałem zawsze, że tworzone instytuty nie powinny mieć charakteru zlepków rozmaitych dyscyplin dalej spokrewnionych na poszczególnych wydziałach, tylko powinny raczej w ramach szkoły skupiać określone dyscypliny. Jest absurdem na przykład, że Politechnika Warszawska mając ciągle 4 czy 5 wydziałów mechanicznych, 2 wydziały inżynierskie nie ma Instytutu Mechaniki. Instytut Matematyki istnieje, bo powstał w 1965 roku. Ale obawiam się, że jakby matematycy dotrwali w rozproszeniu do tego czasu, czy by się doczekali swojego instytutu, a nie zostali włączeni do Instytutów Podstaw Nauk Technicznych, takich czy innych. To właśnie tak się wydaje, że wiele tego rodzaju błędów zostało popełnionych. Reorganizacja ta nie wzięła pod uwagę, że trzeba przede wszystkim wiedzieć, czym ma być wydział.

U nas wydział w tej chwili stał się pewną formą przeżytku, jako naszywka do nadawania stopni i trochę dla administrowania studentami. Także podział kompetencji między wydziałami i między instytutami, moim zdaniem pozostawia wiele do życzenia.

**W roku 1976 na prośbę Rektora prof. Stanisława Pasynkiewicza, przekazaną i popartą ustnie przez prof. Olszewskiego, zgodziłem się dać ogólne opracowanie historyczne PW w latach 1948-1975, do zbiorowej pracy przygotowywanej z racji obchodów 150-lecia Wyższego Szkolnictwa Technicznego w Warszawie (grudzień 1976 r.)<sup>103</sup>,** Opracowanie to, poddane bardziej regułom pracy historycznej, odbiega swoim charakterem od całości „Zapisków”, ale stanowi w pewnym sensie udokumentowane zamknięcie moich ścisłych związków z Politechniką Warszawską i uzupełnia najniezbędniejsze informacje o moim udziale w jej życiu (co było istotnym „lejtymotywem” dotychczasowego zapisu).

## **19. O nagraniach dla Biblioteki PW**

### ***Listopad 1975 r.***

*Nota porządkowa. Na początku listopada 1975 r. zgłosiła się do mnie telefonicznie pracownica Biblioteki Głównej Politechniki Warszawskiej p. Ewa Sulowska prowadząca w komórce „historyczno-kronikarskiej” Biblioteki akcję „nagrań”. Akcja ta rozpoczęta przed kilku laty polega na gromadzeniu zapisów magnetofonowych wspomnień (chyba głównie starszych) profesorów związanych z Politechniką. Jak dowiedziałem się od prof. Eugeniusza*

---

<sup>103</sup> „150 lat Wyższego Szkolnictwa Technicznego w Warszawie 1826-1976”

*Olszewskiego, pracę historyczno kronikarską Politechniki Warszawskiej przejęła właśnie w tym czasie Biblioteka od bylej Katedry Historii Techniki, którą skasowano w wyniku reform roku 1970, włączając samego prof. Olszewskiego i jego asystenta do Instytutu Nauk Społecznych. Ambicją Biblioteki jest prowadzenie komórki o charakterze naukowym – stąd logiczne przejęcie Kroniki uczelni.*

*Z prośbą o nagrania zwracano się do mnie już wcześniej, ale było to zbyt blisko roku 1968 i późniejszych reform organizacyjnych, abym bez niezbędnego w tych sprawach dystansu mógł cokolwiek mówić o Politechnice bez goryczy wydarzeń tego okresu.*

*Tym razem zgodziłem się „nagrywać” i pierwszy seans odbyłem 15 listopada, w 60. rocznicę powołania do życia Politechniki Warszawskiej z polskim językiem wykładowym na terenie dawnego „Instytutu Politechnicznego im. Cara Mikołaja II”. Tak się złożyło, że 1 października 1975 r. – był 50-leciem rozpoczęcia mojej pracy asystenckiej przy Katedrze Aerodynamiki. Przed 10-ciu laty 1 września 1965 r. przekazałem rektorat Politechniki w ręce prof. Dionizego Smoleńskiego. W tym pierwszym 90-minutowym nagraniu złożyłem informację o moich zapiskach pamiętnikarskich i w dużym skrócie przedstawiłem kalendarz moich powiązań z Politechniką, aż do wyboru na Rektora uczelni w latach 1959 i 1962. Tak jak i w tych zapiskach niewiele jeszcze zdążyłem powiedzieć, o ważniejszych wydarzeniach mojego podwójnego rektoratu.*

*Zaznaczę tylko sygnaturę rolki na której dokonano zapisu. Podobnie, być może uczynię z nawrotem do spraw Instytutu Aerodynamicznego, który zresztą ma już swoją częściową dokumentację historyczną w opracowaniach życiorysowych prof. Witoszyńskiego już dawniej opublikowanych. Niemnie jednak zamierzam temat IA nagrać. Zakończę moją magnetofonową dokumentację stosunków z Politechniką relacją z okresu 1965-1972, tzn. po odejściu z rektoratu. Do tego tematu powrócę być może fragmentarycznie w zapiskach, a także w cyklu „Miodowa-Wiejska”, jeżeli go kiedykolwiek napiszę. Wyprzedzeniem tego okresu jest relacja z wypadków marcowych 1968 r., która gdzieś w tym miejscu powinna być wmontowana przy ostatecznym porządkowaniu tekstu. Sądzę, że w najbliższym czasie nie będę mógł zasiąść do spokojnego pisania. Po skończeniu nagrań zrelacjonuję czy dokonane zostały zgodnie z podanym wyżej planem i ewentualnie co do nich dodałem. W ten sposób mógłbym przy podjęciu dalszego pisania przystąpić od razu do jednego z dalszych cykli („Miodowa-Wiejska”, bądź „Fabryka Śmigieł, wojna, okupacja” zostawiając na koniec „Mój dom” lub „Moje domy”).*

## 20. Nota porządkowa

**24.09.1978 r.**

*Po blisko 3 latach powracam do moich zeszytów pamiętnikarskich. Ostatnia nota z cyklu „Politechnika” pochodzi z listopada 1975 r. Zaprogramowane nagrania dla Biblioteki PW odbyły się. Nie bardzo z nich jestem zadowolony. Nie zastąpią z pewnością opisanie ostatnich lat cyklu „Politechnika”, tym więcej, że nie wiem, czy zostały spisane. W każdym razie do tej chwili nie miałem okazji ich „autoryzacji”.*

*Natomiast należy odnotować, że zgodnie z zamierzeniem sformułowanym na końcu poprzedniej strony, zamierzam w ten sposób zakończyć na razie mój cykl „Politechnika” i przejść do innych wspomnień. Innych zarówno z uwagi na teren mojej działalności, jak i być może – sposób ujęcia. Czasu zostaje coraz mniej. Trzeba będzie raczej dążyć do syntetycznych skrótów, możliwie wiernych historycznie, z ewentualnym wskazaniem dokumentacji.*

*Jeszcze dwie uwagi. Pod naciskiem mgr Renaty Mayer Kierownika Oddziału Gromadzenia Biblioteki Głównej uporządkowałem w lecie 1976 r. dość wyczerpująco (chyba z małymi tylko przeoczeniami) nie tylko bibliografię moich (nie tak bardzo licznych) prac aerodynamicznych, lecz również rozsianych po różnych periodykach prac i artykułów treści historycznej, dotyczących organizacji szkolnictwa technicznego i problemów dydaktyki szkoły wyższej, a wreszcie dość obszernej publicystki, aż do okolicznościowych wywiadów. Porządne (tego przypilnowała p. Mayer) udokumentowanie tego obszernego spisu (który w postaci otwartego rejestru z podziałem na różnego typu i treści publikacje zachowuję w mojej żelaznej szafie) obejmującego okres do roku 1975 zabrało sporo czasu. Również uporządkowanie dokumentacji „osobistej”, nominacje, dyplomy, odznaczenia, nagrody etc., jest wynikiem nacisku p. Mayer. Wszystko to można znaleźć w niezbędnym ładzie we wspomnianej „żelaznej szafie”, obecnie pod opieką inż. Aleksandra Szyszkowskiego. Druga uwaga, którą chciałbym przekazać, dotyczy moich „autobiogramów”.*

*Na prośbę redakcji Varsavianów PWN napisałem mój życiorys wg pytań typu ankietowego. Piętnaście stron nie bardzo czystego rękopisu dołączam do tego zeszytu, nadając im kolejną numerację stron 277-291 (w tym 277a i 279a). Kopia maszynopisu 17 stron w szafie u Szyszkowskiego i u mojej córki. Jedną kopię zamierzam zdeponować w NOT (może u inż. Jana Legata). Ten przewodnik po tekście moich rękopisów*

*pamiętnikarsko-życiorysowych poprzez zachowanie kolejności numeracji stron, wskazuje na chronologię pisania.*

*Uzgodnienie, względnie eliminację sprzeczności w relacjach pewnych faktów i ich lokalizacji na drabince chronologicznej muszę pozostawić autorowi mojej biografii, jeżeli „ktoś” „kiedyś” podejmie taką pracę. Z zachowanej notatki podaję. Rozpocząłem pisanie w roku 1967 (15 stron – lipiec). W sierpniu 1969 r. napisałem dalszych 30 stron. W sierpniu 1970 r. (Mądralin) i we wrześniu dociągnąłem do str. 152. W sierpniu 1972 r., a potem w lutym 1974 r. przybył dalszy ciąg pisania, którego większa partia do s. 273 jednolitej numeracji przypada, trochę na Warszawę w tymże 1974 r. i Świder w lutym 1975. W lipcu 1973 r. – pierwszy zawał w Bukareszcie, w sierpniu 1977 r. – drugi w Warszawie. W tymże miesiącu sierpniu 1977 r. śmierć mojej żony. Jeżeli ktoś będzie mnie sądził, za nieporządek w moich zapisach, niech weźmie pod uwagę dorywczość, z jaką te prace podejmowałem.*

*Dalsze 9 stron (do 301 włącznie) pozostawiam na ewentualne noty dodatkowe dotyczące specjalnie tematu Politechniki (będę je wówczas ściśle datował dla zachowania wspomnianej reguły chronologicznej numeracji stron). Jeżeli w tym zeszycie miałbym wrócić jeszcze do tematu Politechnika (np. weryfikacja treści nagrań) to numeracja stron nie uwzględni teksty poświęconej innym tematom. Tak więc nowy V zeszyt zaczynam str. 301. Prawdopodobnie będzie to okres wojny i okupacji.*



## IV. FABRYKA ŚMIGIEŁ

### 1. Nota wstępna

**26.09.1978 r.**

*Na s. 274 rękopisu, w zeszycie 4 moich „zapisków” podałem swego rodzaju przewodnik po blisko trzystu stronach moich notatek historyczno-biograficznych, obejmujących cykl „Politechnika” i dwa skrócone biogramy (raczej autobiogramy 40 str. i ok. 18 stron maszynopisu.*

*Nie widząc w najbliższym czasie warunków do intensywniejszej, ciągłej pracy nad pamiętnikarskim, ale choć trochę historycznie udokumentowanym opisaniem mojej działalności w innych płaszczyznach mojej działalności życiowej, postanowiłem przenieść na kartki tego zeszytu fragmenty moich wspomnień, mogące się złożyć kiedyś na obraz mojego życia, a także epoki, w której przyszło mi żyć i działać.*

*Dlatego rezygnuję narazie z dłuższych cykli, o których kiedyś myślałem (Fabryka Śmigieł Szomańskiego, Miodowa i Wiejska – jako powiązana działalność w Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego i w Sejmie, Komitet Pokoju – i szersza aktywność w tej dziedzinie, dom rodzinny itd.). Będę z nich wybierał fragmenty o szczególnym dla mnie znaczeniu, bądź jak sądzę większej wartości jako materiał źródłowy.*

### 2. Fabryka Śmigieł na Marymoncie – Bielanach (W. Szomański i Sp.)

**19.04.1979 r.**

*Jest to część, której chciałbym nadać charakter o pewnej wartości historycznej dla rozwoju techniki lotniczej w Polsce w okresie międzywojennym. Wypełniając przy okazji ważny odcinek mojego życiorysu, nie będę miał wyrzutów sumienia, że zaniedbuję mój wkład do obszernie zakrojonej zbiorowej pracy, której kierownictwa podjąłem się przed rokiem na prośbę dyrekcji Instytutu Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN (prof. J. Miąso, prof. Dobrzycki), której to pracy nadaliśmy roboczy tytuł: Polska technika lotnicza do II wojny światowej. Należy się w niej miejsce i „mojej” Fabryce Śmigieł, o której już wspominałem w części „Politechnika”, komentując moje formalne rozstanie się z Politechniką w r. 1935. W wielu miejscach będę odsyłał do prawdopodobnych źródeł, które*

*będą mogły, lub mogłyby uściślić notowane obecnie fakty i liczby. Zarówno w dotychczasowych publikacjach, tak Andrzeja Glassa jak i Ryszarda Bartla, informacje w tej dziedzinie są nie tylko skromne, ale i obciążone błędami.*

**Fabryka Śmigieł na Marymoncie-Bielanach, ul. Kamedułów 71a. Dziś ul. Gwiaździsta.** Dalej za ul. Kamedułów wał wiślany. Od zachodu teren ograniczony rzeczką Rudawką, za którą rozciągał się Lasek Bielański sięgający aż do późniejszego CIF (AWF). **Od południa ściana frontowego budynku i dalszych zabudowań fabrycznych, (na ogół niskich szop) fabryki Więckowskiego, tzw. Blaszaneki** prowadzonej przez energicznego majstra, który prędko wyrósł na liczącego się przemysłowca. (U niego były tłoczone z kawałków i spawane, a później już prawie w całości tłoczone karoserie Fiatów 506 (?), których produkcję rozpoczęto – chyba we wczesnych latach trzydziestych. Za „Więckowskim” ul. Podleśna ograniczająca od południa Lasek Bielański. Po północnej stronie terenu Fabryki Śmigieł, u stóp wału wiślanego, miejska stacyjka pomp.

**Trudno mi ustalić datę powstania firmy „Matwiejew i Szomański”** (lub „Szomański i Matwiejew” Fabryka Śmigieł (i chyba już wtedy z dodatkiem „i wyrobów drzewnych i metalowych”)<sup>104</sup>. **Matwiejew, rzutki inżynier, rosyjski emigrant,** który już objechał Europę; **Włodzimierz Szomański o świetnej prezencji, były rotmistrz kawalerii, który zakończył służbę w wojskach lotniczych.** Pierwszy reprezentował pewne doświadczenie, drugi wartościowe stosunki w sferach wojskowych, które mogły zapewnić zamówienia i zaliczki. Kapitałów nie wniósł chyba żaden ze współników. **Technika fabrykacji oparta była na „licencji” francuskiej firmy „Intégrale-Chauviere”, której najmocniejszym atutem była wyłączność (chyba tak) zastosowania do pokrywania śmigieł laki chińskiej,** reprezentowanej przez firmę „Tonkin lacque”. W każdym razie przypominam sobie czarne śmigła pokryte znakomitą w istocie powłoką „chińskiego lakieru” z naklejkami (kalkomania) zarówno "Intègrale Chauviere" i mniejszą – „Tonkin lacque”. Dla zaznajomienia z procesem produkcji firma (M. i Sz.) wysłała do Paryża późniejszego długoletniego majstra Witolda Wierzbickiego i brata Włodzimierza, (młodsze od niego) Romana Szomańskiego, byłego pułkownika lotnictwa rosyjskiego (odznaczonego m.in. Krzyżem Świętego Jerzego), początkowo słabo mówiącego po polsku. Włodzimierz Szomański jako młody oficer brał ochotniczo udział w ostatnich walkach wyzwoleniczych Bułgarii i był z tego tytułu przez późniejsze przedstawicielstwa tego kraju u nas wysoko honorowany jako odznaczony

---

<sup>104</sup> Do sprawdzenia w archiwum rejestrów handlowych w hipotece – lata 1923-1925.

ich orderami. Stwarzało mu to dodatkowe umocnienie pozycji „towarzyskiej” w ówczesnym światku. (Nota bene Włodzimierz mówił czystą polszczyzną). Sądzę, że szczególne koneksje Romana Szomańskiego sprawiły, że – jak to było wówczas często w niektórych krajach Europy, robotnicze, ale trochę eksponowane stanowiska, zajmowali „biali” Rosjanie. Nie było ich wielu, ale przypominam sobie brygadzystę w klejarni, „kpt.” Cepikowa, pracownika lakierni „płk.” Iwanowa. Buchalterem firmy był niejaki Czerepanow. Jednoosobowym „biurem” p. Olga Chondarzewska, wdowa po oficerze polskiego nazwiska, ale z pochodzenia Rosjanka (i wychowanka petersburskiego instytutu dla „szlachetnie urodzonych panien”, znająca zresztą z tego powodu biegle, zarówno j. francuski jak i j. niemiecki).

Zatrzymuję się nad tymi szczegółami, bo w to towarzystwo wszedłem obejmując techniczne kierownictwo fabryki w r. 1935.

**Pierwszy raz danym mi było zetknąć się z Fabryką Śmigiel w r. 1925**, lub na początku 1926 r., **przy przekazaniu jej wykonania wentylatora do dużego tunelu (nr 2) badawczego dla Instytutu Aerodynamicznego** przez prof. Czesława Witoszyńskiego, u którego rozpocząłem asystenturę 1.X.1925 r. Pisałem już o tych szczegółach w cyklu „Politechnika”. Zaprojektowanie całości urządzenia wentylacyjnego, z zawieszeniem łożysk, układem transmisyjnym i obudową, było moją pierwszą pracą konstruktorską, która miała pójść do wykonania. Poprzednie, również trudniejsze zadania, wykonywane projekty szkolne, nie wzbudzały oczywiście tego swoistego „inżynierskiego” napięcia odpowiedzialności, co nietypowy projekt, który ma być zrealizowany. Profesor rzucił okiem na moje rysunki, zapytał jak liczyłem niektóre szczegóły, ale ani ich nie sprawdzał, ani nie zmieniał. On sam jako konstruktor często robił nowe zupełnie konstrukcje i chyba rozumiał, ile samokontroli i samokrytycyzmu musiałem w to włożyć.

Tak to został zamówiony w Fabryce Śmigiel duży, 5-metrowej średnicy wentylator z 5 łopatkami oddzielnymi, uchwyconymi piastą stalową o średnicy 1,8 m.

Piszę niestety więcej o sobie niż o fabryce, ale to był mój pierwszy z nią kontakt, a dla mnie duże przeżycie (nie miałem wtedy jeszcze dyplomu i ukończonych studiów).

Miałem sporo kłopotów, bo wał transmisyjny, łożyska i sprzęgło robił ktoś inny (chyba „Pocisk”), a wielką piastę fa „Avia” (gdzie Szomański był również współnikiem, obok głównego właściciela Koźmińskiego – przedsiębiorcy i Nowońskiego, chyba „wyrosłego” z majstrów; Szomański wnosił tam znów stosunki z kołami wojskowymi lotnictwa).

Technicznym dyrektorem w Avii była wówczas (a może doradcą) znana w polskim przemyśle lotniczym postać, inż. Witold Rumbowicz. Kiedy pokazałem mu pełny zestaw rysunków, powiedział mi: „Zrobić to my to panom potrafimy, ale według mnie to musi się wszystko rozlecieć, jak pójdzie w ruch”. Ale nie potrafił mi wskazać alternatywnego rozwiązania. Porozmawiał jeszcze potem z Witoszyńskim. I wreszcie przyjął zamówienie. Po roku (mniej więcej) spotkał mnie gdzieś i pyta: „Jak tam pański wentylator?” – mówię: „Jak trzeba i nie zamierza się rozlecieć”. Powinnował mi i odtąd przy dorywczych kontaktach zawsze okazywał życzliwość.

**W latach 1925-1930 firma musiała przejść niemałe trudności. Zmieniła nazwę na „W. Szomański i Ska z o.o.”** Jak się potem dowiedziałem, wyszedł z niej Matwiejew, przybył emerytowany generał Stanisław Wróblewski, reprezentujący interesy swego brata infulata stale przebywającego w Rzymie. Znacznie ponad połowę udziałów pozostało w ręku Włodzimierza Szomańskiego, a chyba ponad 80% w rękach obu braci Włodzimierza i Romana. Kapitał zakładowy wynosił 50.000 zł., a więc nie stanowił mocnej podstawy. To też firma zadłużona zarówno u dostawcy surowca (jesionu) L. Piżyca (ciągłe „przekręcanie” weksli), jak i u licencjodawcy, musiała obciążyć się większym kredytem w Banku Gospodarstwa Krajowego i praktycznie przeszła pod jego kuratelę.

**Obok kłopotów z brakiem kapitału obrotowego, zjawiają się przed Fabryką Śmigieł u progu lat trzydziestych innego typu trudności. Kończy się możliwość „reprodukcji” śmigieł dla samolotów pochodzących z importu,** lub dla niewielkich zresztą serii budowanych licencyjnie według francuskich przeważnie wzorów, gdzie produkcja opierała się po prostu na kopiowaniu śmigieł zakupionych razem z samolotami i silnikami. Rozpoczyna się już w końcu lat dwudziestych coraz intensywniejszy „nacisk” **polskiej konstrukcji prototypów, dla których fabryka nie ma właściwych modeli.** Tu i ówdzie łąta się, z pomocą konstruktorów płatowców, przeróbkami śmigieł dla tych samych silników zamontowanych na znanych płatowcach obcych. Ale **na początku lat trzydziestych zjawia się perspektywa „boomu”, albo załamania firmy.** Na horyzoncie zjawiają się serie pościgówek (czyli myśliwców – nie jestem pewien, jak należałoby je według ówczesnej nomenklatury nazwać) Puławskiego w PZL, własne konstrukcje PWS i LWS<sup>105</sup> zapowiadają również dłuższe lub krótsze serie.

---

<sup>105</sup> PWS – Podlaska Wytwórnia Samolotów, LWS – Lubelska Wytwórnia Samolotów.

**Kluczową pozycję stanowi jednak przechwycenie zaopatrzenia w śmigła pościgówek P.7, które mają pójść do produkcji w liczbie ok. 150 sztuk. 150 sztuk dla PZL, 150 sztuk jako regularna rezerwa do magazynów w Dęblinie – to razem 300 sztuk, a więc przy ówczesnych cenach blisko 200 tys. zł., to dla firmy z kapitałem zakładowym 50 tys. zł. niemała szansa. Nadto bristolowskie silniki, zarówno Jupiter na P.7 jak i Merkury w późniejszych wersjach P.11 pracują z drewnianymi śmigłami. (Jest to era ofensywy śmigieł metalowych stałych lub nastawnych na ziemi, nie lepszych, ale parokrotnie droższych, które lansują głównie Francuzi, ale i czeska Letov zaczyna je robić i sprzedawać).**

**Tu zaczyna się moja współpraca z Fabryką Szomański. Uznany w naszym kółku lotniczym specjalistą od śmigieł jest Franciszek Misztal, który niedawno robił z tego zakresu pracę doktorską u prof. Teodora Karmana. Misztal pracuje w tym czasie (ok. 1930 r.) w PZL. Do niego zwraca się Szomański o zaprojektowanie śmigieł na P.7 (może również na P.11). Pech chce, że Misztal w 1931 czy 1932 r. łamie brzydko nogę na nartach. Według relacji majstra Wierzbickiego, pierwsze jego szkice projektowe (nie widziałem ich nigdy) nie pozwalają na zrobienie prototypu. Wówczas zwraca się Szomański o radę do Profesora. Ja miałem już wtedy za sobą projekty kilku wentylatorów i nie bardzo chyba udane projekty śmigieł dla samolotów R.B.A. Bartla (chyba na BM4). Podejmuję się. Nota bene, źle poinformowany rozpoczynam od projektu na P.11 z Merkurym. Prędko sprawa się wyjaśnia i robię szybko w ciągu niewielu dni dwie wersje prototypowe na P7 z Jupiterem VIIF (licząc na prędkość zadaną – zdaje się ok. 320 km/godz. i przez ostrożność na mocno mniejszą). Oba śmigła okazują się za ciężkie. Silnik nie osiąga maksymalnych obrotów. Śmigło liczone na mniejszą prędkość jest bliższe założeniom. **Robię trzeci rysunek na jeszcze niższą prędkość i trafiam we właściwe obroty. Prędkość maksymalna wynosi ok. 310 km/godz.** Potem podciągnę ją trochę, już tylko doskonaląc śmigło. **W fabryce wielka radość. Przychodzi zamówienie na 150, i dalsze 150 śmigieł do polskich pościgowców.** Droga dla śmigieł na P.11 otwarta.**

**Odtąd ustala się moja współpraca z fabryką na Bielanych.** Ustalają się też warunki finansowe. Dostaję 200 zł za rysunek (nie przekazując obliczeń) i po 20 zł (a może 15 zł) od wyprodukowanej sztuki. W stosunku do nakładu czasu, mimo tych niskich stawek, pozycja tych wpływów zaczyna być ważąca w moim budżecie, bo różnych prototypów nowych samolotów przybywa.

**Moją pozycję jako „śmiglarza” ustala „casus” naszego eksportu pościgówek i sprzedaży ich licencji do Rumunii.** Ponieważ warunki licencji silników Bristol ograniczały ich produkcję tylko na teren Polski (licencję na inne kraje Europy zakupiła od Bristolu francuska wytwórnia silników Gnôme-Rhone wyłącznie w celach blokady, dla ułatwienia własnej sprzedaży), **musieliśmy eksportować nasze samoloty (Turcja, Rumunia, Grecja) pościgowe z francuskimi silnikami Gnôme-Rhone**, zakupywanymi zresztą bezpośrednio przez naszych odbiorców (tak chyba było). **Silniki przysyłali do nas do zamontowania na płatowce Francuzi z... metalowymi śmigłami (stałymi).** Wydawało się więc, że odpadnie cały nasz „eksport” związany z transakcjami PZL. Tymczasem sensacja. **Próbne starty źle wychodzą.** Oblatywana maszyna wlecze się przez całe lotnisko. Telefony do mnie. Proszę o przysłanie śmigła do pomiarów. Równocześnie, na wszelki wypadek, **zamawiają u Szomańskiego dwa prototypy w ekspresowym terminie.** Polecam sklejenie bloków z dostatecznymi rezerwami, biorę się za dokładne pomiary i „wsteczne” obliczenie śmigła dostarczonego przez Francuzów. Moja konsternacja: śmigło jest w zasadzie dobrze dobrane dla normalnych warunków lotu. Niewiele dałoby się z aerodynamicznego punktu widzenia poprawić. Robię nowe obliczenie, uwzględniające maksymalne warunki startu i odsyłam dwa rysunki do fabryki. **Jedno śmigło polecam jak najprędzej wykończyć** (z pominięciem zwykłych terminów odstępów międzyoperacyjnych) **i przekazać do PZL.** Tam jest jeszcze misja rumuńska mająca dokonać odbioru. **Zamontowanie śmigła. Start i rumuńska PXI startuje lekko, niemal świecą, z połowy lotniska.** Silniki Gnôme-Rhone były większej mocy od Merkurych wbudowywanych do naszych P.11, stąd ten efekt dla lotniska niecodzienny – start nieporównywalny, nie tylko z próbą na metalowym śmigle francuskim, ale i z naszymi pościgówkami. **Wielkie „hallo” dla „drewniaków” Szomańskiego i wiara w moją cudotwórczość.**

Zaraz zamówienie – 50 + 50, premia od Szomańskiego, który wyciągnął dobrą cenę za ekspresową dostawę i nieprzymuszone podniesienie stawki od sztuki na 25 zł. Musiało to być wszystko przed 01.10.1935 r. kiedy na stałe przeszedłem do Szomańskiego i właściwie ustalona pensja miesięczna i roczne gratyfikacje regulowały nasze stosunki finansowe.

Długo nie chciano wierzyć wśród kolegów, że w „cudzie” rumuńskim zaważył głównie większy ciężar i większa bezwładność metalowego śmigła, które opóźniało w stosunku do mojego „drewniaka” przyspieszenie obrotów w początkowej fazie startu. Wyciągnąłem z tego później właściwe wskazania przy projektowaniu śmigieł. W tym też czasie **zaczął się**

**nacisk władz wojskowych na Szomańskiego na stałe zaangażowanie właściwego kierownictwa i personelu technicznego do fabryki, jeżeli chce się ją utrzymać.**

**Tak doszło do mojego rozstania z Politechniką i przejścia do Szomańskiego.**

Pisałem już o tym gdzieindziej, jaki był stosunek prof. Witoszyńskiego do podjętej przeze mnie decyzji. Od Szomańskiego, na jego zapytanie uzyskałem bez oporów pensję miesięczną, która netto wynosiła trochę więcej niż moje dotychczasowe łączne zarobki w Politechnice i nieregularne wpływy od Szomańskiego. Szybko osiągnięte w fabryce wyniki pozwoliły mi podnieść o 50% (ok. 2250 zł. netto) moje miesięczne uposażenie bez protestu ze strony Zarządu. Wkrótce po mnie wszedł do firmy jako 10% wspólnik Eugeniusz Mączyński, reemigrant ze Stanów Zjednoczonych, który twardą ręką ujął sprawy finansowo-bankowe. W ciągu dwu lat nie tylko zlikwidowana została kuratela Banku Gospodarstwa Krajowego, **ale nadwyżki bilansowe nie dzielone między wspólników pozwoliły na zmianę formy spółki na spółkę akcyjną z kapitałem zakładowym 250 tys., a następnie 400 tys. zł, co znalazło wyraz w nowych budynkach i niezbędnej modernizacji wyposażenia.** Nota bene nastąpiło to bez windowania cen, a nawet przy obniżeniu ich na niektóre typy śmigieł i przy wzroście średniej płacy godzinowej robotników. Nie dotknęły te podwyżki najwyżej opłacanych specjalistów (tzn. śmiglarzy ręcznych 1,50 zł/godz.). Ale odczuli to pracownicy maszynowni i częściowo tzw. pomoc, którzy dotąd wynagradzani byli na poziomie przeciętnie stosowanym w innych zakładach mechaniczno-drzewnych. Chodziło o podniesienie ambicji całej załogi: żeby praca w „śmigłowie” stanowiła wyróżnienie. Pozwalało to potem, przy powiększaniu personelu w miarę rozszerzania zakresu (ilościowego i asortymentowego) produkcji, na dobór „dobrych” ludzi. **Za tym w późniejszych latach poszły różne świadczenia, w których fabryka okazywała pomoc (budowa domków – co prawda skromnych, ale lepszych od dawnych ruder, w których mieszkali na Marymoncie i Powązkach), gwarancje dla zakupu ratalnego (rowerów, a w ostatnim roku przedwojennym również motorowerów).**

Zanim przejdę do opisu spraw fabrycznych, chcę jeszcze jedną udaną akcję typu społecznego przypomnieć. Wśród robotników fabrycznych zastałem tylko jednego „śmiglarza” z pełną ukończoną szkołą podstawową (7 klas). **W porozumieniu z kierownikiem miejscowej szkoły, pełnym „społecznego ducha”, przy bardzo skromnych ekwiwalentach finansowych ponoszonych przez fabrykę, uruchomiliśmy naukę w zakresie pełnej szkoły podstawowej z elastycznym awansem od postępów zależnym, do której**

**zachęciłem wszystkich młodszych robotników.** Na niespełna 100 osób załogi w tym czasie zgłosiło się kilkunastu chętnych, którzy na ogół nie zniechęcili się. (Może zauważyli, że drobne podwyżki godzinowych wynagrodzeń „przypadkiem” zbiegały się z ich postępami w szkole). W 1939 r. najbardziej zaawansowani uzyskali świadectwa ukończenia szkoły podstawowej .

Pozwoliłem tu sobie na eksperymenty, dotąd nie wiem, czy legalne w świetle obowiązujących wówczas przepisów prawa pracy. (Nota bene zarówno w normowaniu prac jak i warunków pracy nasza załoga, jako swoisty fach „śmiglarzy”, nie była objęta przepisami umów zbiorowych i wstyd mi przyznać, że nie wiem do dziś, czy i do jakich związków zawodowych nasi pracownicy należeli. Zarobki mieli jednak lepsze niż średnie w przemyśle metalowym i drzewnym). Jeszcze jedna rzecz. Nie praktykowaliśmy (jak np. nasz sąsiad Więckowski w „Błaszance”) pracy z tzw. „uczniami”, najczęściej zwalnianymi przed terminem wyzwolin. Stąd też duża była różnica między tymi dwiema fabrykami stykającymi się plecami. Muszę przyznać, że Szomański, a z nim Zarząd Spółki, choć nie od razu, ale z coraz większą aprobatą widział moje interwencje w opisanej dziedzinie. A propos eksperymentów. **Jednego szczególnie upalnego lata, po zbadaniu opinii załogi, zaproponowałem 5-dniowy (40-godzinny, zamiast 46-godzinny) tydzień pracy przy zachowaniu pełno godzinowej wypłaty, z warunkiem wykonania globalnego, tygodniowego planu.** Obiecałem przy tym, że nie wykorzystam tej zwiększonej wydajności dla zmiany norm. Chwyciło, i w następnym roku już sami robotnicy o to prosili (nie pamiętam, czy to było zrealizowane, bo zdaje się był to już gorący w dwojakim sensie – jeśli chodzi o lato – rok 1939). Ponieważ wiedziałem o podwyższeniu czasu pracy w warunkach wojennych do 10 godzin, obawiałem się powtórzenia tego interesującego eksperymentu.

W każdym razie, nie chcąc zresztą wpaść w ton przechwałek, **udało mi się już w pierwszych latach mojej pracy w fabryce poprawić efekty bilansowe, podnieść płace (a raczej zapoczątkować systematyczne ich podnoszenie) i de facto obniżyć ceny, które płacili odbiorcy, tzn. głównie wojska lotnicze. Rozpocząłem również od razu wzmocnienie pionu technicznego** orientując się, że sama moja praca konstruktora nie wystarczy dla szerszego rozwoju firmy przez wzbogacenie asortymentu, wymagającego wkładu pracy inżynierskiej.



Kiedy rozpocząłem pracę na ul. Kamedułów 71a, rozległy plac fabryczny, usytuowany, jak to pisałem na wstępie, robił dość miłe wrażenie. W budowie była murowana portiernia z mieszkaniem dla portiera i spory budynek, którego piętro przeznaczone było na biura, w tym duża część na moje techniczne potrzeby; parter – na lakiernię i obszerne pomieszczenie dla końcowego odbioru z kantorkiem dla kontrolera wojskowego. Szpeciła ten obraz szopa ze składem skrzyń (przypominająca stodołę, którą może kiedyś była za czasów poprzednich użytkowników). Dotykający nowej lakierni i „biurowca” główny budynek fabryczny był typowym, „tanim” przykładem francuskich zakładów tego rodzaju małych fabryczek, w których dbano przede wszystkim, aby „frank dawał franka”. Gorąco w lecie, zimno w zimie, duszno w pomieszczeniach pracy ręcznej, pył drzewny w maszynowni bez żadnych urządzeń odciągających przy obrabiarkach.

Z tyłu, za tym budynkiem – ruderą z dawniejszych czasów, plecami do budowli, w której mieścił się bardzo skromnie wyposażony i personalnie nieliczny warsztat mechaniczny i spore pomieszczenie na produkcję uboczną. Wszystko to zakończone prymitywnymi ustępami komunikującymi się z Rudawką.

A propos wspomnianej produkcji ubocznej. Szczególnie w pierwotnym okresie (lata 1925-1930) wykonywano trochę (dobrej – na specjalne zlecenia) stolarki budowlanej. Potem namówił ktoś Szomańskiego na budowę kajaków „monokok”, wielowarstwowy fornir oklejony na trwałej formie – ale wychodziło to drogo i trudno było znaleźć nabywców.

Uczciwie to muszę stwierdzić, że **zastąpiłem już u Szomańskiego pierwsze próby budowy nart samolotowych konstrukcji inż. Bernarda Szyncera**, który też nadzorował produkcję, na warunkach bliżej nieokreślonej umowy licencyjnej i pokrywania kosztów wykonawstwa przez firmę. Z nartami lotniczymi zetknąłem się wcześniej w czasie prób tunelowych zainicjowanych przez inż. Litwinowicza, który jednak w późniejszym okresie nie przejawiał (bodaj w związku z chorobą) dalszej inicjatywy. Szyncer, dobry konstruktor z zacięciem do „interesu”, był istotnym promotorem tej produkcji, która zaczęła się obiecująco rozwijać równoległe z produkcją śmigieł.

**Moja działalność inwestycyjna zaczęła się od zaprojektowania i wykonania we własnym zakresie systemu odprowadzającego wióry z maszynowni i radykalnego zmniejszenia zapylenia.** Na najbliższy sezon budowlany, wprowadzając architekta (Edmunda Mariana Michalskiego), który budował i rozbudowywał Instytut Aerodynamiczny, przygotowałem wysoką, jasną i przestronną, dającą perspektywę rozwoju produkcji,

„śmigłarnię ręczną”, do której już na jesieni 1937 r. przenieśliśmy z dawnego pomieszczenia ten najodpowiedzialniejszy dział produkcji (Czy najodpowiedzialniejszy? Każdy etap produkcji śmigła, kontrolowany skrupulatnie przez nie bardzo „lotnego”, ale przestrzegającego przepisów kontrolera, „młodszego majstra wojskowego” – plutonowego Adamczewskiego – był ważny.) Już w zimie 1936/1937 r. praca odbywała się w zupełnie odmiennych od zastanych warunkach. Już według własnych projektów, radząc się tylko Michalskiego, przebudowałem tylny budynek nad Rudawką i zmodernizowałem nie do poznania walącą się szopę – składnicę skrzyń. Dobudowaliśmy też garaż.

Jeśli chodzi o **proces technologiczny produkcji, zdołałem stopniowo zmienić niektóre warunki techniczne i wygórowane wymagania materiałowe** żywcem przeniesione z przedwojennych i wojennych przepisów francuskich (podejrzewam, że nigdy rygorystycznie nie stosowanych), które w oparciu o moje obliczenia i późniejsze doświadczenie, stanowiły oczywiste marnotrawstwo cennego materiału drzewnego (jesionu najwyższej klasy!).

**Stopniowo wprowadziłem modyfikację tolerancji wymiarowych, łagodząc jedne, a zaostrzając inne.** Ale były to drobne rzeczy. Zagadnienie, które mnie najbardziej nurtowało, to była **sprawa naszego „Tonkin laku”, chińskiego** (ściślej może indochińskiego) pochodzenia. Abstrahując od pewnych technologicznych niedogodności, o których za chwilę, moje zastrzeżenia były dwójakiej natury. Po pierwsze, odcięcie od źródła zaopatrzenia – Francji, na wypadek konfliktu, jaki się już rysował. Po wtóre, warunki umowy, gdzie opłata dla licencjodawcy liczona była od sztuki i typu śmigła. Zaufany lakiernik firmy Chauviere, p. Ma-Wei-Li, zresztą ożeniony z Francuzką, ojciec dwu milutkich czarnookich dziewczynek, które zaczęły naukę w naszej szkole powszechnej, miał obowiązek wysyłać comiesięczne raporty dla swojej centrali ile i jakich śmigieł wypuścił z lakierni, ile było śmigieł po remontach. Przy tajnościowej obsesji był to oczywiście nonsens. Dawało to jeszcze jedno źródło informacji o zakresie i kierunkach rozwojowych naszej produkcji lotniczej. Firma nasza była poważnie zadłużona u Chauviera w 1935 r.

**Udało mi się przez zawarcie nowego porozumienia z Francuzami, przy którym ustaliliśmy dotrzymywane już później terminy spłaty zobowiązań, przejść na zwyczajny zakup materiałów u nich, bez wyliczania się liczbą śmigieł.** Argument wymagań władz wojskowych w zakresie „tajemnicy produkcji” był nieodparty. Ponadto, co było prawdą, w przypadku braku zgody z ich strony na nowy sposób rozliczeń, mamy własną, choć mniej

doskonałą chwilowo metodę pokrywania śmigieł warstwą ochronną. Tak więc mieliśmy doskonały „Tonkin lak” i prawo zatrzymania Ma-Wei-Li tak długo, jak uznamy za potrzebne dla nas. Oczywiście z „czarami” chińskiego lakieru związana była również **legenda, że jest on trujący dla białych ludzi i tylko Chińczycy, czy w ogóle żółtoskórzy mogą nim operować.**

Składnik tego pokrycia, a więc tzw. „ziemia”, był to proszek w rodzaju naturalnego cementu, który rozpuszczony w lakierze (żywicy roślinnego pochodzenia, jak sądzę) służył za podkład. Tak zagruntowane śmigło szło do nawilżonego pomieszczenia, gdzie „grunt” twardniał w ciągu 2-3 (?) dni. Następowoło potem szlifowanie i dwukrotne nakładanie tego samego lakieru, który służył jako rozpuszczalnik „gruntu”. Po każdym pokryciu następowało szlifowanie i wreszcie nałożenie ostatniej warstwy, którą nasz Chińczyk nazywał „vernix”. Oba lakiery, zarówno gruntowy jak, i „vernix”, miały naturalną barwę żółtobrazową, lekko opalizującą. Nałożone cienką warstwą pod wpływem światła czerniały. W rezultacie otrzymywało się doskonale gładką, i doskonale zwartą (między poszczególnymi warstwami nie powstawały nigdy niespójności) powierzchnię znaną z wyrobów pokrywanych „laką chińską”. Nota bene, później dla unikania odbłyśków od dysku obracającego się śmigła, nieprzyjemnych dla pilota, stosowaliśmy lekkie matowanie tylnych części łopat śmigła przez przeszlifowanie delikatnym papierem ściernym.

**Ten to doskonały „lakier chiński” usiłowałem, ze względów wspomnianych wyżej, zastąpić syntetycznymi lakierami pochodzenia krajowego.** Wszedłem w związku z tym w porozumienie z radomską wytwórnią „Porsa”, którą, przynajmniej technicznie, prowadził cieszący się wysoką opinią dr K. (nazwiska nie pamiętam, ale chyba zaczynało się na „K”). Nie bez zrozumienia interesów własnej firmy, a także pobudzony szansą uzyskania jakości pokryć równowartościowych „chińskiej lace”, dr K. wziął się bardzo energicznie do pracy. **Po licznych próbach i kombinacjach składników poszczególnych warstw, doszliśmy do pokryć zastępczych, nie mogących jednak konkurować z chińskim lakierem.** Ostatnia warstwa wykańczająca zdradzała zawsze w miarę użytkowania śmigła i wpływu warunków atmosferycznych tendencję do lokalnych pęknięć, rozszerzających się w odpryski odkrywające odmiennej barwy warstwę podkładową, co oczywiście dawało nie tylko złe efekty estetyczne, ale stawało się źródłem dalszych uszkodzeń zewnętrznej powłoki. Dla szerszego wypróbowania daliśmy do samolotów szkolnych (przeważnie dla aeroklubów) pewną ilość śmigieł pokrywanych lakierami „Porsa”, ale podstawowa

produkcja szła ciągle na lakierze chińskim (po zmianie warunków handlowych, o których wspomniałem wyżej).

**Główną wadą lakierów chińskich była ich toksyczność**, której widomymi oznakami było „puchnięcie” twarzy i w mniejszym stopniu obrzmienia i swędzenia rąk, co stworzyło legendę o niedostępności pracy przy używaniu tego lakieru dla białych ludzi. Kiedy jednak **zauważyłem, że nasz Chińczyk, Ma-Wei-Li, co parę miesięcy „puchnie” – po zbudowaniu nowej lakierni, znakomicie poprawiającej higieniczne warunki pracy, pomocnik naszego Chińczyka, były carski pułkownik Iwanow, człowiek inteligentny i bardzo schludny, mimo iż niebieskooki blondyn, stopniowo uodpornił się, a przypadki spuchnięć zdarzają mu się o wiele rzadziej niż Chińczykowi – upewniłem się co do rasowych cech odporności. Kierownikiem lakierni został. p. Iwanow, a p. Ma-Wei-Li wrócił do Paryża** ku wielkiemu zadowoleniu swej francuskiej żony. Odtąd tylko dostawami lakieru byliśmy związani z firmą „Chauviere”. Z żalem zakopywałem w dniu ewakuacji kilka beczek zapasu na terenie fabryki (A może leżą tam dotychczas? Pamiętam miejsce!). Na wypadek rozpoczęcia produkcji gdzieś poza Warszawą mieliśmy wypróbowany sposób zastępczy pokrywania śmigieł materiałami krajowymi.

**W latach 1935-1939 miesięczna produkcja śmigieł wynosiła około 100 sztuk przeważnie 3-2 m średnicy** (od pościgówek z silnikami Merkury IV, którego miał potem zastąpić Pegasus VIII, przez różnego przeznaczenia samoloty z silnikami Wright Whirlwind produkcji firmy „Avia”, do samolotów szkolnych, ostatnio chyba przeważnie z silnikami Walter). **Dorabialiśmy też jeszcze ciągle małe uzupełnienia zapasów dla P.7** według moich pierwotnych modeli (silnik Jupiter). Wszystkie wymienione modele silników: Jupiter, Mercury, Pegasus były licencyjnymi wyrobami Fabryki Silników na Okęciu – Szosa Krakowska. Jak już wspomniałem, podział dostaw każdego typu na małe miesięczne serie po 10-15 sztuk nie sprzyjał szerszej mechanizacji produkcji, ale był korzystny z uwagi na wykorzystanie materiału (drewna). W zamierzonym udoskonaleniu obróbki mechanicznej zmniejszającej nakład wykończeniowej pracy „snycerskiej” tzw. „śmiglarzy”, miałem swój plan mobilizacyjny. **Chcąc utrzymać możliwie wysoki stan zatrudnienia specjalistów, dla umożliwienia znacznego zwiększenia produkcji bez powiększania załogi** – poza usunięciem czynności wymagających większego wysiłku fizycznego (wszelkie „dźwigania”, „przenoszenia”), poprawą warunków higienicznych pracy w ciągu pierwszych lat mojej działalności w fabryce – **nie przywiązywałem wagi do mechanizacji obróbki, upatrując w niej rezerwę**, o której wspomniałem wyżej na wypadek zwiększenia produkcji. Szkolenie

„śmiglarza” trwało dość długo i nie każdy stolarz-modelarz się do tego nadawał, natomiast wprowadzenie zmianowości pracy na maszynach i zaopatrzenie ich w dodatkowe urządzenia, nawet siłami własnego warsztatu mechanicznego, stanowiło według mnie operację szybszą.

**System „okuwania” krawędzi śmigieł zmieniłem już przed przyjściem do fabryki,** kiedy to urwanie pod wpływem siły odśrodkowej tradycyjnej ciężkiej czapy mosiężnej przynitowanej na końcu (cienkich u mnie) łopatek śmigła o mało nie „wybudowało” silnika i nie stało się poważną katastrofą przy oblatywaniu jednego z kolejnych prototypów pościgówek z rodziny L. W tym czasie oddawałem na ogół rysunek śmigła bez „rutynowych” części, jaką było np. okucie krawędzi. To był oczywisty błąd, wynikający z „odległego” kontaktu z fabryką.

Żeby skończyć ze śmigłami. Zdawałem sobie sprawę, że dalszy wzrost prędkości nowych typów samolotów stanowi kres dla śmigieł stałych. **Zbliżała się era śmigieł nastawnych.** Najpierw dwupołożeniowych (dwuskoków), a następnie o zmiennym w sposób ciągły (również automatyczny) pochyleniu łopat („Constant Speed” Hamiltona). Sama „aerodynamika” łopat śmigła nie stanowiła problemu (pozostawałem tu ciągle pierwszym specjalistą). **Uruchomienie produkcji piast, ze złożonymi układami hydraulicznymi i przekładniowymi leżało ściśle w profilu produkcji wytwórni silników, dlatego też sugerowałem władzom wojskowym nabycie w znanej firmie śmigłowej Hamilton odpowiedniej licencji na produkcję śmigieł nastawnych (w istocie piast do tych śmigieł) dla W. S. Okęcie, z tym, że nasza firma przystosuje się do produkcji łopatek** (dla mnie w każdym układzie pozostawało ich projektowanie – tzn. gdyby wytwórnia silników chciała podjąć również produkcję łopatek).

Takie rozwiązanie uważałem za bardziej racjonalne, gdyż siłą rzeczy w oparciu o licencję Hamiltona pozostalibyśmy wyłącznie przy łopatkach aluminiowych, nie stanowiących jedyne rozwiązanie w przypadku śmigieł nastawnych. Potwierdził to później szeroko stosowany przez Niemców w czasie wojny wyrób tych łopat śmigłowych z tzw. „pressholzu” (forniru sklejanego przekładkami bakelitowymi i prasowanego). Można było uzyskać strukturę bloku, z którego wyrabiano potem łopatę śmigła, pozwalającą na połączenia z tuleją metalową stanowiącą osadzenie w piaście nastawnej i łopatki robocze – tylko sklepane i minimalnie sprasowane, a więc lżejsze.

**W r. 1938 podjęliśmy przygotowania, po zakupieniu paru odkuwek aluminiowych, do opanowywania elementarnych technik obróbki łopat śmigieł metalowych.**

To chyba w skrócie najistotniejsze sprawy w dziedzinie rozwoju produkcji śmigieł u Szomańskiego po moim tam „nastaniu” w roku 1935. Jak już wspominałem, ekonomicznie fabryka dobrze się rozwijała, a w roku 1939, o czym już gdzieś wspominałem, otrzymałem szerokie pełnomocnictwo rejentalne<sup>106</sup> ze strony zarządu Spółki do samodzielnej gestii w zakresie rozwoju zakładu.

*Jeżeli nie dostanę w lecznicy następnego bloku, będę już c.d. pisał w domu. Mam zresztą nadzieję, że tylko niewiele dni dzieli mnie od wyjścia z lecznicy. (Pisane w Lecznicy Ministerstwa Zdrowia w kwietniu – na początku kwietnia 1979 r.).*

Zapamiętane nazwiska „Kadry śmigłarskiej”: Władysław Wierzbicki – majster, Orłowski – piła taśmowa, Śliwiński – gł. „maszynista”, Grzegorz Pluta – maszynista; śmiglarze (razem 13-15) – Smoleniec, Gawarkiewicz, Brzeziński, Śliwa, Tadeusz Czajkowski – (najmłodszy z 3 braci – 2 pozostali – Władysław – majster mechanik; Czesław – okuwacz śmigieł), Józef Dutkiewicz, Kulesza, Graff, Cepikow – brygadzysta klejarni

### **3. Rekapitulacja stanu rzeczy w zakresie produkcji śmigieł w 1939 r.**

**11 września 1979 r.**

*Przerwa w pisaniu nie ma szczególnego usprawiedliwienia. Po uważnym przeczytaniu części zeszytu V zawierającego relacje z Fabryki Śmigieł na ul. Kamedułów rozpoczynam obecnie od rekapitulacji stanu rzeczy w zakresie produkcji śmigieł w r. 1939, aby przejść potem do omówienia działań fabryki w dziedzinie nart samolotowych.*

W roku 1939 Fabryka Śmigieł, wyrobów drzewnych i metalowych W. Szomański i S-ka, Warszawa (Marymont), ul. Kamedułów 71a produkowała od 100 do 120 śmigieł miesięcznie kategorii od samolotów szkolnych (RWD 8) – średnicy ok 2 m, do pościgowych (raczej myśliwców) kolejnych wersji P średnicy ok. 3 m oraz dla pośrednich innych typów samolotów polskiej wytwórni w Białej Podlaskiej i Lublinie. Prawie wszystkie produkowane śmigła były własnej konstrukcji, tj. własnego (J.B.) opracowania projektowego.

Stopniowe doskonalenie aerodynamicznego projektu śmigieł zawdzięczać należało nie tylko pełnej swobodzie eksperymentowania, jaką miałem w fabryce, lecz także wykorzystaniu moich badań modelowych w Instytucie Aerodynamicznym przy PW.

---

<sup>106</sup> Egzemplarz tego pełnomocnictwa uratował się jakimś cudem. Zresztą jest w zapisach notarialnych.

Eksport związany był sporadycznie z eksportem naszych samolotów (por. opisany przypadek dostaw dla Rumunii) i przeważnie jednostkowych opracowań dla samolotów sportowych różnych pochodzeń dla Danii i Norwegii (patrz niżej narty). Dla Norwegii dostarczaliśmy również sporadycznie śmigła do sań motorowych. Fabryka była dostosowana do stosunkowo szybkiego podwojenia produkcji.

Podobnie jak inne mniejsze wytwórnie pracujące dla wojska, za przykładem „kluczowych” zakładów PZL – płatowce (Mielec), silniki (Rzeszów), firma zakupiła teren pod budowę filii w rejonie Sandomierza w miejscowości Dwikozy.

Rozszerzenie produkcji na śmigła nastawne według licencji Hamiltona pomyślane było, jak o tym wyżej, we współpracy z PZL – Wytwórnia Silników; do żadnych konkretyzacji nie doszło w związku z opóźnieniem realizacji tego programu w PZL, a następnie wybuchu wojny.

Warto podkreślić, że poza ewentualną produkcją łopat metalowych do śmigieł nastawnych wchodziła w grę produkcja łopat z tzw. ulepszanego drewna; tutaj dla przyspieszenia opanowania odpowiednich technologii wchodziła w grę licencja niemiecka; przedwstępne rozmowy (firmy Heine i Schwartz) ze zrozumiałych względów zostały w ostatnich latach trzydziestych zaniechane; powstała natomiast możliwość rozwinięcia zmodernizowanego klejenia w oparciu o płynny klej bakelitowy według patentu krajowego (nie pamiętam nazwiska oferenta, z którym utrzymywaliśmy kontakt).

Zaopatrzenie materiałowe w surowiec podstawowy (drewno jesionowe – zarówno przetarte, jak i w kłodach na placu tartacznym), jak i wszystkie inne, łącznie z lakierem chińskim i zapewnieniem zastępczych dostaw z radomskiej „Porsy”, zapewniały niezakłóconą produkcję przynajmniej roczną, przy znacznym powiększeniu ilościowym.

Moją troską, nierozwiązanym do 1939 r. problemem, było tzw. okuwanie śmigieł, tj. zabezpieczanie krawędzi natarcia paskiem metalowym. Rozpowszechniane w czasie pierwszej wojny światowej okucia z blachy mosiężnej, nitowane przy końcu łopat, były zbyt ciężkie i groziły uszkodzeniem cienkich końców łopat śmigieł – a tej cienkości wymagały względy aerodynamiczne. Zastosowane później powszechnie w naszej produkcji okucia aluminiowe pozwalały się mocować w sposób nie zagrażający łopatce nawet bardzo cienkiego końca śmigła, ale były zbyt miękkie i łatwo było o ich erozję w pylistych lądowiskach polowych, lub dłuższej pracy w czasie deszczu.

Tyle streszczenia o przygotowaniu fabryki Szomańskiego do zaopatrzenia naszego lotnictwa w chwili wybuchu wojny. Tej wojennej produkcji, jak to opisałem w części „Szosa Lubelska” nigdy nie mieliśmy rozwinąć.

Przejdę obecnie, pomijając różne uboczne i dorywcze produkty, których wykonania podejmowała się nasza firma, do drugiej, bardzo perspektywicznej produkcji naszej fabryki, mianowicie do nart samolotowych.

#### **4. Narty lotnicze produkcji Fabryki Śmigieł, Wyrobów Drzewnych i Metalowych W. Szomański i S. A. w Warszawie**

*11.09.1979 r.*

Jak już wspominałem, **ze sprawą nart do samolotów zatknąłem się osobiście** po raz pierwszy **na terenie Instytutu Aerodynamicznego, a więc w każdym razie przed rokiem 1935, gdzie z tematem tym zgłosił się inż. Litwinowicz, podejmując najpierw badania aerodynamiczne.** Chodziło zarówno o optymalizację kształtu samych nart, jak i wpływu zamiany kół przez narty na ogólne właściwości aerodynamiczne samolotu. Nie umiem powiedzieć, dlaczego w późniejszym okresie postać inż. Litwinowicza (bodaj dłuższa choroba) zniknęła z horyzontu.

**U Szomańskiego na jesieni 1935 r. zastałem luźno z firmą związanego inż. Bernarda Szyncera, który intensywnie zajmował się konstrukcją pierwszych prototypowych płóz, mających zastąpić koła samolotu w warunkach zimowych na zaśnieżonych polach startu i lądowania.**

Pracami inż. Szyncera interesował się Instytut Lotnictwa (pamiętam inż. Janiszewskiego, ale byli i inni). W grę wchodziło zaopatrzenie w narty w pierwszym rzędzie samolotów szkolnych RWD8, myśliwców kolejnych wersji „P”-PZL. Dla samolotów szkolnych, gdzie doskonałość aerodynamiczna mniejszą odgrywała rolę, wystarczyły płozy drewniane (o ile pamiętam o powierzchni styku około 400 do 500 mm na 1,5 m). Lakierowano je, jak śmigła, chińskim lakierem. Wieżyczka stanowiąca przestrzenną konstrukcję kratową z rur stalowych używanych w konstrukcjach kadłubów samolotów, wysokości ok. 300 mm (może mniej) zakończona była osadą tulei, w której zamocowana była panew wymiaru identycznego jak panew koła.



**Ewolucją tego prostego typu były narty opuszczane w locie**, tzn. pozwalające na start na kołach i lądowanie na śniegu – na nartach lub na odwrót. Studia konstrukcyjne i próby polegały na ustaleniu maksymalnych dopuszczalnych nacisków jednostkowych, w zależności od rodzaju podłoża śnieżnego. Potrzebne było zbadanie, w jakim stopniu elastyczności pneumatyka koła równoważona jest zetknięciem narty z elastycznym podłożem śnieżnym. Trzeba było dojść do minimalizacji wymiarów narty w najmniej korzystnych warunkach lądowania na śniegu. Ten problem został w drodze prób stosunkowo prędko opanowany. Dla lekkich samolotów okazały się zbędne dodatkowe urządzenia amortyzacyjne, zastępujące elastyczność oporu kół. **Powstały natomiast dwa inne, łączące się zresztą ze sobą problemy. Zdzieranie niezabezpieczonych metalowym podkuciem spodów płóz** (wykroty, kamienie itp. w miejscach polowych lądowań, golizny bez śniegu na drodze startu lub lądowania) i, drugi mankament, **przymarzania nart do powłoki śnieżnej po dłuższym lub krótszym postoju samolotu**. Po licznych próbach (a może również po przeprowadzeniu przez inż. Szyncera wywiadu w Kanadzie, gdzie narty samolotowe prostej konstrukcji musiały być w użyciu) **stwierdzono, że potrzebne właściwości (nie przymarzania), przy równocześnie wystarczających właściwościach mechanicznych, mają „podkucia” nart taśmami blachy metalu Monela**. Metal Monela jest naturalnym stopem rud miedziowo-niklowych bez wydzielania każdego ze składników, przez co tanim, gdyż rudy takie obficie występują właśnie w Kanadzie. Zaopatrzyliśmy się oczywiście ze sporym zapasem w blachę metalu Monela. Kłopoty były tylko z uzyskaniem możliwie cienkich (poniżej 1 mm) grubości, gdyż ciężar właściwy tego metalu był parokrotnie wyższy od aluminium. Sprawa podkuć była więc w perspektywie rozwiązana. Okazała się ona ważna przy przejściu od produkcji nart dla lekkich samolotów szkolnych i awionetek (gdzie dostarczaliśmy je bodaj „bose”, bez podkucia) do wyposażenia w nie pościgówek. Tutaj **wystąpiły zarówno problemy aerodynamiczne, jak i konstrukcyjne**. Stwierdzę krótko, że **udało się drogą obudowania wieżyczek, częściowo cienką blachą aluminiową, częściowo brezentem, nadając zewnętrzny kształt nart przypominający pływaki, uzyskać opór nie przekraczający oporu nieoprofilowanego koła, a nadto uzyskać nieznaczną dodatkową siłę nośną kompensującą w dużym stopniu ciężar narty, sumarycznie większy od ciężaru koła**. W rezultacie maksymalna prędkość pościgówek z nartami nie różniła się praktycznie od ich normalnej kołowej wersji. Pech chciał, że zimy 1936/1937, 1937/1938 były bezśnieżne i dla dokonywania najniezbędniejszych prób musieliśmy po całej Polsce szukać lotnisk choć parę dni ośnieżonych. Pamiętam, że pewną szansę dało nam w tym względzie lotnisko w Lidzie. **Dla pościgówek stosowaliśmy już płozy trójdzielne** w postaci oddzielnie do konstrukcji

nośnej mocowanych części (dochodziliśmy, w próbach do 5 listew płozowych). Zaletą takiego dzielenia płozy była łatwość wymiany (tylko 1 listwy) uszkodzonych płóz, a nadto łatwiejsze uformowanie zarówno podłużnego, jak i poprzecznego profilu powierzchni stykowej płozy z podłożem.

Tutaj będzie chyba właściwy komentarz dotyczący **kontaktów nawiązanych, dzięki ruchliwości inż. Szyncera, z małym biurem pośrednictwa w obrocie sprzętem lotniczym w Skandynawii**, reprezentowanym przez pana z Kopenhagi (nazwiska nie pamiętam), który pośredniczył w małych, ale korzystnych dla nas i dla niego transakcjach z Danią i Norwegią. Po wizycie u nas w Warszawie i zapoznaniu się z doprowadzonymi już do dość wysokiej perfekcji nartami do samolotów pościgowych, podjął energicznie dwie akcje.

Po pierwsze zyskanie poważnych klientów: przede wszystkim Szwedów dla dostawy nart dla dużych samolotów transportowych (może lepiej byłoby je nazwać średnimi) – według ogólnych charakterystyk przypominały głośnie niemieckie „Stukasy”, a więc Junkersy 2. (278, 288?, a może 276?). Wchodziła tu w grę zmiana koncepcji konstrukcyjnej. **Szwedzi stawiali warunek pełnej amortyzacji w ramach narty i to z wykluczeniem układów – amortyzujących olejo-powietrznych** (stosowanych w naszych nartach do pościgówek), z uwagi na używanie ich w warunkach zmiennych niskich temperatur.

Druga sprawa to skala. O ile wymiary gabarytowe nart do pościgówek wynosiły (piszę z pamięci) – nie więcej niż 0,6 x 0,5 x 1,8 m), dla szwedzkich nart, w/g postulowanego ciężaru samolotu z pełnym ładunkiem, wypadały nam płozy przeszło dwa razy większe. Po znalezieniu koncepcji na amortyzację mechaniczną z wyłączeniem typowych sprężyn – **(sięgnęliśmy do dawniejszych rozwiązań samochodowych – amortyzacji przy użyciu wałów skrętnych ułożonych wzdłuż narty, a więc nie zwiększających jej gabarytu) – przyjęliśmy zamówienie gdzieś w końcu 1938 r. z terminem dostawy na koniec sierpnia 1939 r.** (tak się tam pracowało!). Jeszcze jeden warunek Szwedów, który przyjęliśmy, jak się okazało szczęśliwie z tolerancją plusową, to ciężar nart bardzo „wyciśnięty”. Stało się to w toku projektowania **źródłem ulepszenia układu amortyzacyjnego: zamiast prętów skrętnych – stosunkowo grubościennie rury skrętne**. Huta (bodaj Baildon, a może Batory) przyjęła szczęśliwie zamówienie na odkówki (na wszelki wypadek 6, a nie 4, potrzebnych prętów ze stali o odpowiednich dla przeznaczenia właściwościach mechanicznych).

**Niestety żadna z wytwórni dział nie chciała wziąć do wykonania** (co za zamówienie, 4 lub 6 sztuk!?) **obróbki tych odkówek. Najistotniejszą sprawą było osiowe przewiercenie**

**blisko 4-metrowych prętów i to gładko, bez karbów mogących zagrozić wytrzymałości naszych rur skrętnych.** Żeby już skończyć z tymi szwedzkimi nartami, które – jak się potem okaże – miały odegrać szczególną rolę w historii naszej fabryki, zatrzymam się przy tym fragmencie wiercenia naszych prętów skrętnych, co decydowało o powodzeniu całej realizacji dopieszczonej w szczegółach konstrukcji. **Pracował u nas w fabryce tokarz, p. Eustachy Zalewski** (którego nazwisko już wspominałem w innym miejscu moich zapisków pamiętnikarskich). **Biorąc udział w naszych debatach pewnego dnia rano powiedział mi: „Jeżeli pan inżynier pozwoli na jakiś czas rozmontować 2 tokarki i da mi na zepsucie jedną odkówkę – to ja przewierzę te bloki”.** Co miałem zrobić. Niewiele ryzykowałem. **Po dwu tygodniach mieliśmy przewiercone potrzebne 4 pręty (i to bez żadnego zniszczonego).** Zalewski należał niewątpliwie do Polaków, „którzy potrafią”. Dla jasności powiem jeszcze, że większa tokarka, którą rozporządzał Zalewski, nie miała wiele więcej niż 2 metry długości łoża.

Drugim ewenementem nartowym było uzyskanie za pośrednictwem naszego duńskiego pośrednika (z którego gotowi byliśmy zrobić przedstawiciela na wybrany obszar) **zainteresowania firmy Curtiss ze Stanów Zjednoczonych, na dostawę 3 (czy 6 – nie pamiętam już dzisiaj) par nart dla samolotów organizowanej przez sławnego Komendanta Richarda Byrda wyprawy w rejon bieguna południowego.** To była już późna wiosna 1939 r. Za radą naszego kopenhaskiego pośrednika, **zdecydowaliśmy wydelegować inż. Szyncera do firmy Curtiss** dla ewentualnej finalizacji sprawy. Inż. Bernard Szyncer odpłynął do Stanów w maju albo czerwcu 1939 r. **Zdążyliśmy jeszcze odebrać w lecie 1939 r. od inż. Szyncera wiadomość, że jesteśmy właściwie bez konkurencji.** Nasze wypracowane aerodynamicznie i konstrukcyjnie narty do P.11 w porównaniu z prymitywami, które im proponowano, to była „nowoczesna technika”. Sprawa zamówienia nie stanowiła problemu (dostawy dla samolotów Byrda). Zdecydowaliśmy pozostawienie Szyncera dla opracowania wstępnych projektów i rozeznania możliwości nawiązania szerszej współpracy z Curtissem i Kanadą. Przyszedł wrzesień 1939 r. Już po wojnie w jakimś „Who is Who” znalazłem nazwisko inżyniera Bernarda Szyncera jako bodaj Consulting Engineer, nie pamiętam już adresu. A żałuję, że nie zanotowałem.

**Po wyjeździe Szyncera sprawę nart dla Szwecji wziął bezpośrednio w swoje o ręce Jerzy Płoszajski** (o którym już wspominałem). Jeżeli zdążę (jest teraz w Anglii), postaram się ściągnąć od niego trochę szczegółów. To była dobra konstrukcja wykonana w gorączkowym tempie. Skończyliśmy te narty i w ostatnich dniach sierpnia dwie skrzynie

znalazły się w Gdyni. Ponieważ cena i termin biegly „fob” Gdynia, więc termin został dotrzymany. Ładunek do Szwecji, jak się okazało, nie odpłynął. W skrzyniach, jak zwykle, znajdowały się przebitki specyfikacji wysyłkowych firmy Szomański. **Gdzieś w końcu 1940 r. lub na początku 1941 r. naprowadziły one władze Luftwaffe na ślad Fabryki Śmigiel Szomańskiego**, uznanej po wstępnych oględzinach we wrześniu 1939 r. jako „veraltet”. Obecnie miała ona wzbudzić zainteresowanie z racji produkcji nart samolotowych, które – jak wskazywała przechwycona „próbka” – nie były wcale „veraltet”. Do tej sprawy wrócimy we właściwym czasie. W każdym razie produkcja naszych nart, które z modyfikacjami nadawały się do Stukasów, nie została podjęta ani u nas, ani gdzieindziej w Europie<sup>107</sup>. Magazyny niemieckie pełne już były wtedy prymitywnych płóz do tych samolotów.

## **5. Szosa Lubelska**

*26.09.1978 - 02.10.1978 r.*

**W Fabryce śmigiel, wyrobów drzewnych i metalowych W. Szomański Sp. z o.o., następnie spółka akcyjna, pracowałem od 1 października 1935 r.** w charakterze konstruktora, przejmując stopniowo kierownictwo techniczne fabryki. Według zachowanego dokumentu z **dn. 2 maja 1939 r. otrzymałem szerokie rejentalne pełnomocnictwo do działania jednoosobowego w charakterze dyrektora technicznego** w wielu sprawach, normalnie zastrzeżonych do dwu podpisów członków zarządu. Wspominam o tym dla wyjaśnienia, że w chwili wybuchu wojny byłem wyposażony w szeroką swobodę decyzji – zresztą ograniczoną i unormowaną rozporządzeniami mobilizacyjnymi, które oczekiwały właściwej chwili, aby można je było wyjąć z kasy pancernejszej i odpieczętować. Byłem oczywiście reklamowany od powołania do czynnej służby wojskowej (która zresztą, jako rezerwiście „bez stopnia” z kategorią C, nie groziła mi w pierwszej fazie mobilizacji).

**W dniu wybuchu wojny, w piątek 1 września 1939 r.** z porannego komunikatu radiowego dowiedziałem się o rozpoczęciu działań (To chyba tak było. Fabryki na Okęciu bombardowano kilka godzin później). Jak zwykle o 7:30 pojechałem do fabryki na Marymont. Zaleciłem normalny tok pracy. W naszej północnej części miasta panował spokój. Z daleka tylko słyhać było detonacje. Okazało się potem, że to bomby na PZL

---

<sup>107</sup> Jerzy Płoszajski (po upadku Francji przedostał się do Anglii, pracował tam w przemyśle lotniczym i pozostał; po roku 1956 wielokrotnie odwiedzał Polskę) dopatrywał się pewnego podobieństwa do naszej konstrukcji niemieckich nart zastosowanych w samolotach dowożących zaopatrzenie pod Stalingrad. Zmarł 7.12.2007 r.

na Paluchu i zakład silnikowy przy szosie Krakowskiej. Szczekanie zenitówek ledwie słyszalne. Gdzieś w górze niewidoczne za cumulusami, które ukazały się koło godz. 11:00, słyhać serie KM. Później dowiedziałem się, że pierwszego dnia nasze myśliwce nawiązywały wcale wyrównaną walkę z szybszymi od nich Messerschmittami i stanowiły pewną przeszkodę dla swobodnego działania Stukasów.

Oczywiście z samego rana **otwieram koperty MOB przeznaczone na ten dzień**. Dowiaduję się drobiazgowo co mam robić w 10, 30 dniu wojny, a także po dwu i trzech miesiącach. O tym, że trzeciego dnia od rozpoczęcia działań wojennych mamy przejść na 10-godzinny dzień pracy, wiedziałem już chyba z wcześniejszych instrukcji. Również ogólne zalecenia O.P.L. były wcześniej znane i przećwiczone na terenie fabryki.

**Ogłaszam, że od poniedziałku 4 września pracujemy po 10 godzin**. Pozostawiam w tym zaliczoną do czasu pracy 1/2-godzinną przerwę obiadową. Sobota normalny dzień pracy. Niedziela uspokaja. Anglia i Francja przystępują do wojny. Ukazują się jeszcze, chyba do poniedziałku, komunikaty naczelnego dowództwa (czy sztabu głównego?) donoszące o zestrzelonych samolotach i zniszczonych czołgach, npl'a. Sygnały początku klęski nie dochodzą jeszcze do ogólnej wiadomości. **W poniedziałek (4.09) odprawa „na stojąco” dyrektorów fabryk lotniczych u świeżo kreowanego zastępcy dowódcy lotnictwa mjr** (może przy tym powołaniu, ze stanowiska dyrektora LOT-u, został już podpułkownikiem) **Makowskiego**. Spokojnie, rzeczowo pyta o realizację zaleceń MOB i nastroje załogi. Wspomina o swoich pomyślnych lotach bojowych w pierwszych dniach wojny. Dziwi mnie, że to on właśnie, spośród znajomych dygnitarzy dowództwa lotnictwa, obejmuje gestię. Okaże się, że w górze zaczęło się już trącenie głów i jak to bywa na wojnie – ujawniały się prawdziwe charaktery.

**Już następnego dnia odprawa, bodaj w tym samym gabinecie, ma odmienny charakter**. Jestem wezwany razem z naszym prezesem spółki Włodzimierzem Szomańskim.

**Rozkaz ustny ewakuacji fabryki w kierunku na Lublin, dokąd przenosi się Dowództwo Lotnictwa. Tam otrzymam dalsze instrukcje. Termin: 6 września**, a więc środa, nazajutrz. Bliższe zalecenia: tylko specjalne urządzenia i ściśle wykwalifikowana nieliczna kadra (ok. 30 na 100 ludzi). Pozostawione magazyny zdekompletować. Produkcja zostanie podjęta w jakimś zakładzie na Lubelszczyźnie. Widzę zdenerwowanie Szomańskiego. Mamy zaległe rachunki w D.L. z dostaw ostatniego miesiąca.

Oświadczam, że zarządzę natychmiast przygotowania ewakuacji, ale sam będę mógł opuścić Warszawę **po wypłacie 3-miesięcznych odpraw całej załodze**. Stąd **prośba o natychmiastową likwidację naszych należności od D.L.** Chwila konsternacji. Pytanie: „Ile to wynosi?”. Szomański przytomnieje i mówi dość niewyraźnie: „Okolo 55 tysięcy”. Powtarzam głośno: „65 tysięcy – to pozwoli na dokonanie wypłat w połączeniu ze stanem naszego konta” (i tyle chyba naprawdę wynosiła suma naszych sierpniowych faktur dla D.L.). Przypominam sobie sam fakt korekty pochodzący stąd, że nasze miesięczne wypłaty wynosiły ok. 20 tys., a rachunki za dostawy na pewno były rzędu 60 tys. Nie chciałem, żeby mi brakło kilku tysięcy na rozliczenie się z ludźmi. Szomański odzyskuje spokój. Polecenie wystawienia czeku. Okazuje się, że kancelaria już w skrzyniach. Chwytam jakiegoś przytomniejszego porucznika i pytam, w której skrzyni jest książeczka czekowa. Wskazuje mi dwie. Na szczęście w pierwszej odbitej prawie na wierzchu jest upragniona książeczka. Czek wypisany. Nowe historie. Brak drugiego uprawnionego do złożenia podpisu. Znajdujemy go w sąsiednim budynku. Okazuje się bezcenny, bo potrafi wskazać, w której skrzyni znajduje się jego rezerwowa „mała” pieczęć. Pytam, czy będzie ważna w banku. Tak. Odbijamy skrzynię. Na szczęście utkwiała mi w pamięci jej sygnatura. Skierowuję Szomańskiego do banku, sam z najbliższego telefonu daję dyspozycję do fabryki przygotowania list płacy na kwotę 3-miesięcznych zarobków z sierpnia. Do mojego przyjazdu wszystko ma iść w fabryce normalnie. Jakimś obcym samochodem jadę do banku, gdzie Włodzimierz Sz. czeka już na mnie z dobrze skompletowaną do wypłaty, jeśli chodzi o wielkość odcinków, sumą 65 tys. zł. Zgarniam to wszystko do teczki, która nie chce się domknąć. W rezultacie po przyjeździe do fabryki kierowca przynosi mi „na górę” (tj. do biura) paczkę 100 pięćdziesięciotówek, która wypadła na siedzenie.

W hali ręcznej wykańczalni śmigieł robię zebranie całej załogi. Zawiadamiam o przerwaniu pracy. O wypłacie, która nastąpi za 1/2 godziny. Wydaję pierwsze zarządzenia o przygotowaniu do ewakuacji. Nota bene z samego rana otrzymałem meldunek od naszego kierowcy (Henryk Helbert, który potem przesiadzie się na „mojego” służbowego Chevroleta) – że niedawno nabyta duża (5t) ciężarówka, którą nam zostawiono, ale była na liście tzw. wozów dyspozycyjnych, wysłana z transportem zapalek (tak!) do Modlina została zepchnięta przez jakąś kolumnę wojskową na pobocze, a stamtąd stoczyła się z wysokiego nasypu i jest bez pomocy, na którą trudno liczyć, nie do wydobycia.

Naszą „ewakuację” rozpoczynam od podliczenia środków transportu. Jedna zdezelowana ciężarówka (chyba 5 t), stary Ford, który używany był tylko na terenie, bo już

nie można go było rejestrować, i nowy, duży osobowy Chevrolet (8 osób z otwartymi strapontenami). To wszystko. Na osobistą Lancię prezesa Szomańskiego wiem, że nie ma co liczyć. Pojedzie nią sam z dwoma przyjaciółmi, zabierając mi w dodatku swojego kierowcę z Chevroleta (Zygmunta Skowrońskiego?), gdyż jego własny, zresztą bardzo sympatyczny Kartman(?) gdzieś się zapodział, czy zachorował. *Spotkałem się z nim po wojnie przypadkiem – jako właścicielem taksówki, do której wsiadałem. Przez dłuższy czas jeździł (rzekomo) jako kierowca prezydenta Bieruta.*

**Decyduję zmobilizować transport konny.** Bardzo prędko meldują mi, że na Marymoncie może się stawić natychmiast 11 woźniców z dobrymi wozami. Polecam podstawić wozy na teren i przygotować się na wyjazd następnego dnia wcześniej rano (6 września, środa).

**Polecam majstrowi Witoldowi Wierzbickiemu skompletować sprzęt warsztatowy i części maszyn niezbędne do uruchomienia produkcji w dobrze wyposażonej stolarni w nieznanym jeszcze miejscu przeznaczenia.**

**Ze śmigieł gotowych i w różnych stanach obróbki** (logicznie, ale nie dość – jak się okaże – przewidująco) **polecam ładować przede wszystkim to, co przeznaczone jest dla LWS.** (Lubelskiej Wytwórni Samolotów, praktycznie własności PZL) i **trochę dla Białej Podlaskiej.** Nie wiem o tym, że już tego dnia, lub następnego, zostaną zniszczone składy mobilizacyjne w Dęblinie, gdzie wiedziałem dobrze ile i jakich jest śmigieł na obsługę naszych samolotów z linii, przede wszystkim pościgowych P11 i P7. Nie mieliśmy ich zresztą w tym czasie w produkcji. Wszystko to załadowuje Wierzbicki. Ludzie uwijają się jak trzeba.

**Drugiemu majstrowi (mechanikowi) Władysławowi Czajkowskiemu polecam demontaż pozostawianych maszyn i ukrycie „z głową” wymontowanych części.** Przed paru dniami spotkany nasz dawny tokarz (dziś już 84 lata – ciągle jeszcze, dłubie jakieś robótki na zlecenie Instytutu Maszyn Elektrycznych na Politechnice) Eustachy Zalewski (marynarz z Aurory – jak go powszechnie zwano) przypomniał mi jak mu ofiarowałem tokarnię, na której pracował. Niestety nie zdołał jej wywieźć z fabryki. Nota bene Czajkowski poprowadzi potem w daleką drogę starego Forda. *Obaj Czajkowsy i Zalewski pracowali po wojnie, aż do emerytury – w moim Zakładzie (Aerodynamiki) na Politechnice. To byli wypróbowani przyjaciele. Kończę dygresję.* Trzeba ich unikać, ale trudno w świadomości, że może już nigdy pisany słowem do niektórych ludzi i fragmentów wydarzeń nie powrócę.

Problem najtrudniejszy. **Dobór 30 ludzi, którzy pojedą. Muszą spełniać dwa warunki: chcieć wyjechać i być „niezastąpionymi” fachowcami.** Ogłaszam to całej załodze z tym, że żon i dzieci z naszą kolumną nie zabieramy. Muszą się czuć jak żołnierze, którzy też bez rodzin uczestniczą w wojnie. Wielu z nich, gdyby nie reklamacje, nosiłoby zresztą już dzisiaj mundur. Jak się spodziewałem, **zgłoszeń jest więcej niż przewidziana liczba** określona w poleceniu ewakuacyjnym. **Powiększam ją o kilka osób – doliczając zmotoryzowanych – tj. posiadaczy motorowerów,** których pewną ilość nabyli na raty szczególnie robotnicy. Zorganizowałem ten zakup w rzędzie innych „akcji socjalnych” na terenie fabryki. Okazali się potem nieocenionymi łącznikami kolumny składającej się z 11 konnych wozów, dwu starych ciężarówek i mojego chevroleta, która ze zrozumiałych względów nie mogła poruszać się w zwartym szyku. Stare samochody zatrzymane zawsze stanowiły ryzyko ponownego uruchomienia, a kiedy z własnej ochoty stawały, nie można było nigdy określić czasu zabiegów dla ich uruchomienia niezbędnych. Władysław Czajkowski okazał przy tej okazji rzeczywiste mistrzostwo jako mechanik.

Wyzaczyłem obsadę chevroleta. Ja przy kierowcy (Helbercie) z dużym luzem. Na strapontenach majster Wierzbicki i student, absolwent pracujący u nas w dziale nart lotniczych, Jerzy Płoszajski. Brak drugiego pracującego w fabryce studenta Ludwika Moczarskiego, który jechał na własnym motocyklu (200) – który to motocykl miał za parę dni odegrać doniosłą rolę. Z tyłu, ciaśniej niż na strapontenach, dyrektor Roman Szomański (spora objętość) i dwu szczupłych chłopców: technik „Antoś” Lewandowski i bratanek (raczej siostrzeniec usynowiony) Szomańskiego, młody student, który odbywał u nas praktykę wakacyjną. Jeszcze wieczorem zebranie bagaży osobistych (cóż za objętość miał bagażnik tego chevroleta, z dopasowanym fabrycznie kompletem walizek – które oczywiście rozdzieliłem sprawiedliwie – według wieku i urzędu całej obsadzie wozu, zalecając rezygnację ze wszelkiego „barachła” i dobre przemyślenie, co może okazać się niezbędne wobec zbliżającej się zimy). 30 robotników ewakuowanej załogi, z osobistymi bagażami ustalonymi w/g wyżej wymienionych reguł, z zaleceniem zabrania prowiantu na 2-3 dni, rozmieściłem po 3 osoby na każdy konny wóz. Nasi motorowerzyści swoje bagaże złożyli na wozach, co ich w naturalny sposób wiązało z kolumną.

Nie pamiętam godziny naszego wyjazdu. Ale nie był to świt. Chciałem tego dnia przebyć połowę drogi do Lublina, tj. niecałe 90 km. **Fabryka pozostała na opiece portiera Leona Pluty i jego „strażaków”** (był on, nie wiem czy o tym wspominałem, komendantem fabrycznej ochotniczej straży pożarnej, w której niewielu było z spośród ewakuowanej elity).



Dla utrzymania ich łączności z terenem opustoszałej fabryki poleciłem wydawać im posiłki obiadowe tak jak długo się da – „Pani Leonowej”, która stołowała również przedtem „dyrekcję”, zostawiłem niezbędną sumę na ten cel.

Tak więc uporządkowałem na ile się dało nasze gospodarstwo na ul. Kamedułów i zorganizowałem, w ciągu długiego i brzemiennego w wydarzenia dnia 5 września, ewakuację naszej fabryki.

Na biwaku przy szosie lubelskiej, gdzieś na osiemdziesiątym czy dziewięćdziesiątym kilometrze, gdzieś sporo przed zachodem słońca, w zagajniku, którego nie potrafię dziś zlokalizować, zgromadziła się w komplecie nasza kolumna; przespałem w ciepłą wrześnieową noc, po raz pierwszy od wybuchu wojny, jednym ciągiem chyba ze cztery godziny.

**Nie zapomnę nigdy obrazu szosy lubelskiej z tego wieczoru 6 września.** Obok najróżniejszych pojazdów, ciągle jeszcze tego dnia przeważały najrozmaitsze samochody, od nielicznych samochodów osobowych cywilnych (większość została „zmobilizowana” w pierwszych dniach wojny) do pojawiających się już wozów z mieszaną wojskowo-cywilną (rodzinną) obsadą, do ciężarówek „ewakuacyjnych” załadowanych analogicznie jak nasza kolumna. Pojedyncze wozy konne, których następnego dnia już było więcej (pewnie nadciągnęły nocą).

Nawiązując do wspomnianych wojskowo-cywilnych samochodów. Już wcześniej w Garwolinie, widząc czynną pompę benzynową postanawiamy uzupełnić nasz zapas. Stajemy grzecznie w kolejce, przed nami 3 czy 4 samochody. W pewnej chwili podchodzi postawny generał i poleca zrobienie miejsca poza kolejnością. Pytam: „Gdzie jest samochód pana generała?” Wskazuje mi duży wóz osobowy z wojskowym szoferem, wyładowany rodziną. (Upraszczam – mieszanym cywilnym towarzystwem). Stwierdzam: „Pan nie jest służbowo, a ja tak. Proszę ustawić się w kolejce”. Zdenerwowany generał robi ruch ręką w kierunku kabury. Na to szybko wyciągam z kieszeni mojego małego mauzerka i mówię spokojnie: „Tylko bez takich sztuczek, panie generale”. Głupieje. Cofa się do samochodu i coś tłumaczy siedzącemu wewnątrz towarzystwu. Wszystko dalej przebiega w porządku.

Nagle długi szereg podwozi ciężarówek od Lilpopa – nieobudowanych. Za nimi, po jakimś czasie jeden i drugi karawan – niektóre puste, niektóre z pasażerami (oczywiście żywymi). Wreszcie, co już stanowiło sygnał, sporo pojazdów z rejestracjami poznańskimi, w tym kilka wozów strażackich, nawet nie bardzo oblepionych ludźmi, co jeszcze

wskazywało na jakąś planowość ich wycofania za Wisłę. W tej scenerii nie zapomnę maszerującego pod prąd, jak na paradzie, plutonu smutnych poważnych chłopców, podchorążych z jakiejś szkoły, zagubionych w tym potoku bezładnej (ale jeszcze nie chaotycznej) ucieczki, idących na spotkanie swojej wojny. Gdzieś, przez kogoś, zapomnianych. (Chcąc być ścisłym bardziej dla utrzymania dyscypliny mojego pisania i pohamowania fantazji, podawania tego, „co mogło być, a w istocie nie miało miejsca”, niż dla istoty tej sprawy – ten pluton spotkałem jeszcze jadąc samochodem szosą. Stąd wrył mi się w pamięć ten obraz, że nieomal widzę przed sobą twarze tych chłopców jeszcze dzisiaj. Pozostałe obrazy pochodzą istotnie już z „brzegu rwącej rzeki”, którą stała się w tych dniach lubelska szosa).

**Następnego dnia (7 września), wyprzedzając naszą kolumnę, pojechałem z grupą moich towarzyszy z samochodu do Lublina.** Miasto na pozór spokojne, choć już pierwsza fala uciekinierów dotarła tutaj. **Dowiaduję się, że Dowództwo Lotnictwa zostawiło tylko łącznika i pojechało dalej ze swoimi cennymi skrzyniami do Lwowa.** Dla nas żadnej dyspozycji nie zostawiono. Natomiast zgłaszają się (do tego właśnie łącznika) piloci myśliwców dopytując o prawdopodobnie ewakuowaną Fabrykę Śmigieł. Siedzą „uziemieni” z uszkodzonymi przy polowych lądowaniach śmigłami. Wieczorem na wyznaczonej dla nas kwaterze w jakiejś fabryczce (chyba maszyn rolniczych) zjawi się ich osobiście kilku. Nie umiem określić liczby kolegów dzielących ich los. Ale chyba przynajmniej kilkanaście maszyn siedzi unieruchomionych.

Nie pamiętam, czy w ciągu dnia sam zawracam w stronę Warszawy, czy wysyłam do naszej kolumny jednego z naszych motocyklowych łączników, dla których wcześniej wyznaczyłem punkt zborny w Lublinie, jako przewodnika na kwaterę.

Organizuję przygotowanie gorącego posiłku dla naszej załogi. Docierają na miejsce przed zmierzchem. Gospodarze, niezwykle życzliwi, sami zajmują się przygotowaniem prymitywnych posłań. Postanawiamy jechać do Lwowa, zostawiając kolumnę w Lublinie. Dyscyplina wśród ludzi dobra. Miejscowi nie dają nam spać wpytując o nowiny. Zgłasza się jakiś wynalazca proponujący zbudowanie zwierciadła skupiającego promieniowanie ciepłe dla topienia niemieckich czołgów. Przez radio dowiadujemy się o masowej ewakuacji Warszawy. Co się to będzie dziać na lubelskiej szosie!!

**Dzień 8 września pozostawia, jako najmocniejsze wrażenie, różne epizody z bombardowania Lublina.** Opowiem mój wyjazd do Lwowa. Nasza fabryczka leży

na obszarze bagnistej łączki przylegającej z drugiej strony do drogi prowadzącej z miasta na dworzec kolejowy. Bomby przeznaczone prawdopodobnie dla węzła kolejowego toną bez efektu w miękkim torfiastym gruncie. Sporadyczne wybuchy nie dają żadnego rozprysku, poza śladami w postaci większych otworów czarnych na zielonym tle trawy. Między jedną i drugą falą nalotu znajduję się w śródmieściu dla zasięgnięcia informacji – uzyskania jakichś przypadkowych kontaktów. Nowy nalot. Stoję w jakiejś bramie. Na podwórzu piękne drzewo śliwkowe. Wychodzę, żeby zerwać garść węgierek. Znany świst zapędza mnie do bramy. Po chwili wybuch w rogu podwórka. (Scena ta utkwiała mi w pamięci przypominając scenę z września lub końca sierpnia 1920 r., gdzie leżeliśmy rozrzućeni tyralierą w młodym sadzie śliwkowym w pobliżu drogi na Łomżę, gdzie też kusiły dojrzewające węgierki, ale nie można było się podnieść nie wywołując serii KM z przeciwnej strony. Stąd krok do uogólniania: nie powinienem zbierać śliwek w czasie wojny. Takie to głupie myśli w najczarniejszych dniach mojego życia).

**Wracając jakąś ścieżką przez pola na naszą kwaterę widzę na przeciwko Jurka Drzewieckiego z RWD.** Spotkanie przypadkowe, jakich wiele się zdarza. Ale dla mnie ma ono szczególne znaczenie. Drzewiecki mówi: „Tu (znaczy w kraju) nic już nie ma do roboty. Trzeba wyjeżdżać. Będę kierował się na Rumunię”. Wtedy to w jednej chwili uświadamiam sobie dojrzewającą od kilku dni myśl, że nasza klęska jest przesądzona. Że to tylko parę tygodni (a może dni) dzieli nas od ostatniego aktu narodowego dramatu. A równocześnie jasne postanowienie: w żadnym przypadku, przy jakiegokolwiek argumentacji nie opuszczę kraju. W milczeniu żegnam Jurka.

Przez noc krystalizuje się **plan dalszego działania. Punktem pierwszym jest dotarcie do Lwowa.** Nasz ciemnogrnatowy Chevrolet już poprzedniego dnia pięknie umazany błotem, przechodzi korektę makijażu w ciemne i żółto brudne desenie ochronne. Dziewiątego skoro świt wyjeżdżam do Lwowa. Do Lwowa pojechałem tylko z szoferem i kimś z mojej samochodowej ekipy (czy nie był to Płoszajski?). Dyrektora Szomańskiego i pozostałych, z poleceniem zagospodarowania się do dalszej drogi w ciągu niewielu godzin, pozostawiłem przy kolumnie. To zresztą działało uspokajająco. Po bombardowaniu poprzedniego dnia były sporadyczne oznaki niepokoju, szczególnie wśród woźniców. Obawiałem się, żeby mi nie zwiali gdzieś dalej od miasta. Bombardowanie nie objęło jeszcze tego odcinka szosy. **Dojeżdżam do Lwowa bez przeszkód.** W Rawie Ruskiej jeszcze zupełny spokój. We Lwowie zastaję alarm lotniczy. Nasz łaciaty samochód wzbudza sensację. Nie daję się zapędzić przez OPL'owców do żadnej bramy, tylko jadę wprost

do Dowództwa Lotnictwa, którego adres „prawdopodobny” dostałem w Lublinie. Odnajduję bez trudu jakiś okazały budynek.

**Pierwszy szok: większość spotkanych oficerów (znanych osobiście lub z widzenia z Warszawy) w śmiesznych cywilnych ubraniach.** Pytam co znaczy ta maskarada? „Wyjeżdżają do Constanzy po odbiór sprzętu”! Cóż, oni zawsze odbierali sprzęt. Ludzi w mundurach niewielu. Pytam, kto tu aktualnie jest szefem. Jeżeli nie był to Makowski (nie pamiętam), to w każdym razie jakiś przytomny major lub podpułkownik w mundurze, odbijający wyraźnie na tle rozhisteryzowanych przebierańców i wyraźnie złamanych, ponuro siedzących oficerów.

Dlaczego piszę „rozhisteryzowanych”? Kiedy wychodziłem z gmachu z poleceniem dla szofera, żeby odstawił wóz gdzieś w cień, z dala od gmachu, próbował mnie zatrzymać jakiś już przebrany oficer wołając: „Niech pan nie wychodzi, niepotrzebni nam są tutaj bohaterowie”. Nota bene alarm okazał się ostrzegawczy – bombardowano gdzieś daleko i żaden samolot nie brzęczał nad miastem. Ze wstrętem odwróciłem się od tej śmiesznej figury w marynarce w kratkę i chyba sztuczkowych spodniach. Tak się śpieszył z przebieraniem, że został w lotniczej mundurowej koszuli.

**Mojemu rozmówcy pełniącemu tam na miejscu funkcję „dowódcy lotnictwa” zameldowałam dotychczasowy przebieg ewakuacji Fabryki Śmigiel i zaproponowałam: 1° skierowanie mojej kolumny do Zakładów drzewnych w Krzemieńcu, który uznałem za najodpowiedniejsze miejsce osiedlenia się fabryki (nikt z nas nie domyślał się nawet ustalonego już wkroczenia wojsk radzieckich – a pewne zatrzymanie frontu na linii Wisły wydawało się jeszcze prawdopodobne – operowaliśmy jeszcze wtedy przestarzałym pojęciem „linii frontu”); 2° otrzymanie na piśmie polecenia dalszej ewakuacji z Warszawy całego zapasu śmigiel remontowanych do P.7 i P.11, których jeszcze nie wysłaliśmy do Dębłina.**

Uzyskuję akceptację. Odpowiednie dokumenty zostają napisane pod moje dyktando (podoficer przy maszynie, poza „dowódcą”, okazał się jednym z niewielu nie tracących głowy). Ale znów po podpisaniu podobny dylemat jak z czekiem w Warszawie. W dowództwie nie ma pieczątki. I tu szczęśliwy traf, o którym wspominałem; Mówię: szukajcie skrzyń rachuby, a w nich skrzyń z sygnaturą, w której występują cyfry... (oczywiście dziś już nie pamiętam).

Skrzynia się znajduje i na wierzchu moja błogosławiona mała pieczętka DL. Bez dalszych przeszkód, załatwiwszy sprawę, koło godz. 11:00 opuszczam Lwów. Jest już po pierwszej fazie bombardowania drogi Lublin – Lwów. Rawa Ruska nosi mocne ślady bombardowania. Inne osiedla, szczególnie przy skrzyżowaniach drogi, spalone lub dogorywają.

Była przecież długotrwała piękna pogoda. Drewniane miasteczka płonęły jak zapalki. Dużo zabitych koni. To przede wszystkim będzie się rzucać w oczy wszędzie na zbombardowanych drogach. Jazda utrudniona, ale możliwa. Nie pamiętam, o jakiej porze dojeżdżam do Lublina. W każdym razie tego samego dnia zdążę jeszcze na motocyklu wyjechać z Moczarskim do Warszawy.

**Całą kolumnę ewakuacyjną Fabryki Śmigieł** wraz z Chevroletem i jego obsadą z Romanem Szomańskim na czele, **wyprawiam do Krzemieńca<sup>108</sup>, gdzie mam do nich dołączyć po pomyślnym zakończeniu misji: dotarcia do Warszawy, załadowania jednej do dwóch ciężarówek śmigłami remontowanymi**, które zastąpią składy w Dęblinie, wreszcie przywiezienia tego ładunku w rejon Dęblina. W oparciu o otrzymane zlecenie Dowództwa Lotnictwa mam nadzieję dostać jakąś ciężarówkę lub dwie mniejsze. Zachęcony pomyślnym przejazdem po bombardowaniu ze Lwowa do Lublina, nie oceniam mojego przedsięwzięcia jako pozbawionego szansy powodzenia. **Moczarski ofiarowuje się ze swym dwuosobowym motocyklem.** Biorę do kieszeni letniego płaszcza ręcznik i przybory do golenia, zamieniam miejsce przy kierowcy Chevroleta na siodło motocykla i ruszamy „pod słońce do Warszawy”. Pistolet zachowuję oczywiście przy sobie. Początkowo nie zapowiada komplikacji. Droga względnie pusta. Po niedawnych bombardowaniach, których ślady widać wszędzie, piesi wędrowcy posuwają się raczej po obrzeżu, lub polnymi i leśnymi drogami. Trochę ukrytych pojazdów. Za to na skrzyżowaniach wszędzie ten sam obraz. Leje po bombach. Rozbite wozy. Zabite konie. Spalone domy. Ten obraz pogorzeliska będzie nam towarzyszył aż do samej Warszawy. Miasteczka, które mijaliśmy przed dwoma, trzema dniami: Kurów, Ryki, Garwolin – czyste pogorzeliska ze sterczącymi kominami, i tu i ówdzie szkieletami murowanych budynków. Piękne późne popołudnie – słońce, jak się

---

<sup>108</sup> Już po wojnie dowiedziałem się od Jerzego Płoszajskiego, że kolumna do Krzemieńca dotarła. Kilka dni po 17-tym września zostali aresztowani. Dzięki przytomności umysłu naszego kierowcy Helberta trzem z nich: Płoszajskiemu, Helbertowi i młodemu studentowi (Stefanowi Moczarskiemu, bratu Ludwika) udało się uniknąć wywózki i dotrzeć do Rumunii i dalej do Francji.

należało, świeci w oczy. Od czasu do czasu ludzie ukryci na poboczu dają nam jakieś znaki: warkot motocykla nie pozwala słyszeć oddalonych brzęczeń samolotów. Most na Wieprzu stoi. Jedziemy może trochę za prędko jak na dwuosobowe obciążenie. Motor zaczyna prychać. Proponuję Moczarskiemu przy jakimś lasku, żeby się zatrzymać i trochę ostudzić „maszynę”. Jest już chyba koło 6 po południu. Słońce nisko. Po pół godzinie ruszamy dalej. Ściślej próbujemy ruszyć, bo motor niechętnie zapala. Próbujemy na „pych”. Nie spostrzegamy, kiedy **zostajemy otoczeni przez oddział junaków, częściowo uzbrojonych, pod dowództwem nie bardzo wzbudzającego zaufanie plutonowego**. Prędko się okazało, że jest dobrze podпиты. Zaczyna się od groźnego rozkazu: „Ręce do góry”, po czym bez długich pytań, stwierdzając tylko, że „od dłuższego czasu obserwujemy, jak się tu kręcicie”, zaczyna się rewidowanie Moczarskiego. O pół głowy wyższy ode mnie, w dodatku w okularach, większe wzbudził zainteresowanie jako prawdopodobny „szpieg”. Wyciągają mu portfel, pytają, ile ma pieniędzy (wiadomo: szpieg ma zawsze pieniądze). Dziwią się. Tłumaczy, że wziął wypłatę w fabryce za 3 miesiące. Wytrzymawszy chwilę zwracam się podniesionym głosem do mętnego plutonowego: „Dosyć tej zabawy. Zrewidujcie mnie, znajdziecie o wiele więcej pieniędzy, pistolet i rozkaz z dowództwa lotnictwa na przejazd do Warszawy i z powrotem. Odbiera mi pistolet. Zaczyna studiować dokument z DL. „No właśnie. Szpiegdy, to zawsze mają najlepsze dokumenty. A gdzie wasze ciężarówki?” Tłumacząc, że jedziemy dopiero do Warszawy, skąd mamy zabrać ładunek śmigieł. Pijaczyna dalej swoje brednie. **„My tu zaraz zrobimy z wami porządek”**. Podnoszę głos i żądam, żeby nas zaprowadził do najbliższego miejsca, gdzie będę mógł rozmawiać z jakimś oficerem. W tej chwili jeden z junaków, z inteligentniejszym wyrazem twarzy, zagląda przez ramię plutonowego na trzymaną przez niego naszą „przepustkę” i mówi do niego półgłosem: **„Panie plutonowy, chyba będzie lepiej zaprowadzić tych panów (już nie „ich” tylko „panów”!) do pułkownika”**. Ja natychmiast: „No to prędko; idziemy, motor ściągnąć do rowu i postawić podwójny posterunek, odpowiadacie za niego”. Po kilku minutach marszu dochodzimy do jakiegoś przysiółka odgrodzonego od szosy lasem i zostajemy wprowadzeni do sporej chałupy. Tam obrazek jak z filmów z okresu napoleońskich wojen. Za stołem podpułkownik, ogorzały, z wyraźnym piętnem nieprzespanych nocy na twarzy, mundur na szyi rozpięty, w otoczeniu 7 oficerów różnego stopnia, wyraźnie z frontowej jednostki. Odetchnąłem. Jesteśmy rzeczywiście w dowództwie jakiegoś odcinka. W izbie jeszcze widno, choć mrok powoli zapada. Plutonowy melduje. Kładzie na stole mój dokument i pistolet. Pułkownik, ze znużeniem, czyta mój „rozkaz wyjazdu” (naprawdę nie pamiętam jak był zatytułowany papierek wystawiony we Lwowie

przez DL). Jest tam passus z apelem do jednostek wojskowych o okazanie pomocy okazicielowi w razie potrzeby. Pułkownik z irytacją do plutonowego i asysty, która nas przyprowadziła: „**Czy wy, u diabła, czytać nie umiecie? Natychmiast zwolnić i niech jadą**”. Do mnie: „Pan zrozumie, tyle wypadków dywersji...” Zwraca mi porządnie złożony dokument i zwraca się do oficerów: „Który z was nie ma małego pistoletu?” Wyciąga się parę rąk. Daje moją „szóstkę” najbliższemu. Do mnie: „Już wam nie będzie potrzebny”. Ja na to: „Panie pułkowniku, jedziemy w tej chwili do Warszawy, a nie z Warszawy. Proszę o zwrot pistoletu”. Pułkownik: „Przepraszam, zrozumiałem, że już jedziecie, do tyłu”. Poleca zwrócić mi mojego mauzerka. Ja: „Proszę jeszcze o zapasowy magazynek, który plutonowy ma w kieszeni”. Plutonowy jak niepyszny oddaje mi magazynek. Pułkownik: „Dobrej drogi”. Ja: „Spokojnej nocy”.

Wychodzimy. Dobrze ochłodzony motor natychmiast zapala. Ruszamy w stronę Warszawy. Już po ciemku. **Zbaczamy do Starej Miłosnej, gdzie Moczarski ma jakąś ciotkę. Nocujemy tam.** Zostawiamy motocykl i **o świcie, pieszo, przez lasek wawerski, kierujemy się do Warszawy.** Wszędzie, gdzie gęstsza kępa drzew, ludzie skryci. Pojedynczy żołnierze. Cywile pojedynczy. Rodziny ze skromnym dobytkiem. Zaczynają się poranne naloty na drogi wylotowe i, jak się potem okaże, na most Poniatowskiego. Przechodzimy szczęśliwie tory, po czym skierowujemy się wzdłuż jakiejś grobli w stronę drogi miedzeszyńskiej i Saskiej Kępy. Jesteśmy właściwie w otwartym polu. Nadlatujące dość nisko samoloty, już przedtem, po przeciwnej stronie toru, od niechcienia wypuszczają serię z KM. To oczywiście wystarcza, aby utrzymać nastrój paniki wśród kryjących się tam ludzi. **Ten pamiętny dzień 10 września, który poświęciliśmy na dostanie się do Warszawy, przeleżeliśmy ukryci w łopianach rosnących przy groblach.** Pamiętam, że mój jasny płaszcz obróciłem kraciatą podszewką na zewnątrz, doskonale poprawiając moją „niewidoczność”. Szczęśliwie nie padliśmy ofiarą indywidualnych polowań, które w ciągu dnia mieliśmy możliwość zaobserwować. Już po zachodzie słońca wyszliśmy na **Wał Miedzeszyński. Tam też spotkaliśmy pierwsze regularne oddziały piechoty, stanowiące odcinek obrony miasta.** Żołnierze, oficerowie, którym się legitymuję, zdumieni datą przepustki datowaną poprzedniego dnia we Lwowie. Wypytują, co na południu. Opowiadam o zatrzymaniu, a nawet rozgromieniu oddziałów niemieckich na zachód od Lwowa (Sosnkowski? Była taka bitwa. Opowiadali mi o tym we Lwowie). „Przejechałem wczoraj szosą lubelską? Niemców tam jeszcze nie ma?” Potwierdzam to wszystko, dla podniesienia ducha. Zresztą oddział w dobrej formie. W istocie z szosy lubelskiej na wysokości Dębina,

w czasie krótkiego zatrzymania, słyszeliśmy jakby nutkę karabinową. Nasze frontowe oddziały (spotkanie z pułkownikiem) wskazywały, że nasi już są po prawej stronie Wisły.

Po krótkiej pogawędce udajemy się na Żoliborz do mieszkania Romana Szomańskiego, gdzie została jego siostra z panią Olgą (vide „Fabryka Śmigieł”). Po kąpieli w zimnej wodzie, która kosztowała mnie potem tęgi katar, kładziemy się spać.

**Jedenastego rano idziemy do fabryki na Marymont.** Po drodze w dolnej części ul. Mickiewicza, już urzęduje **straż porządkowa cywilna. Nowa historia, ze złapaniem szpiegów.** Prowadzą nas do komisariatu, gdzie wszelkie posiadane dokumenty tylko wzmagają podejrzenia, szczególnie moja przecząca odpowiedź na pytanie, czy znam jakiegoś Bukowskiego, mieszkającego gdzieś tam, z którym przez telefon mogliby sprawdzić moją identyczność. Groteskową sytuację likwiduje **przybyły w czasie tego przesłuchania jakiś robotnik z naszej fabryki,** który od progu mówi: **„To przecież jest nasz pan inżynier Bukowski ze „śmigłówki”**”. Z pewnym wahaniem zaciętrzewiony „komisarz”, któremu wydawało się, że ma już „swoich szpiegów”, zwalnia nas. To była, nie bezzasadna, psychoza z tymi szpiegami i dywersantami. Można było łatwo oberwać, jeżeli nie trafiło się szczęśliwie na kogoś znajomego. I ciekawe: najlepsze dokumenty budziły szczególne podejrzenia, jeżeli – jak w ostatnim przypadku – istniała możliwość sprawdzenia mojej tożsamości w odległej o 1/2 godziny drogi pieszo fabryce, co na wstępie zaproponowałem. Można by ciągnąć te rozważania nad stanem umysłów ludzi oszukanych, pozostawionych na łasce losu, otumanionych słynnymi wezwaniem szefa ochrony, podpułkownika Romana Umiaszowskiego i późniejszym ich odwoływaniem. Z drugiej strony determinacja rozprawiania się szybkim z agentami V kolumny bez względu na konsekwencje, jakie to mogło i miało wywołać po wkroczeniu Niemców. W ciągłym działaniu, nie miałem jeszcze czasu na poddawanie się rozpacz, którą odczuwało już wtedy miliony Polaków.

**Od pamiętnej rozmowy na polnej ścieżce w Lublinie z Jerzym Drzewieckim, a właściwie już wcześniej, świadomość nawracająca niespodziewanie o zawaleniu się świata naszej państwowej rzeczywistości.** Naszej wiary we własne siły. Naszej naiwności przyjmującej na wiarę, że Hitler w rzeczywistej konfrontacji zbrojnej wytracony zostanie ze swej passy szczęśliwego dla niego bluffowania. Może wróć do tego wątku myślowego, tak związanego w moich wspomnieniach z szosą lubelską. Tymczasem wracam do relacji z wydarzeń.

**2.10.1978 r. Pauza w pisaniu od 28.09.1978 r.**



**W fabryce na ul. Kamedułów spokój.** Dyżuruje kilku ludzi spośród strażaków Leona Pluty. Objaśniam, z jakim zadaniem przyjechałem. Relacjonuję dotychczasowy przebieg naszej ewakuacji i podaję jej cel: Krzemieniec. **Proszę o przygotowanie ładunku – śmigła decyduję się brać luzem,** bez skrzyń stanowiących dodatkowe obciążenie i zabierających dużo miejsca (wysyłki kolejowe przygotowywaliśmy zwykle w skrzyniach). Nie wiem, jakie dostanę środki lokomocji. Polecam przygotować ile się da tzw. woliny (waty drzewnej), albo słomy na przekładki. **Udaję się na ul. Łazienkowską do miejskiej zajezdni autobusowej. Znam dyrektora** (Lutze-Birk, chyba tak?). Może coś poradzi. Krótka rozmowa. Nie ma oczywiście nic do dyspozycji, ale niedaleko **na ul. Czerniakowskiej widział wbudowany w barykadę duży wóz ciężarowy** (Berliet?). Pośle ludzi z benzyną, aby zbadali, czy da się uruchomić. Proszę równocześnie o znalezienie dwu kierowców, którzy zdecydowaliby się wyjechać z moim ładunkiem. Wszystko układa się szczęśliwie. Ludzie, rozumiejąc, że uczestniczę w jakimś małym działaniu obronnym (dostarczenia potrzebnych śmigieł), wychodzą z siebie. **Po godzinie ciężarówka jest już na placu zajezdni. Dokładny przegląd. Napelnienie baku.** Wyciągają jeszcze jakieś stare kanistry i napełniają „na rezerwę”. Zgłasza się dwu szoferów – młodych ludzi, kolegów. Mówię, jakie jest zadanie. Daję 1/2 godziny czasu na powrót do domu i zabranie minimum niezbędnych osobistych rzeczy. **Obok most Poniatowskiego jest ciągle celem nalotów niemieckich.** Około 14:00 jestem z moją „wspaniałą” ciężarówką na Marymoncie. **Około 16:00 załadunek gotowy,** a ja, Moczarski i kierowcy nakarmieni i zaopatrzeni na drogę przez panią Leonową. Zawiadamiam telefonicznie panie na Żoliborzu (siostrę Szomańskich i panią Olgę), że wolałbym już do nich nie zajeżdżać, a przemknąć się z ominięciem wiaduktu przy Dworcu Gdańskim i arterii śródmiejskich. **Przejeżdżam nad Wisłą. Przeskakuję szczęśliwie na Pragę, chyba przez most Kierbedzia** (nie jestem tego pewien: wtedy 12 września stały jeszcze chyba wszystkie mosty w stanie „przejezdny”). Wydostajemy się na ul. Grochowską i tu zaczyna się „makabra”. Jezdnia na dużych odcinkach pozrywana na budowę barykad, w których tylko wąskie luki na przejazd pojedynczych pojazdów i komunikację pieszą. To, co mi utkwiło w pamięci, to tumany kurzu prześwietlone późnym popołudniowym słońcem.

Dwa razy samochód gaśnie. Widać źle wytrzymuje tę długą jazdę na jedyńce w tym gęstym pyłe. **Wreszcie wyjeżdżamy za miasto i zbliżamy się do rozstaja dróg na Lublin i Mińsk Mazowiecki.** Tą drogą, później na Włodawę, miałem zamiar jechać. Nie pamiętam, czy po drodze wstępował Moczarski do Staraj Miłosnej po swój motocykl, ale chyba tak, bo przypominam sobie ten motocykl załadowany w tyle skrzyni – a może tylko miejsce

na niego zostawione. W każdym razie Moczarski siedział z tyłu. Ja z kierowcami w szoferce. Na tym kliniastym rozdrożu, na 100 metrów przed którym zatrzymujemy na poboczu naszą ciężarówkę, otwiera się przedziwny obraz, jak dla nas nawykłych do strumienia uciekinierów z Warszawy. **Całą szerokością drogi z Mińska Mazowieckiego, rowami, ścieżkami przydrożnymi wali potok wozów, ludzi z tobołkami i bez – w panicznym popłochu w stronę Warszawy. Szosa na Lublin pusta.** Tej scenerii dodaje malowniczości spieszący się szwadron (a może 2 plutony) **kawalerii, która zaczyna grzebać łopatkami dolki strzeleckie** na kartoflisku rozciągającym się między drogami Lubelską i Siedlecką (Terespolską, inaczej Mińsko-Mazowiecką).

*Teraz rośnie tam duży już las. To miejsce wlotu na szosę lubelską miało się wryć w moją pamięć na zawsze.*

Ten oddział ułanów, działających spokojnie, jak na manewrach. Jeden na trzech odprowadza konie do tyłu. Dwaj pozostali przygotowują się już do obrony pieszej: flankowego zamknięcia szosy mińskiej. *Później po latach nie było kartofliska, rósł młody, później starszy zagajnik, dziś trzydziestoletni chyba las, nie było też zgielku na szosie ani ułanów – ale wrażenie tamtego wieczoru pozostało żywe ile razy przejeżdżałem koło tego miejsca.*

Podchodzę do dowodzącego porucznika (stało tam na koniach dwu oficerów, więc to chyba była tylko połówka szwadronu). Legitymuję się i pytam, co oznacza ten ruch na szosie? „**W rejonie Mińska Mazowieckiego przerwały się oddziały piechoty nieprzyjaciela i przecięły szosę**” odpowiada mi. Stąd ta fala powrotna, wzmocniona jeszcze miejscowymi uciekinierami – do Warszawy. Naradzam się z sympatycznym porucznikiem, który wskazuje mi pustą lubelską szosę. Mówię, że jechałem nią do Warszawy przed dwoma dniami i mam podstawy przypuszczać, że też już jest przecięta przez „npla” gdzieś w rejonie Dębłina albo bliżej. Mówi mi: „Może pan spróbować leśnymi drogami na Włodawę. Jaki pan ma samochód?”. Wskazuję mu mój wysoko załadowany ciężarowiec i obaj wybuchamy śmiechem: sprawia to skojarzenie tego olbrzyma z drózkami leśnymi. Mój porucznik radzi mi – „**Niech pan teraz, jak zmrok zapadnie, wraca do Warszawy i zamelinuje się gdzieś na parę dni. Może się sytuacja wyjaśni**”. W oddziałach, które nie weszły w kontakt z nieprzyjacielem, nie były sterroryzowane koszącymi nalotami samolotów nieprzyjacielskich, panował dobry duch. Nie było żadnych oznak paniki – panował nastrój „niech się tylko pokażą”.

Dostosowałem się do tej rady. **Zawróciliśmy wjeżdżając w szosę lubelską i z powrotem aż do czeluści ul. Grochowskiej**, która po ciemku była jeszcze cięższa do przebycia. Silnik gaśnie trzeci i czwarty raz. **Wreszcie ul. Zieleniecka. Na skrócie w stronę mostu silnik wysiada definitywnie.** Przy ręcznej latarce elektrycznej, dodatkowo starannie osłanianej, nie udaje się znaleźć żadnego defektu powierzchniowego. Nocujemy. Zimno. Ranek na szczęście mglisty. Nowe próby uruchomienia samochodu nie dają efektu. Trzeba usunąć się z tego miejsca, leżącego prawie dokładnie na kierunku dziennych nalotów na most. **Wysłałem Moczarskiego z jednym z szoferów na ul. Łazienkowską do bazy dla sprowadzenia pomocy**, póki jeszcze nie przejaśni się niebo i nie zaczną naloty. Jadą motocyklem Moczarskiego (a więc jednak odebraliśmy go wczoraj wieczorem - nie pamiętam jednak w dalszym ciągu tego epizodu). Po godzinie wracają z małą ciężarówką, czy też wozem awaryjnym **i na holu ciągną nas na ul. Łazienkowską.** Tam już świeci słońce. Na most Poniatowskiego nowe naloty. Zdażyliśmy. Zwolniłem szoferów wzięwszy ich adresy.

To były **godziny poranne 13 września 1939 r.** Tutaj myli mi się kolejność chronologiczna paru faktów, które miały miejsce tego dnia. Chyba najpierw położyliśmy się pod naszym Berlietem (ja i Moczarski) i przespaliśmy ze 3 godziny. Potem (a może przedtem?) **poszedłem do dowództwa obrony Warszawy, mieszczącego się w dawnym gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, vis a vis Pałacu Staszica.** (Moczarski został chyba przy wozie). U majora w Wydziale operacyjnym **dowiedziałem się, że Warszawa jest zamknięta, otoczona ze wszystkich stron przez siły „npla”.** Że ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie przed upływem kilku dni. O wyjeździe z miasta nie ma mowy. Łączność na zewnątrz utrzymywana jest przy użyciu nielicznych samolotów łącznikowych. Podziękowałem za informację. Pożegnałem.

Za drzwiami **natknąłem się na kuzyna mojej żony, majora dypl., który do wybuchu wojny pracował w Sztabie Głównym, Zdzisława Szomańskiego** (nic wspólnego nie miał z moimi Szomańskimi w Fabryce Śmigieł). Przyszedł objąć batalion na linii obrony (właśnie w rejonie Wału Miedzeszyńskiego). Był kontuzjowany. Z obandażowaną głową, odpiętą kaburą pistoletu wyglądał bardzo efektownie. Załatwił swoje sprawy i poszliśmy razem na obiad do Warszawianki na Nowym Świecie (niedaleko placu Trzech Krzyży, naprzeciwko dzisiejszego domu partii). Była konserwowa kaczka i świetny kompot. Uruchamiano śmiało wojenne zapasy. Któż wiedział, czy dotrważą do jutra. Wiele bomb padało ślepo na miasto. Przy wyjściu z restauracji niezapomniany obrazek. Niemiecki

samolot nadlatujący jeszcze dość wysoko nad III most. Bliskie szczekanie działek przeciwlotniczych. Musieli trafić w ładownię bomb. Wybuch w powietrzu, a potem tylko opadający deszcz odłamków samolotu, które na dużej wysokości wyglądały jak drobne patyczki. Pożegnałem Zdzisława. Poszedłem na ul. Łazienkowską. **Odprowadziliśmy już po zmroku naszą ciężarówkę na Marymont.** Zleciłem zamaskowanie pod szopą, a dalej według uznania i rozwoju wypadków rozładowanie i demontaż. (Mechanicy z bazy bez większego trudu usunęli przyczyny niedomagania silnika. Jak sądziłem, brudny pył i zbyt długa jazda na I biegu zrobiły swoje).

**Pieszko, meldując się tylko telefonicznie u pań na Żoliborzu, poszliśmy do mojego mieszkania na ul. Mianowskiego 12.** Byliśmy tam ok. 21:00. Nasza gosposia, z którą żegnałem się przed tygodniem, zapowiadając wbrew rzeczywistości, że być może niedługo wróce, zjawienie się nasze uznała za naturalne, pytając: „Czy panowie już po herbacie?”. Nie od razu odpowiedziałem. Było „po wszystkim”. Po całym naszym dotychczasowym życiu. Praktycznie po wojnie, choć przed dwoma tygodniami ścisłego oblężenia Warszawy. Herbatę wypiliśmy, ze smakiem. Było jej w domu sporo. Niestety w spiżarni okazało się, że gosposia zrobiła większe zapasy cukru niż ryżu, kaszy i mąki. Tym prozaicznym stwierdzeniem, stanowiącym wstęp do naszego życia w najbliższym czasie, kończę relację z Szosy Lubelskiej – pierwszych 14 dni wojny. **Oblężenie minęło nam na wędrownkach: rano na Politechnikę, wieczorem do domu.** Ten okres znajduje swoją relację w cyklu „Politechnika”.

I znów nowa aktywność, tym razem ochrony przed pożarami, stałe napięcie wywołane bombami w dzień i ostrzałem artyleryjskim w nocy, pozwalała stopniowo przyzwyczajać się do nowej nieznannej rzeczywistości, która nie wiadomo na jak długo miała zastąpić życie obywateli kraju, który zaledwie 20 lat cieszył się bytem niepodległym.

## **6. Aneks do wspomnień z pierwszych tygodni wojny**

**04.10.1978 r.**

Ani w rozdziale zatytułowanym „Szosa Lubelska”, ani obszerniej w dużym cyklu „Politechnika” w opisie pierwszych tygodni wojny nie piszę nic, albo wzmiankuję tylko o rodzinie, „wypreparowując” swoją działalność z całego życia i odczuć człowieka. Prawda, że w tych ciężkich dniach wiele spraw schodziło na dalszy plan. Tak czy inaczej, **decyzja**

**rozstania się z żoną i córką nie była łatwa**, tym więcej że nie w tym stopniu wymuszona jak w przypadku powołania do czynnej służby wojskowej. W każdym razie, kiedy otrzymałem polecenie ewakuacji fabryki, podjąłem decyzję, że moja rodzina zostaje w Warszawie. Nawet gdyby nas miał rozdzielić „front na Wiśle”, co w pierwszych paru dniach wojny i próbach naszych działań ofensywnych w Prusach Wschodnich wydawało się kresem naszych niepowodzeń w tej wojnie. Moja żona i córka pozostałyby wówczas po tej samej stronie, po której leżał dom moich rodziców w kieleckim<sup>109</sup>, który mógł zawsze stanowić ostoję na wypadek przedłużającej się wojny. Przebieg wypadków miał okazać się inny.

W chwili wybuchu wojny moja żona i córka były jeszcze na lotnisku w Białej Górze w rejonie Rawy-Skierniewic, nad rzeczką Rawką, która w czasie pierwszej wojny światowej była poważną linią obronną na przedpolu Warszawy. Kiedy byłem w Białej Górze w niedzielę 27 sierpnia, na wieczornym spacerze natknęliśmy się już na patrole wojskowe nad rzeką. Było to już po częściowo przeprowadzonej w poprzednich dniach mobilizacji – powołania wielu oficerów rezerwy. Wśród nich znalazł się mój kolega szkolny oraz z pierwszych lat Politechniki Stefan Sobolewski (ostatnio dyrektor Drukarni Polskiej na ul. Szpitalnej). Żona jego wraz z córką, o rok młodszą od mojej 9-letniej Marty, również spędzała lato w Białej Górze. Dywizja Artylerii (przeciwlotniczej), do której przydzielono Stefana, stacjonowała w Warszawie. Skorzystałem z jego propozycji, że pojedzie po nasze rodziny, jeżeli użyję mu samochodu fabrycznego. Przystałem na to chętnie. Wyprawa odbyła się bez przeszkód z tym, że przesadnie przekonany o niezaradności swej żony (Jadwisi, zresztą koleżanki mojej żony z gimnazjum kieleckiego), nie zawiózł jej do domu, a zostawił w naszym mieszkaniu na ul. Mianowskiego 12. Zresztą uznałem to za słuszne, sądząc, że usytuowanie naszej „Kolonii Lubeckiego” jest korzystniejsze na wypadek bombardowania lub pożarów niż śródmieście. Miałem możność zaopatrzyć żonę dostatecznie w pieniądze, aby uznać „sprawę” za załatwioną podjęciem decyzji o pozostaniu obu rodzin w Warszawie. Zresztą pamiętałem stanowisko mojego ojca w tej sprawie w czasie wojny 1914 r. Dzięki temu, że pozostaliśmy wtedy twardo na miejscu (w Michałowicach w pow. pińczowskim), mimo dwukrotnego w pierwszych miesiącach wojny przejścia frontu i zatrzymania się walk pozycyjnych nad Nidą przez całą zimę 1914-1915 r., stałych kwaterunków wojskowych, wyszliśmy prawie całkowicie obronną ręką (wyjawszy stratę wszystkich koni i większości krów; w stajni zostały tylko dwa foksteriery, których normalnym obowiązkiem było chwywanie szczurów!). Już bodaj w **poniedziałek wieczorem**

---

<sup>109</sup> Majątek rodzinny we wsi Michałowice w powiecie pińczowskim.

**Stefan Sobolewski popadł w panikę** – dał wiarę, że Niemcy mordują całą cywilną ludność (było to już po krwawej niedzieli w Bydgoszczy – a więc nie całkiem bezzasadne pogłoski). **Błagał moją żonę, żeby zgodziła się z jego rodziną wyjechać w kierunku Brześcia, dokąd przenoszą – jego jednostkę.** Wie, że ja jestem innego zdania. Że powinny zostać. „Ale jeszcze nie wie wszystkiego”. Zawiadomiony telefonicznie w fabryce podtrzymałem moje stanowisko. Skończyło się na dramatycznych scenach, które odegrały się pod moją nieobecność w domu. Następnego dnia, we wtorek, kiedy moja żona wiedziała już o planie ewakuacji fabryki i moim wyjeździe, uległa błaganiom Stefana, stwierdzając tylko, że ja w żadnym razie nie dam środka lokomocji. Skracając: **w środę rano małym fiatem 4 osoby dorosłe, dwie dziewczynki (8 i 9 lat) plus żołnierz kierowca, plus najniezbędniejszy bagaż – wyruszyły nasze panie drogą na Mińsk Mazowiecki do Brześcia,** gdzie miały spotkać się z Sobolewskim. Dwie dodatkowe osoby, to matka i żona (w zaawansowanej ciąży) kolegi Stefana, z którym do spółki skombinowali samochód z Wojskowej Kolumny! Tak to ze smutkiem i dezaprobatą podjętych decyzji **pożegnałem moją żonę i córkę we wtorek 5 września późnym wieczorem, rozstając się z nimi na wiele miesięcy.** W mieszkaniu została nasza gosposia, która rozpoczęła u nas pracę 1go września (uprzednio pracowała piętro wyżej – ale nie mogła się pogodzić ze „starszą panią”). To ona nas powitała 13 wieczorem, kiedy zjawiliśmy się z Moczarskim, pytaniem: „Czy panowie już po herbacie?” Jak mieliśmy się wówczas przekonać, cały dom poza nami, dozorcą i jego żoną był pusty. Podobnie zresztą jak i inne domy w tej części ulic Mianowskiego i Mochnackiego. „Elitarni” mieszkańcy Kolonii Lubeckiego zgodnie opuścili Warszawę.

Ale wracam do peregrynacji naszych pań. Jak wynika z zestawienia dat, wyjechały z Warszawy tego samego dnia (6 września), kiedy ja z moją kolumną ewakuacyjną wyruszyłem do Lublina. W Kołbieli nie wytrzymałem, aby przepuściwszy moje wozy przodem, nie podskoczyć do Mińska. Miałem nikłą nadzieję, że zatrzymały się tam w domu naszej kuzynki (Haliny Wieczorkiewicz). Tę ostatnią zastałem w piwnicy po niedawnym nalocie. Owszem, panie były, przeczekały nalot i natychmiast ruszyły dalej w stronę Siedlec i Brześcia. To miała być ostatnia wiadomość z ich drogi. Wróciłem na drogę lubelską (może to wtedy na skrzyżowaniu w Kołbieli widziałem pierwsze martwe konie?). **W Lublinie, przed udaniem się w drogę powrotną do Warszawy, zasięgałem jeszcze języka u kuzynki mojej żony (Jadwigi Alexandrowicz, kuratora okręgu szkolnego, która „trwała na posterunku”), czy przypadkiem moja żona z Jadwigą Sobolewską nie zmieniły marszruty i nie wylądowały w Lublinie. Okazało się, że nie.** Nie było ich tam. Jak się

później okazało, drogą – a raczej roztropnie bocznymi drogami – udały się w kierunku Trembowli. W tamtejszym pułku ułanów służył brat Jadwisi Sobolewskiej, rotmistrz Jerzy Poborowski i w domu jego żony postanowiły nasze panie „daleko za frontem”, który je nalotami ciągle ścigał, zakończyć swój exodus z Warszawy.

Dalsze relacje pochodzą od mojej żony. Mogę popełnić tu nieistotne nieścisłości i przestawienia chronologiczne. **Już po 14 września jeździła Zosia do Lwowa, żeby się dowiedzieć, czy przejeżdżałem tamtędy drogą na Zaleszczyki.** Trafiała na jakiś dobry punkt informacyjny, gdzie ktoś rozsądny miał spis (na pewno niekompletny) lotników, którzy przez Lwów udali się na emigrację – na słynny trakt do Zaleszczyk. Mnie tam nie było i nic o mnie ani o fabryce Szomańskiego nie wiadano. **Wkrótce na kolonii domków oficerskich w Trembowli zaczęły się przesłuchania ze strony nowych władz<sup>110</sup>.** Moją żonę władającą językiem rosyjskim przesłuchiowano przynajmniej dwukrotnie. Może nie bardzo wiadano, jak zakwalifikować osoby przybyłe z Warszawy. W każdym razie moja żona wyczuła, że otoczenie żon oficerów nie jest najlepszym środowiskiem, a nadto odcięty linią demarkacyjną powrót do Warszawy, gdyby się na to zdecydować, nie jest prosty i trzeba się gdzieś w tym kącie kraju urządzić na dłużej.

*15.04.1979 r. w Lecznicy*

**Dowiedziawszy się, że w Jazłowcu czynne jest gimnazjum (liceum) i szkoła podstawowa SS. Niepokalanek, odwiozła tam dziewczynki, tj. Martę i Teresę Sobolewską, umieszczając je w szkolnym internacie.** Znalazła też przez p. Jostową z Torunia, którą mąż oficer wcześniej tam osadził z trzema córkami, lokum dla siebie i Jadwisi Sobolewskiej. Od Jadwisi starałem się dowiedzieć niektórych szczegółów poza tymi, które zapamiętałem z relacji mojej żony, ale niestety niewiele jej po blisko 40 latach zostało w pamięci. Łącząc jej wspomnienia z mglistym obrazem, jaki pozostał w pamięci Marty, mojej wówczas 9-letniej córki, ustaliłem, że droga prowadziła uciekinierki przez Brześć, gdzie chyba spotkały się jednak z inicjatorem całej wyprawy, Stefanem Sobolewskim. Że przejazd przez Brześć odbył się nocą. Że jechały dalej na oponach wypchanych słomą. Skradając się drózkami leśnymi dotarły do Łucka (czy również za radą Stefana?). Tam moja zawsze zaradna Zosia wynajęła jakiś pokój i zaczęła go urządzić. Stamtąd właśnie (może wówczas nastąpiło spotkanie ze Stefanem S.) wyruszyły dalej w drogę do Trembowli, gdzie zastał je 17 września. **Już z Jazłowca jeździła Zosia dwukrotnie do swego brata (Stasia Belkowskiego), który**

---

<sup>110</sup> Po wkroczeniu Armii Czerwonej 17.09.1939 r.

**z żoną i synkiem mieszkał w Kowlu. Ostatni raz przyjechała w dniu jego aresztowania.** Jak się okazało później, oddzielnie wywieziono do Kazachstanu jego żonę z synem. O nich nie mieliśmy już potem, żadnych wiadomości. Staś wylądował ostatecznie w II Korpusie, przebył cały jego szlak, brał udział w bitwie pod Monte Cassino, był tam bodaj ranny, bo po wojnie w Anglii jeszcze niedomagał. A może to była rozwijająca się tak pospolita w rodzinie mojej żony gruźlica. Wyjechał po demobilizacji z grupą kolegów do Argentyny i tam zmarł w 1950 r. Koledzy jego odesłali do nas osobiste jego drobiazgi – płaszcz mundurowy, odznaczenia i album z fotografiami z drogi II Korpusu. Album ten zachował się (już nie piszę „to album” – jak byłem przyzwyczajony w młodości!).

**Zaraz po kapitulacji Warszawy, a więc na przelomie września i października,** po przeprowadzeniu wywiadu **w fabryce na Marymoncie,** gdzie Niemcy zorganizowali **obóz przejściowy dla jeńców wojennych** (nota bene, rzadko się to u nas zdarza) upadł śnieg, który trzymał się parę dni. Co za przekora losu, po niemal letniej, nieprzerwanej pogodzie do ostatnich dni wojny !.

**Portier Leon Pluta mówił, że przyjeżdżała jakaś komisja, że słyszał jak powtarzali „veraltet”** (przestarzały), i wkrótce potem zaczęli urządzać teren i budynki na przyjęcie jeńców.

Pierwszym moim zamiarem było dotrzeć do Lublina i dowiedzieć się od Jadzi Alexandrowicz, czy jednak po moim tam pobycie (8 września) nie było żadnej wiadomości od Zosi, a może, na co miałem nikłą nadzieję – odnaleźć je tam właśnie – bo to był konkretny punkt oparcia. Zawód, jaki spotkał mnie ze strony przyjaciół rozporządzających samochodem, którym zakładając sklepik, bezpiecznie jakoś jeździli po „towar” do Łodzi – uznali za zbyt duże ryzyko użyczenie mi na jeden dzień samochodu do Lublina - odczułem bardzo przykro. Niestety, **drogą pośrednią dostałem nie 100%, ale prawie pewną wiadomość, że Zosia z Sobolewską i dziewczynkami do Lublina nie zjechały.** Drugą słabą nadzieją było, że moje wędrowniczki 17 września trafiły gdzieś do niemieckiej strefy okupacyjnej idąc pod prąd z całą falą uciekinierów, którzy wracali na lewy brzeg Wisły, i dotarli do Michałowic. Stąd **na początku października moja wyprawa do rodziców.** Konnym wozem (prędko zorganizowała się taka furgonowa komunikacja) do Radomia (znowu utrwalone w pamięci fragmenty tej drogi w powolnym tempie przebywanej). W Radomiu utkwiał mi w pamięci pierwszy policjant „granatowy” z opaską (biało-czerwoną!) regulujący ruch (już równoległe z zielonym policjantem niemieckim). Z Radomia do Krakowa pociągi osobowe, choć



nieregularnie, kursują. Dojeżdżam najpierw do Kielc i nocuję tam całkiem zwyczajnie w Hotelu Bristol. Po spalonej w dużej mierze i zbombardowanej Warszawie, ten obraz zwyczajności robi wrażenie. Dojeżdżam do Jędrzejowa, stamtąd wąskotorówką do Młodzaw (przed Chrobrzem), gdzie nocuję u miejscowych dzierżawców, znajomych moich rodziców. Następnego dnia, już znów „zupełnie zwyczajnie” odsyłają mnie bryczką do Michałowic. Wszędzie po drodze wypytywano o Warszawę, o oblężenie, dementowanie wiadomości o całkowitej zagładzie miasta. Dla mnie to napięcie między przeżytym wrześniem i tym znanym krajem, jego mikroregionami gdzie nic się nie zmieniło poza tym, że gdzieś dalej Polska się zawaliła – jest nieznośne.

Mało wspomnień zostało mi z **tego pierwszego pobytu w domu rodziców. Oczywiście radość, że ja żyję, że jestem, choć także przypuszczali, że znalazłem się zagranicą. No i skoncentrowany wspólny niepokój, strach, uświadomienie sobie, że nasze najbliższe osoby są gdzieś po drugiej stronie linii demarkacyjnej.** Decyduję się wracać do Warszawy i tam czekać na jakąś wiadomość. Obiecujemy sobie nawzajem jakąkolwiek drogą przekazać wiadomość o znalezieniu bodaj śladu Marty i Zosi. Istotnie jakaś niewiadoma i nieznana osoba dostarcza do mieszkania naszych znajomych pp. Stamirowskich (starsi ludzie + duża rodzina, większa szansa, że nigdzie nie wywędrawali) **kartkę pisaną ołówkiem ręką Zosi** z zapytaniem czy nasze mieszkanie istnieje, prośbą o opiekę i, **już wtedy chyba, wiadomość o zamiarze zatrzymania się w Jazłowcu.** Osoba oddająca mówiła, że „tę panią” autorkę kartki, spotkała w pociągu gdzieś koło Kowla (zgadza się z późniejszymi wiadomościami), i obiecała, jeżeli dotrze do Warszawy, oddać pod wskazany adres karteczkę. Co też zrobiła. **A więc radość! Żyją, Zosia „działa”!** **Drugą, obszerniejszą wiadomość do naszej gosposi (Jasi), z różnymi poleceniami** („odebrać futro z przechowalni” itp.) **i bliższymi informacjami o Jazłowcu,** przynosi jakiś Żydek, który z zainteresowaniem ogląda mieszkanie, próbuje coś dla „pani Bukowskiej” zabrać i ma się powtórnie zgłosić, kiedy ja będę w domu. Gotów zabrać list. Nie pamiętam, dokładnie, czy Jasia napisała coś, czy tylko na ustnych informacjach i wiadomości, że „Pan jest w Warszawie i czeka na Panią” poprzestała. Tak czy inaczej, wiadomości te dotarły do Jazłowca. **Mnie właśnie nazajutrz po otrzymaniu tych wiadomości aresztowano i przesiedziałem ponad 2 tygodnie na Pawiaku.** Musiało się to wszystko dziać około 15 listopada, bo pamiętam, że 29 listopada (urodziny) byłem jeszcze na ul. Dzielnej, a spędziłem w tym przybytku niewiele ponad 2 tygodnie. W każdym razie Zosia o tym nie wiedziała, więc Żydek chyba powtórnie się nie zgłosił, wobec tego, że Jasia

zdecydowanie odmówiła mu wydania futra. Sprawa mojego aresztowania to oddzielny fragment „fragmentu” mojej akcji poszukiwawczej.

Siedząc na Pawiaku niepokoiłem się, czy nie przyjadą właśnie w chwili, kiedy nie wiadomo, co się ze mną stało. Doszła bodaj wkrótce jakaś wiadomość, że zamierzają wracać drogą, dość wtedy popularną, przez Białystok i potem po lodzie przez Bug. Ciężka to była zima. Mrozy ok. 30° trzymały parę tygodni.

Wreszcie **pamiętna noc 29 stycznia 1940 r.** w siarczysty, ponad 30-stopniowy mróz, **około 2:00 stukanie do drzwi.** Otwieram przez łańcuch. **W świetle z przedpokoju Marta, Zosia, Jadwisia, Teresa, jakichś dwu mężczyzn.** Okazało się, że to przewodnicy, którzy przeprowadzili je przez Bug. Marta w jakimś obcym kożuszku, który potem miał się okazać skromnym skarbcem. Przede wszystkim herbata, rozcieranie nóg i rąk. Z Dworca Gdańskiego, (jak Marta przypomina) z przepustką, które wydawano wszystkim przyjezdnym w nocy. Przygotowanie posłań. Dziewczynki od razu do mojego ciepłego jeszcze tapczanu. Pierwsze opowiadania i relacje. Już po stronie GG. patrol niemiecki (bezprawnie) obrał je z pieniędzy. Większą szkodę ponieśli przewodnicy, którzy przemycali złote monety obszyte w guzikach. W obrębach kożuszka Marty było parę ciasno zwiniętych pięćsetek, które miały stanowić kapitał na najbliższe tygodnie nowego życia.

## **7. Incydent „Pawiak”**

Kiedy Stefan Sobolewski został zmobilizowany jako oficer artylerii w końcu sierpnia 1939 r., trafił do dywizjonu (art.p.l.?) dowodzonego przez majora dypl. (ppłk.?) Cezarego Niewęglowskiego, męża Haliny Szartowskiej, młodszej koleżanki gimnazjalnej Zosi (i mojej) z Kielc. W czasie swej służby sztabowej Niewęglowski przez kilka lat pełnił funkcję attaché wojskowego przy naszej ambasadzie w Rzymie. W 1937 r. z okazji Salonu lotniczego, odbywającego się na przemian co dwa lata w Paryżu i Mediolanie, dojechałem do Rzymu starając się o zwiedzenie tamtejszego ośrodka badań lotniczych w Gwidonii (pod Rzymem). Potrzebna mi była pomoc ambasady. Przypomniałem sobie, że tam właśnie są Niewęglowscy. Po wielu latach nawiązanie kontaktu. Major Niewęglowski był akurat w Warszawie, ale Halina przez jego zastępcę załatwiła wszystko co potrzeba u władz włoskich i Gwidonię dokładnie zwiedziłem.

**W toku pierwszych nieudanych poszukiwań śladów moich pań przyszło mi na myśl nawiązać kontakt z Haliną Niewęglowską, po śladach jej męża dowódcy Stefana**

**zorientować się, gdzie on sam (Sobolewski), mógł zakończyć wojnę**, (znaczniej później okazało się, że w Starobielsku) – i może tym sposobem natrafić na sterowaną przez niego „zorganizowaną grupę” naszych rodzin. Halinę odnalazłem łatwo według książki telefonicznej na ul. Kwiatowej i odwiedziłem. Niestety, jej mąż w ostatniej chwili (nie był to odosobniony wypadek wśród sztabowych oficerów) został odkomenderowany do swojego dywizjonu udającego się z Brześcia na zachód. **Wie, że uczestniczył w bitwie pod Kutnem, ale nie ma o nim żadnej wiadomości.** Z oddziałami, które z tej Armii zasiliły obronę Warszawy, nie wszedł do stolicy. **Od tej chwili utrzymywałem z Haliną kontakt. Na początku listopada doszła do niej wiadomość o śmierci męża w czasie tych właśnie walk nad Bzurą** (czy gdzieś indziej w tym rejonie). Wiadomości sprzeczne czy zginął, czy popełnił samobójstwo (nierzadkie w tych tragicznych dniach wypadki wśród oficerów).

**Dość, że gdzieś w połowie listopada poszedłem Halinę odwiedzić.** Otworzyła mi drzwi wyraźnie podniecona: „Miałeś szczęście, **niedawno było tutaj Gestapo**”. Zostałem tam dwoje starszych państwa, sąsiadów z góry, którzy przyszli z wizytą kondolencyjną i sublokatorkę H., panią, którą znałem z poprzednich bytności, ale nazwiska i imienia nie pamiętam. Nie zamierzałem długo się zatrzymywać, tym więcej, że zbliżała się godzina policyjna, ale z uwagi na obecne towarzystwo nie chciałem robić paniki. Po chwili **dzwonek i słyszę w przedpokoju: „Wir sind wieder da” (Jesteśmy znowu).** Wchodzi dwu podoficerów z trupimi główkami (gestapowców – jak ich powszechnie nazywano; znacznie później nauczyłem się rozróżniać różne kategorie służb tej złożonej organizacji). Rozpoczyna się legitymowanie. Starszych państwa. Mnie. Służę za tłumacza. Co nas tu zgromadziło? Złożenie kondolencji po śmierci męża pani domu, który zginął na froncie. Jeszcze obchodzą mieszkanie. Zaglądają do innych pokoi. Potem proszą mnie, żebym starszym państwu – sąsiadom – powiedział, że mogą iść do domu. Kiedy wyszli mówi mi starszy rangą gestapowiec: „A pan z paniami pojedziecie na – zrozumiałem – ul. Zielną”. Jeszcze nie identyfikowało się tak w bieżącym żargonie „Pawiaka” z „Dzielną”. Moje panie pytają, czy mają wziąć ze sobą jakieś toaletowe drobiazgi. Odpowiada: „Nie trzeba, to nie potrwa długo”. Zważywszy, że zrozumiałem „Zielna” a nie „Dzielna”, cel naszej przejażdżki kojarzyłem raczej z gmachem Telefonów, niż z Pawiakiem. Wyszliśmy. W dwudrzwiowym, ale dużym samochodzie ja z paniami na tylnym siedzeniu. Oni dwaj z przodu i jazda. Kiedy minęliśmy moją „Zielną” **zaświtało mi, że jedziemy na ul. Dzielną. I rzeczywiście. Oddano nas tam w ręce miejscowej obsługi. Jak wiadomo męski Pawiak był zniszczony w czasie oblężenia. Funkcjonował tylko oddział żeński, w którym pozostała stara obsługa**

**więzienna pod nadzorem paru gestapowców.** Nie będę miał nigdy dość dużo szacunku i podziwu, jak pod okiem gestapowskiego nadzorcy, nie odzywającego się ani słowem, skrupulatnie, ale z powagą i widoczną życzliwością „odbierały nas”. Normalna procedura, spis rzeczy z kieszeni pozostawianych w depozycie. Pasek od spodni. Nie pamiętam, jakie miałem buty, ale w każdym razie sznurowadeł nie oddawałem. Potem panie na parter, ja na drugie piętro. Pierwsze piętro w tym czasie bez reszty, jak się wydaje, wypełnione było książkami.

**Pierwsze zetknięcie z życiem więziennym.** Na korytarzu przed celą tzw. „korytarzowy” **prosi o papierosa. Poczęstowany z otwartego pudełka wygarnia prawie całą jego zawartość i z łobuzerskim uśmiechem mówi: „To się panu opłaci”.** (On będzie, jak się później okaże, poza froterowaniem korytarza, roznosił i rozlewał zupę. W jego mocy jest zagarnąć z dna, lub nalać z wierzchu. Zamieszać, lub nie zamieszać w kociołku). Był to młody kryminalista, który już zdążył odsiedzieć dwa wyroki. Teraz chwycony na rabunku w zamęcie pokapitulacyjnym. Powie mi później: „Panie Bukowski, mnie nic nie mogą w sądzie dowieść: nie było pobudek czynu karalnego. Ja wtedy (po kapitulacji i w ostatnich dniach oblężenia) szynszylami buty czyściłem i miałbym iść na rabunek do skromnej wdowy, dozorczyń. Zachodziło się tam czasem, bo miała fajną córkę. Tego wieczora, jak wezwała policję może zanadto głośno wołaliśmy o wódkę, ale było się już trochę pod gazem. Niech pan powie, gdzie tu „pobudka czynu karalnego?”. Dziewczyna pewno nie sypnie, a starej nie uwierzą. Chciała się nas pozbyć i oskarżyła o rabunek. A że człowiek już miał sprawy, to zaraz tutaj przywieźli. Jako mający względną swobodę ruchów – na dzień wypuszczany z celi – był źródłem informacji z zewnątrz. **Cela trzyosobowa. Zastaję jednego lokatora.** Nie wiem, jaki zwyczaj. Przedstawiać się czy nie. Wybieram drogę pośrednią. Podaję mu rękę i mówię: dobry wieczór. Ten nie wygląda mi na kryminalistę. Pyta: „Na długo?” Pamiętając co mówił nasz gestapowiec, mówię: „Chyba do jutra”. Mój towarzysz szeroko się śmieje: „Zanim przesłuchają cały kociołek, to dobre parę dni potrwa” – „Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ktoś następnego dnia poszedł na przesłuchanie. Takich to wiozą prosto na Szucha”. **Mój towarzysz okazał się i w przyszłości cennym informatorem-nauczycielem.** Z jego „życiorysu”, który mi prędko ujawnił, okazało się, że jest funkcjonariuszem służby śledczej (tzw. pospolicie „tajniakiem”), który ma sprawę o nadużycie obrony koniecznej. Po wybuchu wojny zwolniony z aresztu śledczego, po paru tygodniach zadenuncjowany przez swego kolegę przodownika granatowej policji, który wrócił do służby przed zwierzchnictwem, ponownie przez Niemców zatrzymany do śledztwa.

Ta denuncjacja wynikała z przyczyn konkurencyjnych. Żony obu kolegów prowadziły sklepiki na tej samej ulicy (bodaj 11 Listopada – bo odwiedzałem tam żonę mego towarzysza z celi po wyjściu z więzienia na początku grudnia). Widać nie było zgody, szczególnie, że zwolniony z aresztu, a nie zatrudniony ponownie, tajniak mógł wydajniej pomagać żonie niż jego pozostający w służbie kolega. „No i łobuz przyczynił się do tego, że znów tutaj siedzę”. Swój czyn podpadający pod paragraf k.k. mówiący o nadużyciu obrony koniecznej przedstawia tak. „Zna pan to puste pola koło Dworca Gdańskiego (nota bene, miałem je przed oczami przejeżdżając tamtędy często do fabryki na Marymoncie). Jest tam taka ścieżka na przełaj. Kiedyś przed zachodem słońca idę tamtędy, a tu naprzeciwko widzę zbliża się bandzior, którego ja sam wsadziłem i dostał parę lat. Powinien jeszcze siedzieć. Widocznie przedterminowo zwolniony, albo mu w apelacji obniżyli wyrok. Myślę – niedobrze jest. Nikogo w pobliżu. Ale idę naprzód. Tylko wziąłem w kieszeni w rękę „piątkę”, którą zawsze nosiłem. Kiedy on przede mną przystanął i rozkraczył się jak do zamachu, wyciągnąłem rękę z pistoletem i uderzyłem go lufą w skroń. Czy przy tym padł strzał – nie mogę sobie uprzytomnić. W każdym razie nie nacisnąłem świadomie na spust. Uderzenie było śmiertelne. Ale niech Pan powie, taki kolega z „podjuszczenia” swojej baby z piekła rodem denuncjuje dobrego kolegę. Do wojny czekałem spokojnie na rozprawę. Przeszłość w służbie mam nienaganną. Ale teraz...co to wiadomo?

Tutaj dwie refleksje. **W pierwszych tygodniach okupacji, przy narastającym stopniowo bezprawiu gestapowskim, toczyło się życie w kategoriach sądowo – przestępczych równoległe, normalnym ustalonym dawniej trybem.** Przecież nawet wiele spraw politycznych trafiało na drogę „normalnych” postępowań sądowych, obok narastających działań doraźnych – terrorystycznych. Nawet listy pierwszych egzekucji typu „zakładniczego” były oficjalnie ogłaszane i plakatowane.

**Druga refleksja to stwarzanie i wpajanie otoczeniu własnych wersji wydarzeń, które mogły być, czy miały być przedmiotem oskarżenia.** Przekonałem się, że to bardzo istotne tak długo „preparować” prawdę obiektywną, aż samemu się uwierzy w stworzoną wersję i oczyści ją z wszelkich nielogiczności. Tylko taka jest, znikoma zresztą, nadzieja wzbudzenia wiary we własne zeznania, szczególnie w braku uderzająco sprzecznych faktów. Stąd wielkie znaczenie „faktu” w każdym postępowaniu dowodowym lub odwodowym.

**Mój towarzysz-senior z celi miał się okazać jednym z moich cenniejszych nauczycieli w życiu.** Ze swej dawnej praktyki zawodowej i z komentarzy bieżących dni nauczył mnie

**patrzeć po nowemu na życie i ludzi. Ludzie nie są tylko dobrzy i źli: są przede wszystkim silni i słabi.** Kiedy potem awansował na pisarza piętrowego – dostarczał mi informacji kto przybywa, a kto ubywa na piętrze. Kogo wzięli na „uniwersytet” (te kroki na korytarzu nad ranem i wyczekiwanie, gdzie się zatrzymają i przy której celi zgrzytnie klucz!), kogo wypuścili „na wolność”, a kogo z depozytem wywieźli z więzienia. Charakteryzował też bezbłędnie naszych przejściowych „trzecich” współlokatorów w celi. **Nauczył mnie niezbędnego dystansu nieufności – nie tyle do ich prawdomówności** (o budowaniu własnych wersji „prawdy”, którą się chce wpoić otoczeniu, o czym już pisałem), **ale do ich siły.** Kiedyś mówi mi: „Jak pan będzie szedł do ubikacji, niech pan zajrzy przez judasza do celi, gdzie siedzi ten **oficer w pojedynce. Jest dopiero po drugim przesłuchaniu na Szucha**”. Miałem okazję i sposobność skorzystać z jego rady. Na stolku wysuniętym ku środkowi celi siedzi ze zwieszonymi rękami i opuszczoną głową nasz oficer (pamiętam tylko dużo baretek na mundurze, nie pamiętam dystynkcji, ale chyba miał poprzeczne paski na epoletach, więc przynajmniej major). Wyraz twarzy człowieka, który nie chciałby zobaczyć się w lustrze. A jeszcze parę dni temu podglądałem go przez okienko na samotnym spacerze po wewnętrznym podwórku – wspaniałego, wyprostowanego jak trzcina, ze stanowczym, choć spokojnym wyrazem twarzy. (Takie podglądanie wymagało obecności dwu osób w celi: jedna plecami, niby przypadkiem zasłaniała judasza, żeby nie było widać dostawionego do ściany przy oknie stolka. Zresztą nasze dozorcynie z damskiej obsługi z bardzo przystojną panią inspektor nie były groźne. Ale korytarzowy mógł donosić (ten uczynny kryminalista, który – za zaanektowane papierosy – dawał mi lojalnie gęstsza zupę). Kiedy podzieliłem się moim wrażeniem obserwacji z towarzyszem nr 1 (tak go będę nazywał), ten powiedział: „**Widzi pan, a stawali by pan na niego jak na pewniaka, a on już powiedział, czego nie powinien był powiedzieć. A teraz zgryzota już nic nie pomoże**”. Nie pamiętam, co potem się stało z naszym ozdobnym oficerem. Nie było go już, kiedy wychodziłem. Może swoim załamaniem „kupił sobie” zwyczajny oflag? Któż to wie!

Piszę takie szczegóły mało ważne, ale to były wszystko elementy tego „przyspieszonego” szkolenia, jakim był dla mnie ten krótki pobyt na Pawiaku. Istotnie, jak to powiedział Nr 1, mijały dni i pies z kulawą nogą nie zapytał o mnie. Kiedyś wynosząc tzw. kibel, spotkałem na korytarzu Józefa Węgrzyna. Potem dotarła wiadomość o ogłoszeniu listy (chyba pierwszej?), 9 (?) rozstrzelanych. Wśród nich Zabięło (?) – tak mi jakoś to nazwisko utkwilo. Siedział u nas. **Kiedyś podglądając przez okienko spacer zbiorowy kobiet zauważyłem poza Haliną Niewęglowską i jej towarzyszką,** z którymi razem przyjechaliśmy na Pawiak,

**jeszcze p. Ireneę.....którą z mężem spotkałem raz i drugi odwiedzając Halinę. Potem i jego (męża p. Ireney) odkryłem na naszym piętrze. Zacząłem to kojarzyć z towarzystwem z Yacht Klubu, które odwiedzało Halinę.** A więc to taki krążek. Ja na szczęście nie miałem przecież nic wspólnego z tym oficerskim towarzystwem.

Moi dalsi towarzysze z celi: jakiś przywieziony bodaj z Modlina, zamknięty w sobie, nie chciałbym powiedzieć ponury, ale głęboko wewnątrznie skupiony typ. W poprzednim zamknięciu karmili go słonymi śledziami, skromnie wydzielając wodę. Mówi, że to piekło. Był kilka dni, bo zdążył zrobić „wypiskę”. W dniu, kiedy mu doręczyli zamówioną paczkę, w której najbardziej atrakcyjny był szmaliec przetopiony z cebulą (zawinięty w pergaminowy papier), wchodzi nasz Nr 1 (wówczas już pisarz piętrowy) i mówi „Panie...., szykuj się pan na wolność”. Do dziś widzę te rozjaśnione, a równocześnie niewierzące oczy. Ale po sekundzie jakby uwierzył. „No to zostawiam wam moją wypiskę”. Pożegnał mnie i wyszedł. Byłem zdziwiony, bo mój Nr 1 w jakiejś chwili, kiedy byliśmy sami w celi, powiedział : „Z naszym nowym to będzie niedobra sprawa. To komunista. Ja ich przecież rozpoznaję”. To też nie zdziwiłem się, kiedy wieczorem mi powiedział: „Tak go choć na chwilę chciałem uspokoić. W bramie stała karetka, do której wyprowadzili bez odbioru depozytu. To tak, jakby go już nie było”. Dwa dni nie ruszaliśmy jego paczki ze szmalcem. Potem się zjadło. Cóż!

Przejściowo jakiś typ z innej celi, którego prędko zabrali. Nr 1 powiedział mi tylko: „Panie B., ja nie wiem, kto to jest.”- To mi wystarczyło. I wreszcie p. K. (?). Tak go nazywajmy. O dziwo, już trzeciego dnia na przesłuchanie na ul. Szucha. Młody człowiek. Blondyn z inteligencką, bystrą twarzą. Przedstawił się jako bankowiec, zresztą z pewnego szczególnego domu bankowego zorganizowanego w okresie „ozonowskim”. Po tym pierwszym przesłuchaniu wrócił z niezłą miną. Nic nie mówił. Był tylko jakiś sprężony w sobie. Następnego dnia znów przesłuchanie. Wieczorem, kiedy pan Nr 1 był jeszcze poza celą, facet (K) zaczyna się rozklejać. Poprostu za dużo mówi o swojej sprawie. Że przecież on z tym nie ma nic wspólnego. Pada nazwisko kpt. (może majora) Koźmińskiego. Robi mi się chłodno. Tego majora K. poznałem kiedyś u Haliny Niewęgłowskiej właśnie w towarzystwie Yachtowskim. Wydało mi się trochę dziwne, że już po wywiezieniu oficerów do oflagów, on elegancko po cywilnemu ubrany, dysponuje samochodem, jeździ jak mówił – po godzinach policyjnych... Poprosiłem mojego rozmówcę z celi, żeby nic więcej nie mówił, bo ja przypadkiem mjr K. poznałem, ale nic o nim nie wiem i nie chcę nic o nim, ani o jego sprawach wiedzieć nawet z drugiej ręki. Jegomość się zreflektował, zorientował, że wychodzi

z siebie. Radziłem mu zachowanie spokoju, szczególnie, że go dotąd nie bili. Nota bene, Nr 1 zdążył mi przedtem powiedzieć, że ten nowy towarzysz to taki bankowiec, jak on sam wikary. Kiedy pracował kiedyś przydzielony do jakiejś placówki KOP (Korpus Ochrony Pogranicza) na granicy wschodniej, to tam tacy różni bywali, i on dałby głowę, że tam właśnie go kiedyś widział. Tak to moje już dwutygodniowe rozmyślania w ciszy celi nabierają coraz głębszej treści co do charakteru sprawy, o którą się przez dom Haliny Niewęgłowskiej otarłem. Pytanie, jak się ona rozplącze i jak mnie dalej pociągnie.

W ostatnich dniach listopada w czasie zbiorowego spaceru w kółko po dziedzińcu, jak zawsze zerkam na parterowe okna kobiecego oddziału, czy nie zobaczę tam znajomych twarzy. Istotnie w pewnym momencie dostrzegam Halinę, która daje mi jakieś znaki. Pokazuje palcem na siebie, a potem odwraca rękę w głąb celi. Może to znaczyć, że ją wypuszczają. Po chwili znów się ukazuje, musiała widocznie ustąpić komuś innemu miejsca i wskazuje palcem na mnie i ten sam gest ręką do tyłu. Czyżby to znaczyło, że ja też wyjdę? Następny i następny dzień mija bez zmian. Tyle, że już nie widzę Haliny w okienku. Natomiast niespodzianka. **Dzielna Jasia (nasza gosposia), po dwu dniach mojej nieobecności, zaniepokojona postanowiła mnie poszukiwać.** Ostatecznie wybrała sposób, jak się okazuje, najskuteczniejszy. **Przygotowała małą, ale mądrze zestawioną paczkę i chodziła z nią od więzienia do więzienia.** Była, jak się potem okazało, i na Mokotowie, na ul. Daniłowiczowskiej, wszędzie odpowiadano: nie ma, nie rejestrowany. Wreszcie poszła na Pawiak, tam strażniczki potwierdziły, że jest taki, zrewidowały paczkę i powiedziały, że doręczą, co też niezwłocznie zrobiły. **Były tam i papierosy.** Co za rozkosz. Zasugerowany tym, że już zaraz wyjdę, przeoczyłem kolejny termin „wypiski”, a mój Nr 1 też żadnych paczek nie dostawał. Brak dwu rzeczy staje się dotkliwy bardzo szybko na „uproszczonej” diecie – brak tłuszczu i dla palaczy – papierosów.

**Następnego dnia, gdzieś chyba koło 10:00, mój Nr 1 otwiera celę i każe mi iść do kancelarii z oczekującą strażniczką. W przejściu mówi mi cicho: „Wydadzą panu depozyt. Niech pan będzie spokojny”.** (Przedtem podał zaś adres swej żony i polecenia, częściowo zaszyfrowane, żebym uzyskał wiarygodność. Dla mojego bezpieczeństwa nie dał mi żadnego grypsu). Na dole w kancelarii rozpoznaję oczekującego podoficera SS, który mnie tutaj przywiózł. Siada, wskazuje miejsce koło siebie. Załatwiają kogoś innego przy barierce kancelaryjnej. Z przyjaznym uśmiechem, tonem, któremu nadaje ton życzliwości, zapytuje mnie półgłosem: **„Czy pan się nie orientuje, dlaczego pan został zatrzymany?”** Odpowiadam, że miałem czas myśleć o tym przez całe 2 tygodnie z okładem, ale niczego



nie wymyśliłem. Nie zostałem wzięty z domu, a więc nie chodzi o coś bezpośrednio związanego ze mną. Może coś związanego z domem pani Niewęglowskiej, ale też nic mi na myśl nie przychodzi. Staraliśmy się okazać jej życzliwość po śmierci jej męża, ale stąd nic nie wynika.

**Prędko wydają mi depozyt i jadę z moim opiekunem i szoferem (chyba tym samym, który mnie tu przywiózł) na Szucha.** Tam na III (zdaje się) piętro. Tam każe mi usiąść obok paru nieznanymi osobom na ławce przy oknie, gdzie pilnuje nas jakiś szeregowy SS-man. Po chwili słyszę wywołane moje nazwisko z bliskiego korytarza. Mój strażnik poleca mi pójść do pokoju Nr..., gdzie w uchylonych drzwiach czeka już na mnie nie kto inny, tylko mój dotychczasowy „opiekun”. Zwraca się do jakiegoś cywila, że nie będzie potrzebny. Pytam, czy to tłumacz? Może lepiej, żebym zeznawał po polsku. To będzie precyzyjnie. Odpowiada: „Pan mówi dostatecznie dobrze po niemiecku. Porozumiemy się”. Zostajemy sami. Siada za maszyną, wystukuje personalia i wstępne formułki przesłuchania. Co robiłem przed wojną? **Jakich znałem oficerów?** Wyjaśniam, że choćby z tytułu pracy w fabryce dostarczającej sprzęt dla wojska, miałem bardzo liczne znajomości wśród wojskowych. Wymieniam jako bywającego w naszym domu mjr Zdzisława Szomańskiego, kuzyna mojej żony. Proszę o zacieśnienie pytania, co może pozwoli mi na bardziej rzeczową odpowiedź. **Pada wtedy nazwisko kapitana (czy majora) Koźmińskiego.** Jestem w domu, a więc to ta afera, którą podejrzewałem, nie wiem, na czym ona polega, ale widać, że zatoczyła szeroki krąg. Namyślałem się, i po chwili mówię: „Moim kolegą szkolnym był kapitan lotnictwa Kuźmiński, ale dawno nie miałem z nim kontaktu”. Jakie było jego imię? – „Jan”. „Ale niech pan dobrze pomyśli, ja pytam o Koźmińskiego, a nie Kuźmińskiego i imię się zresztą nie zgadza”. Znowu namyślałem się i nagle, niby z olśnieniem, mówię: „**Pana o nazwisku Koźmiński poznałem w domu pani Niewęglowskiej,** kiedy tam zastałem parę osób, **ale nie wiem, czy to był wojskowy**”. „Czy pan z nim rozmawiał?” „Rozmowa była raczej ogólna na tematy żeglarskie”. „Ale z **Koźmińskim bezpośrednio, o czym pan mówił?**” Chwilę zastanowienia. Powiedzieć coś prawdziwego. Aha: „**Mówiłem z nim o paleniu.** Był wielkim zwolennikiem fajki, którą właśnie starannie nabijał, kiedy ja zapalałem papierosa”. „I żadnych innych tematów?” „Żadnych”. „No to dziękuję panu”. Błyskawiczny protokół. **(Jeszcze przedtem pytanie: „Co mnie łączy z panią Niewęglowską?” Moja młodsza koleżanka ze szkolnych czasów, z którą odnowiłem znajomość będąc w 1937 r. w Rzymie, gdzie jej mąż zajmował stanowisko attaché wojskowego. Szczegóły te podawałem, żeby grało z prawdopodobnym zeznaniem Haliny, pytanej o mnie).**

W protokole znalazła się jednak „Schulfreundin”, którą odwiedziłem i Koźmiński, z którym rozmawiałem o paleniu fajki. Wszystko to wydaje się dziś jakieś łatwe, proste, ale przecież zaczynały się czasy, kiedy można było nic biernie czy czynnie nie działać przeciw III Rzeszy i pójść „na uniwersytet”. **Wreszcie „Sie sind frei”.** „**I proszę powiedzieć tym „Pole”, którzy siedzą tam na ławce, że mogą iść do domu**”.

Powtarzam to zlecenie SS-manowi pilnującemu, on kiwa głową i robi znak ręką, żeby wychodzili. Mówię im po polsku, że mogą wyjść z budynku i iść do domu. Widzę zamieszanie. Ludzie w najgłupszy sposób domagają się w tej sytuacji jakichś przepustek, pisemek. Ostrzegam, nic nie róbcie, nic nie pytajcie, tylko wychodźcie. Sam idę równym krokiem do klatki schodowej. Na każdym piętrze podwójny posterunek. Tak samo w kołowrocie na dole i w bramie wyjściowej. **Wychodzę nasłuchując, kiedy odezwie się głos: Halt! Mam uczucie dziecka wychodzącego z ciemnego pomieszczenia do widocznego w oddali światła.** Wreszcie podwórze, brama, skręcam na prawo starając się nie przyspieszać kroku. Dopiero na ul. Litewskiej, sprawdziwszy ostrożnie, że nikt za mną nie idzie, prawie biegiem wpadam na ul. Marszałkowską. Tam zmieszany z tłumem czuję się wreszcie rzeczywiście „frei”. Po 20 minutach jestem w domu. Poza oznakami radości pierwsze pytania rzeczowej Jasi: „A czy pan dostał moją paczkę?” Potwierdzam...Przecież to nie tylko wartość paczki, ale widome pokwitowanie jej usilnych poszukiwań. Dobra była dziewczyna.

## **8. Holz u Metallerzeugnisse Fabrik W. Szomański Co. A.G.**

*Wrzesień 1979 r.*

*Można by ten rozdział nazwać „okupacja 1940-1944”, ale będzie on zbiegiem okoliczności dość naturalnie związanym głównie z fabryką na ul. Kamedulów. Jakkolwiek nie zamierzam oddzielnie opisywać moich okupacyjnych przeżyć, w opis losów fabryki w czasie wojny wplotę moje osobiste, tak trudne dla każdego Polaka, lata okupacji.*

**Nagranie pt. „Szomański A., Szomański B.” 26 XII 79 r.**

**Na początku grudnia, po wyjściu z Pawiaka, zaszedłem kiedyś na teren fabryki i zastałem tam grupkę rozprawiających robotników, którzy mieli zwyczaj odwiedzania terenu fabryki. Wypląnęła między innymi sprawa kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, o której zapomnieliśmy przy likwidacji naszych interesów przed ewakuacją. Wypląciliśmy,**

tak jak to zostało odnotowane w rozdziale „Szosa Lubelska”, trzymiesięczną odprawę wszystkim pracownikom, natomiast zapomnieliśmy o kilkunastu czy dwudziestu paru tysiącach złożonych w kasie pożyczkowo-oszczędnościowej czynnej od paru lat na terenie fabryki. Ze strony robotników, pamiętam wśród nich tzw. starego Orłowskiego, w odróżnieniu od jego aktywnego bardzo, jak się później okazało działacza komunistycznego powieszono w toku represji wraz z 50 innymi w roku, bodaj 1941 czy w końcu roku 1940. **Otóż ze strony tej grupki wyszła propozycja, czy by tak nie uruchomić częściowo fabryki na rozmaite roboty stolarskie i w ten sposób nie tylko dać możliwość bieżącego zarobku tym, którzy go potrzebują, ale też i fabryce umożliwić zdobycie środków na stopniową spłatę wkładów kasy oszczędnościowej.** Obiecałem porozumieć się w tej sprawie z obecnym w Warszawie członkiem Zarządu firmy, Eugeniuszem Mączyńskim, przełamując własne opory zjawiania się ponownie na terenie fabryki na Kamedułach.

**Po paru dniach rozpocząłem w bardzo ograniczonym zakresie działalność na terenie ul. Kamedułów,** warto tutaj dodać, że równolegle miałem możliwość podobnego rozkręcenia robót stolarskich przez warsztat stolarski w Instytucie Aerodynamicznym, który narazie był bez opieki, a pojedynczy pracownicy zaczęli już wracać. Skoro jednak znalazł się dawny kierownik warsztatu, poczułem się jednak bliższy mojej załodze na ul. Kamedułów i dlatego też na tym terenie podjąłem pracę. Było wtedy dużo robót stolarskich na mieście po zniszczeniach wywołanych obłężeniem. Zarówno otwory okienne, stolarka budowlana, nade wszystko bardzo chodliwy, jak to się mówi, artykuł w postaci klepki podłogowej; potem zjawily się drewniaki – pantofle fabrykowane przez wiele małych warsztatów, tak że na zatrudnienie początkowo kilkunastu, potem trzydziestu paru ludzi wystarczyło roboty. Jeszcze jeden moment jest tu godny odnotowania: zjawił się u nas emigrant ze Lwowa, niejaki Prugar znany fabrykant nart na tamtym terenie. Otóż Prugar, widząc bogactwo materiału na naszym placu fabrycznym, zaproponował, że mógłby się podjąć uruchomienia produkcji tego sprzętu sportowego. Nota bene, przed rozpoczęciem robót, przed częściowym uruchomieniem warsztatu, trzeba było skompletować, zdekompletowane przed ewakuacją maszyny, w takiej przynajmniej ilości, i w takim zakresie, w jakim niezbędne one były do wykonywania najprostszych robót stolarskich.

Pamiętam tę ostrą zimę 1940 roku, kiedy w nieogrzewanych (już nie pamiętam z jakich przyczyn, ale nie mogliśmy uruchomić ogrzewania) pomieszczeniach rozpoczęliśmy tę właśnie produkcję. Z naszego dawnego personelu technicznego zjawił się technik budowlany, Kazimierz Alexandrowicz, ostatnio z naszego ramienia montujący półki

w magazynach nowej fabryki w Mielcu, bardzo teraz przydatny przy nowym zakresie robót budowlano-stolarskich.

Nie będę się wgłębiał w mało istotne wówczas szczegóły tej partaniny, jak by ją można było określić, w porównaniu do dawnej, wysoko zorganizowanej produkcji. **Ważnym momentem było zjawienie się pierwszych Niemców i pierwsze roboty dla Niemców prowadzone przez fabrykę.** Rzecz jasna, że jakieś opory i zahamowania głównie dotyczyły mojej własnej osoby, mojej własnej działalności. Robotnicy rozumieli, że tak czy inaczej trzeba pracować, bo jedyną inną perspektywą, która już na początku 1940 roku zaczynała się rysować, było bądź zatrudnienie w firmach objętych przez władze niemieckie prowadzonych pod kierunkiem niemieckim, bądź, co gorsze, jeśli chodzi o młodszych pracowników, wyjazd do Niemiec na roboty. **Ja miałem naturalnie zahamowania, jakkolwiek, trzeba powiedzieć, że z całą siłą pamiętałem przesłanki mojego pozostania w kraju,** o czym obszerniej pisałem relacjonując mój pobyt w Lublinie na początku września i spotkanie z Jurkiem Drzewieckim, kiedy to poczułem, że **pozostanie w kraju, nie oddzielenie się od ludzi, z którymi związane były ostatnie lata mojego życia, jest tym obowiązkiem najmocniejszym, najsilniejszym.** Jednak w praktyce przetworzenie tego na kierowanie, choćby najmniejszym zakładem pracującym dla okupanta, było niewątpliwie decyzją **niełatwą.** Tak, czy inaczej zaczęło się od małych, mało znaczących robótek. A więc **pierwszym zamówieniem,** które przyjęliśmy, było **dorobienie sań do karety,** której pudło przywiozła jakaś jednostka niemiecka na teren fabryki. Wyglądało to trochę jak pojazd z czasów powrotu Napoleona z Moskwy. Wkrótce potem zjawił się jakiś przedstawiciel w stopniu wysokiej rangi feldfebla (coś więcej niż stopień feldfebla, bo miał jeszcze gwiazdki na naramiennikach) z **zamówieniem na lekkie sanki.** Zima tego roku była śnieżna. Niemcy odczuli potrzebę lekkich środków komunikacji z konnym zaprzęgiem. Skonstruowaliśmy jakieś takie sanki. Przypominałem sobie z czasów dzieciństwa rozmaite rodzaje sań, które w gospodarstwie były używane i serią takich sań rozpoczęliśmy nasze dostawy dla Niemców. **Przeważały jednak ciągle roboty stolarskie dla miasta, rozwijająca się i dobrze idąca sprzedaż nart wytwarzanych przez Prugara, oczywiście z pomocą naszej załogi, w dalszym ciągu produkcja posadzki** – to były główne przedmioty obrotu. W tym czasie mniej więcej, był to już chyba środek albo koniec zimy, **zjawilo się na horyzoncie sławne Rüstung Kommando, tj. Dowództwo Zaopatrzenia,** mieszczące się w domu pod siłaczami w Alejach Ujazdowskich, w osobie kapitana (nie wiem dlaczego później nosił on odznaki inspektora, więc urzędnika wojskowego), **Czyrnera,** (który sam potem powiedział,

że przecież nie powinno być trudne do wymówienia jego nazwisko, bo ono pochodzi od czarny i tak je trzeba mówić: Czyrner), który zainteresowany dużą ilością materiału nagromadzonego na placu wypytywał mnie, czy **nie przestawilibyśmy się na produkcję wozów**. Przy czym wskazał, że **istnieją na Pradze** na ul. Szwedzkiej, na terenie zbrojowni nr 2 (której teren został zamieniony na składy zboża), dobrze wyposażone wozownie, tzn. **wytwórnie wozów taborowych, gdzie jest nawet model**, który można by skopiować. Obejrzałem ten obiekt i skończyło się na tym, że **przyjeliśmy zamówienie na wykonanie 10 dużych, polskiej konstrukcji wozów taborowych według zastanego modelu**. Oczywiście ten sposób **stopniowego zużytkowania naszych materiałów na cele inne niż śmigłowe wydawał się wcale pociągający**, bo ich nie można było w całości przerobić na klepkę podłogową i na narty, było to bowiem minimalne zużycie w porównaniu z kilkuset metrami sześciennymi materiału na placu fabrycznym.

W każdym razie te operacje pozwoliły nam na segregowanie materiału, (tak to nazwaliśmy i stopniowe wykorzystywanie go dla rozmaitej bieżącej produkcji).

Nie oszczędzaliśmy wtedy materiału. Po tej krótkiej serii wozów taborowych, zjawiły się, (ale to już był czas późniejszy – to już była chyba połowa 1940 roku, a może później), zjawiły się **sporadyczne zamówienia, najpierw na okna barakowe, potem na łóżka barakowe**. Trzeba tu było już używać materiał kupowany, choć i w tym był pewien interes, dlatego, że dostawało się tzw. holzschoiny, czyli prawo nabycia drewna z tartaków, będących pod zarządem niemieckim, z czego wiele firm czynnych wtedy bardzo szeroko korzystało, opierając na tym swoją działalność.

Otóż, wracam do przerwanej wątku; Czyrner zaproponował **zorganizowanie produkcji kół do lekkich wozów konnych; jak je Niemcy śmiesznie nazywali „pony-wagen”**, może przez analogię do małych koników, które nazywali „pony-pferde”, co już, jak się potem okazało, **było przygotowaniem do kampanii wschodniej**. Dwa były duże ośrodki produkcji tych wozów. Jeden w Warszawie, gdzie same wozy robiła firma bodaj Kley (to była „folksdojczowska” rodzina, prowadząca na praskiej stronie duży zakład drzewny, ale na tyle prymitywna, że wykonywania kół nie mogła się podjąć) oraz firma sławnych powoźników na ul. Wolskiej. Drugim takim ośrodkiem była Huta Ludwików w Kielcach. Znow nie będę się wgłębiał tutaj w cały szereg trudności, które mieliśmy przy uruchamianiu tej produkcji kół, bowiem **mając konkurencję Huty Ludwików, częściowo pracującej metodami przymusowego zatrudnienia, starając się zapewnić możliwie wysokie zarobki**

**naszemu personelowi, nie bardzo mogliśmy konkurować i stale nam wytykano drożyznę naszej produkcji.** Wprawdzie, przy poprzednio rozwiniętej produkcji kół do wozów chłopskich u nas używanych od Łowicza po Miechów, wypracowaliśmy całą serię kół do wozów. (Zachowała się gdzieś kartka reklamowa z kołami, jakie w tym czasie produkowaliśmy). **Mimo, że przez daleko posuniętą modyfikację i organizację zeszliśmy z 35 godzin czasu wykonywania jednego koła na 7,5 godziny, ciągle nasze koła były za drogie.** Tę tajemnicę po jakimś czasie rozplątałem. **Po prostu Huta Ludwików pobierała na wykonanie koła blisko trzykrotną ilość drzewa w stosunku do tej, którą myśmy brali, a niemieccy zarządcy tamtej Huty nadwyżki drzewa sprzedawali na boku i w ten sposób wyrównywali straty,** jakie myśmy ponosili na wysokich kosztach robocizny. Zresztą myśmy rzeczywiście produkowali nasze koła w sposób technologiczny o wiele bardziej doskonały. **Tak to rzeczy się kręciły, że na tej częściowo cywilnej, częściowo dla Rüstungs Kommando produkcji przeżyliśmy rok 1940.** Notabene, w tym czasie nasza fabryka została zakwalifikowana jako **Holz-und Metallzeugnisse Fabrik Szomański and Co A. G. do kategorii Zakładów A, tzn. do kategorii dość wysokiej,** bo wyższą kategorią były tylko tzw. W-betriebe, tzn. zakłady czynne dla potrzeb gospodarki wojennej; natomiast **A i B - betriebe, to były zakłady pomocnicze o pewnej ważności dla gospodarki wojennej Niemiec.** Ważnym było, że po pierwsze **mieliśmy możliwość wystawiania zaświadczeń pracy – sławnych Ausweisów –** chroniących przed łapankami, a przynajmniej przed mniej brutalnymi łapankami, oraz stwarzających możliwość otrzymywania stałych przydziałów żywności w ilościach, które były znaczące w ówczesnych warunkach.

Personel fabryki stopniowo się powiększał tak, że **po roku pracowało już około stu ludzi.** Pracowało tzn. było na listach pracujących i listach płacy, bowiem prędko przyjął się zwyczaj, że **dbaliśmy o to tylko, żeby frekwencja nie spadła poniżej dwóch trzecich.** Praktycznie zapisywaliśmy 6 dni pracy w tygodniu i to pracy 10 godzinnej, a egzekwowaliśmy tylko 4 dni, pozostawiając 2 dni jednym – na prywatne roboty, innym – na handel, trzecim – na wykonywanie ich czynności całkowicie pozaprodukcyjnych. Rzecz zrozumiała, że **w zabiegach o Ausweisy nie ustawały różne ośrodki.** Temu trzeba by poświęcić oddzielny fragment. W czasie pobytu na Pawiaku, dość dobrze zorientowałem się w pierwszych działaniach i poczynaniach naszych tzw. organizacji podziemnych. **Uważałem bardzo, żeby przez nieodpowiednie kontakty nie narazić fabryki na represje ze strony tzw. władz podziemnych,** ale równocześnie wiedziałem, że te władze są bardzo płynne, bardzo różne i bardzo nieskoordynowane działające. Np. **kiedy podejmowaliśmy**

produkcję kół, doprowadziłem do spotkania z przedstawicielem tzw. władzy podziemnej. Był to jakiś kapitan, należący do jakiejś organizacji wojskowej, który powiedział, że „możecie spokojnie rozwijać produkcję, bylebyśmy tylko wiedzieli dokąd i kiedy będą transporty odchodzić, co według faktur nadawczych będziecie mogli łatwo stwierdzić”. Powiedziałem mu o trudności polegającej na tym, że dostawy te przechodzą głównie do firmy Kley, a więc na miejscu w Warszawie i poradziłem tam zorganizować służbę ewidencyjną transportów już zmontowanych wozów. Zresztą **prędko rozszyfrowałem wywiad, który działał na terenie fabryki, zarówno w biurze, jak i na warsztacie. Działy tu bowiem różne ugrupowania, które podam według nazewnictwa, które ustaliło się pod koniec wojny. Wykrystalizowały się one ostatecznie w dość zwartą i silną grupę Armii Krajowej, mocną grupę PPR-u i drobną grupę NSZ-owską, która trzymała się bardzo na boku i miała mało zwolenników.** Wyraziłem się może niewłaściwie, mówiąc o tym, że „rozszyfrowałem” mój wywiad oddolny na terenie fabryki. To raczej było tak, że stopniowo zyskiwałem, coraz większe zaufanie i przywódcy grupy: zarówno AK-owskiej jak i PPR-owskiej przychodzili do mnie radząc się w wielu sprawach taktyki postępowania i odbierając odpowiednie informacje o perspektywach dalszego rozwoju sytuacji na terenie fabryki i na terenie Warszawy w ogóle.

Przejdę teraz do sprawy najważniejszej. Gdzieś w połowie, może raczej **drugiej połowie 1940 roku** sprawdziło się to, o czym pisałem, że wywarło skutek **odnalezienie naszej przesyłki ze szwedzkimi nartami w Gdyni, tzn. nartami przeznaczonymi dla odbiorcy szwedzkiego.** Stwierdziwszy poprzednio, że Fabryka Śmigieł jest mało interesująca i przestarzała, nagle znaleziono skrzynie z konsygnacjami tejże fabryki i to ze sprzętem, który wcale nie był przestarzały, a raczej był bardzo nowoczesny i dobrze technicznie wypracowany. **Zjechała zatem niespodziewanie komisja w składzie przedstawicieli Rüstung Kommando, jak również jakichś obcych oficerów, wypytujac, czy to myśmy wykonali narty dla Szwedów,** które jak się okazało bardzo pasują do sławnych Stukasów.

Powiedziałem, że tak, ale równocześnie, że konstruktorów tych nart nie ma i że nie ma też – bo takie pytanie mi postawiono – żadnej możliwości restytuowania tej produkcji. **Rozmowa trwała dość długo, uzasadniłem fachowo, dlaczego podjęcie produkcji uważam za niemożliwe. Powrócono jednak ponownie do produkcji śmigieł, do dużej ilości drewna będącego na miejscu, a ponieważ w tym czasie właśnie tworzone nową organizację tzw. Ringów, to jest otaczanie niemieckich zakładów kluczowych na terenie Rzeszy drobniejszymi zakładami rozrzuconymi po całej Europie (a był to już czas**

po upadku Francji i po podboju całej zachodniej Europy) dla zabezpieczenia się przed skutkami bombardowania fabryk centralnych. Firma Heine, którą zresztą znałem z wizyty w 1936 czy 1937 roku, tworzyła placówki rezerwowe m.in. w Holandii, we Francji, na terenie Czechosłowacji i **do tego Ringu Heinowskiego została włączona również nasza fabryka, jako Propellerwerk Szomański.** „Piękna” ta nazwa była efektowna tylko na Ausweissach, ale przykro było ją nosić. Wkrótce potem, przyjechali przedstawiciele firmy Heine, zostały ułożone warunki stopniowego uruchomienia produkcji, przesłania grupy naszych robotników (wyjechało ich wtedy bodaj trzech czy czterech specjalistów: malarzy i okuwaczy) na staż do Heinego.

**Ja z Mączyńskim byłem w Berlinie** (to były chyba jeszcze późne miesiące jesienne – bo już było zimno – 1940 rok, albo początek 1941), **dla ustalenia handlowych warunków współpracy. W rezultacie zachowaliśmy naszą samodzielność pod ogólnym szyldem Holz und Metallzeugnisse Fabrik z uwagi na to, że mieliśmy i inną produkcję, dla Rüstung Kommando,** o czym mówiłem poprzednio, i niezupełnie zanikła u nas jeszcze produkcja cywilna, którą robiliśmy na potrzeby miasta. **Przyjechał z nami z Berlina, bo tego zażądałem, odpowiedzialny kierownik techniczny produkcji śmigłowej,** niejaki pan Wilhelm Wolff, dawny właściciel małej fabryki śmigłowej z okresu pierwszej wojny światowej, **który miał być odpowiedzialny za produkcję śmigłową. Ja zachowałem stanowisko ogólnego kierownika fabryki, ale zastrzegłem się, że będę zajmował się tylko sprawami zaopatrzeniowymi, handlowymi,** natomiast proszę mnie nie obciążać żadnymi funkcjami technicznymi. Tak też było i tylko zresztą na tych warunkach mogłem przy kierownictwie fabryki pozostać.

Może prędko przejdę etapy produkcji. **Zaczęło się od małych śmigieł do samolotów Fiseler i ta produkcja szła przeważnie w niedużej liczbie, nie sięgającej 50 sztuk miesięcznie.** To już była, że się tak wyrażę, docelowa produkcja. Aż nagle, to było już **po wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim, uczestowano nas zamówieniem na wielkie śmigła czteroramienne dla samolotów pod kryptonimem Warschau West.** Od razu te śmigła wydały mi się jakieś podejrzane, ale nie wtrącałem się i pozwoliłem, ażeby robota szła ściśle według nadesłanych rysunków, które właśnie budziły moje zastrzeżenia. Były to śmigła czteroramienne, ale składane z dwóch części o stosunkowo niskich, cienkich piastach, co z góry przesądzało możliwość drgań i pęknięć. Kiedy dostarczyliśmy pierwsze serie (był to już chyba 1942 rok, tak na pewno 1942 rok, ale jeszcze przed Stalingradem), kiedy nagle **zbulwersowany Wolff, po telefonie otrzymanym z Berlina, przybiegł do mnie, że nasze**



**śmigła pękają w czasie prób.** Na to go zapytałem: „Dobrze, ale te same śmigła robiła również firma holenderska i robiono je także w Berlinie, czy one tam również pękają?” „Nie, tamte śmigła nie pękają, a nasze po bardzo krótkim czasie pracy pokazują rysy przy piąście”. „Panie Wolff, niech pan odtelefonuje, żeby poobserwowali swoje śmigła przez dłuższy okres czasu. **O ile ja się orientuję w przyczynie – to wszystkie śmigła będą pękać po dłuższym, albo krótszym okresie czasu**”. Kiedy Wolff odtelefonował tę wiadomość, po dwóch dniach przyszedł rozpromieniony i mówi: „**Proszę Pana, śmigła Heinego też pękają.** A skąd to Pan przewidział?” Ja mówię – „Proszę Pana, kiedy ja po prostu przez zawodową ciekawość zapytałem do jakich samolotów i do jakich silników są te śmigła przeznaczone, to Pan się wykręcił; zrozumiałem, że Pan nie chce, czy nie może odpowiedzieć. **Otóż tylko przy bardzo wolnych obrotach te śmigła mogły wytrzymać przy tej konstrukcji, jaką mają.** A jeżeli Heinowskie pękały później niż nasze, to być może dlatego że usunęli tam pewien karb, na który zaraz Panu zwrócę uwagę, który jest zgodnie z rysunkiem na naszych śmigłach”. **Tak skończyła się historia ze śmigłami Warschau West. Ponieważ samoloty były na francuskich silnikach, które też okazały defekty, więc jak przyszła do nas później wiadomość, samoloty te zostały rozstawione jako makiety maskujące zgrupowania samolotów na wschodnich lotniskach i taki był niesławny koniec Warschau West,** który nam zabrał więcej niż pół roku, chyba z 8 miesięcy, obciążenia całego działu śmigłowego. Nie potrzebuję mówić, jaka była radość w zakładzie z tego powodu. Zapowiedziane jeszcze większe śmigła do samolotów pod kryptonimem Warschau Süd nie weszły już w ogóle do produkcji. Z ważnych rzeczy, które trzeba by odnotować, to był **pożar na terenie fabryki.**

Po pierwszych miesiącach kampanii na wschodzie, **zaczęto zwozić na nasz teren zdobyczne śmigła i trochę nart od samolotów radzieckich. Układaliśmy je w szopie przeznaczonej na drewno tak, że nie były one widoczne od strony ulicy. W jakiejś akcji sabotażowej, ponieważ sądzono, że to jest skład pełnowartościowych śmigieł, podrzuciono wieczorem przez płot ogień i cała olbrzymia szopa na drzewo, stojąca wzdłuż ulicy Kamedulów, stanęła w płomieniach.**

Zawiadomiony o tym telefonicznie, poleciłem żeby przyjechał po mnie samochód z fabryki i natychmiast się tam zjawilem. **Pełno już było władz policyjnych, i Gestapo, i Kripo, i Schutz Polizei, i Feld Polizei.** Kogo tam nie było? Zaczęły się gorączkowe wypytywania: „Kto podłożył ogień”, „Gdzie się zaczęło palić?”. **Portier i stróż nocny oświadczyli, że zobaczyli ogień w narożniku od strony ulicy,** więc ja natychmiast

powiedziałem, że ostrzegałem przed taką możliwością i na pewno od strony fabryki ogień nie został tutaj podłożony. W pewnym momencie (rozmowa odbywała się w moim pokoju pracy na pierwszym piętrze), któryś ze starszych funkcjonariuszy zapytał, **czy tutaj są sami Niemcy w tym pokoju. Na to ja i jeszcze jakiś agent cywilny, wstaliśmy i powiedzieliśmy że my jesteśmy Polakami. „Wobec tego prosimy opuścić pokój”.** Wyszliśmy i wtedy ten agent policyjny z Kripo powiedział mi: „Wiej pan, Panie, **nadarza się okazja, żeby w tej chwili uciec, niech Pan wieje**”. Nie wiedziałem, kto to jest, nie znałem go i powiedziałem „**No wie Pan, nie mam zamiaru uciekać, bo to absolutnie nic nie da. A sprawa jeśli chodzi o moje obowiązki na terenie fabryki, wygląda tak, że ja zrobiłem wszystko, co do mnie należy**”. Zostałem do rana i zadbałem o to żeby ludzie, których zresztą ciekawość sama zwabiła na teren fabryki, stanęli do roboty, żeby maszynownia ruszyła na całą parę, żeby tok pracy był niezakłócony. Toteż kiedy rozjechały się władze śledcze, pozostawiając tylko 2 czy 3 posterunki, **gdzieś koło godz. 9:00 zjawił się szef Rüstung Kommando**, sympatyczny grubasek pułkownik, (zapomniałem jego nazwiska), z wyrazami współczucia z powodu wypadku, jaki się zdarzył, i z zapytaniem, **czy produkcja na tym nie ucierpiała? Zaprowadziłem go do fabryki, gdzie wszystkie maszyny pracowały jak szalone i gdzie ludzie pracowali tak, jak nigdy.** To uspokoiło nastroje na parę dni, ale od tego czasu, **chyba przez 2 tygodnie, byłem nękanym ciągłymi wizytami gestapowskimi z wypytywaniem o ludzi, o personel, o to czy ja tutaj nie mam podejrzanych, czy nie podejrzewam, że niektórzy z ludzi naszej załogi to komuniści.** Na to odpowiedziałem (takiemu naprawdę typowemu, jak z filmu, oficerowi Gestapo): „Proszę Pana, Pan wie, że w naszym kraju, przed wojną myśmy pracowali jako fabryka dla wojska, i wie Pan również, że jeżeli jakieś w Polsce były prowadzone inwigilacje, to w stosunku do ludzi, których podejrzewano właśnie o komunistyczne powiązania. Więc mogę Pana zapewnić, że nikt z moich dawnych pracowników nie jest i nie był komunistą. Natomiast, jeśli chodzi o tych, których mi od czasu do czasu przysyłają z Arbeitsantu – takie wypadki się zdarzały – za tych nie mogę brać odpowiedzialności, ale sądzę, że oni przeszli właściwe badania”.

Na zmianę, z tym właśnie oficerem przychodził inny, taki słodki Bawarczyk o łagodnych oczach, który **próbował mnie brać nawet na katolicyzm; że on jest katolik, ja pewno też, że jednak, jeżeli pan ma jakieś podejrzenia, to dla dobra całej załogi niech Pan powie. Przecież nie od razu my im krzywdę zrobimy, po prostu podda się ich badaniom, jeśli podejrzenia będą nieuzasadnione to zostaną zwolnieni. Powiedziałem, że nie mogę mu mówić czego innego, niż mówiłem poprzednio rozmawiającemu ze mną**

oficerowi i naprawdę, **żaden z ludzi u nas na terenie fabryki o komunizm nie może być podejrzany.**

**A była to oczywista nieprawda, dlatego, że całą naszą komórkę PPR-owską znałem dokładnie z imienia i nazwiska.** Tak to nekali mnie przeszło dwa tygodnie, potem sprawa ucichła. Dzisiaj mówi się jakoś beznamiętnie o tych rzeczach (w stosunku do strasznych sytuacji, w jakich ludzie bywali, to był przecież drobiazg). Chciałbym tylko podsumować, że **przez cały czas okupacji i później podczas ewakuacji fabryki, o czym będę jeszcze mówił, nie zdarzyło się, żeby ktokolwiek z naszej załogi był aresztowany i żeby cierpiał jakieś prześladowania. Z jednym tylko wyjątkiem, 2 panów pracujących w biurze: Stamirowskiego, zresztą starszego pana, przyjaciela mego Ojca, i jego zięcia Karpińskiego,** których przez głupotę wladowała córka Stamirowskiego, która była bardzo aktywna, i to aktywna w organizacjach lewicowych, ale głupio nieostrożna. Całą rodzinę wpakowano z mieszkania na ul. Poznańskiej, a potem przewieziono na Pawiak. Wróciła z niego najmłodsza córka, Karpińska, która była w ciąży, natomiast druga córka, o której mówiłem, i obaj panowie zostali w krótkim czasie zlikwidowani. To jest też odrębna historia godna rozwinięcia, ale będę starał się robić jak najmniej odskoków. Irena Karpińska, moja przyjaciółka z lat dziecińczych, żona rozstrzelanego na terenie getta, żyje do dziś, ale nie, nie wracajmy do takich smutnych wypadków.

**Wiosna i lato 1944 roku,** kiedy już pogrom „niezwycięzonej” armii hitlerowskiej był widoczny, **zaznaczyły się bardzo dużym rozluźnieniem – myślę o dyscyplinie pracy,** nawet tej ograniczonej, o której mówiłem poprzednio. **Ponadto od stycznia czy lutego 1944 roku zamieniono nas w Wehrbetreib i w związku z tym powinno było przyjść kierownictwo niemieckie. Rzeczywiście, Betriebsführerem został wyznaczony dyrektor sąsiedniej fabryki, tzw. „Blaszanki”, który jednak ograniczył się do jednej wizyty i potem do sporadycznych kontaktów z Wolfem.** Do prowadzenia ogólnych spraw fabryki nie wtrącał się. Zresztą, już wszyscy Niemcy w tym czasie byli podszyci strachem zbliżającej się wojny. Wiele można by powiedzieć jeszcze o naszych kontaktach w ciągu tych lat z dyrekcją firmy Heine, o kolejnych ludziach, którzy stamtąd przyjeżdżali, w szczególności **o kierowniku centrali panu Dombrowskim, który początkowo, kiedy użyłem w rozmowie słowa Preusse – w znaczeniu takim, jak my mówimy: „pruska”, tj. pejoratywnym – obruszył się i powiedział mi: „Ich bin doch ein Preusse”, a więc ja jego obraziłem. Kiedy w 1944 roku przypomniałem mu, kiedy sam mnie wyciągnął na rozmówki na temat oceny sytuacji, powiedziałem mu: „Sie sind doch ein Preusse”**

odpowiedział „Aber nein, ich bin ein Pommer”, jestem Pomorzanie i zresztą noszę nazwisko, które nie bardzo różni się od nazwiska waszego sławnego generała z czasów napoleońskich. Tak to zmieniały się nastroje.

*Koniec nagrania*

**30.12.1979 r.**

Wybuch powstania zastał mnie na terenie fabryki, w której od paru dni kwaterowała jedna z kompanii batalionu pionierów, ulokowana na bezpośrednim zapleczu frontu, który wtedy przebiegał w rejonie Jabłonnej-Choszczówki (kopali chyba rowy na wysokim brzegu Wisły za Laskiem Bielańskim). **Druga kompania ulokowana była w bezpośrednim sąsiedztwie na terenie „Błaszanki”** (fabryki Więckowskiego), graniczącej z naszym terenem od południa. **Trzecia – rozlokowana była w domach u zbiegu ulic Marii Kazimiery i Jana III.** Dowódca kompanii u nas zagospodarowanej, porucznik ok. 40-letni, kulturalny pan, wyraźnie przygnębiony sytuacją (zagadywał mnie na ogólniejsze tematy). Zatrzymuję się nad szczegółami, gdyż ważne są one z uwagi na dalszy rozwój wypadków.

**Po godzinie 16:00 na terenie fabryki zostali, jak się zorientowałem, tylko „strażacy”, tj. nasza grupa AK. Przybyło jeszcze paru nieznanymi mi ludzi w odwiedziny do Leona (portiera – dowódcy grupki AK). Ci, którzy wiedzieli, oczekiwali z niepokojem godz. 17:00.** Okazuje się, że w rejonie obu fabryk, naszej i „Błaszanki”, wyznaczona była koncentracja jeszcze jednego plutonu AK, którego zadaniem było rozbrojenie Werkschutzu w „Błaszance” i zajęcie terenu fabryki. U nas (zresztą wprowadzony ostatnio posterunek należał chyba do oddziału stacjonowanego w „Błaszance”) zadanie zajęcia „śmigłówki” było zadaniem miejscowej grupy AK. Oba oddziały miały oczywiście ze sobą współdziałać. **Okolo godz. 16:00 przychodzi do mnie** (siedziałem w biurze na I piętrze) **Leon z pytaniem o radę. Co robić? Dwa plutony „naszych pionierów” były na robotach, reszta – około 30 ludzi, dobrze uzbrojonych, na miejscu. Wyraziłem mój pogląd. Siedzieć cicho – udawać zdziwienie – jak w mieście zacznie się coś dziać – w nocy zabrać ukrytą broń i przez Rudawkę do Lasku Bielańskiego, albo włączenie się do akcji w inny sposób w zależności od rozwoju sytuacji. Plan działania powstańczego nie był obliczony na obecność na Marymoncie oddziałów frontowych zza Wisły.** Najbliższym obiektem wojskowym była obecna AWF (CIF),

obsadzona przez oddział Luftwaffe. (Okazało się, że ludzie ze zgrupowania „zewnątrznego” już po wybuchu strzelaniny na Górnym Żoliborzu, zostali zagarnięci przez sąsiednią kompanię i osadzeni w „Błaszance”).

Kiedy od strony Żoliborza około godz. 17:00 dały się słyszeć pojedyncze strzały (w jakiejś chwili zabłąkana kula wybiła szybę w górnej części okna pokoju, w którym siedziałem) wszedł do mnie por. (Braun?) dowódca Kompanii, w hełmie i z wielostrzałowym karabinem automatycznym, pytając, czy nie wiem, co się dzieje. Powiedziałem, że nie mam pojęcia. Przejeżdżałem przez miasto do fabryki przed trzema godzinami i uderzył mnie jakby zmniejszony ruch, natomiast brak jakichkolwiek oznak niepokoju, czy zgrupowania sił policyjnych. Braun powiedział: „Zaczekamy na wyjaśnienie sytuacji”. W tej chwili z sąsiedniej fabryki, gdzieś z piętra budynku biurowego, czy z dachu, zagrały kolejno seriami CKM, skierowując ogień, jak sadzę, na przedpole Marymontu – teren wznoszący się w stronę Żoliborza. Stamtąd dochodziły, jak mi się potem wydawało, raczej pistoletowe niż karabinowe strzały (może to była „ofensywa” na lotników w AWF). Tak czy inaczej, po kilkunastu minutach nastąpiła cisza. Wróciło spokojne letnie popołudnie. **Przez parę tygodni teren między Żoliborzem i Marymontem miał pozostać „ziemią niczyją”.** Nic tam się nie działo. **Przed zapadającym zmrokiem przyszedł ponownie do mnie Braun i zapytał, co to za ludzie (cywilni) są na terenie.** Powiedziałem, że część z nich to są nasi robotnicy, którzy zostali dla robót porządkowych, ale widzę również twarze obce tych, którzy schronili się z ulicy już po rozpoczęciu strzelaniny. „Czy pan może za nich odpowiadać?” Zapytałem, w jakim względzie. „Możliwej dywersji...” **Powiedziałem, że nie mogąc ich tuż przed godziną policyjną ewakuować proponuję, aby zgromadzić ich na noc w jednym miejscu** (dawnym pomieszczeniu lakierni, które miało dodatkowe wyjście tylne na halę maszyn) przyległym do wartowni, **a rano rozsegregować ludzi, pozostawić na terenie tych, którzy będą niezbędni choćby z uwagi na bezpieczeństwo przeciwpożarowe („strażacy” Leona).**

**Braun akceptował ten projekt.** Ja zawiadomiłem o nim Leona Plutę (wyżej wspomnianego portiera i komendanta „straży ogniowej”), potwierdzając, że w ten sposób nie krępujemy praktycznie swobody ruchów jego grupy. Prosiłem tylko, żeby – jeśli to nie będzie niezbędne w wyniku dalszego biegu wypadków – dla przyzwoitości część ludzi została. Jak się orientuję, w nocy, z drogi do Lasku Bielańskiego skorzystało zaledwie paru, **głównie obcych ludzi. Resztę, zgodnie z porozumieniem z Braunem, zwolniliśmy z „zamkniętego” pomieszczenia i tych, którzy wyrazili chęć, Braun wypuścił poza teren**

**fabryki. Podobnie postąpił dowódca sąsiedniej kompanii w „Błaszance”. Korzystając z mojego pośrednictwa (przyszedł do mnie) dla telefonicznego wyjaśnienia wątpliwych przypadków tych osobników, którzy swoją obecność w naszej okolicy mogli w najlepszym razie wytłumaczyć „chodzeniem na ryby”. Chodziło o wyjaśnienie w miejscu ich pracy, czy rzeczywiście są zatrudnieni, czy mieli wczoraj wolne popołudnie itp. Nie wszędzie po drugiej stronie telefonu mogli znaleźć osobę mówiącą po niemiecku – i szczęśliwie. Ja stawiając pytania i właściwie preparując usłyszane informacje, mogłem je powtarzać zainteresowanemu oficerowi w sposób korzystny dla zatrzymanych. **W rezultacie, o ile wiem, cały pluton „zgrupowania” AK w naszym rejonie znalazł się na wolności i mógł udać się każdy według swego uznania poza Marymont, bądź też do domów bliżej położonych osiedli nie zajętych przez wojsko.****

**31.12.1979 r.**

**Odgłosy frontu za Wisłą oddalały się, natomiast narastały z dnia na dzień walki w Warszawie.** Nie pamiętam już, kiedy opuściła nas załoga pionierów z por. Braunem **Poszli za oddalającym się frontem za Wisłę.** My zostaliśmy w obszarze niczym. Dotarła do nas mieszkająca z Szomańskimi na Żoliborzu (ul. Mickiewicza 20) p. Olga Chondarzewska. Obserwowałem rozwój walk w kolejnych dzielnicach Warszawy. Rzadko dochodziły (przynajmniej w dzień) odgłosy ręcznej broni. Natomiast **dymy i luny sygnalizowały dość wyraźnie miejsca dzielnic objętych walkami. Później naloty. Detonacje pocisków artyleryjskich. Wreszcie sławna „krowa”, działo kolejowe z rejonu Dworca Gdańskiego (?).** Ponury hurgot nastawiania poprzedzający kolejne odpalenie ładunku. Wystrzał i odgłos detonacji orientowały o położeniu „frontu” w mieście.

**Dni i tygodnie płynęły. Niemcy nawiązali regularny transport z Pragą przez mosty przy Cytadeli. Rozpoczęli wywózkę fabryk praskich.** Nie pamiętam już daty, ale było to **chyba przed połową sierpnia, zjawił się na naszym terenie znajomy z Rüstung Kommando, nadinspektor Rapf (?).** Rezydowali teraz, po opuszczeniu miejsca urzędowania w Alejach Ujazdowskich, w fabryce obrabiarek – dziś Zakład 1 Maja – w Pruszkowie, (nota bene wkrótce potem dowiedziałem się, że kierownik tej instytucji płk. F.....(?) został postawiony w stan oskarżenia za samowolną ewakuację i nie zorganizowanie we własnym zakresie (!) obrony, i zdjęty – jakbyśmy dziś powiedzieli – ze stanowiska. W każdym razie w moich późniejszych dwukrotnych kontaktach z Rüstung Kommando w Ożarowie i w Głownie funkcję tę pełnił już ppłk lotnictwa K. (?), znany

mi przelotnie z terenu tej instytucji). **Zapytał, czy rozporządzam jakimiś siłami do przygotowania urządzeń fabryki i materiałów do ewakuacji.** Ludzi spośród naszej załogi chętnych do chronienia się na terenie fabryki, szczególnie za obietnicę wznowienia dostaw aprowizacji, znalazło się sporo. **Kolumny samochodów ciężarowych wojskowych i Transportflotte Speer były już obsługiwane przez grupy cywilne Polaków** wyłapanych (jak dowiedzieliśmy się) w różnych dzielnicach miasta objętych powstaniem. Od nich też (jakkolwiek byli bardzo wystraszeni) **dowiadaliśmy się szczegółów o pierwszym okresie rozwoju działań powstańczych i tłumieniu go przez Niemców. Wtedy, pamiętam, dowiedzieliśmy się o masakrach na Woli. Niektórzy z tych przymusowych „demontażystów” zostawiali wiadomości do rodzin.** Pamiętam, jak sam, korzystając ze względnej swobody ruchów i środków komunikacji (samochodów przewożących nasz dobytek na teren tartaku na ul. Elbląskiej 13, gdzie była bocznica) **próbowałem z takimi wiadomościami dotrzeć na Koło. Wstrząsające wrażenie: domy i mieszkania otwarte, widać, że ludzie byli wypędzeni nagle. Niedojedzone potrawy na stołach. Żadnych na ogół śladów przygotowań do zabrania choćby najniezbędniejszych rzeczy. W niektórych mieszkaniach (wszedłem do trzech lub czterech kierując się adresami kartek) nawet wielkiego nieporządku nie było. W innych poprzewracane sprzęty, jakby ślady przynaglania do opuszczenia domu.**

W części nagranej, o ile pamiętam, **nie wspomniałem nic o tartaku z ul. Elbląskiej 13, który przed wojną należał do niejakiego Kleina (Żyda). Tam składowaliśmy, wykorzystując bocznice i przecieraki, materiał (kłody) jesionowy dostarczany firmie przez innego przedsiębiorcę żydowskiego, Leona Piżyca (zginął w Treblince), zajmującego się „en gros” handlem drzewa (handel ten był niestety poza sektorem lasów państwowych).** Nasz „twardy” jesion pochodził ze skupu wolno rosnących drzew przydrożnych, obejść chłopskich, parków. Według obowiązujących, pochodzących jeszcze z francuskich norm z okresu I wojny światowej, wymagań odbiorczych wojskowych, jesion puszczański (choćby z Białowieży, drobno-słoisty, pogardliwie nazywany „marchewką”) nie odpowiadał tym normom. Miałem zaawansowane starania o dostosowanie tych nadmiernie wygórowanych norm do technicznie uzasadnionego poziomu, ale to już inna sprawa i zbyt duża dygresja.

**Otóż zasugerowałem Rapfowi, żeby nasz załadunek odbywał się na bocznicę tego tartaku, z którego zresztą korzystaliśmy w ostatnich latach okupacji rozpoczynając skup surowca (nota bene, w pewnym momencie Rüstung Kommando. zaproponowało firmie objęcie tego tartaku pod własny zarząd i eksploatację. Udało się nam wymówić od udziału**

w tym „zagospodarowaniu” dobra pożydowskiego. Natomiast zasugerowałem wydzierżawienie tartaku naszemu nadzorcy z ramienia firmy Heine, Wilhelmowi Wolfowi, który będzie m.in. dla nas wykonywał niezbędne roboty tartaczne. (Na fabrykację kół do wozów nasze 28 mm deski śmigłowe nie nadawały się – dlatego przecieraliśmy nowo nabywany materiał na inne wymiary, których zapas na naszych składach przedwojennych był ograniczony). Wolff do spółki z inż. Peterem chętnie skorzystał z propozycji. Zaczęło mu się „dobrze powodzić” – bo przedtem był tylko na skromnej, jak na „Reichsdeutschów” w Generalnej Gubernii, pensyjce Heinego.

Otóż tartak na Elbląskiej miał odegrać w okresie powstania niemalą rolę. Trzeba dodać, że urządzono tam skład przejściowy magazynów wyposażeniowych przeniesiony z Rygi. Były to przeważnie narty lotnicze, zarówno używane, jak i „fabrycznie” nowe, skrzynki z różną drobnicą samochodową itp.

W ten sposób mogliśmy pracować nad załadunkiem i transportem, i sporządzać, specyfikacje każdego wagonu (zawartość i stację przeznaczenia). Prędko okazało się, że cały nasz majątek ma być skierowany do Kistenfabrik, Rauscha Ober Lausitz, czyli do kryptonimowo oznaczonego jako „fabryka skrzyń” najbliższego zakładu „Ringu” Heinego na Dolnym Śląsku (wg nomenklatury ówczesnego podziału terenowego Rzeszy Okręg Górnych Łużyc). Dalsze zadanie, jak rozumiałem, polegało na zaangażowaniu w ewakuację maksymalnej liczby wagonów. Nie było to trudne, szczególnie przy przesadnej dbałości o „staranne” ustawianie ładunku w sposób zabezpieczający przed uszkodzeniami w transporcie. W tym czasie, po „nagraniu” ewakuacji na terenie ul. Kamedułów, przenieśliśmy się na teren ul. Elbląskiej. Łączność z fabryką miałem przez kursujące ciężarówki wojskowe (które po całodziennym dniu pracy zjeżdżały na noc do bazy, zdaje się gdzieś w rejonie Brwinowa, przejeżdżając przez Pruszków, co okazało się w następnym okresie końcowego etapu naszej ewakuacji szczególnie ważne).

Po załadunku maszyn z magazynu z Rygi, (udało mi się łatwo przekonać Rüstung Kommando, że ten sprzęt trzeba również, objąć ewakuacją); przysłała kolej na drewno, nasze pięknie wysztaplowane deski jesionowe z ul. Kamedułów i inną tarcicę z tartaku na ul. Elbląskiej.

Było tego tyle, że już po wszystkich zrozumiałych ubytkach, zdołałem już w pierwszych miesiącach po wojnie, pod koniec r. 1945, „reewakuować” ponad 300 m<sup>3</sup> desek śmigłowych (plus oczywiście całe wyposażenie naszej fabryki) do Głowna, gdzie



był czynny zakład remontowy sprzętu kolejowego (również samochodowego na małą skalę), podległy Zjednoczeniu Przemysłu Motoryzacyjnego, w którego dyrekcji w tym czasie (X.1945-IX.1946) pracowałem. W innym zakładzie tego samego zjednoczenia, mianowicie w odbudowywanym Ursusie, w jego rozbudowanej modelarni odlewniczej, zamierzałem, jeśli zajdzie potrzeba, uruchomić produkcję śmigieł.

**W całej tej operacji ewakuacyjnej, obejmującej około setki wagonów (raczej więcej) zagubiły się tylko dwa wagony.** Było to zresztą pretekstem dla uzyskania na imię inż. Stanisława (?) Ihnatowicza gletju do poszukiwania ich do końca panowania niemieckiego na lewobrzeżnej (w stosunku do Wisły) części kraju. Ta swoboda ruchów bardzo mu się przydała. Wszystkie inne wagony trafiły do miejsca przeznaczenia.

Trzeba w tym miejscu odnotować **ważne wydarzenie, jakim było (koniec sierpnia, lub może początek września) wypędzenie ludności Powązek i Marymontu oraz spalenie tych dzielnic.** Na terenie tartaku była wtedy grupa (20-30 osób) naszych ludzi z fabryki i załogi tartaku, zajętych przy załadunku, pod ochroną jednego podoficera i 6 żołnierzy Wehrmachtu. Ta ochrona, która początkowo groziła naszym i tartacznym ludziom, okazała się dla nas osłoną dzięki interwencji inż. Petera, który w chwili wybuchu powstania był na ul. Elbląskiej 13.

*Pozytywne świadectwo inż. Ihnatowicza, (który był tam również), pozwoliło Peterowi wybronić się po wojnie z jego okupacyjnej „reichsdeutschowskiej” działalności.* **Kiedy teren tartaku zamienił się w ważny punkt ewakuacyjny, tych kilku Wermachtowców ochroniło nas istotnie przed rozlokowanymi na sąsiednich terenach rozbestwionymi oddziałami sławnej „SS Brigade Kamiński”.**

Otóż tego sądnego dnia obraz był rzeczywiście apokaliptyczny; **na tle rozległego pożaru, dymu dochodzącego aż do nas, zbliża się ul. Powązkowską (?) gęsta kolumna ludzi, mieszkańców Marymontu, pod konwojem żołnierzy (szczęśliwie Niemców, a nie własowców).** Z obecnym na terenie p. Adolfem Guhlem **podejmujemy błyskawiczną decyzję – wyciągnięcie z tej kolumny naszych fabrycznych rodzin, przeważnie na Marymoncie zamieszkałych.** Wykorzystuję obecność (jak szczęśliwą!) majora z Rüstung Kommando, który w tym czasie nadzorował naszą ewakuację (starszy pan, były oficer austriackiej marynarki wojennej z okresu I wojny światowej, który okazał się bardzo dla nas życzliwy). Melduję mu krótko sprawę i razem z A. Guhlem, w asyście tegoż majora, z którym jest nie wiadomo skąd przyplątany, na okrągło pijany feldfelbel policji (z żółtymi patkami –

więc chyba z jakiejś jednostki terenowej), podbiegamy do kolumny, **i po polsku, i niemiecku krzyczymy: „Rodziny pracowników firmy Szomański na prawo”**. Pośpiech był taki, że pamiętam Guhla w niezasnurowanych pantoflach włożonych na gołe nogi. Jako jednego z pierwszych dostrzegam Gawarkiewicza idącego z żoną. Posterunki konwojujące na widok majora i żandarma nie protestują. Niektórzy żołnierze wręcz powtarzają nasze wezwania. Niebezpieczeństwo tkwiło w tym, aby zbyt gęsty strumień nie oddzielił się od głównej kolumny; przepuszczaliśmy również obcych ludzi, za wstawiennictwem naszych, jako rodziny. Myślę, że fakt, iż cała operacja się udała, zawdzięczać trzeba również temu, że ludzie z masy niechętnie się oddzielają. Toteż do nas się wyrywali albo ci, którzy mnie znali z widzenia, albo istotnie rodziny naszych robotników. Niesprawdzone wiadomości o „okropnościach” obozu przejściowego w Pruszkowie na ogół jednak przemawiały na rzecz wydostania się z kolumny, bądź co bądź jeszcze na własnym, powązkowskim terenie. A wiadomo było, że wszystkie takie „wyprowadzenia” w tym czasie w najlepszym razie kończyły się „Pruszkowem”.

**Ustaliłem od razu z majorem, że po skończonym załadunku sprzętu i drewna wybiorę ludzi niezbędnych do „dalszego funkcjonowania zakładu”, bądź inaczej przydatnych w „Kistenfabrik Rauscha”. Po cichu myślałem, że z tych chyba około 500 ludzi wybiorę rzeczywiście rozsądną, odpowiadającą liczebnie naszej załodze i rodzinom grupę, a reszta nocą, małymi grupkami jakoś się ulotni. Wspomniane już samochody ciężarowe, odjeżdżające na noc do Brwinowa, odegrały bardzo ważną rolę. Szoferzy, za wódkę, której w naszym „obozie” okazało się pod dostatkiem (zresztą na terenie samego tartaku funkcjonowała bimbrownia), **godzili się** – jednych pod plandekami, innych jawnie (noc), jeżeli nie było dorosłych mężczyzn – **wywozić stopniowo naszą klientelę poza obszar Warszawy i wysadzać poza rejonem Pruszkowa**, przez który, jak wspomniałem, przejeżdżali. Zresztą już wcześniej ewakuowaliśmy w ten sposób, raczej pojedynczo, tych uciekinierów z miasta, którym udała się ucieczka z „akcji” prowadzonych w innych dzielnicach. Pamiętam raz jak ekspediowaliśmy rannego starszego oficera w towarzystwie, dla niepoznaki, jakichś dzieciaków i kobiet, które go zasłoniły. Nie ufaliśmy w 100% kierowcy, choć wybraliśmy wydaje się najpewniejszego.**

**1.01.1980 r.**

To stopniowe rozładowywanie zaludnienia ul. Elbląskiej następowało regularnie i bez niespodzianek, z wyjątkiem jednej, kiedy jakiś mniej znany kierowca zatrzymał

samochód w Pruszkowie i wyładował wszystkich pasażerów tuż obok tamtejszego obozu. Jak nam potem doniesiono, pod osłoną mroku udało się pasażerom rozprysnąć.

*Trzeba przyspieszyć tok opowieści. To płatanie się w szczegóły staje się niebezpieczne.* Otóż po skończonym załadunku i ustaleniu załogi stacjonującej w tartaku do około dwustu (chyba tak – może trochę więcej) ludzi, **sąsiedztwo „Kozaków” z SS. Brigade Kamiński stawało się coraz bardziej uciążliwe.** Ich wizyty w poszukiwaniu „szwaczek” niezbędnie im potrzebnych, zastraszenie naszej 7-osobowej „ochrony” Wehrmachtowców, **skłoniły mnie po naradzie z naszymi robotnikami do podjęcia decyzji ewakuacji ludzi. Wszyscy bali się jak ognia Pruszkowa.**

Zwróciłem się do wspomnianego już majora z Rüstung Kommando o **dostarczenie frachtów na wagony do transportu ludzi śladem naszych maszyn i materiałów do Rauschy** (nie powiedziałem, że Rauscha, dziś Ruszów, jest małą miejscowością przy stacji kolejowej na linii Żagań-Węgliniec na zachód od Wrocławia). Chodziło też o uprzedzenie dyrekcji „Kistenfabrik”, że taki transport „Szomański Polen”, jak nas potem nazywano, nadejdzie. Wszystko to stwarzało w ówczesnym bałaganie cechy prawidłowo dokonanej ewakuacji zakładu z załogą do zaplanowanego z góry miejsca. **Otrzymałem potrzebną liczbę wagonów krytych (chyba 7), co przy normie wypełnienia 30 do 40 osób ustala najprawdopodobniejszą liczbę ewakuowanych na ponad 200-stu ludzi (z kobietami i dziećmi).** Oczywiście miejscowa obsada tartaku (mechanik Dutkiewicz z rodziną ?), pewna liczba wolontariuszy z Powązek została zaliczona do transportu. **Ze zrozumiałych względów nie robiłem żadnych spisów,** operując zawsze w stosunku do władz niemieckich (Rüstung Kommando) liczbami „circa”. Inż. Peter zniknął z terenu (mieszkał w Skolimowie) w parę dni po moim przybyciu na ul. Elbląską. Nie pamiętam, w jakich okolicznościach „ubył” inż. Ihnatowicz. Prawdopodobnie też niemieckim transportem. (Mieszkał kiedyś w Komorowie pod Pruszkowem. Potem odnalazł się w Częstochowie. Korespondował ze mną, znając adres z naszych frachtów wysyłkowych). Tak więc zostałem z kierownictwa sam (obok A. Guhla, który zdołał odnaleźć żonę ewakuowaną do Pruszkowa z Ochoty w pierwszych dniach powstania. Znaleźli się również w Rauschy rodzice p. Guhla – ale nie pamiętam, czy jechali z nami z Warszawy. Guhl był człowiekiem niezmiernie energicznym i trzeba przyznać, że we wszystkich operacjach ewakuacyjnych i w nowym urządzeniu życia w Rauschy bardzo przydatnym. Używał też niemieckie pojazdy i asystę Wehrmachtowców bez żadnych zahamowań – jak przedtem Peter. Zresztą miał niemieckie nazwisko i imię (Adolf), władał biegle językiem panów.

Jego matka nie mówiła biegle po polsku, mówiąc mi: „Bo my, proszę pana, jesteśmy z tych Polaków z Pabianic – tak nas rodzina nazywała”).

**Dla mnie powstał nowy próg w poczuciu związania z załogą**, tutaj na ul. Elbląskiej rozszerzoną o ludzi, którzy zaledwie przez krótki czas widzieli we mnie ostoję bezpieczeństwa przed bezpośrednim zagrożeniem.

Moja żona i córka były już wówczas razem z Rodzicami (w Michałowicach w powiecie pińczowskim – zresztą życie w sławnej Rzeczypospolitej Pińczowskiej opanowanej przez różne grupy „podziemne” i partyzanckie, przy utrzymujących pozory władzy Niemcach, stało się, jak potem dowiedziałem się, trudne do wytrzymania. Zwyczajni bandyci na przemian z autentycznymi partyzantami nie dawali spokoju. Tak to gdzieś w listopadzie znalazły się moja żona z córką w Krakowie z niebezpiecznymi wówczas warszawskimi „Kenkartami”). Znów dygresja – ale chcę usprawiedliwić moją rozterkę: czy „pryskać” z wagonu w drodze, czy służyć znowu za Mojżesza wyprowadzonemu z Warszawy transportowi.

Wśród ewakuowanych znalazł się dyr. Roman Szomański z siostrą. Mieszkająca razem z nimi, już wspomniana, p. Olga Chondarzewska, przeprowadziła ich z Żoliborza na ul. Kamedułów. Stamtąd po decyzji ewakuacji ludzi, razem z Leonem Plutą, jego strażakami i rodziną, zabrani zostali wszyscy w przeddzień załadunku na ul. Elbląskiej.

**Tak to 18 września zestaw wagonów z „Szomański Polen” przetoczony został w godzinach południowych na Dworzec Gdański. Tam dłuższy postój. Front za Wisłą ponownie zbliżył się na Pragę. Znajome obłoczki wybuchających w powietrzu szrapneli i ostra kanonada przez chwilę budziła nadzieję, że może tym razem ofensywa przejdzie Wisłę i zagarnie nas wraz z ważnym węzłem kolejowym, jakim był Dworzec Gdański. Niestety, po południu ogień przycichł, a nasze wagony potoczyły się na zachód w kierunku na Sochaczew.**

**Piękne wrześniowe późne popołudnie. Tuż za granicami Warszawy ludzie (była to chyba niedziela) siedzący w ogródkach przed domami. To było niesamowite wrażenie. Jak można tak spokojnie żyć (czy oni żyli spokojnie? – ale takie były pozory) w sąsiedztwie konającego miasta! Wtedy to po minięciu Sochaczewa, po zapadnięciu zmroku można było spróbować ucieczki. Zresztą pewna liczba ludzi z tego skorzystała – niektórzy uprzedzili mnie lojalnie, że po drodze będą „wiać”. Miałem jakiś adres w Kutnie,**

a więc blisko granicy GG. z „Reichem”. Ale skrupuły i moja twierdząca odpowiedź przy załadunku na pytania: „**Panie inżynierze, ale nas Pan nie zostawi?**” To właśnie: **jaka pamięć bym zostawił u tych ludzi, których teraz wywoziłem (i których po ośmiu z górą miesiącach miałem przywieźć do kraju z powrotem, jak los pozwolił, bez straty jednego człowieka) – zadecydowało**<sup>111</sup>. Tak więc decydująca chwila minęła.

Przez Łódź, Wrocław, Żory (Sorau) i Żagań (Sagan) – tam pamiętam obóz jeńców angielskich za drutami daleko od toru, (o tym obozie dużo pisano), dojechaliliśmy dość prędko do Rauschy, gdzie już oczekiwali nas przedstawiciele dyrekcji „Kistenfabrik”. Wśród nich niektórzy znajomi z czasu kontaktów z Centralą firmy Heine w Berlinie.

## **9. Kistenfabrik Rauscha; Kernholz Gesellschaft Melder & Heine Niemes**

„Kistenfabrik Rauscha” – (wrzesień 1944 r. – styczeń 1945 r.) to zamknięty okres, który – gdyby się dać ponieść chęci dłuższego pisania – zawarłby w sobie wiele ciekawych szczegółów. Na razie poprzestanę na próbie zwięzłego opisu. **Po wyładunku przeprowadzono nas omijając miasteczko do położonego na jego krańcach w pobliżu lasu „oboziku” dla cudzoziemskich robotników.** Coś tam w nazwie było z „Heide”, co potem kojarzyło się i myliło ciągle z **nazwiskiem Lagerführera**, grubego cywilnego Niemca, **które brzmiało bodaj Heiland**. Poza złodziejstwem, zwykłym na tych stanowiskach, polegającym na robieniu oszczędności na racjach żywnościowych (szczególniej i tak skromnych racjach tłuszczu, mięsa, mleka dla dzieci do 13 lat i niedowazaniem chleba), był on w obejściu nienajgorszy. **W tym oboziku zastaliśmy już 3 grupy Polaków**, które zresztą trzymały się w dość separowany sposób – nie tylko z powodu różnych miejsc zakwaterowania. **Pierwsza to byli „Posener Polen” – poznaniacy, starsi ludzie, robotnicy budowlani, cieśle i murarze, którzy byli jak gdyby na statusie „wolnonajemnych”.** Drugą grupę stanowili tzw. „Berliner Polen”, **młodzi chłopcy i dziewczęta przeniesieni do Rauschy z centralnych zakładów Heinego w Berlinie.** **Oddzielną grupę stanowili tzw. „Warschauer Polen”** – to już były całe rodziny **pochodzące z pierwszego okresu wywózki z Warszawy z dzielnic najwcześniej opanowanych.** Opowiadali, że prezentowano ich po drodze jako uciekinierów przed ofensywą radziecką – to też miejscowa ludność na kolejnych etapach odnosiła się do nich życzliwie, świadcząc różne drobne – na miarę jej środków – usługi. Coś z tego nastroju życzliwości

---

<sup>111</sup> Zob. aneks 5.

towarzyszyło i naszej **grupie „Szomański Polen”** przy ograniczonych kontaktach z miejscową ludnością, w której autochtoni pochodzenia łżyckiego stanowili chyba większość. **Wszystkie te kategorie „Polen” obowiązały nosić naszytą z prawej strony na piersi tzw. „pepkę”,** tj. kwadratowy, wymiarów ok: 7x7 cm, kawałek materiału z nadrukiem granatowym P i taką że (na żółtym tle) obwódka. Ja przez jakąś przekorę obszyłem tą „materią” (jak dawniej mówiono) tekturkę odpowiednich wymiarów i nosiłem przypiętą na lewej klapie marynarki.

**Przez pierwszy okres po naszym przybyciu zatrudniono wszystkich naszych ludzi przy porządkowaniu naszych transportów.** Wyznaczono jakąś szopę na maszyny i plac pod sztaplowanie tarcicy. Robiliśmy to wszystko porządnie i bez pośpiechu. Znalazły się na poszczególnych sekcjach sztapli tabliczki z napisem niemieckim: „własność firmy Szomański w Zastawie Banku Handlowego w Warszawie”. Wszystkie maszyny, nawet mało użyteczna starzyzna starannie oczyszczone, a potem jednakowo na niebiesko pomalowane. Przy szopie był kantorek, w którym rezydowałem z wywiezionymi z ul. Kamedułów cennymi zapasami. Znalazło się tam trochę wódki, sporo papierosów i konserwy (używane normalnie w stołówce fabrycznej). Tamże swoje locum zajął strażnik „naszego” majątku Roman Szomański. Stopniowo rozdzielono naszych ludzi według kwalifikacji na poszczególne działy fabryczne. Było to już chyba w końcu listopada.

**2.XI.1980 r.**

**Mnie wydzielono małą brygadę, która miała pracować w oddzielnym warsztacie prywatnym poza terenem fabrycznym,** zasekwestrowanym na potrzeby "Kistenfabrik". Właściciel był na miejscu i dłubał sobie po kątach swoje robótki. My rozpoczęliśmy fabrykację wózków do linii obróbczej łopatek śmigieł. Spokojna robota pozostawiająca luzy na wykonania różnych „fuch” na potrzeby obozu. Nie będę tutaj dawał obrazków naszego życia obozowego i ciekawostek z terenu fabryki. **Pracowaliśmy 10 godzin + 1-godzinną przerwą obiadową.** Razem od 6:00 do 17:00, dwa razy droga z obozu do fabryki po 1/2 godziny, tak że pozostawało 12 godzin na „wypoczynek” i organizowanie życia obozowego. Ze starych znajomych od Heinego, którzy nas odwiedzali w Warszawie, zastaliśmy, jak już chyba wspominałem, inż. Schredera. Betriebsführera w Rauschy, (nazwisko wyleciało mi z pamięci), też znałem. Na ogół zachowywał się przyzwoicie. **Staralem się przy okazji zdobycia szczególnego statusu naszych „Szomański Polen” wpłynąć na poprawę warunków pracy i traktowania zatrudnionych w fabryce Polaków w ogóle.**

Najdrastyczniejszą sprawą był zakorzeniony zwyczaj policzkowania robotników z tytułu drobnych, rzeczywistych lub wymyślonych przez średni (i nie tylko średni) dozór, a także tzw. Werkschutzów, wykroczeń. Skorzystałem z pierwszej okazji uderzenia w twarz jednego z naszych ludzi, aby przeprowadzić ostrą rozmowę z Betriebsführerem. Przystudiowałem przed tym uważnie regulamin dla robotników cudzoziemskich, który przewidywał za poważniejsze wykroczenia nawet skierowanie do „Kacetu”, a więc obozu koncentracyjnego znanego typu, ale wyraźnie stwierdzał, że żadne kary cielesne nie są dozwolone. (Na moją interpelację, że strażnik uderzył w twarz naszego robotnika, dyrektor odpowiedział, że zbada sprawę. Po godzinie wezwał mnie. Zastałem tam poszkodowanego, i B.F. (tak będę w skrócie nazywał Betriebsführera), który zwrócił się z uśmiechem do mnie: „Niech pan patrzy, on doskonale wygląda i czuje się, żadnych uszkodzeń głowy”. Zapytany przeze mnie robotnik (nie pamiętam nazwiska, ale mam przed oczami tego puculoatego blondyna) przyznał, że się nie obalił po uderzeniu. Uderzenie otwartą dłonią było bardzo silne. Musiałem B.F. wytłumaczyć, że u nas w Polsce uderzenie w twarz ma szczególne znaczenie, nie tylko fizycznej agresji, ale także obrazy. W moim rozumieniu jest zakazane regulaminem fabrycznym, jako kara cielesna i proszę go o pouczenie nadzoru, że mogą nakładać kary pieniężne i stosować inne kary przewidziane regulaminem, ale bić, nawet uderzać w twarz nie wolno. Rozmowa skończyła się dość kwaśno, ale była skuteczna. To wtedy chyba przykleił mi B.F. przydomek „König der Polen”. Ja ze swej strony w obozie zwróciłem się z próbą do ludzi, żeby w głupi sposób nie dawali okazji do sankcji karnych, jeżeli chcą wykorzystać przyrzeczony mi zakaz bicia. Na szczęście do obozu koncentracyjnego też nikogo nie wysłali. Rozmowa ta wpłynęła również na zachowania Lagerführera Heilanda, który zaczął się do mnie odnosić z podszytym złością respektem. Kradł też oględniej.

**Muszę w tym czasie – październik, listopad 1944 r. – odnotować moją dwukrotną wyprawę do GG. Pierwszy raz pod pozorem odnalezienia dwu wspomnianych zaginionych wagonów: faktycznie przeprowadzenia wywiadu w rejonie Warszawy po upadku powstania i dotarcia do Michałowic. Zabrałem dużo listów i adresów rodzin naszych robotników. Wszyscy liczyli oczywiście na słońce. Wyjazd skończył się na dotarciu tylko na przedpole Woli (koło kościółka Sowińskiego), gdzie mieścił się tzw. „Räumungsstab”, tzn. zorganizowana jednostka rabunku nie spalonej jeszcze doszczętnie Warszawy. (Systematyczna akcja w tym względzie przeprowadzona była chyba w grudniu). Zrezygnowałem z dotarcia do mojego mieszkania przy ul. Mianowskiego 12, które według**

pośrednich informacji nie było jeszcze spalone - „firanki były jeszcze w oknach” – jak relacjonował naoczny świadek (Dziewięcki). Może powtórzył tę wiadomość jako „zasłyszana” od jakiejś kobiety w pociągu (Dziewięccy w okresie powstania i potem mieszkali w Puszczy Mariańskiej na letnisku, gdzie ich, jak z tego wynika odwiedziłem). Jadąc przez Częstochowę spotkałem się z inż. Ichnatowiczem, przekazując mu upoważnienie do poszukiwania wagonów i zaopatrując trochę w pieniądze, bo powiedział mi, że jest „goły”.

Nie potrafię dziś przypomnieć sobie, czy najpierw dotarłem do Michałowic, gdzie już nie zastałem mojej żony i córki (z powodu ciągłych nocnych napadów rodzice moi przesiedlili je najpierw do Cieszków, do Kazimierzy Wielkiej, a stamtąd później wyjechały do Krakowa), a potem do Włodzimierza Szomańskiego do Zagórzyc, gdzie zawiozłem wiadomości od brata (Romana) i siostry, którzy byli z nami w Rauschy. Przez Głowno (gdzie stacjonowało wówczas Rüstung Kommando i gdzie zgłosiłem mój przyjazd i wyjazd, obciążony ponad miarę jednorazowego udźwignięcia (jak się okazało przy przesiadce w Łodzi), ruszyłem w drogę powrotną. (W Głownie zetknąłem się z pp. Skrzyńskimi. Pani Skrzyńska pracowała z moją żoną w R.G.O. Jej córka Bela Srzednicka była koleżanką mojej córki. Zostawiłem u nich nadmiar słoniny, której już nie mogłem udźwignąć).

**W Rauschy, niektórzy nie wierzyli, że wrócę.** Miałem zamiar zrobić to następnym razem, zyskawszy pewność, że mój pobyt w Rauschy nie jest niezbędny. **Na przełomie listopada i grudnia dostałem kartkę od żony z Krakowa, że zaczyna jej tam być gorąco z warszawską kenkartą. Marta chce jechać do mnie. Spowodowałem wysłanie z dyrekcji fabryki pisma do mojej żony, że ja tam pracuję i ona może z córką przyjechać.** Okazał się ten list ważnym gładem na terenie Krakowa.

**Dość, że na Boże Narodzenie byliśmy już razem w Rauschy. Styczeń przyniósł wielką zimową ofensywę, a w końcu miesiąca tony zbliżającego się frontu wygiętego na Wrocław i masy uciekających Niemców.** Wozy drabiniaste, różne pojazdy, czasem wojskowe ciężarówki - przypominała się Szosa Lubelska z 1939 r. tyle, że w zimowej panoramie. **Któregoś dnia zjawili się i zakwaterowali na obrzeżu miasteczka dobrzy znajomi: jakiś oddział SS. Brigade Kamiński.** Ożywieni duchem „jak najdalej od frontu” nie byli tacy straszni. Jednak **wieczorem wystawialiśmy własne posterunki i zwróciłem się do Lagerführera o zapewnienie ochrony obozu.** (Oddzielną historią, charakteryzującą niewyczerpaną przedsiębiorczość naszych rodaków, było sprzedanie tym SS-owcom za chleb i papierosy 200-litrowej beczki rozpuszczalnika do lakieru. Skąd go skombinowali –



nie wiem; przypuszczam, że robili prywatne zapasy przy wyładunku wagonów i porządkowaniu naszego mienia wysłanego do Rauschy. Widziałem dwu naszych z podejrzanymi wypchanymi, kieszeniami wychodzących za bramę. Ostrzegłem ich. „Tylko nie róbcie żadnego handlu z tymi bandytami”, „Ale gdzie, panie inżynierze... !” Okazuje się, że zanieśli im na próbkę 2 litry trochę odkażonego denaturatu, jaki od powstania był w powszechnym użyciu, a potem stanęła umowa, że tuż przed wyjazdem ich o świcie dostarczą beczkę tego specjału. I dostarczyli. Bractwo się potruło na następnym noclegu, już daleko od nas. O istnieniu tej beczki wiedziałem, bo przychodzili do mnie po radę, czym by tu odkazić, bo rozmaite próby już robili, ale się nie da pić. Wy tłumaczyłem, że to nie spirytus denaturowany i w żaden sposób na alkohol nie da się przerobić – pozostanie zawsze trucizną. Przynajmniej moja znajomość chemii tak daleko sięgała. Ten triumf potem: aleśmy się odegrali!).

Już chyba pod koniec stycznia, a może to już był luty, nasze kierownictwo zaczęło zdradzać zdenerwowanie. **Mówiło się o ewakuacji fabryki (raczej ludzi?) do Niemies (Mimon) w Sudetach za Górami Izerskimi, gdzie był następny zakład „Ringu” Heinego, odległy o jakieś 130 km.** Zapomniałem w tej chwili kryptonimu – czy nie „Pressholzfabrik”<sup>112</sup>? **Zaczeliliśmy wszyscy kombinować wózki.** Ja w moim wydzielonym warsztacie, bez ukrywania się rozpocząłem seryjną produkcję dowcipnych dwukołowych wózków, na kołach z „pressholzu”, niestety nie okuwanych – tak, że później te 130 km z ledwością wytrzymały. Nie przyszło mi na myśl narobić kół na zapas, choćby po jednej parze do każdego wózka. Ponadto udało mi się kupić w handlu wymiennym (najbardziej bolało 50 papierosów, trzymany na czarną godzinę, jako uniwersalna łatwo podzielna waluta) przyzwoity 4-kołowy wózek, dość powszechnie w Niemczech jako ręczny pojazd transportowy używany (*Ten wózek odbył z nami całą powrotną wędrówkę i dopiero w 1978 r. przenosząc się z ul. Nowowiejskiej na ul. Filtrową podarowałem go prof. Zdzisławowi Pawlakowi, który w tym czasie remontował 1/2 willi z ogrodem na Żoliborzu*).

**Przyszedł wreszcie dzień „X”. Nasz obóz otoczył Volkssturm (formacja złożona z wyrostków i bardzo starych – poza granicą wieku jakiegokolwiek służby wojskowej – byłych wojskowych). Kazali wychodzić mężczyznom (Männer raus). Bunt – mogą wyjść tylko całe rodziny.** Przetargi. Zjawił się ktoś z dyrekcji. Wy tłumaczyłem, że wypadnie

---

<sup>112</sup> Fabryka w Niemies nazywała się „Kernholzgesellschaft Melder & Heine”

awantura, a przecież było uzgodnione, że w razie ewakuacji cały obóz pójdzie pieszo drogą na Niemes. **Ustąpili. Sformowaliśmy kolumnę wózków. Parę chorych osób**, Roman Szomański z p. Olgą, bodaj teściową Dostatniego z wnuczką, **mieli być zabrani ciężarówką z częścią personelu niemieckiego.**

Nie będę opisywał drogi. Śnieg. Umiarkowany mróz. Tempo ok. 3 km/godz. **Pierwszy nocleg w jakiejś chemicznej fabryce.** Zimno jak w psiarni. Ale wiatr nie dokuczał. Następnych noclegów nie pamiętam. Moja żona kaszle coraz bardziej. **Czwartego dnia drogi nadjeżdżają z przeciwnej strony 2 ciężarówki. Zabierają dzieci i kobiety, paru osłabłych mężczyzn.**

**Późnym wieczorem wprowadzają nas na czarny wielki dziedziniec fabryczny.** To już Niemes – **gdzieś z ciemności wołanie: mężczyźni oddzielnie na prawą stronę placu. Odkrzykuję (oczywiście po niemiecku): „Jesteśmy rodzinami, mieszkaliśmy tak w Rauschy i tutaj nie zgodzimy się na zmianę”.** Chwila ciszy, potem polecenie: „Wchodzić powoli na schody po prawej stronie. Wózki można zostawić do rana. Będą pilnowane”. Tłumaczę ludziom. Co cenniejsze toboły biorą na plecy. Wchodzimy na II piętro rozległego budynku fabrycznego. Wielka sala z piętrowymi łózkami. Ciepło. Całą noc ludzie kaszlą. Daleko od frontu. Od dwu dni nie widać już luny w stronie Wrocławia.

**Rano jakiś szczupły średniego wzrostu blondyn wchodzi na salę i pyta, kto z nim rozmawiał wczoraj wieczorem na placu. Podchodzę do niego. „Pańskie nazwisko?”. Mówię. „A więc to pan, tak myślałem, Król Polaków”.**

Proponuję mu, żeby zostawił żarty na lepsze czasy. **Mówię, że mogę mu być jednak pomocny, jeżeli on wykaże dobrą wolę w traktowaniu naszych ludzi.** Miał sławę ostrego – tak o nim mówili w Rauschy, **Betriebsführer Seifert** – bo to on był – **powiedział: „Spróbujemy”.** W miarę zbliżania się końca wojny, **po jego podróży do Berlina na początku kwietnia, był już „nie ten sam”.** **Panowałem nad nim całkowicie.** Już wcześniej w czasie ciężkiej choroby mojej żony, okazywał mi życzliwość, którą wreszcie przed świętami Wielkiej Nocy posunął do tego, że dał mi klucz do pokoju jego sekretarki, pozostawiając tam aparat radiowy i stolik nakryty czystą serwetą. Potem pozostawiał mi klucz i zostawiał radio pod pozorem, abym mógł zatelefonować, gdyby się coś w nocy wydarzyło (jakby tego samego obowiązku nie mieli nocni „werkschutze”!).

**Jednak również z nim musiałem się kategorycznie rozmówić na temat bicia po twarzy.** Okazję do tego dał incydent z Marianem Świerczewskim (jednym z „Berliner Polen”), który piekł na piecyku trociniaku w hali fabrycznej placki ziemniaczane. Palenie tych piecyków w parterowej zimnej hali było zakazane po pracy z uwagi na zagrożenie pożarowe. Znow musiałem dłuższy wykład zrobić. Wytłumaczyłem, że gdyby wobec oczywistego naruszania porządku uderzył go laską, choć tego nie wolno robić, to nie było to samo co w obecności innych ludzi uderzyć w twarz. O ile mi wiadomo do końca naszego pobytu w naszej polskiej strefie nie powtórzył się już podobny wypadek.

*Wyzwolenie (10 maja 1945 r.) i powrót do kraju są opisane w rozdziale II.*

## ILUSTRACJE



Fot. 1. Jan Rafał Bukowski – ojciec Jerzego Bukowskiego (1900 r.)



Fot. 2. Zofia z Ryszkiewiczów Bukowska – matka Jerzego Bukowskiego (1900 r.)



Fot. 3. Józef Ryszkiewicz z córką Zofią z Ryszkiewiczów Bukowską i jej dziećmi Jerzym i Jarewą (1908 r.)



Fot. 4. Dwór w Kąpielkach (powiat olkuski, województwo kieleckie) własność Józefa Ryszkiewicza. Miejsce zamieszkania Jerzego Bukowskiego w latach 1904-1912.



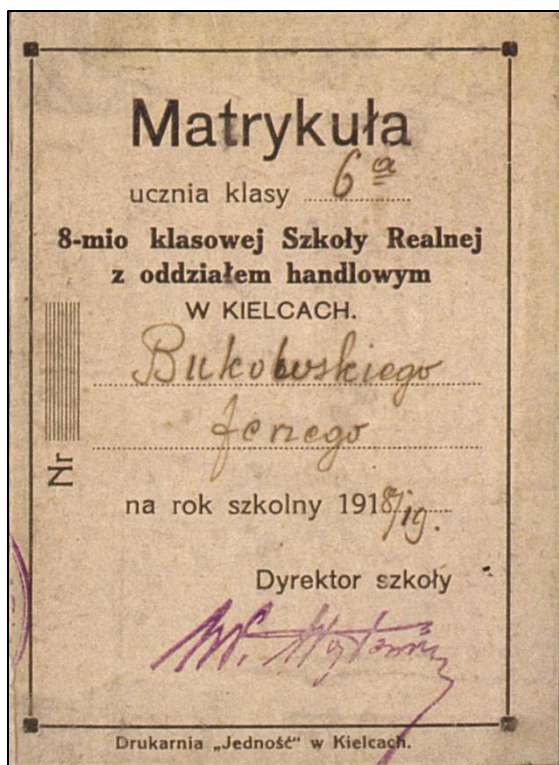


Fot. 5. Jerzy Bukowski na kucu przed gankiem dworu w Kąpiołkach (1912 r.).



2 ga Kolonja skautowa w Michałowicach (pow. Pińczów) Lipiec 1916 r, Grupa

Fot. 6. Kolonia skautowa w Michałowicach (pow. Pińczów) Lipiec 1916 r. Jerzy Bukowski z lewej w czarnym kapeluszu.



Fot. 7. Legitymacja szkolna Jerzego Bukowskiego (1918 r.).



Fot. 8. Jerzy Bukowski w mundurze wojskowym. Ochotnik w wojnie 1920 r., rok przed maturą.

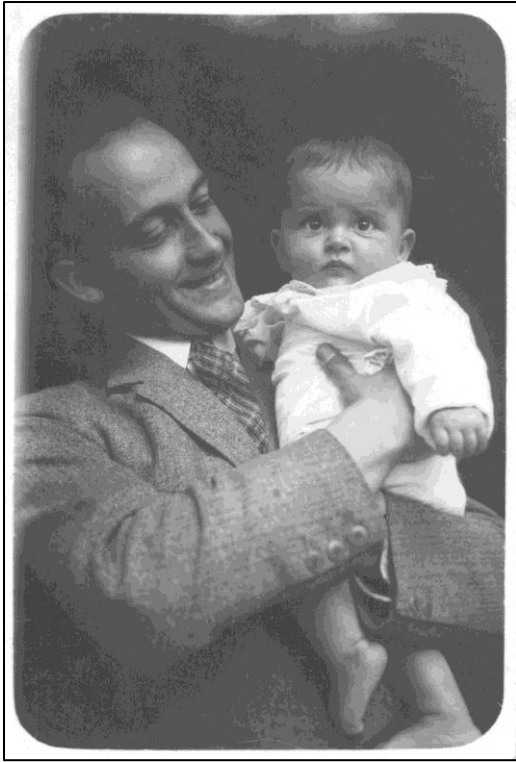


Fot. 9. Zofia Bukowska – żona Jerzego Bukowskiego (1943 r.).



Fot. 10. Jerzy Bukowski (1943 r.).





Fot. 11. Jerzy Bukowski z córką Martą (1930 r.).



Fot. 12. Jerzy Bukowski z córką Martą (Komorów 1944 r.).



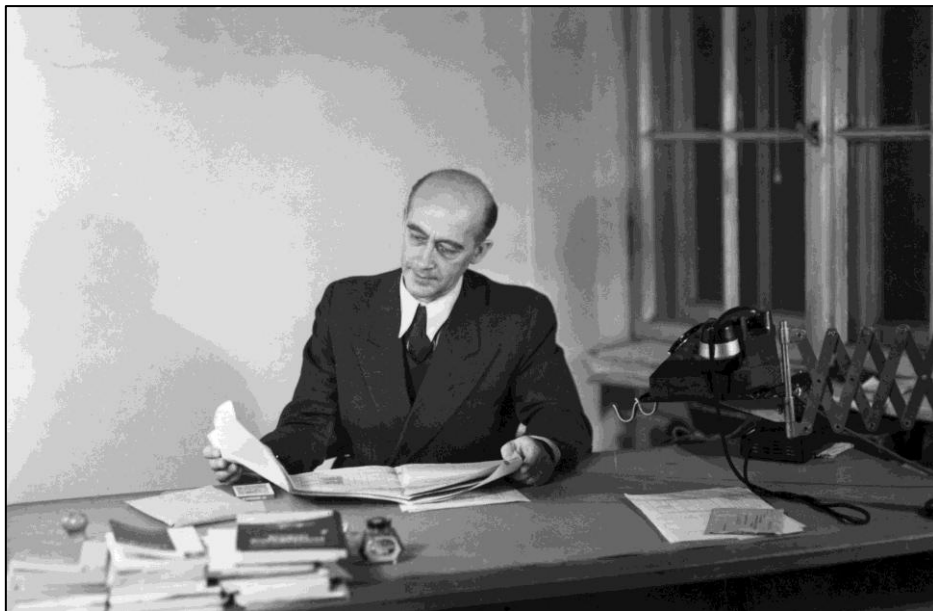
Fot. 13. Profesor Czesław Witoszyński z asystentami w Instytucie Aerodynamicznym (1926 r.). Od lewej: Zdzisław Rytel, Czesław Bieniek, Piotr Szymański, Stefan Neumark, prof. Czesław Witoszyński, Jerzy Bukowski. Na dole Julian Bonder i Kazimierz Batorski.



Fot. 14. Profesor Czesław Witoszyński (1927 r.).

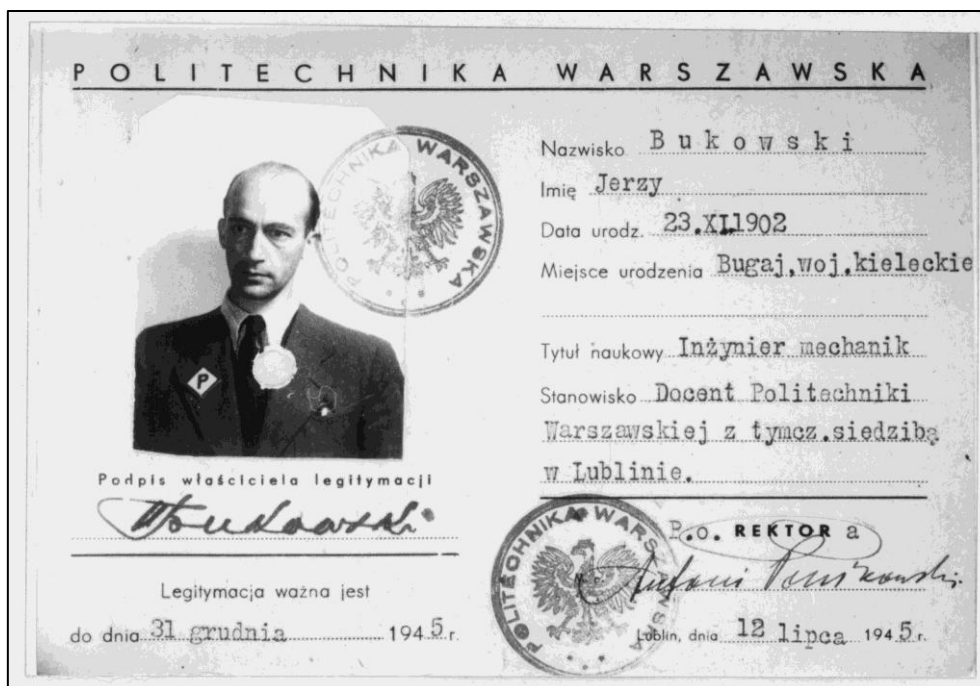


Fot. 15. Laboratorium Instytutu Aerodynamicznego.



Fot. 16. Jerzy Bukowski przy biurku w Instytucie Hydro i Aerodynamiki (1950 r.).





Fot. 17. Pierwsza powojenna legitymacja Politechniki Warszawskiej.



Fot. 18. Jerzy Bukowski – dziekan Wydziału Mechanicznego PW (1951 r.).



Fot. 19. Inauguracja roku akademickiego 1959/1960.



Fot. 20. Jerzy Bukowski – rektor PW. Inauguracja roku akademickiego 1960/1961.



Fot. 21. Bogdan Stefanowski – profesor, dr h. c. Politechniki Warszawskiej, rektor Politechniki Łódzkiej (1961 r.)



Fot. 22. Jerzy Bukowski (1973 r.).





Fot. 23. Mapa rodzinnych stron Jerzego Bukowskiego.



Tablica pamiątkowa w Gmachu Aerodynamiki

## INDEKS OSOBOWY

### A

Achmatowicz Osman, 39, 138, 139, 148  
Adamczewski, 205  
Ajdukiewicz Kazimierz, 45  
Albiński, 30, 100  
Aleksander II, 15, 24  
Alexandrowicz Jadwiga, 233  
Alexandrowicz Kazimierz, 246  
Antoniuk, 104  
Araszkiewicz Władysław, 39, 42, 43, 46, 129,  
130, 131, 140, 150, 152, 153, 157, 168  
Araszkiewicz Władysław Stanisław, 42

### B

Bajan Jerzy, 87  
Bartel Ryszard, 111, 197  
Batorski, 84  
Bełkowska Zofia, 140  
Bełkowski Stanisław, 234  
Berler Aleksander, 143  
Bieniek Czesław, 84, 92, 95, 96, 100, 102, 103,  
110, 112  
Bierut Bolesław, 128, 218  
Birkenmajer A., 40  
Bobrowski Olgierd, 35, 107, 114  
Bochenek Bronisław, 113, 114, 129, 130, 131,  
139, 148, 150, 151, 153  
Bonder Julian, 37, 81, 84, 85, 96, 115, 118  
Brach Ignacy, 35, 38, 52, 107, 118  
Braun, 256, 257  
Broniewski Witold, 70, 71, 112, 115  
Bronikowski Mieczysław, 74, 75  
Broszko Michał, 71, 72, 114, 115  
Brzeska Jan, 20  
Brzeziński, 209  
Brzoska Zbigniew, 5, 39, 115, 151  
Buchner Władysław, 12  
Bukowska Zofia, 236  
Bukowska-Korol Marta, 5, 6, 11, 22, 26, 27,  
64  
Bukowski Emil, 13  
Bukowski Jan Rafał, 11

Bukowski Jerzy, 5, 6, 22, 25, 26, 27, 52, 60,  
62, 63, 64, 69, 84, 107, 150, 152, 159, 178,  
184, 185, 227, 239  
Bukowski Tadeusz, 14, 26  
Buyno-Arctowa Maria Jadwiga, 12  
Byrd Richard, 29, 214

### C

Cepikow, 198, 209  
Chmielewski, 13  
Chondarzewska Olga, 198, 257, 263  
Chrzanowski Wiesław, 71, 75, 112, 117  
Cyrankiewicz Józef, 48  
Czajkowski Tadeusz, 209  
Czajkowski Władysław, 119, 218, 219  
Czerepanow, 198  
Czerniachowski Jerzy, 104  
Czesław Jaksza-Bykowski, 15  
Czochralski Jan, 71  
Czyrner, 247, 248

### D

Dąbrowski, 88  
Derentowicz Mieczysław, 183  
Dłuska, 128  
Dłuski Ostap, 47, 48, 171  
Dmowski Roman, 15  
Dobrosielski, 48  
Dobrzycki, 196  
Domański Edward, 5  
Dombrowski, 254  
Dorosz, 105  
Dostatni Wojciech, 29, 98  
Drewnowski Kazimierz, 105, 119  
Drzewiecki Jerzy, 222, 227, 247  
Drzewiecki Stefan, 87, 91  
Duchnowski Czesław, 111  
Dudzińska Elżbieta, 6  
Dulęba Leszek, 114  
Dutkiewicz Józef, 209, 262  
Dyżewski Aleksander Julian, 39, 42, 122, 124,  
131, 133, 136, 148, 150, 151, 152, 153  
Dziewięcki, 267



Dzikowski, 184, 185, 186, 187

## E

Eiffel Gustave, 96

## F

Findeisen Władysław, 63

Fiszdon Władysław, 114

## G

Gajkowicz Aleksander, 147

Garlicki Stanisław, 28, 67, 68, 79, 80, 91, 94

Gawarkiewicz, 209, 261

Gawdzik Czesław, 106

Geisler, 119

Gębalski, 133

Glass Andrzej, 197

Golański Henryk, 36, 37, 110, 119, 128, 135,  
140, 141, 142, 148

Gołębiewski Czesław, 118, 149

Gołębiowski Feliks, 159

Göring H., 103

Graff, 209

Grete Freulein, 19

Groszkowski Janusz, 42, 43, 46, 151, 153, 169

Grotowski Marian, 68

Grzelak, 102, 103

Guhl Adolf, 260, 261, 262

Gutt Romuald, 107, 141

Gwiazdomorski Jan, 45

## H

Haller Józef, 71

Helbert Henryk, 217, 219

Hempel Stanisław, 75

Hildebrandt Eugeniusz, 169, 170

Hitler Adolf, 227

Hłasek-Hłasko Stefan, 78

Hubaczek, 16, 17

Huber Maksymilian Tytus, 72, 73, 79, 114,  
115

Hurwic Józef, 175, 179

## I

Idzikowski J., 29

Ihnatowicz Stanisław, 260, 262, 267

Infeld Leopold, 48, 116

Iwanow, 198, 207

Iwazkiewicz Jarosław, 47, 171

## J

Jabłońska, 20

Jabłoński Henryk, 114

Jakimiuk, 88

Jaksa-Bykowski Czesław, 14, 16

Jakubowski Janusz Lech, 42, 111, 151

Janiec, 21

Janiszewski, 211

Jarosiński W., 50

Jelnicki Stanisław, 44, 108

Jędrychowski Stefan, 181

Jędryka Żaneta, 6

Jostowa, 234

Jungowski Wiktor, 118, 149

## K

Kaczmarek Jan, 56, 57

Kaczmarek Zdzisław, 163

Kalbarczyk Piotr, 84, 118

Kalewski Tadeusz, 173, 176, 184

Kamińska Elżbieta, 5

Kamiński K., 73

Kanafojski Czesław, 124, 168

Kanigowski Mieczysław, 69

Karasiński Leon, 73

Karman Teodor, 91, 200

Karpińska Irena, 254

Karpiński, 254

Kartman, 218

Kępa Józef, 50, 51

Kierasant-Wiśniewski, 72

Kierzkowski Kazimierz, 14

Kietlińska Zofia, 47, 104, 106, 169, 170, 173,  
176, 178

Kijkowski Piotr, 64

Kiliński Antoni, 113

Kisiel, 19

Klein, 258

Kłębowski Zenobiusz, 115  
Kliszko Zenon, 54, 173  
Kobaliński, 59  
Kobyliński Antoni, 73  
Kociołek Stanisław, 51  
Kolbiński Kazimierz, 47, 159, 160, 161, 169  
Komorniczak, 167  
Kondras Teresa, 6  
Kopeć Aleksander, 58, 60  
Kopernik Mikołaj, 41, 58, 59  
Korotyński, 187  
Korsak, 88  
Kowalski Roman, 71, 72  
Kozłowska Lucyna, 21  
Kozłowski Leon, 140, 141  
Kozłowski Romuald, 140  
Kozmiński, 198, 242, 244, 245  
Krassowska Eugenia, 148, 162, 163, 164  
Kraško Wincenty, 48  
Król Stanisław, 39, 131, 136  
Krupkowski Aleksander, 70  
Krzemień, 106  
Kuczewski Władysław Witold, 105, 106  
Kuhn Stanisław, 46, 67, 157, 168  
Kulczycki Stefan, 68  
Kulczyński Stanisław, 47, 48, 171  
Kulesza, 209  
Kuśmierski Franciszek, 74  
Kuźmiński Jan, 244  
Kwaśniakowa (Chodecka) Walentyna, 85, 118  
Kwaśniakowa Walentyna, 6  
Kwieciński, 104

## L

Laskowska, 22  
Laskowski Konstanty, 22  
Laskowski Zygmunt, 22  
Lasota, 154  
Legat Jan, 194  
Lenczewski-Samotyja Stanisław, 169  
Lewandowski Antoni, 219  
Leyko Jerzy, 116  
Lichaczewska Krystyna, 163, 165  
Lisonek, 140  
Litwinowicz, 204, 211  
Lutze-Birk, 228

## Ł

Łabuć L., 85, 92  
Łapiński, 151  
Łąkowski Rafał, 5  
Łucjanek Wiesław, 64  
Łukaszewicz, 119

## M

Maciejowski Bolesław, 12  
Makowski, 216, 223  
Małecki Ignacy, 38, 48, 123, 127, 130, 140  
Malinowski „Wojtek”, 16  
Małczyński Rajmund Bożydar, 22, 23  
Martin P., 72  
Matwiejew, 197, 199  
Ma-Wei-Li, 207  
Mayer Renata, 194  
Mazurek Zygmunt, 118  
Mączyński Eugeniusz, 31, 202, 246, 251  
Mianowski Józef, 28, 40, 79  
Miąso J., 196  
Michalski, 204, 205  
Michalski Edmund Marian, 69  
Michniewicz Wincenty, 35  
Mierzejewski Henryk, 73, 74  
Mięśowicz Marian, 63  
Milionszczikow, 48  
Miller Maria, 6  
Minc Bolesław, 51  
Mistewicz R., 120, 163  
Mistewicz Roman, 163, 165  
Misztal Franciszek, 88, 91, 109, 112, 114, 200  
Misztala Franciszek, 36  
Młodkowski, 21  
Młynarczyk, 30, 100  
Mochalski, 48  
Moczarski Ludwik, 29, 30, 100, 101, 219, 224, 225, 226, 228, 229, 230  
Modzelewski Z., 40  
Mokrzycki Gustaw, 28, 29, 31, 71, 78, 98, 99, 102, 108, 112  
Moszyński Waław, 37, 105, 110, 115  
Mutermilch Jerzy, 39, 129, 130, 131, 132, 139, 159

## N

Neumark Stefan, 69, 81, 85, 96, 100, 115  
Niemand Leon, 139  
Niemöller, 48  
Niewęłowska Halina, 237, 241, 242, 243, 244  
Niewęłowski Cezary, 237  
Nowak Zygmunt, 69  
Nowoński, 198

## O

Odefeld Jana, 114  
Olszewski Eugeniusz, 5, 6, 175, 192, 193  
Orłowski, 209, 246  
Orzeszko, 99  
Oska Edmund, 114  
Ostrowski Jerzy, 118, 149  
Ozga-Michalski Józef, 47

## P

Palcewska, 187  
Pasynkiewicz Stanisław, 192  
Pawlak Zdzisław, 268  
Pączkowski Zbigniew, 176, 179, 180, 181, 184, 186, 187  
Pelczyński Tadeusz, 52  
Peter, 259  
Pęczalski, 111  
Piłsudska Aleksandra, 16  
Piłsudski Józef, 15, 16  
Piotrowski Dudek, 14  
Piotrowski Ksawery, 14  
Piotrowski Stefan, 13, 14  
Piżyc Leon, 199, 258  
Pluta Grzegorz, 209  
Pluta Leon, 228, 235, 256, 263  
Płoszajski Jerzy, 29, 214, 219  
Płuzański Stanisław, 37, 38, 110, 113, 114, 116, 119  
Poborowski Jerzy, 234  
Pobóg-Pągowski Władysław, 67  
Pogorzelski Witold, 37, 38, 71, 99, 105, 110, 116  
Ponikowski Antoni Józef, 34, 104, 106  
Pożaryski Mieczysław, 76  
Pragier, 16

Prandtl Ludwig, 91, 96  
Prauss, 88  
Prosnak Włodzimierz, 118, 149  
Prugar, 246  
Puławski Zygmunt, 88, 91

## R

Radziszewski Ignacy, 75  
Rapaacki Adam, 37, 38, 119, 120, 127, 128, 131, 134, 135, 140, 141, 142, 145, 148  
Rapf, 257, 258  
Ratuszniak Zygmunt, 162, 163, 164  
Rogalski Stanisław, 29, 36, 87, 99, 108, 109  
Rościszewski Jan, 118  
Rotwand Stanisław, 38, 120  
Rowiński, 161  
Różycki Jan, 175, 176, 178, 181, 184  
Rudnicki Juliusz, 67, 104  
Rudzki Konstanty, 28, 79  
Rumbowicz Witold, 199  
Rumiński Bolesław, 55, 56, 59, 146, 147  
Ryszkiewicz Józef, 11  
Rytel A., 41  
Rytel Zdzisław, 59, 67, 68, 79, 80, 85, 95, 114  
Rzysko J., 49

## S

Sachs Antoni, 68  
Sanecki, 187  
Schatzman Józef, 84  
Schreder, 265  
Sikorski Jan, 21  
Skalski, 36  
Skarżyński Stanisław, 87  
Skibniewska Halina, 172  
Skierski Z., 57  
Skórski Roman, 44  
Skrzeszewski Stanisław, 108  
Skrzyńscy, 267  
Skrzyńska, 267  
Smoleniec, 209  
Smoleński Dionizy, 50, 51, 52, 171, 172, 173, 178, 184, 186, 187, 193  
Sobolewska Jadwiga, 233, 234, 235  
Sobolewski Stefan, 232, 233, 234, 237, 238  
Sołtyk Tadeusz, 36, 37, 88, 108, 109, 116, 117

Sosnkowski Kazimierz, 16, 226  
Srzednicka Bela, 267  
Srzednicki Zygmunt, 118  
Stalin Józef, 144  
Stamirowscy, 236  
Stamirowski, 254  
Staniewicz Leon, 67  
Starzyński Stefan, 21  
Staszic Stanisław, 40  
Stefan Żółkiewski, 154  
Stefanowski Bogdan, 36, 72, 73, 78, 79, 105,  
107, 108, 109, 114, 117, 118, 136, 147, 148  
Stępnia Jolanta, 6  
Stodola Aurel, 76  
Straszewicz Stefan, 105, 107, 123  
Straszewicz Zygmunt, 68, 69  
Studziński Kazimierz, 43, 114, 153  
Sujkowski Antoni, 12, 13  
Sułkowska Ewa, 192  
Szarejko R., 72  
Szartowska Halina, 237  
Szemplińska Wanda, 119  
Szlachta Zofia, 11  
Szyncer Bernard, 29, 204, 211, 212, 213, 214  
Szomański Roman, 197, 198, 219, 224, 227,  
263, 269  
Szomański Włodzimierz, 28, 31, 91, 93, 96,  
97, 103, 104, 106, 196, 197, 198, 199, 200,  
201, 202, 203, 204, 209, 211, 215, 216, 217,  
218, 219, 222, 234, 261, 267  
Szomański Zdzisław, 230, 244  
Szperl Ludwik, 68, 69  
Szwerc Waclaw, 69, 70  
Szymanowski Witold, 39, 114, 129, 131, 132,  
139  
Szymański J., 39, 120, 128  
Szymański Piotr, 35, 85  
Szymański Waclaw, 118  
Szymański Z., 116  
Szyr Eugeniusz, 50  
Szyszkowski Aleksander, 85, 102, 103, 112,  
118, 127, 194

## Ś

Śliwa, 209  
Śliwiński, 209  
Śniadecki Jan, 8, 14, 21, 22, 27

Światopełk-Czetwertyński Edward, 163  
Świerczewski Marian, 270

## T

Tarnowski Waclaw, 22, 67  
Taylor Karol, 34, 76, 78, 104, 105, 106, 114  
Teresa Sobolewska, 234  
Thugutt, 16  
Tołoczko Bolesław, 37, 72, 102, 105  
Trebert Henryk, 180  
Trzebiatowski Włodzimierz, 57  
Turski Stanisław, 106, 119  
Tyll J., 119  
Tymowski Janusz, 46, 49, 168, 169

## U

Ukłański Aleksander, 117  
Ulrych J., 21  
Umiastowski Roman, 227  
Unger, 43  
Urbański Tadeusz, 112  
Uściński W., 72  
Uzarowicz Ludwik, 38, 112, 119, 120, 121,  
122, 123

## V

von Bukowski Zofia, 18  
von Schramm, 18

## W

Warchałowski Edward, 35, 36, 37, 38, 104,  
105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 115, 116,  
117, 119, 120, 121, 123, 124, 127, 128, 130,  
133, 140, 144, 145, 146  
Wasiutyński Zbigniew, 67  
Wawelberg Hipolit, 38, 109, 110, 112, 114,  
115, 120, 121, 122, 123, 124, 128, 135, 136  
Werblan Andrzej, 183  
Wesołowski Kornel, 115  
Wędrychowski Jerzy, 87  
Wędyński, 30, 101  
Węgrzyn Józef, 241  
Wicha Władysław, 156  
Wieczorkiewicz Halina, 233

Wierzbicki Witold, 145, 197, 200, 209, 218, 219  
Więckowski, 197  
Wigura Stanisław, 87  
Wiśniewski Henryk, 118  
Witkowski, 111, 113  
Witoszyński Czesław, 28, 29, 30, 36, 37, 71, 75, 76, 78, 79, 81, 82, 83, 85, 90, 91, 92, 93, 96, 98, 99, 100, 102, 105, 108, 109, 110, 113, 114, 115, 117, 193, 198, 199, 202  
Wlekiński J., 75  
Wojewódzki, 21  
Wojno Tadeusz, 107, 141  
Wolff Wilhelm, 31, 32, 251, 252, 259  
Wolfke Mieczysław, 68, 103  
Wolibner Witold, 85  
Wolska Janina, 139  
Wróblewski Stanisław, 199  
Wysocki, 150  
Wysocki J., 30, 100, 102, 103, 104

## Z

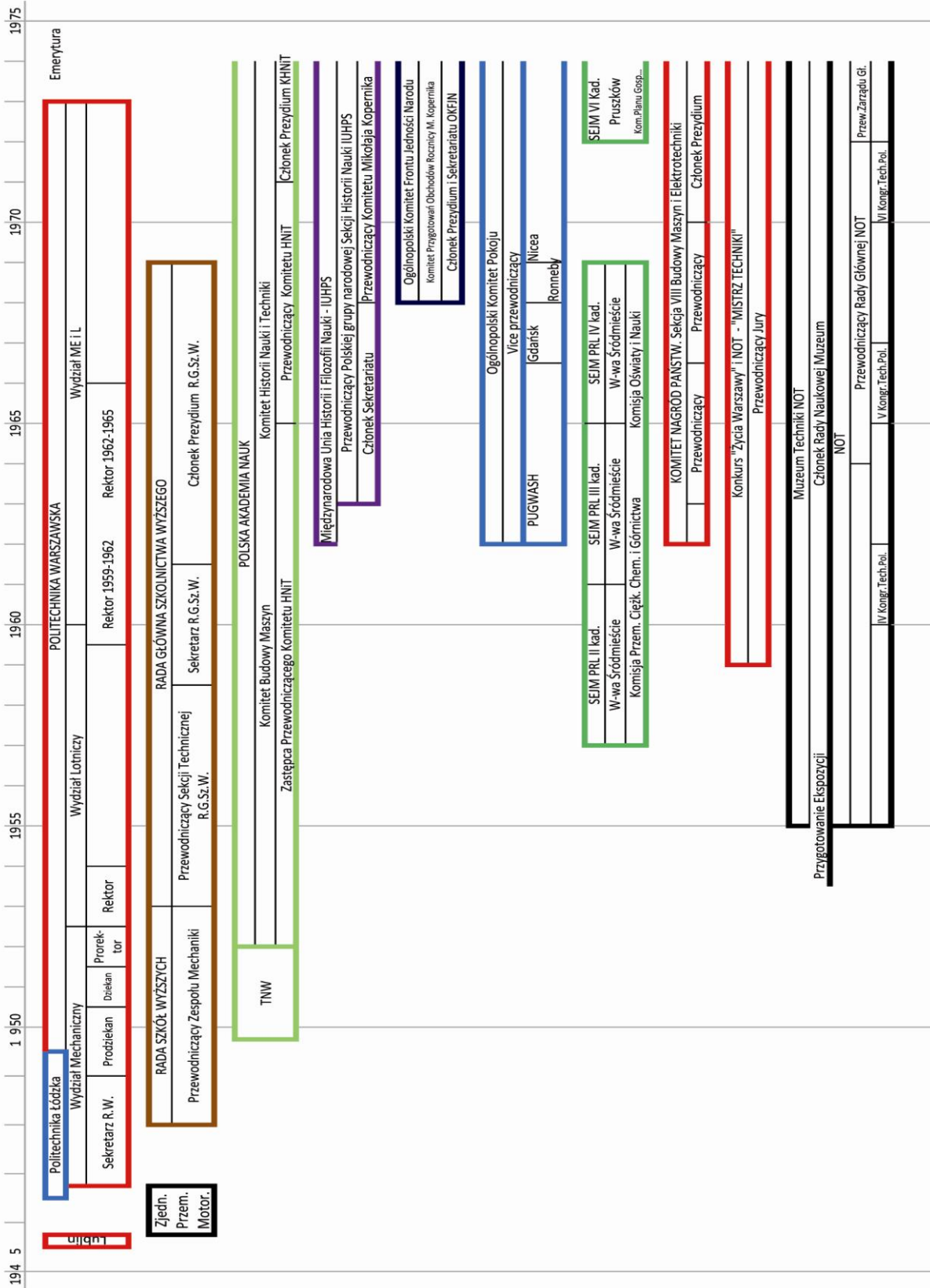
Zabięło, 241  
Zaborowski Stanisław, 181  
Zachwatowicz Jan, 46, 169  
Zakrzewski Wincenty, 23, 121, 123

Zaleski Jan, 5  
Zaleski S., 73  
Zalewski Eustachy, 119, 214, 218  
Zawadzki Jan, 141  
Zawadzki Józef, 107  
Zbrożek Jerzy, 29, 98  
Zembrzuski Kazimierz, 105, 114, 117  
Zieliński Stanisław, 102, 103  
Zieliński Wincenty, 102  
Ziemnicki W., 37  
Zientarski Stefan, 74  
Zwierzchowski Stanisław, 74, 112  
Zych Włodzimierz, 6  
Zych-Płodowski Zdzisław, 78  
Zygmund Antoni, 68  
Zygmunt Skowroński, 218

## Ż

Żelazny R., 116  
Żencykowski Waclaw, 73  
Żeromski Stefan, 22  
Żółkiewski Stefan, 40, 45, 157, 158, 163, 167  
Żurakowski Bronisław, 35, 106  
Żwan Julek, 14  
Żwirek Franciszek, 87

# ANEKS 1. Główne zaangażowania Jerzego Bukowskiego w okresie 1945-1973 r.





## ANEKS 2. Stenogram wystąpienia w Sejmie 10.04.1981 r.

159

III sesja Sejmu — 11 posiedzenie z 10 kwietnia 1981 r.  
Dyskusja nad informacją Rządu o aktualnej sytuacji kraju

160

### Posel Fiuk

na byłoby przewieźć, zaopatrzyć wieś i miasta, aby uniknąć napięć w szczytowym sezonie przewozów. Na pewno padną stwierdzenia, że bardzo trudno zwiększyć wydobywanie i produkcję, że brak jest ludzi. To prawda, ale jest również smutną prawdą, że ponad 100 tys. młodych ludzi u nas nie uczy się ani nie pracuje, a żyje całkiem wygodnie. Jest to swoista armia żubrów pod ochroną i warto byłoby, aby dla nich znaleźć jakiś rezerwat. (Oklaski)

Dzisiejsze nasze posiedzenie Sejmu odbywamy w miesiącu, który jest szczególnie bliski każdemu Polakowi, w Miesiącu Pamięci Narodowej. Na naszej ziemi mamy tysiące miejsc uświęconych krwią milionów rodaków. Nie brakuje ich w innych krajach. Czcimy pamięć bohaterów, stawiamy im pomniki, które są wyrazem holdu żyjących dla tych, którzy oddali swoje życie dla idei, dla sprawy. Dzięki socjalizmowi mamy jeden z dłuższych okresów pokoju w Europie, w naszej historii. Naszym wspólnym celem jest, aby go utrzymać, żeby nasze dzieci nie wiedziały co znaczy słowo wojna, strach, niepewność jutra, bojaźń o najbliższych. Czcijmy bohaterów, szanujmy ich pamięć, ale pamiętajmy, że bohaterstwem współczesnych nam czasów jest rozsądek, opamiętanie, spokój i rozważa. Na te cechy musimy kłaść szczególnie nacisk w codziennym działaniu. Dziękuję za uwagę. (Oklaski)

### Marszałek:

Głos ma poseł Jerzy Bukowski.

### Posel Jerzy Bukowski:

Obywatelu Marszałku! Wysoka Izbo! W czternastej godzinie pobytu w klawurze sejmowej trzeba mówić tylko bardzo krótko. Dlatego nie montuję przemówienia, a ograniczam się do hasłowego podania pewnych tematów, na które chciałem zwrócić uwagę kolegów posłów.

Złe perspektywy gospodarcze 1981. Wszyscy o tym wiemy, zostało to potwierdzone przez obywatela Premiera, zostało potwierdzone przez wicepremiera Kisielea. Co można skutecznie ratować? Tam, gdzie wchodzi w grę surowce, gdzie wchodzi w grę pokruszone kooperacje z wielkim trudem będziemy odbudowywać nasz odcinek produkcyjny.

Również jeśli chodzi o rolnictwo słyszymy o brakach zaopatrzenia, które trudno będzie w tym krótkim czasie przezwyciężyć. Natomiast są czynniki pozamaterialnej intensyfikacji produkcji rolnej, szczególnie w gospodarstwach indywidualnych, a to jest przecież 70% naszych upraw i naszej produkcji rolnej. Wydaje mi się, że zadośćuczynienie oczekiwaniom mas chłopskich w zakresie samorządności ich organizacji zawodowych jest tym czynnikiem, który może zmienić jeszcze dziś zasadni-

czo stosunek do zagospodarowania naszych upraw. Dlatego też dyskutowana dzisiaj tak szeroko i omawiana sprawa dojścia do porozumienia w zakresie samorządności wiejskiej jest sprawą niesłychanie pilną. Od tego czy załatwimy to w ciągu 10 dni, czy w ciągu 40 dni — zależy nasza produkcja rolna.

Przepraszam, że siedząc naprzeciwko prof. Strużka powiem, że wniesiony do łaski marszałkowskiej projekt ustawy o samorządzie wiejskim jest raczej nieporozumieniem i on nie załatwia sprawy, a raczej właśnie dojście do końca z rozmowami, o których tutaj była mowa, jest tym wyjściem. Tutaj znajdujemy fakt pozytywnej notyfikacji tej sprawy przez obywatela Premiera, rozwinięcie jej przez posła Szczepańskiego, wicepremiera Rakowskiego. Istota rzeczy to nie sprawy nazwy, nawet nie formy organizacyjnej. W swoim świetnym wystąpieniu posłanka Rytych wyraźnie na to zwróciła uwagę. Chodzi o to, żeby chłopcy mogli gospodarować również wspólnymi dobrami według własnego uznania.

Na czym polega trudność? Mnie się wydaje, że my ciągle nie doceniamy konieczności przełamania historycznie uzasadnionej nieufności chłopskiej do manipulowania losami wsi. Podkreślam to zdanie. Należę do tego pokolenia, które pamięta reformę rolną z roku 1920, kiedy w wojsku rozdawano nam uchwały o reformie rolnej w myśl realizacji znanego sloganu: Chłop żywi, chłop broni. Zgłosiła ta reforma jeszcze przed zamachem majowym, jeszcze w okresie tzw. demokratycznych funkcji, demokratycznych działań naszego społeczeństwa. Pamiętamy stan rzeczy, który doprowadził do buntów chłopskich w 1930 roku. To był też jakiś gorący akt protestu przeciwko rzeczywistości wiejskiej.

Przyszedł rok 1944, kiedy reforma rolna posłużyła jako potężna dźwignia, podstawa zmian ustrojowych w naszym kraju. Dla chłopów przedko okazało się, że to nie jest spełnienie jego tęsknot do ziemi, jego chęci gospodarowania na własnym.

Przyszedł okres 1948—1956 z ówczesnymi poczynaniami kolektywizacji, nie opartymi na jakiegokolwiek bazie technicznej. Był to wielki znów zawód dla chłopów, który kilka lat wcześniej często dopiero dostał ziemię z nadziału, parcelacji obszarnczych majątków. Nastaje rok 1956, jest trochę — wydawałoby się świeżego oddechu, wiele spółdzielni się rozwija, chłopcy wracają na swoje skrawki gruntu czy większe gospodarstwa, które uprawiają. Niedługo trwa ta radość. Rok 1971 przynosi jakąś dobrą atmosferę na wsi. Pamiętam, kiedy w 1972 r. wróciłem do Sejmu, a już wtedy od 1972 miałem w kolejnych okręgach wyborczych w województwie warszawskim, łódzkim, ostatnio w radomskim zawsze do czynienia z obszarami rolnymi, a więc miałem bezpośrednią styczność z chłopami. Otóż w 1973 r. chłopcy pytali: obywatelu pośle, jest lepiej, jest dobrze, ale jak długo to potrwa? Ja z pełną dobrą wiarą twierdziłem, że to jest kurs nieodwracalny.



### Posel Jerzy Bukowski

Przyszł rok 1974 ze zmianą kursu. Ten rok 1974, który się datuje równocześnie w naszej ekonomice tym, że po raz pierwszy staliśmy się importerami per saldo żywności, a nie eksporterami. Mimo wyjaśnień, które tutaj w tej Izbie słyszeliśmy, że nie było żadnego aktu prawnego, który by zakazywał sprzedaży chłopom ziemi, faktycznie to odpędzanie chłopów od ziemi trwało. Zmarnowaliśmy w ten sposób rzecz najwartościowszą, nie tylko głód ziemi u chłopów, ale tę ich pazerność na ziemię, tę prawdziwą chęć pracy na ziemi. Więc pamiętajmy, że jeśli dziś przychodzimy z nowym kursem na wieś, przychodzimy z nowymi hasłami, to nie są do końca przelamane podejrzliwości chłopskie. Ja bym nie chciał na najbliższym spotkaniu wiejskim spotkać się znów z pytaniem: Obywatelu pośle, a jak długo to będzie? I dlatego chyba trzeba w ten sposób patrzeć na stosunek chłopów do form organizacyjnych, do samorządów i zwracałbym się z gorącą prośbą do ławy rządowej, w szczególności do osób, które będą dezygnowane do prowadzenia negocjacji w ostatecznym załatwieniu sporu o samorząd chłopski, ażeby pamiętali, z jakim partnerem mają do czynienia, z partnerem, który nie grymasi, ale który ma uzasadnione racje podejrzliwości.

W moim okręgu wyborczym w Radomiu jest sporo rolnictwa, mamy specyficzne wielkie zagłębie owocowe, dawny powiat grójecki. Odbyliśmy spotkanie z przedstawicielami „Solidarności”, którzy próbowali nas, poza innymi tematami, które omówiliśmy dochodząc do jakiś harmonijnych ustaleń, również wprowadzić w problematykę tak zawnej „Solidarności wiejskiej”. Powiedzieliśmy z posłem Zawadzikiem, że wolelibyśmy o wiejskich sprawach rozmawiać z chłopami. Czekam mnie w przyszłym tygodniu takie spotkanie. Chciałbym nie tylko przenieść tam nastrój dyskusji tak pozytywny dla uregulowania spraw chłopskich, który wynoszę z dzisiejszej debaty, ale chciałbym też naprawdę z podniesionym czołem powiedzieć, że ta zmiana na lepsze w stosunku do chłopów i do gospodarstw chłopskich jest zjawiskiem trwałym w naszym budownictwie socjalistycznym.

Obywatelu Premierze! Nie potrzebuję Was osobiście zapewniać o tym, że ile będę mógł i w jakiej formie będę mógł, będę Wam służyć pomocą. Nie potrzebuję też podkreślać, że środowisko, które reprezentuję, środowisko inżynierów i techników, też jest do Waszej dyspozycji. Ale bardzo bym pragnął, żeby moi wyborcy, nawet ci tak odlegli od mojego fachu i codziennych zainteresowań, mogli być przeze mnie zdobyci jako gorący rzecznicy popierania linii politycznej i gospodarczej, którą Rząd reprezentuje. Dziękuję. (Oklaski)

### Marszałek:

Głos ma poseł Stanisław Gałecki.

### Posel Stanisław Gałecki:

Obywatelu Marszałku! Wysoka Izbo! Kilka tygodni temu, tu w Sejmie, z wielką ufnością i nadzieją wyraziliśmy swoją wolę powołania rekomendowanego przez Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej obywatela posła Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisku Prezesa Rady Ministrów. W naszym akcie głosowania daliśmy mandat i zaufanie Prezesowi Rady Ministrów i jego Rządowi dla wyprowadzania Polski z głębokiego kryzysu, wejścia kraju na bezpieczną drogę dalszego rozwiązywania naszych polskich problemów.

Poparliśmy dziesięciopunktowy program Rządu. Opowiedzieliśmy się za dziewięćdziesięcioma dniami spokoju społecznego i spokojnej pracy dla kraju. Czyniliśmy to w imieniu naszych wyborców i w najgłębiej pojmovanym interesie Polski socjalistycznej. Dziś wszyscy tu w Wysokiej Izbie i w całym kraju, członkowie partii i bezpartyjni, członkowie związków zawodowych, załogi zakładów pracy, ludzie na wsi i młodzież, każdy dorosły obywatel musi postawić sobie pytanie, czy dotrzyмалиśmy słowa. Odpowiedź na to pytanie nie jest rzeczą prostą. Jednak sprawą prostą, dostatecznie wyrazistą dla każdego z nas jest dobro Polski, dobro każdej polskiej rodziny i dobro polskiego jutra. To musi determinować nasze postawy, nasze zachowania, nasze widzenie i pojmovanie obowiązku oraz odpowiedzialności.

Słowa wypowiedziane dziś, dziś podejmowane działania mają zupełnie inny sens. Mają inne znaczenie. Po prostu zmieniły się warunki i okoliczności. Żyjemy przecież w innej epoce. Władze polityczne państwa, w tym moja partia, Rząd, kierują się w swej działalności szczerą wolą rozwiązywania kolejno poszczególnych problemów. Zmieniło się oblicze i formy życia publicznego. Odeszło lub ojeżdźcie wiele osób ponoszących odpowiedzialność za błędy w polityce i gospodarce. Trwa ożywczy proces w każdej dziedzinie.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza na kolejnych debatach plenarnych, zebraniach podstawowych organizacji partyjnych pogłębia krytyczną analizę przeszłości, formułuje swój pogląd na perspektywę, sposobi się do IX Zjazdu.

Równolegle trwają intensywne prace nad reformą gospodarczą, towarzyszy im publiczna dyskusja. Prowadzone są szeroko prace legislacyjne. Słowem, w tych trudnych warunkach kształtuje się nowy model naszych stosunków politycznych i społeczno-gospodarczych w każdej dziedzinie, chociaż tempo tych prac, zdaniem wielu środowisk, jest zbyt wolne. W procesie tym wzrasta z każdym dniem aktywność polityczna społeczeństwa, które w rzeczywisty sposób uczestniczy w życiu publicznym. Władze wciąż potwierdzają praktyką swego działania, że stoją na gruncie zawartych porozumień i dążą do stwarzania warunków ich realizacji.







Komisja SENATU, powołana do przedłożenia opinii o zarzutach, wysuwanych przeciwko Doc. Politechniki Inż. J. Bukowskiemu w związku z jego działalnością w okresie okupacji niemieckiej, zaznajomiła się:

1/ ze skierowaną do J.M. Rektora Politechniki prośbą doc. Bukowskiego o wdrożenie kroków celem wyświeślenia sprawy, czy i w jakim stopniu wysuwane przeciwko niemu zarzuty są słuszne i obciążające go.

2/ z wynikami dochodzenia wstępnego, przeprowadzonego przez prof. dr. Stefana Straszewicza, a w szczególności z zeznaniem osób informujących, jakie zarzuty były stawiane doc. Bukowskiemu oraz zeznaniami świadków na różne okoliczności podane w kierowanych zarzutach,

3/ z opinią prof. Straszewicza, wyprowadzoną na podstawie materiału zebranego i bezpośrednich rozmów z doc. Bukowskim i świadkami.

Komisja sądzi, że zebrany materiał dostatecznie oświeśla całą sprawę i że jest wystarczający dla wydania przez Komisję opinii w sprawie postępowania doc. Bukowskiego.

Komisja jest zdania, że sprawy objęte p.2/ i 3/ sprawozdania prof. Straszewicza wynikły logicznie z zasadniczej decyzji doc. Bukowskiego po zostaniu w fabryce W. Szomański, pomimo objęcia jej przez zarząd niemiecki w r. 1941; w świetle zeznań świadków oraz wyjaśnień doc. Bukowskiego jako takie nie wnoszą żadnego nowego momentu obciążającego.

Zarzut 4/ - przyczynienia się do wywiezienia fabryki do Niemiec - Komisja uważa za niesłuszny.

Sprawy, ujęte w p.5/ (stosunki z p. Peterem) nie dają dostatecznego powodu do stawiania jakichkolwiek zarzutów doc. Bukowskiemu.

Wydanie pracy naukowej przez "Hermann Göring Institut", ujęte w zarzucie w p.6/, załatwione zostało niezależnie od woli autora i rzeczą wątpliwą jest, czy autor mógł przeszkodzić temu w warunkach, jakie panowały w Instytucie Aerodynamicznym. Wydanie jednocześnie tekstu polsko angielskiego świadczy o staraniach autora, by dać jakieś zadośćuczynienie z powodu niepożądanych faktów, za które w bardzo niewielkim stopniu mógł ponosić odpowiedzialność.

Reasumując, Komisja nie uważa doc. Bukowskiego za winnego z tytułu zarzutów pp. 2/-6/ w sformułowaniu prof. Straszewicza.

W sprawie zasadniczego zarzutu, sformułowanego w p.1/ Komisja sądzi, że współpraca w wojennym przemyśle niemieckim dozwolona jedynie była w tych przypadkach, gdy władze polskie podziemne dały w tym kierunku zlecenie i pozwolenie. Decydowanie tych spraw we własnym zakresie, nawet gdy decydujący kierował się pobudkami opartymi na osobistym przekonaniu, że działa dla dobra ogólnego było niewątpliwie ze szkodą dla jednolitej postawy społeczeństwa i stwarzało przykre konflikty i nieporozumienia.

W postępowaniu doc. Bukowskiego jednakowoż nie można było dopatrzeć się złej woli, ale stwierdzono niewątpliwie duże wysiłki, by to, co się stało wykorzystać jaknajlepiej dla dobra ogólnego i dla poszczególnych ludzi. Wobec tego Komisja uważa, że postępowania doc. Bukowskiego nie zasługuje na potępienie i że w swej dalszej pracy we wszelkich dziedzinach życia winien być wolny od przeszkód, związanych z postawionymi mu zarzutami.

/-/ prof. dr Romuald Gutt  
 /-/ prof. dr Tadeusz Wojno  
 /-/ prof. dr J. Zawadzki

Warszawa, dn. 2 kwietnia 1946 r.

za zgodność

/-/ E. Warchałowski



**ANEKS 4. Dokumenty związane z habilitacją Jerzego Bukowskiego  
w 1938 r.**

**POLITECHNIKA  
WARSZAWSKA**

Nr. 4378/38

B.P.

WARSZAWA, DN. 7 grudnia 1938 r.

Pan Minister Wyznań Religijnych  
i Oświecenia Publicznego.

W odpowiedzi należy powoływać się  
na nr powyższy.

W sprawie habilitacji inż.  
J. Bukowskiego.



Rada Wydziału Mechanicznego na posiedzeniu w dniu 26.IX.r.b., po wysłuchaniu referatu Komisji, wybranej do sprawy habilitacji inż. Bukowskiego Jerzego, oraz po ponownym stwierdzeniu wysokich kwalifikacji osobistych inż. J. Bukowskiego, uchwaliła jednomyślnie habilitować inż. J. Bukowskiego, jako docenta Politechniki Warszawskiej w zakresie Aerodynamiki i Budowy śmigła, na podstawie oryginalnych prac konstruktorskich, wyniku colloquium habilitacyjnego oraz wykładu habilitacyjnego p.t. "Własności aerodynamiczne śmigieł nastawnych w locie" /art.29,p.1, Ustawy z dn.15.III.1933r. o szkołach akademickich, Dz.U. z dn.7.I.1938r. Nr.1/.

W związku z art.30, ust.5, Ustawy z dn.15.III.1933r. o szkołach akademickich komunikuję, że Senat Akademicki Politechniki na posiedzeniu w dniu 23 ub.m. uchwalił zaopatrzyć powyższy wniosek Rady Wydziału Mechanicznego opinią przychylną, uważając za uzasadnione w stosunku do osoby inż. Bukowskiego, jako wybitnego fachowca, zwolnienie go od konieczności uzyskiwania doktoratu.

Jednocześnie przesyłam:

- 1/ Sprawozdanie Komisji kwalifikacyjnej
- 2/ Wyciągi z protokółów, spisanych na posiedzeniach Rady



POLITECHNIKA  
WARSZAWSKA



16

WARSZAWA, DN. .... 193... R.

W odpowiedzi należy powoływać się  
na nr powyższy.

str.2.

Wydziału Mechanicznego w d.6.XII.1937r., 4.IV.1938r., 7.VI.1938r.,  
20.VI.1938r., 26.IX.1938r.

3/Odpis pisma Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publi-  
cznego do Dziekanatu W-ku Mech. z dn.11.V.1938r. Nr.IV.UP-  
3206/38.

4/Prace drukowane:

- a/ Technika laboratoryjna pomiarów aerodynamicznych
- b/ Projekt płatowca /projekt śmigła według cyklu wykładów inż.  
J.Bukowskiego/ - wraz z rysunkami.

Nadmieniam, że metryka urodzenia, życiorys i odbitka  
dyplomu będą przesłane w najbliższym czasie.-

PROREKTOR

Załączniki, j.w.

MINISTERSTWO W. R. I. C. P.  
Nr. BP 28226

12 GRUD. 1938

Załącznik

Departamentowi IV  
z prośbą o zajęcie stanowiska

15.12 1938 r.

Za Dyrektora  
Biura Personalnego

dn. IV UP-2435  
Wydane w Wydz.  
dnia 15.12 1938 r.  
Wydane do  
dnia ..... 1938 r.

MR/KO



Wyciąg

z protokołu, spisane go na posiedzeniu Rady Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej, odbytym w dniu 6 grudnia 1937 roku.

/w części, dotyczącej habilitacji inż. J. BUKOWSKIEGO i inż. S. ROGALSKIEGO/

O b e c n i :

pod przewodnictwem Dziekana, prof. W. Pogorzelskiego

p. p. p r o f e s o r o w i e :

W. Bratkowski,  
W. Broniewski,  
M. Broszko,  
W. Chrzczanowski,  
M. Huber,  
G. Mokrzycki,  
S. Płużański,

M. Pożaryski,  
B. Stefanowski,  
K. Taylor,  
B. Tołłoczko,  
C. Witoszyński,  
M. Wolfke,  
K. Zembrzuski,

N i e o b e c n i :

prof. W. Suchowiak, prof. S. Zwierzchowski.-

P R Z E D M I O T :

4a. Sprawa habilitacji, jako konstruktorów, inż. Jerzego BUKOWSKIEGO i inż. Stanisława ROGALSKIEGO /art. 1 pkt. 15 ustawy z dn. 2.VII. 1937 r./

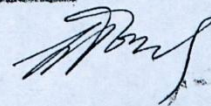
U C H W A Ł A :

4a. Na wniosek prof. C. Witoszyńskiego i prof. G. Mokrzyckiego uchwalono dopuścić do habilitacji na podstawie art. 1 pkt. 15 ustawy z dn. 2.VII. 1937 r. inż. Jerzego BUKOWSKIEGO i inż. Stanisława ROGALSKIEGO, jako konstruktorów.

Wobec tego przeprowadzono ocenę kwalifikacyjną osobistych kandydatów, która jednogłośnie wypadła, jako dodatnia.

Na podstawie tej oceny kwalifikacyjnej osobistych Rada Wydziału przystąpiła do dalszego ciągu postępowania habilitacyjnego i wybrała Komisję Habilitacyjną w składzie pp. profesorów: Dr. W. Broniewskiego, Dr. M. T. Hubera, G. Mokrzyckiego, K. Taylora i C. Witoszyńskiego pod przewodnictwem Dziekana.-

STWIEŻONA  
DIEKAN





SPRAWOZDANIE

<sup>Kwalifikacyjnej</sup>  
Komisji, (wybranej na posiedzeniu Rady Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej dnia 6 grudnia 1937 roku do sprawy habilitacji inż. Jerzego BUKOWSKIEGO na podstawie art. 1 pkt. 15 Ustawy z dnia 2.VII.1937 roku.-

Skład Komisji: Dziekan, prof. W. Pogorzelski,  
prof. dr. W. Broniewski,  
prof. dr. M. Huber,  
prof. G. Mokrzycki,  
prof. K. Taylor,  
prof. C. Witoszyński.-



Inż. Jerzy BUKOWSKI od wielu lat pracuje w dziedzinie teorii i techniki śmigieł lotniczych i w ciągu tego czasu osiągnął doskonałe rezultaty pracy, oraz uważany jest za wybitnego fachowca w tej dziedzinie, nie ustępującego, a nawet przewyższającego specjalistów zagranicznych.-

Dojrzłość śmigła w technice lotniczej staje się jasną, skoro uprzytomnimy sobie, że śmigło, pobierając moc silnika i zużywając ją na odrzucenie mas powietrza ku tyłowi, wytwarza siłę, zwaną ciągiem, która nadając samolotowi dużą szybkość postępową umożliwia utrzymanie się samolotu w powietrzu.-

Przy tego rodzaju zagadnieniach, polegających na pobieraniu energii i przekształcaniu jej na pracę użyteczną, kwestia sprawności odgrywa zupełnie pierwszorzędą rolę, do tego stopnia, że sprawność śmigła może być równocześnie miarą jego dobroci.-

W początkach lotnictwa śmigła budowano "od oka", na podstawie empirii, lub bardzo prymitywnych rachunków. Toteż sprawność tych śmigieł nie przekraczała 20%. -





Pierwsze podstawy do teorii śmigła rzucił Rankin, opierając ją na zasadzie ilości ruchu. Teoria ta była tylko przybliżeniem, daleko odbiegającym od rzeczywistości. Później powstaje teoria Drzewieckiego, bardzo trafna, o ile chodzi o założenia; jednak brak dostatecznej ilości doświadczeń, nie pozwolił Drzewieckiemu na ustalenie współczynników liczbowych, niezbędnych dla konstruktora śmigieł. Teoria śmigieł Prándtla nie znalazła szerszego zastosowania. Dalszy etap w pracach nad śmigłami stanowią prace Glauerta i dalsze rozwinięcie teorii Drzewieckiego przez opracowanie i pomiary odpowiednich współczynników liczbowych. W Ameryce badania Weicka i pomiary w laboratoriach, dotyczące współczynników uwzględniających wpływ wielkich prędkości na obwodnie, przekraczających nieraz prędkość dźwięku, pozwoliły na rzeczenie podwalin pod nowoczesne poglądy na pracę śmigła.-

Badaniem śmigieł w laboratorium Instytutu Aerodynamicznego w Warszawie zajął się od samego początku inż. J. BUKOWSKI. Kululetnia praca nad teorią śmigła i doświadczenia oraz pomiary tunelowe doprowadziły do tego, że uzyskano w Instytucie Aerodynamicznym zgodność rachunku z doświadczeniem. Już w czasie pracy inż. J. BUKOWSKIEGO w Instytucie Aerodynamicznym zwracano się do niego z przemysłu z prośbą o projektowanie śmigieł.- To, że zarówno śmigła dla samolotów, jak i wentylatory dla Instytutu Aerodynamicznego projektował dobrze, mimo braku w Warszawie urzędzeń, pozwalających na badanie wpływu wielkich prędkości, wskazuje, że inż. J. BUKOWSKI miał dobrą intuicję i czucie konstrukcyjne. Pod naporem rosnących zamówień na projekty coraz to nowych śmigieł musiał inż. J. BUKOWSKI wbrew swemu sentymentowi, idącemu raczej w kierunku pracy badawczej, rzucić pracę w Instytucie i przenieść się do przemysłu.-

W roku 1935 obejmuje on kierownictwo techniczne biura konstrukcyjnego i całej wytwórni śmigieł Szomański w Warszawie, nie tracąc zresztą kontaktu z Instytutem Aerodynamicznym.-



7 6

Osiągnął on w Wytwórni w krótkim czasie duże sukcesy, co tym bardziej jest godne podkreślenia, gdyż fabryki zagraniczne otaczają swe prace tajemnicą i wszystko co inż. J. BUKOWSKI opracował miało cechy pracy nawszkroś oryginalnej. - Dotychczas zaprojektował on przeszło czterdzieści udanych prototypów śmigieł, które pociągnęły za sobą około 2600 śmigieł seryjnych; pozatym z licencji inż. J. BUKOWSKIEGO korzystają Rumunia, Jugosławia, Łotwa i Bułgaria. -

Szczegółowy wykaz śmigieł podany jest poniżej.

WYKAZ ZAPROJEKTOWANYCH I WYPRÓBOWANYCH W LOCIE ŚMIGIEŁ:

L.p. chronologiczn.		Łatowiec rodzaj	Silnik Moc KM	Ilość sztuk wykonan.	Pro- toty- py	Eksportowane do Krajów
1.	DB-01	Pościgowy	525	650	5	-
2.	DB-02	"	800	-	1	-
3.	DB-03	"	520	70	3	Rumunia
4.	CB-01	Turystyczny	265	-	1	-
5.	CB-02	"	265	-	2	-
6.	CB-03	Szkolny	240	50	1	-
7.	B - 13	"	130	-	1	Jugosławia
8.	DB-05	Pościgowy	575	75	2	-
9.	DB-06	"	600	300	2	-
10.	DB-07	L. bombowy	575	-	2	-
11.	DB-08	Linj.	525	70	3	-
12.	DB-09	L. Bomb.	720	300	4	-
13.	DB-10	"	625	100	3	-
14.	DB-11-a	Pościgowy	525	-	1	-
15.	B - 19	Sportowy	22	-	1	Łotwa
16.	BB-01-b	Pocztowy	3x130	-	1	-
17.	BB-02-a	Komunikac.	2x205	-	1	-
18.	DB-04	Pościgowy	640	200	2	Rumunia
19.	B - 25	Sanitarny	240	-	1	-
20.	CB-08-a	Sportowy	130	-	2	Łotwa
21.	AB-01-a	"	50	-	1	-
22.	AB-02-a	"	18,5	-	3	-
23.	DB-12-a	Bomb.	2x720	-	1	-
24.	DB-18-a	L. Bomb.	900	-	1	Bułgaria
25.	CB-04-a	Wywiad.	230	-	1	-
26.	CB-06	"	380	100	1	-
27.	CB-07-a	"	400	50	2	-
28.	BB-09	Szkolny	105	300	2	-
29.	BB-10	Cwiczebny	105	30	1	-
30.	CB-15	Wywiad.	240	400	2	-

8 śmigieł opracowanych do prób i doświadczeń specjalnych

6 śmigieł jeszcze nie zbadanych w locie. -







W czasie pracy w Instytucie Aerodynamicznym zajmował się inż. J. BUKOWSKI nie tylko poszczególnymi zagadnieniami, lecz i metodami pracy. Zostały one ujęte w książce p. t.: "podstawy techniki laboratoryjnej pomiarów aerodynamicznych", doskonale przyjętej w świecie technicznym. Książka ta nie jest podręcznikiem, lecz ma charakter monografii, ujmującej metody pracy w Laboratorium Aerodynamicznym i jest jedyną tego rodzaju pracą w literaturze światowej. Toteż miała ona również i zagranicą bardzo pochlebne recenzje.-

Książka ta w r. 1937 została odznaczona nagrodą Kasy Mianowskiego.-

W Laboratorium Instytutu Aerodynamicznego opracował inż. J. BUKOWSKI specjalną metodę badania śmigieł, - zupełnie oryginalną i dostosowaną do miejscowych warunków.- praca ta załączona w rękopiśmiej przygotowanym do druku, zawiera wyniki pomiarów kilkudziesięciu prototypów śmigieł. Zawiera ona ponadto ukłasyfikowanie wyników pomiarów i ich oświetlenie w sposób dotychczas niepraktykowany, ułatwiający wyciągnięcie wniosków, dotyczących doboru śmigła do samolotu.-

Inż. J. BUKOWSKI okazał się doskonałym pedagogiem, prowadząc ćwiczenia w Laboratorium ze studentami i biorąc udział w pracach seminaryjnych Katedry Budowy Płatowców, w ramach których wyłożył kurs, dotyczący projektu śmigła, wydany następnie drukiem.- Książka ta wykazuje zupełnie oryginalne podejście do problemu, a wykład jest tak jasny i praktyczny, że każdy student może obecnie bardzo łatwo projekt śmigła wykonać.-

Inż. J. BUKOWSKI wprowadził w swej wytwórni dział wentylatorów kopalnianych, dając projekty oparte na zdrowej zasadzie naukowej, co wobec ~~przeważnie~~ wadliwych wentylatorów, stosowanych dotychczas, pozwala na oszczędzanie dużych ilości energii napędowej, a więc i pieniędzy.-



Inż. J. BUKOWSKI jest dziś jedynym specjalistą w Polsce w dziedzinie śmigieł.-

Na podstawie powyższego Komisja uchwaliła j e d n o m y ś l n i e na posiedzeniu w dniu 25 maja 1938 r. wystąpić do Rady Wydziału Mechanicznego z następującymi wnioskami:

- 1/ o wyznaczenie terminu colloquium i
- 2/ o wyznaczenie wykładu habilitacyjnego.-

Warszawa, dn. 25.V. 1938 r.

Przewodniczący

D z i e k a n  
Wydziału Mechanicznego

C z ł o n k o w i e K o m i s j i : /-/ prof. dr. W. Pogorzelski

/-/ prof. dr. M. T. Huber

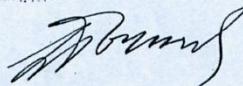
/-/ prof. G. Mokrzycki

/-/ prof. C. Witoszyński

/-/ prof. dr. W. Broniewski

/-/ prof. K. Taylor

STWIERDZAM  
DZIEKAN.





**ANEKS 5. Listy z podziękowaniem za opiekę w czasie Powstania  
i w obozach w Niemczech**

Kwidzyn dnia 11/II 1945T.

Szanowny Panie Turyniere!

Korzystając ze zdobytego adresu do Pana Turyniera  
pragnę gorąco podziękować P. Turynierowi za okazywanie  
serdecznej i zycelivej opieki mojej żonie, kuzynce i dzieciom  
Kiedy podczas tak strasnej tragicznej chwili jaka była  
w powstaniu, kiedy ja zostawiłem żonę i dziecko w Łasce  
Łosiu, nie przewidując tej tragedii, kiedy wreszcie moi  
współpracownicy (niechęć ku wymienić nazwiska),  
nie podali ręki pomocy mojej żonie (a mogli by  
jako rodzinę pracownika tej samej fabryki, przewieźć  
na teren łaskowej), wtedy Pan Panie Turyniere  
wraz z P. Gulem zaopiekowali się moją żoną,  
kuzynką i dziećmi. Dowiadując się z opowiadań  
żonę opieką była nie jak kierownika fabryki nad  
podwładnym, ale wprost ojcowiska. Ta troskliwa  
opieka, ręką udzielone i pomoc materialna przyczyniły  
się do tego że żona moja wraz z dziećmi, mogła  
dojechać żywa do miejsc, które sobie obrała  
na chwilowe zamieszkanie. Ja z żoną spotkałem  
się dopiero w listopadzie 1944 r, gdzie dowiadując  
się o czynach P. Turyniera.

Obecnie wiem że P. Turynier też spotkał się ze swoją  
żoną i córeczką z czego się bardzo cieszę.  
Pan Bóg za dobre czyny, dobrym wynagrodzi.  
Ja osiedliłem się w Kwidzynie w byłych Prusach Wsch.



jest to miasto powiatowe częściowo zniszczone ruchem  
przemysłowego i handlowego na większą skalę brak,  
ale przejął na lepsze da się zauważyć. Złote jest kamie  
natomiast artykuły pochodzenia fabrycznego są stosun-  
kowo bardzo drogie.

Mieszkanie mam czteropokojowe, pracuję dorywczo przy  
remontach. Żona moja pracuje jako pielęgniarka w dziej-  
szym Szpitalu Lądowym. Synek chowa się b. dobrze, obecnie  
ma 2 lata 4 miesięcy. Natomiast nietęgemu dziecku  
które znowa wioła, znajduje się przy swoich rodzicach  
po pięciu nietęgach ich nieobecności. Żenere ser-  
dniekuje serdecznie Panu Turzynievi za wyświadczonej  
mam przysługę społeczną, czego zapomnieć nigdy niebę-  
dziemy w stanie.

Łącząc wyrazy cici i szacunku

Haniśowa i Karol Teliński.

P. S. Również przesyłam podziękowanie dla P. Turzynievi  
Bobrowskiego.

Teliński.



20. IV. 1965

Szanowny Panie Profesorze!

W ostatnim świątecznym Prewoju zobaczyłam Pana zdjęcie, skojarzyłam z nazwiskiem i przypomniały mi się moje przeżycia z obozu, uścisnęłam się, że Pan żyje, pracuje i z całego serca życzy Panu owocnej pracy i powodzenia w życiu.

Jestem córką byłego stażowego pracownika przedwojennej firmy Dymaniskiego w Warszawie przy ulicy Kamieńców. Nazwisko moje prawdopodobnie nie Panu nie było, ale razem z moimi rodzicami /ja byłam drugimi/, przesiedlił Pan ciężkie chwiele od wybuchu powstania warszawskiego; Kauscha, pochodzący z Niemiec, i powrócił do kraju w 1945 r. w towarowych wagonach. ~~Kwio~~ Kwałowa rozaraliśmy się, my pojechaliśmy w kierunku Warszawy, Pan wysiadł. Niestety z wielu względów przez kilka lat nie mogliśmy wrócić do Warszawy, osiedliśmy się w Gdanskim.

Moj ojciec już nie żyje, umarł w 1959 r., matka w 63 r. Ojciec zawsze serdecznie i dobrze wyrażał się o Panu i pamięć ojca o ludziach, którzy byli dobrzy w takich obozowych czasach jest mi bardzo droga, dlatego ośmieliłam się napisać do Pana i jeszcze raz życzyć wszystkiego dobrego w Pana pracy i życiu.

Eliza Kawczmarek, córka Jana  
Gdansk /Wneszcz  
Grunwaldzka 119/22



## ANEKS 6. Podziękowanie od członków Rady Wydziału Mechanicznego 1951 r.

24 IX 1951

Czcigodny Panie Dziekanie i Drogi Kolego!

Wszyscy członkowie Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej pamiętają dobrze ten stan spraw Wydziału, jaki miał miejsce, kiedy w swym naprawdę ofiarnym podporządkowaniu się woli Wydziału objął Kolega rządy nad jego sprawami, nawet bez urzędowego upoważnienia.

Wszyscy członkowie Wydziału zdawali sobie sprawę, ile trudu i myśli należało włożyć w tę pracę, jak wiązały się należycie pojęte obowiązki dziekańskie z koniecznością porzucenia własnych spraw i upodobań naukowych, by sprostać mnożącym się ciągle zadaniom związanym z kierowaniem Wydziałem w specjalnie trudnym roku ubiegłym.

Wszyscy członkowie Wydziału widzieli Cię, Drogi Dziekanie, przy pracy jak mimo nawału zajęć zawsze potrafiłeś znaleźć czas na wysłuchanie i uwzględnienie tych licznych spraw, z którymi zwracaliśmy się do Ciebie, zawsze pełnego gotowości dogodzenia naszym postulatam.

Dziś, gdy kierownictwo Wydziału przy jego rozcłókowaniu przechodzi w inne ręce, a Ty, Drogi Kolego, obejmujesz inne, może ważniejsze, stanowisko, pragniemy Ci wyrazić nasze uczucia najwyższego uznania za Twój



trzyletni trud i głęboką wdzięczność za to, co w tym czasie dla Wydziału dokonał, prosząc Cię jednocześnie, byś i nadal z nami chciał współpracować, nie odmawiając swych rad i dzieląc się swym doświadczeniem.

Żegnając Cię więc tylko jako Dziekana, niech nasze najlepsze koleżeńskie uczucia i serdeczne życzenia dalszej równie cennej pracy towarzyszą Ci, drogi Kolego na nowym terenie działania.

Warszawa, 24 września 1951 roku.

*Wojciech*  
*Wojciech* *W. S.*  
*J. Hafarow* *Konrad Wesołowski*  
*z E. Kowalskim* *Helmut*  
*Florianowski*  
*P. Szwarc* *Leitner*  
*Korn* *Wiederfeld* *Merktewitz*  
*W. Szwarc* *W. Szwarc*  
*Alb. Szwarc* *Bochenek*  
*W. Firdon* *Skorzi*



Witold Pogorzelski

Wacław Moszynski

W Palak

~~P. Rytel~~  
J. Brach

Bohdan Stefanowski

Kornel Wesotowski

Zembiusz Kłebowski

B. Tottoosko

Pluzaniński

K L

Zdzisław Rytel

Jan Odefeld

Franek Misztal

Krzysztof Studziński

Aleksander Uklanski

Władysław Fiszdor

Zbigniew Broska

Bohdan Skórski

Skórski